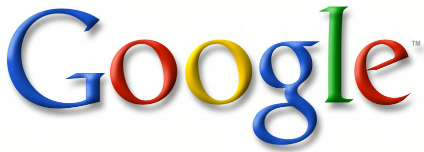




n°

5 w. b.
30 —

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

W Drukarni Noskowskiego, Warecka № 15,

ST. TARNOWSKI

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

WYDANIE DRUGIE,

PRZEZ AUTORA PRZEJRZANE I DOPEŁNIONE.

TOM I.

WIEK XVI.

W WARSZAWIE.

NAKŁADEM „SŁOWA." — WARECKA 15.

1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Декабря 1902 года.

PRZEDMOWA

do pierwszego wydania.

W samych początkach mojego nauczycielskiego zawodu, mówili mi życzliwi starsi, że wykłady to nie dosyć, *verba volant*, potrzeba książek: i zapytywali, jak sobie wyobrażam tę część swego zadania, co myślę napisać i wydać.

Ustalonego, rozważonego planu, nie miałem przed laty trzydziestu: zamiar tylko, ogólny i nieokreślony. Myślałem, że jeżeli czas i rozum wystarczą, to powinienbym zdobyć się na całkowity obraz historyi literatury polskiej; niektórym zaś pisarzom, lub dziełom, poświęcić osobne prace, większe czy mniejsze, stosownie do ich znaczenia.

Zamiar, choć w owym czasie niezupełnie jasny, wykonywał się przecież. Rozpraw o różnych pisarzach polskich zebrała się liczba dość znaczna. Są trzy prace większe, książki, o *Pisarzach Politycznych XVI wieku*, o *Kochanowskim* i o *Krasińskim*. *Wypisy dla szkól wyższych*, ułożone ze współpracownictwem profesorów (dziś dyrektorów) Wójcika i Próchnickiego, obejmują we wstępach do każdego okresu i w życiorysach pisarzy, najpotrzebniejsze wiadomości o literaturze polskiej, jej cały ciąg i ogólny zarys.

Ale do tej obszernej historyi literatury, choć czułem się do niej poniekąd obowiązanym, nie miałem odwagi przystąpić. Wstrzymywała mnie myśl, że jeżeli ona ma być tak dobra, jak to rozumiem i jak chciałbym ją napisać, to muszę sam wiele się jeszcze douczyć, wiele pogłębić. Przekonanie z pewnością słuszne i niezmienione dziś, kiedy tę książkę wydaję. A jednak wydaję ją, bo czas nie stoi, bo lata idą, a któż wie, ile ich jeszcze mam przed sobą? Lepiej samemu za życia zrobić, co się może, choćby niedoskonale, niż zostawić ludziom kłopot porządkowania i brakowania mnóstwa papierów. W tej żmudnej pracy zaś, kto wie, czy wydawcy nie zostawiliby ustępów, które sam chciałbym bądź wykreślić, bądź poprawić? Lepiej podjąć tę pracę samemu. Zresztą, doskonałości niema na tym świecie, dla książek jak dla wszystkich innych rzeczy; a ktoby chciał dzieła swoje do niej doprowadzić, pracowałby nad niemi do śmierci, a celu przecieby nie dopiął. Książka zaś może się przydać, być pożyteczną, choć od doskonałości daleka, ma wiele w sobie usterek i braków.

Wahanie, pasowanie się z własną myślą, byłoby może trwało jeszcze długo: przerwała je, zmusiła do postanowienia, okoliczność zewnętrzna.

Uniwersytet, w którym niegdyś pobierałem nauki, a któremu służę od lat trzydziestu jako profesor, z którym więc złączony jestem całem życiem, a więcej jeszcze wszystkiemi wspomnieniami jego i Polski, obchodzi pięćsetną rocznicę swojego nie założenia, ale odnowienia i uzupełnienia. Kiedyż złożyć mu hołd, kiedyż ofiarę choćby skromną ze swojej pracy? okazać uczucia, jakie się dla niego ma w sercu? Druga taka sposobność nie zdarzy się aż za sto lat. A więc tej nie przepuścić,

tylko czem można i jak można przyłączyć się do obchodu tej rocznicy, dodać choć cokolwiek do tych pamiątek, które przed przyszłymi wiekami mają świadczyć, żeśmy przeszłe umieli szanować i kochać. W tej myśli, w tem uczuciu, wielu moich kolegów profesorów wydaje prace, umyślnie w tym celu podjęte, na tę pamiątkę przeznaczone. Profesorowi Literatury Polskiej przystało postarać się o pracę z jej zakresu: a powód, rok pięćsetny, nie pozwalał zbyć się czemś małem, wymagał takiej, która przynajmniej kosztowałaby piszącego trochę trudu. Słusznie zaś jest, żeby Historya Literatury Polskiej, jeżeli miała kiedy być napisaną przez jej profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyszła w tym pamiętnym uroczystym roku.

Wychodzi więc, może nie najlepsza, ale największa i najtrudniejsza z książek, jakie w życiu miałem do napisania. Jest ona owocem długoletniej pracy, nauki nabywanej i udzielanej. To samo, co w niej, było w moich lekcyach, obszerniej tylko wykładane, a zmienione i poprawione w miarę przybywających nowych wiadomości.

Sąd oczywiście nie należy do mnie. Uważam jednak za potrzebne, nie uprzedzać zarzutów i odpierać z góry te, które przewidzieć się dają, ale wytłómaczyć, dlaczego pisałem w tych rozmiarach i w ten sposób.

Słyszałem zdanie, że książkę tak dużą można napisać, ale nie można takiej przeczytać. Nie śmieję się z tej uwagi; owszem, mam ją za trafną. Dawno przeszły te czasy, kiedy wielka książka nie odstraszała, ale imponowała i pociągała. Życzliwą też była rada: „Jeżeli chcesz być czytanym i pożytecznym, staraj się stre-

ścić w jednym tomie, co najwięcej w dwóch." Nie mogłem jednak pójść za tą radą. Nie z wrodzonego rozwlekłego sposobu pisania tylko, ani, proszę wierzyć, z lenistwa, ale z namysłu i z przekonania. Zdaje mi się — chciałbym się mylić, ale boję się, że się nie mylę — zdaje mi się, że oprócz wielkich poetów i oprócz nowości, Polak, nawet wykształcony, nie czyta, nie zna swoich pisarzy. Nie można nawet ani żądać, żeby ich wszystkich znał, ani się dziwić, że nie zna. Człowiek, nawet nie bardzo zajęty, nie ma czasu zaglądać do starych książek; człowiek zajęty ma go tem mniej. Z tego wynika, że ogromną większość pisarzy zna z nazwiska tylko i z małych wyjątków: czyli, że o literaturze swojej ma wyobrażenie powierzchowne, niedostateczne. Zatem, jej historya, jeżeli ma spełnić swoje zadanie i czytelnikowi dać wyobrażenie o głównycn epokach i głównych pisarzach, musi wchodzić w szczegóły, musi przytaczać treść dzieł, choćby najkrócej, ale koniecznie. Skoro zaś to robić musi, to rzecz prosta, że nie może być krótką, nie może się zamknąć w jednym tomie. Zresztą, jeżeli chodzi o taką esencyę, o takie streszczenie dziejów literatury polskiej, to ono już jest zrobione. W *Wypisach dla klas wyższych* jest to, co Polak, jako-tako wykształcony, o swojej literaturze koniecznie wiedzieć powinien. Gdyby zaś z tych wypisów wyjąć ustępy i życiorysy, a opuścić wyjątki z autorów, zrobiłaby się z tego właśnie taka jednotomowa, skondensowana Historya Literatury. Że niniejsza jest za wielka, przyznaję; że ją mało kto przeczyta, przypuszczam i wierzę. A jednak wydaję ją, jaka jest, z dwóch powodów:

Pierwszy jest ten, że choć dla wielu za obszerna,

przez to ani pociągająca ani przydatna, to dla niektórych pożyteczną być może. Kto się więcej literaturą polską zajmuje, kto z zawodu zajmować się musi, profesor gimnazyalny naprzykład, a sam nie ma sposobności wszystkich autorów przeczytać, temu może się przydać obszerniejsza o nich wiadomość i streszczenie ich dzieł główniejszych. Inny zaś, choć się z obowiązku literaturą nie trudni, może czasem mieć ochotę lub potrzebę poznania pewnego w niej szczegółu, pewnej postaci lub kwestyi; i taki, nie potrzebując czytać wszystkich tomów od deski do deski, zajrzy do jednego z nich i znajdzie w nim odpowiedź, a przynajmniej wskazówkę odpowiedzi, na pytanie, które go obchodzi. I takiemu więc duża książka przydać się czasem może.

To więc jest jeden powód. A drugi jest następujący:

Nie mogę wiedzieć, jaką będzie Historya Literatury w wieku XX, ale sądzę, że będzie inną, niż w XIX-tym, że będzie musiała wyrobić sobie jakiś nowy kształt i nowy sposób postępowania. Pisarze i książki tak się mnożą, pisma jednodniowe tak zaczynają wiele ważyć i znaczyć, że obszerniejsze szczegółowe zdanie sprawy z tych mas papieru, będzie niepodobieństwem. Cokolwiek nastąpi, przypuszczam, że nasz sposób obrabiania tej nauki będzie musiał uledz zmianie. Zanim więc do tego przyjdzie, niech zostanie jedna Historya Literatury Polskiej, pojęta i napisana tak, jak my rozumieliśmy to w naszej drugiej połowie XIX-go wieku, a obszerna, większa. Większej, prawdę mówiąc, nie mamy. Wiszniewski założył swoją na tak wielkie rozmiary, że jej skończyć nie mógł. Mickiewicz swoją z konieczności musiał kreślić ogólnymi tylko rysami. Ma-

ciejowski był niewątpliwie bardzo uczony, ale może tak uczony, że aż pedantyczny; czy zaś widział pisarzy i dzieła, jak są, czy zdawał z nich sprawę dokładnie a jasno, to wydaje mi się mniej pewnem, niż jego uczoność. Wójcicki jest zbyt powierzchowny, wystarczyć nie może. Z nowszych, te Historye Literatury, które mnie wydają się najlepsze, Bartoszewicza i Spasowicza, są właśnie takie krótkie, jednotomowe. Niech więc zostanie jedna duża, przynajmniej jako ślad i pamiątka swego czasu, znak, jak ta nauka w tym czasie była rozumiana i uprawiana.

Nie tak, jak żąda najnowsza teorya, jak wymaga świeżo zdobyte stanowisko nauki? Na ten sąd jestem przygotowany i nie bronię się od niego, ani przed nim nie ustępuję. Znam tę teoryę, która mówi, że kto traktuje kwestye naukowe, historyczne czy literackie, ten powinien być ściśle *objektywnym*: wystawić fakt, czy człowieka, czy dzieło, jak jest, wytłómaczyć, dlaczego jest takiem, nie zaś innem, ale od wszelkiego sądu, od własnego zdania się strzedz. Jego rzeczą i zadaniem jest przedstawienie tylko; wniosek i sąd jest prawem czytelnika. Autor, występujący z sądem własnym, nietylko przekracza prawo swoje a wkracza w cudze, ale samochcąc, własną ręką zmniejsza i obniża wartość swojej pracy, bo przecież nieomylnym być sobie nie rości, a jego sąd mylny i czytelnika może uwieść i rzetelnej prawdzie jego dzieła zaszkodzić.

Ta teorya ma pozór ścisłej logiki, ale nawrócić się do niej nie mogę.

Naprzód dlatego, że nie widzę, iżby praktyka zgadzała się z teoryą. Ci, którzy najbardziej żądają dla niej uznania, głoszą ją jako swoją zasadę i hasło, ci nawet, którzy ją stworzyli, nie widzę, żeby jej się trzymali. Je-

dni mają swoje formułki, swoje aksyomaty, do których przymierzają pisarzy i dzieła i podług których sądzą. W tej pracy przymierzania częstokroć nie obchodzi się bez naciągania i dociągania. Aksyomat czy formułka są przy takiem postępowaniu dowiedzione, usprawiedliwione, *quod erat demonstrandum*: ale ta prawda, to rzetelne przedstawienie rzeczy, które miało być celem, a które jest istotnie zadaniem naukowej pracy, te bywają nieraz poświęcone. Gotowe aksyomaty, formułki, uchodziły za naszych czasów za rzeczy niezgodne z naukową metodą, jej wręcz przeciwne.

Inni są zgodniejsi z sobą, wierniejsi swojej teoryi, formułek pod fakta czy książki nie podkładają, i tych do miary tamtych nie naciągają. Ale to własne zdanie, z którem się taić chcą, i nie zdanie tylko, ale uczucie, ale sympatya czy antypatya, ale polityczna doktryna lub nawet namiętność, te bez ich wiedzy i woli odzywają się głośno i wyraźnie z każdej karty, z każdego niemal słowa ich książek.

Nie dziwię im się, ani biorę za złe; jestem mocno przekonany, że inaczej być nie może: tylko, gdyby nawet ich teorya zdawała mi się słuszną, to ich praktyka osłabiłaby mi wiarę w teoryę.

Nie sądzę zaś, żeby teorya była słuszną: żeby pisarz nie miał prawa wyjawić swego zdania, żeby miał obowiązek je zamilczeć. W takiem mniemaniu utwierdzają mnie przykłady wielkich pisarzy, wielkich uczonych, wielkich myślicieli. Nie krył się ze swojem zdaniem i sądem, ani ze swojem uczuciem nawet, żaden z wielkich historyków przeszłości, od Tacyta aż do Macaulaya; nie krył się Leibnitz, ani Bossuet, ani — jeżeli go kto woli — Spinoza, ani Hegel, nie krył się Lessing.

Większych, niż oni, a nawet im równych, w naszym dzisiejszym okresie nie widzę; i myślę, że jeżeli najpotężniejsze umysły wszystkich wieków w pewien sposób zadanie pojmowały i wykonywały, to jednak w tym sposobie coś prawdziwego być musi.

A gdy do takiego wniosku doprowadza obserwacya i doświadczenie, to popiera go rozumowanie.

Czy jest słuszność, czy jest prawda, w tej doktrynie, która każe piszącemu wyrzekać się zdania i sądu? Pomijam to, że choć się wyrzekać chcą, to wyrzec się nie mogą i pośrednio nieraz bezwiednie swoje zdanie i sąd wyjawiają. Ale chodzi mi o zasadę samą. Ona nietylko nie bywa wykonywaną w praktyce, bo jest z natury rzeczy niewykonalną, ale ona jest fałszywa sama w sobie. Dlaczego piszący nie ma powiedzieć otwarcie, co myśli? Na jakiej zasadzie odmawia mu się tego prawa? Że on się mylić może? Że jego zdanie drugiemu może wydać się fałszywem? To nie racya. Każdy może się mylić, bardzo często mylić się musi: a nikt drugi nie jest obowiązany zdania jego przyjmować na wiarę i iść za nim ślepo. Czytelnik nie ma żadnego obowiązku przyjmować sądy autora, ma wszelkie prawo je odrzucić. Ale żeby autor nie miał prawa myśleć i sądzić, żeby miał być tylko fotograficzną płytą, która odbija, a sama jest nieruchoma, bierna, to nieprawda. Naprzód żaden, nawet kiedy najbardziej chce, nie potrafi, nie może być biernym, bo jest człowiekiem, nie płytą szkła, bo myśli i czuje; jego myśl i uczucie musi zawsze domieszać się do tego, co on pisze. Ale prócz tego, on ma prawo powiedzieć, co myśli, dlatego, że jest człowiekiem, że myśli. Ma prawo i sądzić. Ma prawo powiedzieć, że podług jego sumienia to jest dobre, a to złe;

podług jego rozumu to jest mądre, a to głupie; podług jego uczucia to jest piękne, a to brzydkie, to szlachetne, a to nizkie. Czytelnikowi wolno nie iść za jego zdaniem, ale jemu wolno zdanie mieć i wypowiedzieć.

Idę dalej i mówię, że to jest nietylko prawem piszących, ale ich powinnością. Niewolno im, nie godzi się, zmieniać, naciągać, przekręcać, fałszować. To jest zasadą i przykazaniem w pracy naukowej. Ale mieć sąd i wydać go jest dozwolone, godziwe, a nawet obowiązujące. Istotą i celem naukowej pracy jest prawda: ale prawda nie jest abstrakcyą, ideą, unoszącą się gdzieś wysoko w obłokach. Gdyby taką była, nie dałaby się ani poznać, ani zużytkować. W przystosowaniu tylko, i przez nie, my, ograniczeni ludzie, możemy prawdę poznać, ją zrozumieć, nią się przejąć i z niej korzystać. Największe odkrycia przyrodników wtedy dopiero i przez to mają całą swoją wartość i wagę, kiedy zostały zastosowane do potrzeb życia i nauki. Bez tego zostałyby prawdami martwemi, bez użytku i ceny. Z odkryciami i prawdami umysłowemi, na polu czy historyi, czy filozofii, czy wreszcie krytyki literackiej, jest tak samo. Przystosowanie prawdy do pewnego zjawiska (faktu czy dzieła), czyli sąd objawiony i należycie poparty o fakcie czy dziele, zbliża teoretyczną abstrakcyjną prawdę do rzeczywistości, czyni ją przystępną, zrozumiałą i pożyteczną.

To na wytłómaczenie starego stanowiska, którego się trzymam. Stare jest, to prawda, ale nie przestarzałe. A że tak stare i tak trwałe, to wskazuje i dowodzi, że musi jednak być w niem coś zgodnego z naturą ludzką i z naturą nauki.

Uważam jeszcze za potrzebne wytłómaczyć, dlaczego nie mówię o stanie szkół i nauk. Miałem na celu

Historyę Literatury tylko, nie historyę oświaty w Polsce; stan szkół zatem nie wchodził w zakres mego zadania. Kiedy zaszłe w nim zmiany, wywoływały zmiany dobre lub złe w piśmiennictwie, wypadało te wspomnieć i zaznaczyć, ale też to i wystarczało. Co się zaś tycze nauk, to te w większości swojej (przyrodnicze, teologiczne, filologiczne, prawne, lekarskie i t. d.) są z natury swojej kosmopolityczne; przez Polaków choćby najznakomitszych uprawiane, one dają miarę oświaty i nauki w Polsce w pewnym czasie, ale nie są pomnikiem i wyrazem polskiego ducha i usposobienia, polskich uczuć, pojęć, lub dążności w tym czasie. Nie mówiąc już o tem, że ktoby chciał o stanie i losach różnych nauk mówić, musiałby sam te nauki znać, wzgląd powyższy wystarcza do wytłómaczenia, że o nich nie mówię. Przypominam tylko, że tak samo robią wszystkie, jakie znam, Historye Literatury obcych narodów.

Co w tej jest błędnego, to inni poprawią i sprostują; dopełnią czego w niej brak. Dziś niech ona idzie w świat, jaka jest, na znak wdzięczności i miłości swego autora dla Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oby na pożytek nauki i czytelników.

UWAGA DO TOMU PIERWSZEGO.

Pisarzy politycznych i Kochanowskiego obrobiłem obszernie w osobnych książkach. Jeżeli łaskawy czytelnik osądzi, że ta część Literatury XVI wieku w książce niniejszej traktowana jest zbyt krótko, niech zechce zajrzeć do tamtych.

ROZDZIAŁ I.

(do wieku XVI).

I. Późny początek literatury polskiej. Jego powody. Wieki Piastowskie. Stan polityczny. Stopniowy postęp oświaty. Odrodzenie Polskiego Państwa. Kazimierz W. Połączenie z Litwą. Wzrost polityczny. Uniwersytet. Wzrost nauk i oświaty. Pierwsze oznaki humanizmu. Grzegorz z Sanoka. Zbigniew Oleśnicki. II. Zwrot w stanie politycznym i umysłowym. Jego ślady w dziełach pisanych. Paweł z Brudzewa. Ostroróg. Długosz. Język. Polska w końcu XV wieku.

I.

Późny początek literatury polskiej. Jego powody. Wieki Piastowskie. Stan polityczny. Stopniowy postęp oświaty. Odrodzenie Polskiego Państwa Kazimierz W. Połączenie z Litwą. Wzrost polityczny. Uniwersytet. Wzrost nauk i oświaty. Pierwsze oznaki humanizmu. Grzegorz z Sanoka. Zbigniew Oleśnicki.

Dziejów literatury polskiej nie możemy rozpocząć od zamierzchłych przedchrześcijańskich czasów: ani będziemy śledzili w dzisiejszej znanej nam poezyi ludu, jakie w niej są pierwiastki i pozostałości, sięgające jeszcze pogańskiego i słowiańskiego, przedchrześcijańskiego i przedpolskiego stanu naszego narodu. Ani od tej chwili dzieje te datować będziemy, kiedy zorganizowane po raz pierwszy rycerstwo świeżo zorganizowanego państwa odezwać się miało, jak chce legenda, bojową pieśnią do Boga-Rodzicy; ani nawet za początek literatury polskiej nie weźmiemy tych czasów, kiedy przyjezdny, obcy kronikarz, spisywał pierwszą kronikę polskich bojów Krzywoustego bohatera; ani tych nawet, kiedy zachodnim obyczajem mnich Polak, zaczął pisać po łacinie, co z dziejów zasłyszał lub pamiętał. Ani te echa historycznych jakichś pieśni, które doleciały jeszcze do uszu kronikarzy XVI wieku, a do nas dostały się w urywkach, jakie oni zapisali, ani pierwsze tłómaczenie Pisma św., Psałterze Małgorzaty i Biblie Zofii, nie będą dla nas tym pierwszym milowym kamieniem, od

którego się droga naszej literatury poczyna i liczy. Poezyi ludu w jej kształcie ówczesnym nie mamy; dzisiejsza może dać pole do mozolnego, ale dowolnego zawsze, a zatem wątpliwego dociekania, domyślania się, które z niej cząstki i atomy mogłyby dać się odnieść do pierwotnej natury i pierwotnej przedchrześcijańskiej cywilizacyi, ale nie daje nam prawa mówić o przedwiecznej jakiejś samorodnej instyktowej poezyi. Mówić o literaturze bez żadnego materyalnego widomego przedmiotu, bez żadnego dzieła, a choćby tylko fragmentu, choćby śladu dzieła, byłoby rzeczą marną, tak samo jak gdyby bez znanych faktów, nawet bez podań i legend, chciał kto odgadywać bieg jakiejś historyi, która była może, ale znikła bez śladu i bez pamięci. Podanie o rycerstwie, śpiewającem Boga-Rodzicę, jest wskazówką zapewne, jest nawet dowodem pewnego historycznego, politycznego i cywilizacyjnego stanu. Ale ta wskazówka nie wskazuje bynajmniej, a tem mniej nie dowodzi zarodów piśmiennej literatury. I tak samo nie dowodzi ich kronikarz, sporadyczny wyjątek, obcego pochodzenia do tego, który spisuje wyprawy i zwycięstwa ulubionego książęcia. A nawet gdy o wiele, wiele później, weźmie się do pisania kroniki rodowity Polak, Kadłubek, to i on dowiedzie tylko, że cywilizacya, że potrzeba pisania i spisywania dziejów, zrobiła przez ten czas pewien postęp, że się udzieliła rodowitym mieszkańcom, ale i on nie będzie znakiem poczynającej się literatury, bo będzie znowu sporadycznym wyjątkiem, bez towarzyszy i następców, bez ciągłości, początkiem jakimś, ale bez dalszego ciągu: zatem nie bez znaczenia dla historyi, skoro jakieś wiadomości podaje, ale bez znaczenia dla historyi literatury, bo nie ma tej historyi, nie ma literatury bez ciągłości, bez nieprzerwanego następstwa piszących. Są to zapewne oznaki, że literatura powstać tu kiedyś może, ale to nie literatura, nie jej początek nawet. I tak samo te ułomki pieśni w polskim już języku, albo te choćby późne

przekłady Pisma św.; dla historyi języka są zabytkiem bardzo ważnym i ciekawym, dla historyi literatury nie: bo jedne są tak skąpe i drobne, że ani treść ani forma ich rozpoznać się nie daje, a drugie są tylko przeniesieniem w swój język treści i formy, wziętej zkądinąd.

Wieki zatem przechodzą, wiele wieków, od chrztu Mieczysława aż do chrztu Jagiełły, i dużo jeszcze dłużej, a o polskiej literaturze mówić nie mamy prawa. Literatura jest, kiedy albo w ustnem podaniu utrzymują się powszechnie i długo jakieś jej we własnym języku dzieła (jak niemieckie Zagi), albo kiedy naród jakiś zaczyna pisać we własnym języku, i to nie jeden raz, nie jeden człowiek, nie przypadkowo, ale stale, z potrzeby pisania wielu ludziom świadomej; i nie o jednym przedmiocie, ale w szerokim i coraz szerszym zakresie wszystkich przedmiotów, jakie obejmuje czy myśl ludzka, czy nauka, czy życie osobiste i zbiorowe.

Z tego wynika, że u nas literatura zaczyna się naprawdę aż w XVI i to dobrze w XVI wieku, bo przedtem są tylko jej zarody i pierwiastki. Późno to bardzo, i Polak, który się nad tem zastanowi, który sobie przypomni, jak od gockich jeszcze czasów ciągnie się nieprzerwanem pasmem literatura niemiecka, a od saksońskich, jeżeli nie celtyckich, angielska, jak literatury ludów romańskich miały już za sobą długą historyę, długi szereg zmian, a nawet epok, i niejedno imię wielkie po wszystkie wieki, kiedy on jeszcze pisać nie zaczął, nie myślał, na pierwsze wrażenie czuje się upokorzonym i gotów się wstydzić. Ale niema czego. On jest młodszy od ludów zachodnich, on później na świat historyczny przyszedł, on prócz tego mieszkał w najdalszym zakącie tego europejskiego świata i najpóźniej promienie światła odbierał, i ta „młodszość jego cywilizacyi," którą Szujski niejedną zagadkę jego dziejów tłómaczył, była też powodem, że nie mógł mieć przekładu Biblii współczesnego Ulfilasowi, ani słyszeć pieśni Trubadurów i Minnesingerów, ani pragnąć i rozumieć Sonetów

Petrarki, Nowell Boccacia, tem mniej Boskiej Komedyi Dantego.

Z tego późniejszego początku i z tego geograficznego położenia Polski wynikało, że jej historya musiała mieć inny charakter, jej życie, jej potrzeby — inne warunki, jej walki — inne skutki, aniżeli na Zachodzie i Południu. Tamte narody starsze nietylko wychowywały się dawniej, ale chowały się równocześnie, równym krokiem; jak uczniowie w jednej klasie, tak one były mniej więcej na jednym stopniu cywilizacyi pod względem czy prawa, czy politycznej i społecznej organizacyi, czy nauki, czy obyczaju. Kiedy między nimi zdarzały się wojny, to skutki tych wojen były polityczne tylko, mogły zmienić stosunek sił, ale nie były cywilizacyjne, nie mogły zmienić ani obniżyć poziomu cywilizacyi. U nas było inaczej. Już pierwszy zaród przyszłego państwa za Mieczysława musiał na dwie strony prowadzić walkę o byt: strzedz się losu Słowian nadelbiańskich, pochłonięcia przez silniejszy i wykształceńszy organizm Cesarstwa Niemieckiego, i zarazem opędzać się dzikszym od siebie sąsiadom od północy i wschodu. Przyjęciem chrześcijaństwa zabezpieczył się Mieczysław na obie strony; zachodnim nieprzyjaciołom odejmował pozór napaści i podboju, przeciw wschodnim zwracał się silniej oparty o cały zachodni europejski porządek rzeczy. A krok ten był tak mądry i tak się poszczęścił, że już następca Mieczysława mógł się rozpętać z tej zależności, którą ojciec przyjąć musiał, włożyć koronę, i stać się nietylko głową państwa, lecz na wszystkie strony potężnym, groźnym, zdobywczym. Ale Chrobry u nas, jak Karol W. na Zachodzie, zanadto swoje społeczeństwo wyprzedził, i stworzył porządek rzeczy, którego ono bez tej genialnej głowy utrzymać nie mogło: wzmocnione wprawdzie, zorganizowanej lepiej, podniesione na wyższy stopień, po jego śmierci znalazło się przecież w podobnem jak dawniej położeniu, w konieczności ustawicznej obrony pomiędzy Cesarstwem z jednej strony,

a mniejszymi sąsiadami Czechami, Rusią, Jadźwingami, Prusakami i Pomorzanami z drugiej. Z przemiennem szczęściem, z chwilowymi przestankami, walka ta toczy się bez ustanku: każda wojna z Niemcami i Czechami jest obroną indywidualności i odrębności słabo jeszcze zakorzenionego państwa i niedokształconego narodu; każda wojna z Rusią, Prusakami i Pomorzem jest obroną cywilizacyi już nabytej i posuniętej ku wschodowi, nie daje jej cofnąć i odepchnąć z obwodu ku środkowi, z którego wyszła. Naturalny, z całego ówczesnego pojęcia i stanu prawa i państwa wynikający podział terytoryum między synów Krzywoustego, pogorszał to położenie nowem i największem niebezpieczeństwem, rozdzieleniem sił, nieuniknionem współzawodnictwem, wojnami domowemi, i przymierzami to z tym to z owym niebezpiecznym sąsiadem, które służyć miały interesom tej lub owej piastowskiej dzielnicy, ale szkodzić musiały jedności i niezależności politycznej, przyszłości narodu i państwa. Cywilizacya jednak nie cofała się w tym okresie czasu owszem, szła naprzód. Pod wpływem Kościoła, dawnej Bolesławowskiej tradycyi i wzoru sąsiednich niemieckich urządzeń, kształciły się prawa, wyrabiały i ustalały się siły i wpływy społeczne, zaludniały się potrochu przestrzenie, osadzały się i budowały się miasta, układały się warstwy ludności. Jak trąba powietrzna spadły na to wszystko napady tatarskie i wywróciły wszystko niemal, co było na powierzchni. Ale korzenie, szczęściem, były już dość głębokie i silne. O politycznej wielkości, o połączeniu rozdrobnionego terytoryum Polska ówczesna myśleć nie może; ale jej praca cywilizacyjna idzie krok w krok za ustępującymi Tatarami, i gdzie oni zostawili pustkowia i zgliszcza, stara się sprowadzić, zwabić, osadzić człowieka, czy szlachcica na większym, czy kmiecia lub sołtysa na mniejszym kawałku ziemi, czy Niemca mieszczanina, rzemieślnika, kupcą, w powstającem z gruzów mieście, czy zakon wreszcie, który nadaną sobie ziemię miał uprawiać i osa-

dzać, a przyległą sobie ludność moralizować, cywilizować, nawet uczyć czytać i pisać.

Ta praca cywilizacyjna XIII-go wieku w warunkach trudnych i nieszczęśliwych nie ustaje, nie daje się przerwać, nie cofa się, ale idzie naprzód w różnych kierunkach, i przygotowuje, umożebnia postęp polityczny, restauracyę państwa. Że wiek takich wypadków i stosunków, nie stworzył, nie począł literatury, temu nikt dziwić się nie ma prawa. A jednak i w tym kierunku zrobił on krok naprzód, pierwszy uczuł potrzebę dziejopisarstwa, wydał pierwszego kronikarza Polaka. Ogół przecież, ogół nie prostego ludu, ale bogatszych i znaczących, oczywiście nie mógł być dość rozwiniętym, dość myślącym na to, by mógł wydawać pisarzy i piśmiennictwo. W duchowieństwie i na książęcych dworach musieli z pewnością być ludzie, stopniem cywilizacyi zbliżeni do sąsiednich Niemców lub Czechów, niektórzy już jeździli po naukę do Włoch, w Bolonii składali niebawem osobną nacyę. Ale większość tej warstwy, z której wyszedł późniejszy senat i późniejsza szlachta, nie ma jeszcze tej refleksyi, która jest początkiem świadomości, a za którą dopiero idzie popęd i potrzeba wypowiedzenia tego, co się myśli lub czuje, chce albo wie. Społeczeństwo w tym stanie piśmiennictwa jeszcze wydać nie może. Wyszło już z tego wieku i stanu, w którym powstają prawie bezwiednie samorodne, naiwne, ustne literatury; na pisaną jest jeszcze za młode. Zaczyna jednak wyrabiać pieśń pobożną, kazanie, modlitwę. Prof. Brückner przypisuje ten postęp głównie zakonowi Franciszkańskiemu, a z Sącza, z klasztoru błogosławionej Kingi, wyprowadza rozszerzenie się pieśni kościelnych polskich. Jej także przypisuje powstanie tej *Bogarodzicy*, która stała się hasłem bojowem, a w której widzimy zawsze pierwszy zabytek polskiej pieśni.

Przyszedł wiek XIV, z nim początek końca wieków średnich. A jak poczynał się nasz nowy świat po-

lityczny i społeczny, tak rozwijać się zaczął z zarodów i nasz świat umysłowy, naukowy, filozoficzny i literacki. Jak król w rodzaju Filipa Pięknego był poprzednikiem i zwiastunem takich jak Ludwik XI i jemu podobni założyciele późniejszego monarchizmu, tak Petrarka znowu był poprzednikiem i zwiastunem późniejszego humanizmu. Ten świat, który w drugiej połowie XV dojrzał i objawił się zupełnie, począł się w początkach XIV-go.

I u nas także różni się on bardzo od poprzedniego i rozpoczyna epokę nową, politycznego wstępnego działania, dążenia do zjednoczenia terytoryum, do wskrzeszenia państwa. Przywalona przeciwnościami, sparaliżowana podziałem, żyła przecież pamięć dawnego Piastowskiego państwa, pragnienie jego restauracyi, poczucie tej restauracyi jako swego prawa. Nikt nie był dość silnym, żeby do tego celu dojść, a nawet do niego śmiało dążyć; ale w każdem prawie pokoleniu Piastów znajduje się taki, kto tę tradycyę i tę dążność reprezentuje, komu spać nie daje utracona korona naddziadów. Kiedy po Tatarach ten kraj odetchnął nieco, kiedy schodziły z pola Jadźwingi, Pomorzany i Prusaki, kiedy Ruś była osłabła i w rozkładzie, a Litwa w podziałach także i zajęta swoim wielkim wrogiem Krzyżakiem, kiedy cesarstwo osłabłe także od śmierci Rudolfa, zatrudnione wewnętrznemi niemieckiemi i włoskiemi sprawami, nie mogło czujnie śledzić tego, co się działo na jego wschodnich granicach, wtedy przyszła pora, że wspomnienia i marzenia Piastowiczów mogły się stać praktycznem dążeniem i działaniem. Poznański Przemysław już przez chwilę ma koronę na głowie: zaraz po nim zdaje się, że słabe i małe państwo o własnych siłach ostać się nie zdoła, że może tak będzie istniało przy Czechach pod ich osłoną jak w swoim czasie Litwa przy Polsce: aż wreszcie znajduje się człowiek zdolny uchwycić, wyobrazić i wykonać dziedziczną myśl zjednoczenia

i królestwa, i zaczyna się to, co Szajnocha pięknie nazwał Odrodzeniem Polski za Łokietka.

Małe to było Królestwo, narażone ze wszech stron na niebezpieczeństwa i niepewne jutra, ale było. Księstw różnych zostało wiele, ale pośród nich i nad niemi stanęła na nowo Polska. Chodziło o to, by ją utrzymać i zabezpieczyć. A zatem zgoda od wschodniej granicy, zgoda z Litwą; a wojna na zabój i przez całe życie z zachodnim nieprzyjacielem, z Krzyżakiem, który Pomorze osiadł, Kujawy trzyma, Mazowsze buntuje, Wielkopolskę najeżdża i łupi. Ta wojna to wielkie dzieło króla, szlachty, duchowieństwa, obudzonej samowiedzy i myśli polskiej, dzieło okupione niejednem folgowaniem wewnętrznem, a nie dokonane, nie uwieńczone zwycięstwem stanowczem. Korzyść polityczna, odniesiona przez Łokietka, była ogromna, ale była niepewna zawsze i potrzebująca ustalenia.

Przyszedł Kazimierz, i jak niegdyś protoplasta rodu Mieczysław, powiedział sobie, że trzeba podleźć, gdzie przeskoczyć nie można. Zrzekł się pretensyj do Szlązka, zrzekł się walki z Zakonem, ustąpił mu wydartych ziem, na wojnę i zwycięstwo nie czuł się dość silnym. Na to trzeba było większego, rozleglejszego państwa, szerszej podstawy; i dlatego, by ją zyskać, by się na niej rozeprzeć na Rusi, poddaje się niekorzystnemu pokojowi z Zakonem, a o Węgry Polskę opiera, królowi węgierskiemu ją przekazuje, na to, by kiedyś, w przyszłości to „wielkie państwo mogło wziąć odwet na Niemcach. A pamiętajmy, że jakiekolwiek były rządy Ludwika, wiodły one do rządów Jadwigi, do połączenia z Litwą, do Grunwaldu." (Szujski: „Charakterystyka Kazimierza").

Była więc Polska nie materyalnie tylko połączona, ale organicznie złożona, występująca z wszelką świadomością swoich celów i swoich środków, ze znacznym tych środków zasobem; występowała po raz pierwszy od Chrobrego z tak świadomą siebie i w zewnętrzne

stosunki sięgającą polityką. Była państwem, i przez przyłączenie Rusi państwem dużem; była społeczeństwem, i weszła przez Kazimierza energicznie i czynnie w kolej europejskiej cywilizacyi. Założony w Krakowie (acz nietrwały) zawiązek późniejszego uniwersytetu jest jednym, ale znaczącym szczegółem w tej pracy.

Ten postęp polityczny i cywilizacyjny wydaje się, a poniekąd jest, powstrzymany za Ludwika. Zależność od obcego króla, sposoby którymi on władzę swoją w Polsce utrzymuje, warunki za które otrzymuje przyznane następstwo jednej z córek, odśrodkowe dążenia różnych części Polski, ośmielone obcymi rządami nadzieje i widoki różnych Piastowiczów, a wreszcie i najbardziej sprawa sporna między Polską a Węgrami o posiadanie Rusi, sprawa dla Polski żywotna, wszystko to złe strony i złe skutki tego węgierskiego połączenia i panowania. Ale złych skutków było mniej, niż być mogło, i słusznie bardzo ratuje Szujski polityczną reputacyę Polaków, otaczających Ludwika, kiedy mówi że „trzymali się oni Ludwika, dogadzali mu, podzielali opinię Kazimierza W-go, że Polska pod egidą potężnych Węgier jest bezpieczniejszą; obiecywali sobie, że otrzymawszy kiedyś córkę królewską, męża jej sami wybiorą. Ale widzieli złe Ludwika, widzieli oderwanie Rusi, zamykali drogę Węgrom, chcieli, żeby Polak tylko mógł być urzędnikiem królewskim." Czyli, pod obcym królem, a może wbrew jemu, bronili całości państwa i bronili polskości rządu.

Rozum polityczny społeczeństwa polskiego, który za Kazimierza występować nie miał potrzeby ani sposobności, który się dopiero uczył i kształcił — teraz zaczyna objawiać się i działać samoistnie a jak się rozwijał, jak rósł i jak działał, to się pokazało po śmierci Ludwika.

Małżeństwo Jadwigi było takim politycznym pomysłem, tryumfem i arcydziełem, jakiemu równego hi-

storya polska nie ma do pokazania. Ta walka na dwie strony, ta obrona cywilizacyi zachodniej przed Wschodem i zabezpieczenie siebie samych przed Zachodem, która była przeznaczeniem i zadaniem polityki polskiej od Mieczysława aż do Kazimierza, ta wzięła obrót taki, o jakim Łokietek ani Kazimierz nie marzył. Chrześcijaństwo i cywilizacya posuwały się na daleki Wschód, od którego na teraz niczego obawiać się nie mogły, skoro przyjęła je Litwa; Ruś opierać im się nie mogła. Krzyżakom odrazu odjęło się racyę bytu, a ich drapieżnej nawale na Wschód, pozór. Z małego państwa Łokietkowego, z większego, lecz jeszcze nie utrwalonego Kazimierzowego, tworzyło się państwo, jakiemu równego nie było na Północy i Wschodzie, państwo, którego słabą stroną i nieszczęściem było chyba to, że wewnętrzna siła, że zasoby ludności i skarbu nie zupełnie wystarczały ogromnej przestrzeni. Ale ta słaba strona nie odrazu widzieć się dała, odrazu zaś widocznem było, że zmienił się stosunek sił w Europie; że to państwo polskie, dotąd w obronnem tylko stanowisku trzymające się ostrożnej i skromnej polityki, zaczyna znaczyć i ważyć w losach państw ościennych; że ta Polska, która omal że nie stała się przyczepką do czeskiej, a później do węgierskiej korony, teraz góruje nad Czechami i Węgrami, im daje podporę, daje (a czasem odmawia) królów, i na tem polu przez wiek cały prowadzi i wytrzymuje współzawodnictwo z rosnącym także domem austryackim. Czy było jej winą czy też koniecznością, że z tego pola zeszła, że tej wielkiej ambicyi zrzekła się w wieku XVI? Zawsze to pewna, że w XV ona jest i chce być mocarstwem w całem tego słowa znaczeniu, a Czechy, które się proszą o unię Polską, Węgry które polskiego króla powołują na swój tron, jak niedawno jeszcze Polska węgierskiego, a ten król polski, który trony sąsiednie synami swoimi osadza, to horyzont polityczny tak szeroki i wspaniały, jak się drugi raz przed nami nie roztoczy. Otworzył go ślub Jadwi-

gi, a rozszerzył Grunwald. I to jest pod względem politycznym zenit, punkt kulminacyjny, na którym świetny i sławiony wiek XVI już nie stoi. Politycznemu wzrostowi zaś odpowiada i towarzyszy cywilizacyjny postęp; jeden i drugi wyprzedza rozwój, a nawet początek polskiego piśmiennictwa, do którego jeszcze daleko.

Daleko; ale jego popęd, jego *spiritus movens*, poczyna się teraz, a z horyzontem politycznym rozszerza się także horyzont myśli i wiedzy. Literatury niema, ale skromna i rychło zaniedbana Kazimierzowska szkoła, zamienia się w tę *universitas*, która nas do literatury usposobi, wykształci i przygotuje.

Że społeczeństwo zdolne było cel uniwersytetu spełnić, i że on miał w sobie warunki życia, dowodzi to, że w przechowanych nazwiskach profesorów, najwięcej znajduje się nazwisk polskich. Sprowadzano sławnych cudzoziemców w początkach, jak ich sprowadzano jeszcze w XVI wieku, dla ozdoby, dla chwały, dla wielkiej w tym lub owym przedmiocie nauki: ale znajdowano na miejscu ludzi do obsadzenia licznych i rozmaitych katedr, znajdowano matematyków i lekarzy, filologów i kanonistów, komentatorów Cicerona lub Virgiliusza, i nadewszystko komentatorów św. Tomasza i Arystotelesa Już w najpierwszych latach katedry osadzone są Polakami, którzy się uczyli, a niektórzy nawet nauczali, w Pradze; Czechów rodowitych niewielu. Szlązaków więcej, ale główny zastęp jest rdzennie polski, a nawet miejscowy, krakowski i mieszczański. [1])

Ale jacy byli ci nauczyciele Polacy? Z ich owoców ich poznać. Ci matematycy, naprzykład, którzy wykształcili Kopernika i rozwinęli jego zdolność genial-

---

[1]) Morawski. „Historya Uniwersytetu Jagiell." T. I. Roz. II.

ną, musieli sami mieć zdolność, rozum i naukę. Świadectwa pisane cudzoziemców i ich stały a wielki napływ do Krakowa dowodzą przecie także, że nauka, jak ją w owym wieku w Europie pojmowano, musiała tutaj być udzielaną dobrze. Obecność mistrzów krakowskich przy soborach i traktatach była może tylko hołdem, oddanym nauce i Akademii, a nie ich osobistej zdolności? Ale gdyby tak było, to ci obecni na soborach doktorowie, mimo obecności, nie byliby na nich grali roli znaczącej, nie byliby zabierali głosu stanowczego w sprawach, obchodzących świat cały, jak sprawa *an Papa supra concilium an concilium supra Papam*: nie byliby wygrywali przed niechętnym i uprzedzonym trybunałem Papieży i cesarzów spraw tak trudnych, jak sprawa Polski przeciw Krzyżakom.

W tej ich obecności na soborach, w tych ciężko pisanych traktatach, czy o kwestyach teologicznych, podówczas wstrząsających światem, czy o kwestyach więcej świeckiej i politycznej natury, jest znowu dowód, że ta nauka ówczesna, którą wyobrażamy sobie oderwaną od świata, że ona właśnie przeciwnie chciała i umiała należeć, mieszać się do całego historycznego życia, być mu potrzebną.

Organizacya uniwersytetu w głównych zarysach była od Jagiełły ta sama, co dziś, ta najlepsza podobno, naturalna i racyonalna, oparta na czterech głównych kierunkach i zakresach nauki i wiedzy, a na czterech tym grupom nauk odpowiadających wydziałach. W nauce samej, w metodzie, i urządzeniach zmieniło się od tego czasu bardzo wiele; ale w podstawach organizacyi i w zwyczajach dzisiejszych, przechowało się tyle jeszcze ówczesnego, tradycyjnego, że w niejednym ich przepisie lub zwyczaju poznaje się ten sam, którego my się trzymamy.

A skutki tego uniwersytetu? Czyż trzeba je tłómaczyć? On dopiero stał się węzłem żywym pomiędzy Polską a europejską oświatą i nauką. Przed nim

był związek przypadkowy i powolny przez jednostki; teraz przez niego zaprowadził i ustalił się związek nieustanny między nauką, jaka była na Zachodzie i Południu, a coraz nowemi następującemi po sobie warstwami ludności polskiej. Nie mówiąc o szkołach niższych, od uniwersytetu zależnych, które się po kraju mnożyć zaczęły, ale sama tylko rozchodząca się po kraju liczba ludzi choćby nie uczonych, ale już wykształconych, musiała zmienić fizyognomię i podnieść umysłowy poziom społeczeństwa. A jak uniwersytet ściągał do siebie uczniów Węgrów albo Niemców, nauczycieli, bądź powołanych, bądź szukających miejsca i powodzenia z nad Dunaju i Renu, z nad Tybru a nawet czasem i Tagu, tak na odwrót Polak zamożniejszy, rozciekawiony, zajęty nauką w Krakowie, szedł jej szukać tam, gdzie spodziewał się znaleźć jaśniejsze jeszcze i silniejsze jej ogniska, do Włoch, do Paryża, i wracał z głową otwartą na inne polityczne, naukowe i nawet towarzyskie stosunki, wypolerowany tem przetarciem się w świecie, rozmiłowany w tej wyższej cywilizacyi, której zakosztował, i pragnący jej coraz więcej, potrzebujący jej w życiu. Zaczął się teraz na wielką skalę ten związek, to wychowanie Polski w zachodniej cywilizacyi, która dzięki Bogu uformowała jej charakter, jej dzieje, i wybiła na niej swoje piętno tak silnie, że go nic zatrzeć nie zdoła. Rozpoczął niegdyś to wychowanie Polski dla cywilizacyi Kościół, i on położył fundament pod cywilizacyjne działanie innych pierwiastków. Na tym fundamencie osadziła się później cywilizacya polityczna, państwo, prawo, i świadomość swoich stosunków, potrzeb i celów. Cywilizacya naukowa przyszła dopiero po tamtych; a za nią dopiero, jako jej skutek, zjawiła się, o wiele jeszcze później piśmiennicza. Ta zaś trzecia warstwa, to uzupełnienie cywilizacyi, nastąpiło przez uniwersytet krakowski. Jak dla państwa polskiego pod względem politycznym, tak dla niego pod naukowym i cywilizacyj-

nym był wiek XV najszczęśliwszą, najpiękniejszą epoką. Przy uroczystem otwarciu uniwersytetu 25 lipca 1400 r., kanclerz jego i biskup krakowski, Piotr Wysz, dziękował i winszował królowi, a mowę swoją (w zakończeniu pierwszej lekcyi prawa kanonicznego) zamykał wróżbą, że „Akademia ta póty stać będzie, póki się berło królewskie nie złamie.” Berło się złamało, a ona przecież stoi i służbę tę samą pełni, tem ważniejszą, tem potrzebniejszą właśnie, że tamtego berła niema, a pod jej wtedy nadanemi berłami, kształcić się mają pokolenia, zdolne być społeczeństwem i narodem: wyrabiać się mogą. Oby w podobnie jędrnym i zdrowym jak wtedy cywilizacyjnym i politycznym duchu.

Sława uniwersytetu w wieku XV zasadzała się głównie na kanonistach; później dopiero na naukach matematycznych. Ale jego charakter był przeważnie teologiczny; on sam pojmował się jako do tych nauk głównie powołany, dla nich stworzony; wydział, tym naukom poświęcony, miał pierwszeństwo i poniekąd wyższe stanowisko nad innymi.

Nie była przecież obcą cześć i uprawa literatury starożytnej, a ślady późniejszego uwielbienia starożytności, zarody tej zmiany, którą z czasem w naukach i w filozofii wywoła humanizm, daje się widzieć dość wcześnie. Musiał ten zapał dla autorów rzymskich i na nich opartego wykształcenia, nie tylko między uczonymi się objawiać, ale głęboko do ogółu przenikać, skoro już w kilka lat po założeniu uniwersytetu (1406) człowiek prywatny (Nowko profesor Akad. i proboszcz św. Wójciecha) funduje katedrę Retoryki, przeznaczoną głównie do wykładania Cicerona i Quintiliana; inna katedra poświęcona była łacińskiej gramatyce: w połowie wieku już na dobre i stale, ale prawdopodobnie dużo wcześniej, tłómaczy się i objaśnia Virgiliusz, Horacy, Ovidiusz, Terencyusz i Plautus. Starożytność zajmuje coraz większe miejsce pomiędzy naukami, coraz

lepiej jest znaną, coraz bardziej podziwianą, a to znak, że czas niedaleki, kiedy ona wywrze swój wpływ stanowczy na naukę, na europejskie literatury, na filozofię, i wreszcie, ale nie najmniej, na same polityczne stosunki, na pojęcie państwa i społeczeństwa.

Ten w Europie rozwijający się, a u nas poczynający się kierunek, ma swego ciekawego reprezentanta, którego możnaby nazwać pierwszym w Polsce humanistą, a w każdym razie poprzednikiem humanistów. Grzegorz z Sanoka, nieprzyjaciel filozofii scholastycznej, tak tem swojem niezależnem stanowiskiem zadziwił naszych uczonych z końca XVIII i początków XIX-go wieku, tak się im wydał wyższym nad swój wiek i śmiałym, że w wielkim zapale uznali w nim prawie drugiego, a raczej pierwszego Bakona. Przesada jest oczywista i nie potrzebuje zbijania: nie można stawiać obok siebie dwóch ludzi, z których jeden dał początek nowej metodzie i wszystkim późniejszym systemom filozoficznym, a drugi dostrzegał tylko trafnie stron słabych filozofii sobie współczesnej, i wytykał je rozumnie, albo dowcipnemi słowy wyśmiewał. Bakonem Grzegorz nie był, ale był do późniejszego, młodszego od siebie humanisty włoskiego i niemieckiego już wcale podobny zapałem i ciekawością do nauk, namiętnem zamiłowaniem starożytnych, opozycyą przeciw dotychczasowej nauce, niezawisłością w myśleniu i swobodą w mówieniu, która nie była (u niego jeszcze) niedowiarstwem, ani nawet lekceważeniem, ale nie była już bez pewnego sceptyzmu. Podobny wreszcie do nich gustem nie tylko do czytania, ale i do pisania łacińskich poezyj, podobny satyryczną żyłką i ostrym językiem, podobny wreszcie ostrożnością, bacznością o siebie, dbałością o swoją wygodę i karyerę.

Ciekawy i chciwy nauki musiał być chłopiec, który w dwunastu latach uciekł od ojca do Krakowa i zaczął się uczyć. Nie miał o czem: konieczność szukania chleba pędziła go z miejsca na miejsce, z miasta

do miasta, aż daleko do Niemiec. Zarabiał na życie iako nauczyciel (często wędrowny, jakich pełno było zagranicą w tym i jeszcze w następnym wieku), uczył, gdzie się dało, a przytem uczył się, i przesiąkał podziwieniem dla starożytności, dla wyższej ogłady i cywilizacyi, i dla tego krytycznego zmysłu, który zagranicą budzić się zaczynał. Wrócił do Krakowa (może znowu w gonitwie za lepszym losem) i doczekał się lepszego losu. Jego nauka, znajomość autorów starożytnych, prawdopodobnie łacińskie wierszyki, a nadewszystko śmiała, zapewne słuszna krytyka sposobu wykładania i objaśniania autorów łacińskich, zwróciły na niego uwagę. Został bakałarzem Artium, uczył w Akademii, poszedł (jak się dziś mówi) na guwernerkę do bogatych paniczów, a ztamtąd wyżej, bo na magistra Artium i na nauczyciela samych królewiczów. A z tego został towarzyszem, doradcą podobno w sprawach politycznych i spowiednikiem króla Warneńczyka. Nie opuścił go do ostatka, podobno śpieszył na ratunek, kiedy go ujrzał w niebezpieczeństwie: ale się cofnął, jak mówi jego biograf panegirysta Kallimach. Przypuśćmy, że tylko dostać się do niego i ocalić go nie mógł.

Ale po śmierci króla, czemu on do Polski nie wraca, on, świadek naoczny, kiedy tam nie wiedzą, wątpią, kiedy ta niepewność przykra, a nawet szkodliwa? Czemu on, doradca zmarłego króla, a Kazimierza także nauczyciel, nie śpieszy do Polski, kiedy tam zamieszanie i wahanie? Czemu swoim rozumem nie próbuje na nie zaradzić? Czemu nie stara się wpłynąć na Kazimierza i dopomódz do ukończenia Bezkrólewia? Siedzi kilka lat na Węgrzech. Dobrze mu tam, wygodnie? Czy nie był czasem wygodnym, o siebie dbałym, a na resztę obojętnym egoistą, jak ogromna większość uczonych Greków i Włochów humanistów w drugiej połowie XV wieku?

Wraca po kilku latach: miany za zmarłego, przy-

jęty jest z wielką radością i posunięty na arcybiskupstwo lwowskie. Kardynał Zbigniew konsekruje go niechętnie; może nie podoba mu się to usposobienie świeckie i literackie, może instynktem przeczuwa w Grzegorzu ten zmysł krytyczny, niebawem tak niebezpieczny dla hierarchii, której był filarem i obrońcą. Czy Grzegorz nie jest prawowiernym, czy lekceważy religię i Kościół? Bynajmniej; zdaje się, że był i wierzący i pobożny, choć w obyczajach niezbyt podobno przykładny. A jednak z tych różnych maksym lub dowcipów, które przechował Kallimach, wieje już jakiś duch sceptyczny: naprzykład oburza się Grzegorz, kiedy kto mówi, że Bóg zsyła cierpienia na ludzi dobrych, żeby wypróbować i ustalić ich cnotę. To wytłómaczenie (w chrześcijaństwie po wszystkie wieki znane i przyjęte powszechnie) jego razi, wydaje mu się niedorzecznem, nie godzi się z jego pojęciem dobroci i sprawiedliwości Boga. Arcybiskup trzyma przy sobie i obsypuje łaskami wywołanego z Rzymu Kallimacha; nie przestrzega więc zbyt skrupulatnie solidarności z Głową Kościoła, a nie może sobie odmówić przyjemności rozmawiania i czytywania z uczonym, który zna doskonale pisarzy rzymskich i greckich. Do polityki się nie miesza, nie lubi jej, nudzi się nią, unika kłopotu i odpowiedzialności; ale kiedy sposobność objawienia swego zdania się nadarzy, to pokaże się, że on jest stronnikiem przewagi władzy królewskiej, i to w tej chwili, kiedy władza kościelna, zagrożona przez Kazimierza w swojem stanowisku, broni się z rozpaczliwem wysileniem. Kiedy czyta historyę, to także z obudzonym zmysłem krytycznym, i śmieje się z podań Kadłubka, a sam usiłuje dociec rzeczywistszych, podobniejszych do prawdy i do historyi początków polskiego narodu (choć ich nie znajduje). Wiersze łacińskie pisze źle, ale je pisać lubi i szuka z nich chluby. Wszystko to rysy właściwe nowoczesnemu już człowiekowi; już w nim jest ten duch pytania, ten kierunek

lekceważenia, sceptycyzmu, za którym przyjdzie z czasem duch przeczenia. Ducha sceptycyzmu przed nim chyba się w Polsce nie widziało.

Zbliżeni do siebie stanowiskiem arcybiskup lwowski i biskup krakowski, stoją jak reprezentanci dwóch różnych światów. Grzegorz, jako człowiek, jako uczony i jako duchowny, należy do nowego, poczynającego się; kardynał Zbigniew pojęciem życia, należy do kończącego się świata. Ale pojęciem i zamiłowaniem nauki wyprzedza ten świat i jest najczynniejszym, głównym krzewicielem oświaty w swoim czasie. Przez połączenie tych dwóch kierunków stoi na przełomie dwóch epok cywilizacyi, na przejściu z jednej do drugiej. Ostatni, najdzielniejszy ze wszystkich, reprezentant tej arystokracyi rządzącej, która od śmierci Ludwika do śmierci Warneńczyka trzymała ster państwa w swem ręku, Oleśnicki ma całą jej zdrową tradycyę polityczną, a zarazem całą jej zazdrosną namiętność władzy. Miał ją we krwi, w temperamencie, wyniósł ją z tej szkoły politycznej, a podniósł do wyższej potęgi przez to, że zajmował i duchowne stanowisko. Z przywiązania i z przekonania reprezentant interesów Kościoła, obrońca jego zwierzchniej władzy nad świeckim porządkiem rzeczy, Zbigniew, który jako świecki nie byłby ustępował i poddawał się, jako biskup tem mniej chciał i mógł ustępować, że istotnie w interesie Kościoła działając, identyfikował swoją politykę z bezpieczeństwem i nietykalnością zasady, tradycyjnego średniowiecznego stanowiska Kościoła Był to obowiązek, wzgląd sumienia; ale ten wzgląd przypadał doskonale do natury i do skłonności Zbigniewa, mieszał się z nią, a połączenie tych dwóch pierwiastków wydało dopiero tę konsekwencyę i tę miłość władzy, którą posiadał w stopniu niezmiernie u nas rzadkim. Polityk wielki, doskonały znawca interesów polskich, Oleśnicki pracuje całe życie nad tem, żeby zwierzchność władzy duchownej nad świecką utrzy-

mać; ale zarazem przestrzega zazdrośnie jak największej możliwej niezależności swojej i polskiego Kościoła wobec Rzymu. Popiera przez czas jakiś zasadę wyższości Soboru nad Papieżem, później stwarza tę ciekawą neutralność w tej kwestyi, której się Polska długo trzymała. Katolickiego charakteru Polski i rzymskiego w niej wpływu tak broni, że do Unii z Czechami nie dopuszcza, bojąc się zhusycenia Polski, i wiedząc, że to pociągnęłoby za sobą odrodzenie się krzyżackiej potęgi; o krucyacie przeciw Turkom marzy jak Pius II, i w węgierskim Warneńczyka tronie widzi do niej środek i pewne nadzieje zwycięstwa; przygotowaniem Unii Florenckiej pozyskuje Wschód dla Kościoła (zdawało się, że stale), słowem, wielki mąż w Kościele i wielki mąż stanu: ale broniąc w Polsce władzy kościelnej, broni i swojej.

A właśnie wypadł na czasy, kiedy władza świecka wyzwalała się w całej Europie, kiedy obiecywała sobie wziąć górę nad kościelną, kiedy na gruzach średniowiecznego układu stosunków, zaczęła się podnosić budowa nowoczesnej monarchii, nowoczesnego państwa. Dążność ta miała i w Polsce swego wyobraziciela, Kazimierza, i ztąd nieuniknione starcie. A kiedy do tego starcia przyszło, odezwała się w kardynale świecka, oligarchiczna polska żyłka i natura, i on, przez całe życie stróż i filar na władzy opartego porządku, przeszedł w opozycyę gwałtowną, dał przykład podkopywania powagi króla, przyczynił się do tej przedwczesnej emancypacyi poddanych, i przedwczesnego zbyt wielkiego ich wpływu, które sprawiły, że Kazimierz, nowoczesnej monarchii w Polsce złożyć nie zdołał, że państwo polskie nie zdołało nigdy zupełnie się wykształcić i dojrzeć. Pomagał do tej emancypacyi i król sam, w swoich znowu widokach; ale kardynał, zamiast z nim razem ubezpieczać władzę, podkopywał ją on także. Przeświadczony o słuszności i o politycznej zbawienności swojej zasady, Zbigniew sam

może o tem nie wiedział, ale przez oligarchiczną dumę i pasyę władzy, szkodził zasadzie tej władzy od chwili, gdy ona jemu wysunęła się z ręki. Robił to, co za Zygmunta III robił Zamoyski, co później, bez jego dobrej wiary, wielkiej myśli, i wielkiej zdolności, robiło w Polsce tylu, aż do ostatka. Uczony bardzo i o naukę dbały, pojmuje ją przecież tylko na teologicznej podstawie i o teologiczny charakter uniwersytetu dba najpilniej. A jednak, z zapałem nie mniejszym, owszem głębszym, czynniejszym, skuteczniejszym, niż Grzegorz, miłuje i krzewi odkrywającą się po wiekach starożytność. On sprowadza rękopisy, on rozszerza znajomość i cześć autorów rzymskich, przez to zakłada fundament późniejszej humanistycznej oświaty i literatury. Listy jego, a głównie do Eneasza Sylwiusza, dowodzą, jak był na wskroś przejęty tem nowem tchnieniem swojego czasu. Niemniej przecież średniowieczna jednolitość i jednostajność, wspólna kościelna podstawa wszystkich funkcyj i kierunków życia, jeden pień, z którego się te wszystkie gałęzie rozchodzą, ale od którego oddalić i odłączyć się nie mogą, i który je wszystkie tymi samymi żywotnymi sokami zasila; to jego ideał, to świat, jak on go pojmuje. A tymczasem świat rzeczywisty odbywał właśnie wielkie przeobrażenie i zaczynał kwestyonować wiele rzeczy, które w przekonaniu ludzi dawnego autoramentu nie podlegały pytaniom, nie przypuszczały dyskusyi. Każda z tych gałęzi zaczęła się czuć czemś odrębnem, każda chciała być sama przez się; każda dążyła do tego, żeby się od pnia oddzielić, zapuścić swoje korzenie i wyrość na nowe drzewo, dawnemu nie koniecznie przeciwne, ale od niego niezależne, różne, jemu współrzędne i równe. A kiedy całem swojem korytem buchnęła do Europy literatura i filozofia starożytna, kiedy Kościół, w najważniejszej dla siebie chwili, popadł pod koniec XV wieku w smutny stan upadku, nie dziw, że dawny świat wy-

szedł ze stawów, a co się wtedy zwichnęło, to się dotąd nastawić nie dało.

Ten świat nowy, którego jednym z charakterystycznych zwiastunów był Grzegorz z Sanoka, objawił się w Polsce naprzód nie na religijnym lub naukowym, ale na politycznym gruncie, pod formą dążeń Kazimierza Jagiellończyka do rozszerzenia i ustalenia monarchicznej władzy (dążeń, odpowiadających dobrze, choć bez takiego skutku, współczesnemu powstawaniu absolutnych monarchij na Zachodzie), i pod formą jego walki z władzą duchowną.

II.

Zwrot w stanie politycznym i umysłowym. Jego ślady w dziełach pisanych. Paweł z Brudzewa. Ostroróg. Długosz: Język. Polska w końcu XV wieku.

Na ten czas przejścia ze średniowiecznego do nowoczesnego świata, wypadają pierwsze dzieła, które do polskiej literatury śmiało już liczyć możemy. Nie są one jeszcze pisane po polsku (na takie jeszcze długo trzeba czekać), ale są to już dzieła: są z polskiej myśli i świadomej siebie dążności powstałe, dążność tę i cechę polską mają wyraźnie, a związek ich z ówczesnym stanem narodu jest najściślejszy, tak, że choć w obcym języku, są to już polskiego ducha płody i polskiego piśmiennictwa początki. Nie mamy zaś na myśli tych teologicznych lub filozoficznych traktatów, którym treść sama nadaje zawsze pewien charakter kosmopolityczny, ani tego co w przedmiotach ściśle naukowych ówcześni Polacy pisać mogli, bo nie o historyę nauki lub nauk nam chodzi, tylko o historyę literatury samej; takich więc dzieł szukamy, takie mamy na myśli, które do jej zakresu ściśle należą.

Pomijamy te wiersze łacińskie, które zaczynają się zjawiać, a im dalej, tem częściej. Nawet kiedy pisane przez Polaków, nawet kiedy odnoszą się do ja-

kiegoś współczesnego w Polsce zdarzenia albo człowieka, nie są one niczem innem jak próbą pióra, egzaminem z łaciny i wierszowania, który zapewne i piszącemu i czytającym musiał podobać się bardzo i imponować: ale wszystkie te wiersze były spowodowane tylko chęcią zrobienia czegoś, co robili Włosi albo Niemcy, i naśladowaniem tego, co się u nich widziało. Są to zresztą wiersze, pisane przy okazyi, z przypadku, przez ludzi zajętych czem innem; tacy zaś poeci, choćby nieudolni, którzy by łacińskie wiersze uważali za swoje główne zajęcie, a przynajmniej za swoją największą chwałę, poeci z profesyi, a przynajmniej z silnie rozbudzonego dyletantyzmu, zjawiają się dopiero pod koniec XV wieku.

Przed nimi zaś występują, a od nich nierównie więcej znaczą tacy, którzy piszą małe traktaty o bieżących kwestyach politycznych (dziś powiedzielibyśmy broszury), i dają początek naszej literaturze politycznej — nad nimi, jeżeli nie przed nimi, jest Długosz. — Pierwszem tego rodzaju pismem, jakie wykazać możemy, jest *Tractatus de potestate Papae et Imperatoris respectu Infidelium*, Pawła z Brudzewa, Pawła, syna Włodzimierza, jak się sam podpisywał, rektora krakowskiej Akademii. Traktat ten pisany był w roku 1415, dla Soboru Konstancyeńskiego, pod którego rozsądzenie król Władysław Jagiełło poddał sprawę Polski z Krzyżakami.

Traktat ten, złożony jest z dwóch części. Pierwsza mówi o władzy Papieża, druga o władzy cesarza nad niewiernymi; każda obejmuje jedenaście pytań i odpowiedzi, z których dopiero wynika praktyczna, obu częściom wspólna konkluzya, że Krzyżacy nie mają żadnego prawa do Litwy, bo podług nauki Kościoła Papież nie ma prawa nadawać komukolwiek ziemi niewiernych, którzy z chrześcijanami żyją w pokoju, a tem mniej może takie prawo mieć cesarz, który w wyprawach na niewiernych jest tylko narzędziem Papieża

i wykonawcą jego rozkazów. Wszystkie zatem mniemane nadania, jakiemi się Krzyżacy zasłaniają, są nieważne i żadne, a oni obowiązani są zwrócić wszystko, co nieprawnie zabrali i trzymają.

Traktat, pisany sylogistycznym sposobem, jest bardzo ścisły w rozumowaniu, bardzo silny w dowodzeniu. Mały, ale poświęcony sprawie w owym czasie największej wagi, jest ciekawym pomnikiem historycznym: przez sposób pisania, przez gruntowną naukę i przez rozumne przedstawienie sprawy, jest ciekawym pomnikiem ówczesnej oświaty polskiej i wcale zaszczytnym początkiem polskiej literatury politycznej.

Nie da się to już równie śmiało powiedzieć o następnem pisemku politycznej treści. Henryka z Brzezia *Tractatus contra Cruciferos Regni Poloniae invasores.* Pisany podczas wojny trzynastoletniej (prawdopodobnie w roku 1456), za cel główny ma dowodzenie, że duchowni nie powinni być pociągani do opłaty podatków na wojnę, jak to Zjazd Grudziązki był uchwalił. Nie odznaczający się ani dobrym sposobem pisania, ani szczególną bystrością, traktat ten przez to jest ciekawy, że tak wcześnie powstaje już na opieszałość i niedbalstwo w służbie wojennej.

Te dwa dziełka poprzedzają niejako trzecie, nierównie od nich ważniejsze, od którego zwykle datujemy początek naszej literatury politycznej, Jana Ostroroga kasztelana międrzyrzeckiego, a w końcu poznańskiego (* 1420 † 1501), *Monumentum pro Reipublicae ordinatione* [1]).

Ostroróg uważany jest za ojca naszej literatury politycznej, jego dziełko za ziarno niejako, w którem zamknięte są różne jej późniejsze pomysły i kierunki.

---

[1]) Wegner, Bobrzyński, Caro, Pawiński, Rembowski, zajmowali się szczegółowo tem dziełem i jego autorem. Pomiędzy wieloma kwestyami spornemi, była i ta, czy *Monumentum* pisane było przed Sejmem Piotrkowskim roku 1459, czy roku

Istotnie znajduje się w niem w zarodzie wiele uwag i żądań, które szerzej rozwinięte, powtarzać się będą przez cały ciąg wieku XVI i dłużej. Jak z czasem Modrzewski, tak teraz Ostroróg żąda jednego powszechnego prawa dla wszystkich, a zniesienia różnych praw i sądów (przedewszystkiem magdeburskich). Organizacya wojska jest ta sama, o jakiej ścisłe wykonanie dopominać się będzie Orzechowski i inni. O uporządkowanie skarbu woła on pierwszy, tak, jak wielu następnych. W postępowaniu sądowem żąda zmian, podobnych jak Górnicki. W tem jeszcze do swoich następców podobny, że o teoryę się nie troszczy, jest reformatorem empirycznym, i że nie domyśla się potrzeby silnej władzy rządzącej, wykonawczej, a przynajmniej takiej nie żąda.

Politycznie niezaprzeczenie rozumny, na swój czas nawet znakomity, Ostroróg widzi i wskazuje trafnie nie jedno złe w stanie ówczesnej Polski; naprawa, jakiej żąda, byłaby dla niej niewątpliwie korzystną, a może zbawienną. Ale historycznie, jako świadectwo i pomnik swego czasu, jest niezmiernie zajmujący i ważny. Widać w nim już rozwinięty, świadomy siebie patryotyzm, i dbałość troskliwą, zazdrosną, o niezależność korony polskiej i o jej godność. W odwiecznym, a za jego czasów w Polsce żywym, sporze między władzą duchowną a świecką, on stoi zawzięcie przy swoim królu. Przez to jest wiernym reprezentantem czasu i myśli Kazimierza Jagiellończyka i jego

---

1477. Za tą ostatnią datą oświadcza się Bobrzyński, z powodów, które, naszem zdaniem, są przekonywujące. Najnowsza praca d-ra Prochaski oznacza rok 1473 i uważa *Monumentum* nie za program istotnej naprawy, tylko za okolicznościowe pismo, w duchu dynastycznej i centralizującej polityki króla Kazimierza. Jeżeli istotnie tak jest, to niemniej urządzenia, jakich Ostroróg żąda, byłyby dla Polski korzystne, a jego dzieło ma wartość bardzo niezwykłą.

młodych senatorów. Ale na tem nie dość: zalatuje już od niego ta niechęć do Kościoła, która z czasem wybuchnie w Lutrze. Papież jest dla niego obcym Panem, któremu poddani króla polskiego — biskupi — posłuszeństwa przysięgać nie powinni. Chytre Włochy wyciągają pieniądze z całego świata, choć Bóg żąda od ludzi serca, nie pieniędzy. Apelacye do Rzymu w sprawach duchownych są zupełnie zbyteczne: prymas i biskupi polscy wystarczą na to, żeby każdą sprawę osądzić. Przez to wszystko, przez wpływ francuskich legistów z XIV wieku, na których się kształcił, przez dążność poddania władzy duchownej pod świecką, jest Ostroróg i wiernem odbiciem ówczesnej Europy, i wiernym wyobrazicielem nowych pojęć w ówczesnej Polsce. Przez dbałość o zewnętrzne różnice między stanami, o ścisłe odgraniczenie rang i tytułów, jest znowu ciekawym okazem ówczesnej arystokracyi polskiej, która niedawno jeszcze rządząca, a już w stanowisku swojem zachwiana, szuka sposobu na zabezpieczenie swego znaczenia. Nosi też na sobie dość wyraźne ślady wpływów zagranicznych, zwłaszcza francuskich, i charakterystycznej skłonności do zagranicznych wzorów i zwyczajów. Byłoby przesadą mówić, że w pojęciach swoich wyprzedza swój wiek, a w rzeczach politycznych jest umysłem genialnym: ale jest w swoim czasie reformatorem znakomitym, umysłem niewątpliwie wyższym, a dziełko jego pierwsze, poświęcone naprawie Rzeczypospolitej, zawiera wiele istotnych warunków tej naprawy. Gdyby niektóre jego pojęcia były się lepiej rozeszły i przyjęły, a jego pomysły organizacyjne były wprowadzone w życie, to w wieku XVI poprawa Rzeczypospolitej byłaby i mniej potrzebną i łatwiejszą.

Te pisma polityczne były pierwszemi, zrodzonemi już z czysto polskiej myśli, zatem pierwszemi, które już śmiało zapisywać można do polskiej literatury.

Historya Długosza jest najznakomitszem dziełem

pisanem, jakie nam wiek XV zostawił, najznakomitszem dziełem historycznem, na jakie się przeszłość nasza zdobyła, a zarazem, co do czasu, pierwszem znakomitem, jakiem się nasza literatura może pochlubić. Dziwne to, a może jedyne zdarzenie; zazwyczaj rzeczy, pisane z popędu uczucia lub wyobraźni, wyprzedzają o wiele te, które do powstania potrzebują dojrzałej refleksyi i sądu, poezya wyprzedza prozę, a zwłaszcza historyę. U nas, z powodów, których wytłómaczyć nie umiem, pierwszym wielkim pisarzem, jakiego naród wydał, jest historyk.

Czy Długosz, który po sobie miał wielu takich, co go okradali (mniemając, że poprawiali), ale nie miał takich następców, którzyby w jego ślady iść, a nawet dobrze go naśladować byli zdolni, czy miał jakich poprzedników? Czy wyjątkowy fenomenalny historyk wystrzelił niespodzianie bez widocznej przyczyny, lub też czy się u nas już przed nim na lepsze pojęcie i pisanie historyi zanosiło?

Kronikarzy mieliśmy oddawna. Każdy okres czasu może jakiegoś swojego wykazać. Ale wszyscy oni tak nieskończenie od Długosza niżsi, że tylko materyalnie chronologicznie jest on ich następcą; moralnego związku i pochodzenia dopatrzyć się nie można. Jeden jest przed Długoszem kronikarz niezwykły, zajmujący, w wiadomości bardzo obfity, rozumny i pełen bystrego i własnego sądu, to Janko z Czarnkowa. Tego możnaby uważać za praecursora i poprzednika Długosza, bo ten oznacza postęp i wyższy stopień w kronikarstwie. Ale większa jest odległość i różnica między nim a Długoszem, aniżeli między nim a dawniejszymi Gallami i Kadłubkami. Ale jeżeli nawet Janka za historycznego ojca i mistrza Długosza uważać nie można, to znowu nie można zaprzeczyć, że musiały przed Długoszem być u nas lepsze i szersze pojęcia o historyi i jej zadaniu, i pragnienie historyi lepszej. Nie były one oczywiście powszech-

ne, owszem, prędzej wyjątkowe, ale że były, na to są ślady wyraźne. Już ten zmysł krytyczny, z jakim Grzegorz z Sanoka wyśmiewa podania starego Kadłubka i prostować się je stara, jest takim znakiem czasu; szkoda, zaiste, nieodżałowana, że owa historya Warneńczyka, którą on napisał, zaginęła. W uniwersytecie czytano i komentowano Kadłubka, ale czy komentarze były językowe tylko czy też i historyczne także? W każdym razie, że Długosz nie był jedynym, który rozumiał i wiedział, czem historya być powinna, dowodzi list współczesnego mu Piotra z Bnina, biskupa kujawskiego, który Wiszniewski przytacza (Tom V, str. 13, 14), a w którym tenże krytykuje Kadłubka i żąda od niego pojęcia rzeczy i przymiotów, jakie właśnie posiada Długosz. Ten zaś? Niemała to chluba i pociecha widzieć cudzoziemców, przyznających, że cała Europa nie miała w wieku XV takiego, jak on, historyka. Jest to tak piękne, że aż się wierzyć nie śmie; i kiedy Mickiewicz (w „Kursach Lit. Słow.") porównywa Długosza z Commineuszem i przyznaje mu wyższość, posądza się Mickiewicza o poetyczną przesadę, albo o złudzenie narodowej miłości własnej. Ale kiedy zdanie to samo słyszy się od obcych, od historyków z zawodu, i to bardzo poważnych, a do tego niemieckich, zwykle nieskorych do przyznawania wyższości Polakom, wtedy można już nabrać śmiałości i wierzyć, że tak być musi. Porównanie to Długosza z historykami zagranicznymi, jego do tych stosunek i rodzaj jego nad tamtymi wyższości podaje w głównych zarysach Szujski („Opowiadania i Roztrząsania — Stanowisko Długosza" — str. 350, 351, 355, 356). Z charakterystyki tej wynika, że, jako pamiętnikarze i opowiadacze, historycy współcześni (i dawniejsi), zwłaszcza francuscy, mają więcej od niego talentu i wdzięku; ale że, jako historyk, Długosz jest głębszym od wszystkich, a najwięksi tylko, Commineus i Guicciardini, mają blizką i podobną wartość.

Że w tem przeobrażeniu, jakie się odbywało w wieku XV, Długosz należy więcej do dawnego, aniżeli do nowego świata, to aż nadto wiadome. Jego pojęcie historyi i obowiązków historyka jest wyższe, niż u wszystkich średniowiecznych kronikarzy w Europie, ale pojęcie życia, człowieka, świata, jest całe przejęte i wykształcone tym średniowiecznym ideałem religijnej jedności, posłuszeństwa dla Kościoła, zależności człowieka od Boga i jego przed Bogiem odpowiedzialności, wyższości względów moralnych nad praktyczne i utylitarne, jakich się u historyków młodszych, u Macchiavella, nie znajdzie. Człowiek ze szkoły Zbigniewa Oleśnickiego, przez niego wykształcony i ustalony w swoich wyobrażeniach i przekonaniach, nie mógł być innym i myśleć inaczej. Że jest takim, to na historyków późniejszych wkłada obowiązek, żeby to jego stanowisko mieli zawsze na uwadze, żeby nie byli jednostronnymi gdzie on jednostronnym jest, żeby podania jego uzupełniali gdzie tego potrzeba; jemu wartości to nie ujmuje, a powagi dodaje.

Ale tego ducha się trzymając, nie był Długosz ani ślepym ani obojętnym na stan i postęp nauki, i historyi w szczególności: a znajomość i zamiłowanie starożytności miał tak, jak młodsi od niego humaniści. Jeżeli lepiej i głębiej od nich rozumiał potrzebę zbierania i badania źródeł, jeżeli je usilniej i sumienniej poznawał, choć z nich nie zawsze trafne konkluzye wyciągał, i choć z drugiej strony podziałem, układem swego dzieła przypominał kronikarzy średniowiecznych, to na rzymskich niemniej się kształcił, i chciał pisać jak oni, Liwiusza sobie za wzór obierając, w czem niewątpliwie nie obeszło się bez wpływu Oleśnickiego, zapalonego wielbiciela starego historyka. Zmiana, jaka się odbywała podówczas w historyografii europejskiej, a we Włoszech poczęła się w XIII jeszcze i XIV wieku, udzieliła się Francuzom i Niemcom w XV, dotknęła i jego także.

Rozum że jest wielki i powaga charakteru, zbytecznie mówić. Ale co z dzieła wychodzi jasno, jak słońce i imponuje, to instynkt poczucia politycznego interesu Polski i wielka interesu tego znajomość. Namiętności, narodowej nienawiści lub osobistego uprzedzenia, pomimo wyraźnej niechęci do niektórych osób lub dążeń, nie znać; owszem sprawiedliwość jest wszelka i wielka. Jedynem uczuciem, które Długosza opanowało, które jest silniejsze od niego, jest przywiązanie i uwielbienie dla kardynała Zbigniewa. To widocznie było miejsce święte i nietykalne jego serca: tego jednego podziwia, kocha, a nie sądzi. O innych, czy ich kocha czy nie, czy z nimi zasadami i przekonaniami połączony lub rozdzielony, ma zawsze sąd poważny, raczej surowy, i mówi o nich to, co ma za prawdę, otwarcie, bez ogródki, *sine acceptione personarum*, choćby to był sam król, (a raczej, bo to u niego jeszcze nie byłoby dowodem) choćby to był sam Papież. I tak samo to, co ma za prawdę, mówi o narodzie polskim i do niego. I tu strona najpoważniejsza może, najpiękniejsza jego natury i jego patryotyzmu. Prawdziwą może być miłość każda, ale zawsze ta najlepsza, przyjacielska, małżeńska, rodzicielska, czy miłość ojczyzny i rodaków, która się nie zaślepia, ale kochając sądzi, sądząc chce podnieść, a dlatego właśnie, że kocha i bardzo, chce, żeby to, co kocha, było jak najlepszem, pragnie kochając, módz czcić i podziwiać, żeby módz kochać tem więcej.

Patryotyzm Długosza, surowy i smutny, jest tej natury, tego rodzaju, co patryotyzm Skargi, a domysł może nie będzie zupełnie marnym, że natura ludzi musiała być podobną: w świeckim i historycznym tonie Długosza daje się nieraz rozpoznać myśl podobna i podobne uczucie, jakie o wiek później odezwie się w kaznodziejskim, błagalnym, groźnym i proroczym tonie Skargi. A jak tamten był słuchanym, ale nie usłuchanym, tak ten był czytanym, używanym, okradanym nawet,

ale nie lubionym, ani uznanym głośno tak, jak mu się należało.

Historycy zarzucają Długoszowi z ważnych rzeczy dwie. Jedna jest ta, że bez braku przyjmuje źródła i na nich się bez krytyki opiera; druga, że jest tendencyjny, że pisze świadomie i umyślnie na chwałę swojej ojczyzny i dlatego wiele przemilcza lub pomija, przez niejedno prześlizga się lekko, czasem wprost naciąga albo przekręca. Ale to o nim powiedziawszy, ci, którzy poddali go śledztwu najgruntowniejszemu i najbardziej bezstronnemu, dodają zaraz [1]), że te wady wspólne są całemu dziejopisarstwu jego wieku, a Długosz jest pośród niego zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. Żaden nie dorówna mu gorliwością w zbieraniu i spożytkowaniu źródeł, i długo jeszcze żaden z późniejszych. Metodą i zaletami konstrukcyi przewyższa Bonfiniusa, a nawet Eneasza Sylwiusza. Współczesna historyografia niemiecka stoi daleko za nim pod względem tak metody jak i formy. Francuskie i włoskie dziejopisarstwo pamiętnikowe z końca XV i początków XVI wieku, Commineus, Guicciardini, Macchiavelli, przewyższa Długosza i sztuką opowiadania i subtelną przenikliwością. Ale Długosza jednostronność lub tendencya, z tamtemi porównana, wyda się jeszcze gołębią niewinnością. Jeżeli wreszcie rozważy się w całości ogrom dzieła Długosza, to „napróżno w całej literaturze XV wieku szukałoby się pomnika, któryby mógł godnie stanąć obok niego. Żaden naród nie doczekał się wówczas swojej historyi na tę miarę, co dzieje Długosza."

Gdzie znalazł się taki historyk, gdzie historyk wszystkie sprawy swego narodu nie tylko uszykował i spisał, ale je z ducha tego narodu pisał, a ze stano-

---

[1]) Bobrzyński i Smolka: *Długosz. Jego życie i stanowisko w piśmiennictwie.* Kraków, 1893.

wiska jego potrzeb, jego korzyści, jego zasług lub błędów sądził, tam już jest dziejopisarstwo narodowe. I tam, choć ten historyk pisał w obcym języku, można mówić o zaczętej już narodowej literaturze.

Dzieło znakomite jest, nauka stoi świetnie, a uniwersytet kwitnie, w zamożnych miastach powstają budowle i szlachetne, i oznaczone osobnem piętnem „Jagiellońskiego stylu.” Z drzewa rzeźbi się ołtarz Maryackiego kościoła, a z marmuru grobowiec Kazimierza Jagiellończyka; oświata i cywilizacya rozwija się w Polsce tak pięknie, że serce rośnie z podziwu i chluby. Rosłoby i z radości, gdyby nie późniejsze smutki. Ale wśród tego ogólnego wzrostu i rozkwitu jak wygląda, jak się rozwija, jakim jest polski język?

Z tych zabytków, jakie po nim zostały, czy dawniej znanych, czy świeżo odkrywanych, a umiejętnie badanych [1]), odnosi się wrażenie, że i on także był już bardzo rozwinięty, do piśmiennego użytku zdatny. Te ułamki kazań lub pieśni, te przekłady kościelnych modlitw, a choćby tylko sam największy z tych pomników, „Biblia królowej Zofii,” to wszystko świadczy, że ówczesny język polski, to nie było pierwotne ubogie narzędzie do koniecznego porozumiewania się ludzi między sobą, ale że się użyciem, w kościele głównie, ale i w rozmowie ludzi wykształconych, już wykształcił i rozszerzył. Czy jest słabszy i jednostajniejszy od współczesnego francuskiego lub niemieckiego, nie mamy prawa sądzić; widzimy tylko, że jest nietylko zasobny, ale bogaty w wyrażenia, ma zupełnie wystarczającą obfitość słów; ma zwroty przyrodzone zapewne, instynktowe, ale jędrne, własne, liczne, a często tak doskonałe, że żal tylko, czemu wyszły z użycia. Ma formy gramatyczne wyrobione, ustalone, a może liczniejsze i roz-

[1]) Brückner, Malinowski, Nehring, Kętrzyński, Małecki, Wisłocki, Przyborowski, Bruchnalski i t. d.

maitsze od naszych dzisiejszych. Jest też po czterech lub blizko pięciu wiekach zupełnie zrozumiały; aż dziwne, jak mało przestarzały. Są wyrażenia zaniedbane i zapomniane, są inne, które zmieniły swoje znaczenie, są zwroty, które wyszły z użycia: ale ogółem wziąwszy, wnosi się z tych zabytków, że każdy Polak dziś żyjący, mógłby rozmawiać z Długoszem i Zbigniewem, z Jadwigą nawet, a może i z Kazimierzem (jeżeli tekst Kazań Gnieźnieńskich sięga istotnie XIV wieku), jak ze swoimi współczesnymi. Zważywszy zaś postęp ogromny, jaki ten język zrobił w wieku XVI, a później w XIX, dochodzi się do wniosku, że ta blizkość języka dawnego z dzisiejszym, to nie jest skutek zastoju i skrzepnięcia w raz nabytych formach. On nie stanął, nie zatrzymał się na miejscu, nie skamieniał w dalszych swoich latach, tylko w tych wczesnych on już był bardzo dobry. Kiedy go widzimy w druku, on na pierwszy rzut oka wydaje nam się dziwacznym i do dziś nam znanego mało podobnym. Ale spróbujmy oczyścić go z ówczesnej ortografii nieustalonej, a istotnie dziwnej, spróbujmy słowa te same napisać tak, jak je dziś piszemy, a przekonamy się, że i brzmienia i formy są te same, bardzo rzadko i bardzo mało zmienione. Porównajmy język tych zabytków XV wieku, z tym językiem, jakim pisze Rey naprzykład, czy różnica okaże się dużą i znaczną? Wnosimy z tego, że jeżeli nasi Polacy w wieku XV nie pisali we własnym języku nic, prócz tego, co było koniecznie potrzebnem w Kościele albo w praktycznej czynności sądowej lub innej, to nie z winy języka. Język ten był do piśmiennego użytku już dostatecznie przydatny i sposobny, jak świadczą, naprzykład, *Pamiętniki Janczara*, jeżeli w XV wieku na polski język przełożone; że go tak nie używano, to powodem musiała być panująca wśród ludzi oświeconych łacina, a wśród ogółu mniej wykształconych stopień wykształcenia jeszcze za nizki, jeszcze nie dochodzący do potrzeby i do pragnienia

czytania. Jednak w pieśniach religijnych znać tu i owdzie nie tylko uczucie, ale nawet czasem jakieś błyski wyobraźni, (naprzykład Pieśń o Matce Bolesnej z rękopisu Świętokrzyskiego, Pieśń o świętym Aleksym z Bibl. Jagiellońskiej). W świeckich czasem zdarzy się coś nakształt humoru; a w każdym razie nie jeden rys obyczajowy wcale ciekawy (naprzykład *Pieśń o zachowaniu się przy stole*, i *o czci niewiast* z Bibl. Petersburskiej). Są to oznaki, że autorowie tych wierszy nie byli zupełnie bez talentu, i że gdyby było się pisało po polsku więcej i częściej, rozwój literatury mógłby był nastąpić wcześniej. Ale zabytki te, bardzo ciekawe i nauczające pod względem historycznym, obyczajowym, i językowym, nie są ani dość liczne ani dość znaczące, żeby nas uprawniały do wniosków, idących dalej niż ten, że język był w używaniu, że się wyrabiał, i nawet wcale już dobrze wyrobił. Nie wystarczają na to, by nam dać dokładne wyobrażenie o rozumie czy talencie ówczesnych (bezimiennych) pisarzy lub mówców. Wiemy, naprzykład, że kazania mówione były po polsku; ale kaznodzieja kiedy je spisywał, to w łacińskim języku, i w tym one do nas doszły. W polskim tylko urywki. W tym postępie i rozszerzaniu pieśni kościelnej polskiej i polskiego kaznodziejstwa przypisuje prof. Brückner wielką, jeżeli nie główną, zasługę zakonowi bernardyńskiemu, w XV wieku bardzo gorliwemu i czynnemu. Jeden ze świętych tego wieku, Władysław z Gielniowa, Bernardyn, był, zdaniem tego uczonego badacza i znawcy literatury, autorem wielu pieśni pobożnych i kaznodzieją, który wymową swoją tłumy pociągał i wstrząsał. To wszystko było przygotowaniem do polskiego piśmiennictwa, zdobywało dla niego wiele koniecznych warunków, ale jeszcze się niem na prawdę nie stało.

Tak kończył się wiek, a na swoim schyłku miał już złożone w sobie zarody tych walk, pierwiastki tych spraw, które rozwinięte i dojrzałe miały się stać

historyą wieku następnego. Turek był w Konstantynopolu i z niego zagrażał chrześcijańskiej Europie. Wyniesiona przez greckich uczonych znajomość i cześć starożytnych szerzyła się szybko i wzmagała się coraz większym zapałem. Druk roznosił już książki. Pod następcami Piusa II staczał się Rzym coraz głębiej w ześwieczczenie i zepsucie. Gotowe było już to, co miało sprawić przemianę podstawnych pojęć, i to, co miało ułatwić rolę Lutra, rozszerzyć bunt przeciw Kościołowi. Maurów nie było już w Hiszpanii, Kolumb odkrywał Amerykę, a Hiszpania jak Ameryka miała przejść w dom Habsburski z córką Aragońskiego Ferdynanda. Król francuski wyprawiał się po raz pierwszy za Alpy na podbicie Włoch. Fundamenty późniejszej monarchii już były założone przez Ludwika XI, przez Ferdynanda, przez Henryka VII. Współzawodnictwo Francyi i domu austryackiego, niebezpieczeństwo tureckie, humanistyczna oświata, elementy kościelnego odszczepieństwa, czyli to wszystko, co stało się treścią i duszą dziejów XVI wieku, było już, niewidzialne jeszcze, ale wzbierające i dojrzewające.

Tak samo i w Polsce koniec wieku XV ma już w sobie te pierwiastki, z których składa się wiek XVI. Kazimierz potrafił złamać potęgę duchowieństwa i senatu, nie potrafił ugruntować swojej władzy; z bukowińską klęską Olbrachta upadły nadzieje i warunki skupienia tej władzy w ręku króla, wytworzenia w Polsce nowoczesnego państwa. Jagiellońska potęga, oparta na trzech tronach, polskim, czeskim i węgierskim, została nietrwałem zjawiskiem, częścią bo królowie nie byli równi swemu zadaniu, częścią bo dom Habsburski był bogatszy w siły i środki, a swobodniejszy w swojem działaniu, częścią bo niebezpieczeństwo Litwy zmuszało główną uwagę zwrócić na obronę wschodnich i północnych granic. Wielki kniaź moskiewski, wyzwolony już z pod Tatarów, mógł śmiało i statecz-

nie wpychać się w Litwę Tatarzy przez nieosiadłe, niestrzeżone stepy mogli się wdzierać w Polskę. Już polityka państwa, już wszelka zmiana praw, już wszelka wojenna wyprawa zawisła jest od zgody szlachty na sejmikach, a niebawem na sejmie; już prawo posiadania ziemi i prawo piastowania urzędów jest przywilejem jednego stanu w narodzie. Zarody późniejszego republikanizmu szlacheckiego, późniejszej bezwładności państwa, są gotowe, a w nich powody zwichnięcia społecznej równowagi i zmarnowania politycznej siły, jaką Polska w sobie mieć mogła. Od połowy XV wieku, od Zbigniewa Oleśnickiego głównie, począł się, a przez zagraniczne podróże i nauki Polaków rozszerzył się, ten powolny, ale stanowczy przełom w wyobrażeniach, który ludziom dawniejszym, jak Zbigniew, zdawał się obiecywać wspaniałe zjednoczenie chrześcijańskiego ducha i wiary z mądrością starożytnych filozofów i formą starożytnych pisarzy, ale który u późniejszych, w wieku XVI, miał się objawić jako zwątpienie w prawdy religijne, w Kościele przechowane, lub jako nienawiść Kościoła. Dwa te prądy, nieświadome jeszcze swoich skutków ani swego kresu, ścierają się już z sobą i na dworze, i w uniwersytecie, i w wyższem duchowieństwie, i wśród uczącej się lub świeżo wyuczonej młodzieży. Właściwy przedmiot walki, jej właściwy cel, jej natura, objawi się dopiero później; ale jej pierwiastki już są, choć niewidoczne i może sobie samym nieznane. Państwo Rosyjskie, Turek i wzrost domu austryackiego, czyli to, co stanowi o zagranicznem położeniu Polski; parlamentaryzm szlachecki, czyli to, co stanowi o jej stanie wewnętrznym; wreszcie oświata humanistyczna, czyli to, co stanowi o jej religijnych i politycznych pojęciach, o kierunku jej cywilizacyi w wieku XVI, to wszystko jest już znacznie przygotowane, kiedy się ten wiek zaczyna.

ROZDZIAŁ II.

(1500–1548).

I. Skromny początek XVI wieku. Zaborowski. Miechowita. Decyusz. Poeci: Paweł z Krosna. Jan z Wiślicy. Krzycki. Dantyszek. Zmiany w położeniu Polski i w jej oświacie. Nieznaczne przygotowania piśmiennictwa w polskim języku. Druki. Przekłady i ich wybór. Język. Stan wewnętrzny między rokiem 1530 a 1540. Jego odbicie w literaturze. Janicki. II. Wartość i cecha dotychczasowej literatury. Pierwszy występ pisarzy znakomitych. Rey, Orzechowski, Modrzewski. Pierwsze pisma każdego. Ich znaczenie i znamiona. Postęp nowości religijnych. Orzechowski w sporze z Biskupem. Śmierć Zygmunta Starego.

I.

Skromny początek XVI wieku. Zaborowski. Miechowita. Decyusz. Poeci. Paweł z Krosna. Jan z Wiślicy. Krzycki. Dantyszek. Zmiany w położeniu Polski i w jej oświacie. Nieznaczne przygotowanie piśmiennictwa w polskim języku. Druki. Przekłady i ich wybór. Język. Stan wewnętrzny między rokiem 1530 a 1540. Jego odbicie w literaturze. Janicki.

Zaczął się wiek ten skromnie, niepokaźnie. Wprawdzie około pierwszego jego roku otwiera się w Krakowie pierwsza drukarnia (Haller) — przedtem zjawiały się, ale nie trwały — a w zagranicznych drukarniach ukazują się nierzadko traktaty uczonych polskich (Mikołaja z Błonia, Mateusza z Krakowa, Jakóba z Paradyża, Marcina Polaka): dowód, że ci uczeni polscy byli poważani i czytani daleko za granicami swego kraju. Tu na miejscu znać prasy mają coraz więcej do roboty, skoro około roku 1510 mnożą się drukarnie, a obok Hallera zjawia się Ungler, niebawem Vietor i inni. Wydają książki kościelne i naukowe, wydają prognostyki, kalendarze, panegiryki, i nawet autorów starożytnych. Ale jeżeli wnosić ztąd można, że wzmagała się potrzeba czytania, to nie znać przecie, żeby ta wielka dźwignia piśmiennictwa i oświaty, jaką był druk, odrazu wydawała swoje skutki. Są ludzie piszący, ale to, co piszą, nie pozwala mówić, jakoby literatura szła naprzód. Kronika, czy traktat

o jakiej politycznej kwestyi, pojęciem i formą należy jeszcze do przeszłego XV wieku, rozumem i talentem zostaje daleko w tyle za Długoszem lub Ostrorogiem. Zjawiają się poeci i łacińskie wiersze w liczbie większej, niż przedtem, a niezadługo znajdą się wśród nich jeżeli nie talenty, to osobistości wybitne i ciekawe: ale w pierwszych latach wieku jest ta poezya tylko dość nieudolnem naśladownictwem panującej w Europie mody, a znaczenie i zasługę ma chyba przez to jedynie, że przygotowuje i zapowiada, po części kształci, pisarzy już cokolwiek wyższych.

Jako pomnik czasu, naprzykład, ciekawy jest Stanisława Zaborowskiego Traktat *de Natura Jurium et bonorum regis et de reformatione Regni ac ejus Reipublicae regimine.* Pisane w pierwszych latach XVI wieku (drukowane 1507), odbija w literaturze tę chwilę ważną, kiedy król Aleksander rozdawnictwem dóbr koronnych marnotrawił skarb; zapowiada późniejsze długie i głośne egzekucyjne spory, kiedy dowodzi nieprawności tych nadań i domaga się ich zwrotu. Zaleca się widocznem i szlachetnem uczuciem miłości ojczyzny i jej niebezpieczeństwa od Turków, Tatarów i innych sąsiadów; ma tę zasługę, że woła o gotową obronę, o wojsko i o skarb zaopatrzony. Ale te myśli i uczucia dobre wyrażają się w ciasnej i ciężkiej przestarzałej formie scholastycznej. Ten świeży powiew, ten szerszy pogląd na świat, jakim tchnie Ostroróg, a niezaprzeczenie i Długosz, zdaje się, że ustał i zniknął. Autor musiał mieć i rozum i szlachetną wolę, ale stopień jego oświaty zdaje się być niższym, zakres jego myśli ciaśniejszym, niż był u tamtych. Podobnej różnicy dostrzega się i na historykach. Miechowita (1456 — 1523) lekarz, astrolog, historyk, poniekąd i geograf (*de duobus Sarmatiis*), miał wielką sławę u współczesnych i jeszcze u późniejszych; jest jednym z najzasłużeńszych i najszlachetniejszych między współczesnymi uczonymi, ale jego *Chronica Polonorum*, wydana w ro-

ku 1519, pisana oczywiście długiemi może laty przed wydaniem, jest skróceniem Długosza, i to niezbyt dobrze wykonanem, po rok 1480, suchem zapisaniem ważniejszych zdarzeń odtąd do roku 1506. Decyusz, który patrzał na całe niemal panowanie Zygmunta Starego († 1545), i pióro swoje poświęcał chwale króla i jego domu, nie jest mniej, raczej więcej od tamtego i powierzchowny i suchy. Paweł z Krosna, w roku 1499 już bakałarz uniwersytetu Gryfijskiego, w 1507 *magister* krakowskiego, za dwoma nawrotami jego profesor, wykładający autorów starożytnych, zmarły 1517, jest pierwszym co do czasu w szeregu zjawiających się poetów łacińskich, nauczycielem tych młodszych, którzy piszą z nim równocześnie, a często z tych samych okazyj, na te same tematy czy zdarzenia. Ale pierwszy co do czasu, co do zdolności jest słabym. Jest tych wierszy dość dużo, a znawcy przyznają im biegłość w łacinie, znajomość obszerną poetów starożytnych, nawet pewną zręczność i wprawę w rytmie. Ale pod temi zewnętrznemi technicznemi zaletami, nie można dopatrzyć się ani żywszego uczucia, ani bystrzejszej myśli, ani wreszcie własnego pomysłu, czy to w jego wierszach religijnych na cześć św. Stanisława i św. Władysława, czy w tych świeckich, które pisze do swoich węgierskich przyjaciół i protektorów (Perenyi, Turzo, Bathory), czy to wreszcie w historyczno-panegirycznych, pisanych na zaślubiny króla Zygmunta z Barbarą Zapolską, na jego moskiewskie zwycięstwo, i na zapowiedziane ożenienie z Boną. Jego uczeń, Jan z Wiślicy, zmarły młodo, zdaje się rychło po roku 1516, miał śmielszą od swego mistrza ambicyę, skoro się zrywał na poemat bohaterski (*Bellum Pruthenum*), i naśladujący Virgiliusza, jak zapewne mniemał. Ale jako pisarz łaciński, niższy jest, zdaniem znawców, od swego nauczyciela, a talentem jeżeli mu dorównywa, lub nawet go przewyższa, to jeszcze nie znaczy jakoby wznosił się ponad zwykłą naśladowniczą mierność.

Zaczynają przecie i na tem polu, z natury rzeczy dość jałowem, zjawiać się jeżeli nie wielkie talenty, to przynajmniej ciekawe typy i ciekawe wiersze: ludzie o własnej i charakterystycznej fizyognomii, zajmujący przytem jako świadectwa swego czasu. W roku 1509 wychodzi w druku pierwszy wiersz Andrzeja Krzyckiego.

Rozumny człowiek, giętki dworak, duchowny świeckiego i światowego usposobienia, zamiłowany w poezyi starożytnych i naśladujący ich z zapałem, a niezupełnie bez zręczności i skutku, bardzo dbały o swoje wyniesienie i stanowisko, a uważający i swój stan duchowny i swoją poezyę jako dzielny ku temu środek, w obyczajach prawdopodobnie, a w pismach z pewnością zbyt wolny (zwłaszcza na księdza), Krzycki nosi na sobie wszystkie znamiona tego humanisty i dworskiego poety, który wprawnem i ozdobnem piórem, giętkim charakterem i podchlebstwem, umie się stać potrzebnym i pożądanym na wszystkich ówczesnych europejskich dworach, dochodzi nieraz do znacznego stanowiska w Kościele lub w państwie, używany bywa do różnych spraw i czynności, a czasem przez rozum i prawdziwą zdolność, umie się stać nawet pożytecznym. Krzycki zdobył sobie i sławę jako poeta, skoro wychwalał go nawet wielki Erazm, i sławę zdolnego człowieka, skoro doszedł do najwyższej w Kościele polskim i w państwie godności prymasa. Stosunki pokrewieństwa, znaczenie rodziny, mogły oczywiście wiele mu w tem dopomódz: ale pomagała także ta zdolność pisarska, ta znajomość starożytnych, ta poezya, którą posługiwał się zręcznie, żeby z jednego szczebla na drugi coraz wyżej wychodzić.

Uczony humanista XV i XVI-go wieku ma w całej Europie dwa typy, raczej dwa stopnie, dwa rodzaje. Jeden jest wielki rodzaj uczonych prawdziwych i na wielkie rozmiary, restauratorów klasycyzmu, jak dawni towarzysza Magnificusa we Florencyi, jak póź-

niej Muretus i Erazm; drugi rodzaj, ludzi wykształconych, zamiłowanych w literaturze klasycznej, w których to zamiłowanie budzi chęć do naśladowania: z mniejszą nauką, lub mniejszą zdolnością, ci mniej, niż tamci, od siebie żądają. Ambicya ich jest zaspokojona, jeżeli napiszą Oracyę na wzór Cicerona, albo złożą wiersz łaciński — i to sztuka, i to budzi podziwienie, jedna sławę u współczesnych, i tym kosztem tańszym uchodzi się za męża uczonego, za humanistę — jedni tworzą i uprawiają naukę naprawdę, drudzy sami dla siebie w niej smakują, ale są jej mniej potrzebni i przydatni. Jednak, że chęć zbiera do popisania się ze swoją nauką, że wstyd być zupełnie bezpłodnym, kiedy się z uczonymi przestaje i na ich sławę patrzy z niejaką zazdrością, więc próbuje się jakichś rzeczy mniejszych, pisze się jakiś traktacik, jakiś wierszyk, na którego mocy dostaje się prawo obywatelstwa w republice uczonych.

Kto wie, czy nie tym powodom przypisać trzeba poezye Krzyckiego. Człowiek od młodości ćwiczony w naukach, z łaciną naturalnie zupełnie oswojony, zdolny i rozumny zapewne, skoro używany kilkakrotnie do poselstw zagranicznych, widział zapał, z jakim czytano i naśladowano literaturę starożytną, sam w niej zasmakował, i naturalnie mógł zapragnąć sławy podobnej dla siebie; a była ona do zyskania tem łatwiejszą, że ani on sam od siebie, ani nikt od niego nie żądał niczego więcej, prócz zbudowania wiersza. Wiersz łaciński, z jaką taką miarą, przypominający rytmem lub jakim zwrotem którego z poetów rzymskich, to był szczyt zadania; kto go dopiął, *omne tulit punctum.*

Pierwszy znany nam wiersz Krzyckiego (1509) sławi zwycięstwo króla Zygmunta pod Orszą, drugi (1512) poświęcony jest jego ożenieniu z Barbarą Zapolską. Pobudzało ono do natchnienia wszystkich naszych ówczesnych poetów. Starszy Paweł z Krosna pisze jedno *Epithalamium*, pisze drugie młody Danty-

szek, a trzecie Krzycki. Wszystkie są zbiorem naśladowanych ogólników tylko; ale Krzyckiemu znać ta poezya posłużyła najlepiej, skoro został kanclerzem (sekretarzem) młodej królowej. Jako taki, kiedy król w roku 1514 poszedł na wojnę moskiewską, pisze poeta elegię, niby list do niego od utęsknionej małżonki, na wzór heroid Owidyusza, i wzbudza wielkie dla si⊘bi podziwienie. Niemniej wierszami na drugie orszańskie zwycięstwo, na cześć Św. Kazimierza, na śmierć wreszcie młodo zmarłej królowej. Przypuszczenie jest blizkie, że te mniejsze wiersze, erotyczne i satyryczne, (te ostatnie zwłaszcza), w których Krzycki więcej okazywał talentu, niż w poważnych, musiały w znacznej części powstawać w tych latach, kiedy autor (urodzony 1482) był jeszcze młody i jeszcze nie wyświęcony na kapłana (1519). Po śmierci królowej, sekretarz króla, używany przy poselstwach zagranicznych, nie zaniedbuje służby Muz, a zawsze w tych dworskich i praktycznych celach. On, który tak niedawno opłakiwal zgon Barbary Zapolskiej, stroi teraz swoją lutnię na powitanie królowej Bony, a w *Epithalamium*, na jej cześć napisane, kładzie bez wahania i wstydu kilka wierszy, które już służyły nieboszczce Barbarze w *Epithalamium* z roku 1512. W złośliwym epigramie najtęższy, nieraz dowcipny i cięty, w wierszyku rozpustnym otwarty i rubaszny w sposób dla dzisiejszego czytelnika nieprzyjemny, wydaje się Krzycki na pierwszy rzut oka pospolitym tylko, choć sprytnym dworakiem, który o sobie tylko myśli i o swoje dobro jedynie się stara. Wrażenie to utwierdza się, kiedy się widzi, jak on według swojej potrzeby tym samym ludziom podchlebia, a szczypie ich, wyśmiewa, lub surowem słowem piętnuje, kiedy mu nie zrobili tego, czego pragnął. Tak było z królową Boną naprzykład, kiedy go ominęło spodziewane biskupstwo poznańskie; tak z Krzysztofem Szydłowieckim. Jednak sąd bezwzględnie surowy nie byłby sprawiedliwym. To nie jest

człowiek z charakterem, ale nie jest człowiek bez dobrych uczuć. Ambicya, dbałość o karyerę, lekkie obyczaje, to wszystko w nim jest: ale jest obok tego i wiara, i gorliwość o Kościół, i troska o ojczyznę. Pobożność w jego wierszach zdaje się być szczerą. Obawa na widok poczynającej się Reformacyi, przewidywanie jej następstw, wskazuje i umysł głębszy i przywiązanie do wiary; a niebezpieczeństwa ojczyzny, wewnętrzne zawikłania i zewnętrzni nieprzyjaciele, konszachty cesarza z carem, Brandeburczyk, Turek, przejmują go tym strachem o przyszłość, który będzie się odzywał przez cały ciąg XVI wieku, a u niego odzywa się po raz pierwszy, i tak wcześnie! (w roku już 1522 — *Religionis et Reipublicae quaerimonia*).

Współczesny Krzyckiemu, jak on ksiądz i biskup, jak on dyplomata i literat, Dantyszek, jak on pisze wiersz na ślub Barbary Zapolskiej w roku 1512, a na moskiewskie zwycięstwa w 1514, i jak on obraca się w tem samem kole przedmiotów okolicznościowych i historycznych, wierszy pobożnych i wierszy erotycznych. W tych ostatnich mniej od Krzyckiego śmiały i gruby, a więcej może uczuciowy, w epigramie mniej złośliwy i cięty, choć dowcipu nie pozbawiony, Dantyszek także musiał mieć u współczesnych sławę niemałą, skoro od cesarza Maksymiliana dostał wieniec laurowy, a od Karola V szlachectwo. Czy celem tych grzeczności był poeta, czy poseł polskiego króla, już nie dojdziemy. Dzisiejsi znawcy i krytycy przyznają mu mniej biegłości w łacinie i mniej cech wybitnych i własnych, niż Krzyckiemu. Pod względem dobrego i żywego uczucia jednak nie zdaje nam się, żeby tamtemu ustępował: raczej że go przewyższa.

Kiedy tak ci łacińscy poeci jedni schodzą z pola, drudzy wstępują w swój zawód, a z dodatkiem tylko paru kronikarzy sami stoją na scenie naszej literatury, zmienia się tymczasem świat i zmienia się Polska. W Rzymie to Juliusz II i Leon X, we Francyi

Franciszek I, w Hiszpanii po Ferdynandzie młody Karol I, a niebawem i w Niemczech po Maksymilianie Karol V. Ameryka odkryta, w ślad za Kolumbem płynie za morza Cortez i Pizarro, podbija Meksyk i Peru. Już prasy puściły w obieg wiele ksiąg, pełnych starożytnej mądrości i nowoczesnej sceptycznej myśli; już ludzie czytają i Macchiavela i Aretina. Już z pod ziemi wyszedł Laokoon i Belwederski Apollo; już Michał Anioł zamalował sklepienie Sykstyńskiej kaplicy, a Rafael stancę *della Segnatura*. Rozbiera się już stara Bazylika Św. Piotra, a Bramante dźwiga nową. W tym potężnym akordzie umysłowych i zmysłowych rozkoszy odzywa się ton złowrogi: to Luter przybija swoje tezy do drzwi wittemberskiego kościoła. Świat geograficzny podwoił się odkryciem Ameryki. Świat myśli i wiedzy rozszerzył się bardziej, ale i rozdarł się wewnątrz. Zaczynają się wieki, poczęte w Odrodzeniu i Reformacyi, wcielone w państwo wszechwładne, jako w najwyższą zasadę i najwyższe prawo, a skutkiem tego kończące się w politycznej i społecznej rewolucyi, w moralnej i umysłowej anarchii.

W tej poczętej nowej epoce zaczęła się i nowa Polska. Znikają jej średniowieczne pierwiastki, stosunki, znamiona; występują inne, te, które nosiły w sobie zaród jej przyszłych losów, na trzy wieki. Monarchiczne plany czy ideały, o których marzył Kazimierz i Jan Olbracht, stanowczo udaremnione. Państwem takiem jak Francya lub Hiszpania, choćby nawet państwem konstytucyjnem jak Anglia, już Polska się nie stanie. Formuje się jako jedyny w swoim rodzaju organizm, jako szlachecka demokracya, a im dalej w lata, im silniej działają wpływy wieku, tem bardziej wyrabia się w niej ta świadomość i miłość, raczej ta illuzya, demokratycznej szlacheckiej równości i republikańskiej wolności. Illuzya: bo ta równość dawała się zawsze — i jak zawsze — wodzić na pasku i wywodzić

w pole przez zręcznych agitatorów; a mniemana wolność wiodła do swawoli, do rozprzężenia, do negacyi państwa. Król Zygmunt poczyna roztropnie. Zaopatrzenie skarbu i organizacya stałego wojska, to jego pierwsze myśli przewodnie. Czy on był zbyt powolny, czy senatorowie zbyt zazdrośni i samolubni, czy posłowie nie dość świadomi swego celu i obowiązku, nie tu miejsce roztrząsać. Dość, że zbawienne reformy nie weszły w życie, pierwszy raz w roku 1514, a później nie jeden raz jeszcze. Siła zaś wojskowa, i jej warunek, siła pieniężna, potrzebniejsze są, niż kiedykolwiek. Z Turkiem wprawdzie pokój; o odwecie za bukowińską klęskę niema co myśleć, trzeba się go wyrzec. Ale na tronie w Moskwie zasiada w. książę Wasyl, w Wiedniu Maksymilian, i oba zmawiają się na Polskę, a w brandeburskim siostrzeńcu znajdą zawsze gotowego pomocnika. Ta Jagiellońska potęga, na trzech tronach oparta, nie daje spokojnie spać staremu cesarzowi. Musi ją zwalić. Król węgierski i czeski nie ma dość sił na to, by się bronić na dwie strony, od Turka i od Niemca. Król polski nie ma dość sił na to, by się bronić od cesarza, od w. księcia moskiewskiego i od Krzyżaka! Trzeba się ugiąć; trzeba się zrzec wielkich marzeń o potędze domu; trzeba się z cesarzem ułożyć w Presburgu, i kosztem dwóch małżeństw okupić sobie spokój od niego. To pierwsze zrzeczenie się wielkiego w Europie stanowiska, pierwsze okrojenie polskiej polityki, konieczne i nieuniknione w swoim czasie; ale za niem poszły inne, jedne z nieszczęścia bez winy własnej, drugie z własnych błędów.

Przychodzi Luter. Nauka jego zaczyna przesiąkać do Polski, od Prus, od Gdańska, dostaje się wgłąb z każdą niemal drukowaną książką: a staje się sposobnością wyborną, pokusą nie do przezwyciężenia, dla wielkiego mistrza Krzyżaków. Napróżno król kładzie tej nowej wierze zapory w surowych edyktach, na-

próżno Dantyszek grozi Gdańskowi, jak Jonasz Nini wie (*Jonas Propheta*); nowa nauka zbyt jest dla natury ludzkiej ponętna, zbyt silnie upozorowana zgorszeniami w Kościele, iżby się nie szerzyć mogła.

Poczyna się więc wpływ *Reformacyi*, wzmaga się wpływ *Odrodzenia*. Ten rósł bez przerwy, odkąd druk roznosił dzieła starożytnych autorów, odkąd zagęściły się nauki młodych Polaków na uniwersytetach zagranicznych; ale z przybyciem królowej Bony dopiero otworzyła mu się Polska na oścież, i buchnął całym swoim wezbranym prądem. Aż dotąd musiał Polak szukać i uczyć się tej nowej oświaty daleko za swoją granicą; teraz ona przychodzi go szukać na miejscu, u niego w domu, i wnika w niego wszystkiemi porami dworskiego przykładu, towarzyskiego obyczaju, mody, smaku, czytania i wykształcenia. Aż dotąd ze wszystkich obcych działa na Polskę najsilniej sąsiednia cywilizacya niemiecka; od tej chwili ta usuwa się wgłąb, a miejsce jej zajmuje cywilizacya południowa i zachodnia, romańska, włoska na wiek cały z górą, francuska po niej.

Dwa główne czynniki składowe historyi XVI-go wieku i jego cywilizacyi, rozłam jednolitego chrześcijańskiego społeczeństwa na dwa, i wpływ starożytnych, są i w Polsce, i przetwarzają ją, jak całą Europę. Ale oprócz nich jest i trzeci. Jeżeli cały świat ówczesny jest wyrzucony z równowagi moralnej i umysłowej przez niezmierny przypływ wiadomości z jednej strony, a przez zachwianie odwiecznych pojęć i wierzeń z drugiej, jeżeli dalej wewnętrzna równowaga każdego państwa musiała się zachwiać przez rozterki i walki religijne, to w Polsce wstrząśnienie (nie religijne, ale polityczne i społeczne) musiało być silniejszem niż gdzieindziej, dlatego, że sprawa religijna i ogólna zmiana pojęć, padła na nią w chwili, kiedy sama była w stanie nieustalonym, w stanie przejścia, przetwarzania się wewnętrznego. Dawny stosunek sił i na nim

oparta równowaga Polski XV wieku, były zniszczone: coś nowego miało się wykształcić. Różne pierwiastki dążą do tego, żeby się stać środkiem ciężkości i siłą dominującą w państwie, a w tem swojem dążeniu kierowane i rządzone są przez te religijne namiętności i przez te pojęcia tak polityczne jak i filozoficzne, które panują nad całym ówczesnym światem. Jedni z nas wciągają je w siebie i ulegają im bez namysłu, ślepo, często w dobrej wierze; inni używają ich za środek do swojego jakiegoś politycznego lub osobistego celu. Przeobrażenie polityczne, rozpoczęte na schyłku XV wieku, dostarczało samo dość materyału do wewnętrznych zapasów i walk na długo; ale zmieszane z rozterką religijną i z mnóstwem pojęć nowych, olśniewających, a zazwyczaj źle rozważonych i przetrawionych, stało się chaotycznym fermentem, w którym jasna świadomość i zamiaru i interesu rozkłada się i rozpływa, zamiast się ustalać i skupiać. We Francyi i w Niemczech sprawy religijne sprowadzały wojnę; polityczne interesy i namiętności sprowadzały i wojny, i nawet spiski z nieprzyjacielem postronnym. U nas wiek XVI takich nie widział. Ale we Francyi i w Niemczech państwo wyszło z tych zapasów cało, bo wzburzenie religijne zastało tam polityczną równowagę, stały środek ciężkości. W Polsce ten właśnie był zachwiany, niepewny, nieustalony. Bez tego dodatkowego wstrząśnienia byłby się może szczęśliwie ustalił, ale pod działaniem tylu naraz pierwiastków wzburzenia, nie dziw, że ustalić się nie zdołał na prawdę, tylko pozornie i źle.

Dość, że trzy pierwiastki naszej historyi i naszej cywilizacyi XVI wieku, sprawa religijna, humanizm i proces wewnętrznego przeobrażenia występują już coraz widoczniej między rokiem 1520 a 1530. Sprawie protestantyzmu król Zygmunt, niechcący, nieopatrznie oddaje największą usługę, kiedy mu pozwala założyć obóz czy fortecę pod swoim bokiem, w Prusach Książę-

cych. Największy to błąd jego życia: odstąpienie sprawy katolickiej przeciw protestantom, i w sprawie polskiej nieostrożność, która się z czasem pomściła — wiemy jak. Powód był uczciwy, poniekąd uniewinniający: uspokoić się od Brandeburczyka, żeby całą siłą zwrócić się w inną stronę, ratować od Turka synowca, i Węgry, pośrednio i Polskę i chrześcijaństwo. Ale wyrachowanie zawiodło. Ludwik zginął pod Mohaczem, a Albrecht został jako udzielny i dziedziczny książę, poprzednik późniejszych królów pruskich i niemieckich cesarzy. Ciekawie zachowuje się literatura wobec tego faktu. Krzycki, urzędowy obrońca, wysila całą sztukę swego stylu i dyplomatycznego sprytu, żeby w liście do Pulleona króla zasłonić, wytłómaczyć, a rzecz samą wykrętnie za nieszkodliwą udać. Znać wobec oburzenia, wywołanego w Rzymie, w Madrycie, w Wiedniu, dwór polski czuł potrzebę ratowania swojej sprawy i dobrej sławy.

Dantyszek znowu, może podczas tych poselstw, jakie sprawował w interesie Baru i Rossanu, marzy o wielkiej lidze panów chrześcijańskich, o krucyacie na Turka, i błaga Klemensa VII, żeby do niej zagrzewał i wezwał. Zapewnia, że gdyby tylko Papież zrobił pokój między świeckimi panami (mały warunek!), to zjednoczy w swoich rękach nieprzeliczone i niezwyciężone wojska przeciw księżycowi. Układa nawet plan kampanii, a co więcej, rozdział zdobyczy, niedźwiedziej skóry Turka. Naprzód trzeba zająć Bosfor, żeby mu odciąć odwrót i pomoc z Azyi; wtedy król polski, który sam jeden zaczynać z nim nie może, wypowie mu pokój i postara się o to, żeby zabezpieczyć się raz na zawsze od hordy; cesarz (któremu przedstawia jego własne niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo Wiednia i Rzeszy Niemieckiej), cesarz na tej wojnie zyskałby wybrzeża i wyspy morza Śródziemnego: Tunis i Maroko, tak niewygodne sąsiedztwo Włoch i Hiszpanii, Cypr, i Rodus, i Syryę. Jest to ciekawe, bo może

w tym wierszu odzywa się misya dyplomatyczna poety ambasadora, i polityka jego króla; a dyplomata może tęższy od poety. Skarży się tylko, że włóczy się za tym cesarzem z miejsca na miejsce, z Niemiec do Madrytu, ztamtąd do Bolonii, a nic wskórać nie może, i w zakończeniu zaklina jego i Papieża, żeby raz przecie ogłosili powszechną wyprawę na Turka.

A tymczasem przygotowuje się, zapowiada się, coraz bliższe przyjście literatury polskiej. Nie występuje wprawdzie żaden pisarz głośniejszego imienia: z wyjątkiem Wapowskiego, który w tych latach, oczywiście, już nad kroniką swoją pracuje. Od poprzedników swoich, Miechowity i Decyusza, znacznie wyższy historyk, geograf, poeta, potrochu nawet astronom, sekretarz królewski, a za młodu w Rzymie *cubicularius* Juliusza II, którego wielbi jak największego z Papieży, Wapowski stara się Długosza kontrolować, prostować, i w ozdobniejszej, niż on, formie dzieje Polski opisać. W pismach swoich obyczajny i czysty, w miłości ojczyzny gorący, w wierze katolickiej gorliwy, Wapowski jako historyk ma niezaprzeczony talent. W czasach dawniejszych nieraz trafnie prostuje podania swoich poprzedników: w nowych i sobie współczesnych ma znajomość spraw politycznych, ma pewną żywość w opowiadaniu, i ma sąd rozumny, poważny, a wolny od namiętności. Późniejsi, którzy z niego korzystali, jak Bielski i Kromer, przerośli go sławą i lepiej od niego utrzymali się w naszej pamięci, ale dziejopisarską zdolnością może go nie przewyższali.

Kopernik z pewnością w tym już czasie duma nad obrotem ciał niebieskich i wyrabia swój system. Ale to nie widoczne jeszcze, nie wiadome, a w literaturze zawsze jeszcze na przedzie Krzycki i Dantyszek. Krzycki, z latami poważniejszy, może i pobożniejszy. Widocznie wzrost nowych wiar i świeckie niebezpieczeństwa musiały go trapić, niepokoić, bo coraz częściej następują po sobie pisma poważnej, religijnej,

i nawet smutnej treści. *De afflictione Ecclesiae* (1527), *De ratione et sacrificio Missae* (1528). Oba sławią, a Dantyszek nawet we francuskim języku, obertyńskie zwycięstwo: czy sam przełożył, czy postarał się tylko o przekład swojej *Victoria Moldavica* na *La très grande victoire du Roy de Poloine etc.* (w Antwerpii i w Paryżu, 1531). Ale zawsze to jeszcze ta zwykła, powszechna, konwencyonalna, humanistyczna literatura.

Pod nią jednak przygotowuje się nieznacznie inna; wychodzą z pod ziemi pierwsze zdziebełka tego polskiego słowa, którego plon dojrzeje jeszcze nie prędko, aż kiedy wiek przejdzie swoją pierwszą połowę. Ukazują się polskie druki. *Żywot Chrystusa Pana*, ze św. Bonawentury przez Opecia tłómaczony, pierwszy raz w roku 1518, następnie wiele razy. W ślad za nim różne inne książki, duchowne i świeckie. Tłómaczone, nie oryginalne jeszcze, jak *Historya Umęczenia Pańskiego na polskie pienie wydana* (1515? czy to samo co *Źwierciadło Umęczenia Pańskiego* z roku 1522?), jak *Rozmowy króla Salomona z Marchołtem* (1521). Zjawiają się kalendarze (Szadka 1525), traktaty filozoficzno-moralne, jak *Fortuny i Cnoty Różność* (1524). Każdy niemal rok przynosi nowe, i w nowych przedmiotach. *O Prawach i Foldrowaniu* (1529) ma treść prawniczą. Żywoty Świętych (św. Anny i św. Aleksego 1529, Istoria o świętym Józefie Patryarsze 1530) treść pobożną. W roku 1531 zjawiają się po raz pierwszy i odtąd mnożyć się będą, luźne przekłady psalmów, aż wreszcie w roku 1539, wyjdzie całkowity *Zołtarz* Wróbla. Tym tłómaczonym modlitwom towarzyszą pieśni i rozmyślania, jak Trzycieskiego *Powszednia Spowiedź* (1532), jak *Tarcza duchowna* lub *Wyprawa Duszy na tamten świat* (1533). Książki treści świeckiej nie pozostają w tyle. *Gadki z pisma wielkiego philosopha Aristotelesa*, i Bielskiego *Żywoty Philosophów* wychodzą w roku 1535, a zjawiają się nawet książki treści naukowej, Falimierza *O Ziołach i mocy ich* (1534), Jędrzeja z Kobylina *O puszczaniu*

krwi (1535), Kłosa *Algorithmus* to jest nauka liczby (1538).

Tych którzy obce rzeczy tłómaczą lub przerabiają, religijne jak świeckie, liczba jest dość znaczna, a nazwiska wiadome. Mieszczańskie z małymi wyjątkami. (Jan z Koszyczek, Andrzej Glaber z Kobylina, Walenty Wróbel, Kłos, Falimierz). Między nimi wymienia prof. Brückner jako odznaczającego się Bernata z Lublina, medyka, gorliwego a uszczypliwego przeciwnika katolicyzmu, który oprócz *Lekarstw Doświadczonych*, i ulotnych pism religijno-polemicznych, ułożył pierwszy w Polsce zbiór bajek, *Żywot Ezopa Fryga*, znany tylko z późnego przedruku (1578), ale należący do wcześniejszych zabytków poezyi polskiej.

Z mysteryów, które były, i odgrywały się po kościołach lub koło nich, w wiekach średnich, zapewne już od wieku XIII, które przetrwały do wieku XVI, nie wykształca się dramatyczna gałęź poezyi. Żacy wprawdzie odgrywają od czasu do czasu (nawet na dworze) pedantyczne i moralizujące dramaty (a właściwiej dyalogi) humanistyczne, (*Sąd Parysa* Lachera, *Syn Marnotrawny* Gnaphaeusa), ale wszystko to było tłómaczone, z małemi różnicami skróceń lub opuszczeń.

Wszystko razem dowodzi, że budzi się chęć i potrzeba czytania w języku polskim; a choć nie tworzy jeszcze literatury w prawdziwem znaczeniu tego słowa, to przecież sama treść, sam wybór pism, tłómaczonych na język polski, wskazuje kierunek nowy, od panującego humanistycznego odmienny. Ci tłómacze i wydawcy, zdają się mieć na oku przedewszystkiem cel praktyczny: chcą zaspokoić jakąś potrzebę, albo wywrzeć jakiś wpływ, osiągnąć jakiś skutek. Nie chodzi im, jak humanistycznym poetom i pisarzom o sukces w małem kole dworskich lub uczonych czytelników; oni tłómaczą i wydają dla wielu. Wszyscy śpiewają pieśni lub psalmy, wszyscy potrzebują mieć kalendarz, wszyscy lubią budować się pobożnem czyta-

*

niem Męki Pańskiej lub Żywotów Świętych, wszystkim dobrze mieć pod ręką najpotrzebniejsze wiadomości z hygieny, o puszczaniu krwi naprzykład. Wszyscy lubią się i śmiać, i śmiejąc się, mądrych rzeczy się dowiedzieć, a więc wszyscy radzi będą czytali *Rozmowy Marcholta*. Te pierwiastki literatury polskiej przeznaczone są dla ogółu, chcą jemu dogodzić, przydać się, lub się podobać. Zstępują „z pałaców, sterczących dumnie," i szukają związku z rodzimym gruntem i bieżącem życiem. Dążność religijna, propaganda protestancka, daje z pewnością popęd silny temu kierunkowi: jak sama znowu wywoła działanie podobne ze strony katolickiej, obronę swojej wiary i sprawy nie przed niektórymi i uczonymi tylko, ale przed umysłem i uczuciem każdego, choćby prostaczka. Dość, że drukowane słowo polskie mnoży się i rozchodzi.

Jakie jest? Jaki jest ten wczesny, a dotąd nieuprawiany, biegłą ręką nietknięty język? Różny; ale ogółem wziąwszy, wcale już dobry. Pod piórem Bielskiego, nawet w tych najwcześniejszych *Żywotach Filozofów*, ma taką piękność w swojej nieświadomej prostocie i czystości, że może uchodzić za typ i wzór polskiego języka, jak go Pan Bóg stworzył, wrodzonego, żadnym obcym wpływem nie dotkniętego i nie zepsutego. Tego stopnia naiwnej piękności języka nie znajdzie się zapewne w żadnym jego zabytku z pierwszej połowy XVI wieku; ale wszystkie wskazują, że to jest język już do piśmiennego użytku przydatny. Jest on nawet, i to od dość długiego już czasu, przedmiotem badań i pracy, może nie bardzo umiejętnej, ale starannej. Jeszcze w roku 1520 wyszły (po łacinie) Zaborowskiego *Rudimenta Grammatices* z dodatkiem ortografii, czyli sposobu dobrego pisania i czytania w polskim języku. Ta gramatyka ma wydań kilka, a w roku 1528 wychodzi w Gdańsku *Abecadło Polskie*, w 1531 *Diccionarius* łacińsko-polski, niemiecki i węgierski.

Tak doskonali się narzędzie polskiej myśli, a wy-

rabiają się te przedmioty i wpływy, które ją mają zajmować, ostrzyć, i wreszcie do dojrzałego wyrazu doprowadzić. Oświata ogólna, na starożytnych oparta, przenika coraz głębiej i rozpościera się coraz szerzej. Sprawa religijna wzrasta, wzmaga się, coraz silniej działa na umysły, staje się już u niektórych namiętną po stronie protestanckiej: strona katolicka długo jeszcze będzie za mało czynną. Wewnętrzny stan polityczny i społeczny coraz wyraźniej potrzebuje naprawy. Świadomość tej potrzeby coraz wyraźniejsza; ale świadomości i chęci nie odpowiada skutek. Do tej naprawy nie jest coraz bliżej, ale owszem coraz dalej. Przemiana społeczeństwa z zupełnego i organicznego na częściowe i jednostronne już się dokonała: miasta pozbawione znaczenia, włościanin obrócony w poddaństwo, stopniowo coraz cięższe. Szlachta zostaje sama na placu; ale tak zostawszy, czuje tylko, że coś zrobić powinna; nie wie, co ma zrobić. Przy niej, czy nad nią, wielkie arystokratyczne rodziny i pozycye, bez władzy i stanowiska prawnego, ale dbałe i zazdrosne o utrzymanie i o wyniesienie siebie, korzystają zręcznie, przebiegle, z niejasności i niedojrzałości tego, co było ówczesną opinią publiczną w Polsce. Mały król ukoronowany wprawdzie już w dziesięciu latach, spokojne następstwo tronu zapewnione; ale jego ojciec zaczyna się starzeć, jego matka zaczyna rządzić ubocznymi a psującymi środkami, i korona traci stopniowo na ufności, na powadze, na władzy. Reforma skarbowa i wojskowa z r. 1527 uchwalona, ale nie wykonana, nie wchodzi w życie. Reforma praw w roku 1534 odrzucona. Umysły zaczynają się burzyć, domagać się ścisłej unii z Prusami i Litwą, zwrotu nadań nieprawnie trzymanych, odzywa się po raz pierwszy hasło *Egzekucyi*. Ale pod to hasło podszywa się nowatorska pokusa oderwania się od Rzymu, i możnowładcza polityka jątrzenia szlachty, a osłabiania króla, i ta niejasność myśli, nieświadomość celu i środków, która była

znamieniem ogółu rycerstwa, a nieszczęściem i jego i ojczyzny. Sejm roku 1535 nie był stanowczym dowodem, ale był groźną wskazówką, że Polska nie do równowagi i mocy zmierza, ale w zamieszanie i rozprzężenie zapada.

Literatura to czuje i staje się wyrazem obawy o przyszłość; występuje w niej, tak wcześnie, ten rys znamienny, główny, ciągłej patryotycznej obawy i patryotycznej przestrogi. Dyalog *de Asiana Dieta* jest pierwszą u nas polityczną broszurą i polityczną satyrą; spowodowało ją przerażające „azyatyckie" zamieszanie, bezmyślność, niedołęstwo piotrkowskiego sejmu 1535. Część pierwszą, ostrzejszą, surowszą, pisał Stanisław Odrowąż i Stanisław Łaski; druga, łagodniejsza, podnosząca niby na duchu, ale nie weselej naprawdę patrząca w przyszłość, wyszła z pod pióra Krzyckiego, spoważniałego już wiekiem, urzędem, a zapewne i frasunkiem; i była łabędzim śpiewem tego pierwszego u nas humanisty o wybitnej fizyognomii i osobistości, a o rzetelnym, w epigramie przynajmniej, talencie. W dwa lata później schodził prymas do grobu, a na jego miejsce wstępował w łacińsko-polskiej poezyi jego następca, jego wychowaniec, a przynajmniej protegowany, talentem od niego nierównie wyższy, pierwszy w Polsce prawdziwy talent poetyczny i pierwszy artysta.

Janicki jest figurą sympatyczną i ciekawą w naszej historyi literatury. Zapał do nauk klasycznych, do literatury starożytnej już musiał był u nas się rozejść, kiedy taki wiejski chłopczyna, w jakiejś gnieźnieńskiej szkole zaledwo trochę poduczony, tak się w łacińskim wierszu zakochuje, że go pisać próbuje jeszcze w dziecinnych latach. Piękne i zajmujące jest to życie młodego poety, który marzył o uroczych Włoszech, kiedy mu groził los włościanina rolnika; na ławce szkolnej, czytając Owidyusza lub Wirgila, śnił o laurach, błękitach i marmurach i płakał, kiedy sroga konieczność o mało nie kazała mu wrócić

na polski zagon, zamknąć się między stodołą a chatą. Kto wie, czy nie stało się gorzej, że znalazł opiekuna, że się wyprawił do marzonej Italii? Kto wie, czy zmuszony zostać gdzieś na roli pod Gnieznem, nie byłby na swój los narzekał po polsku? Wysłany do Włoch, kształcący się tam z zapałem, uwieńczony laurem, wrócił do Polski sławnym poetą; ale cóż z tego, kiedy poetą łacińskim? Gdyby był pisał po polsku, mielibyśmy może dwóch Kochanowskich; bo choć jego poezye, ogółem wzięte, nie mogą sprostać Trenom i Pieśniom tamtego, przecież jest w nich dusza, jest prawdziwe poetyczne uczucie, jest widoczny w formie bardzo delikatny zmysł artystyczny. Zapał dla klasycyzmu stworzył go i zniszczył: dał mu natchnienie, formę, zrobił go poetą i laureatem, a zarazem udaremnił go, sprawił, że nam z tej poezyi i z tych jego wieńców nic.

Mistrz biegły w formie łacińskiego wiersza, ma i w usposobieniu coś klasycznego, coś pogodnego i wesołego, jakąś miłość życia i używania, jak gdyby odziedziczoną po Horacym; a przytem, sprzeczność dziwna, i wdzięk jego nie najmniejszy, czasem jakiś cień smutku, rzewności, coś tęsknego, co wziął czy z natury polskiej, czy może ze swego słabego zdrowia i przeczucia blizkiego końca. Dziwna mieszanina, dziwna a wdzięczna. Raz, olśniony pięknością Włoch, gotów zapomnieć o świecie, byle patrzeć na to słońce; ojczyzna sztuki jest jego jedyną ojczyzną, pod tem niebem i przy boku jakiejś pięknej Lidyi czy Lalagi jest szczęśliwym i niczego nie pragnie. Za chwilę źle mu, tęskno, nudno, zazdrości tym, co marzną w północnej Polsce i patrzą na jej śniegi. Klasyk staje się nerwowym, kapryśnym, jak synowie epoki romantycznej. Czasem ze smutkiem użala się na swoje zdrowie, jakgdyby przeczuwał koniec, czasem pobożnie zwraca się do modlitwy; czasem opisuje sam siebie, a z tych zwierzeń widać, że to była natura dziwnie sympatyczna,

dobra, żywa, czuła, a przytem potrzebująca wdzięków i powabów życia. Gdyby miał pieniądze, mówi o sobie w VII Elegii, rozrzucałby je garściami; dla przyjaźni ma serce otwarte, widoku łez znieść nie może. A przytem lubi zbytek, wytworność, jedwabie i świetne kolory na sukniach, lubi miękkość i wygodę, a do miłości rwie się, jak ptak do słońca.

Pierwsze to podobno w Polsce usposobienie artystyczne. Nie sama wrażliwość i drażliwość nerwów, ale wszystkie upodobania i skłonności, wskazują naturę, powtarzającą się często między artystami. Serce dobre i czułe, gotowe zawsze drugiemu wszystko oddać, a nie znoszące zwłaszcza widoku ludzi smutnych, wstręt wykwintny do wszystkiego, co tłumne i głośne, zamiłowanie zbytku i przepychu, miłość własna i drażliwość na urazy, czy to nie są rysy charakteru, wspólne wielu artystom? Rafael i Van-Dyck, Słowacki, Chopin, Musset byli trochę podobni do tego obrazu, który Janicki kreśli z siebie samego w VII Elegii.

Kiedy po skończeniu gimnazyum miał wracać na rolę, wziął go w opiekę Krzycki i wziął z sobą do Krakowa (może chciał oddać go do Akademii?); w czasie tego pobytu umarł prymas, a młody poeta pozostał znowu bez opieki. Wtedy przygarnął go Kmita. Z tych lat datują niektóre jego pieśni i epigramaty, i zapewne elegie miłosne do Leucorrhode i Alphesibei, a niewątpliwie wiersz *Querela Rplcae Polonae* z roku 1537 lub początków 1538. Pisany był oczywiście pod wrażeniem wojny kokoszej. Są w nim rzeczy słuszne, a uczucia szlachetne; ale znać, że autor ma lat dwadzieścia. Oburza się na *Proceres*, i słusznie, ale tego nie widzi, że jego opiekun pierwszy na to oburzenie zasługuje. Bardzo sprawiedliwie upomina szlachtę *nil temere et petulanter agas*, ale zbyt naiwnie przyznaje jej, że *Libertas oppressa tua est.* Obraz Rusi, pustoszonej przez Tatarów, wcale patetyczny, a końcowa modlitwa nie bez zapału. W drugiej części *Quereli* (*ad Proceres*) to obu-

rzenie na senat jeszcze mocniej się odzywa. Czy młody poeta był tych wyobrażeń i dążności, które później nieco wydały egzekucyjne stronnictwo szlacheckie z czasów Zygmunta Augusta? Być może; w każdym razie przeciw jego oburzeniu protestować nie można. Można tylko dziwić się, że klient Kmity jest tak śmiałym, albo tak naiwnym.

W roku 1538 Kmita wysyła go do Padwy. Uniesienie, szczęście widoczne w Elegii do Odrowąża. Pierwsze tam napisane (podług Węclewskiego) Elegia XVII i XVIII. U Włochów dobrze położony, wysoko nawet ceniony, jak świadczą serdeczne, ale poufałe wiersze do kardynała Bembo, jak świadczy dyplom doktorski i wieniec laurowy, wyrobiony mu od Papieża i uroczyście oddany w Wenecyi (1540).

W czasie tego pobytu ciągle przecież o Polsce myśli, boi się o jej los (Elegia XX do Odrowąża); może ma chwile smutku i czarno widzi pod wrażeniem rzuconej na siebie potwarzy. O co był oskarżony, nie wiedzieć; tyle jasno wymiarkować można, że usiłowano zaszkodzić mu u Kmity, i że oskarżycielem był Orzechowski.

W tym samym roku rozchorował się i wrócił, z porady włoskich lekarzy, szukać zdrowia w ojczystym klimacie. Opisuje podróż przez Styryę i Morawy (do Myszkowskiego, Elegia V); a po powrocie, w Krakowie, w czasie lepszego zdrowia i humoru, wiersze miłosne do Halszki, w czasie choroby i smutku Elegię VII, o sobie samym, do Wargawskiego, o rodzicach i rodzinnych stronach. Oprócz tych Życia Królów i Arcybiskupów gnieźnieńskich, i Satyrę na niestałą odzież. Z poetów łacińskich, zdaniem znawców, najpodobniejszy jest do Tybulla i tego najwięcej naśladuje. Zapożyczał się i u innych (powszechnym obyczajem wieku).

Po powrocie nie ustają wiersze miłosne. Ale te miłości nie musiały być bardzo głębokie, bo przed-

mioty ich zmieniają się dość często. W jednym ze swoich epigramów (38) skarży się, że kiedy się z pierwszej i drugiej miłości wyleczył, przyszła trzecia, która go dręczy. Nie zdaje się, żeby taka miłość i taka rozpacz była go wpędziła do grobu. Bardzo ładne są dwa wierszyki do dwóch wieńców, które mu przysłała owa Halszka; jeden był z róż i przysłany w zimie, drugi wśród lata z sosnowych gałązek. Bardzo ładnie domyśla się symbolicznego znaczenia tego wianka i zamiaru swojej kochanki. Czasem poświęca wiersz jakiemuś historycznemu zdarzeniu, jak n. p. zajęciu Budy przez Turków, częściej skarży się, że złe zdrowie nie pozwala mu poświęcić swego pióra chwale własnej ojczyzny i jej królów; lecz w ogóle rzadkie są wiersze, któreby miały związek z jakimiś historycznymi wypadkami. Do piękniejszych należy jeden z jego ostatnich zapewne, bo pisany już w roku jego śmierci, *Epithalamium* na ślub Zygmunta Augusta z Elżbietą; w nim piękny obraz młodej królowej.

Gdyby Janicki był pożył tylko kilkanaście lat dłużej, gdyby był mógł usłyszeć pierwsze wiersze Kochanowskiego, byłby zapewne porzucił swoją klasyczną łacinę, byłby spróbował pieśni polskiej, w której, wnosząc z charakteru jego pism, byłby może do Kochanowskiego nieco podobnym. Na nieszczęście, kiedy dopiął swego, kiedy w tych Włoszech, o których niegdyś marzył jako dziecko, był i nasycił się widokami wszelkiej piękności, kiedy dostąpił tam największego dla poety zaszczytu, wieńca laurowego od Papieża, kiedy życie i tworzenie dopiero powinny były się zacząć, umierał w 27 roku. Ta śmierć tak wczesna, tak nieusprawiedliwiona, robi go jeszcze bardziej zajmującym; żałuje się go, jakgdyby był doznał krzywdy, choć on sam, który zdaleka smutno patrzał na zbliżającą się śmierć, zdaje się witać ją spokojnie, a nawet z jakiemś uczuciem pociechy kie-

dy się zbliżyła, jak świadczy napisany dla siebie samego nagrobek.

Szkoda go, a zwłaszcza szkoda, że nie pisał po polsku; postać sympatyczna i ujmująca, a talent niezaprzeczony i bardzo miły.

Z tymi trzema poetami dochodzimy do samej połowy wieku, bo śmierć ostatniego z nich, Dantyszka, zaszła w roku 1548, a ich poezya to wszystko, co przez całe te pół wieku zrodziło się u nas na polu literatury pięknej. Bardzo to mało, trzech poetów, z których jeden tylko prawdziwie poetycznie usposobiony, i to poetów, piszących w obcym języku. Kochanowski jest na naukach jeszcze, Rey pisze już, ale jako talent poetyczny daleko zostaje za Janickim. Do śmierci Zygmunta Starego poezya polska nie ma nic więcej: to jest niema jej wcale.

II.

Wartość i cecha dotychczasowej literatury. Pierwszy występ pisarzy znakomitych. Rey, Orzechowski, Modrzewski. Pierwsze pisma każdego. Ich znaczenie i znamiona. Postęp nowości religijnych. Orzechowski w sporze z biskupem. Śmierć Zygmunta Starego.

Gdyby wziąć teraz to wszystko, cośmy dotąd w wieku XVI pisali, i gdyby zapytać, co ta literatura ma w treści lub w formie swojego własnego, rodzimego, oryginalnego, czem się daje rozpoznać i odróżnić od tego co się pisze w tym samym czasie po innych krajach, odpowiedź wypadłaby skromnie, niepochlebnie. Jest jedna różnica, że u nas pisze się mniej, niż na Zachodzie i Południu, mniej niż w sąsiednich Niemczech. Jest druga, że tam są pisarze i uczeni takiego stopnia, jakiego nasi nie dochodzą; nauka i oświata przejęła tamtych głębiej i więcej, niż nas, pobudziła do samodzielnej pracy czy myślą, czy piórem. Spostrzega się dalej to, że w tych początkach naszej literatury jest wiele przejmowania i pożyczania od innych; tłómaczenia lub przerabiania, o ile piszemy wtedy językiem polskim, naśladowania, kiedy piszemy po łacinie. Jedyną cechą własną, rysem charakterystycznym, który im dalej, tem będzie się stawał wyraźniejszym, ale który w tych latach już jest, występuje inaczej i silniej, niż u Francuzów, Wło-

chów lub Niemców, to związek literatury ze współczesnem życiem publicznem, jej niepokój i obawa o przyszłość. Satyr i wierszy okolicznościowych, natchnionych polityczną lub religijną rozterką, jest we współczesnej Europie wiele; jednak wiersze takie jak *Quaerimonia* Krzyckiego i Janickiego *Quaerela*, jak Dantyszka *De calamitatibus nostri temporis*, albo taki zaród politycznej broszury czy politycznej satyry, jak *Asinna Diaeta*, mają patryotycznego uczucia i patryotycznego złego przeczucia więcej, niż się ich dostrzega u pisarzy zagranicznych. To są podobno najbardziej oryginalne, najbardziej własne płody naszej ówczesnej literatury. Nie forma; satyra lub elegia dyalogowana była dawno znaną i oni ją przejęli od obcych. Ale wiersz z tendencyą polityczną, ale satyra lub skarga na stan Rzpltej, ale wiersz okolicznościowy polityczny, ten, jeżeli nie jako rodzaj nawet, to jako przedmiot, jest polski. Zbytecznie mówić, że dla nas dziś te ich wiersze są najbardziej zajmujące; ale to trzeba wspomnieć, że jak u humanistów zagranicznych, tak u naszych (z wyjątkiem Janickiego) nagana ironiczna czy poważna najwięcej ma życia i siły. Ten rodzaj wierszy świadczy nie tylko dobrze o ich rozumie, ale najlepiej może o ich talencie. Smutno tylko pomyśleć, że tak wcześnie, kiedy jeszcze po polsku pisać ledwo się zaczynało, pierwszym ich krokiem w literackich usiłowaniach była już *Quaerimonia Rzpltej* i druga na nieporządne sejmy! A widać że stan musiał być groźny, kiedy ich uczucie, poruszone nim silnie, zdobyło się na słowa najlepsze, jakie napisać zdołali.

Ciągną się dalej te książeczki do potocznego użytku, z różnych obcych składane i przerabiane, ciekawe a nawet sympatyczne przez swoją naiwność, jak Pussmanna *O stworzeniu nieba i ziemi historya cudna*, teraz napisana (1543), choć później dopiero (1554)

wydana. Ale to nie prawdziwi pisarze, nie prawdziwa literatura jeszcze.

Na tem dość jednostajnem i szarem tle zaczynają jednak rysować się i wystawać kształty nowe, głowy o charakterze istotnie oryginalnym, umysły i natury bardzo już wybitnie, bardzo typowo polskie, a na powszechnej oświacie i na wypadkach własnego kraju tak wyostrzone, że kiedy chcą i potrzebują pisać, to w ich pismach okazuje się nie sam tylko zdrowy rozum i dobry zamiar, ale już nareszcie i talent i pisarska zdolność. Te wszystkie wpływy, które od początku wieku, i dawniej, działały na społeczeństwo polskie, większa skutkiem druku możność i większa chęć, większa chciwość czytania, ten czar, jaki na ludzi ówczesnych wywierała starożytność przez swoje pojęcia i przez swoje formy; ten wpływ jaki na myśl i na namiętność wywierają nowości religijne przez swoje nauki, przez swoje ponętne obietnice i przez swoje napaści na Kościół katolicki; wreszcie te polityczne dążności, instynktowe, niejasne, w których miesza się i siła wojskowa, i reforma sprawiedliwości, i uporządkowanie skarbu (bez obciążenia kieszeni każdego), i opozycya przeciw wielkim panom, i ściślejsze zjednoczenie państwa, i nieufność względem dworu, i coraz wyraźniejsze pragnienie indywidualnej niekrępowanej wolności i stanowej niekrępowanej przewagi, wszystko to przenikało te umysły, to społeczeństwo polskie, stopniowo, długo, niewidzialnie, ale przeniknęło je tak na wskroś, że nareszcie ono zaczęło przemawiać samo za siebie, z własnego ducha i popędu, znalazło wyraz na wszystko, co tylko w owym czasie było w jego myśli o sobie, w jego świadomości i w jego pragnieniu. Takim wyrazem są zawsze tylko ludzie działający lub piszący. Zaraz po roku 1540 występuje ich trzech, z których każdy inaczej, innym sposobem i z innej strony, ale każdy wyobraża doskonale ówczesną pol-

ską oświatę, świadomość siebie, myśl i dążność, czyli pojęcie położenia i potrzeb narodu.

Jeden, wyobraziciel najlepszy usposobień, pojęć, inteligencyi i stopnia oświaty ogółu ówczesnej polskiej szlachty, od tego ogółu wyższy, ale do niego bardzo podobny, bardzo zbliżony życiem i życia pojęciem, typ rzec można ówczesnego Polaka rodzajem umysłu i charakteru, typ zawsze się powtarzający natury polskiej, to Mikołaj Rey. Orzechowski jest także typowy jako Polak; ale typ polskiego umysłu i polskiego charakterů w niektórych szczególnych właściwościach i warunkach. Zdolnością, a w każdym razie nauką i wykształceniem od tamtego nierównie wyższy, więcej w siebie wchłonął i gruntowniej sobie przyswoił to, co mu podawał świat starożytny i współczesny europejski. Do ogółu polskiej szlachty podobny pewnemi stronami swego usposobienia, góruje nad tym ogółem, a wyobraża najoświeceńszych stopniem swojego wykształcenia. Wyobraża zaś tak dokładnie, jak we współczesnej literaturze nikt drugi, tę częstą u nas skłonność do nadmiernego, niczem niekrępowanego wyrobienia własnego indywidualizmu. Wiek XVI wywarł ten wpływ na bardzo wielu w całej Europie, w najrozmaitszych formach i kierunkach. Z polskich pisarzy wywarł go najsilniej na Orzechowskiego. On żąda i myśli, że żądać ma prawo, iżby zmieniały się prawa i zasady Kościoła, bo jemu podobało się zrobić coś, co się z temi prawami i zasadami nie zgadza. Przez to staje się w literaturze przypomnieniem i odbiciem różnych Kmitów i Zborowskich historyi. Ma przytem niestałość, brak konsekwencyi i statku, które także nierzadko spotykają się w naszych naturach i postępkach. Stopień jego namiętności w temperamencie, a jego talentu w piśmie, nie zdarza się często; ale w mniejszym stopniu spotkamy w każdem niemal pokoleniu i czasie, usposobienia i słowa podobnie namiętne, choć nie tak potężne.

I w tem jeszcze do wielu z nas podobny, że tak pochopny do zaślepionego uwielbienia tego, co w ojczyźnie jemu do smaku czy do uczucia przypada. Przez to wszystko, przy swoim ogromnym talencie, raczej Polsce szkodliwy niż pożyteczny; a jednak miłujący ją rzetelnie, nawet gorąco, a w obawie o nią, dochodzący prawie do rozpaczy. Szlachetny z natury, tylko tą wybujałością swojego *ja* skrzywiony, Orzechowski, jest rozumem i talentem za wysoki, iżby mógł być typem ogólnym i zwykłym, ale jest niezaprzeczenie typem wielu znaczących i wielu z natury niezwykłych Polaków. Jest też we współczesnem zamieszaniu religijnych i politycznych uczuć i pojęć, namiętności i dążności, doskonałym wyobrazicielem tego wzburzenia i niestatku, które jest cechą jego czasu.

Ze wszystkich najgłębszy, najpoważniejszy, tak poważny i głęboki, że go nieszczęściem za wyjątkowego nie za typowego człowieka między sobą uważać musimy, Modrzewski ma przez wszystkie wieki naszej historyi mało sobie równych zrozumieniem położenia Polski, warunków jej pomyślności i siły. Nie jeden brak można mu wytknąć; ale nie można mu nie przyznać, że pod wieloma względami wyprzedza swoje społeczeństwo, nawet swój wiek. Ale mimo to jest i on wiernym, choć świetniejszym od innych, wyobrazicielem tego wieku: częścią przez to właśnie, czego w nim brak, częścią przez to, co z dobrych i słusznych dążności tego czasu wziął, tylko wyżej podniósł i lepiej wyłożył. Wreszcie i przez to do współczesnych podobny, że jest wiernym wyrazem ich religijnych dążności, namiętności i niekonsekwencyi; a jak czas jego w wielkiej mierze dlatego nie zdołał dojść do prawdziwej reformy politycznej, że się reformą religijną zaprzątnął i zawikłał, tak on większą część swego zawodu i swoją wielką siłę udaremnił i zmarnował, przez to, że naprawę Rzeczypospolitej odłożył na bok, a oddał się mniemanej naprawie wiary i Kościoła.

On wydaje w roku 1541 pierwszą oracyę *de Poena Homicidii* (o karze na mężobójstwo). W roku 1543 Orzechowski *Wiernego Poddanego* i Oracyę *de bello adversus Turcos* (o ruszeniu ziemi przeciw Turkom), a Rey *Krótką Rozmowę między Panem, Wójtem, a Plebanem.*

Pisma Modrzewskiego, te pierwsze jak i jego wielkie dzieło o *Poprawie Rzpltej*, tem się od innych różnią i nad nie wznoszą, że mają na oku głównie to, co było organicznym defektem dawnej Polski, zatem najbardziej potrzebowało rady i naprawy. Polska nie wyrobiła się na zupełny całkowity organizm społeczny: to stało się z czasem powodem jej politycznej słabości i jej upadku. Weszła w tę kolej dawno, zaraz gdy jej zabrakło dawnej Piastowskiej dynastyi; w pakcie koszyckim króla Ludwika, złożone są pierwsze zarody późniejszej niezależności szlachty względem króla; a w drugiej połowie wieku XV-go już wzmaga się jej zbyteczna, wyłączna przewaga w sprawach politycznych. Za Olbrachta i Aleksandra objawia się dążność stanowcza nie do społecznego pierwszeństwa lub przewagi, ale do społecznej wyłączności. Szlachta chce skupić Rzeczpospolitą w sobie, chce nią być sama, a inne warstwy narodu odsuwa od samej możności znaczenia i wpływu, ukróca w słusznych i koniecznych prawach. Poddaństwo włościanina ustala się i staje się uciążliwszem; mieszczanie tracą prawo posiadania ziemi, zatem prawo piastowania urzędów, reprezentacyi w sejmach i t. d. Demokracya szlachecka, im silniejsza i bliższa zupełnego zwycięstwa, tem bardziej (podług powszechnego prawa czy zjawiska) staje się wyłączną, zazdrosną, uciążliwą arystokracyą względem stanów nieszlacheckich. Zbytecznie mówić, że ta stopniowa atrofia dwóch części społecznego organizmu, nie dała mu rozwinąć tych zasobów siły politycznej, umysłowej, nawet wojskowej, jakie w sobie miał, i musiała albo wziąć koniec, albo ten organizm skazać na niemoc.

W tem mądrość i zasługa tych ludzi, którzy przyczynę wcześnie widzą i wskazują, a skutki zdaleka a trafnie przewidują. Modrzewski jest między nimi pierwszym i w swoim wieku najznakomitszym. Jego oracye *O karze na mężobójstwo* (pierwsza w roku 1541, trzy dalsze w 1543, 45, 46), wymierzone są przeciw temu postanowieniu polskiego prawa, według którego plebejusz za zabicie szlachcica ponosił karę śmierci, szlachcic za zabicie plebejusza karę pieniężną. Modrzewski nie był ani pierwszym ani jedynym, który czuł niesprawiedliwość tego prawa, a skutki jego przewidywał. Już Ostroróg w swoim czasie powstawał na tę różność praw, choć zniesienia jej nie domagał się stanowczo. Król Zygmunt Stary wprowadził tę sprawę na sejm roku 1538, choć bezskutecznie. Ale Modrzewskiemu należy się ta zasługa i chwała, że mówi o tej sprawie najwyraźniej i najśmielej, z nagłębszem oburzeniem chrześcijańskiego sumienia i politycznego rozumu, że skutki tej nierówności praw przewiduje i przepowiada z przenikliwością i roztropnością, którą dalsze nasze dzieje na naszą szkodę stwierdziły.

Oracye te wystarczyłyby na to, by ten początek literatury politycznej XVI wieku kazać uznać za świetny, i mądry, i szlachetny. Oracya *Philaletis Peripatetici* nie jest od nich ważniejsza swoim przedmiotem, nie byłaby może zbawienniejszą w skutku (gdyby była skutek odniosła); ale była bardziej zadziwiająca, bo bardziej wyprzedzająca wszystkie ówczesne pojęcia społeczne, nie polskie tylko. Samo chrześcijaństwo wystarczało na to, by naprowadzić na wniosek, że skoro dusze ludzkie i życie ludzkie są równe w obliczu Boga, to nie godzi się inaczej je cenić i karać w obliczu prawa. Ale czego Modrzewski u żadnego z dawniejszych czy współczesnych, swoich czy obcych, nie znalazł, co wydobył z własnego jedynie rozumu i uczucia, to żądanie, żeby stan miejski zachowany był przy swojem dawnem prawie posiadania ziemi. Prawo to, odjęte by-

ło mieszczanom w roku 1496, a zakaz przypomniany i obostrzony teraz, w 1538 i 1542. Modrzewski nazywa go niesprawiedliwym, okrutnym, niegodziwym. Ogranicza on ludzi w wolności poprawiania losu i nabywania majątku, o co każde państwo owszem dbać powinno; podkopuje samą zasadę własności, kiedy wyzuwa ludzi z dóbr, prawnie nabytych i posiadanych; jest skutkiem brzydkiej chciwości tylko i wzgardliwej niechęci jednego stanu przeciw drugiemu, i jest krzywdą, która się kiedyś na Królestwie pomści i źle każe o jego przyszłości wróżyć.

Modrzewski nie żąda dla mieszczan równości w prawach politycznych, ale gdy te przywiązane były do posiadania ziemi, rzecz prosta, że z niego byłyby z czasem wyrobiły się i powstały. Wyobraźmy sobie taką możność życia i rozwijania się, daną stanowi miejskiemu, wyobraźmy sobie opiekę prawa i sprawiedliwości, nadaną ludowi wiejskiemu, a przez takie dwie zmiany społeczeństwo polskie mogło było wykształcić się organicznie, zupełnie i potężnie. Te pomysły Modrzewskiego są tak dobroczynne i zbawienne, jak dotąd nie widzieliśmy w naszej literaturze, jak lepszych nie zobaczymy i później. Tymi on wyprzedza i przewyższa swoje społeczeństwo i swój świat; przez nie jest najgłębszym z naszych statystów XVI wieku.

Orzechowski od tej głębokości daleki, publicysta raczej, niż statysta, przez to właśnie społeczeństwu swojemu bliższy, zrozumialszy i więcej przez nie słuchany, korzysta zręcznie ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby świetnem wystąpieniem zrobić sobie odrazu wziętość, sławę, popularność. Nie potrzebuje na to nawet kłamać ani udawać; może mówić to, co na prawdę myśli, bo myśli tak, jak wszyscy. Potrzebuje tylko te myśli i uczucia wspólne, powszechne, wypowiedzieć z mocą, z życiem, gorąco i namiętnie, a to było mu łatwo, bo miał te przymioty w swoim temperamencie i w swoim talencie. Dostrzedz, że Polska własnemi rękami psu-

je swoją równowagę i swoją całkowitość społeczną, przez to przygotowuje sobie polityczną słabość, to nie każdemu umysłowi dostępne, choć nawet nie zwykłemu; tego umysł zwykły nie zrozumie, nie ulęknie się, nie przyjmie. Ale to wie i rozumie każdy, że Turek jest wielkiem niebezpieczeństwem, że wojny niema bez wojska i bez pieniędzy; to widzi każdy, że stary król starzeje się i niedołężnieje, a królowa frymarczy urzędami i liche kreatury dopuszcza do wielkiego w Królestwie znaczenia. Każdy się na to oburza i każdy myśli, na to obliczenie go stać, że jeżeli król młody nie będzie tęgim i dzielnym, to niebezpieczeństwa wzrosną, a szkody mogą być wielkie. Ktoby im to powiedział, co właśnie myślą, a powiedział wymownie, gorąco i śmiało, ten mógłby liczyć na to, że cała Polska powita go z zapałem, jak wyobraziciela swoich uczuć i myśli, rzecznika swoich potrzeb i pragnień.

Właśnie na taką chwilę strachu przed Turkiem, oburzeń na królową Bonę, oczekiwań od Zygmunta Augusta i niepokoju o niego, trafił szczęśliwie Orzechowski. Czy ją świadomie wyzyskał, żeby sobie zrobić tę wziętość i poparcie, których zaczynał potrzebować, bo był się już wdał w zatargi z biskupem, czy bez takiego wyrachowania, ze szczerego serca, puścił w świat swoje pierwsze pisma, dziś się to już stanowczo stwierdzić nie da; a na stwierdzeniu nawet nie zależy, skoro pewnem jest, że sam na prawdę to myślał, tego żądał, to miał za dobre, co napisał. Pewnem i to, że temi pismami współczesnej Polsce podobać się koniecznie musiał.

Pierwszem była *Respublica Polona* [1]). Nic jeszcze w tym wieku nie było napisanem przez Polaka z takim retorycznym stylem i talentem, z takiem doskonałem

---

[1]) Nie wydana, ale krążąca w odpisach. Zamieszczona w Tomicianach, znana Ossolińskiemu. Wydana przez Korzeniowskiego, *Orichoviana*. Kraków 1891.

przyswojeniem wszystkich ozdobnych i wymownych zwrotów, jakie wiek ten podziwiał u starożytnych. Takiego pisarskiego talentu jeszcze Polska u siebie nie była widziała. A jeżeli to mogło, raczej musiało ją olśnić, to ująć i podbić ją mogła śmiała otwartość i siła, z jaką autor mówił głośno to, co po cichu powtarzali wszyscy. Skargi ówczesnej opinii na świeckich i duchownych dygnitarzy, na przekupstwo i inne nadużycia, na (wyraźnie nie wymienioną) królowę, wszystko, co słuszne i co niesłuszne, jak to zakorzenione mniemanie, że w roku 1537 szlachta była zwołana pod Lwów, niby na wojnę, a na prawdę w tym celu, żeby się wyniszczyła z majątków, wszystko to szlachcic ówczesny czytał w tej Oracyi, z zapałem tem większym, że wszystko to sam myślał, a nigdy w takich wspaniałych słowach i okresach nie słyszał. Ale obok tych są tam i takie wyrzuty i zarzuty, jakich z Orzechowskim opinia publiczna nie dzieliła: a te wyszły już z jego głowy, są jego własnością i zasługą, i dowodem jak niezwykłego rozumu tak i rozumnego patryotyzmu. Pierwszy, to daremność, szkodliwość, niebezpieczeństwo sejmów, które się schodzą, gadają, radzą, a nie uradzą nic i rozchodzą się marnie, nic nie zrobiwszy. Drugi, ważniejszy, trudniejszy, zwłaszcza rzadszy, tycze się podatków. Orzechowski mówi wręcz, że jest niesprawiedliwie i niegodziwie zwalać podatki na włościan samych, kiedy oni już robocizną albo czynszamł dosyć się wypłacają. Zważywszy, że nawet Modrzewski, najśmielszy z naszych statystów w tej sprawie, ledwo o uldze w podatkach natrąca, ale jej wyraźnie nie żąda, zważywszy, że nie w Polsce tylko, ale w całej Europie, poddany płacił podatki za właściciela ziemi, trzeba Orzechowskiemu przyznać, że jego głos jest jedynym tego rodzaju w ówczesnej Polsce, owszem w jego wieku: jest zupełnym i zaszczytnym wyjątkiem. Ale też wyjątkiem także i w zawodzie samego Orzechowskiego, który nigdy już w swoich pismach późniejszych nie powtarza tego, co było

zaszczytem i zasługą największą jego pisma pierwszego.

Fidelis Subditus musiał mieć powodzenie jeszcze większe. Napisany z okazyi ożenienia Zygmunta Augusta z Elżbietą, jest on wyrazem wszystkich skarg na jego złe wychowanie, wszystkich żądań, jakie ówczesna opinia królowi stawiać sądziła się w prawie. Przesada w jednem i drugiem, deklamacye niesmaczne i niesprawiedliwe o tyranii i tyranach; twierdzenia niedorzeczne, jak to naprzykład, że król powinien być mędrszym i lepszym od wszystkich poddanych, musiały wydawać się właśnie szlachetnym objawem republikańskiej śmiałości i republikańskiej cnoty. Wartości politycznej i politycznej myśli *Subditus* ma mało; ale jest historycznie ciekawy przez to, że daje dobrze poznać wyobrażenia ówczesnej Polski o królu i jego obowiązkach, i o sposobie ich wykonywania. Najrozumniejsi, najpoważniejsi nawet rozumieli, że król nie powinien siedzieć w stolicy, ale przejeżdżać się ustawicznie z miejsca na miejsce, żeby wszystko własnemi oczyma widział, poznawał, i wszystko zaraz naprawiał.

Służba wojskowa, pełniona na granicach, kolejno, przez trzy województwa w jednym roku, to najlepsza podobno myśl z całej tej książeczki. Nie Orzechowskiego wyłącznie: była przed nim na sejmach, a po nim będzie się powtarzała aż do XVIII wieku; ale lepsza jak nic, i szkoda, że nigdy nie wykonana.

Turcyki to w formie wspaniałych cicerońskich oracyj, broszura, zagrzewająca do wojny z Turkiem. Po zdobyciu Budy, padł wielki strach na Polskę i zaczęło się gwałtowne wołanie o wojnę. Orzechowski łączy z niem swój głos i dowodzi (nader błahymi argumentami), że zwycięstwo jest łatwe, moc turecka więcej pozorna, niż rzeczywista, wielka koalicya panów chrześcijańskich zrobi się, jak tylko król Zygmunt zechce: wszystko ułudne, nierzeczywiste, ale bardzo miłe do czytania dla ówczesnej Polski, a miejscami, naprzykład,

gdy kreśli niedolę ziemi węgierskiej i nam każe się bać podobnej, niepospolicie wymowne.

To pierwsza chwila jego zawodu, pierwsza i szczęśliwsza od następnych. Niebawem jego talent i jego zawód zejdzie na manowce, na drogę bez wyjścia, i nie przyniesie takiego, jak mógł, pożytku, często nawet zaszkodzi. W tym samym roku, co *Turcyki*, wyszło już pierwsze jego pismo niezupełnie prawowierne, *De Baptismo Ruthenorum*; w ślad za tem pójdą inne, powody zajść z biskupem, a z tych wywija się całe nieszczęśliwe pasmo jego dalszego życia.

W tym samym jeszcze roku (1543) wydał Rey *Rozmowę między Panem, Wójtem a Plebanem*. Czy niektóre psalmy, wydawane między rokiem 1530 a 1540, były przez niego tłómaczone, rzecz nie dowiedziona. Prawdopobna, bo kto tak wiele przez całe życie pisał, ten musiał i zacząć wcześniej; dziwneby było, gdyby zaczynał dopiero koło lat czterdziestu. Ale, że pewności o jego pracach dawniejszych nie mamy, więc *Krótką Rozmowę* musimy uważać za pierwszą.

Występuje nareszcie ten pierwszy z naszych autorów, piszących już polskim językiem, ta postać wielce oryginalna, postać szlachcica, który młodość spędził na zbijaniu bąków nad Dniestrem, potem się dworską służbą bawił, potem gospodarował, wsie kupował, miasteczka zakładał, po zjazdach i biesiadach jeździł, z wesołej biesiady śpieszył na sejmik albo na jakiś zbór protestancki, jadł i pił dobrze, w rubaszne żarty był płodny, religijnych nowości ciekawy i łakomy, ciekawy także polityki, spraw krajowych, ciekawy i o świecie, o dawnych historyach coś wiedzieć; za młodu nieuk, próżniak i psotnik, później gospodarz, sejmikowicz, przy okazyi teolog i kontrowersista, z pociągiem do nauk i literatury, na starość moralista, filozof praktyczny, Rey, koncentruje w sobie wszystkie niemal kierunki ówczesnego życia polskiego i odbija wiernie wiele ry-

sów polskiego charakteru. W tym umyśle pierwotnym, naiwnym, którego dominującą własnością jest rozsądek, chłopski rozum, który się między ludźmi trochę wykrzesał, ale się niewiele naprawdę wyuczył, odbija się wszystko, czem się ówczesna Polska zajmowała, o czem myślała, mówiła, pisała. Życie na pół ziemiańskie, na pół publiczne, wychowanie dworskie, jak wszystkich; większość chwyta ciekawie nowości religijne, w każdym domu szlacheckim na każdym zjeździe prowadzą się dysputy teologiczne, decyduje się gospodarskim rozumem, kto ma słuszność, czy Papież czy Luter, a zwłaszcza z wielką przyjemnością wygaduje się na księży, wypomina się wszystkie wielkie zgorszenia i drobne anegdotki, o jakich kto słyszał lub wiedział: Rey tak samo. Puszcza się śmiało na pole teologiczne, ale widocznie dobrze wie tylko jedno, to jest, że ten lub ów proboszcz miał złe obyczaje, ten biskup był chciwy, ten przeor lub opat miał dobrą kuchnię lub piwnicę. Polska ówczesna chciwa jest nauki, admiruje starożytność, wierzy w nią naiwnie, ale w tem swojem pragnieniu oświaty dba więcej o ilość i łatwość, niż o jakość i pewność; Rey, zamłodu nieuk, później chce odbić czas stracony, uczy się na gwałt, czyta, chwyta wiadomości, zbogaca sobie głowę różnemi nazwiskami, różnemi powierzchownemi wiadomościami o wszystkiem, wstydzi się niewiadomości; ale kiedy już nie jest ignorantem, więcej od siebie nie żąda. Jest on typem Polaka XVI-go wieku, Polaka na pół oświeconego, jak Kochanowski naprzykład jest typem Polaka wykształconego jak najwyżej. Reprezentuje on poziom umysłowy większości, i przez to jest bardzo ciekawym i nauczającym; a przez swoją oryginalność, przez tę właściwą fizyognomię, złożoną z rozsądku, poczciwości, rubaszności, naiwności, podoba się, nabiera wdzięku, zajmuje, rozbraja i znajduje łaskę w oczach potomności. Współcześni poważali go wysoko, byli mu wdzięczni za to, że pisał po polsku, nazywali swoim Enneuszem. My, po-

tomni, mamy te same powody do wdzięczności względem niego, ale oryginalność człowieka usposabia nas może zbyt przychylnie dla pisarza. W zdrowym rozsądku Reya widzimy jakąś instynktową, ale głęboką znajomość człowieka i świata, w jego rubaszności upatrujemy dowcip: najczęściej zdrowy rozsądek, zdrowy niezaprzeczenie, pomysłów nowych, głębszych i własnych nie wydaje, a dowcip jest typowym istotnie, ale prawie zawsze grubym tylko i płaskim konceptem.

Nie trzeba Reya poetyzować, ani patrzeć na niego przez szkła powiększające. Taki, jak jest, ma on ogromną zasługę przez to, że pierwszy zaczął naprawdę pisać po polsku; ogromną wartość przez to, że daje poznać, jak może żaden inny w tym czasie, pojęcia i uczucia swego społeczeństwa, jego obyczaj, stopień jego oświaty, rodzaj jego umysłów. Historycznie bardzo ciekawy, ze stanowiska literackiego jest Rey bardzo ważny i znaczący, jako wyraz już dojrzały tej potrzeby pisania po polsku, która się przed nim nieśmiało objawia, i jako ten, który pismami swemi daje popęd, przykład, zapewne i ułatwienie, innym. Ale przesadą byłoby przypisywać mu umysł genialny, a nawet wielki talent. Talent ten jest oczywiście, i w prozie okazuje się niemałym, oryginalnym; w poezyi za to słabym.

Taką cechę ma już pierwsze jego dzieło, *Rozmowa Pana z Wójtem i Plebanem.* Jeżeli zechcemy uważać ją za satyrę, to musielibyśmy wytknąć jej brak dowcipu i ironii; jeżeli za tendencyjną polityczną broszurę, to brak konkluzyi, wniosku, rady. W jednym czy w drugim przypadku, wypadnie stwierdzić, że wiersz jej jest bardzo niedołężny, w stylu, a nawet w rymach nie wyrobiony. Ale jeżeli popatrzymy na *Rozmowę,* jako na zabytek historyczny, na świadectwo czasu, to wtedy wartość jej okaże się inną i znaczną. Cokolwiek w owym czasie zarzucał i wytykał stan duchowny świeckiemu, świecki duchownemu, a włościański duchownemu i szlacheckiemu, to w tej książeczce jest, z dodatkiem jesz-

cze tego, co formujący się, jeszcze nie zupełnie gotowy protestantyzm myśli i mówi o Kościele i księżach. Chwyta się na gorącym uczynku, trzyma się za puls ówczesną bieżącą opinię, w różnych jej odcieniach i w różnych warstwach narodu. Widzi się, jak i dlaczego ona chyli się ku nowościom religijnym u szlachty, ku biernej i zrezygnowanej, ale głębokiej niechęci u włościan; widzi się, w słowach plebana, czego jednym i drugim brak, żeby byli tacy, jak Pan Bóg przykazał, a ksiądz w jego imieniu naucza.

Ta forma satyry, którą Rey może przejął z Niemiec, gdzie uprawiana była bardzo pilnie, zwłaszcza przez protestantów, musiała się podobać i mieć powodzenie, skoro nasz pisarz nie jeden raz jej używa. My zarzucamy jej, że nie jest dość satyrą; ma trafną obserwacyę, ma zdrowe nauki, ale nie ma sarkazmu. Moralizuje i naucza: nie wyśmiewa, ani gromi. Współcześni nie żądali tak wiele: wystarczało im spostrzeżenie prawdziwe i nauka moralna. Mnożą się też dyalogi Reya, wszystkie z dążnością satyryczną i moralizującą, a z wyraźniejszym może, niż w owym pierwszym, pierwiastkiem i charakterem satyrycznym. Przypisywana Reyowi, jeżeli nie z zupełną pewnością, to z wielkiem prawdopodobieństwem, *Rozmowa Gęsi z Kurem, Lwa z Kogutem*, i t. d. ma satyrycznego pierwiastku więcej. Odnosi się widocznie do pewnych szczególnych zdarzeń i ludzi: byłaby bardzo zajmująca, gdyby dziś po wiekach odgadnąć się dało, kogo autor miał na myśli. To wszakże nie jest zupełnie jasnem, i da się różnie tłómaczyć. Znaczenie niewątpliwe, a zarazem najwięcej satyrycznego charakteru i złośliwości, ma bezimienna, wydana przez J. Korzeniowskiego (1886) *Rzeczpospolita*, tułająca się po świecie i narzekająca, że nikt o nią nie dba. Pisana w roku 1549, jest przedsejmowym paszkwilem na króla, jego małżeństwo i jego stronników.

Czy *Żywot Józefa* (1545) jest dziełem Reya? Niektórzy mają to za rzecz wątpliwą. My nie; ale rozstrzy-

gać nie przyznajemy sobie prawa. W każdym razie jest ten *Józef* rzeczą ciekawą. Przerobiony z niemieckich i łacińskich dyalogów (Greffa, Crocusa, Garta i Diethera, jak dowiódł Nehring i Bruchnalski), długi ten wierszowany dyalog układem i budową trzyma się jeszcze średniowiecznych Misteryów, bez komicznych intermedyów tylko; możemy przypuszczać, że te, które się u nas w owym czasie odgrywały, mogły być do niego podobne. Stylem i wierszem podobny jest do tego ostatniego zabytku Misteryów, jakim jest Rzeź Niewiniątek w znanej nam dzisiejszej szopce. Jest w tym języku i stylu niezaprzeczenie coś rodzimego, pierwotnego, ludowego, pomimo rozwlekłości, zwłaszcza w chwilach i przemowach patetycznych, która psuje ten charakter pierwotnej naiwnej prostoty. Życia bardzo mało, ale chwilami jednak jest; głównie a prawie wyłącznie w tych rozmowach, gdzie autor mógł pomagać sobie tem, co widział lub słyszał, co znał z życia. Scena naprzykład, w której *Hausknecht* sam do siebie mówi otwarcie, co myśli o Putyfarowej, a ona podsłuchuje i za to go z domu wypędza, jest niewątpliwie najciekawsza z całego dyalogu. Ale można także przypuszczać, że pierwsza rozmowa Zefiry z konfidentką Achizą (niby Fedra i Oenona) mogła się nieraz zdarzać w czasach Reya między młodą mężatką, szlacheckiego lub miejskiego stanu, a jaką starszą i więcej zepsutą przyjaciółką. Narzekanie Racheli, gdy się dowiedziała o mniemanej śmierci Józefa, także nie jest bez charakteru. W podobny sposób opłakują dziś jeszcze swoich zmarłych wiejskie niewiasty.

Zmiany znaczne idą po sobie szybko, w latach niedługich. Nowe nauki religijne szerzą się i zagłębiają, nabierają konsystencyi, organizują się. Drukarnie coraz częściej i liczniej wypuszczają książki i broszury, służące tej propagandzie. Po stronie drugiej wprawdzie zaczynają się ukazywać pisma Hozyusza, pierwsze Kromera, oznaki i początki późniejszej obrony, ale tama

nie może wstrzymać naporu wzbierającego prądu. Protestantyzm, a przynajmniej opozycya przeciw Kościołowi, wyrabia sobie główną kwaterę w Krakowie, dostaje sztab główny, który wskazuje cele, kieruje krokami, łączy usiłowania, a swoją wiarę w Lutra i Melanchtona afirmuje coraz otwarciej, coraz energiczniej. Zyskuje też coraz więcej ochotników i rekrutów między ogółem szlachty, pozyskuje i znakomite siły. W tym sztabie głównym jest Jakób Przyłuski i Andrzej Trzycieski, jest i Modrzewski, i jest nie tak uczony i głęboki, ale łatwiej na ogół działający Rey. Wszyscy oni zapewne nie myślą jeszcze odrywać się od Kościoła, tylko chcą i mają nadzieję nawrócić go do tego, co sami mają za dobre, i poprawić; niemniej niechęć do Kościoła rośnie, staje się wyraźniejszą, namiętniejszą, a jej propaganda śmielszą i czynniejszą.

Służy jej Modrzewski. Pismo jego *De Legatis ad concilium mittendis*, powstałe w chwili, kiedy zapowiedziany, a odkładany Sobór Powszechny miał się zebrać w Bolonii (1546), jest bardzo ciekawe i charakterystyczne. Oznacza ono, o ile już oddalili się ci przyszli dysydenci od Kościoła, i wskazuje, jak wyobrażali sobie jego przyszłość, w jakim kościele chcieliby, i zapewne spodziewali się pozostać. Sobór Powszechny ma podług Modrzewskiego, i podług tej opinii polskiej, którą on wyobraża, składać się nie z katolików samych, ale ze wszystkich wyznań chrześcijańskich. Myśl tę spotyka się w owym czasie nieraz, u prawdziwych i zupełnych katolików; rodzi ją nadzieja pojednania. Sobór ma wychodzić z powszechnego głosowania wszystkich wiernych, które następnie przez dwu i trzystopniowe wybory, wysyła trzech posłów. Sobór ten ma się wprawdzie odbywać pod powagą Papieża: ale równość głosu przyznana świeckim i duchownym, ale dyskusya o wszystkich artykułach wiary, która może się skończyć określeniem dogmatu, zgodnem z nauką Kościoła lub jej przeciwnem, wszystko to dowodzi, że autor zamiarem

swoim sięga głęboko nietylko w konstytucyę Kościoła, ale nawet w samą jego naukę. Być może, nawet prawdopodobne, że oni nie zdają sobie jasno sprawy z tego, co robią, ze skutku i kresu tego, co przedsiębiorą; marzą szczerze o naprawie Kościoła i o zjednoczeniu chrześcijaństwa, a tego nie widzą, że rozbijają jego jedność i zmieniają samą jego naturę.

Rey w tych latach milczy, przynajmniej nie drukuje; w cichości tylko postępuje zapewne dalej na dysydenckiej drodze i przygotowuje się do tej roli czynnej: wypędzania księży, zabierania kościołów, zakładania zborów, w jakiej niebawem występuje. Orzechowski nie reprezentuje wzmagającego się protestantyzmu; przeciwnie, występuje w obronie Kościoła (*Ecclesiae contra Lutherum defensio* i *Pro Ecclesia Christi 1546*). Ale wyobraża on inny pierwiastek zaburzenia, inną właściwość swego czasu: namiętność, wolę, upór człowieka, wzniesiony nad wszystkie względy i prawa, indywidualność wybujałą i nie rozumiejącą, żeby cokolwiek mogło jej nie ustąpić.

Szarpie się ten ksiądz w więzach, które mu stan duchowny nałożył, a jego temperament gwałtowny każe mu nie spocząć, dopóki się z tych więzów nie wyrwie. Nie zupełnie można mu wierzyć, kiedy mówi o sobie, że był przez ojca zmuszony do przyjęcia święceń kapłańskich. Człowiek trzydziestoletni, a jeszcze z takiem jak jego usposobieniem, nie łatwo daje się zmusić. Przypuszczać więc można, że się na stan duchowny godził; ale to pewna, że się z nim nie chciał zgodzić. Bezżeństwo księży ciążyło na nim swoją przysięgą, a nauki protestantów, których się nasłuchał za młodu, a złe obyczaje wielu bezżennych kapłanów kazały mu wmawiać w siebie, że celibat jest dla dusz ludzkich i dla Kościoła zgubny. Ztąd, może po części ze krwi, skoro matka była Rusinką, sympatya do greckiej cerkwi, która księżom pozwala się żenić. Ztąd,

w piśmie o *Chrzcie Rusinów*, wykrętne dow(dzenie, że między tą cerkwią a Kościołem różnic niema i że tylko pycha rzymska zmusiła Greków do oderwania się od jedności. Szczerem to twierdzenie być nie mogło, bo Orzechowski ignorantem nie był i nie mógł tak nie znać historyi Kościoła, iżby nie wiedział, jak powstał rozdział kościołów. Pismo podpadło, jak podpaść musiało, pod cenzury biskupie. Autor się poddał, obiecał poprawę. Ale niebawem wyszło w świat drugie pismo, *De Coelibatu*. Czy istotnie, jak się przed sądem biskupim tłómaczył, podstępnie, bez jego wiedzy i woli wydrukowane? Można wątpić, znając jego usposobienie i postępowanie. Ale jakkolwiekbądź, nie mogło być inaczej, jak że władza kościelna musiała wystąpić przeciw książce, uderzającej namiętnie na karność kościelną, i autora jej pozwać przed swój sąd. Ten skończył się spokojnie, i jak się zdawało, szczęśliwie, lekką karą na obwinionego i jego obietnicą poprawy (1547). Ale już zatarg z biskupem przybrał charakter ostrzejszy i stały; już Orzechowski jest na tej drodze, która przez przekręcanie i paradoks, przez namiętność i upór, doprowadzi go do ożenienia.

Tak wyglądała, do takiej miary doszła, literatura polska, kiedy wiek XVI kończył swoją pierwszą połowę. Była zaledwo w początkach; ale była już bardzo przejęta starożytną filozofią i nauką, była w związku żywym z współczesnemi sprawami europejskiego świata, była odbiciem już dość wielostronnem polskiego usposobienia, życia i oświaty, z tem życiem wchodziła w związek coraz żywszy, i z niego coraz więcej soków żywotnych czerpała, bo zaczęła używać własnego języka i używać go do dzieł, przeznaczonych dla czytelnika wykształconego. Wreszcie, miała na swoje usługi pisarzy prawdziwie znakomitych.

A wtedy, w roku 1548 „1-go kwietnia w dzień Wielkiej Nocy o samę wielką Mszę," umierał w Kra-

kowie na Zamku król Zygmunt Stary. Zgon jego opłakiwali, a cnoty sławili w pięknych oracyach biskup Maciejowski, Kromer, Orzechowski. Ale z tym zgonem i z panowaniem króla młodego nastał nowy zwrot w dziejach Polski i w dziejach jej literatury.

ROZDZIAŁ III.

(1548—1557).

I. Sprawa królewskiego małżeństwa. Sprawa i pisma Orzechowskiego. Marycki. Modrzewskiego *Poprawa Rzeczypospolitej*. Statut Przyłuskiego. II. Historya Kromera. *Annale* Orzechowskiego. Reya *Wizerunek*. Występuje Kochanowski.

I.

Sprawa królewskiego małżeństwa. Sprawa i pisma Orzechowskiego. Marycki. Modrzewskiego *Poprawa Rzpltej.* Statut Przyłuskiego.

Przez pierwszych parę lat góruje nad wszystkiem sprawa królewskiego małżeństwa. Religijne i polityczne dążenia i pomysły wzbierają i niebawem odezwą się z podwojoną siłą; ale na razie zagłuszone są gwarem, podniesionym około Barbary. Każdy interes, i każda namiętność, znajduje w tej sprawie wygodną przyczepkę, z nią się łączy, żeby, trafiając w panujący ton uczucia i opinii, wtórując mu i podnosząc go wyżej, zyskać wziętość, popularność i z tą pomocą trafić do swego celu.

Tak Orzechowski. Zaledwo gruchła po całej Polsce wieść o ożenieniu króla, i wywołała gniew, oburzenie, wzburzenie umysłów, puścił w świat drugą część *Wiernego Poddanego.* Czy ona była drukowaną, a później wycofywaną z obiegu i niszczoną, czy też rozchodziła się w rękopiśmiennych tylko kopiach [1]), wszystko jedno. Pisemko musiało mieć wielkie powodzenie, a królowi wiele szkodzić, skoro ten przykazał Orzechowskiemu ściągać rozpuszczone po świecie egzemp-

[1]) Pierwsze wydanie *Subditusa*, dziś znane, jest z r. 1584.

larze. Co do treści politycznej, ta druga część *Subditusa* jest powtórzeniem pierwszej z roku 1543, innemi słowami tylko. Nowem jest w niej to, co się odnosi do królewskiego małżeństwa. Orzechowski udaje, jakoby o niem nie wiedział, co jest trudnem do uwierzenia, skoro cała Polska trzęsła się od roku tą wiadomością i dodawanymi do niej komentarzami. Upomina tylko króla uroczyście (a złośliwie), żeby się powtórnie ożenił, i to tak godnie, tak świetnie, jak za pierwszym razem. Gdyby go uwiodła miłość, która zgubiła Troję, która nieszczęśliwą Dido przyprawiła o śmierć, która niejednego dobrego króla zmieniła w tyrana, to zgubi królestwo i siebie.

Ta apostrofa i groźba dla króla, która musiała podobać się rozjątrzonej przeciw niemu opinii, schodzi się z nowem a groźnem zawikłaniem w położeniu autora. Orzechowski, który po cenzurach na *Chrzest Rusinów* i na *De Coelibatu*, przyrzekł karności kościelnej pilnie przestrzegać, teraz nietylko głośno i publicznie pochwalał mniemane ożenienie się księdza Walentego proboszcza z Chrzczonowa, ale na sejmiku w Wiszni zapowiadał wręcz, że się sam lada dzień ożeni. Biskup Dziaduski pozwał go przed swój sąd. Chodziło więc o to, żeby mieć opinię po sobie, na swojem postawić, biskupa zastraszyć potężnem poparciem, i sprawę wygrać. Łatwo być może, że Orzechowski szczerze był oburzony małżeństwem królewskiem, że wierzył, jak bardzo wielu, w krzywdzące pogłoski o Barbarze; niemniej pewnem się wydaje, że zręcznie chwycił w lot dobrą sposobność, żeby, występując jako rzecznik i obrońca powszechnej opinii, zyskać jej względy i poparcie dla siebie.

Zupełnie już widocznym jest ten cel w drugiem jego pisemku o tej sprawie, w tem, które Ossoliński znał pod tytułem *De Obscuro Regis Matrimonio*, a Korzeniowski wydał jako Oracyę *ad Equites Majoris Po-*

loniae [1]. Paszkwil niegodny, nawet gdyby był prawdziwym i słusznym; obelżywy w najwyższym stopniu dla Barbary, dla jej matki i braci, dla jej męża bolesny nad wszelki wyraz, rzucony był między szlachtę w roku 1550, przed owym sejmem, na którym miała się toczyć sprawa małżeństwa, na który miała przyjść także sprawa Orzechowskiego z biskupem. Wielkie w zakończeniu pochwały arcyksięcia Maksymiliana, miały być ukrytą groźbą dla króla: jeżeli małżeństwa nie zerwie, będzie musiał złożyć koronę; następca lepszy od niego jest już upatrzony.

Orzechowski tak istotnie pociągnął i podbił opinię, że biskupi z obawy gorszych zaburzeń wstrzymali się od sądzenia sprawy. Poprzestali na przyrzeczeniu oskarżonego, że się nie ożeni, aż jak z Rzymu dostanie na to pozwolenie.

Przyrzekł: w początkach roku 1551 już się (niby) ożenił. Wtedy biskup nie mógł już zrobić nic innego, jak wydać wyrok. Skazał Orzechowskiego na wygnanie z dyecezyi, na utratę wszystkich beneficyów kościelnych i na utratę czci. Wyrok ten poprawił jeszcze sprawę Orzechowskiego u szlachty. Protestanci musieli i tak stać po jego stronie; ale stanęli po niej teraz i katolicy także. Gdyby sądy duchowne miały szlachcica pozbawiać czci, to co staćby się mogło? Nikt nie byłby już pewnym, czy nie będzie od niej odsądzonym! Burza podniosła się taka, że biskupi musieli się cofnąć. Sprawa została w zawieszeniu, aż do czasu, kiedyby Rzym małżeństwo Orzechowskiego uznał za ważne, lub je potępił.

W tej chwili, tak dla siebie ważnej, napisał Orzechowski swój *List do Papieża Juliusza III.* W *Liście*

---

[1] Tytuł ten ze współczesnego rękopisu Biblioteki Suskiej.

tym domaga się uznania swego małżeństwa, a w przeciwnym razie grozi oderwaniêm Polski od Kościoła. Urąga Papieżowi, że choćby go i skazał i wyklął, to nikt w Polsce na wolnym szlachcicu wyroku jego nie wykona. Dowodzi sofistycznie, że miał prawo się ożenić i żeniąc się, zrobił dobrze, bo św. Paweł mówi *melius est nubere, quam uri*, a on nierządne życie ujął w karby św. małżeńskiego stanu. Że on, jako ksiądz, Sakramentu małżeństwa przyjmować nie mógł, to pomija, jak gdyby tego względu nie widział, jak gdyby on wcale nie istniał. Ale nie dość mu na takiem wyłamaniu się z kościelnej karności: rzuca się zuchwale na Kościół sam, na jego artykuły wiary. Papieży dawniejszych i nowszych lży ostatnimi słowami, niewolę rzymską nazywa gorszą od tureckiej, a wreszcie, co najciekawsze, z urąganiem oświadcza Papieżowi, że ludzie śmieją się już ze spowiedzi i innych podobnych wymysłów, bo zrozumieli, że to wszystko „matactwa," któremi się prostych ludzi oszukuje i w strachu a posłuszeństwie trzyma.

List ten jest szczytem zuchwalstwa, niekonsekwencyi, sofistycznego przekręcania, i namiętności, na wszystko zaślepionej, a szalejącej w swoim uporze. Przez to wszystko jest bardzo charakterystycznym, jako krótki, ale doskonały wyraz wszystkich złych stron i wad Orzechowskiego.

Nie on sam jeden przecież wypełnia całą literaturę z pierwszych lat Zygmunta Augusta. W roku 1551 wychodzi małe, szanowne dziełko Maryckiego *De Scholis seu Academiis*, jedyne, jakie w tym wieku mamy wyłącznie sprawom szkół poświęcone. Uczony profesor Akademii krakowskiej, w tych latach najpoważniejszy może w jej gronie, ze stopniowego, a coraz widoczniejszego jej upadku wziął zda się pochop do napisania tej książki, której celem jest podniesienie nauki i oświaty w Polsce. Żąda on, żeby rząd wziął szkoły pod swój dozór i opiekę, żeby nauczyciele mieli

dostateczną płacę, bo przy tej, która jest, utrzymać się prawie nie mogą; żąda, żeby szkoły średnie (*municipales*) były ściślej dozorowane, a uczniów swoich nie na pokaz i pozór tylko, ale naprawdę uczyły. Całkowitego, a dopieroż nowego programu organizacyi wychowania, choćby tylko zmienionego planu nauk i rozkładu ich na lata, niema; nauka zostaje, jaką była, i zasadza się w szkołach średnich na filologii, w Akademii na filologii i filozofii (Arystotelesa). Czegokolwiek przecież brak, to autor ma zasługę, a książka wartość, przez to, że zwraca uwagę ogółu na sprawę wychowania, że się o nią gorliwie troszczy, że jest w tym rodzaju pierwszą, a na długie czasy jedyną.

Dlatego należała jej się zaszczytna wzmianka. Ale po tej krótkiej wzmiance przejść jest pilno do dzieła naprawdę wielkiego, do takiego, które jest chlubą jedną z najświetniejszych naszej literatury XVI wieku, a szczytem i koroną jednej jej gałęzi. W tym samym roku 1551 wyszło po raz pierwszy dzieło Modrzewskiego *De Republica Emendanda.*

Te niedostatecznie określone i wyrobione, ale silne instynkty i popędy, które pchają ówczesne społeczeństwo polskie do jakiejś poprawy Rzeczypospolitej, znajdują wyraz może najpoważniejszy w książce Modrzewskiego, która nosi ten tytuł. Nie bez żalu przychodzi wyznać, że wszystkie działania i uchwały sejmów, ile ich było przez ciąg tego *egzekucyjnego* okresu, nie wydały na polu praktycznem nic, coby było tak całkowitem i tak dobrze rozważonem, jak jest na polu teoryi reforma, w tem dziele opisana. Jest ono niezawodnie skutkiem i wyrazem tego dążenia opinii do jakiejś zmiany i naprawy, tego uczucia, że jakaś jest konieczną. Tu zbiegają się i układają w porządku te żądania reorganizacyi wojska, skarbu, sprawiedliwości, które powtarzają się od lat przeszło dwudziestu na sejmach, a doraźnie odzywają w ulotnych politycznych pismach. Tu (na pierwszem niemal miejscu) szczegó-

łowa na pozór, ale w rzeczy i w skutkach bardzo zasadnicza kwestya kary śmierci za wszelkie mężobójstwo; tu występuje i ta druga, politycznie niezmiernie ważna (a nieszczęściem niedość powtarzana i roztrząsana), jak wschodnie kresowe województwa zabezpieczyć od tatarskich najazdów. Tu znajdą się i te reformy ekonomicznej lub policyjnej natury, o których często mowa jest na sejmach; tu i na wychowanie publiczne zwrócona jest uwaga; i wreszcie to, co współcześnie przedewszystkiem zajmowało umysły, sprawa religijna, zmiana wiary i organizacyi Kościoła, znajduje wyraz, który można uważać za skład pojęć i żądań polskich zwolenników reformacyi [1]).

Jakież są te pomysły najważniejsze, najlepsze, które każą uważać Modrzewskiego za umysł bardzo niepospolity, a jego dzieło za pierwsze i naczelne w naszej literaturze politycznej, za jedno z głębokich i świetnych w całej ówczesnej literaturze politycznej, a pod niejednym względem za wyprzedzające swój czas i naród?

W szczegóły wdawać się tu nie można: nie starczyłoby miejsca. Krótko zatem wyliczamy tylko te pomysły, które autorowi przynoszą największą chwałę, a Polsce mogły przynieść największy pożytek.

Do takich należy w księdze pierwszej (o obyczajach) żądanie, żeby król o swoich poddanych wszelkiego stanu jednako dbał i starał się o „porównanie między nimi," nie ze strony majątku, urzędu lub dostojeństwa, ale przez pielęgnowanie wzajemnej życzliwości, zgodnego usposobienia. Środek, na to wynaleziony, nie mógłby wystarczyć: jest nim tylko pochwała lub nagana królewska. Ale w żądaniu samem tkwi głęboka znajomość wrodzonych wad polskiego społeczeństwa i trafne przewidzenie, że ta

---

[1]) Ten ustęp wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI w.*

społeczna niezgoda może się na niem kiedyś pomścić.

Prawo uchwalania podatków przez obywateli, znane było wiekom średnim, a w Polsce nie przestało nigdy być wykonywanem; w reszcie Europy znikło dopiero, gdy w ślad za reformacyą przyszła zasada wszechwładzy państwa, wcielonego podówczas w absolutnego monarchę. Tem żądaniem więc nie wyprzedza Frycz swego kraju lub innych, ale staje już wyżej od współczesnego społeczeństwa polskiego, gdy żąda odpowiedzialności urzędników i uporządkowania administracyi, przez podział spraw między cztery główne dobrze określone urzędy (po dzisiejszemu *ministerya*). Żąda dalej, i to dość stanowczo, zniesienia monopolów; żąda wolności słowa (nie wspominając o druku). Dba o porządèk i bezpieczeństwo, i domaga się praw ścisłych a wykonywanych, co do dróg, mostów, szpitali, domów przytułku i pracy dla ubogich, cen targowych, zabezpieczenia od ognia. Nie posuwa się do wyraźnego żądania, iżby ludzie nieszlacheckiego stanu byli przypuszczani do urzędów, ale tak dobitnie i wymownie dowodzi, że za zdolnością i prawością nie za urodzeniem miałby iść urząd, że widocznie i to porównanie ma na myśli, i tego pragnąłby dla Polski.

Księga druga *o Prawach*, zawiera te najistotniejsze podstawne warunki równowagi społecznej, których brak stał się niemocą Polski i jej nieszczęściem, a których przywrócenie mogło zmienić całą kolej jej losów. Dlatego tę księgę uważać należy za najważniejszą i najchwalebniejszą w całem dziele, owszem w całym zawodzie Modrzewskiego. Takie pomysły są dwa. Pierwszy „znieść praw i karania różność," czyli znieść to prawo, które karze grzywną i wieżą zabójstwo, popełnione przez szlachcica, a śmiercią zabójstwo, popełnione przez plebejusza. Ta nierówność, to płacenie głów pieniędzmi, musi rodzić waśnie i nienawiści i srodze się kiedyś na Rzpltej odbije.

Pomysł drugi, to zniesienie jurysdykcyi pana nad

poddanym, a oddanie tego pod sądy zwyczajne. Nie trzeba mówić i tłómaczyć, że zmiana w tych dwóch prawach mogła zmienić i poprawić cały stan społeczny Polski.

Ale prócz tego żąda Modrzewski i dobrej administracyi sprawiedliwości, a mianowicie: zniesienia rozmaitości praw i sądów, a zaprowadzenia tego samego prawa i tych samych sądów dla wszystkich; ułożenia porządnego kodeksu; wreszcie zdjęcia z króla i sejmu obowiązku sądzenia spraw, a ustanowienia osobnego, stałego i wybieralnego trybunału. Myśl ta, znacznie już w owych latach rozpowszechniona, stała się rzeczywistością w lat trzydzieści później, za Batorego, z tą wszakże wielką różnicą, że Modrzewski chce trybunału wybieralnego, ale przez wszystkie stany, kiedy rzeczywisty późniejszy trybunał był wyłącznie szlacheckim.

Trzecia księga, *o Wojnie*, zaczyna od pięknego rozróżniania wojny godziwej, a złej. Pierwsza prowadzi się dla obrony, obrony wiary, albo wolności i całości Rzpltej; druga dla zdobyczy i żądzy panowania. Każda wojna jest nieszczęściem, i dlatego słusznieby było zaprowadzić sądy polubowne, które w razie sporu między panami chrześcijańskimi, miałyby wojnę usuwać. Ale jeżeli ona jest konieczną, a godziwą, wtedy dobry obywatel wszystko w niej poświęcić winien.

U nas, dla bezpieczeństwa Rzpltej potrzebne byłoby zabezpieczenie ziem ukrainnych, przez zakładanie na nich kolonij rycerskich. Dalej biegłość i karność wojska. Do pierwszej służyć ma kolejna służba szlachty w ziemiach pogranicznych, coroczne ćwiczenia i lustracye, wreszcie szkoły dla wojskowych. Do drugiej porządek w ciągnieniu (szybka, dobrze uorganizowana jak dziś nazywamy mobilizacya), zarzucenie niepotrzebnych zbytkowych bagażów, wozów, pachołków i t. d., wreszcie rygor, trzymający żołnierza w karbach, żeby nie mógł łupić, grabić, ludzi krzywdzić.

Ale wojsko, żeby nawet najlepsze, nie zapewni zwycięstwa, jeżeli nie ma czem się utrzymać. Dlatego pierwszym warunkiem dobrej organizacyi wojskowej jest dobrze uporządkowany skarb. Podaje tu Frycz, rzecz u nas bardzo rzadka, całkowity plan takiego urządzenia skarbu; nie swój własny, jak mówi, ale prymasa Łaskiego. Oto jego główne zasady:

Funduszem zakładowym skarbu ma być opłata, jaką mu składa każdy obywatel, kiedy obejmuje swój majątek, raz w życiu, mianowicie połowę rocznego dochodu. Kmiecie i mieszczanie, posiadający role, nie składają tej opłaty, pierwsi dlatego, że ich praca już jest objęta dochodem dziedziców; drudzy dlatego, że ich role są małe, więc z opłaty nie wieleby skarbowi przyszło. Dalej, co roku, płacą wszyscy, z wyjątkiem kmieci znowu, dwadzieścia procent od swego dochodu. Skarb taki nietylko wystarczyłby na utrzymanie wojska i na opłacanie sędziów (przy trybunale), ale wykazywałby znaczne zwyżki. Te za procentem cztery lub pięć od sta, mogłyby się wypożyczać ludziom prywatnym, a nawet miastom, z tym warunkiem, że w nagłej potrzebie Rzeczypospolitej, pożyczka musiałaby być na każde zawołanie zwróconą. Ten instytut kredytowy, nazwany przez autora Górą Zbożności, a ułożony na wzór włoski (*Mons Pietatis*), jest zadziwiający na swój czas, a mógł się okazać tak korzystnym, że my dziś mamy prawo mieć wielki żal do współczesnych, że się na tej organizacyi skarbu i kredytu poznać nie umieli.

Księga *o Kościele*, w myśli swego autora niewątpliwie najważniejsza, bo poświęcona kwestyi, która dla ówczesnego świata była pierwszą, nie wyszła w pierwszem (krakowskiem) wydaniu *Poprawy Rzpltej*. Nie wyszła skutkiem zakazu władzy duchownej. W przedmowie świadczy autor, że ona jest napisana, ale ją zawistne losy wstrzymały. Od owego zakazu, biskupiego zapewne, odwołał się Frycz do synodu, odbywającego

się w Piotrkowie. Synod, na wniosek Hozyusza, zatwierdził pierwszy wyrok. Dzieło, już prawie wydrukowane, wyszło bez księgi *o Kościele* i *o Szkole*. *Confessio Fidei* Hozyusza, na tymże synodzie ostatecznie ułożona, zbija, nie wymieniając Frycza, wiele jego twierdzeń, znanych z rękopisu autorowi *Konfesyi*. Frycz tem silniej zapragnął ogłosić swoje, bronić się, zbijać nawzajem to, co wyczytał w dziele Hozyusza, którego także nigdy nie nazywa. W Polsce jednak wydać tego nie mógł; drugie wydanie *Poprawy Rzpltej*, tym razem zupełne, wyszło w Bazylei w roku 1554.

Księga *o Kościele* daje poznać wybornie to stanowisko niejasne, utopijne, na jakiem stało wielu ówczesnych różnowierców, ale i niektórzy z katolików także: to złudne mniemanie, że może nastąpić jakieś pogodzenie na polu artykułów wiary, jakieś zjednoczenie za pomocą kompromisów. Każdy coś ze swego ustąpi i wszyscy się pogodzą. Modrzewski, który w latach późniejszych coraz dalej i coraz namiętniej odstępuje od Kościoła, w tej księdze *o Kościele* podaje się, i zapewne w dobrej wierze uważa się, za katolika. Wyobraża sobie, że Sobór, ale nie taki jaki dotąd zapowiadano, tylko prawdziwie powszechny, złożony z reprezentantów wszystkich wyznań chrześcijańskich, i nie z duchownych wyłącznie, ale i ze świeckich, wynajdzie jakieś nowe a elastyczne formuły na artykuły wiary, w których wszystkie różnice wierzeń pomieszczą się wygodnie. Wyobraża sobie, naturalnie, że ten Sobór zaprowadzi małżeństwo księży i Komunię pod dwiema postaciami; ale prócz tego wskazuje, jak mógłby zmodyfikować naukę o Łasce, o Przeistoczeniu Chleba i Wina w Ciało i Krew Pańską, o czci Świętych, o spowiedzi, o usprawiedliwieniu przez wiarę i uczynki. Słowem, jakieś stanowisko dziwne, zawieszone między katolicyzmem a protestantyzmem, w którem oczywiście długo utrzymać się nie mógł, musiał się przechylić na jedną lub drugą stronę. Przechylił się na protestancką.

W dalszym ciągu tej księgi podaje plan nowej organizacyi Kościoła; mianowicie wybór proboszcza przez głosowanie powszechne wszystkich wiernych w parafii, wybór biskupa przez takież, tylko dwustopniowe głosowanie wiernych z dyecezyi. Sposób wybierania Papieża znajdzie się dopiero w jego pismach późniejszych.

Księga o Szkołach, najmniejsza i najmniej ważna ze wszystkich, o organizacyi szkół i o naukach, mówi tylko rzeczy ogólne, a jedyne żądanie określone, jakie z niej wydobyć można, jest to, żeby koszt utrzymania szkół ponosili biskupi.

Jaki jest związek dzieła Modrzewskiego ze współczesnym światem, europejskim jak polskim, z jego oświatą i z jego historyą?

Wspólną z całą epoką ma on podstawę pojęć filozoficznych i filozoficzno-politycznych, opartą na starożytnych. Swoje pojęcia i żądania religijne wykształcił, oczywiście, na uczonych protestantach niemieckich. Nie można wątpić, że znał także statystów i polityków humanistycznych; ale jeżeli ich znał i z nich korzystał, to żadnego z nich nie naśladował. Plan, układ *Poprawy*, system organizacyi państwa, jaki się w niej znajduje, nie jest podobny do żadnego z ówczesnych statystów zagranicznych, jest jego własny. Żądanie zaś jednego prawa dla wszystkich, zniesienia jurysdykcyi pana nad poddanym, prawa posiadania ziemi dla mieszczan, i powszechnych podatków (z wyjątkiem kmieci) są, o ile wiemy, na całą ówczesną Europę jedyne.

Ze współczesną Polską łączy się Frycz w tem, że jak ona żąda organizacyi wojska, skarbu i sprawiedliwości, tylko organizacyę tę lepiej, praktyczniej widzi i określa. Jego żądania w rzeczach religijnych są wprost programem ówczesnych różnowierców polskich, jak dowodzi sejm z roku 1555 i 1556. Wyłączną własnością Modrzewskiego, a zarazem jego wyższością nad

ówczesną Polską, jego największą zasługą i chwałą, jest dążenie do oparcia reformy politycznej na reformie społecznej, i wskazanie najlepszej ku temu drogi: jedno prawo dla wszystkich, zniesienie jurysdykcyi pana nad poddanym, dopuszczenie mieszczan do posiadania ziemi, przez to pośrednio do urzędów. Wspólne zaś znowu z ówczesną Polską jest to, co stanowi stronę najsłabszą, wielki brak, jego Poprawy Rzpltej. On widzi, jak wszyscy, że ta poprawa jest potrzebna, ale tak, jak wszyscy, nie widzi, a przynajmniej nie mówi, że pierwszym warunkiem tej poprawy jest stworzenie i zabezpieczenie władzy rządzącej. Pod tym względem Modrzewski nie przewyższa swoich współczesnych; pod wieloma innymi przewyższa ich o tyle, że jego dzieło jest najlepszem, pierwszem w naszej literaturze politycznej tego wieku, a on jej postacią naczelną i na zawsze jedną z najznakomitszych.

Uzupełnieniem Modrzewskiego jest poniekąd Jakób Przyłuski. Tamten więcej teoretyk i myśliciel, ten prawnik i człowiek praktyczny. Oba zaś z tego samego stronnictwa, tak samo pragną poprawy Rzeczypospolitej, a przedewszystkiem reformy, czyli reformacyi, w Kościele. *Statut* Przyłuskiego zawiera nietylko zbiór praw, ale i ich wykład; z tych zaś jego komentarzy pokazuje się, że był w pojęciach i żądaniach religijnych z Modrzewskim (i z ogółem ówczesnych protestantów) zupełnie zgodny, tylko więcej od Modrzewskiego namiętny. W pojęciach politycznych ma jedną nad Modrzewskim wyższość: mówi, że tron dziedziczny jest lepszy od wybieralnego, bo pewniejszy, a elekcyę uważa za dopuszczalną tylko w razie wygaśnięcia dynastyi. Ale z tej teoryi słusznej nie wyciąga praktycznego wniosku, nie żąda ustanowienia porządku bezkrólewia, i sposobu elekcyi na przypadek śmierci Zygmunta Augusta. W pojęciach społecznych znowu, i w żądaniach tej poprawy, zostaje poniżej Modrzewskiego. Pisma Przyłuskiego, jednego z głównych przy-

wódców tego kierunku, prowadzą do wniosku, że to stronnictwo protestanckie i egzekucyjne miało jasną ustaloną świadomość tego, czego chciało w rzeczach religijnych, ale dużo mniej dobrze wiedziało, co rozumiało przez reformę polityczną i jak ją sobie wyobrażało.

Literatura polityczna jest w tych latach, obok teologicznej i polemicznej, najżywszą; one tylko wydają u nas dzieła, które można nazwać wielkiemi, a przynajmniej bardzo znakomitemi. *Respublica* Modrzewskiego i Hozyusza *Confessio Fidei Christianae* (1553), przyjęta z zapałem przez Kościół, tłómaczona na kilka języków, to dwie wielkie chwały polskiej umysłowości i nauki z tego czasu.

Po stronie protestanckiej czynność i skrzętność większa, większa liczba pism; wielka także wziętość i sława u postronnych. W opinii, i w zamiarach, ówczesnego protestantyzmu europejskiego Polska musi znaczyć wiele, bo i na nią starają się wpływać ustawicznie, i nawzajem jej wpływ przyjmują. Dowodzi tego wielkie stanowisko, jakie zajmował Jan Łaski w Holandyi i w Anglii, dowodzi ten napływ różnowierców zagranicznych, których nęci do Polski swoboda propagandy, bezpiecznej od prześladowania. Dla literatury ma ta propaganda wielkie znaczenie i skutki: ona rozszerza i ustala używanie języka polskiego, i przyczynia się bardzo do jego wyrobienia. W tych pierwszych latach Zygmunta Augusta ważną postacią literatury protestanckiej jest Jan Seklucyan. Pisze własne, wydaje cudze ulotne pisma polemiczne, układa i wydaje kancyonały, wreszcie wydaje przekład Nowego (później i Starego) Testamentu, w którym język jest już prawdziwie piękny. Około niego cała liczna grupa innych, jak Krowicki, Trzycieski, później Wolan Grzegorz z Żarnowca, Vergeriusz jak znakomity Modrzewski—i najwięcej czytany, najbardziej popularny Rey.

Ale rozbudzone życie udziela się i innym gałęziom piśmiennictwa: i te zaczynają rozwijać się bujniej. Pomijamy te ciekawe, naiwnością swoją sympatyczne, a czasem nie pozbawione żywszego zacięcia, małe książeczki, przeznaczone dla ogółu, dla przyjemnej, a razem budującej lektury, jak *Historye Rzymskie*, na wszystkie niemal języki w swoim czasie tłómaczone (*Gesta Romanorum*), u nas, według Ptaszyckiego, po raz pierwszy w roku 1553 wydane. Śpieszymy do rzeczy poważniejszych i ważniejszych, do historyi prawdziwej.

II.

Historya Kromera. *Annale* Orzechowskiego. Reya *Wizerunek*. Występuje Kochanowski.

W tych samych latach, kiedy czynność Orzechowskiego i Modrzewskiego jest w samej sile, kiedy literatura polska właściwie jeszcze nie wyszła na wierzch, bo nic prawie w polskim języku z druku nie wyszło przed ogłoszeniem pism Reya, w roku, kiedy podług podania młody Kochanowski miał napisać swój pierwszy wiersz polski, historya zdobywa się na dzieło, którego nie można nazwać krokiem naprzód, w porównaniu do Długosza, ale dzieło ważne przez to, że współcześni uważali je za doskonałe, że odpowiadało wszystkim ich pojęciom o historyi i spełniało wszystkie ich żądania, dzieło, które przez długi czas uchodziło za podstawę znajomości dziejów polskich, za *non plus ultra* rodzaju, a które rzeczywiście reprezentuje bardzo wiernie kierunek i charakter naszej historyografii XVI-go wieku.

W roku 1555 wychodzi Historya Kromera, *Polonia sive de origine et Rebus gestis Polonorum.*

Przed nim jedno dzieło wydała historyografia polska, i to na rok jeden przed dziełem Kromera (1554), Marcina Bielskiego *Kronikę Świata.* Nie Kronikę Polską, wydaną, a jak zdaje się pewnem i dowiedzionem całkowicie napisąną przez jego syna w lat czterdzieści

później, ale *Kronikę Świata*, rodzaj historyi powszechnej od początku świata. Historya polska, doprowadzona do śmierci Zygmunta Starego, stanowi tylko część, jedną księgę całego dzieła, i jest w treści swojej powtórzeniem Wapowskiego, dokąd ten dochodzi, a później od r. 1535, jego kontynuacyą. Reszta opowiada dzieje starożytne, podzielone ówczesnym sposobem na cztery monarchie, dalej dzieje wieków chrześcijańskich, Papieży i cesarzów, historyę węgierską, czeską, Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, opis świata, nawet nowo wynalezionego; a wreszcie podaje różne oderwane wiadomości historyczne, geograficzne, nawet etnograficzne. Do historyków należałoby sądzić o wartości tego dzieła i orzec, jak dalece ono jest wyciągiem i powtórzeniem z dzieł obcych; porównanie dokładne i jego rezultat należy do badania i sądu historyków. Tu wystarcza ogólna wiadomość, że dzieło to historycznem źródłem, historyczną powagą być nie może, tylko historyczną ciekawością. Dla literatury jednak jest ono ważne, wprowadza wielką nowość, której lepsi od Bielskiego historycy nie czuli potrzeby: jest pisane po polsku.

Wreszcie w roku 1555 wyszła Kronika Kromera, dzieło które doświadczyło na sobie zmienności losu i ludzkiej łaski. Przez współczesnych cenione niezmiernie, tak cenione, że niepowtórzonym może w dziejach przykładem, Rzplta sama, w sejmie zebrana, wyraziła autorowi uznanie jego zasług i swoją wdzięczność, a do tych tak zaszczytnych dzięków, król Stefan dodał kilka słów od siebie. Wieńce laurowe, dawane poetom przez Papieży lub książąt, wydają się obok tego małym tryumfem i chwałą. I nie dość na tem: Kromer i jego współcześni byli już dawno w grobie, a potomni przez długie czasy wierzyli w jego chwałę i powagę jego książki. Przez wiek cały, może dłużej, był Kromer źródłem i podstawą wszelkiej znajomości historyi polskiej. Pokolenia całe, co o swoich dziejach

wiedziały, to z niego; jeszcze Sobieski z niego uczył się historyi polskiej; ojciec jego wyraźnie zaleca, że powagą, na której ma się zasadzać cała jego synów znajomość ojczystych dziejów, ma być Cromerus. Pod koniec dopiero XVII-go wieku blednie jego gwiazda, słabnie jego wziętość, może dlatego, że na niedbałe wychowanie ówczesne był za obszerny, za szczegółowy, za dobry; wystarczały im krótkie *Compendia*, katalogi królów. Później, kiedy wreszcie wyszedł z ukrycia Długosz, kiedy się zaczął ruch wydawniczy i bibliograficzny, a po nim przyszedł ruch krytyczny i ten udzielił się historyi, wtedy Kromer spadł ze swojej dawnej wysokości, wtedy sława jego słusznie przeszła na Długosza, ten został głównem źródłem informacyi, fundamentem polskiej historyografii, a dziś Kromer za powagę pierwszorzędną, za pisarza źródłowego nie uchodzi wcale.

Czemu przypisać tę różnicę sądów? Jeden i drugi dają się łatwo pojąć. Słusznym jest nasz sąd dzisiejszy, ale sąd współczesnych był zupełnie naturalnym, nie mógł być innym. My dziś mówimy, że Kromer jest historykiem, który bez krytycznego sądu, nawet bez zadania sobie pracy sprawdzenia i zbadania wielu rzeczy, skraca, streszcza, czasem rozszerza, ale zawsze powtarza to, co przed nim napisali inni; co napisał Długosz do roku 1480, dalej co napisał Miechowita, Decyusz, Wapowski; mówimy, że nie stara się ani faktów lepiej rozpoznać i w prawdziwem świetle przedstawić, ani ludzi i wypadków ze stanowiska bądź moralnego bądź politycznego sądzić; mówimy, że nie ma ani wartości pisarza źródłowego, który podaje fakta w ich pierwotnym rzetelnym kształcie, ani pisarza krytycznego, który z tak podanych faktów składa całość i właciwy charakter dziejów i sąd o nich wydaje; mówimy, że jest kompilatorem, i to kompilatorem, który nie ma nawet tej zasługi, jaką ma Miechowita lub Wapowski, żeby, powtórzywszy za drugimi dzieje dawniejsze, ciąg-

nął je dalej i opowiadał wypadki, na które sam patrzał: Kromer bowiem kończy na roku 1506.

Wszystko to jest prawdą, i dlatego mamy zupełną słuszność, kiedy do jego dzieła nie przywiązujemy tyle wartości, ile do dzieła Długosza, albo do dzieł historyków późniejszych jak Heidenstein, Piasecki albo Kochowski, zamykających się w obrębie jednej epoki i będących dla tej epoki źródłami pierwszego rzędu.

Ale z drugiej strony nie powinniśmy się dziwić wielkiej sławie i wziętości Kromera u współczesnych. Dla nas jest on tylko kompilatorem, wulgaryzatorem historyi polskiej, i dlatego jest nam i mniej potrzebny i w mniejszem u nas poważaniu. U nich, właśnie dlatego był w tak wielkiej cenie, że był kompilatorem i wulgaryzatorem; oni właśnie tego potrzebowali, a tej potrzebie czynił Kromer zadosyć w mierze bardzo szerokiej i z niepospolitą wcale do tego rodzaju dziejopisarstwa zdolnością. Przypomnijmy sobie, że oni historyi polskiej jako całości nie mieli; mieli dawnych kronikarzy przed Łokietkowych, którzy w barbarzyńskiej formie rozpowiadali im o czasach odległych, które ich mniej obchodziły; mieli Długosza, który nawet gdyby był drukowany i wszystkim przystępny, byłby ich raził swoją średniowieczną łaciną. To wszystko tylko w rękopisach. I wreszcie mieli Miechowitę, którego z upodobaniem, z zajęciem czytać nie mogli. Nie mieli więc zkąd uczyć się historyi polskiej, nie mieli jej w czem czytać, nie mieli zkąd zrobić sobie jasnego wyobrażenia o jej całości i ciągu. Historya częściowa, choćby najdoskonalsza, oparta na najsumienniejszem zbadaniu źródeł i podająca jako rezultat niewątpliwą prawdę, ale o pewnym tylko przeciągu lat, pewnych ludziach i wypadkach, byłaby im oddała przysługę nierównie mniejszą, aniżeli taka, która nie wszystko miała z pierwszej ręki, nie wszystko sama sprawdzała, nie wszystko przedstawiała dokładnie, ale dawała ten ogólny obraz całości, który był dla nich

właśnie pierwszą potrzebą. Oni chcieli i potrzebowali takiej książki historycznej, w której bez trudu i natężenia, jasno, zrozumiale, mogliby zobaczyć cały przebieg swojej historyi. Że tam ten lub ów szczegół może nie był zupełnie dokładny, o to nie pytali, nawet o tem nie wiedzieli; przestawali na tem, że był im podany jasno, zrozumiale i śmiało, z całym pozorem pewnej i dowiedzionej prawdy, tak, że w niego wierzyć mogli; łańcuch dziejów nigdzie się im nie zrywał, żadnego ogniwka nie brakowało. Wogóle wiek ten nie wchodził w rachunek zbyt ścisły z historyą, a cóż dopiero u nas, gdzie powaga książki i wiara w nią była tem większa, im ta książka była rzeczą świeższą i rzadszą, i gdzie potrzeba jakiejś historyi polskiej całkowitej i prawdopodobnej, na którąby można było się spuścić, była tak wielką, że współcześni byliby może umyślnie zamykali oczy na jej usterki, gdyby je nawet dostrzedz mogli.

Że zaś tej ich potrzebie nikt nie mógł uczynić zadosyć lepiej od Kromera, to się nie da zaprzeczyć. Talent kompilatorski, talent rozpowszechnienia, popularyzowania historyi jest niezawodnie niższym gatunkiem talentu dziejopisarskiego, ale ten talent on miał w wysokim istotnie stopniu. Przedewszystkiem pisze bardzo pięknie. Dziś nawet, kiedy przystępujemy do niego nie bez uprzedzenia, kiedy wiemy z góry, że nie znajdziemy u niego żadnych informacyj, którychbyśmy gdzieindziej dostać nie mogli z pierwszej ręki, i kiedy czytamy w nim to tylko, o czem wszyscy od dzieciństwa wiemy, nawet dziś, czyta się ten Kromer przyjemnie, z zajęciem. Ma on ten dar u historyka bardzo cenny, że opowiada wszystko żywo, a po prostu, jest jasny, jest zrozumiały; to co opowiada obejmuje się łatwo i zostaje w pamięci prawie bez jej natężenia. Oprócz tego, wyborny latynista, wziął od autorów łacińskich nie samą tylko sztukę budowania zdań i okresów, ale co więcej, ich sposób pisania, ten

ton tak właściwy historyi, który nie jest nigdy ani zawiłym ani górnym, a nigdy nizkim, nigdy pedantycznym, a zawsze poważnym. Wyobraźnią, fikcyą, nie sztukuje nigdy swego opowiadania, nie poetyzuje wcale: jeżeli co poda fałszywie, to w prostocie ducha, z naiwności nie z umysłu; przecież znać, że nie był on bez wyobraźni, bo jego opowiadanie jest zawsze żywe. Pisze sposobem kronikarskim, notuje wszystko, co się w pewnym roku stało; ale jakoś tak to robi zgrabnie, że rzeczy drobniejsze zostają jak gdyby w nawiasach, znikają, a ważniejsze zostają w ciągu i naturalnym związku. Wzorem jego, jeżeli miał jaki wzór ze świadomością obrany, był z Rzymian zapewne Liwiusz, najulubieńszy z historyków w owym wieku; jednak trzeba Kromerowi oddać sprawiedliwość, że nie naśladuje go w tem, w czem go naśladować najłatwiej: retorycznym nie jest wcale, pięknych maksym i frazesów nie lubi, a mowy niby to miane przez wodzów przed bitwami, choć daje, ale z umiarkowaniem.

Zważywszy te jego przymioty, dziwić się nie można jego wielkiej sławie i wziętości u współczesnych. On im złożył tę całość historyi polskiej, której łaknęli, i złożył ją pomimo wszystkich błędów rozumnie i pięknie; błędy jego były tego rodzaju, że świata ówczesnego nie mogły tak razić, jak nas, a na odwrót, jego przymioty musiały ich więcej, niż nas, ujmować. Ciąg opowiadania, jego jasność i żywość odpowiadały właśnie temu, czego oni od historyi żądali, a jego piękna i ozdobna łacina imponowała im wielce i podchlebiała ich miłości własnej; cieszyło ich to, że tym Kromerem i jego dziełem mogli się popisać przed zagranicą.

Dzisiejsza umiejętność mówi o nim, naprzód, że aż do roku 1480 powtarza Długosza; dalej, Wapowskiego żywcem, tak dalece, że po prostu całe ustępy z niego przepisuje. Potem zarzuca mu, że jest tenden-

cyjny; że w czasie kiedy swoją historyę pisał, toczyły się w opinii wielkie walki o podstawy i warunki ostatecznej Unii z Litwą; Korona ciągnęła na stronę administracyjnej centralizacyi, Litwa przeciwnie chciała związku jak najbardziej luźnego. Kromer musiał stać po stronie Korony, i dlatego w całym ciągu dziejów Jagiellońskich, mówią historycy, nakręca fakta i przedstawia je tak, iżby z nich wydedukować się dała na tradycyi i prawie oparta centralizacya; dalej mówią, że jest kompilatorem, że nie ma ani sumienności badacza ani zmysłu krytyka, że jest o wiele łatwowierniejszy, niż Długosz, a tam gdzie ma wątpliwości i chce rzecz krytycznie rozjaśnić, najczęściej ją zaciemni i zagmatwa, zamiast rozjaśnić.

Nie można powiedzieć, żeby on się był wcale do obowiązku krytycznego badania nie poczuwał: owszem, on wątpi o podaniach starych kronikarzy i stara się dojść prawdy o pochodzeniu i początkach narodu. Cytuje różne źródła, bizantyńskie, niemieckie, ruskie: musiał wiedzieć, że znać je był powinien. Podług niego Polacy nie są Wandalami, ani Dalmatami, ani niczem innem, tylko Słowakami, który to ród jest ten sam, co Wendowie, a pochodzi z Sarmacyi i z Lechem tu nad Wisłę przyszedł. Ale odkąd Kromer przyszedł do Lecha, opuszczają go wszystkie wątpliwości, zdaje mu się, że wyszedł na prostą drogę historycznej pewności i kroczy nią śmiało za drugimi; nietylko powtarza wszystko, co starzy kronikarze mówili o Lechu, Wizymierzu i jego duńskich zdobyczach, o dwunastu wojewodach, Krakusie, Wandzie, Popielach i Myszach, ale nadto ma wiadomości, których widocznie z żadnych już źródeł nie czerpał. Naprzykład, Lech rządził i zniewalał poddanych ojcowską miłością, nie zaś tyrańską srogością; Ziemowit założył szkołę rycerską; o Piaście wie nawet, jak wyglądał: był mały i krępy; a otrucie stryjów Popiela napad myszy opisuje tak szczegółowo i obrazowo,

jak gdyby na to był patrzał. Za to o stosunku Polski do Niemiec za Mieczysława, o politycznej stronie i konieczności przyjęcia chrześcijaństwa, ani słowa; może dlatego, żeby uniknąć mówienia o tej zależności od Cesarstwa, w jaką Polska ówczesna była weszła.

Wszystko to jako przykład jego łatwowierności i braku krytyki. Zarzucają mu nadto, że o czasach sobie współczesnych nie pisał, żeby się nikomu nie narazić. Jeżeli to prawda, to byłby charakterem, jak talentem dziejopisarskim, człowiekiem średnim, drugiego rzędu. A być może, że takim był: co do charakteru rzecz wiadoma, że miał swoje drobnostki, swoje próżności; być może, że miał i tę ostrożność, lepszą dla dyplomaty, aniżeli dla historyka, i nie chciał dotykać współczesnych wypadków, żeby nie dotknąć współczesnych ludzi. Jeżeli tak było w istocie, jeżeli przez taką ostrożność urwał swoją historyę na roku 1506, i czasów na które sam patrzał nie opisał, to ta ostrożność wyszła mu tym razem na złe. Uratowała go może od gniewu współczesnych, ale zaszkodziła jego powadze i sławie u potomnych, bo przez nią został on tylko kompilatorem, a jego dzieło nie stało się źródłowem.

Jakkolwiekbądź, ma ono swoje miejsce zaszczytne w naszej historyografii, jak on sam w naszej historyi. Wmieszany czynnie w ówczesną walkę religijną, najznakomitszy może po Hozyuszu obrońca katolicyzmu w tych latach, Kromer na polu polemiki religijnej okazuje się pisarzem tak dzielnym, że literatura musi z uszanowaniem wspominać jego imię. On mianowicie ten przedmiot sporu, tę walkę między Kościołem a Lutrem i Kalwinem, te dowody i racye, które Kościół przeciw nim wytacza, robi przystępnymi dla każdego Polaka, umiejącego tylko czytać. Jego *Rozmowy Dworzanina z Mnichem* (zwane krótko *Mnich* 1551, 1552, 1553, 1554) są naprzód doskonałą, bardzo roztropnie i praktycznie napisaną książką, każdemu zrozumiałą, każdemu zdolną trafić do przekonania; są dalej świet-

nym pomnikiem doskonałego języka; i są nie przez samą formę dyalogową, ale przez sposób rozumowania i dowodzenia, świadectwem, jak autor przejął się starożytnymi wzorami i jak doskonale umiał je do swojej potrzeby i swego języka stosować. *Mnich* jest w swoim rodzaju pierwszem, ale i klasycznem dziełem; i on to dał ten wzór dyalogu, z którego niebawem korzystać zacznie tylu współczesnych i młodszych. Rodzajem, formą i dążnością łączą się z *Mnichem* dyalogi Wita Korczewskiego (1553), *Rozmowy* o Poście, Czyśćcu i t. d.: wchodzą w tę samą kategoryę pism polemicznych, a praktycznych; ale sposobem pisania i rozumowania pozostają daleko za *Mnichem*.

Kromer nie jest jedynym w tych latach historykiem. Z nim równocześnie pisze Orzechowski swoje *Annale*, a te choć im na tendencyjnym charakterze nie zbywa, są wyjątkiem w jego zawodzie. Wszystkie inne pisma, to broszury, rzeczy tendencyjne, publicystyka owego czasu. *Annale* są jedyną pracą Orzechowskiego, jedyną jego książką, a każą żałować, że ich nie ciągnął dalej i nie napisał całego przynajmniej panowania Zygmunta Augusta. Dziwne to, że człowiek tak zmienny i niestateczny, tak mało skrupulatny, skłonny do naciągania i przekręcania faktów, pokazał niepoślednie zalety w zawodzie dziejopisarskim właśnie, a jednak tak jest. Wprawdzie jego niestateczność i niezgoda z samym sobą przebija wyraźnie w Rocznikach; to, co tu mówi o ludziach lub wypadkach, wręcz sprzeciwia się temu, co o nich mówi gdzieindziej. Jednak, pomimo tego, jest to dzieło prawdziwego historyograficznego talentu. Przedewszystkiem należy się Orzechowskiemu słuszna pochwała za to, że odstępuje od tradycyjnego sposobu pisania kronik od Lecha, nie powtarza innemi słowami tego, co już wszyscy przed nim powiedzieli, o orlem gnieździe, myszach Popiela, aniołach Piasta, żelaznych słupach Chrobrego i t. d., ale spisuje wypadki, na które patrzał.

Było to niezaprzeczenie sprowadzeniem kroniki na właściwą drogę, jedynym sposobem, żeby ona miała wartość źródła historycznego, a Orzechowski pierwszy dał przykład tej zmiany, która była prawdziwym postępem w naszej historyografii. Powtóre ma tę zaletę, że opowiada doskonale. Żywy, zajmujący, nie pomija rzeczy ważnych dla zajmujących, a te ważne umie opowiadać w zajmujący sposób. W tem zasługuje na pochwałę, że z umiarkowaniem daje piękne retoryczne oracye, a z większem zato staraniem treść i dążność rozpraw.

Nie trzeba zbyt ostro mu wyrzucać, że Słowian i nas Polaków wywodzi od Greków, a legendarnych braci Lecha, Czecha i Rusa czyni wielkimi wojownikami w służbie Aleksandra Wielkiego, który za ich zasługi dał im przywilej na ziemie, zamieszkane dotąd przez ich plemiona. Zagadka pochodzenia narodów, nierównie mniej w owym wieku, niż dziś, rozjaśniona, podlegała bardziej, niż dziś, najdowolniejszym często domysłom; a do tego, było to pasyą tego wieku, wyprowadzać wszystko i wszystkich ze sławnych i wielkich początków. Jak honor domów prywatnych, tak i honor narodów, wymagał świetnego pochodzenia, a to samo uczucie, które Sforzom kazało wywodzić genealogię od Eneasza i Lawinii, powodowało i Orzechowskiego, że dla narodu polskiego szukał ojców nie mniejszych jak dawni Grecy. Zresztą cały ten fałsz nie zabiera nad kilkanaście wierszy, po których zaraz przystępuje autor do historyi Zygmunta Augusta.

Pogrzeb starego króla, wyjazd młodego do Wilna, a królowej Bony do Warszawy, wreszcie zwołanie sejmu do Piotrkowa, oto cała treść pierwszego Rocznika. Drugi obejmuje ten sejm i burzę o małżeństwo królewskie. Nie przytacza wprawdzie Orzechowski, jak Górnicki, sławnej mowy Boratyńskiego *in extenso*, tylko treść jej podaje, ale obraz całego zaburzenia jest u niego nierównie zupełniejszy, nierównie lepiej po-

zwala wyobrazić sobie, jak się to odbywało, jak się spór jątrzył, jak różne jego przejścia po sobie następowały, aniżeli opis Górnickiego. Pierwsza prośba izby poselskiej do króla przez Boratyńskiego, odmowa króla, pomysł prymasa, żeby grzech rozwodu królewskiego rozłożyć na wszystkich poddanych, odpowiedź królewska przez kanclerza, narada posłów z senatem, a wskutek tej, powtórne prośby do króla i przy nich sławna scena z Kmitą, któremu król głos odebrał, przez co podniósł dopiero wściekłą na siebie burzę, wyraz tej burzy w zuchwałym głosie Rafała Leszczyńskiego, wreszcie odjazd senatorów i posłów z Piotrkowa, anarchia jaka ztąd powstała: wszystko to opowiedziane porządnie i żywo, wysuwa się jedno z drugiego, jedno drugiem objaśnia: widzi się prawie, rozumie się doskonale, jak to szło, jak ta burza wzrastała. Orzechowski, niedawno autor paszkwilu na *Obscurum Matrimonium*, zatem jeden z podżegaczów rozruchu, w Rocznikach mówi, że małżeństwo było wprawdzie nieszczęściem, ale nieszczęściem, które odstać się już nie mogło, i oświadcza się przeciw oponentom, słuszność przyznaje królowi, hetmanowi i kanclerzowi. O oponentach zaś mówi, że dla tej żony chcieli króla doprowadzić do abdykacyi, a Rzpltę do bezkrólewia, małżeństwa zaś użyto za pozór wichrzenia. Niemałego zaś żywiołu do sporu dodawać miała, jak sądzono, królowa Bona, która za wzgardzoną się mając, podszczuła możnych w senacie ludzi, ażeby małżeństwo to, wszelkimi sposobami zerwali. To wszystko, co sam tak otwarcie i wyraźnie mówi, nie przeszkadza mu potem, jak przedtem, wychwalać i Bonę, i Kmitę, i innych ówczesnych wichrzycieli. Jeden z niezliczonych przykładów jego zmienności, jeden z dowodów, że albo przekonanie o ludziach i rzeczach co chwila zmieniał, albo go nigdy nie miał.

Rozpoczęta na tym samym samym sejmie sprawa o wcielenie Prus i Księstwa Zatorskiego do Rzpltej

(także pretekst do wichrzenia), uniwersały królewskie, zwalające na posłów i senat winę spełzłego na niczem sejmu, wreszcie szczegółowo, jasno i zajmująco opowiedziana sprawa żaków krakowskich, uzupełniają ten drugi Rocznik.

W trzecim znowu sejm piotrkowski (1550), zwołany nie bez oporu króla, który nie chciał zbierać „tych sejmów na żarty, na których tylko źli ludzie szkodzą Rzpltej, zarabiają na oklaski gminne." Orzechowski, rzadka u niego stałość w zdaniu, mówi o egzekucyi w roku 1554, kiedy pisał *Annale*, to samo, co później w dyalogu: żąda naprawy Rzeczypospolitej, przedewszystkiem restytucyi jurysdykcyi biskupiej, nie chce zwrotu dóbr nadanych. Szczególnie zajmujący, choć naturalnie najmniej bezstronny, jest ten Rocznik przez to, że opowiada w nim Orzechowski swoją własną sprawę, mianowicie mowę, w której na sejmie, pomimo oporu biskupów, zamierzonego małżeństwa swojego ze Straszówną bronił, dalej *colloquium* swoje z biskupami, wreszcie konkluzyę, która zgodnym sposobem stanęła, że Orzechowski nie pierwej się ożeni, aż jak dostanie na to dyspensę od Papieża.

Rocznik czwarty (w edycyi Krauzego i w przekładzie Włyńskiego) cały niemal zajęty jest sprawą własną, mianowicie dalszym jej ciągiem po ożenieniu z Magdaleną Chełmską, za co słusznie gani Orzechowskiego Ossoliński, że rzeczy ważniejsze i publiczne, mianowicie szerzenie się herezyi i spór o jurysdykcyę biskupią, pomija dla własnych; a Braun posądza go z tego powodu, że całe Roczniki były tylko pretekstem do opisania sprawy własnej. Że tu bez przechwałek, stronniczości i dyalektycznych naciągań obejść się nie mogło, nie można się dziwić; zresztą Rocznik ten, czwarty, opowiada tylko śmierć Barbary i sprawy węgierskie, mianowicie sprawę opieki nad małym Janem Zapolyą, aż do powrotu królowej Izabelli do Polski.

Sprawa jurysdykcyi biskupiej, zaniedbana w poprzednim, staranniej jest traktowana w Roczniku piątym, w którym opowiedziany jest sejm r. 1552. *Interim* w sprawie jurysdykcyi i zdjęcie klątwy z Orzechowskiego aż do orzeczenia papieskiego, podróż króla do Gdańska i do Litwy, wreszcie hołd wołoski, zamykają piąty Rocznik, czyli: historyę panowania Zygmunta Augusta doprowadza Orzechowski tylko do końca roku 1552.

Szósty bowiem Rocznik, niewłaściwie do tych dodany w pierwszem dobromilskiem wydaniu, opowiada dzieje roku jeszcze 1537, a w Tomicianach (T. XVII) nosi właściwy tytuł „Obrady i mowy podczas głównego zjazdu Korony Polskiej pode Lwowem."

Rocznik ten [1]), który o zdolności i sądzie Orzechowskiego daje gorsze od poprzednich świadectwo, wartości źródłowej ze wszystkich ma bodaj czy nie najwięcej. Naprzód opowiadania i sądu jest tam bardzo mało, tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, żeby mowy z sobą powiązać i ułatwić ich zrozumienie, (zdaje się, jakgdyby autor umyślnie był się starał, jak najmniej mówić sam od siebie); prawie całą zaś treść tego rocznika i całą jego wartość stanowią mowy, które Orzechowski, naoczny świadek wojny Kokoszej, zaraz, jak sam mówi, w kilku dniach spisał. On sam wygląda w tem piśmie jak człowiek, który czuje doskonale, że to, co się stało, było złe i niedorzeczne: ale częścią boi się powiedzieć to i narazić się na niełaskę panów braci, częścią zaś ma do tego złego pociąg i sympatyę, choć czuje, że złe jest złem. Inaczej nie można rozumieć niepojętej sprzeczności, jaka się w tej książeczce znajduje. Wszyscy mają słuszność, wszyscy wielcy. Wielki obywatel i patryota Zborowski, jeden i drugi, Xiężki, Taszycki i wszyscy inni: wielki oby-

[1]) Podług Korzeniowskiego pisany w roku 1537.

watel, patryota i t. d. król, hetman Tarnowski, Kmita, który łagodnością uspokajał umysły; wielkie i mądre było przedsięwzięcie króla i wielka szkoda, że nie doszła wyprawa wołoska, do której nigdy już może tak pomyślnej pory nie będzie, ale wielkie dzieło i wielka zasługa była tych, którzy tę szkodę sprowadzili i za straconą Wołoszczyznę, wynagrodzili ojczyznę długą litanią trzydziestu kilku gravaminów! To jest wniosek, do którego się przychodzi po przeczytaniu Rocznika, jedno i drugie zdanie wykazać można na własnych słowach Orzechowskiego. Jak takie dwa przekonania mogły się godzić w jednej głowie, jakim sposobem ten sam człowiek mógł i jednej stronie przyznawać słuszność i drugiej jej nie odmawiać? Na takie pytanie jest tylko jedna odpowiedź: Orzechowski przekonania nie miał żadnego; czuł, że szlachta pode Lwowem postąpiła głupio i nie patryotycznie, ale powiedzieć tego i nie chciał i nie śmiał. Z drugiej strony nie śmiał znowu wbrew oczywistosci, wbrew zdaniu najpoważniejszych ludzi, o których mu bardzo chodziło, powiedzieć, że wojna Kokosza miała słuszność przeciw królowi. Zajął więc pośrednie dyplomatyczne stanowisko: nikogo nie obrazić, owszem wszystkim podkadzić, samemu jak najmniej się odzywać i nie kompromitować się. Książka, w tym duchu napisana, nie przydałaby się na nic i mogłaby co najwięcej dać wyobrażenie o braku przekonania w autorze, gdyby nie to, że mimo jego woli, w tych mowach, które przytacza jako dziwy mądrości i obywatelskiego ducha, w tych gravaminach albo niedorzecznych, albo nie do zaspokojenia, albo tak błahych, że nie warte były nietylko straconej wyprawy, ale nawet straty marnych słów, nie przebijała wyraźnie cała umysłowa i moralna nędza tego smutnego faktu, i cała ślepa i bezmyślna płochość tej nieszczęśliwej szlachty, która, poszczuta intrygą, powtarza z wrzaskiem jakieś hasła,

których nie rozumie i nie sądzi, a przekonana jest, że broni swojej wolności i ojczyzny.

Na ironię doprawdy wygląda to, co mówi do króla naprzykład Taszycki, że „nigdy nie prowadził wojny tak trudnej i niebezpiecznej, żeby w niej wierności, stałości, gorliwości naszej nie doznał," i zaraz dodaje: „świadkiem Wołosza." Świadkiem, prawda, ale bezmyślności waszej i niedbałości o Rzpltą—mógł był król odpowiedzieć. Na ironię wygląda to, jak Orzechowski nazywa *Nobilitatiscitum*, w którego zakończeniu szlachta prosi, żeby król już te rzeczy kończyć raczył, bo oni już dwa miesiące próżno leżą pode Lwowem pospolitem ruszeniem! Jakgdyby to król był winien, jakgdyby on był ich tam trzymał! Orzechowski jednak unosi się nad tem i mówi, że „nigdy wielka ona i właściwa Polakom chwała świetniej nie zajaśniała" i nazywa ich *gens sanctissima*. Prawda, że zaraz potem opowiada, jak ta *gens sanctissima, moestissima* wracała do domu; znać tknęło ją sumienie, a rozsądek wracał po niewczasie. Sam płacze nad taką siłą, postawioną w polu na darmo i taką straconą sposobnością: ale upomnieć, zgromić? nie, tego nie robi, tylko w zakończeniu jeszcze przeprasza, że owych mów sławnych nie powtórzył tak pięknie, jak były powiedziane, i jeszcze chwali Taszyckich, Zborowskich, Xiężkich i *duos principes senatus*, za ich mowy tak piękne i zachowanie tak szlachetne, a jednak tak wprost sobie przeciwne. Słusznie mówi o nim, choć surowo, Ossoliński, że „powinien był raczej wytknąć tajemne sprężyny, możniejszych zemstę i miłość prywaty, i na postrach wiekom wystawić szkaradę niesfornego rokoszu, który, gdy królowi to płonnymi, to złośliwie zajątrzonymi dokuczał zarzutami, granice kraju, wszelkiej obrony pozbawione, na łup Wołoszy podawał."

Nie uzupełnia tego braku i nie nagradza tej szkody, Panegiryk na uroczystość wesela Zygmunta Au-

gusta z Katarzyną Austryaczką, który musiał na swój czas być tem, czem bywają dla nas codzienne kroniki po dziennikach, zdające sprawy z różnych wydarzających się dworskich parad i uroczystości. Po wiejskich dworach czytać musiano z niesłychaną ciekawością opowiadania o przepychu, z jakim się odbył w Krakowie wjazd i koronacya nowej królowej; wyobraźnie musiały skwapliwie chwytać te różne szczegóły i składać sobie z nich obraz licznych, jaskrawo ubranych pocztów wojskowych, złocistych powozów, jaskrawych wspaniałych ubiorów, kosztownych podarunków, złożonych królowej przez wszystkich monarchów Europy, począwszy od cesarza. O tem wszystkiem prawi Orzechowski szeroko, stylem zanadto w stosunku do rzeczy wspaniałym i pompatycznym, a te szczegóły są właśnie głównem zajęciem tego pisemka, bo choć same przez się drobne i nieznaczące, rzucają zawsze niejakie światło na obyczaje i sposób życia tego wieku.

Oprócz opisu uroczystości weselnych niema w Panegiryku nic, tylko nieskończone, przesadzone, arcypanegiryczne pochwały domu austryackiego i Katarzyny. Dawny nieprzyjaciel i szkalownik biednej Barbary nie posiada się z radości na widok tej, która zajęła jej miejsce, i nie zna miary w uniesieniach i pochwałach. Wielki ród, wielkie cnoty, wielką mądrość wysławia pod niebiosy, a nawet bezczelnie już zachwyca się i nad Wenerze nie ustępującą pięknością brzydkiej i odrażającej Katarzyny. A co z niej będzie za pożytek i chwała narodowi! „Zygmunt nieboszczyk niczem tak nie jaśniał, jak swojem z Boną małżeństwem, która pierwsza cywilizacyę do Polski wniosła. Te bogactwa, ta obyczajów ogłada, te nauki, ta wasza we wszystkich umiejętnościach wysoka doskonałość, zkąd się wzięły, jeżeli nie z Zygmuntowego z Boną ożenienia? Bona to wszystko zrodziła: ona to z sarmackiej

dzikości wyprowadziła nas do ludzkiego i okrzesanego sposobu życia, ona sprawiła, że cywilizacyą Włochom, nauką Grekom dorównaliśmy.” Gdzież dopiero zaprowadzi nas wpływem swoim Katarzyna, która nas już tak dobrze przez Bonę przysposobionych zastaje?

Pochwały austryackiego domu, świętego, najmędrszego, najpotężniejszego, nie mają końca ani miary. Ferdynand I zrobił dla Polski więcej, niż ktokolwiek na świecie, uratował ją, zbawił, bo Polska niezawodnie byłaby zginęła, gdyby ten król wielkoduszny nie był jej dał córki swojej Katarzyny na królową. Dlaczego? Pytać nie trzeba, bo odpowiedzi na takie pytanie niema; dość, że bez Katarzyny byłoby już po nas. Co więcej, taki jest związek między Polską a Austryą, między domem cesarskim a Jagiellońskim, że jedno bez drugiego być nie może i musiałoby upaść. Gdyby Kazimierz nie był pojął arcyksiężniczki Elżbiety, nie bylibyśmy mieli króla Zygmunta i świętego królewicza Kazimierza; gdyby Ferdynand nie był miał za żonę Jagiellonki, gdzieby dziś były Węgry, a może i Rzesza? U Turka. Tak samo pojąć nie można, coby się było stało z Polską, gdyby Zygmunt August nie był poślubił Katarzyny?

Odpowiedź łatwa. Że dom austryacki dobrze wyszedł na ożenieniu Ferdynanda z Jagiellonką, która ostatecznie wniosła w ten dom koronę węgierską, to jasne; ale gdyby Zygmunt August nie był się ożenił z Katarzyną, nie trudno domyślić się, coby się było stało: byłby się ożenił z inną, a wtedy, kto wie, byłby może zostawił syna. Z przykrością też czytają się te zachwyty Orzechowskiego nad tem małżeństwem nieszczęśliwem i bezpotomnem, a wśród tych pompatycznie opisanych przepychów i uroczystości, myśl szuka bohatera tych festynów, biednego króla, i wyobraża go sobie, tęsknie wspominającym straconą Barbarę, zrażonym na widok nowej żony i czującym do

niej początki nieprzezwyciężonego wstrętu, i zadumanym smutnie o losach tej korony, dla której sam siebie w powtórych ślubach oddawał na ofiarę.

Rey zmienił się znacznie przez te lata. Dawniejsze uważać można za pierwszy okres jego pisarskiego zawodu; teraz zaczyna się drugi. W tamtym pisywał rzeczy mniejsze, potoczne i tendencyjne, jak dyalogi; a kiedy przerabiał większego *Józefa*, miał niewątpliwie podobny cel, dydaktyczny i moralizujący, a nauką i morałem mierzył w ten ogół czytelników, których nazywa prostakami. Teraz cel jego został ten sam i zostanie do śmierci; ale sposób jest inny, zmienił się. Nie wiemy czy dość ściśle wyrażają się ci, którzy nazywają Reya pisarzem ludowym. W naszych czasach nazwa ta daje się tym, którzy książki swoje piszą wyłącznie, a przynajmnie przeważnie dla ludu wiejskiego; mniej uważny czytelnik dzisiejszy mógłby z nazwą przenieść i pojęcie w wiek XVI. Rey tymczasem pisze dla szerokiej publiczności, dla ludzi mniej oświeconych, chce przez takich być zrozumianym, im dostarczyć i wiadomości, i obroku duchownego, i tej nowej prawdy religijnej, do której sam przylgnął; ale tak czyniąc, nie ma na myśli wsi, tylko dwór, nie włościańskiego, ale szlacheckiego czytelnika. Że zaś pojęciami, zwrotami, tonem, jędrnością mowy, zbliża się do wiejskiego ludu, tak, że my po wiekaoh widzimy niezaprzeczone podobieństwo pomiędzy starym pisarzem a dzisiejszym włościaninem, to nie ztąd wynika, jakoby on tego podobieństwa chciał i szukał umyślnie, ale ztąd, że przed wiekami to podobieństwo było większe, różnica w pojęciach, w mowie, w stopniu oświaty była mniejsza między różnemi warstwami społeczeństwa. Cywilizacya bliższa swego początku, więcej pierwotna, utrzymuje się na jednym, a przynajmniej blizkim poziomie: więcej rozwinięta dzieli się na różne stopnie.

Jakkolwiekbądź, za młodu Rey choć znany i sław-

ny, brał się do pisania dorywczo tylko, pod wpływem okoliczności lub wrażenia. To, co dostrzegał lub myślał, zawarł w satyrycznym, raczej tylko dydaktycznym, dyalogu i na tem przestawał. Na dzieła, na systematyczne i pracowite pisanie się nie zrywał. Ale teraz jest inaczej. On sam przeszedł już młodość, a te wyobrażenia i te uczucia, które wyrażał, te dążności, którym służył, rozrosły się, dojrzały, spotężniały. Protestantyzm, coraz silniej czujący się w sobie, coraz ufniejszy w zwycięstwo, potrzebuje i propagandy śmielszej, głębiej sięgającej. Potrzebuje tembardziej, że katolicy ocknęli się i zaczynają się bronić nie żartem. Trzeba ich uprzedzić, przed nimi zabezpieczyć te tysiące dusz i umysłów, które nie miały jeszcze sposobności poznać prawdy Bożej i nad nią się zastanowić!

Z takiego popędu wyszło pierwsze większe dzieło Reya, *Postylla* (1557).

Nam wydaje się to zarozumiałością i niesumiennością wprost oburzającą, żeby człowiek bez głębszej nauki wogóle, a bez żadnej już nauki teologicznej, śmiał się porywać na wykład Pisma Św. Tamten wiek nie brał rzeczy tak ściśle; a zwłaszcza nie brał ich tak protestantyzm polski. Odpowiedzieć jego bieżącej potrzebie, szerzyć jego naukę w sposób dla każdego zrozumiały, to wystarczało zupełnie. A czy wykład tej nauki i jej dowody były głębsze czy powierzchowne, czy z poważnych studyów wydobyte i własne, lub też z obcych (niemieckich głównie) i pobieżnych byle namiętnych pism pożyczone, o to nie pytał czytelnik, nie pytał też i autor. Potrzebie swoich współwierców uczynił Rey zadosyć *Postyllą*, wykładał ich naukę językiem przystępnym, namiętność przeciw Kościołowi podżegał usilnie. Dla czasów dzisiejszych, dla literatury polskiej, *Postylla* ma dziś to znaczenie, że była pierwszem dziełem większem, pisanem po polsku; że język jej, nie tak piękny jak język Kromera w *Mni-*

chu, jest żywy, jędrny i prawdopodobnie służy i pomaga tym, co jak Orzechowski i Górnicki zaczną niebawem pisać prozą polską na prawdę pięknie. Ciekawą jest *Postylla* przez to, że Rey, ze swoim zmysłem praktycznym, stosuje swoje nauki religijne i moralne do przykładów polskich, z życia wziętych. Obserwacya i doświadczenie dostarczają mu coraz nowych i licznych przedmiotów; ztąd jest *Postylla* świadectwem i źródłem ważnem do poznania obyczajowego stanu ówczesnej Polski. Ale dar spostrzegawczy i zdrowy rozsądek jest podobno najbardziej charakterystycznym i największym przymiotem, jaki na podstawie tego dzieła da się przyznać umysłowi autora; żyłka satyryczna, koncepty lub charakterystyki nie bez pewnej siły, i zdolność napisania dużej książki dobrym prostym językiem, to znowu przymioty, które na tej podstawie przyznać można jego pisarskiemu talentowi.

Ale moralizator i propagator nowych religij nie poprzestał na jednem i na suchem nauczającem dziele. Wiek jego wierzył w *utile dulci*, a zamiłowanie celu radziło służyć temu celowi działaniem na wyobraźnię, na uczucia; Rey napisał wielki dydaktyczny poemat. Czytał on przez te lata wiele, dowiedział się wiele o starożytnych dziejach i mężach, o filozofach, poetach; ta nabyta erudycya miała się przecie także pokazać i wydać plon.

Dydaktyczny poemat włoskiego humanisty Marcellego Palingeniusa *Zodiacus Vitae*, w owym wieku, i później, bo jeszcze w XVIII, sławny i wiele razy wydawany, widocznie podobał mu się swoją treścią i wydał do jego celu sposobnym, skoro go przerobił. Przerobił, nie przetłómaczył. Wiele wprawdzie ustępów i wywodów są prostym, nie zbyt wiernym, przekładem; ale dydaktyczny traktat zdobi się u Reya powieściową niby fabułą, wędrówką młodzieńca. Ta wędrówka, te filozofy, które młodzieńcowi dają nauki, to już Reya wymysł i dodatek; a z jego własnej głowy wyszły

oczywiście także te wszystkie, dla nas najciekawsze ustępy, które się odnoszą do ówczesnego życia i obyczaju polskiego [1]).

„Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, w którym, jako we zwierciedle, snadnie każdy sprawy swe oglądać może, zebrany y s filozofów y z różnych obyczajów świata tego,” jest to ni mniej ni więcej tylko poemat w dwunastu pieśniach—rozdziałami nazywa je autor—poemat, w którym autor, jak drugi Dant, opisuje piekło i niebo, w którym obok mędrców starożytnych, występują prorocy starego zakonu, chrześcijańscy święci obok Minerwy, Wenery i Dyany, w którym (zważywszy tę rozmaitość opisywanych miejsc i figur) fantazya poetyczna Reya miała sposobność pokazać, co umie; poemat dydaktyczno-moralny, ciekawy, jako pomnik swojego czasu, jako świadectwo ówczesnego wyrobienia języka i zdolności poety, zajmujący przeto dla tego, kto chce robić studya nad Reyem albo nad polskim *Cinque Cento*; dla zwykłego czytelnika zabójczo ciężki.

„Sprawa tych książek—mówi autor w przedmowie—iest tha: Iż iest rzecz zmyślona y z innych uczonych zebrana, która tak idzye: Iż Ipokrates on Philozoph sławny uczynił rzecz do discypułów swoich, wiodąc ie ku poczciwym cnotom, y ku cnotliwym stanom przypominając im y bojaźń bożą y bieg a omylność świata tego, którym discypułem jego każdy z nas rozumieć się może, iż nam tego wszystkim potrzeba. A to będzie Rozdzyał pirwszy który zową Ipokrates.

„Rozdzyał drugi, iż młodzyeniec ieden z onych discypułów słysząc ono upominanye, które mu się dobrze podobało, nie zdało mu się ieszcze dosyć na thym, szedł niedaleko do drugiego philozopha, które-

[1]) Różnice *Wizerunku* od *Zodyaku* zbadane i wykazane dokładnie w J. Pyszkowskiego rozprawie *Mikołaj Rey Wizerunek* etc. etc. Wynik badania jest ten, że *Wizerunek* jest w wielkiej części własnem dziełem Reya.

go zwano Diogenes, prosząc aby mu to szyrzy rozwiódł.” I tak dalej: poemat cały jest wędrówką owego discypuła Ipokratesowego od Filozofa do Filozofa; każdy z nich daje młodzieńcowi jakąś zbawienną naukę moralną, jak ma żyć; żadna nie wystarcza mu zupełnie, ale wszystkie te nauki razem składają jakoby kodeks obowiązków i zbiór prawideł, których człowiek trzymać się ma, jeżeli chce żyć, jak powinien. „A tak pod figurą tego tho młodzyeńca każdy się z nas tak tułać a thak się pytać powinien o powinności swojej cnotliwej, aby nie żył jako ine nieme zwierze y nie tracił sobye marnie wezwania y błogosławyeństwa swego.” Oto cel, dążność dzieła; a z niej już domyślać się można, że treść będzie ciężka. Dwunastu filozofów, dwanaście rozpraw o różnych marnościach i niebezpieczeństwach tego świata, o różnych cnotach i grzechach, to temat, którego i najpotężniejsza inwencya poetyczna urozmaicić i ozdobić by nie potrafiła. Tu zaś inwencya jest dziwnie naiwna, dziecinna, słaba; wiersz, jak zwykle u Reya, rymujący na te same przypadki przymiotników lub imiesłowów, na te same czasy, liczby i osoby różnych czasowników, zatem nużący i męczący swoją pierwotną łatwością i jednostajnością. Nie znajdując formy, nie znajdując natchnienia, wyobraźni, zdolności poetycznej, szuka się zalet dzieła i jego wartości w czem innem. Obfituje ono w ustępy satyryczne, szuka się więc w tych przyganach bądź dowcipu, bądź charakterystycznych rysów ówczesnego obyczaju; ale i tu znajduje się mniej, niżby się można spodziewać.

Kiedy więc ów cnotliwy młodzieniec, który tak gorąco pragnął nauczyć się swojej powinności, usłyszał od Hipokratesa, że człowiek z natury jest jak goła tablica, na której zostaje to, co się na niej zapisało za młodu, kiedy się dowiedział, że na tej tablicy zapisać się powinna przedewszystkiem poczciwość jako najważniejsza, a dalej rozum i nauka, kiedy usłyszał,

że bogactwo, znaczenie i inne marności tego świata bez cnoty i rozumu są za nic, i kiedy pomiarkował trafnie, że mistrz dopiero mu powiedział, iż jest jakaś cnota i że jest potrzebna, ale nie to, czem ona jest i w czem polega, puszcza się na wędrówkę w poszukiwaniu prawdy i nauki, i zachodzi naprzód do filozofa Diogenesa. Samo imię mieszkańca sławnej beczki, filozofa, który niczego nie potrzebował, wskazuje, że ten rozdział poematu (drugi z rzędu) poświęcony będzie chwale mierności i wstrzemięźliwości. Rzeczywiście prawi Diogenes o próżności bogactw i szkodliwości zbytków, a jak gdyby był czytał Horacego, jako ostatnią naukę, daje mu aksyomat *medium tenuere beati*, „ci są błogosławieni, co się w środku dzierżą." Aksyomat nie Diogenesowej widocznie ale praktycznej, rozsądnej, a wygodnej Horacyańskiej i Reyowej filozofii życia. Rozdział ten o tyle jest ciekawy, że przez oburzenie Diogenesa na zbytki przebija ówczesne wyobrażenie o zbytku, że można z niego poznać, co w oczach Reya, zatem w oczach szlachty polskiej, uchodziło za zbytek wielki, zadziwiający, może gorszący. Te marmury, szpalery, pawimenty, fladry, to oczywiście przepychy ówczesnych zamków; tak musiało być na Tęczynie albo na Wiśniczu, tego wymagało wystawne i piękne urządzenie mieszkania. A że wedle stawu musiała być i grobla, więc wystawnym sprzętom odpowiadać musiał stół wystawny i wymyślny, w czem tamten wiek był o wiele mniej umiarkowany, o wiele dzikszy od naszego. Rey często wspomina różne jakieś potrawy dziwnych kształtów, udające z postawy lwa, słonia, krokodyla lub inne dziwne i niewidziane zwierzę, a dla większej wspaniałości oklejone złotem malarskiem. Z oburzeniem gniewa się Rey, że lew taki udziałany w środku tygodnia, czeka niedzieli, żeby zadziwił gości na uczcie swoim widokiem, a tymczasem stwardniał, zczerstwiał, zepsuł się tak, że albo go ugryźć nie można albo strawić. Gniewa się także na zbytnią obfitość

stołów, na rozliczne i drogie wina, na pijaństwo, którego skutki opisuje *con amore* w słowach, które dziś żadną miarą zacytować się nie dają; przypomina, jakie ze zbytków takich rodzą się przeróżne choroby, kattarus, kankry, cyragry, karbunkułusy.—Najtrafniejszy, dziś jeszcze najbardziej do przystosowania jest, kiedy opisuje finansowe skutki wystawnego i zbytkowego życia. Co zabawne to, że skromny Diogenes, choć tak powstaje na zbytki, zna się na jedzeniu, na złą pieczeń oburza się tyle, co na złocone lwy, a z taką czułością, tak pieszczotliwie mówi o kurczątkach dobrze upieczonych, o tłustych prosiątkach, o zajączkach, ptaszkach, rybkach, sałatkach, wineczkach i t. d., że znać, iż ten Diogenes był jednym z zawołanych smakoszów i żarłoków swego czasu.

Porzuciwszy Diogenesa, którego nauka nie zaspokoiła go dostatecznie, spotyka młodzieniec na drodze swojej Epikura. Nie trzeba nic więcej do obudzenia ciekawości w czytelniku. Jak mógł wyglądać ten mistrz wesołego używania w wyobraźni Polaka z XVI wieku? Jak pojmowano u nas rozkosz, obyczajną lub nie, pozwoloną lub zakazaną, mniejsza o to: ale czy ten Epikur Reya, ten Zamek rozkoszy, do którego on młodzieńca prowadzi, będzie miał jakie podobieństwo z otwartem, naiwnie niewstydliwem, a tak delikatnem, wyrafinowanem a klasycznie pogodnem używaniem życia, jakie jest w Dekameronie; albo czy będzie miał coś wspólnego z rozpustą współczesną włoską, rozpustą na wielką skalę i w wielkim stylu, która często zaprawna zbrodnią, często była zaprawna namiętnością, zawsze wysokim artyzmem? Jednego i drugiego trudno spodziewać się w naszej Polsce, a zwłaszcza u Reya; ale może znajdzie się w nim coś, co przypomni lubieżną, dowcipną, dworską nieprzyzwoitość Brantôma, albo przynajmniej gruby śmiech i rubaszną wesołość Rabelais'go? Słowem, jego Zamek rozkoszy, czy będzie pełen namiętności, elegancyi i eru-

dycyi, jak dwory Gonzagów, Estów, Medyceuszów, czy pełen elegancyi, dowcipu i płochości, jak dwór Franciszka I-go? Czy będzie dworem? Czy będzie karczmą? Nic z tego wszystkiego. Czy panował u nas pudor, który poecie tylko tonem moralisty i kaznodziei pozwalał mówić o rozkoszy, czy może, a prawdopodobnie, byliśmy tak jeszcze pierwotni, że nasza rozpusta trzymała się form najprostszych i najgrubszych, czy wreszcie Rey nie umiał lub nie chciał rozwodzić się nad tym przedmiotem, dość, że ktoby chciał z pomocą „Wizerunku," porównywać rozkosz i rozpustę w Polsce ze współczesną włoską lub francuską, dozna zupełnego zawodu. Epikur jest poważnym starcem, starannie ubranym, czerstwym, który tonem pedagoga pedanta, uczy młodzieńca, że jedyną prawdą i rzeczywistością w życiu jest użycie, a królowa „Rozkosz" zachowuje się w swoim zamku z przyzwoitością, której najsurowszy cenzor nie znalazłby nic do zarzucenia. Łaskawie przyjmuje gości, każe ich częstować jedzeniem i winem, chodzi po swoim ogrodzie, rozmawiając z fraucymerem, słowem jakaś to rozkosz sztywna, nie powabna wcale. Być może, że Rey nie śmiał popuścić cugli fantazyi, że opinia ówczesna była surową, ale to pewna, że powaga i cnota mogłyby zachować się tak, jak ta Rozkosz. Same rysy konwencyonalne i nieznaczące, które zarówno jej, jak każdej innej personifikacyi, służyć mogły: była piękna, bogato ubrana, otoczona licznym dworem, tyle. Dwór ten nazwany jest po imieniu, a te imiona jedynie wskazują, że to nie jest siedlisko cnoty. Fraucymer królowej składa Venus, a prócz niej wszystkie grzechy główne, nazwane swojemi łacińskiemi nazwiskami, *Superbia*, *Luxuria*, *Invidia*, *Ira*, *Avaritia* i t. d.; ochmistrze nazywają się *Fraus* i *Dolus*. Próżno zresztą szukać czegoś, coby rzucało choć najmniejsze światło na obyczajowość ówczesnej Polski; co najwięcej dowiemy się z tego ustępu poematu, co uchodziło u nas za piękny roz-

koszny ogród. Oczywiście symetryczny, odmierzony ogród włoski. Wszystko to zaludnione ptakami, królikami, wiewiórkami, sarnami: co trochę to „chłodniki" na rogach (symetrycznie) pięknie rozstawione, z cyprysowego drzewa i z kości słoniowej, wykładane kamieniami i perłową macicą. Taki przepych oczywiście tylko w ogrodzie królowej rozkoszy mógł być, lecz nie w prawdziwych ogrodach polskich; ale z tego suchego inwentarzowego spisu Reya, w którym ani opisu ani uczucia natury dopatrzyć się nie można, można przecież zrobić sobie wyobrażenie o tem, co rozumiano u nas przez piękny ogród, a nie jest to zupełnie obojętnem. Zamiłowanie w schludnem i ozdobnem otoczeniu domu, zamiłowanie kwiatów, naginanie natury do jakiegoś jej artystycznego ideału, jest zawsze znakiem cywilizacyi już posuniętej, smaku już kształcącego się. Ile razy Reyowi przyjdzie opisywać piękną naturę, zawsze opisuje ją w ten sam sposób. Ogród Rozkoszy może służyć za przykład, z którego można powziąć wyobrażenie o wszystkich jego opisach.

Młodzieniec, wpisany przez Epikura w poczet dworzan Rozkoszy, byłby pozostał w jej zamku, gdyby na jego szczęście nie była stanęła przed nim Minerwa, w towarzystwie swoich panien służebnych, Prudencyi i Dyskrecyi, i ta, wyłajawszy srogo Epikura, Młodzieńcowi przedstawiwszy opłakane skutki wszelkiej rozkoszy, rozkoszy jedzenia, picia, próżnowania, rozkoszy Venusowej, kazała mu czemprędzej wychodzić z zamku tej, która

Zda się, jakoby była bogini,
Lecz, gdy lepiej obaczysz, podobniejsza k'świni.

(Porównanie ze wszystkich najulubieńsze widać poecie, bo powtarza się ustawicznie i w wyrazach o wiele jeszcze dosadniejszych). Na utwierdzenie zaś w dobrych zamiarach obiecuje Minerwa Młodzieńcowi, że mu przyśle swego syna, roztropne dziecię Ratio, które go wszystkich rzeczy potrzebnych do wiedzenia nauczy.

Wszystkie te mitologiczne machiny, Minerwy, Dyany, nieodłączne od uczoności ówczesnej, a tu używane tak niezgrabnie, i nieumiejętnie, i niepotrzebnie, dowodzą tylko tego, że Rey im więcej czuł w sobie brak nauki, tem więcej starał się go zakrywać. Zdobi zatem rzecz swoją imionami bogów i filozofów starożytnych, żeby też choć trochę na humanistę wyglądać; niekiedy nawet zapuszcza się w krytykę i popisuje ze swojemi wiadomościami, n. p. kiedy dowodzi, że to jest zmyślenie poetów, jakoby Venus była się urodziła z morskiej piany. Urodziła się ona, jak wszyscy ludzie, z ojca Uraniusa i Matki Lopade i była sławną z piękności białogłową.

Czwarty rozdział poświęcony jest ważnej kwestyi, co człowiek poczciwy począć ma z miłością i jak się pod tym względem zachować. Obiecany, mitologii nieznany syn Minerwy Ratio naprzód, a następnie filozof Anaxagoras, uczą młodzieńca, że miłość jest człowiekowi wrodzona, żaden uniknąć jej nie może, ale, że skoro miłość nieporządna robi z ludzi błaznów, albo występnych, albo nieszczęśliwych, przeto człowiek poczciwy powinien się ożenić. Ta jest krótka treść rozdziału, wyciśnięta z długich rozpraw; a w tem wszystkiem dwa ustępy zwracają na siebie uwagę. Jeden, w którym Rey rozróżnia cztery rodzaje miłości, i mówi, że jedna idzie z podchlebstwa (miłości własnej, próżności), druga z pożytku, trzecia ze zbytku (ze zmysłowości i rozpusty), czwarta dopiero z prawdy: rozróżnienie niezawodnie trafne. Druga rzecz ciekawa jest napaść Reya na bezżennych, a mianowicie na księży i zakonnice w gwałtownym tonie polemiki ówczesnej, echo tego, co w całej Europie mówili protestanci.

Sokrates (rożdział piąty), powtarza radę Anaxagorasa co do ożenienia, każe roztropnie wybierać żonę, dobrze chować dzieci, uczy mierności, roztropności, bojaźni Bożej; inny radzi trzymać się zdala od dworów, jeszcze inny dowodzi, że człowiek poczciwy nie

powinien bać się śmierci. Platon naucza o nieśmiertelności duszy, o naturze ludzkiego ciała (cztery temperamenty), Zoroaster o wpływie planet na losy i usposobienie ludzi. Jeszcze inny daje małą lekcyę geografii i fizyki, uczy, co są rzeki, góry, morza, co deszcz, śnieg, grad i inne fenomeny w naturze; z tego wszystkiego najciekawszy jeszcze jest Zamek Tumultus, z satyrycznym zamiarem, choć niedołężnie, kreślony obraz dworskiego życia; kto wie, czy współcześni nie odgadywali w nim jakich alluzyj, do znanych sobie ludzi: książę, znużony i wybladły, który o wszystkiem musi myśleć swoją głową, nazywa się Zelator, a jego dworzanie zowią się Invidus, Cupidus, Avarus, Privat, Simulator, Rixa i t. d.

Po tylu naukach wreszcie, żeby się lepiej w cnocie utwierdził, Młodzieniec zaprowadzony jest do piekła przez Solona. W piekle tem niema oczywiście nic Dantejskiego; za to jest teologiczny i polemiczny pierwiastek protestantyzmu. Teologiczny tam, gdzie Solon uczy, że niema czyśćca i powstaje na odpusty; polemiczny i satyryczny w tem, że całe piekło zaludnione jest księżmi, biskupami, a zwłaszcza mnichami. Warto widzieć, na co zdobyć się mogła fantazya Reya, kiedy się puszczała na obrazy straszne i przerażające. Oto jako przykład jego dyabły: Warchoł król Rozterków, król Pychy, Żarłok król Opilstwa, wreszcie jenerał Lucyfer, Oprócz tego są gracze, złodzieje, oszusty, gamraci, rzemieślnicy, kupcy, szynkarze, muzycy, żołnierze, a Żydów, Tatarów i Turków „jak szczurów w spiżarni."

Potem prorok Eliasz oprowadza go po raju; opis raju podobny bardzo do ogrodu rozkoszy, a nauki proroka ograniczają się do zwykłych przytyków do księży, wyrzekania na odpusty, spowiedzi, obrzędy katolickie i t. d. Przy wyjściu z raju, który Młodzieniec z żalem opuszcza, spotyka on Arystotelesa, który jako największy z filozofów, reasumuje nauki wszystkich

poprzednich, uczy młodzieńca jak ma żyć poczciwie, a w zakończeniu poematu tłómaczy autor „sens tych książek.”

A więc ten poemat bez inwencyi, bez wyobraźni, bez formy, ogołocony z wdzięku, upstrzony gdzieniegdzie ustępami satyrycznymi, których wartość leży nie w dowcipie, ale w tem jedynie, że rzucają światło na stan wyobrażeń i obyczajów w owym czasie, wartości poetycznej nie ma. Co do treści, „Wizerunek” wydaje się, jak gdyby przygotowaniem do najznaczniejszego z dzieł Reya, do „Żywota poczciwego człowieka.” Ten sam duch, ta sama dążność, to samo piętno zdrowego rozsądku, te same mechanicznie z nim połączone ozdoby ze starożytnego świata, te same nieraz myśli, argumenty, przykłady, porównania, cytacye. Tylko „Żywot” ma nad „Wizerunkiem” tę naprzód wyższość, że jest zupełniejszy, gruntowniej pomyślany, a potem i nadewszystko tę, że nie jest poematem.

I tak przeszło pierwszych dziesięć lat panowania Zygmunta Augusta. Dwa dzieła wielkiej wartości, ale oba w łacińskiej prozie. Zajmujących niemało, są nawet i świetne jak Polonia Kromera; ale Kromer wyjątkowo tylko, dla praktycznej potrzeby pisze po polsku, a Orzechowski zawsze jeszcze tylko po łacinie. Rey uprawia prozę polską, i niewątpliwie przyczynia się do jej wyrobienia, ale jej jeszcze wysoko nie stawia. Poezyi zaś niema w tych latach zgoła, bo nie jest nią Reyowy „Wizerunek.” A więc niebogaty plon tych lat dziesięciu? Niemały, skoro w nim mieści się największe polityczne i największe teologiczne dzieło polskie tego wieku. Ta zaś literatura piękna, ta poezya, która zdaje się uśpioną, której nic nawet nie zapowiada widocznie, ona już jest, już się rozwija w cichości, już ma na kwiat, i tylko patrzeć, jak tym kwiatem niespodzianie, jak cudnie zabłyśnie.

Czy wiersz Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie*, był, jak chce dawna tradycya, pierwszym, jaki

młody poeta z zagranicy do ojczyzny przysłał, czy też, jak dowodzą nowsi krytycy, musiał być późniejszym, mniejsza o to. Mniejsza o wiersz ten lub ów, kiedy jest poeta i poezya. A Kochanowski już jest; już przebył swoje lata nauki, poetycznego terminowania we Włoszech i Francyi, i już wrócił do ojczyzny na to, by pokazać, jaka rodziła się piękność, jaka idealna prawie szlachetność natury i żywota, jaka wysokość poetycznych natchnień i jaka artystycznych form doskonałość, kiedy wpływ starożytnego świata, wpływ humanizmu połączył się z naturą polską w jej lepszym gatunku, i ze szlachetną otwartą intelligencyą.

A za te hojne dary, które od Pana odebrał, oddał ze swego jednego talentu, oddał dobry dzielny sługa myśl rozwiniętą i dojrzałą, uczucie wzniesione, słowo najwyższych rzeczy zdolne i godne, oddał ten kwiat twórczości ludzkiej, który się nazywa poezyą, i ten dla narodu swego tytuł prawny do liczenia się między oświecone i myślące narody, który się nazywa literaturą, prawdziwą i zupełną.

Słusznie jest od tej chwili datować nowy okres w historyi tej literatury.

ROZDZIAŁ IV.

(1557—1572).

I. Kochanowskiego młodość, poezye łacińskie. Pierwsze wiersze polskie. Stosunek do Ronsarda. Powrót do Polski. *Pieśni. Fraszki. Zgoda. Satyr.* II. Modrzewskiego *O Kościele Księga Druga.* Orzechowski. Polemika z Modrzewskim i Stankarem. Dyalogi. Quincunx. Charakterystyka ogólna. Solikowskiego *Idea Apocalyptica.* III. Rey. Zwierzyniec. Żywot poczciwego człowieka. Apophtegmata. Figliki. Charakterystyka ogólna. IV. *Dworzanin* Górnickiego. *Sylwy* Modrzewskiego. Goślickiego *Najlepszy Senator.* Kochanowski. Wyjście ze służby. *Muza. Proporzec. Wróżki.* Ciesielskiego *Oracya.*

I.

Kochanowskiego młodość. Poezye łacińskie. Pierwsze wiersze polskie. Stosunek do Ronsarda. Powrót do Polski. *Pieśni. Fraszki. Zgoda. Satyr.*

Wiadomo, że dzieje młodości Kochanowskiego są bardzo niepewne. Nie będziemy tu tych niepewności roztrząsać, ani pomiędzy różnemi przypuszczeniami rozstrzygać, bo stanowczych dowodów nie ma za sobą żadne. Dawne podanie, jakoby przez czas jakiś był na naukach w Niemczech, zdaje się być uchylonem na zawsze; niewątpliwem jest, że się uczył w Krakowie, dłużej czy krócej niewiadomo, a potem w Padwie i Paryżu. Jak długo tam, jak długo tu? O to spierają się badacze. Niektórzy dowodzą, że pobyt we Włoszech trwał znacznie dłużej, w Paryżu znacznie krócej, niż sądzono (dotychczas liczono na ten ostatni lat dwa). Podług tego zdania, wszystkie niemal wiersze łacińskie, dzielone dotąd między Padwę a Paryż, byłyby powstały w Padwie; i tam także miała dręczyć młodego poetę owa miłość do Lydii, której tyle śladów pozostało w jego łacińskich wierszach. Niezupełnie temu twierdzeniu wierząc, nie mając też niezbitych przeciw niemu świadectw, zostawiamy to pytanie w jego niepewności, a nie przypisujemy mu nawet bardzo wielkiej wagi. Gdzie Kochanowski swoje elegie pisał, i czy jego Lydia była Włoszką czy Francuzką, to rzecz obojętna; ważną

jest tylko ta, że zagranicą łacińskie wiersze pisał, i pytanie, jakie te wiersze są, jakie ich w naszej literaturze znaczenie.

Nie dochodząc tu zatem, które z tych młodocianych wierszy gdzie i kiedy powstać mogły, bo takie dochodzenie należy do szczegółowego studyum o Kochanowskim samym, poprzestajemy na ogólnym sądzie o jego łacińskiej poezyi z lat młodzieńczych, z pierwszego okresu jego zawodu.

Uczeni znawcy literatury humanistycznej cenią ją dość nizko. Mówią, że znać po niej [1]), iż Kochanowski urodził się i kształcił w czasach przekwitającego już humanizmu. Nie roszcząc sobie prawa do przeciwnego zdania, to jednak na obronę elegij powiedzieć sobie pozwolę, że choćby były niewiele warte, to w naszej poezyi znaczą one wiele, bo są pierwszą prawdziwą, godną tego imienia, poezyą miłości. Porównajmy łacińskie wiersze Kochanowskiego z Krzyckim i Dantyszkiem, a przekonamy się, że różnica jest taka, jak między jego a Reya wierszami polskimi, jak między Drużbacką a Krasickim.

Jaki ten wyraz, i jaki rodzaj tego uczucia? Rodzaj? dużo zmysłowości, która raz przyznaje się do siebie otwarcie, a jak u Kochanowskiego nie bez wdzięku, drugi raz łączy się z wyższem, szlachetniejszem uczuciem, nie znika, ale się tamtem zasłania; w takich razach przesadza zwykle sentymentalność, tkliwość, albo ponurość. A wyraz? Taki jak u wszystkich poetów tego czasu, przynajmniej u wszystkich łacińskich, konwencyonalny. Kiedy się skarżymy na to, że z Kochanowskiego poezyi tak nam trudno odgadnąć, czy wypadki jego życia, czy jego charakter, piętno indywidualne jego uczuć, to pamiętajmy, że pochodzi to z wpływu wie-

---

[1]) Ten ustęp wyjęty i skrócony z książki *Jan Kochanowski*, 1888 r.

ku, ze zwyczajów literatury ówczesnej, z wzorów, a nie z braku wyrobionej indywidualności jego samego.

Po dawnej poezyi włoskiej, i po starożytnej, wzięła spadkiem poezya miłosna w wieku XV i XVI w całej Europie ten charakter ogólnikowy i konwencyonalny. Kochanowski nie widział, nie czytał, nie znał innej; na tej się kształcił, u tej był w szkole: nie dziw, że nie mógł pisać inaczej. Pisał jak widział, jak wszyscy. A jeżeli jego miłość (zawsze), a jego poezya w tej pierwszej epoce, ma tak mało cech indywidualnych i tak mało biograficznych pierwiastków, to powodów szukać trzeba nie w nim, ale w otaczającym świecie, w jego wzorach, we współczesnej literaturze europejskiej.

Zważywszy, że ta jego poezya młodzieńcza jest (prawie wyłącznie) miłosną, trudno od niej żądać, żeby nam powiedziała, jaki on był, co myślał, co czuł, pod innymi względami. O świecie zewnętrznym, naturze czy sztuce, nie mówi; o swojej ojczyźnie zaledwo mimochodem wspomina; ze swoich przekonań lub wyobrażeń się nie spowiada. Wszelako, czytając bacznie między wierszami i zważając, jak ustawicznie ma tylko świat starożytny na myśli, a chrześcijańskiego nie wspomina wcale (co Janicki robi często), zważywszy brak skrupułu, z jakim się rzuca w swoje miłostki, można wnosić, że wpływ wieku, wpływ Włoch ówczesnych, wpływ autorów starożytnych, odbił się nietylko na jego obyczajach, ale i na jego pojęciach. Różne filozofie tego czasu nie były mu obce: znał zapewne i dyskutował najskrajniej nawet materyalistyczne, jak dowodzi elegia ośmnasta księgi III. Tych nie przyjął: ale jakich się chwycił? Wahał się zapewne, wybierał, nie wiedział, co wybrać. I ostatecznie na podstawie tych wierszy można wnosić, że był on podobny do wielu młody humanista, z zapałem piszący wiersze, z głową zawróconą trochę filozoficznemi pojęciami współczesnych i starożytnych, z obyczajami przez ich wpływ trochę zepsutymi, z wiarą zachwianą przez wszystkie pytania

i wątpliwości, które zewsząd słyszał. Wszystko to wciągał w siebie z łatwością umysłu bystrego, natury wrażliwej, z łatwością właściwą człowiekowi młodemu i Polakowi; a choć miłością głównie zajęty i jej poezyę swoją poświęcający, rad przecież i dumny z tego, że wiersze pisze, może opierający na nich swoje nadzieje sławy i powodzenia. Słowem, typ młodego humanisty: każdy, wychodzący podówczas z uniwersytetu, był mniej więcej taki; każdy, który zaczynał pisać wiersze, pisał podobne.

I to jest skutek, wpływ, znaczenie tych lat, spędzonych we Włoszech. Postawiły one Kochanowskiego na pierwszym szczeblu (najniższym) jego duchowego wyrobienia, jako skończonego humanistę, jako doskonałego Europejczyka tych czasów. Indywidualność człowieka i Polaka miała się rozwinąć i dobroczynnie działać dopiero później.

Ale czy miłość do Lydyi opanowała go we Francyi, czy we Włoszech, to zawsze jest i zostanie widocznem, że wiersze do Lydyi oznaczają już pewien postęp, wyrobienie, jeżeli nie talentu, to indywidualności młodego poety. One dają poznać tylko jedną stronę jego uczuć i jego życia: tylko zakochanego, dość rozpustnego, przez czas jakiś udręczonego młodzieńca. Było prócz tego życie inne i wyższe, które się w nim równocześne wyrabiało i rozwijało: życie duszy i talentu, niezależne od wybryków krewkości, niezależne od Lydyi, choć ona pewien wpływ, jak Kochanowski sam świadczy, mieć tu mogła; życie, którego widzimy tylko skutki, a całego procesu, początku i przemian nie znamy. Zaszło coś w jego wewnętrznych dziejach, co go doprowadziło nie do zupełnej jeszcze dojrzałości, ale już do zupełnego rozkwitu; co z naśladowcy zrobiło go samodzielnym, co duszę, opanowaną przez miłość, otworzyło innym, wyższym, nie osobistym tylko uczuciom: co z doskonałego typowego humanisty zrobiło pierwszego poetę polskiego.

To jest ten szczebel drugi, na którym Kochanowski stanął za swego pobytu we Francyi.

W elegii szóstej, ks. I-ej wspomina on już o swoich wierszach polskich i mówi, że je miłość i Lydya natchnęły. Nic prostszego jak to, że młody i zakochany od tego zaczął; każdy tak robi, i wierzyć można że pierwszymi dźwiękami jego Muzy polskiej były te lub owe pieśni miłosne, których dziś rozpoznać nie możemy. Ale były inne, o których on nie wspomina, a które język, wiersz, styl poetyczny polski, i samą jego duszę i jego talent ukazują w świetle nowem i na wysokości, na jakiej się ich dotąd nie widziało.

Mianowicie po raz pierwszy ukazuje się w Polaku poetyczne patrzenie na świat, a w polskim języku poetyczny styl. Jeżeli nawet, jak chcą nowi badacze, wiersz *Czego chcesz od nas, Panie*, nie był napisany w Paryżu, to nie mniej rzeczą jest oczywistą (dowodzą nam pieśni), że Kochanowski to usposobienie ma, i że ma swój własny poetyczny język i styl; owszem, on pierwszy go tworzy.

Weźmy wszystkie, ile ich jest, wiersze ludzi starszych od Kochanowskiego, znajdziemy w nich rym, znajdziemy starannie liczoną i czasem równą liczbę zgłosek,—muzyki nigdy. On pierwszy tak słowa wybiera i ustawia, że każde następne podnosi, utrzymuje dźwięk poprzedniego, pomaga mu, a wszystkie razem płyną, jak muzyczne akordy. Zdanie lub okres piękny, zbudowany i zaokrąglony tak, że go słuchać przyjemnie, to także nowość; w prozie znajdzie się u Górnickiego, kto wie czy już w tych latach; w poezyi go niema. U Kochanowskiego on jest taki pełny, taki płynny, tak doskonale odmierzony, jak u Wirgiliusza. Czy wiersz *Czego chcesz od nas, Panie*, powstał w Paryżu albo nie, pewnem jest w każdym razie to, że Kochanowski od pierwszych swoich wierszy polskich okazuje już wyrobioną formę, poetyczny styl, i że ma to, czego się dotąd

u nas nie widziało: poetyczne usposobienie, poetyczne natchnienie. Wracał do Polski z zagranicy nie wyćwiczony w sztuce wierszowania humanista, ale poeta prawdziwy, gotów już do tworzenia rzeczy trwałej, niezmiennej wartości.

Jak się ta przemiana, to wstąpienie na wyższy stopień w nim odbyło? Znowu nie wiemy. Niektórzy domyślają się wpływu Ronsarda. Że jego przykład mógł Kochanowskiego zachęcić do pisania po polsku, to bardzo możliwe i prawdopodobne. Ale jaki był zakres tego wpływu? Jaki jego rodzaj? Jaka natura ich stosunku i jakie skutki? Na te pytania różni różnie odpowiadają. Jedni (dawniejsi po większej części) mniej się troszczą o wpływ, ale radzi mówią o zażyłości i przyjaźni Kochanowskiego z Ronsardem. Inni (jak Przyborowski, Małecki) nie chcą przyznać wpływu żadnego. Wiszniewski dawniej, teraz Löwenfeld przyjmują ten wpływ za konieczny i pewny. Co wynika z porównania ich poezyi?

Co do ich znajomości i stosunku mamy tylko jedno świadectwo pewne: własne Kochanowskiego zeznanie, w elegii do Karola. Cóż on tam mówi?

Patrio modulantem carmina plectro
Ronsardum vidi, nec minus obstupui,
Quam si Thebanos ponentem Amphiona muros
Orpheave audissem, Phoebigenamve Linum.

Oto wszystko. Z tych słów wnieść można, że Ronsarda znał; nie tylko widział, ale że z nim przestawał, że jego rozmowę, a zapewne i wiersze słyszał. Ale zażyłości, tembardziej przyjaźni, one nie dowodzą.

Z ciekawością szuka się, czy w dziełach Ronsarda nie ma jakiego śladu tej znajomości, jakiej wzmianki o młodym polskim poecie? Nie. Polskę wspomina Ron

sard wiele razy (z powodu Henryka III), bez uwag, bez czułości i bez niechęci; ale z Polaków tylko jednego Hozyusza. Ale czy Ronsard wpłynął na Kochanowskiego, a jeżeli tak, to w jakiej mierze?

Podobieństwo między nimi jest oczywiste i wielorakie; jest raczej podobieństw wiele. Pierwsze i najważniejsze jest to, że oba stoją na gruncie wspólnym humanistycznego wykształcenia i smaku; że z tego gruntu ciągną swoje soki żywotne: swoje pojęcia sztuki, swoje formy, swój styl, swoje porównania i obrazy; że oba zapatrują się na te same wzory i naśladują je w ten sam sposób; że obyczajem wieku biorą i przerabiają (nieraz bez ceremonii powtarzają) to, co im się w greckim lub rzymskim poecie podobało. Zakres poezyi, jej pojęcie i ideał, jej technika, wreszcie jej odnoszenie do osób lub zdarzeń (w jakiejkolwiek formie od dytyrambu do epigramu) są u obudwóch te same: nie jednemu lub drugiemu wyłącznie właściwe, ale jednemu i drugiemu wspólne z całym ówczesnym europejskim światem, jako skutek historycznych i cywilizacyjnych pierwiastków wieku, jako spuścizna po tych pokoleniach, które ich zrodziły i wychowały.

Ale czy jest naśladowanie? Byłoby naturalnem, gdyby poeta młody i początkujący naśladował starszego i bardzo sławnego; gdyby Polak naśladował Francuza, starszego w cywilizacyi i w literaturze, i gdyby za młodu przywykły podziwiać i naśladować, zachował ten zwyczaj na całe życie. Ale czy tak jest? Czy Kochanowski naśladuje Ronsarda? Po dokładnem zbadaniu i porównaniu ich poezyi przychodzi się do przekonania, że nie: że tylko oba naśladują te same wzory, obracają się w tej samej sferze form, uczuć i pojęć, że są dziećmi tego samego wieku i uczniami tych samych mistrzów, że wreszcie są do siebie dość podobni jako ludzie: ztąd pochodzi, tem się tłómaczy podobny charakter ich poezyi. Ale, żeby Kochanowski naśladował

Ronsarda tak, jak naśladuje Tibulla albo Horacego, jak sam Ronsard naśladuje w Sonetach Petrarkę, to nie.

Ale jeżeli przestaniemy mówić o naśladowaniu, a zapytamy, czy przykład Ronsarda na Kochanowskiego nie działał i wpływu nie wywarł, to odpowiedź wypadnie inaczej. Wpływ ten jest tak podobny do prawdy i logiczny, że bez pewnego dowodu, bez dokumentu poręczającego, przyjąć go musimy za nieunikniony, za konieczny, za pewny. Bez związku, w oderwaniu od współczesnej cywilizacyi całego świata, żaden poeta prawdziwy, żadna poezya godna tego imienia, nie da się pomyśleć. Kto nie chce przyznać, że Ronsard wywarł wpływ na Kochanowskiego, ten przyznaje tem samem, że poezya jego miała związek tylko z poezyą starożytną lub z nowszą łacińską, a nie z żywemi powstającemi poezyami europejskich narodów; bo najsilniejszym łącznikiem pomiędzy temi a Kochanowskim musiał być Ronsard, i nikt inny być nim nie mógł. W interesie więc dobrej sławy naszej poezyi byłoby raczej szukać tego wpływu i dowodzić go, niż mu przeczyć. Na szczęście, słuszność jest niewątpliwie przy tych, którzy, jak Wiszniewski i Löwenfeld, wpływ ten widzą i przyznają.

Kochanowski byłby zapewne bez swego pobytu we Francyi, bez Ronsarda, przyszedł sam do przekonania, że jego powołaniem i obowiązkiem jest pisać po polsku. Ale że do uczucia tego obowiązku mogło, musiało mu pomódz to, co widział we Francyi, i przykład Ronsarda, to zdaje się być jasnem.

Kiedy przyjeżdżał do Francyi, Ronsard był już na szczycie sławy. To powodzenie, ta chwała musiały oślnić młodego poetę; musiał on pomyśleć, że byłby szczęśliwym, gdyby takiej doszedł. I musiał także widzieć, że Ronsard dlatego był tak sławny i wielbiony, że pisał po francusku. Wtedy naturalnie mogła obudzić się odrazu myśl, która byłaby zbudziła się i sama

później, że w Polsce i po polsku nikt tak nie pisze. Czemu? Wszak i tam są ludzie i mają język, czemu nie mają nic takiego, jak Francuzi i Włosi? Dwa uczucia: poetyczny, szlachetny popęd tworzenia, potrzeba i żądza zdeterminowana wrodzoną zdolnością i z góry danem powołaniem, szlachetna żądza sławy także: i miłość ojczyzny, miłość własna narodowa, ta duma święta, która chce, żeby swoja ojczyzna nie była w niczem gorszą i niższą od innych; to świętsze jeszcze uczucie obowiązku, żeby ją podnosić, zdobić kształcić, to są uczucia, które przyszłego poetę, a dotychczas tylko doskonałego humanistę i trochę rozpustnego, a trochę ckliwego kochanka, opadły, opanowały i porwały w górę. A jak na tego młodzieńca działać musiały nauki i upomnienia, które Ronsard nie jemu dawał, ale swoim ziomkom! On widział tego poetę (jak wszyscy) większym, niż był w istocie, patrzał na niego z taką czcią, jak gdyby to był Orfeusz (elegia do Karola). Z jakiem nabożeństwem musiał słuchać tego Orfeusza, tego Homera, który uczył, „że to zbrodnia zaniedbywać swój język żywy i kwitnący, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły." Doszły te pojęcia i do naszego poety, a może doszły z ust samego Ronsarda, który jeżeli wiedział, że młody cudzoziemiec pisze wiersze, a to mu z pewnością powiedział czy sam Kochanowski, czy ten, kto w znajomości pośredniczył, jeżeli (co być może) niektóre z tych wierszy czytał, to z pewnością musiał tego młodego Polaka zapytać, czemu nie pisze w swoim języku, musiał mu coś mądrego powiedzieć o koniecznej martwości poezyi, pisanej w obcym języku, prosić go, żeby się nad rodzonym, ojczystym zlitował, przepowiadać mu, że inaczej zostanie zawsze gęsią przy rzymskich i greckich łabędziach. Z ust Orfeusza nauki takie musiały robić wrażenie i trafiać do serca. To wpływ, jaki Ronsard na Kochanowskiego niewątpliwie wywarł.

Czy myślał, że zrobi więcej i lepiej, niż tamten?

Czy o tem wiedział? W każdym razie to pewna, że zrobił więcej i lepiej.

Francuzi mówią, że Ronsard czasem przesadzał, przeholował, dziwaczył, ale że tej wzniosłości, której żądał, czasem naprawdę dosięgał; że im język poetyczny i wielki styl wykształcił, stworzył, i na tej zasadzie mówią o nim, że przy wszystkich swoich pomyłkach i dziwactwach miał geniusz. Nie mamy prawa ani potrzeby im przeczyć. Ale o ileż więcej tego geniuszu musiał mieć taki poeta, który bez poprzedników i przygotowań, z językiem do form poetycznych wcale jeszcze nie nagiętym, kusi się o tę wzniosłość, o ten poetyczny język, o ten wielki styl, i znajduje go odrazu; nie maca, nie błądzi, nie wpada w pomyłki i dziwactwa, nie nadyma się ani przesadza, ale z tego przedtem niestrojnego instrumentu, dobywa odrazu wszystkie tony, jakie chce, a żadnego nigdy nie weźmie fałszywie; który tej wzniosłości nie przesadzi, nie wyśrubuje nienaturalnie, utrzyma ją zawsze w mierze, a znajdzie rzetelniejszą i wyższą, niż tamten. Takiego majestatu, takiej siły, takiej wielkości, jak ma styl niektórych psalmów, u Ronsarda niema nigdzie. Jaki dopiero geniusz musiał mieć ten, który poezyi nie odziedziczył po długim szeregu wieków, ale ją pierwszy stworzył i tak, że po wiekach nic się w niej nie przeżyło, nie zestarzało? Z Ronsarda wybierają Francuzi pewne wiersze, z wierszy ustępy i kawałki, które im się dziś podobać mogą. My z Kochanowskiego możebyśmy poświęcili *Szachy*, albo *Zuzannę*, albo *Brodę*: ale który *Tren*, który *Psalm*, którą *Pieśń* moglibyśmy wyrzucić albo amputować? U Ronsarda jest wiele rzeczy nudnych albo brzydkich; u Kochanowskiego nie wszystko jest równe, ale brzydkiego, nudnego, cóż dopiero śmiesznego niema nic. A jak to dowodzi wyższego smaku i delikatniejszego artystycznego zmysłu, jak stworzenie poetycznego języka z niczego i stworzenie go doskonalszym, niż język Ronsarda, dowodzi więk

szej zdolności i siły, tak znowu wyższego, szlachetniejszego natchnienia, wyższego uczucia, większej duszy, dowodzą te z dzieł Kochanowskiego, którym ani równych, ani blizkich Ronsard nigdy nie napisał: *Treny*, *Psalmy*, niektóre *Pieśni* i niektóre ustępy *Odprawy*.

Wrócił do Polski (1557), szukał sobie miejsca w świecie i stanowiska: wierszami łacińskimi i polskimi miał sobie zrobić wziętość, z czasem sławę. Kiedy się znalazł na dworze Firlejów, kiedy z niego przeszedł do służby królewskiej, znowu oznaczyć się nie da. Tyle wiadomo, że na dworach kończyło się zwykle wychowanie młodego szlachcica w owym czasie, a zaczynała się jego dalsza promocya w życiu, która czasem doprowadzała nawet wysoko. Tego więc zapewne chciał, to sobie obiecywał i Kochanowski. I to pewna, że na Firlejowskim, czy na królewskim dworze, zostawał w otoczeniu ludzi oświeconych, a niewątpliwie i wykwintnie wychowanych, w środowisku najbardziej cywilizowanem z całej Polski. Stosunki, czasem zażyłość, niekiedy przyjaźń z najznakomitszymi w kraju ludźmi, dają się wyśledzić często z jego wierszy; daje się z nich poznać także usposobienie, skłonne do miłości i miłostek, i skłonność do wesołego życia, do hulanki z miłymi towarzyszami.

Ale czem zaznaczyły się te lata w jego poezyi? Na pozór mało czem, a niezaprzeczenie to, co pisał po swoim powrocie do ojczyzny, daleko zostaje za późniejszemi dziełami z okresu jego zupełnej dojrzałości. Jednak nie przeszły te lata marnie. *Pieśni* nie mają tej sławy co *Treny* lub *Psalmy*; ale *Pieśni* były ogromnym krokiem naprzód, były poezyą! — pierwszą w polskim języku i—bardzo piękną.

Nieszczęsna nieznajomość życia Kochanowskiego, w jakiej nas zostawili jego współcześni, sprawia, że z wyjątkiem pieśni okolicznościowych, spowodowanych

jakiemś zdarzeniem, nie możemy wiedzieć, ani nawet z jaką taką nadzieją pewności dochodzić, kiedy która z jego pieśni powstać mogła. Wszelako, zważywszy jego młody wiek i jego usposobienie, przypuszczać możemy logicznie, że znaczna część jego pieśni miłosnych i jego *Fraszek* musiała powstać w ciągu pierwszych dziesięciu lat po powrocie. Był młody, był dużo w mieście, a zawsze między ludźmi, nie odosobniony na wsi jak później; wniosek ztąd prosty, że do czułych westchnień, jak i do pustych uciech, więcej miał wtedy sposobności i popędu, niż później.

Wiersze łacińskie nie ustają i nie ustaną do końca, a przy niejednym z nich można napewno położyć datę jego powstania. Elegia VII księgi II, na powrót króla z inflanckiej wyprawy, była oczywiście napisana wkrótce po powrocie z zagranicy. I tak samo Elegia VII księgi I do Mieleckiego. Z roku 1559 lub 1560 musi być Elegia do Karola (VIII księgi III), ze wzmianką o śmierci Henryka II. Elegia V księgi III, na wjazd Padniewskiego na biskupstwo krakowskie, wskazuje niewątpliwie rok 1560. Z przed roku 1561 jest Elegia V księgi I do hetmana Tarnowskiego, a z roku 1561 Elegia łacińska II ks. III i polskie wiersze na jego śmierć.

Z pieśni polskich niektóre tylko, okolicznościowe, dadzą się odnieść do pewnego roku, lub poznać po roku wydania, jak *Pieśń o Potopie* (1558). Pieśń dziesiąta księgi I, naśladowanie zbyt wyraźne Horacego *Carmen Saeculare*, mogła także powstać w tych latach, kiedy poeta młody potrzebował się pokazać, popisać, i polskim wierszem, i szczęśliwem naśladowaniem starożytnych. *Pamiątka Janowi z Tęczyna*, pierwszy tak długi polski wiersz Kochanowskiego, a ozdobiony ustępami istotnie pięknymi, musiała być blizką śmierci młodego narzeczonego królewny szwedzkiej, zatem powstać w roku 1562. Ale pieśni miłosne, od wszystkich tamtych

ciekawsze, a po największej części i piękniejsze, jak, po czem poznać, kiedy która z nich była pisana? Do kogo? W jakich okolicznościach? Niema po czem poznać. Poznaje się tylko nadzieję lub smutek, w różnych stopniach mocy; ztąd wniosek, że gdzie stopień uczucia inny, tam i osoby inne być muszą. Przypuszcza się, że wszystkie musiał poeta pisać, kiedy miał jeszcze prawo, choćby coraz mniejsze, uważać się za młodego. Ale do jakiejkolwiek pewności, do bodaj przybliżonego oznaczenia, podstawy nie mamy żadnej. Nie mając jej, poprzestańmy na tem, co możliwe, na wskazaniu, jakie te pieśni są i czem są dla naszej literatury.

Z góry, i raz na zawsze, powiedzieć trzeba, że w pieśniach polskich, jak i w łacińskich Elegiach, jest wiele naśladowania starożytnych; że nieraz zdarzają się całe pieśni przerobione, często wiersze, a nawet ustępy, od innych pożyczone. Należy jednak uważać, że co nie uszłoby w naszych czasach, tego tamten wiek poecie nie miał za złe, owszem, pozwalał zupełnie, a może nawet uważał za chlubę poety. Stosunek Pieśni do wzorów starożytnych jest dziś tak zbadany, że wiemy już dokładnie, który z nich wiersz lub ustęp, i w jakiej mierze, jest naśladowany lub pożyczony [1]). W to więcej nie wchodząc, trzeba tylko krótko, ale stanowczo, stwierdzić, że Pieśni w ogólności, i Pieśni miłosne, jak były w swoim czasie pierwszym kwiatem polskiej liryki, tak są dziś, i zostaną zawsze, jej ozdobą i chlubą. Dziwić się raczej należy, że je tak mało znamy i pamiętamy; być może, że przyczynia się do tego i brak tytułów. Wiersz, oznaczony tylko suchą cyfrą, nie utkwi tak w pamięci, jak ten, który samym napisem różni się od innego i chwyta uwagę czytelni-

¹) Parylak. Zbiorowe wydanie pism Kochanowskiego.

ka. Jakkolwiekbądź, są między pieśniami rzeczy śliczne, równe najpiękniejszym zagranicznym, współczesnym lub dawniejszym; owszem, rzeklibyśmy, choć nieśmiało, że nad niejednym sławnym lirykiem Kochanowski ma w każdym razie wyższość prostoty. Petrarka, naprzykład, często sili się na sztuczne wymysły, na przerafinowaną czułość; jego włoscy i francuscy naśladowcy tembardziej. Kochanowski nie wpada prawie nigdy w sztuczną przesadę; świeżość i szczerość uczucia, samorodność jego wyrazu, wydaje nam się u niego rzetelniejszą i większą.

Pieśni miłosne mają różny ton i charakter, zależny od uczucia, które je natchnęło. Kiedy to jest głębsze, mocne, tam w swojej prośbie, nadziei, gniewie czy smutku, poeta jest poważny, bardzo wzruszony, namiętny czasem, rzewny zawsze, i zawsze (w tych wierszach) uczuciem szlachetny. Nietylko kiedy chce lub spodziewa się tej, którą kocha, oddać serce, rękę, cześć, całe życie swoje, ale i w takich, gdzie o ślubie nie myśli, gdzie przedmiotem jego uczucia jest—ile domyślać się można—osoba zamężna. Jako przykład przytaczamy Pieśń siódmą i ósmą Księgi pierwszej.

Ale są i pieśni lżejsze, jak były w jego życiu lżejsze przelotne miłości. W tych pieśniach znowu jest taki zręczny i ujmujący, tak ładnie umie prosić, zalecać się albo skarżyć, że, czytając go, można wyobrazić go sobie wcale niebezpiecznym dla tych łaskawszych czy srozszych piękności. A przytem, rzecz godna uwadi, myśl wiersza i jego cel nie są zapewne cnotliwe, ale wyraz jest zawsze delikatny, w mierze trzymany, nigdy gruby lub nieskromny. Śmiało nieprzyzwoity, nigdy nieestetyczny, we *Fraszkach*, w Pieśniach miłosnych, nawet lekkich, Kochanowski trzyma swoją lekkość na wodzy z takim dobrym smakiem i delikatnem uczuciem, jak nie każdy ze współczesnych liryków zagranicznych; a zarazem bardzo zręcznie, bardzo na

prawdę *lekko*, umie tę lekkość swego uczucia dać poznać.

Otóż pieśni, nawet młodzieńcze, mają to w naszej poezyi znaczenie, że są wyrazem bardzo rozmaitym i wielostronnym, i wyrazem po największej części prostym, uczucia wspólnego wszystkim ludziom, ale podniesionego, wyszlachetnionego, w wybranej poetycznej duszy. Mają to znaczenie drugie, że pisane są z mimowolną może i niezupełnie świadomą, ale z wyrobioną już i wielką sztuką. Dźwięk i rozmaitość rytmu, jak rozmaitość tonu, zupełne opanowanie języka i wiersza i zupełne nim władanie, czyli wyrobienie formy, bez której niema poezyi, jak niema człowieka bez ciała, to wszystko znajduje się w *Pieśniach.* Zobaczymy później Kochanowskiego głębszym i potężniejszym nawet w pieśniach; ale te, które w tych latach mógł pisać, już wystarczają na to, by on był prawdziwym poetą, a Polska miała prawdziwą poezyę.

Ale nie same pieśni tylko, *Fraszki* także powstawać musiały w tych latach młodości i dworskiego życia. Ciągnęły się przez całe życie, ale część ich największa, i najbardziej charakterystyczna, z wszelkiem podobieństwem do prawdy, musi się odnieść od lat młodości.

Zbytecznie byłoby powtarzać, że *Fraszki* są rodzajem wspólnym całej humanistycznej literaturze europejskiej, że u nas kwitły długo (a nie osobliwie) aż do końca XVII wieku, i że *Fraszki* Kochanowskiego są bardzo ciekawym i bogatym dokumentem do studyowania i poznawania strony obyczajowej życia towarzyskiego w XVI wieku. I to także wiadomo zbyt dobrze, że ze wszystkich, jakie są w polskiej literaturze, te są i najzabawniejsze, i najlepiej pisane. Owszem, możnaby powiedzieć, że one jedne pisane są dobrze, z miarą w żarcie choćby najgrubszym, ze zgrabną formą. Są to żarty i wybryki człowieka dobrze wychowanego, cywilizowanego, i artysty, który ma ten szczęśliwy zmysł

i takt, że sam nie lubi i czytać nie każe tego, co grube, niesmaczne, odrażające, a tym zmysłem i taktem wiedziony, umie dotykać przedmiotów nieprzyzwoitych, chodzić po gruntach niebezpiecznych, a nigdy się nie zapaść w błota i rynsztoki i w nich nie zagrzążć. We *Fraszkach* hulaszczych, nawet rozpustnych, Kochanowski ma wdzięk szczerej wesołości, dobrego humoru, i ma ten szczęśliwy wrodzony dobry smak, że w nieprzyzwoitości otwarty, nie jest w niej nigdy grubym, jak Rey naprzykład w *Figlikach*, jak młodszy o sto lat Wacław Potocki w *Jovialitates*. Fraszek zabawnych jest dużo, bardzo świetnych dowcipem mniej; ale takich niema wcale, które zamiast śmiechu wywoływałyby niesmak i obrzydzenie.

Ale są między *Fraszkami* i takie, które dowodzą, że i wyobraźnia poety była czasem wśród tych hulanek zajęta, i nieraz nawet jego uczucie było wstrząśnięte. Do kogo? w jakich okolicznościach są pisane? Próżno łamać sobie nad tem głowę. To jedno zdaje się pewnem, że niektóre wierszyki oznaczają uczucie przelotne, płoche, a jednak żywe; inne pisane są w celu może nie budującym, ale z głębszym akcentem i prośby, i opinii o przedmiocie tego uczucia. Niektóre są bardzo ładne, a co dziwniejsza we *Fraszkach*, poważne smutkiem albo oburzeniem. Do tego rodzaju wierszy i natchnień, zaliczyć trzeba i jego przekłady lub przerobienia z Anakreona. Pierwszy to raz poeta grecki tłómaczony był na język polski; a ci, którzy tłómaczyli „zdrajcę starego” w wiekach późniejszych, może robili to równie dobrze, ale nie zdaje nam się, żeby z większym wdziękiem niż Kochanowski.

Ale młody, często płocho zakochany poeta; nie jest tylko używającym życia młodzieńcem, ani tylko artystą, zamiłowanym w swojej sztuce. Jego ojczyzna przebywa kryzys ważną; a on jest Polakiem, i dobrym Polakiem. Pod wpływem tych rozterków, które w Rzpltej widzi, tych gróźb, które nad nią wisieć mogą, pierwszy

raz stroi on swoją lutnię na ton nowy, wychodzi ze sfery osobistych wrażeń i uczuć, i pisze *Zgodę*, a po niej *Satyra*.

W tem wielkiem religijnem i politycznem zamieszaniu, z czem odezwie się poeta? Jak je zrozumie, jak osądzi, jak na nie radzić spróbuje?

Na sejmie roku 1562 ma się traktować wisząca oddawna sprawa Egzekucyi. Podkanclerzy Padniewski zagaja ten sejm w imieniu króla mową, z którą Kochanowskiego wiersz ma związek widoczny. Król na to ten sejm zwołał, „aby się w miłości i zgodzie Rzeczypospolitej posłużyło." Do tego samego zmierza swoim sposobem poeta.

Zaczyna on od filozoficznego pojęcia *Zgody*, przypomina potem, jak niezgoda zmogła i obaliła potężne mocarstwa, wreszcie szuka powodów niezgody polskiej. A więc naprzód ten, że „wszyscyście odstąpili od swego urzędu." Nikt nie patrzy tego, co do niego należy, tylko każdy podgląda, strofuje, posądza lub szkaluje drugiego. Dalej rozterka religijna, Wszyscy opowiadają słowo Boże, nie pytając, zkąd prawo, kto im dał ten apostolski urząd. Jeszcze dalej „zbyteczne wolności wyciąganie," korona zostawiona na koszu bez tej władzy, jaką miała dawniej, a zanim nowy jakiś porządek jest obmyślany i opatrzony, burzy się wszystko, co składało dawny. Są to spostrzeżenia niezaprzeczenie bystre, trafiające w samo jądro ówczesnego złego, i stałych usposobień polskich, a pod jednym względem, owej „na koszu zostawionej korony" trzeba uznać Kochanowskiego głębszym od Modrzewskiego nawet. Czy to myśl z jego własnej głowy, czy może z królewskiej pochodząca? W każdym razie przez nikogo dotąd tak wyraźnie nie wypowiedziana.

Pierwszy raz w *Zgodzie* zabrał Kochanowski głos w sprawach publicznych; niebawem zabrał go po raz drugi w tym samym duchu, z tego samego popędu.

Zgoda była poetycznem powtórzeniem tego, co w mowie od tronu powiedział podkanclerzy Padniewski; *Satyr* odpowiada temu, co w rok później mówił od tronu jego następca Myszkowski. Podobieństwo jest mniej dokładne; poeta dodaje ustęp o szkołach, w myśl żądań, jakie się wówczas dawały słyszeć; zato pomija dwie najważniejsze myśli z mowy tronowej, mianowicie o wojnie zaczepnej z Moskwą, która jedna może być prawdziwem zabezpieczeniem Rzeczypospolitej, i o poprawie losu miast i poddanych. Mimo tego opuszczenia jednak, jest *Satyr* politycznie mądry i patrzy daleko, kiedy przypomina, jak wielki kniaź moskiewski „listami wywodzi, że prawem przyrodzonem Halicz nań przychodzi,“ i kiedy pyta: „jaką przyjaźń z Niemcy macie?“ Wyrzuca Polakom, że wzięli się do gospodarstw i starań około majątku, a zaniedbali rycerskie rzemiosło, zmiękli, zniewieścieli: a na sejmach wyuczyli się tylko radzić i gadać, a nie nauczyli się robić, i tem się stało, że „kiedy trzeba było się bić, to oni radzili,“ i dali sobie wziąć Połock. W kwestyi religijnej stoi *Satyr* na stanowisku ściśle katolickiem. Tym, co dysputują o wierze i nowe nauki wymyślają, każe „iść do Trydentu“ i tam pokazać, co umieją. O sobie składa oświadczenie, że trzyma się tego, co na chrzcie przyrzekł, i tego nie odstąpi, „choćby mi spaść miała głowa.“ Kończy się *Satyr* przemową Chirona do młodego Achillesa, która jest zapewne pod temi figurami nauką dla Zygmunta Augusta.

Satyr jest ważnym dokumentem do poznania przekonań Kochanowskiego, politycznych i religijnych, jest dalej ważnem w naszej literaturze zjawiskiem, jako satyra polityczna, nie pierwsza, ale pierwsza dobrze, a miejscami świetnie, napisana. Trzeba jednak zaraz dodać, że on jest raczej wierszem dydaktycznym, otwarcie i wprost moralizującym, niż satyrycznym. Koniecznego pierwiastku satyry, to jest ironii, sarkazmu, jest w nim bardzo mało; jak wogóle w całej literatu-

rze polskiej tego wieku. Ale jest wiele politycznego rozumu, wiele bystrości, wiele patryotyzmu w kwestyach politycznych; w religijnych jest śmiałość, stateczność; jest wysoka cywilizacya i szlachetna forma. Dwa pierwsze Kochanowskiego wiersze polityczne, *Zgoda* i *Satyr*, rozpoczynają świetnie szereg naszych patryotycznych poezyj.

II.

Modrzewskiego o Kościele Księga Druga. Orzechowski. Polemika z Modrzewskim i Stankarem. Dyalogi. Quincunx. Charakterystyka ogólna. Solikowskiego *Idea Apocalyptica*.

Kiedy tak młody pisarz zajmował w literaturze miejsce tak wielkie, jak przed nim nie zajmował nikt, co robili ci starsi, co zawód swój zaczęli dużo przed nim, a przed jego wystąpieniem sami jedni świecili pisarskim talentem?

Piszą wszyscy, a każdy pochwycony konsekwencyą swojej myśli i swoich czynów, jakimi dla autorów są pisma, kroczy dalej po drodze, na którą wstąpił. Ale zanim do nich wrócimy, należy się krótka wzmianka jednemu, który pisarzem nie jest, ale teraz, w starości, na schyłku swego życia, pisze małą książeczkę w kwestyi specyalnej, z jego zawodem złączonej, a ważnej. Hetman Tarnowski wydaje (1558) *Consilium Rationis Bellicae.* Książeczka to ciekawa. Przez wojskowego pisana, na znajomości sztuki wojennej i na praktycznem doświadczeniu oparta, służyła z pewnością za pomoc tym nie wojskowym, którzy później o wojskowych sprawach pisali, a przynajmniej wspominali. Stanowisko moralne jest to samo, co u Modrzewskiego w księdze o wojnie; tylko wojna obronna jest godziwą, a błogowieństwo Boskie, główny warunek zwycięstwa, tylko na godziwą wojnę spłynąć może. Stanowisko religijne

względem Rzymu raczej nieprzyjazne. Wcale złośliwie wyraża się hetman o Papieżu, który na swoje cele ściąga annaty, ustanowione pierwotnie na obronę przeciw nieprzyjaciołom wiary. Kwestye ściśle wojskowe dzielą się na: obowiązki króla (rządu) czyli przysposobienie zawczasu wszystkiego, co do wojny potrzebne; obowiązki hetmana w czasie pokoju i w kampanii; obowiązki oficerów wszelkiego stopnia i żołnierzy. Zakładanie obozu ma swój rozdział osobny. Wymaganie karności i porządku, wówczas zapewne takie samo jak dziś, a ubezpieczone surowymi artykułami prawa wojennego, dla czytelnika nie wojskowego będą dziś zapewne najciekawsze i najłatwiejsze do zrozumienia i osądzenia.

Modrzewski posuwa się coraz dalej i coraz śmielej w kierunku protestanckim. W roku 1559 wychodzi zbiór jego broszur, przez te lata pisanych, a pisanych po większej części w odpowiedzi Hozyuszowi i jako polemika z jego dziełami (dyalogi o małżeństwie księży, o komunii pod dwiema postaciami etc., etc.) jako *Druga Księga o Kościele* (*de Ecclesia Liber Secundus*).

Dzieło to jest w oczywistym i blizkim związku z tym programem protestanckim, który na sejmie roku 1555 wystąpił tak silnie i tak namiętnie. Pisarz żąda prawie zupełnie tego samego, czego tam domagali się posłowie, czemu opierał się król, ustępując cokolwiek, zwlekając i dyplomatyzując więcej. Frycz tutaj, jak w pierwszej księdze o Kościele, chce pojednania wszystkich wyznań, jednego, powszechnego, ale kompromisowego Kościoła. Jest w dobrej wierze z pewnością: nie jest stanowczym luteraninem ani kalwinistą, ale katolikiem jest dużo mniej, niż się nim wydawał przed kilkoma laty. Powodem jest niewątpliwie z jednej strony logika własnych przekonań i coraz większa siła protestanckich dążności, coraz namiętniejsze do nich przywiązanie. Z drugiej strony rosnące także przekonanie, że Kościół nie ustąpi, nowych nauk nie przyjmie, mo-

dyfikacyj w artykułach wiary nie dopuści: i ta obrona, jaką swojej sprawie dają katolicy, coraz stalej i coraz energiczniej (pisma Hozyusza).

Pod tymi wpływami Frycz oddala się od Kościoła coraz bardziej. Śmiało znosi i kasuje Msze, odpusty, naukę o czyśćcu, i Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej. Tem śmielej żąda małżeństwa księży i nabożeństwa w krajowych językach. Robi ostatni krok w swojej rozpoczętej przed laty organizacyi Kościoła: opisuje sposób wyboru Papieża. Co lat dziesięć ma się odbywać Sobór powszechny całego chrześcijaństwa, złożony z duchownych i świeckich naturalnie, i ten wybiera dziesięciu mężów, znanych z cnoty i nauki, którzy kolejno jedèn po drugim mają przez rok jeden rządzić Kościołem. Po roku Papież ustępujący ma zdawać sprawę ze swego urzędowania, a może być sądzonym i karanym, jeżeli się pokaże, że jest słuszny powód po temu. Taki projekt organizacyi (!) Kościoła przypisany jest komu? Papieżowi właśnie, Pawłowi IV.

To jest drugie stanowisko Modrzewskiego w kwestyach religijnych, daleko mniej jeszcze katolickie, niż było pierwsze. Trzecie, na którem on okaże się w *Sylwach*, będzie jeszcze dalej posunięte w tym kierunku.

I teraz następuje długa i zacięta polemika między Modrzewskim a Orzechowskim. Ten ostatni, w roku jeszcze 1556 przez tamtego chwalony i sławiony za to, że miał odwagę się ożenić, ten sam, który w tym czasie pisał *Repudium Romae*, teraz przestraszony zdaje się szczerze postępem religijnych nowości, a przestraszony także o siebie, bo coraz mniej spodziewający się uznania swego małżeństwa przez Stolicę Apostolską, występuje teraz jako najgorliwszy, gwałtowny obrońca tego Kościoła, przeciw któremu się zbuntował. Obrona i gorliwość dziwna; pełna niekonsekwencyi, jak charakter i życie tego człowieka. W oracyi *pro Dignitate Sacerdotali*, upomina i zaklina nuncyusza Bonioani, żeby za-

prowadził porządek w sprawach religijnych (co znaczy, żeby wypędził heretyków), a zarazem upiera się przy prawności swego małżeństwa, dowodzi z oczywistą złą wiarą, że zawinił jedynie tem, że stan wyższy kapłański zamienił na niższy małżeński, a w końcu grozi zuchwale, że jeżeli Rzym nie uzna jego małżeństwa, to on sobie poszuka tego uznania w świętej cerkwi greckiej, a jak na tem Rzym wyjdzie, to wkrótce zobaczy.

Fricius, sive de Majestate Sedis Apostolicae, jest spokojniejszy od innych jego pism, wolniejszy od wykrętów i paradoksów. Ale jeżeli pismo lepsze, to uczynek brzydki, podstępny. Orzechowski przybił na drzwiach kościoła w Wolborzu tezy, na które Modrzewski miał mu odpowiedzieć: jeżeli nie odpowie, w sensie katolickim, do dwunastu godzin, Orzechowski oskarży go o herezyę. Przybił zaś te swoje tezy w chwili, kiedy Modrzewski z Wolborza był wyjechał i miał wrócić dopiero nazajutrz, lub za dni parę. Z podobnego podstępu wyszła i *Chimaera*. Orzechowski dostał jakiś rękopis, którego Stankar nie był wydrukował, może nawet obawiał się drukować, i przeciw niemu napisał *Chimaerę*, oskarżył go o herezyę, i żądał wygnania. Pisemko ciekawe, naprzód przez wielką zarozumiałość i samochwalstwo autora, a potem jako znak i miara przemiany w jego usposobieniu. Coraz mniej spodziewa się uznania swego małżeństwa, pragnie go coraz goręcej, i... pokornieje. Nie rzuca się, nie grozi; obstaje przy swojem, ale spodziewa się i łudzi, że tą gorliwą obroną Kościoła zaleci się biskupom i Papieżowi i może otrzyma to, czego otrzymać nigdy nie mógł. *Chimaera* jest już przygrywką do ostatnich pism Orzechowskiego; ten sam pomysł, tylko szerzej rozwinięty i wymowniej napisany, znajdzie się w *Dyalogu około Exekucyi*.

Dyalog ten oznacza ostatni okres w jego zawodzie, a zarazem świetną w literaturze polskiej nowość. Pierwszy to raz pisze Orzechowski po polsku; a jak

wiersz u Kochanowskiego, tak język prozaiczny u niego po raz pierwszy dochodzi do piękności.

Zanosiło się na sejm roku 1562. Zwołany on był na to, żeby raz załatwił wiszące sprawy sporne i żądania (Egzekucyę). Orzechowski, który uznania swego małżeństwa dotąd się nie doczekał, a starzejąc się, już widział coraz mniej czasu przed sobą, potrzebował ująć sobie opinię katolicką, a zwłaszcza biskupów. Ale obok tego lękał się tego rozprzężenia, które w Rzpltej widział, lękał się o jej przyszłość: i chciał wypowiedzieć otwarcie, w czem widział jej zabezpieczenie i ratunek,

Dawniejsi badacze (Ossoliński), przypuszczali w teokratycznym systemie Orzechowskiego tylko złą wiarę i chęć pozyskania biskupów. Nowsi (Kubala, Szujski) przypisują tym pismom jego wielki a szkodliwy wpływ na późniejsze pojęcia polityczne w Polsce, ale wierzą w szczerość jego trwogi o Rzeczpospolitą i jego przekonania, że powrót do religijnej jedności będzie jej zabezpieczeniem, skoro religijna rozterka jest wielkim powodem jej rozprzężenia.

Myśl podstawna *Dyalogów* jest ta, że król bierze swoje królestwo, swoją władzę, od Papieża, jest jego podwładnym. Główny argument i dowód jest ten, że skoro biskup (prymas) wkłada królowi koronę na głowę, to oczywiście władza duchowna nadaje władzę rządcy świeckiemu, który też od niej we wszystkiem ma być zależnym. Twierdzenie z nauką Kościoła o wzajemnym stosunku obu władz zupełnie niezgodne, paradoksalne, a dowodzone naciąganym sposobem, szumnym, ale błahym. W kwestyi, która się właśnie toczy, w kwestyi *Egzekucyi*, mówi Orzechowski, że ta powinna się zacząć od porównania faktycznego stanu rzeczy, z koronacyjną przysięgą króla; a w czem się od tej przysięgi odstąpiło, to ma być naprostowane i naprawione. Znaczyło to, że trzeba przywrócić jurysdykcyę biskupów, a heretyków skazać na wygnanie. Egzekucyi w ścisłem znaczeniu słowa, zwrotowi nadań i dóbr

królewskich, sprzeciwia się Orzechowski namiętnie, i w ustępach wielkiego retorycznego efektu. Sprawy sądowe miałyby być zdjęte z sejmu, a oddane osobnym stałym sądom ziemskim, nad którymi byłby jeden sąd najwyższy (późniejszy trybunał).

Dyalogi są książką bardzo znaczącą. Naprzód dlatego, że są pierwszą broszurą polityczną, napisaną po polsku, a pisaną świetnie, z niezaprzeczonym talentem. Powtóre dlatego, że są bardzo nauczającym wyrazem ówczesnej opinii polskiej i jej pojęć. Wreszcie, przez wpływ, jaki mogły wywierać. One pierwsze w literaturze świeckiej afirmują tak silnie dążność katolicką, powrót do dawnej jedności Kościoła; ale jak są objawem, a poniekąd może i jedną ze sprężyn podnoszącej się dążności katolickiej, tak są też wyrazem, a niewątpliwie i utwierdzeniem, propagandą, tego pojęcia władzy warunkowej i na umowie opartej, które u nas tak było popularne: są jednym z rozdziałów tej teoryi, której skutkiem i praktyką były *Pacta Conventa*. W tych dwóch kierunkach *Dyalogi* podobały się, działały, i wywarły wpływ. A prócz tego wpływ Orzechowskiego przyczynił się niewątpliwie i do utwierdzenia nas w tej admiracyi dla siebie samych, w tej wierze w doskonałość naszego społecznego składu, która to admiracya i wiara stała się jednem z naszych wielkich nieszczęść. Ale ten pierwiastek nie występuje jeszcze w *Dyalogach* tak silnie, jak później w *Quincunxie* i w *Policyi*.

Na sejm następny (1563/64) napisany był *Quincunx* albo *Wzór Korony Polskiej na cynku wystawiony* (to znaczy kształt korony polskiej na ostrosłupie uzmysłowiony), obszerniejsze rozwinięcie drugiego *Dyalogu około egzekucyi*, tego w którym Orzechowski wywodzi pochodzenie władzy świeckiej od kościelnej i jej od tamtej zależność. Te same co tam twierdzenia i dowodzenia, te same sofizmaty i sylogizmy, (prymas koronator króla, źródło jego władzy, jego sędzia i zwierzchnik, nie poddany), tylko rozwiedzione szerzej, zaczerpnięte głębiej

wywiedzione niby z samego dna prawd filozoficznych i politycznych, ozdobione szumną a w rzeczy błahą erudycyą, i poparte nowym zasobem sofizmatów i paradoksów, których w Dyalogach nie było. Jeżeli niedorzeczna teorya *Dyalogów* mogła stać się jeszcze niedorzeczniejszą, to stała się taką właśnie przez te pozory systematyczności i filozoficznej głębokości w *Quincunxie.* Do tego dodane szumne, a niby ścisłe dowodzenie, że w królestwach tylko może być wolność, bo jest koronacya, i odpowiedzialność króla przed tym, od którego wziął koronę, w księstwach zaś, gdzie niema korony i koronacyi, musi być ostatnia i nikczemna niewola. W takiej niewoli jest Litwa, którą Orzechowski znieważa obelżywemi słowami: i to w tej chwili właśnie, kiedy toczy się sprawa Unii, kiedy Litwa silnie się jej opiera, kiedy interes i zdrowy rozsądek każe wystrzegać się wszystkiego, coby ją zrazić i odstręczyć mogło. Jest więc *Quincunx* pismem zasadniczo błahem, a praktycznie szkodliwem. Ale czy zgoła niema w niem prawdy, to inne pytanie. Odpowiedzialność króla przed Bogiem, zachowana pozornie w słowach, ale zniesiona w sumieniach i skasowana przez *racyę stanu*, jak bywała nieraz hamulcem przeciw nadużyciom, tak może zawsze być rękojmią wolności poddanych i ich obroną. Orzechowski się myli, jeżeli myśli, że jedynem niebezpieczeństwem Polski są nowe wiary, a jej bezpieczeństwo pewne, jeżeli cała do dawnej powróci. Ale nie myli się, kiedy nam przepowiada, że „będziemy mieli króla w duchownych rzeczach sędziego, ale tego, którego nam Bóg przez Turka, albo przez nasz roztyrk domowy da." Nie myli się, kiedy mówi, że „zewsząd wołają na nas, opowiadając upadek pewny," a my nie słuchamy, jak nie słuchała Lota „ślepa Sodoma." I nie dla żartu, nie dla retorycznego efektu, ale ze szczerego żalu i strachu o ojczyznę woła, „byś serce moje rozkroił, nic w niem nie znajdziesz jedno to słowo *Zginiemy.*" Dzieło jest błahe, może było

szkodliwem; ale takiemu uczuciu należy się uszanowanie, a takie słowa powinny się zawsze brać do serca, żeby ten, co je mówił, nie wydał się nam potomnym, jak się wydał swoim współczesnym, *quasi ludens loqui.*

Niedługo czekał *Quincunx* na zasłużoną odprawę. W roku 1564 wyszła *Rozmowa Polaka z Litwinem*, napisana, jak dowiódł prof. Brückner, przez Augustyna Rotunda, znanego w swoim czasie prawnika i wójta wileńskiego. Nie tak wymowna i świetna jak *Quincunx*, książeczka ta należy do głębszych, do bardzo dobrych w literaturze politycznej tego czasu. Nietylko zbija sofizmaty Orzechowskiego o niewoli księstw i pośledniości Litwy, przez co łagodzi jej urazę i pomaga do upragnionej i koniecznej Unii, ale i Koronie mówi prawdy zasłużone a mądre, jak ta, że przez jej niedbałość i opieszałość Rzplta straciła Połock, lub że lepiej Podola od Tatarów bronić, niż na sejmach się swarzyć i popisywać wymową. Autor (katolik) jest świadomy zagranicznych praw i urządzeń: jest zaś względem swoich dziwnie śmiały, śmielszy może od wszystkich, kiedy im mówi otwarcie, że królestwa dziedziczne lepsze są od wybieralnych. Kto wie, co się stało w lat kilka później i jak się wskutek tego losy Polski obróciły, ten nie może odmówić mu zasługi i musi żałować, że mu nie uwierzono.

Orzechowski pisze już potem bardzo mało. Jest tylko *Ziemianin*, mała broszurka przedsejmowa, najspokojniejsza z jego pism, a sympatyczna i szlachetna patryotycznym strachem o przyszłość, i jest *Policya.* Ta miała być największem, na rozmiar i na wartość, dziełem autora; gruntownym, systematycznym wykładem samej istoty społeczeństw ludzkich i państw, zasad i warunków ich bytu, i ich pomyślności. Miało to być zrobione z największą możliwą powagą, z wielkim aparatem erudycyi i filozofii (Arystotelesowej głównie). Ale *Policya* została tylko fragmentem. Jest pierwsza księga cała, drugiej część niewielka; reszta jeżeli była pisana, to zaginęła.

System *Policyi* jest ten sam, co w *Dyalogach* i w *Quincunxie*, ustępów pięknych nie brak. Na tem kończy się zawód Orzechowskiego.

Sąd o nim, jako o człowieku, musi być bardzo surowy [1]). Jeżeli rzeczywiście tak po katolicku wierzył, i tak o potrzebie władzy kościelnej był przekonany, jak mówił, to jakże mógł wbrew tej władzy stanowczym krokiem swego życia gwałcić nie wiarę zapewne, ale obyczaj, karność i powagę tej władzy i dawać gorszący przykład buntu? Jeżeli był tak prawowiernym, jak mówi, tak gorliwym prześladowcą kacerzy, tak fanatycznym, że wrzeszczał całe życie o ich wygnanie i infamię, to jakże mógł sam udawać, że nie widzi różnicy wiary pomiędzy Kościołem katolickim a wschodnim, jak mógł odgrażać się odstępstwem? A jeżeli był tak dobrym i dobrze widzącym obywatelem, jeżeli wołał tak wymownie, że zginiemy przez nierząd, sprowadzony prywatą, to jak mógł własną prywatą nierząd ten podniecać, a w Annalach być jego adwokatem, obrońcą i panegirystą? W małych rzeczach, w sądzie o ludziach ta sama zmienność; oprócz Zygmunta Starego, na którego powagę się nie targa, i hetmana Tarnowskiego, którego stale wychwala (podług Ossolińskiego dlatego, że stale pobiera jurgielt od niego i syna) i oprócz Herburtów, niema nikogo, kogoby nie wynosił pod obłoki i nie szkalował. Kmita i Radziwiłł przestali być jego ulubionymi bohaterami, odkąd przestali płacić jurgielt, jeżeli mamy dać wiarę Ossolińskiemu. Królowa Bona raz jest powodem wszystkich zaburzeń, drugi raz chwałą i ozdobą Korony Polskiej; Barbara ostatnią z kobiet, i znowu najlepszą królową, pełną dobrej woli, miłosierną, przystępną, używającą wpływu swego u króla na to tylko, żeby ludziom dobrze czynić; Kromer raz zaszczytem Polski, pisarzem, za którym on sam Orzechowski nie godzien nosić ka-

---

[1]) Ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI w.*

łamarza, drugi raz zuchwałym mieszczańskim synem, który śmie mierzyć się ze szlachcicem Okszycem. Przykładów podobnych pełno. Jedno jeszcze, to jest, że jak przed potwarzą się nie cofa, tak się i pochlebstwa nie wzdryga; panegiryzm, pochwała szumna, zbyteczna, przesadna, przebija w nim wszędzie, gdzie mu kogoś chwalić wypada.

Wszystko to są właściwe a brzydkie rysy człowieka, który sam dla siebie jest przedewszystkiem i nadewszystkiem: co zaś najsmutniejsze, to że w tym egoizmie, w tej prywacie, w tej zmienności, jest przynajmniej tyle złej wiary, ile wrodzonej niestateczności. Kiedy przybijał tezy na drzwiach wolborskiego kościoła i wyzywał Modrzewskiego na dysputę, dając mu dwanaście godzin czasu, kiedy ten był nie obecny, działał ze złą wiarą; kiedy Stankara podszedł i zdradliwie dowiedział się o treści jakiejś jego kacerskiej książki, którą tamten trzymał w rękopisie, i zaraz go zdał jako kacerza, żeby siebie jego kosztem podnieść, działał w złej wierze. Przypuściwszy, że *Fidelis Subditus*, że paszkwil *o małżeństwie królewskiem* były pisane ze szczerego przekonania, nie dla przypodobania się opinii, pozwoliwszy nawet, choć to może trudniej, że *Dyalogi* i *Quincunx* były pisane w dobrej wierze, nie dla przypodobania się biskupom, to i wtedy nie można uwierzyć w jego dobrą wiarę w głównej sprawie jego życia, w sprawie małżeństwa. O szkodliwości celibatu mógł być przekonanym, ale w to nie mógł wierzyć, żeby ksiądz wyświęcony mógł wchodzić w związek małżeński i żeby taki związek był czem innem, jak rozpustą. W dobrą wiarę Lutra, który odrzuca razem i wiarę i karność i żeni się, można wierzyć: nie w dobrą wiarę Orzechowskiego, który się żeni, a zostaje katolikiem i upiera się, że nie wykroczył w niczem przeciw Kościołowi. W sprawie tej uderzają dwie rzeczy: łagodność biskupów, i hardy upór i zła wiara Orzechowskiego. Że biskupi małżeństwa uznać nie mogli,

to rzecz jasna, ale że przypadek tak niewątpliwy odsyłali do decyzyi papieskiej, to jest szczególne. Że z Orzechowskim postąpiono w ten sposób, powód był ten, że biskupi lękali się odpowiedzią stanowczą pchnąć Orzechowskiego do protestantyzmu. W epoce szerzących się herezyj i w chwili takiego rozjątrzenia szlachty na duchownych, Orzechowski protestant byłby dla Kościoła nieprzyjacielem nader niebezpiecznym. Zastanawiając się nad tem, istotnie dziwić się przychodzi, dlaczego Orzechowski nie zmienił wiary; był to najprostszy sposób, owszem jedyny, wydobycia się z położenia, z którego innego wyjścia być nie mogło. Ten był tak prosty, tak blizki, że musiał nieraz stawać mu w myśli. Dlaczego się go nie chwycił? Na to jest jedna tylko możliwa odpowiedź: musiał w gruncie naprawdę po katolicku wierzyć i na zmianę wiary w sumieniu swojem zgodzić się nie mógł. Tylko takiem uczuciem da się ta rzecz wytłómaczyć. On miał słuszność przeciw Kościołowi, on był po nad nim, ale z tym wyjątkiem Kościół miał słuszność przeciw wszystkim. U ludzi, u których osobistość wzięła górę nad wszystkiem, sprzeczność taka, taki wyjątek od absolutnej zasady dla siebie jednego, zdarza się nierzadko, zdarza się zwłaszcza w Polsce; nie na polu zasad religijnych może, ale na polu społecznem i politycznem mamy takich przykładów wiele. Republikanizm i demokracya naszych oligarchów jest takim przykładem. Prawie wszyscy oni wyznawali równość, zdawało im się, że szczerze; ale równość ta zatrzymywała się na ich domu. Równość obywatelska, równość podciągająca pod swój strychulec wszystkich, byle Kmita, naprzykład, lub inny głową nad ten poziom wystawał.

Złej wiary Orzechowskiego zaś w tej sprawie, dowodzi nietylko to, że nie mógł małżeństwa swego uważać za kanonicznie ważne, ale i całe jego postępowanie. Na pierwszym sądzie biskupim przysiągł „uczciwości kleryckiej strzedz” i nic „bez wiedzy i pozwole-

nia biskupa nie ogłaszać," a zaraz potem napisał książkę *o bezżeństwie*, a następnie ożenieniem groził. Pozwany na synod piotrkowski, przyrzeka znowu nie żenić się, dopókiby nie miał dyspensy od Papieża, a zaraz potem złożyt butnie urzędy kościelne i ożenił się. Dość dowodów złej wiary i łamania słowa;—a wszystkie następne narzekania na biskupów, że go karzą za uczciwe życie, wszystkie upierania się, że zrobił dobrze i miał prawo tak zrobić, wszystkie wywody i paradoksy, że w tem tylko pobłądził, iż stan wyższy i doskonalszy kapłański zamienił na mniej doskonały małżeński, wszystko to majaki, którymi siebie i drugich do ostatka tumanić próbował.

Wszystko razem, Orzechowski, jako człowiek, jest wzorem osobistości wybujałej nad miarę, nad wszystko, nad prawo, nad wiarę, nad Kościół, nad państwo, nad człowieka samego wreszcie, rozkiełznanej ze wszystkich wędzideł zasad moralnych lub tylko logicznych. I przez to jest Orzechowski, na nieszczęście typem, bardzo polskim, jest podobny do wszystkich naszych rokoszanów; w innych okolicznościach i na innem polu jest tem samem, czem na polu spraw politycznych Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwił albo Lubomirski.

Sąd ten tak surowy zmienić się nie da, jednak sprawiedliwość nakazuje łagodzić go okolicznościami, które na korzyść Orzechowskiego przemawiają. Okoliczności takie zachodzą nawet przy sprawie jego małżeństwa. Nie byłoby ściśle sprawiedliwem, gdybyśmy ten główny fakt jego życia mierzyć chcieli skalą dzisiejszych zasad i obyczajów. Człowiek i ksiądz w wieku XVI wiedział wprawdzie tak dobrze, jak dziś, że ksiądz żenić się nie może, ale był pod tym względem narażony na nierównie silniejsze pokusy. Patrzał na wielkie zepsucie obyczajów w duchowieństwie, słyszał i czytał ustawicznie, że najpewniejszym i najprostszym na nie środkiem byłoby zniesienie celibatu, a nie był tak jak my nauczony powodów, dla których Kościół celibatu

znieść nie może, nie rozumiał ich, nie był o nich przekonanym, nie wierzył im tak, jak my. Wszak nie protestanci tylko, z katolików nie jeden Orzechowski dowodzi, że małżeństwo księży jest potrzebne i zbawienne. W ówczesnej niestałości pojęć nic częstszego jak ludz e, którzy są i chcą być katolikami, a co do pewnych kwestyj i nauk myślą inaczej i robią swoje zastrzeżenia: co do żadnej zaś tak często, jak właśnie co do kwestyi celibatu. Orzechowski i bez swoich wittenberskich nauk, z niemi tem bardziej, mógł w dobrej wierze pisać swoją książkę przeciw celibatowi: nie mógł ożenić się w dobrej wierze, ale tu jego namiętność i namowy protestantów mogły tak złudzić jego dobrą wiarę i sumienie, że w chwili, kiedy ten ślub zawierał, mógł nie widzieć jasno, co robił, nie zdawać sobie sprawy z rozmiarów i skutków swego wykroczenia. Później ta sama namiętność tłómaczy, że się zuchwale biskupom i Papieżowi odgrażał. Oprócz namiętności zaś było coś większego i szlachetniejszego: wzgląd na kobietę, której los i cześć nierozważnie za sobą w przepaść pociągnął, którą szanował i szanować miał obowiązek, którą zapewne kochał, za której nieszczęście był odpowiedzialny; i wzgląd ojca na dzieci, kochane niewątpliwie, a przez jego postępek skazane na upośledzenie i upokorzenie, nacechowane piętnem nieprawości. Wtedy, w ostatnich latach swego życia, Orzechowski otrzeźwiony musiał być okropnie nieszczęśliwym, i samo pożałowanie łagodzi sąd surowy, jaki o nim wydać trzeba.

Jego stałość w wierze katolickiej jest tylko nowym i może najwymowniejszym dowodem jego niestateczności: ale i ona była szczerą i na przekonaniu opartą, a musi mu być policzoną za zasługę i za cnotę, bo dla niej poniósł największe, jakie mógł, poświęcenie. Oczywisty interes nakazywał mu po ożenieniu zostać protestantem: zmiana wiary zmieniała odrazu stanowisko jego żony i dzieci, bo w nowem wyznaniu niktby ich

prawności nie przeczył. Jaki prócz tego los świetny, jaką może w całej Europie sławę mógł sobie Orzechowski zrobić, przechodząc do protestantów! A jednak tego nie zrobił. Dlaczego? Kiedy kto działa wprost przeciw swojemu widocznemu i żywotnemu interesowi, kiedy wstrzymuje się od tego, do czego ten interes pcha go całą siłą jego lepszych i gorszych uczuć i popędów, to nie może być inaczej tylko tamę, wędzidło, zakłada mu sumienie. Orzechowski, kiedy nie został protestantem, musiał być katolikiem z przekonania i przez całe życie, katolikiem bez konsekwencyi i statku, ale nie bez wiary i sumienia. Namiętność, upór, po części rozpacz, kazały mu do ostatka odgrażać się odszczepieństwem, ale przekonanie i sumienie trzymały go do końca, i utrzymały. I znowu ta stałość mimo pokusy i walki, ta wierność wbrew korzyści własnej, dowodzi, że pod namiętnością tego temperamentu i niestatkiem tego umysłu, była wrodzona szlachetność, która w innych czasach i pod innymi wpływami kto wie do jakiej wysokiej, do jakiej heroicznej cnoty mogła się rozwinąć i stać się zdolną. I to wzgląd drugi, który nie uwalnia nas od konieczności surowego o nim sądu, ale go znowu żałować i w pewnej mierze szanować każe.

A trzecim jest jego miłość ojczyzny, jest ta żałość, wyrwana z serca, w którem, gdyby je rozkrajać: niczby się nie znalazło, tylko rozdzierający okrzyk, „Zginiemy!". To także szczere, to także w dobrej wierze, i to sprawia także, że cokolwiek złego o Orzechowskim powiedzieć jest się zmuszonym, ma się dla niego zawsze nietylko pobłażanie, nietylko współczucie, ale poszanowanie i niekiedy nawet podziwienie.

Orzechowski, jako pisarz, jest do określenia trudny. Talent pisarski wielki, wymowa i energia niepospolita, giętkość i łatwość wielka, rozum, zdolność argumentowania, wszystko jest; a przecież to wszystko nie wydało ani jednego dzieła trwałego, ani jednego zupełnego, ani jednego dobrego i prawdziwego. Zbyteczna rzut-

kość i niestateczność charakteru musiała być powodem, że nad jedną myślą i jednem dziełem Orzechowski zatrzymać się nie był zdolny, a nadzwyczajna wrażliwość temperamentu znowu musiała sprawiać, że przy każdej sposobności wybuchał, że się we wszystko mieszał, o wszystkiem coś napisać musiał. Jego charakterystyczne właściwości są: wymowność naprzód, wielka energia i jędrność stylu, zwroty niespodziane a efektowne, słowem pozory pisarza bardzo świetne, olśniewające. Powtóre niepospolita acz nieszlachetna wcale zdolność dyalektyczna; nikt śmielej nad Orzechowskiego paradoksu nie postawi i nikt go nie broni, jeżeli nie zręczniej, to przynajmniej zuchwalej, z większą, rzecby można: bezczelniejszą, otwartością sofistyki. Naprawdę, w gruncie, argumentuje błaho i słabo, może dlatego, że prawie zawsze broni bądź złej sprawy, bądź niedorzecznego założenia: ale napozór rozumuje ściśle, nierozważnego nie przekona, ale olśni, zakrzyczy i pociągnie. Do tego wszystkiego ma wielki spryt i węch do poznania opinii publicznej, zawsze wie, zkąd wiatr wieje i umie zręcznie swoją łódkę tak obrócić, żeby ten wiatr wiał w jego żagle: zna wybornie publiczność, do której mówi, wie co jej się podoba, wie jak trafić w jej słabą stronę. Nie są to przymioty wielkiego pisarza, nie wystarczą na to, żeby dzieła stały się wiekopomnemi, a pisarz sławnym i wdzięcznie wspominanym, jak długo świat stoi, ale są właśnie te, których potrzeba, żeby u współczesnych mieć wielką sławę i wziętość. To też Orzechowski dziś czytanym nie jest, ani z potrzeby, ani dla przyjemności; szukamy w nim jego języka raczej, niż jego myśli: a gdyby nie jego sławne i dziwne przygody, oprócz historyków literatury, możeby nikt o nim nie wiedział. Ale w swoim wieku rozgłosu i sławy miał tyle, ile ich tylko próżność jego pragnąć mogła. Z takiemi wrodzonemi własnościami Orzechowski nie mógł zostać wielkim pisarzem, ale stworzony był na to, żeby stać się wielkim w jednym, okolicznościowym i nietrwałym ro-

dzaju pisania, w publicystyce. Rzeczywiście miał geniusz publicystyczny: z tą wymową, z tym darem działania na wyobraźnie, z tą sztuką olśniewania i porywania, z tą znajomością: ludzi, z którymi miał do czynienia, których chciał przekonać i pozyskać, ich opinii, uprzedzeń, słabości, z tą zręcznością, z jaką swój cel zawsze łączyć umiał ze sprawą chwilowo najpopularniejszą, jest Orzechowski (jak na to słusznie już zwrócił uwagę p. Kubala) pierwszym publicystą polskim, a może jednym z najzdolniejszych ludzi w tym zawodzie. Że broszury jego dziś na nas robią małe wrażenie, że widzimy całą tę sztuczną łataninę paradoksów i sofizmów, nic dziwnego: ale ta jest natura pism tego rodzaju, że na potomność się nie oglądając, działać chcą doraźnie na współczesnych. I działały. Całe życie Orzechowskiego, wielka popularność jego sprawy i osoby, dowodzą, że ani *Turcyków*, ani *Subditusa*, ani *de Matrimonio* nie pisał napróżno. Nie pisał też napróżno *Dyalogów* i *Quincunxa*, skoro jednem i drugiem przyczynił się do utwierdzenia nas w zbyt pochlebnem, złudnem mniemaniu o sobie i o doskonałości naszego politycznego organizmu.

Ale będąc przykładem zdolności publicystycznych, dobranych tak szczęśliwie jak rzadko, jest on zarazem i zbiorem wszystkich własności, które publicystykę mogą robić niebezpieczną i nieuczciwą; jest typem publicysty złego. W niestateczności, w sprzecznej z sobą gorliwości o dobro Kościoła, przeciw któremu się buntował, o dobro ojczyzny, którą wichrzył, w sztuce kaptowania *aurae popularis*, paradoksu, szkalowania i pochlebstwa, w sztuce zuchwałego naciągania i przekręcania słów i faktów, w sztuce bezczelnego zmieniania zdań i bronienia najsprzeczniejszych, słowem w tych wszystkich sztukach, przez które publicystyka może się stać rzeczą wzgardzoną i godną pogardy, a dla mo-

ralności publicznej i dla spraw politycznych niebezpieczną, jest Orzechowski mistrzem.

I dlatego, choć dzieła jego, oprócz dla ludzi, trudniących się z powołania literaturą lub historyą, nie są już dziś do poznania konieczne, to dobre do rozpamiętywania są w nim dla wszystkich dwie rzeczy: jego polszczyzna naprzód, a powtóre jego osobistość, jego życie, jego przykład; przykład człowieka, który pomimo wielkich zdolności, krajowi swemu na nic się nie zdał, a wiele zaszkodził; który u współczesnych bardzo sławny i wzięty, jak długo im podchlebiał, tak poszedł u nich w zapomnienie, że nawet daty ani miejsca jego śmierci nie zapisali, a u potomnych ma sławę bardzo zdolnego pisarza, który nic bardzo dobrego, pożytecznego i trwałego nie napisał, i smutniejszą sławę człowieka bez zasad, przekonań i charakteru, który mógł był się stać wielkim i pełnym zasługi pisarzem i obywatelem, ale nim nie był.

Wsuwa się między te pisma mała książeczka, taka ponura i smutna, taka przestraszona widokiem i przyszłością Rzpltej, że raczej wzięłoby się ją za produkt późniejszych już lat i wypadków, tego rozstroju, który się objawił za dwóch pierwszych bezkrólewi, i za trzeciego: Dymitra Solikowskiego *Idea Apocalyptica* [1]) (1564).

Dziełko, w którem alegoryczna forma szkodzi treści, a szumna retoryka dobrym uwagom; dziełko, które, nie wiedzieć dlaczego, tak wcześnie trąci już zepsutym smakiem i wyszukanymi konceptami XVII w.; ale pod niesmacznemi alegoryami kryją się myśli zdrowe i dobre.

Autor ma widzenie: we śnie, czy może w stanie halucynacyi, zdaje mu się, że wchodzi do jakiegoś wielkiego obozu, wchodzi, przez nikogo nie pytany

---

[1]) Ustęp ten wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI w.*

i nie wstrzymywany. Obóz to nieoszańcowany, nie strzeżony, warty śpią twardo na swoich posterunkach, a dokoła otoczony jest wojskami nieprzyjacielskiemi, które zdają się czekać chwili szturmu: to Polska.

A naokoło pełno namiotów i domów, w których ludno i gwarno, *Domus Rei privatae*, *Domus Cupiditatis*, *Domus Tyrannidis*, i z tego to domu widzi opisujący wyjeżdżającą straszną rycerkę na koniu, zbrojną, silną i zuchwałą, która wypada, jak jedna z klęsk apokaliptycznych, i uderza na dom Rzpltej i Religii, nazywa się: *Licentia*.

Wewnątrz tego obozu mnóstwo namiotów i różnych przybytków, a w samym środku namiot Rzpltej. Obok niego trzy domy, na jednym z nich stoi napis *Domus Deserta*, to dom religii; obok drugi z napisem *Domus Violata*, przybytek sprawiedliwości; trzeci *Domus Consilii*, równie opuszczony i zaniedbany. To sam środek obozu, to niby rdzeń jego siły, w opłakanym stanie.

Z domu Rzpltej, tak zagrożonej, wyjeżdża na obronę wóz bez dyszla (wóz którym kierować nie można), a na nim siedzi Rzeczpospolita sama, z Religią i Sprawiedliwością. Za niemi idą ich sługi: Mądrość i Nadzieja. Wszystkie razem myślą jechać do domu Senatu z wezwaniem, żeby im radził i ratował je w ucisku, ale w drodze zatrzymuje je Prawda i przestrzega, że tam ratunku szukać daremno: dom ten także opanowany przez nieprzyjaciół.

Na nieszczęsną Rzpltę rzuca się teraz zgraja przeciwników: *Amicitiae Simulatae*, *Inimicitiae Apertae* i *Odium Intestinum*, zrzucają ją z wozu i obalają na ziemię. *Direptio* rabuje i obdziera ją ze wszystkiego. Inne złe potęgi tymczasem, na czele *Curiositas* i *Atheismus*, napadają na dom Religii i plądrują go do szczętu. Dom rady Senatu opanowała *Res Privata*; na domiar złego wychodzi z jakiejś kryjówki straszliwy smok *Interitus* i chce Rzpltej zadać cios śmiertelny.

Na szczęście zjawia się przecież ratunek. Pierwszy budzi się *Sensus Ruinae* i woła na gwałt, a jemu w pomoc przybywa *Timor Domini* i tak surowo, tak pięknie przemawia do żołnierzy, wałęsających się po obozie, że głosem jego poruszeni wszyscy, śpieszą na ratunek Rzpltej. Przybiega *Prudentia* ze swojemi radami, lekarz *Charitas* opatruje rany Rzpltej, a *Wolność* uczy, że chcąc ją do zdrowia przywrócić, trzeba uderzyć w dzwon, który ma moc cudowną, a który się nazywa *Executio Legum.*

Powtarza się bitwa, i tym razem zwycięstwo zostaje przy dobrej sprawie: wszystkie monstra pobite lub spętane, jedna tylko *Licentia* zdrowa i cała uciekła.

Potem Rzplta uzdrowiona obchodzi obóz w tryumfalnej procesyi; *Repetitio bonorum Rplcae* zabiera do swego worka dobra rozszarpane; obce wojska, które stały dokoła obozu odchodzą, ospała *Securitas*, odwołana z jego straży, ustępuje miejsca *Vigilantii*; widząc to, Litwini chcą się z Koroną zjednoczyć, a choć Retoryka sejmowa bróździ, *Aequitas* szczęśliwie doprowadza do skutku Unię, poczem w nadziemskiej jasności zstępuje z nieba *Gloria Perennis* i zostaje pośród obozu.

Niestety, ta druga, pocieszająca część widzenia, nie sprawdziła się, ale pierwsza zupełnie. Alegorya może jest niesmaczna, sądząc po literacku, może niepotrzebna; ale jest aż nadto prawdziwa, a straszna istotnie, jak przerażające groźby i przepowiednie Apokalipsy.

III.

Rey. Zwierzyniec. Żywot Poczciwego Człowieka. Apophtegmata. Figliki Charakterystyka ogólna.

Rey w tym samym czasie rozwija czynność największą, i pisze swoje najważniejsze, najsławniejsze dzieła. Po ogromnym poetycznym *Wizerunku*, nie sili się już na kompozycye: ale nie porzuca ani swojej dydaktycznej moralizującej tendencyi, ani swojej religijgijnej propagandy, ani nawet poezyi. Tylko forma tej ostatniej jest inna. Satyrycznym, ucinkowym, a obserwacyjnym i realistycznym charakterem przypomina teraz Rey swoje początki, swoje prozaiczne dyalogi.

Wartości poetycznej nie więcej ma od „Wizerunku" „Zwierzyniec." Poemat? Trudno przyznać tę nazwę zbiorowi epigramów: choćby był największy, choćby jak tu wystarczył na spory tom, choćby najporządniej, jak ten, podzielony był na rozdziały podług przedmiotów, taki zbiór całością nie będzie, pozostanie zawsze zbiorem epigramów. Wszystkie są ośmiowierszowe. Ograniczyć się do tej liczby wierszy, wyrazić w nich myśl swoją i w całym tomie ani razu liczby tej nie przekroczyć, było zapewne niemałą trudnością. Ale raczej moglibyśmy żałować, że biedny Rey krępował się tak mozolnie tą formą. Krótki kilkowierszowy epigram miewa nieraz wielki wdzięk, a im zwięźlejsza jego forma, tem bardziej uderza zawarty

w nim dowcip. Ale takie małe arcydzieło, które zawsze należy do sztuk poetycznych raczej niż do sztuki, potrzebuje nadzwyczajnego wykończenia, wytoczenia, toku naturalnego i łatwego; jedno słowo źle użyte, jeden rym niezgrabny lub naciągnięty psuje epigram na nic. Dlatego może on udać się tylko w epoce takiego wyrobienia języka, do jakiego Reyowi było jeszcze daleko, dlatego epigramy *Zwierzyńca* najczęściej są kulawe: albo myśl nie może jasno się wyrazić, albo forma jest dla niej poświęconą, i gdyby Rey zamiast łamać się z trudnościami tej obranej formy, był swobodnie wyrażał swoją myśl w dowolnej liczbie wierszy, to jego dowcip, jego spostrzeżenia, jego przycinki, charakterystyka osób i stanów, byłyby przemawiały wyraźniej i dobitniej.

A szkoda. Bo „Zwierzyniec" ten obejmuje nagany lub pochwały na wszystkie niemal znaczniejsze postacie historyczne owego czasu, charakterystykę całych okolic, powiatów, owszem całych narodów: dalej obowiązki znaczniejszych w Rzpltej urzędów duchownych i świeckich, a w końcu dopiero krótkie moralne sentencye i nauki. Gdyby ośmiowierszowa forma nie była tak bardzo utrudniała zadania, gdyby Rey swobodnie mógł był puścić cugle swoim spostrzeżeniom najczęściej trafnym i swojemu rubasznemu dowcipowi, mielibyśmy w „Zwierzyńcu" może bardzo cenną i ciekawą charakterystykę wielu ówczesnych ludzi; teraz mamy epigramy ogólnikowe, pomiędzy którymi rzadko kiedy znajdzie się taki, z którego możnaby się domyślić, jakim był człowiek, na którego wiersz napisany.

Zamiast przedmowy jest dyalog pomiędzy Rzecząpospolitą strapioną i narzekającą a jej nieprzyjacielem Prywatem. Staranny wydawca (Wierzbięta) illustruje tę scenę drzeworytem, na którym Rzplta ubrana podług ówczesnej mody, jak Jagiellonki na portretach, skarży się na swe nieszczęście, a Prywat z wielką pałką i miną hardą odpowiada, że on temu

nie krzyw, zdawna to już tak jest, że na świecie „każdy sobie garnie.” W rozmowę miesza się tu Stańczyk i przepowiada, że na nic się nie przyda upominać: wołał on sam dosyć, i kamienie prawie wołają, ale „twarde sumienie“ niczego słuchać nie chce. Wprowadzenie tej figury ma zapewne uprzedzić czytelnika o żartobliwym i satyrycznym tonie Zwierzyńca a zarazem i o poważnej jego tendencyi, bo Rzeczpospolita zamyka swoją przemowę życzeniem:

A gdzież takich Stańczyków było jeszcze wiele,
Coby plewli obłudność, to wszeteczne ziele,
A prawdę świętą ludziom przed oczy miotali....

Rzecz prosta, że jako największe powagi, wzory cnót i doskonałości, iść muszą naprzód sławni ludzie starożytności. W wieku XVI nie mogło być inaczej. Cały więc rozdział pierwszy poświęcony jest przykładom wyjętym z Erazma *Apophte·matów* i z Fulgozy *Dicta et Facta* głównie (Chrzanowski „Ateneum,“ 1893) cnót rzymskich i greckich bohaterów. Likurgi, Solony, Aristidesy, Fabiusze, Kurcyusze, Cincinnaty, niezliczeni inni, mają każdy po ośm wierszy i po drzeworycie, mającym wyrażać ich podobieństwo. Rey czerpał swoje wiadomości o tych bohaterach, z dzieł i autorów różnych, ale to pewna, że miewa i takie wiadomości, które u niego spotyka się po raz pierwszy—i tak naprzykład Pompejus i Cezar wydają mu się cesarzami rzymskimi; inny znów dzieckiem przez matkę wyrzucony do jakiejś groty, tam przypadkiem przez jakiegoś cesarza znaleziony i wychowany „został potem cesarzem, rządził wielkie pany,“ a nazywał się Jamuziusz, dlatego, że był wyjęty z jamy, tłómaczy naiwny etymolog. Akteon królewicz, który miał z Dyaną rozmowę, ma służyć za przestrogę, żeby się nie wdawać z chytremi paniami. Faëton, co słońce woził, jeden z szczęśliwszych epigramów, ma być przykładem dla tych, co się porywają na wielkie rzeczy, przechodzące ich rozum

i siły. Niekiedy trafi się i przykład jaki z chrześcijańskiego, nawet z muzułmańskiego świata, Karol Wielki, cesarz Otto, Kakarnus książę bawarskie, Alfons Arragoński, Tamerlan, Adatyr, Salmanazar, Saphiry, tatarscy carzowie i t. d. Gdzieniegdzie także, ale rzadko na nieszczęście, zastosowanie do stosunków polskich.

Większą ciekawość budzi naturalnie rozdział drugi, w którym „zaczynają się stany i domy niektóre zacnego narodu polskiego, a najpierwej on zacny Zygmunt, sławny król polski.“ Po Zygmuncie następuje królowa Bona, ich dzieci, dalej liczny poczet senatorów, szlachty, wreszcie opisane w ośmiu wierszach dziedziczne skłonności i usposobienia całych rodzin. Możnaby się spodziewać nieocenionego źródła do znajomości wieku, a co najmniej zabawnych i ciekawych konceptów, może plotek i skandalików. Tego niema; trudno mniej dotykać osobistości jak Rey, choć wyraźnie pisze o osobach. Ale i charakterystyki nie znajdzie się tam wiele. Czy opisywał tylko takich, których szanował i lubił, czy też nie chciał przycinać, dość, że wszystkie prawie epigramaty *Zwierzyńca* zawierają pochwały, i to ogólnikowe, z których niewiele można się dowiedzieć. Czasem trafi mu się jakiś zakrój na komplement dość zgrabny, naprzykład, kiedy o królewnie Annie i Katarzynie mówi, że zgodziły królewską powagę z łatwem i miłem obejściem, „acz układność z powagą nierada się godzi, przedsię to tym cnym pannom nadobnie przychodzi.“ Podchlebiać? zdaje się, że nie podchlebia, nawet największym, kiedy naprzykład pisze o królowej Izabelli (prawda, że zmarłej), że choć „wiele trzęsła światem,“ a „króle, zacni książęta, a snać i pogani, mieli z nią pracy dosyć“ przecie „dziwna była pani,“ a jej rozum, „wisiał na cienkiej nici.“ Ale jeżeli w przycinkach jego niema żółci ani złości, to znowu rzadko kiedy znajdzie się w nich dowcip. Jest jego połysk w wierszu na Bonę naprzykład, która „Bona była z imienia, z skutku jako

komu" Albo w epigramie na rodzinę Kościeleckich, o których daje do zrozumienia, że byli bardzo dumni, bo pisali się z kościoła, a jak czasem jeszcze bardziej zhardzieją, to gotowi pisać się i z nieba. Z senatorami duchownymi obchodzi się dość łagodnie, nawet z Gamrata nie korzysta tak, jakby ze swojem usposobieniem rubasznem i protestanckiem mógł korzystać; przy Uchańskim tylko jest wiersz tak gruby, że się żadną miarą powtórzyć nie da. Karnkowskiego znał dobrze, kiedy przepowiada o referendarzu dopiero: zozobaczycie, że ten popek wysoko urośnie.

Następują potem różne domy szlacheckie, koleją województw, krakowskie naprzód, wielkopolskie, potem Podgórzanie, Sandomierzanie, dalej szlachta ruska, lubelska, podolska, a na ostatku Litwini. Z tych najciekawsze są, ze względu na przedmiot, epigramy na siebie samego i na Jana Kochanowskiego.

Trzeci rozdział „Zwierzyńca" obejmuje obowiązki różnych stanów, urzędów świeckich naprzód, potem duchownych. Wiersze na duchownych pełne protestanckiej namiętności i rubasznych konceptów; ciekawy jest jeden na Rzym, który jest bestyą o siedmiu głowach z Apokalipsy, i drugi na Wittenberg, który nazywa drugiem Betleem.

Wiersze na różne państwa i narody europejskie, zawierają ich charakterystykę, ale nie zbyt trafną ani dowcipną; najlepsze na niedbałość polską, na opustoszały Kamieniec, na puste pola podolskie, na Kozaków, zamykają w sobie przynajmniej zdrową i praktyczną radę. Dalej idą napisy na różne budynki: Zamek krakowski, Akademię, Sukiennice i t. d. Różne maksymy i przypowieści moralne; wreszcie z tych przypowieści, z porównania różnych skłonności ludzkich do podobnych u zwierząt, wyrabia się nieznana wielka nowość, bajka, nie wyrobiona zrazu, nie dokształcona, niezgrabna, ale już prawdziwa. Rey sam pisze ją jako porównanie, nie domyślając się (zda się), że wchodzi na

pole Ezopa, a jednak jest to już zaród na bajkę Krasickiego, nawet na bajkę Niemcewicza i Morawskiego, bo nie jedna kryje w sobie i polityczną alluzyę, n. p. Niedźwiedź, Sokół, Zając.

Zamykają „Zwierzyniec“ wiersze na siedm cnót chrześcijańskich i na przeciwne im światowe rozkosze, a wreszcie na Gospodarstwo, w których autor uczy, jakie powinny być rzeczy, należące do wygody i potrzeby człowieka, począwszy od domu, gumna, stajni i browaru, potem kuchnia, piwnica, sprzęty, broń, ubrania, nawet łaźnia. Nie wiedzieć jak i dla czego wmieszały się w to „Plugawego chłopa Przypadki,“ któreby raczej pomiędzy Figlikami i to najrubaszniejszymi były na swojem miejscu. „Figliki“ wyszły aż po śmierci Reya, ale oczywiście pisane były przez cały ciąg jego życia.

Praca apostolska—w sensie protestanckim, ma się rozumieć, nie ustaje. W trzy lata po *Zwierzyńcu* (1565) wychodzi dzieło zdumiewające—śmiałością! *Apokalipsa.* Jeżeli już słusznie można było się dziwić, że Rey ze swoim zasobem nauki teologicznej nie zawahał się przed pisaniem *Postylli*, to o ileż dopiero dziwniejszem wyda się to przedsięwzięcie? Dziwne byłoby dla nas, w naszym wieku; daleko mniej u Reya i w ówczesnej Polsce. Ta zuchwałość jest u niego naiwną. On sobie nie zdaje sprawy z tego, czem wykład Apokalipsy być powinien, czem być może. On widzi tylko, że do jego celu, do jego propagandy, on służyć może; a widzi także, że wiadomości i komentarze, jakie mogą być potrzebne czy jemu czy jego czytelnikowi, znajdą się w książkach gotowych. Z tych czerpie; to wystarcza mu zupełnie. Myśli, że jego wykład jest prawdziwy i dobry; ale o wykład chodzi mu naprawdę mało, a głównym przedmiotem i celem są praktyczne przystosowania do ówczesnego świata polskiego. Uderzyć na to, co ma za złe i to podkopywać; wskazać i szerzyć prawdę religijną i ideał moralny, jak go pojmuje,

to jego zadanie. I w tem poszczęściło mu się zapewne, bo przypuszczać można, że *Apokalipsa* działała na umysły, umacniała je w niechęci do Kościoła i w wierze, że to nowe Słowo Boże, które Rey pomaga głosić, jest naprawdę Bożem. Dla nas potomnych, ta strona historyczna *Apokalipsy*, te przystosowania i kazania do współczesnej Polski, jest jedyną, która zachowała jakąś wartość.

Następuje wreszcie ostatnie, najważniejsze, najlepsze dzieło Reya, *Żywot Poczciwego Człowieka.* Wyższość nad poprzedniemi zapewnia mu nie tylko to, że jest pisane prozą, że autor, nałamawszy się z wierszem przez całe życie, porzucił formę, która w jego ręku była zawsze nieposłuszną i niedołężną, choć niezawodnie przyczynia się i to do wyższości „Żywota.“ Ta sama rzecz, która w wierszu chromym, niewyrobionym, pozbawionym wszelkiego poetycznego polotu była sucha, ciężka i nudna, w trzeźwej prozie wyda się dobrze, bo nie razi tu sprzeczność pomiędzy zamiarem a wykonaniem, nie drapie uszu rym naciągany, nie męczy czytelnika mozolny przymus poety. Ale jest wyższość i w treści. Wprawdzie nie znajdziemy w „Żywocie“ nic, czegobyśmy już nie znali; te same pojęcia, te same maksymy moralne, ten sam ton dydaktyczny zaprawiony gdzieniegdzie ironią, upstrzony klasycznymi przykładami wątpliwej erudycyi, a częstokroć kaznodziejski. Ale „Żywot,“ dzieło późnego wieku, jest jakoby rezultatem całego życia, zbiorem tych wszystkich uwag, spostrzeżeń i refleksyj, jakie przez całe życie gromadziło w jego umyśle doświadczenie, i tu ułożone one są porządniej, systematyczniej, rozwinięte obszerniej i gruntowniej, aniżeli w jego dziełach poprzednich, i prościej niż w tamtych. To już nie jakiś fikcyjny dyscypuł Hipokratesa, wędrujący od filozofa do filozofa, błądzący po konwencyonalnych rajach, piekłach i zamkach rozkoszy, a obojętny i martwy, to wyraźnie i niezaprzeczenie człowiek jego wieku i jego narodu,

który się odbija w autorze i w jego dziele. Rzecz prosta, że jeżeli to dzieło ma większą wartość bezwzględną przez to, że jest gruntowniejsze, porządniejsze i pisane prozą, to przez to, iż pisane jest wyraźnie i wyłącznie o ówczesnym Polaku i dla niego, ma większą wartość historyczną, jest dla nas nierównie ciekawsze.

„Żywot“ wchodzi w zakres filozofii moralnej, przez co łączy się z mnóstwem podobnych traktatów humanistycznych; umiejętnej, spekulatywnej filozofii w nim nie ma. Oprócz małej w ogóle u nas skłonności do abstrakcyjnych badań, Rey, który uczył się mało lub nic wcale, nauką szkolną nie przesiąknął, autorów starożytnych znał niedostatecznie, Rey nie mógł dziełu swojemu nadać ani pozoru nawet dzieła naukowego, nie mógł ze swoją filozofią garnąć się pod sztandary bądź to scholastyków, bądź humanistów, nie mógł trzymać się wzorów, musiał po prostu pisać i po prostu myśleć, nie szukając dla swoich myśli abstrakcyjnych pryncypiów ani naukowego układu. Jego filozofia, zdziwiłby się zapewne, że się tego słowa o jego książce używa, nie mogła być inną jak empiryczną, wziętą z własnych spostrzeżeń i doświadczeń jedynie, i nie mogła też być inną jak praktyczną. Co jest człowiek, jaka jego natura, władze jego umysłu i ich funkcye, nad tem Rey zastanawia się mało; on myśli o tem, co człowiek poczciwy powinien robić, jeżeli będzie w wojsku albo na dworze, albo w izbie sejmowej, albo na wsi jako gospodarz. A jeżeli ten charakter jego dzieła sprawia, że umiejętność nie raczyłaby przyznać go za swoje, to znowu dla historyi, literatury, dla znajomości ówczesnej Polski ma ono wielką wartość właśnie dlatego, że jest takiem, że nie zapuszczając się w głębokie dociekania, daje poznać, jak człowiek ówczesny pojmował życie i jego obowiązki.

Z góry jednak powiedzieć trzeba, że i z tego stanowiska sądzony, „Żywot“ zawodzi oczekiwanie czytelnika. Ten sam przedmiot, traktowany przez człowieka

umysłu bystrzejszego, przez Kochanowskiego naprzykład, albo przez Orzechowskiego, gdyby Orzechowski przy swoim rozumie był miał moralną powagę i prostotę Reya, byłby niezawodnie mógł stać się wielkim skarbem najcenniejszych spostrzeżeń psychologicznych nad naturą ludzką i nad naturą polską. Reyowi do tej przenikliwości daleko; jego wzrok dosięga tylko do powierzchni i na niej się zatrzymuje, widzi dobrze fakt, i zdrowym rozsądkiem zdrowo go sądzi, ale skrytości natury ludzkiej nie przenika. On wie ogólnie, że w tej naturze może się kryć obłuda, egoizm, podchlebstwo, zazdrość, i ogólnie przed niemi przestrzega; ale jakie są różne ich rodzaje i odcienie, jakie między sobą pokrewieństwa, jakie nieraz w człowieku dziwne kombinacye złego z dobrem, tego on już nie dojrzy; głębszego wzroku, poglądu bystrzejszego i oryginalnego nie ma.

Drugie zastrzeżenie, które także z góry postawić trzeba, jest to, że nie znajdzie się w „Żywocie“ tego wdzięku naiwnej i oryginalnej prostoty, który u innych autorów tego wieku tak jest miłym. Nie żeby Rey nie miał prostoty; tak mało był dotknięty obcymi wpływami, że mieć ją musiał. Jednak, pomimo całej swojej pierwotnej surowości i rubaszności, czy to, że chciał wyglądać poważnie i uczenie, czy też, że przedmiot ciężył na nim swoją moralizującą tendencyą, niema w „Żywocie“ tej pierwotnej świeżości pomysłów i wyrażeń, jaka tyle dodaje powabu dziełom Górnickiego naprzykład. Rey ma znamię prostoty, ale rzadko kiedy ma jej wdzięk: bo kiedy jest poważnym, mówi jak chłop, któryby chciał prawić poważne i uczone kazanie, a kiedy przechodzi w ton swobodniejszy i lżejszy, mówi jak chłop, któryby za mało na swoją mowę uważał i do zbytku swojej prostocie folgował.

Nie trzeba przypominać, że „Żywot“ nie jest żywotem, jakiegokolwiek pierwszego lepszego poczciwego człowieka, ale porządnego szlachcica polskiego stanu rycerskiego. Mickiewicz zwrócił już na to uwagę, że

ideałem Reya był szlachcic. Montaigne uważa człowieka zawsze ze stanowiska jego pozycyi socyalnej i jego stosunku do dworu; Castiglione widzi ideał człowieka w dworzaninie; ideał Reya przeznaczony jest do życia ziemiańskiego; zagranicę jedzie on na krótko, dworsko lub wojskowo służy do czasu tylko; nawet w służbie publicznej występuje tylko przygodnie,— a stworzony jest na to, żeby siedział na swojej ziemi i orał *paterna rura.* Nie jest on też człowiekiem wielkiego majątku ani znaczenia, nie z senatorów, choć do senatu dostać się może; on jest z tej wielkiej przeciętnej większości narodu, która w ciągu tego wieku właśnie doszła do takiego w nim znaczenia, tak zaważyła na szali jego losów, która od drugiej połowy XV-go wieku coraz silniej czuła się w sobie i afirmowała, aż stała się sama swoim ideałem, do którego stosowała i swój ideał Rzeczypospolitej. I niezawodnie jednym z powodów wartości Reyowego dzieła jest to, że jego ideałem jest szlachcic, jak osią państwa i historyi, ideałem Polski XVI-go wieku była szlachta. Tylko z góry także powiedzieć trzeba, że ten ideał nie jest bardzo wysoki.

W tym ogólnym zarysie niema czasu ni miejsca na szczegółowy rozbiór *Żywota.* Jest on zresztą, z wyjątków przynajmniej, powszechnie znany; wszyscy wiedzą, jak Rey opisuje różne usposobienia ludzkie, (cztery temperamenty), jakie daje rady młodzieńcowi, zabierającemu się do stanu małżeńskiego, jakie każe mieć porządki w domu, w ogrodzie i w gospodarstwie, i jak je sam lubi. Pomijamy więc z konieczności wiele pomysłów, dobrych lub charakterystycznych, poprzestając na tem, co nam się wydaje najistotniejszem i najbardziej znamiennem.

Humanizm włoski, przenosząc do nas cześć i zamiłowanie nauk, zwłaszcza klasycznych, nie przeniósł tego, co we Włoszech było jednym z jego zgubnych skutków: sceptycyzmu i niedowiarstwa. U nas są ka-

tolicy mniej lub więcej wierni, protestanci mniej lub więcej gorliwi, ale człowiek niewierzący jest wielkim wyjątkiem i wielkiem zgorszeniem, a u protestantów i u katolików silne uczucie religijne jest nietylko wiarą, ale i pobożnością Wszystko zawsze odnosi się do Boga i do przyszłego życia; Bóg jest gruntem i początkiem wszelkiej cnoty, jego sąd jest ustawicznie każdemu przytomny. W poezyi, w historyi, w mowach sejmowych, w broszurach, spotyka się ciągle obok powag starożytnych cytacye z proroków, z Nowego Testamentu, z Ojców Kościoła, i to są w mniemaniu tych wszystkich pisarzy te argumenty najsilniejsze, które na czytelniku powinny zrobić największe wrażenie. Wszystkie dzieła Reya tchną takim duchem religijnym i pobożnym. Nawet w sprośnych facecyach odzywa on się niekiedy; w dziełach moralnych stanowi on najwybitniejszą cechę i nieledwie samą ich istotę. Nic dziwnego tedy, że pisząc Żywot Poczciwego Człowieka zaczyna Rey od tego, jako i przecz Pan raczył stworzyć człowieka, jak Adamowi w raju stworzył żonę, jak czart zwiódł Adama i Ewę i jakie ztąd poszło zepsucie ludzkiej natury; jak Bóg dalej wsparł człowieka swojem przykazaniem i jak tego tylko chce, żeby człowiek, żyjąc poczciwie i dobrym będąc, mógł się zbawić. Co zaś ludzie zowią praedestynacyą i mówią, iż Bóg chciał, iżby ten lub ów człowiek był złym, to nieprawda. Tego Bóg nie chce nigdy, a co nam się praedestynacyą wydaje, to jest tylko wpływ planet różnych. Bo jako prawy syn swego wieku musi oczywiście Rey wierzyć we wpływ gwiazdy, pod jaką się każdy człowiek urodził; postępki i obyczaje człowieka muszą być „wedle sprawy przyrodzenia oney planety“ i „człowiek nędzny z oney raz nadaney różnym planetom mocy rodzi się zły abo dobry, stanie się godnym abo niegodnym łaski Pańskiej jeźliże (wszelako) rozumem a bojaźnią bożą temu wczas zabieżeć nie będzie umiał.” Praedestynacya, któ-

rej można jakimkolwiek sposobem „wczas zabieżeć,“ nie jest bardzo straszna, i możnaby złapać Reya na gorącym uczynku logicznej sprzeczności. Ale dość na tem, że złemu wpływowi planet przeszkodzić można dobrem wychowaniem i o to właśnie starać się mają rodzice, których Bóg potomstwem pobłogosławił.

Tak zaczynają się pierwsze księgi Żywota, podzielonego na trzy części, z których pierwsza obejmuje dzieciństwo i młodość Poczciwego Człowieka, druga jego wiek dojrzały, ostatnia starość.

Mają tedy rodzice naprzód pilnie rozeznawać „*przyrodzenie*“ swego chłopca, a przedewszystkiem jakiego jest temperamentu. Wiadomo jest, że fizyologia Reya (podówczas powszechna) dzieli rodzaj ludzki na cztery temperamenty, pochodzące z czterech wilgotności: krwi, flegmy, kolery i melankolii, jak ówczesna fizyka i chemia składała naturę z czterech elementów: ognia, wody, ziemi i powietrza. Wiadomo także, że nic łatwiejszego, jak z cery, ruchów i zwyczajów dziecka poznać, czy ono jest krewnikiem, melancholikiem lub czem innem, a raz to poznawszy, rodzice w wychowaniu o to starać się mają, żeby ta wrodzona „wilgotność“ nie wzięła zupełnie góry nad dzieckiem i nie stała się szkodliwą. Zostawiając na boku kwestyę czterech wilgotności i łatwości ich rozpoznania, nie można zaprzeczyć, że Rey wie o wychowaniu tyle, co i my, kiedy każe dbać o to, żeby skłonności wrodzone nie zapanowały wyłącznie nad dzieckiem. Nie wymyśliła też nowsza hygiena nic innego jak on, kiedy radzi żywić dzieci samymi pokarmami prostymi i łatwymi do strawienia, ani nowsza pedagogika nie zdobędzie się na nic trafniejszego, jak to, żeby dzieci nie stroić kosztownie i wytwornie, bo to je uczy próżności, płochości i zbytków, i „żeby je strzedz od towarzystwa głupich a plugawych chłopiąt“ lub czeladzi, która nieraz uczy rzeczy niepotrzebnych, lub grubych a nietrefnych obyczajów. Nie męczyć też dzieci nau-

ką, póki małe, nie podchlebiać im, nie unosić się nad każdem ich słowem; widocznie dziecko Reya ma być chowane od urodzenia z uwagą na jego przyszły charakter, ale zarazem i na jego układność, na to, co dziś nazywamy dobrem wychowaniem.

Skoro podrośnie, potrzeba mu praeceptora. Do szkoły Rey oddawać nie radzi, przynajmniej nie za młodo, żeby sobie dziecko „nie nabiło głowy obyczajami sprosnych chłopiąt szkolnych.“ Widocznie myśli o synku rodziców zamożnych, którym na żadnych środkach wychowania nie zbywa, a korzyści wychowania szkolnego zdaje się wcale nie domyślać.

Zrazu tedy ma dziecko uczyć się „czytać a pisać, a po trosze słowa na polski język wykładać; a przedewszystkiem bojaźni i miłości bożej. Ale, iż w tych zamieszanych czasiech iście nie każdy będzie umiał z tego się wyprawić, co jest Bóg i jaka istność jego, przeto nie unosząc się zbytnie za pismy i wymysły zawikłanemi, strzedz słów a dekretów pańskich, które nieomylnie wyszły przez Ducha św. z ust prorockich y apostolskich.“ Następuje tedy krótka nauka wiary, o istności Boga, o Trójcy świętej, o sprawiedliwości i miłosierdziu Boskiem, w czem wszystkiem, rzecz dziwna, nie przebija się wcale tendencya protestancka. Zapewne wiedząc, że większość szlachty jest katolicką, chciał Rey rozdział ten tak ułożyć, iżby dla katolików i dla protestantów zarówno był do przyjęcia; unika więc wszelkiej polemiki, stoi na gruncie wspólnym, a tylko na jednych Aryanów mimochodem powstaje.

Kiedy już chłopiec podrósł, „niechże go nie bawią owemi gramatykami, logikami, arytmetykami, abo owemi zawikłanemi poetyckiemi fabułami.“ Także retoryka, muzyka, arytmetyka, geometrya, astronomia, „acz je wyzwolonemi naukami zową“ są poważne a przytrudne. Czegóż więc ma się uczyć nasz przyszły poczciwy człowiek? Czego? Rzeczy najpotrzebniejszych właśnie, ale takich, które naukami nie są: spra-

wiedliwości, roztropności, stałości, pomierności, miłosierdzia, znajomości siebie samego.—A oprócz tego czytaniem ćwiczyć się na przykładach wielkich i sławnych ludzi, „y fabuły aby mało wadziły, wiedzieć, wiedzieć o świecie y o morzu.“ Otóż geografia, geologia i cała plejada nauk przyrodniczych policzona między „fabuły,“ a uczona dla duchowego obroku, zawsze z przeważnym względem na przystosowanię moralne, bo „dobrze wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa się tam ukazują, jakie tam dziwy i śpiewające syreny, kiedybychmy też to sobie rozmyślali, jakie też tu syreny około nas harcują, a jeszcze chytrzejsze, niż morskie, bo ztądby też ćwiczenie rosło, a rozumby się polerował.“

Zabawy przyzwoite a właściwe wiekowi mają oczywiście być pozwolone, zaś główną zdaje się rzeczą w dobrem wychowaniu powinny być stateczne rozmowy, które najlepiej umysł i serce kształcą.

Jedna uwaga: można przypuścić, że w tym systemie wychowania nie wszystko jest z czystego wymysłu, że nie jedno musiał Rey tak pisać jak widział; można przypuszczać, że kiedy uboższe żaki ślęczały po bursach i z trudnością wychodziły na bakałarzy i magistrów w akademii, a bogatsi uczyli się nie żartem w Padwie lub Bononii, wielka większość synów szlacheckich odbierała wychowanie podobne do tego, jakie opisuje Rey; cokolwiek encyklopedycznych wiadomości o wszystkiem, z każdej rzeczy po trosze, a to wszystko luźnie, powierzchownie, bez porządku i bez pracy. W całem wychowaniu Reya—nauki i pracy nie ma właściwie żadnej; dowiedz się wszystkiego po trosze, zresztą doucz i ratuj się, jak możesz, własnym sprytem i przemysłem. Dziwimy się nieraz wielkiej powierzchowności, lekkości i niewiadomości Polaków z wszystkich wieków, dziwimy się, że choć z natury nie głupi wcale, tak mało wiedzieli o świecie, czy to w naukowym czy w politycznym porządku rzeczy, że

nieraz brakło im najprostszych elementarnych wyobrażeń o rzeczach. Jakże mogło być inaczej, jeżeli większość, i to większość tych, którzy jedni w kraju znaczyli i mieli łatwość oświecania się, odbierała wychowanie tak niedostateczne, powierzchowne, pozorne tylko, a tak wygodne przytem, tak zastosowane do dominującej w naszym temperamencie wilgotności, do naszego lenistwa i skłonności do słodkiego wczasu. Ani wielkie umysły, ani dzielne charaktery przy takiem wychowaniu często u nas zjawiać się nie mogły. W nawiasie wspomnieć warto, że ta kwestya wychowania zajmuje bardzo naszych pisarzy. Modrzewski od niej poczyna *Poprawę Rzpltej*, Rey *Żywot Poczciwego Człowieka.* Inny mniej głośny pisarz Marcin Kwiatkowski, wydaje (w roku 1564) osobną książeczkę, wyłącznie tej sprawie poświęconą: *O Poczciwem Wychowaniu Dziatek* Dobra, rozsądna książeczka, która w radach i uwagach swoich bardzo się z Reyem zgadza, mówi o wychowaniu obszerniej, niż on, ale pomimo tego nie może w literaturze tak być zapamiętaną, jak choćby jedna część Reyowego dzieła.

Kiedy podrośnie młody panicz, może sobie wyjechać zagranicę; (zawsze tak bywało i jest), ale że są różne kraje i narody na świecie z dobrymi i z gorszymi obyczajami, więc mu pilnie zastanowić się wypada, gdzie się ma obrócić, a gdziekolwiek będzie, zachowywać się poczciwie i statecznie, żeby sobie i krajowi swemu w mniemaniu obcych nie szkodzić, nie pić, nie grać, burd nie robić, nie być zuchwałym ani przesadnym, ale miernym, a z godnymi tylko ludźmi się wdawać. Bo jeździć do cudzych krajów na to; żeby się wystawić na śmiech lub przyganę, to lepiej w domu siedzieć, żeby się obcy przynajmniej naszemu głupstwu a niepięknym obyczajom nie dziwowali. Złota maksyma, która i dziś wyszłaby nam na dobre, gdybyśmy się jej trzymać chcieli. To także godne zapamiętania, że Rey nie wysyła wcale swojego młodzień-

ca po naukę i pracować mu nie każe. Mówi wprawdzie, że on „nie tego tylko ma patrzeć, czem by się oczy napasły; małoćby ci pomogło, choćbyś widział Etnę pałającą, morza one srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły albo smoki latające, jeźli toż do domu w obyczajach z sobą przyniesiemy, cochmy byli z sobą wzięli.“ Ale tę przestrogę dawszy, nie żąda Rey od młodego Polaka, żeby się bardzo pracą mordował, bo każe mu tylko „czytać co, albo się przypatrywać i rozeznawać, co lepsze a co gorsze.” To cała jego czynność zagranicą i koniec jego wychowania.

Po powrocie do domu zaczyna się rozkoszne życie młodego szlachcica, który przetarty między ludźmi, a już dorosły i wyzwolony, ma swoje konie, jeździ gdzie chce, i wzbudza podziwienie rodziców, krewnych, przyjaciół i całej okolicy. Znowu nie wiedzieć kiedy to pisane, w wieku XVI czy w XIX. Młodzieniec w tych leciech powinien rodziców szanować, o przyjaźń sąsiadów się starać, usługi im oddawać gdzie może, do gospodarstwa się wkładać, konia i zbroi nie zaniedbywać. Ale czas ten nie trwa długo, to tylko wytchnienie, po którym ma nastąpić ostatni akt wychowania i początek karyery zarazem, ostatni okres młodości, konieczne uzupełnienie wychowania.

Podług ówczesnych pojęć młody szlachcic już dorosły i pięknie wyćwiczony, dwa miał sposoby, żeby się i sam wykształcił, i wyrobił, i ludziom dał poznać; Rey każe mu wybierać, czy chce iść na jaki dwór albo do wojska, ale jedno z dwojga wybrać musi, bo tam dopiero może pokazać, co umie, tam zabrać znajomości z ludźmi, wyćwiczyć się w sprawach publicznych lub rycerskich. Jest to szkoła życia, którą koniecznie przebyć trzeba. Jeżeli młodzieniec pójdzie na dwór—oczywiście rozumie się dwór nie królewski, ale jakiś senatorski—to tam powinien panu swojemu służyć wiernie i ochotnie, w wydatkach być oszczęd-

nym, ale zawsze pokazywać się przystojnie i ozdobnie; źle nie mówić o nikim, bo ztąd nieprzyjaźnie, zwady i przeszkody w zawodzie; a gdyby mu wypadło pana w czem upomnieć, tedy ma to zrobić po cichu, w tajemnicy i delikatnie. Ale lepiej mu, niźli do dworu, iść do wojska; niema na świecie stanu szczęśliwszego nad ten. „Jakie rozkosze a jakie krotochwile w ciągnieniu, a cóż dopiero na leżach, gdy się do jednej gospody z potraweczkami znoszą, a one wdzięczne rozmowy, a poczciwe żarty, przejażdżki, myśliwstwa: owo tam żadny czas bez wżdy jakiej krotochwili być nie może." Jednego tylko ma się żołnierz poczciwy strzedz, co u nich częsta rzecz, to żeby w ciągnieniu lub na leżach ludziom ubogim krzywdy, nie czynił, a płaczu ich na siebie nie ściągał.

Gdyby „Żywot" ten pisany był przez Francuza, Anglika, Niemca, Włocha, niezawodnie młodzieniec, obrawszy sobie zawód, jużby się go trzymał, i z dworu przeszedłby pomału do kancelaryi, zostałby urzędnikiem, dyplomatą, jeździłby z poselstwami; zostawszy w wojsku, dosłużyłby się najwyższych stopni. Charakterystycznie bardzo, moralista polski każe jednego lub drugiego z tych zawodów próbować, ale na to tylko, żeby się dać poznać, porobić sobie stosunki. Powołania, przeznaczenia, obowiązku, służby ani Rey ani jego Poczciwy Młodzieniec nie widzi w tem wcale. Kiedy odsłużył parę lat na dworze, albo kiedy się wojna skończyła, szlachcic wraca czemprędzej na wieś. Karyera go nie nęci, obowiązku służby ciągłej nie czuje. Wychował się, dał się poznać, bił się parę razy z Tatarami, może wypocząć. Jak ogół nie pojmował regularnej i ciągłej służby ani w wojsku, ani w administracyi, ani w sejmie, tak indywidua w programie własnego życia nie mieściły ciągłej czynności, ciągłego obowiązku; pojmowały tylko służbę przypadkową i do czasu. Godne uwagi, że tak życie pojmowali, taki jego program stawiali nawet moraliści. Kto

wie, czy takie pojęcie życia i taka jego praktyka, nie wytłómaczyłyby w pewnej części tajemnicy naszego późniejszego upadku.

Kończy się młodość poczciwego człowieka, a z nią pierwsze księgi jego żywota. Wiek dojrzały zaczyna się od ożenienia; po podróżach, po wojaczce i dworskiem życiu, ma pan młody szukać sobie „przyjaciela.” Jak w *Wizerunku* dzielił Rey miłość na cztery różne rodzaje i upatrywał jej popęd w próżności, w interesie, w zmysłach i dopiero w rzetelnem uczuciu, tak i tu wedle tego samego podziału każe szukać w małżeństwie nie wielkiego posagu, ani świetnych stosunków i koligacyj, ani samej piękności, ale zgodności uczuć i usposobień, wdzięku, wzajemnej sympatyi, gruntownej poczciwości i dobrego wychowania. Znany bardzo i zawsze cytowany jest rozdział, istotnie pełen zdrowego rozumu, w którym on opisuje kłopoty szlachcica, który wziął żonę z domu bogatszego i znakomitszego, jak musi cały tryb życia urządzić nakształt domu teścia, jak z uszczerbkiem majątku i poświęceniem własnych upodobań musi dogadzać pani, teściowi dać nad sobą przewodzić, znosić zachcenia pana szwagra; z tego wszystkiego wnosi Rey, że najlepsza jest między małżonkami równość majątku, wychowania i społecznego stanowiska. Ożenić się przecież człowiek poczciwy musi: nie ma nic gorszego, nic niemilszego Bogu jak stan bezżenny, z którego tylko swawola wynika i zepsucie obyczajów, na które już mądrzy poganie starożytni surowe stanowili prawa.

Po ożenieniu cóż nasz szlachcic robi? Siedzi na wsi, gospodaruje i Pana Boga chwali. A co to za szczęście mieć w domu żonę dobrą, dziatki miłe, ogródek ładny, pokój czysto wymieciony, sprzęty porządne, obiad dobrze zgotowany, co za przyjemność drzewka szczepić, kwiatki i ziółka wiosną sadzić, latem chłodu pod cieniem używać, jesienią zbierać owoce, jarzyny, rydze, orzechy... Taka wiejsko-szlachecka idyll

stanowi całe życie poczciwego człowieka, jeżeli go nieprzewidziany jaki przypadek na inne pole nie wyprowadzi, a taki przypadek łatwo zdarzyć mu się może. Naprzykład, może być wybrany posłem na sejm. I tu wchodzimy w zakres życia publicznego i jego obowiązków: mamy się dowiedzieć, jak człowiek poczciwy zachować się powinien, jeżeli został posłem, senatorem lub urzędnikiem.

Poselstwo jest rzecz wielka a sumienia zblizka dotykająca. Chodzi tu o to, żeby zwierzonego sobie zaufania braci nie zawieść, a Rzpltej nie zaszkodzić. O politycznych posła obowiązkach nie mówi Rey wcale; co najwięcej każe mu znać prawo, przy wolności stać, a stanowisko jego rozważa ze stanowiska moralnego. Przedewszystkiem każe posłowi strzedz się łakomstwa i przedajności: o to chodzi mu najwięcej, nad tem najobszerniej się rozwodzi. Czy wymagał tego ówczesny stan moralności publicznej? czy może Rey uważał, że to złe najpowszechniejsze między posłami? nie mówi tego, ale w każdym razie uderzające jest, że nie przestrzega posła ani przed nieznajomością spraw, ani przed lekkomyślnem trzymaniem się pewnych ludzi lub haseł, tylko żąda od niego przedewszystkiem, żeby się nie dał przekupić.

Senator jeszcze bardziej, aniżeli poseł, powinien być zacnym, rozumnym, poważnym, sprawiedliwym i t. d., ale co do obowiązków jego urzędu, to te, zdaje się, polegają podług Reya głównie w doglądanin i kontroli czynności króla Senator więc powinien być czynnym, przeglądać pilnie przypadki, jakie na Rzpltą spaść mogą, ale nadewszystko upominać pana o wszystko złe, jakiegoby w czem się dopatrzył: o chciwość, o porywczość, o niesprawiedliwość, o upodobanie w podchlebstwie i podchlebcach, o lekkie obyczaje, o małą wiarę i pobożność, słowem, ma być senator jakgdyby cenzorem, czy spowiednikiem, stróżem królewskiego sumienia. Dobrze jeszcze, że upominać go ma po ci-

chu i w tajemnicy, tak, żeby jawną naganą powagi jego na szwank nie naraził. Nadewszystko zaś gdyby widział, że pan na prawa i wolności poddanych mało dba, tedy już najmocniej upominać go powinien, że miłość poddanych jest najpewniejszą twierdzą królów.

O urzędach mówi Rey, że „gdybyś mógł bez tego się obejść, byłoby lepiej." Kłopot z tego wielki, swobody i wczasu nic, a odpowiedzialność ciężka. Zawsze ten sam wygodny epikureizm polski, ten sam wstręt do czynności ciągłej i przymusowej, ta sama obawa odpowiedzialności, narażenia się na naganę. Ale jeżeli już takie twoje przyrodzenie „szlachetne, któremu się wszystko bujać chce, by orłowi ku górze," jeżeliś ambitny i urzędów i władzy pragniesz, tedy masz pamiętać o tem, żebyś się zachowywał uczciwie, rzetelnie, sprawiedliwie, pilnie i t. d.

Wszystko to jednak, urząd, poselstwo, senat, to przypadki i wyjątki; życie normalne to życie na wsi, do tego wraca i człowiek poczciwy, kiedy odbył swoje poselstwo, i Rey w swoim traktacie. Dalszy ciąg tej księgi jest już czysto moralnym: obyczajowych lub historycznych rysów i przystosowań coraz mniej, a za to, po rozdziele, w którym autor dowodzi, że prawdziwe szlachectwo nie zasadza się na herbie i urodzeniu, coraz więcej o cnotach poczciwego człowieka i przeciwnych im grzechach. Wszystkie siedm grzechów głównych przechodzi Rey po kolei katechizmowym porządkiem i opisuje ich skutki. W opisach tych trafi się czasem ustęp, który wygląda na opis ówczesnej Polski, a nawet z dzisiejszą ma niejakie podobieństwo: naprzykład kiedy opisuje „szarą pyszkę." Trafna także jest charakterystyka zazdrości, choć szkoda, że autor pomija ten jej odcień, który u nas był zawsze i zawsze wiele szkodził: zazdrość polityczną. Kiedy mówi o łakomstwie, podaje jako jego przyczynę naszą skłonność do wystawności, przepychu i pompy, i wypisuje długą litanię ubiorów, materyj, potraw, których na-

zwiska już zapomniane, a które dają wyobrażenie o tem, jak się u nas zawsze jedni nad drugich i sami nad siebie w wytwornem życiu przesadzali, jak zawsze był ten rodzaj miłości własnej, żeby u mnie wszystko było tak, jak u drugiego.

Po grzechach następują cnoty, które poczciwy człowiek nabywać ma, a pierwsza z nich, grunt wszystkich innych jest prawda; dalej stałość, sprawiedliwość, a ostatnie przychodzą uwagi o stosunkach towarzyskich, o przyjaźni, o obchodzeniu się z ludźmi, o żartach, pierwotne, po prostu wypowiedziane prawidła dobrego wychowania i taktu. O dobrodziejstwach i przysługach, żeby je świadczyć z rozeznaniem, żeby się wystrzegać marnotrawstwa równie jak skąpstwa: zamyka księgę rozdział, jako poczciwy człowiek ma gospodarstwa swego używać. Na nieszczęście nie dowiemy się od Reya nic o tem, jak nasi starzy w XVI wieku gospodarowali: rola, zboże, to co konieczne, to nie obchodzi go wcale; to co zbyteczne a przyjemne, a zwłaszcza smaczne, o to gospodarz dbać powinien. Więc ogródeczek, więc morelki, brzoskwinki, orzeszki, ogóreczki, meluneczki, sałatki, rzeżuszki, wineczka, pszczółki, rybeczki, grzybki, wszystkie kuchenne i spiżarniane zapasy mieć, hodować, zbierać, przechowywać na zimę, to głównie w gospodarstwie obchodzi tego moralistę, który na małe wygódki życia widocznie obojętnym nie był. Miernie używać, ale używać, to jego zasada i dążność jego książki. Przez to „miernie" jest filozofem praktycznym, epikurejczykiem bez swojej wiedzy; przez to „używać" jest zupełnie Polakiem. Używać, używać wygodnie, spokojnie, w pewnym uczciwym, wesołym, nie głupim a miernym sybarytyzmie, to jego ideał życia; i kiedy człowiek poczciwy, niegdyś dyletant nauki, życia dworskiego i wojaczki, dziś ożeniony i ojciec dzieciom, a tu i owdzie przypadkowo dyletant poseł lub urzędnik, urządził sobie dom, życie, ogród, kuchnię, piwnicę, nasadził szcze-

pów i jarzyn, zaopatrzył stawy i pasieki, niech dalej o swiecie Bożym nie myśli, a darów jego w imię Boże używa. Niech czyta, jeżeli umie, i nie rdzewieje, o koniu i zbroi niech pamięta, i niech tak żyje w radości „uczciwej," bo nic lepszego w żadnym „żywocie—mówi Rey—jako radość i pociecha." Co za dziwny wiek! W naszym ktoby to napisał, dodałby zaraz „i nic rzadszego i trudniejszego."

Część trzecia, starość Poczciwego Człowieka jest już traktatem czysto moralnym, i jako taki najmniej ciekawym. Dobre, ale powtórzone sto razy przed nim i po nim nauki, że człowiek stary powinien zachować przyzwoitą wiekowi powagę, że powinien być przykładem cnoty; nie mając nic przed sobą prócz śmierci, powinien jednać się z Bogiem i zbawienie duszy mieć ciągle na myśli; śmierć sprawiedliwemu straszną być nie powinna; wiek podeszły nie koniecznie musi być nieszczęśliwym i nieużytecznym, bo człowiek stary doświadczeniem i rozumem swoim może bardzo przydać się, czy to swojej rodzinie, czy ojczyźnie, a w poszanowaniu powszechnem, w miłości swoich, w pokoju duszy może znajdować prawdziwą i wielką rozkosz. To są prawdy niezaprzeczone, ale ogólne, nad któremi Rey rozwodzi się szeroko, przechodząc dla lepszego ich dowiedzenia siedem grzechów głównych i ośm ewangelicznych błogosławieństw.

Ogólny sąd o „Żywocie Poczciwego Człowieka" wypadłby mniej więcej, jak następuje: dzieło, dowodzące bardzo zdrowego rozsądku raczej, niż bardzo bystrego rozumu autora, napisane dość ciężko i rozwlekle, zwyczajem wieku upstrzone erudycyą klasyczną i teologiczną, co mu dodawało powagi, a dowodzące zarazem powierzchownej nauki autora i jego pierwotnej zbytecznej prostoty.

Ze stanowiska moralnego niema wiele do zarzucenia: poczciwy człowiek Reya jest niezaprzeczenie człowiekiem poczciwym, istotą moralną, która wie, że

żyje pod prawem i prawo to czci, prawo Boskie, ojczyste i prawo honoru. Sofizmu, paradoksu niema w „Żywocie" ani jednego. Jednak błądziłby, kto przez sympatyę łatwą do pojęcia dla naszego starego pisarza, chciałby unosić się nad nim i nad jego dziełem, w nim widzieć wielki rozum i talent, w dziele złote słowa czystej prawdy. Tak nie jest: człowiek poczciwy Reya nie jest wcale człowiekiem, jak być powinien; ani jego wychowanie, ani jego życie nie daje mu prawa do bezwzględnego podziwienia, i bez krytyki, bez nagany patrzeć na niego nie należy. Ideał to, ale ideał wychowania i życia pojętego mylnie, choć uczciwie: pojętego z pewnym sybarytyzmem uczciwym, naiwnym, nie wiedzącym o sobie, ale niebezpiecznym. Dlatego nie jest „Żywot" zwierciadłem skończonego i doskonałego człowieka, jest tylko zwierciadłem szlachcica polskiego w rzeczywistości jego natury i życia. Ma on wszystkie przymioty narodowego charakteru i niektóre jego wady; nie te wady grube, bijące w oczy, oczywiście złe i zgubne, ale te, które trafiają się często i u najlepszych, nie domyślających się nawet, żeby to wady być mogły. Polak Reya, Polak XVI wieku, jest naprzód dobry, z natury i z usposobienia łagodny, łaskawy, wolny od nienawiści i złych a gwałtownych namiętności; w Boga wierzy po prostu i słucha Go, w domu jest dobrym synem, bratem, mężem, ojcem. Jest rządny, gospodarny i mierny, co już nie jest tak powszechne; nie dba o zbytki, nie ma próżności, to jego strona idealna, takim autor chciałby go widzieć, ale rzadko widzi. Głowę ma otwartą, pojęcie bystre, do czego się weźmie, do nauki, do służby wojskowej, kancelaryjnej, dworskiej, sejmowej, wszystkiego nauczy się łatwo, we wszystkiem może być przydatnym. To jego przymioty, niezaprzeczenie niemałe. Ale obok tych przymiotów ma i wady, i to wady powszechne, wady narodowego charakteru. Żyje jak gdyby stworzonym był do wygodnego używania. Nie obrazić Boga, bliźniego nie skrzywdzić, to zda się jedyny obo-

wiązek, zawsze mu przytomny; o innych nie myśli. Czego się tknie, porzuci zaraz i ucieka do spokojnego domowego żywota: do wszystkiego zdatny, we wszystkiem zostaje dyletantem. Obowiązek każdy spełni, i dobrze, byle ten obowiązek nie trwał za długo; czynność jest przypadkiem, wyjątkiem w jego życiu,—regułą wczas i używanie. Pojętny i niegłupi, o wszystkiem coś wie, ale wszystko wie powierzchownie, bo naprawdę nigdy się niczego nie uczył; przymusu nie zadano mu nigdy, kiedy był dzieckiem i młodym chłopcem; on sam nie zadał go sobie nigdy, kiedy wyszedł na człowieka. Taki jest ideał Reya, ideał nie doskonały wcale. Jest to po prostu rzeczywistość ówczesnego życia szlachty polskiej, przedstawiona jako ideał, jako wzorowy żywot poczciwego człowieka. Czy książka ta miała wielki wpływ na współczesnych, dziś dojść trudno, ale jeżeli go miała, to musiał on być w znacznej części szkodliwym, bo nie tylko nie mógł poprawić nikogo z tej powierzchowności, z tej skłonności do używania, która tak zgubne miała skutki, ale owszem mógł w nich utwierdzić, bo przedstawiał te rzeczy jako dobre. Dlatego brać dosłownie „Żywot Poczciwego Człowieka," brać go za dobrą monetę, byłoby wielką naiwnością. Ale ktoby w nim szukał polskiej natury, jej skłonności i upodobań, jej przymiotów i jej wad, które do dziś dnia nie wiele się zmieniły, ktoby chciał poznać, jak ten naród w swojej warstwie oświeconej pojmował życie, a ztąd i wnosić, dlaczego temu narodowi w życiu domowem i rodzinnem wiodło się w przecięciu bardzo dobrze, a w życiu zbiorowem tak źle, tego „Żywot Poczciwego Człowieka" mógłby naprowadzić na rozwiązanie nie jednej z tych zagadek. I dlatego, bez wiedzy Reya zapewne, książka ta, jedna z pierwszych napisanych po polsku, pozbawiona wartości naukowej, pozbawiona talentu i wdzięku, w czytaniu nudna, licząca się do ciekawości, ale nie do piękności naszej literatury, jest przecież odbiciem bardzo wiernem polskiej

natury, jest jedną z książek najbardziej i najściślej narodowych, jakie mamy.

Apophtegmata, „krótkie a roztropne powieści człowiekowi poczciwemu słusznie należące,“ to zbiór anegdot, przypowieści, maksym, powszechnie znanych, czerpanych z niezliczonych ówczesnych zbiorów podobnych. Rozróżnić w nich można dwa rodzaje. Jedne dłuższe, po kilkadziesiąt wierszy, w tonie poważne, w treści dydaktyczne, przypominające *Wizerunek*, opisują różne cnoty i wady. Drugie *Apophtegmata krótsze z przypadłości czasów i rzeczy zebrane*, czterowierszowe, zawierają albo ogólne nauki moralne, albo też uwagi na „osoby różne,“ a właściwie na różne urzędy. Te oczywiście najciekawsze, tu się szuka śladów czasu, zwłaszcza, że, od króla począwszy aż do karczmarza, są wierszyki na wszystko, co tylko w Rzpltej mieścić się może: biskupi, wojewodowie, kanclerze, podskarbiowie, starości, burmistrze, rajcy, doktorowie, żołnierze, wójci, włodarze, poborcy, mytnicy, wszystkie zatrudnienia, wszystkie stany, nawet wszystkie wyznania. Byłaby to rzecz nieoceniona, gdyby był dowcip; ale go niema, a bez niego wszystko schodzi do rzędu obojętnych ogólników. Że szynkarka każe chłopu płacić za dwie miarki wódki, kiedy wypił jedną, że ziemianie narzekają na posłów, kiedy sejm uchwalił podatki, to podobno najbystrzejsze i najciekawsze w „Apophtegmatach“ spostrzeżenia. W zakończeniu są napisy na domy i inne budynki, na drzwi, okna etc., nawet na drobne sprzęty, jak łyżki, które ówczesna moda lubiła ozdabiać napisami.

Ciekawa, choć bez wartości poetycznej, jest jego Przemowa do poczciwego Polaka stanu rycerskiego, dodana do „Żywota,“ w której opisuje różne narody, a najobszerniej własny.

Zaczyna się więc ten przegląd narodów od Włocha, który jest mądry, mierny, ochędożny, polerowny,

ale chytry a nie bardzo odważny. Czech, chodzi jako paw', ale ma tę cnotę, że dotrzymuje słowa. Niemiec hardy, a przytem brudny, zaniedbany, i pijak. Węgrzyn, to mężny naród, ale ma fanfaronadę i skłonność do imponowania. Turczyn, to chłop nikczemny z narodu swojego, a przecie ten naród prostaczy taki potężny i groźny. Czem? Oto pilnością około spraw wojennych i rzetelnością w sprawach pieniężnych.

> *Tatarzyn* inszym stanom już ni w czem nie winien,
> Bo barzo jego miłość na wszem psu podobien.

O innych narodach, Szwedach, Duńczykach, wie, jak sam mówi, mało; o dalszych, Francuzach, Anglikach, Hiszpanach nawet nie wspomina. „Polak poczciwy, ze wszystkich najlepszy i najszczęśliwszy. U niego męstwo zawołane, u niego obfitość wszystkiego, żywności, pieniędzy, ochędóstwa wszelkiego, fantazya wielka, wspaniałość, w strojach wielka elegancya, do tego miłość cnoty, sławy i wiary... Niejeden musiał rość, połykając te miłe kadzidła, kiedy nagle chytry Rey zwraca się i po takich pochwałach chłoszcze bez miłosierdzia:

> Ale gdy drugą kartę na wspak obrócimy,
> Czego nam nie dostawa, snadnie obaczymy.

Nie dostawa zaś naprzód sprawiedliwości: nasze prawa są jak pajęczyna, „z której się bąk wybije, a uwięźnie mucha.“ Obrony nie mamy żadnej. Zamki pograniczne łatwoby poprawić, ale przez naszą niedbałość idą w ruinę, „mury około miast walą się i wieże“; król Kazimierz bardzoby się dziwował, on, co tyle murów pobudował, gdyby je w takim stanie zobaczył. Do tego wielkie długi koronne, do tego prawa i zawikłane i nie strzeżone, słowem, wiersz przechodzi w krytykę całego stanu Rzpltej i staje się politycznym. Co więcej, rozumnie politycznym: bo już powyż-

sze uwagi o obronie granic, skarbie i sprawiedliwości były rozumne i słuszne, ale to były rzeczy tak widoczne, że dojrzeć się dały samym zdrowym rozsądkiem. Dalsze zaś uwagi dowodzą, że Rey miał w tych rzeczach wzrok bystry i daleki. I tak, żali się bardzo na wypuszczenie Wołoszy z hołdu, a kiedy mówi o niebezpieczeństwach, jakie nam grożą od sąsiadów, wskazuje na nieprzyjaciół od Wschodu, od Zachodu na niepewnych przyjaciół, i przewiduje, że ci sąsiedzi zachodni kiedyś ze wschodnimi „na naszych granicach będą się witać.“ Zapewne rozumie przez to, że tu wypadnie im rozprawić się z sobą, a myśli o Austryi i Turku, ale ze strachem mówi o tem, co nam takie witanie sprawić może.

Na szczególną uwagę zasługuje to, że gorliwie upomina o opisanie porządku elekcyi:

A mili Polaczkowie ci, co rozum mają,
Widząc pewny upadek, przed się go czekają.

Dotyka także i innych wielkich spraw ówczesnych, Unii z Litwą, Egzekucyi, Wojska kwarcianego. Chce, żeby oba kraje jednemu panu wiernie na wieki służyły, wspólnie go obierały i koronowały, i wspólnie broniły się od nieprzyjaciół, ale żeby nawzajem nie wtrącały się w swoje prawa i zostawiły sobie wszelką wolność wewnątrz. Rzecz ciekawa, to, że poświęcając ustęp osobny stosunkom religijnym, Rey oszczędza w nim katolików, a uderza tem gwałtowniej na Aryanów, którzy zaprzeczają Trójcę św. i bóstwo Chrystusa i są jednym z wielkich powodów kary Bożej na Polskę. Pięknie zamyka te polityczne wiersze upominanie do miłych Polaczków, aby zawczasu mieli się na baczności, „bo jeśli matka zginie, pszczoły pewnie spadną.“

Ze względu tak na treść, jak na formę, wypadłoby może przyznać tej „Przemowie“ pierwszeństwo w poe-

*

zyi Reya; w każdym razie jest ona dla nas dzisiejszych najbardziej zajmująca.

„Żegnanie ze światem,“ w którym poeta osobno żegna świat, towarzyszów, przyjaciół krewnych etc., jest to wiersz moralny, obfitujący w zbawienne uwagi o marnościach tego świata, ale pozbawiony uczucia i zimny.

Są jeszcze *Figliki*, po śmierci autora wydane, ale pisane oczywiście przez długie lata, przy zdarzonej sposobności i ochocie. Mnóstwo było w ówczesnej Europie takich *Fraszek* i miały ogromne powodzenie. *Figliki* zapewne także. U nas już go nie znajdą. Żart gruby, rubaszny, może być zabawnym i podobać się zawsze: ale ludziom oświeconym podoba się nie dla swojej rubaszności, tylko pomimo niej, dla trafnej myśli, jaka w nim tkwi, albo dla śmiesznego konceptu (naprzykład Rabelais). W *Figlikach* Reya myśl jest nieraz trafna i dobra, wyrażenie jej rzadko, bardzo rzadko zabawne, jeszcze rzadziej zgrabne. On sam musiał się trochę wstydzić tego lekkiego dzieła, bo w przedmowie mówi, że pisał je głównie dla ćwiczenia w języku i wierszu, a zasłania się poważną moralną tendencyą: „a też młody człek, przeczedszy, może się wiele ludzkiemi przygodami przestrzedz.“ Czegoby się można z *Figlików* przestrzedz lub nauczyć, domyślić się trudno. Jest to zbiór różnych anegdot, dykteryjek, facecyj i dowcipów; facecye przyzwoite, opowiedziane bez sztuki, bez dowcipu, bez humoru, nie mogą się podobać ani na chwilę. Inne wykraczają po za granice przyzwoitości. Bez zbytecznej surowości ani wstydliwości sądząc, owszem przyznając, że żart nieprzyzwoity może nieraz być żartem dowcipnym, przyznając, że żart rubaszny może być zabawnym, trzeba przecież powiedzieć, że jeżeli w wierszu niema ani dowcipu, ani przystosowania, a humor i wesołość zasadzają się na tem, że „poeta“ *con amore* najgrubszymi wyrazami mówi o najprozaiczniejszych koniecznościach ludzkiego ciała, to nie wywoła

śmiechu, tylko obrzydzenie lub nudności. Rey, który w swoich poważnych poematach lubi nad wszystko porównania do świń, barłogów i t. d., w swoich utworach lekkich igra rozkosznie pośród odrażających śmieci i ich wyziewów, i to go bawi, to jego wesołość, to śmieszność i humor „Figlików.“ Jak sztuka dla sztuki, tak u niego są śmiecie dla śmieci, a pod niemi niema dowcipu, ani przystosowania. Żart najgrubszy, najrubaszniejszy jest znośny, jeżeli jest prawdziwym żartem; ale jeżeli ktoś bez wesołości, ciężko, nudno, prawi rzeczy najbrudniejsze, a im grubszych słów używa, tem się dowcipniejszym sądzi, powstaje z tego niesmak i obrzydzenie.

Należy jeszcze zapytać, czy i jak wpłynął humanizm na Reya tak mało uczonego, na to dziecko natury niby, w którem upatrywać lubimy czysty specimen polskiej natury i głowy? Wpłynął i bardzo, i niedobrze; właśnie dlatego może Rey jest istotnie tak ciekawym typem swego czasu, a przykładem dla innych, że widzi się na nim wyraźnie, jak silnie historyczne pierwiastki działają na głowy źle przygotowane, mało wykształcone, na ludzi wrażeniom przystępnych, do sądu nie bardzo zdolnych.

Nieuk za młodu, w starszym wieku wstydzi się Rey swego nieuctwa, i chcąc je załatać jakoś i zatrzeć, czyta wiele, wiele zachowuje w pamięci. Ztąd te wiadomości o mitologii, o filozofach i bohaterach starożytności, któremi się tak chętnie, a tak nieraz niezręcznie, popisuje; ztąd ta ślepa wiara w ich powagę. Ztąd wreszcie utkwione w jego pamięci różne kształty i różne treści pism obcych. Poemat filozoficzno-moralny jak *Zwierzyniec*, traktat jak *Żywot*, *Figliki*, *Apophtegmata*, wszystko to było już po wiele razy pisane. Chwalą go za jego samorodną niby oryginalność; niestety, on o tyle tylko jest oryginalnym, o ile zupełnie naśladować nie może. On ze swoich powierzchownych wiadomości nie mógł przejąć, co było lep-

szego, filozoficznie głębszego lub artystycznie szlachetnego w starożytnych: pochwytał tylko ich nazwiska, a z ich nowożytnych naśladowców nie wziął nauki, wziął tylko pedantyczne pozory erudycyi. Ztąd ciężkość niesłychana takiego poematu jak *Wizerunek*, i ciężkość zaledwo mniejsza takiego traktatu jak *Żywot*.

Z tego krytycznego ducha, który był w wieku XVI, on wziął tylko popęd i śmiałość do krytykowania tego, co widział; o istotne tego rozumienie, o zbadanie natury i przyczyn tego, co widział, ani się nie troszczył, i prawdopodobnie nie domyślał się nawet, że to można, że się to należy. Coś usłyszeć i pochwycić, na coś się rozgniewać i oburzyć, nie dowiedzieć się co i jak to jest naprawdę, a potem zarozumiale z partesu decydować, to jego zwyczaj, i jak sądzi, jego prawo. I pod tym względem nic tak charakterystycznego, jak jego protestantyzm i ta propaganda, którą zapalczywie prowadzi (znowu odbicie powszechnych europejskich prądów, znowu wpływ wieku). Kiedy prosty szlachcic z XVI wieku, który nic naprawdę nie wie i nie umie, czynnie apostołuje nową wiarę, to znaczy jednych księży swata, a drugich, którzy się swatać nie dają, wypędza, tłómaczy się to ogólnym stanem rzeczy. Ale kiedy ten sam chce apostołować słowem i piórem, kiedy pisze Postyllę i komentuje Apokalipsę, naraża się na zarzut płytkości głowy i lekkości charakteru. Podziwiamy zwykle jego prostotę i dobrą wiarę: zapewne, jest dobra wiara o tyle, że pisze, co myśli. Ale tej głębszej i prawdziwszej, tej sumiennej rzetelności i dobrej wiary, przez którą zapytuje człowiek sam siebie, czy też on wie to, o czem chce mówić, lub czy potrafi to, co chce robić, tej on nie ma. Czy był katolikiem, czy protestantem, to jego rzecz; ale czy jednym czy drugim był naprawdę, jeżeli miał religijne przekonania i szczere religijne

uczucia, powinien był naprzód zastanowić się, czy tak jest jak on myśli, a powtóre uznać, że nie wiedząc, nie ucząc się, nie umiejąc ani katolickiej ani protestanckiej teologii, o kwestyach religijnych mówić nie ma prawa. Ale jemu wystarcza wrażenie: tak mi się zdaje, a więc tak być musi, a więc tak jest! i na wiarę tego wrażenia (choć popchnięty zapewne i wbity w zarozumiałość przez swoich współwyznawców) rozcina swoją karabelą i swoim rozumem kwestye wiary, jakgdyby był św. Augustynem lub przynajmniej mądrym Kalwinem.

Zarozumiałość to charakterystyczna. Było to niewątpliwie skutkiem (jednym z najwidoczniejszych) odrodzenia nauk klasycznych, że człowiek, który się ujrzał bogatszym w wiadomości i w refleksyę, uczuł się silnie w sobie, i uznał się miarą, a nieraz i prawem wszystkiego. Rozwinięta i rozbujała indywidualność, jak w życiu prywatnem nie chciała znać nad sobą prawa i wędzidła i doszła do strasznego zepsucia obyczajów (zwłaszcza we Włoszech), jak w życiu politycznem chciała wznieść się nad ogół i sama w Polsce wybierać króla *viritim*, a później swoją wolą, swojem *veto* tamować bieg spraw Rzpltej, tak w rzeczach religijnych, w rzeczach wiary za powagę uznawała tylko siebie. U głębszych i poważniejszych zasadą tej wiary był zbiór gorących uczuć i silnych świadomych siebie przekonań: ale płytszym, lżejszym, a z temperamentu porywczym, wystarczało zarozumiałe *widzi mi się*. Ponieważ ksiądz ten a ten w mojem sąsiedztwie nie jest takim, jak być powinien, więc *widzi mi się*, że Kościół katolicki prawdy mieć nie może i musi być apokaliptyczną bestyą o dziesięciu rogach, i w tym duchu wykład Apokalipsy napiszę. W całym, niestety, protestantyzmie polskim jest podobna na dnie logika, podobna powierzchowność, podobny dyletantyzm teologiczny, a Rey jest jednym z najlepszych

reprezentantów nie protestantyzmu uczeńszego i poważniejszego, ale tego, jaki panował w tłumie mało oświeconych, tego, który dziś nazwalibyśmy brukowym i kawiarnianym.

I nie pod religijnym tylko względem, ale i pod politycznym także. Protestantyzm u nas, jak wszędzie, kiedy się chciał wybić z pod władzy Kościoła, szukał w tej walce sprzymierzeńca we władzy świeckiej; a jak w północnych Niemczech lub w Anglii poddał się pod despotyzm, tak u nas za cenę swojego zwycięstwa skłonny był przyznać królowi większy zakres i większą sprężystość władzy. Ztąd te ponętne dla Zygmunta Augusta pokusy, ta wojna z oligarchią, te nadzieje dziedzicznego następstwa tronu, z któremi występuje protestantyzm polski, kierowany przez skrajny radykalny wynik swojego kierunku, przez aryanizm: byleby król założył kościół narodowy. Będzie w Polsce panujący i populus szlachecki, a na spodzie plebs, poddany, coś nakształt rzymskiego niewolnika. Ztąd łatwe przejście do despotyzmu politycznego i despotyzmu religijnego: wedle zasady *cujus regio ejus religio*, ty, chłopie, chcesz czy nie chcesz, bądź tem, czem ja być chcę. W ciekawej *Przemowie* Reya, pisanej, a przynajmniej wydanej w chwili najgorętszego wrzenia sprawy protestanckiej, występują wyraźnie takie myśli o skupieniu władzy i dziedzictwie tronu, myśli politycznie niezawodnie zbawienne i organiczne, gdyby nie kryły w sobie zabójczych pierwiastków dezorganizacyi ducha. Później, w lat parę, kiedy protestanci sami przelękli się tego rozprzężenia i zamętu i przewrotu wszystkich węzłów pojęć i podstaw religijnych, jakie przynosił z sobą aryanizm, wtedy cofa się i Rey i w swoich pismach ostatnich, w *Spólnem Narzekaniu* i w *Zbroi Pewnej* ostyga lub miarkuje się bardzo w zapale przeciw katolikom, a wszystkie swoje gromy chowa dla aryanów; ale o wzmocnieniu władzy królew-

skiej już nie mówi, kiedy król narodowego kościoła nie założył.

Biograf Reya, Trzycieski, porównał go z Dantem, Mickiewicz z Montaignem. Pierwszego tłómaczy to, że naturalnie Danta nie znał, słyszał tylko, że to był najstarszy z włoskich poetów. Jak drugi mógł upatrzyć podobieństwo między tą intelligencyą, jedną z najpotężniejszych, jakiemi świeci wiek XVI, a tą zwyczajną, jaką jest Rey, to wytłómaczyć trudniej. Ale jeżeli nie można przyznać, iżby rozum Reya, lub jego talent pisarski, był bardzo świetny, to nie można znowu zaprzeczyć, że jego zasługa i znaczenie w literaturze polskiej są większe, niż jego rozum i talent. Większą przez to, że pierwszy pisał wyłącznie po polsku, że dał dobry przykład, że ma sposób pisania, język, styl, rodzimy, charakterystyczny, przyrodzony, jeżeli można tak się wyrazić. Jest niezmiernie ciekawy, nietylko przez to, że rzuca wiele światła na swój czas i jest do jego poznania konieczny, ale i przez to, że jest swoim sposobem myślenia, swoją naturą, typowym egzemplarzem człowieka swego czasu, może typowym egzemplarzem Polaka we wszystkich czasach. Przez to tak pociągający, w tem ten wdzięk, jaki on ma w naszych oczach. Szanowny zaś przez to, że moralnie zdrowy, prawy; sumienie i honor są proste, nie skrzywione. Poważnej myśli, obawy o Rzeczpospolitą, dobrej woli około jej zabezpieczenia i poprawienia wiele, a z wiekiem coraz więcej. To są tytuły do zasługi, do chwały, do wdzięczności narodu, takie rzeczywiste, słuszne i trwałe, że chwała pisarza i wdzięczność narodu zabezpieczone są na zawsze.

IV.

Dworzanin Górnickiego. Modrzewskiego *Sylwy*. Goślickiego *Najlepszy Senator*. Kochanowski. Wyjście ze służby—*Muza*. *Proporzec*. *Wróżki*. Ciesielskiego *Oracya*.

Starzy pisarze schodzą z pola, występują nowi. W roku 1565 wychodzi *Dworzanin* Górnickiego. Młody pisarz, i nowy rodzaj piękności i doskonałości polskiego języka: nowe świadectwo ówczesnego obyczaju i stopnia oświaty. Wspaniała była proza Orzechowskiego w niektórych ustępach *Dyalogów* i *Quincunxa*: ale była wspaniała, podniosła, retoryczna. Język potoczny, zwykły, a szlachetnie prosty, a prostotą swoją wdzięczny, wdzięczny nie przez naiwną nieświadomość, jak u Bielskiego, ale przez doskonałe wyrobienie i wykwintny smak pisarza, to jest nowość w naszej literaturze, to jest wielki postęp i nabytek, i to jest jedna zasługa Górnickiego, a zaleta *Dworzanina*. Drugą jest ten stopień cywilizacyi, jaki on oznacza, jakiego jest pomnikiem. W *Żywocie* Reya jest rodzaj życia, pojęć, zajęć, obyczaju, zwykłego wiejskiego szlachcica, ogółu naszego ówczesnego społeczeństwa. Z *Dworzanina* dowiadujemy się, jaki był ten rodzaj życia, pojęć, zajęć, obyczaju u ludzi najwyżej wykształconych w owym czasie. *Żywot* jest może ważniejszy dlatego, że jest ogólniejszy; *Dworzanin* jest milszy dla-

tego właśnie, że rzadszy, że daje poznać to, co w owym czasie było wyborowem i najwyższem.

W *Dworzaninie* przechowała się cała jedna strona życia [1]), której napróżno szukalibyśmy w kronikach, sejmowych, albo w natchnionych słowach wielkiego kaznodziei. Te wielkie źródła historyczne, wielkie pomniki literackie dają nam poznać Polskę polityczną, moralną, naukową wreszcie; niezawodnie czynią przez to zadość potrzebie największej. Jednak jest po za życiem publicznem i umysłowem inne jeszcze życie, nietylko zajmujące i ciekawe, ale do dobrego poznania naszych przodków potrzebne, bo dające zawsze miarę cywilizacyi narodu i wieku, to jest, życie towarzyskie. Jakim był Polak w XVI wieku na sejmie, na sejmiku, lub w boju, co myślał o Rzpltej, jak pojmował swoje w niej stanowisko, obowiązki swoje względem niej i te, które w jego mniemaniu Rzeczpospolita miała względem niego, to wiemy, a przynajmniej dowiedzieć się możemy z historyków i statystów. Ale jakim był ten Polak w stosunkach prywatnych, jakie było jego życie towarzyskie, czy jego wychowanie pod tym względem świadczyło o wysoko posuniętej cywilizacyi, objawiającej się ogładą obyczajów, należytem baczeniem na drugich i delikatnem z nimi obejściem, jak rozumiano grzeczność, przyzwoitość, takt w postępowaniu, co było w stosunkach towarzyskich zabawą lub rozmową godziwą, a co nie: o tem wiemy mało. A przecież to nie obojętne: przecież nie dlatego tylko warto tem wiedzieć, żeby ich lepiej sobie we wszelkich stosunkach życia módz wyobrazić, ale dlatego zwłaszcza, żeby wiedzieć do jakiego stopnia, i czy na prawdę, czy na pozór tylko byli ludźmi cywilizowanymi. Naród dziki, gburowaty, w obejściu nieokrzesany, mo-

[1]) Ustęp skrócony z większej rozprawy o *Dworzaninie* (Studya do hist. lit. polsk. T. III).

że mieć wielkie zalety i przyszłość, może błyszczeć po wierzchu wykształconymi i znakomitymi ludźmi, ale na wskróś oświeconym, prawdziwie cywilizowanym nie jest.

Otóż wiek XVI zostawił w Polsce bardzo mało śladów tej strony swojego życia, a najobfitsze i najwyraźniejsze, jakie zostawił, złożone są w *Dworzaninie* Górnickiego.

W tych słowach zamyka się ważność i historyczna wartość tej książki i wielkie jakie ona wzbudza zajęcie; a że jest nietylko najlepszem, jakie mamy, źródłem wiadomości o naszem dawnem życiu towarzyskiem, ale nadto jeszcze jest jedną z książek najpiękniej po polsku pisanych, klasycznym wzorem doskonałości i wdzięku języka i stylu, tak, że bez względu na treść, dla samej tylko formy możnaby się w tej książce rozkochać, więc całość jest jednym z klejnotów naszej literatury.

Treść bowiem, nie dość że historycznie ciekawa i zajmująca, jest piękna i mądra: pełna rozumnych spostrzeżeń i uwag, pełna znajomości człowieka i świata, a nadewszystko nacechowana szlachetnem, wysokiem, jednego i drugiego pojęciem; a my, którzy, po większej łagodności naszych praw i po wielkim postępie ekonomicznym wnosząc, tak pochopni jesteśmy przyznawać sobie samym wyższą ogładę obyczajów i cywilizacyę w stosunkach potocznego życia, z zadziwieniem możemy się z tej książki przekonać, żeśmy pod tym względem nie odkryli nic, czegoby oni nie byli wiedzieli i praktykowali, że wszystko, na czem w naszem pojęciu zasadza się grzeczność, wzgląd na innych, delikatność, takt, słowem dobre wychowanie, im było równie dobrze znane w swoich przyczynach i objawach, i tak przez nich określone, tak sprowadzone do pewnych zasad i ogólnych z natury rzeczy płynących przepisów, jakbyśmy może dziś zrobić tego tak ładnie nie potrafili.

Cóż bowiem jest Dworzanin? Jest to człowiek moralnie zacny, człowiek porządny, rozumny, w naukach ćwiczony i krajowi pożyteczny, w stosunkach z ludźmi, w stosunkach towarzyskich. Jaki ma być i jakim sposobem wyrabia się człowiek moralny i człowiek pożyteczny w społeczeństwie, o tem tu mowy niema; jest tylko o tem, czego potrzeba, żeby człowiek dobry i rozumny był ludziom miły, zatem, jak ma z nimi obchodzić się, jakim być względem starszych, względem przełożonych, względem równych wiekiem i położeniem, jakim względem kobiet, jak się bawić i żartować, jak się zachować przyzwoicie i poważnie w różnych położeniach i w stosunkach—słowem Dworzanin jest to człowiek szlachetny, rozumny i pożyteczny, porządny człowiek w całem znaczeniu tego słowa, ale człowiek do Boga i do ludzi, człowiek światowy, człowiek dobrze wychowany. Tamto wszystko przypuszcza się o nim z góry; to, w czem polega i jak się nabyć może, mówi książka. Dworzaninem zaś jest naprzód dlatego, że we Włoszech, zkąd on pochodzi, ogniskiem towarzyskiego i polerownego życia były dwory niezliczonych książąt, około których zbierały się i dowcipy i młódź rycerska; powtóre dlatego, że u nas w Polsce choć nie było udzielnych dworów książęcych, przecież wychowanie szlacheckiego młodzieńca kończyło się zwykle na dworze, jeżeli nie królewskim to pańskim. Mógł więc Górnicki, przerabiając swoje dzieło z włoskiego, tytuł jego zachować, a przeciw obyczajom krajowym i prawdopodobieństwu Dworzanina w Polsce nie wykroczyć.

Rzecz jest naturalna, że książka, która takiego człowieka opisuje i kształci, powstała w kraju najwyższej podówczas cywilizacyi, w kraju, gdzie wszechstronne wykształcenie indywiduum stanęło na stopniu najwyższym, we Włoszech. Ale czy to naszemu Dworzaninowi ujmuje, że nie wyszedł czysto z polskiej głowy, i że jest nie tłómaczeniem wprawdzie, ale kopią

bardzo blizką oryginału Corteggiana włoskiego? Zapewne byłoby nam milej, gdybyśmy zupełne jego autorstwo przypisać mogli Górnickiemu. Ale różnica ta jest tylko dla naszej narodowej miłości własnej i dla sławy autora: nie dla wartości dzieła, czy to bezwzględnej, czy historycznej tylko. Prawda, że obraz człowieka porządnego i dobrze wychowanego skreślony jest przez Włocha; ale skoro go Polak kopiował, to znakiem, że go tak samo jak ów Włoch pojmował, że ten ideał i jego znamiona były dla obu wspólne: choć nie dosłownie z włoskiego tłómaczone, jednak często do tamtych zbliżone. Jeżeli czego żałować można, to że Górnicki nie chciał w tem naśladować Castigliona, iż tamten do rozmów swoich wprowadza i kobiety. Księżna Urbinu i Signora Emilia mało wprawdzie mieszają się do rozpraw, prowadzonych głównie przez mężczyzn; przecież słowa ich, choć nie obfite, nadają dyalogom jakieś ożywienie i rozmaitość, jakgdyby z większem zajęciem czytało się to, co było mówione wobec pań dostojnych i rozumnych; a nadto, z tych słów przecie można odgadnąć choć trochę, jak te panie myślały i jak rozmawiały. Gdyby zamiast biskupa Maciejowskiego była królowa Bona naprzykład, a zamiast dwóch lub trzech Bojanowskich lub Derśniaków, dwie lub trzy polskie damy, byłoby to niezawodnie niejakim wdziękiem i przysmakiem Dworzaninowi polskiemu.

Ale nie myśląc o tem, co się już odmienić nie może, zapamiętajmy dobrze to, czem jest ten *Dworzanin*, czego uczy lub dowodzi. Dowodzi on naprzód tego, że język polski, kiedy nim kto jak Górnicki pisać umie, jest tak piękny, tak szlachetny, ozdobny w swoich formach, w wyrażeniach tak nieprzebrany, dosadny i szczęśliwy, iż żadnemu z nowożytnych języków zazdrościć niema czego. Powtóre, uczy ta książeczka, że nasi starzy Polacy w złotym wieku byli to ludzie, którzy umieli znać i cenić, wszystkie te małe, ale szlachetne obowiązki człowieka względem człowieka, bez

których związek między ludźmi stałby się nieznośnym lub zgoła niepodobnym, jakiemi są grzeczność, delikatność, wzgląd na innych. A jeżeli zmniejsza to naszą chlubę i przyjemność, że dzieło to jest tylko naśladowaniem obcego, to na pociechę sobie powiedzieć możemy, iż się w niem dość jeszcze właściwości polskich odbiło, a te które się odbiły, świadczą pod niejednym względem o wyższości ówczesnej Polski nad Włochami. Nie pod względem intellektualnym oczywiście, ale moralnym. Dworzanin polski jest od włoskiego w obyczajach i mowie poważniejszy. Tamten zabawia kobiety żartami lekkimi, których ten w gronie samych tylko mężczyzn sobie nie pozwala: tamten pobłaża swojej „lascywii" i skłonności do używania, ten samo zalecanie się kobiecie zamężnej, a nie dopieroż stosunek miłosny z nią, uważa za zdrożność; tamten przedewszystkiem ma uwagę zwróconą na własne powodzenie, zawód i pokaz przed światem, ten na pożytek, jaki ludzie z niego mieć mogą; u tamtego główną sprężyną i regulatorem postępowania jest honor, u tego uczciwość. Słowem, Dworzanin polski żywiej czuje nad sobą prawo moralne, lepiej go słucha i ściślej przestrzega. Pod wszystkimi względami więc daje on wysokie wyobrażenie o moralnem i umysłowem wykształceniu ówczesnej Polski, a ukazuje ją ze strony zkądinąd nieznanej. Pełen rozumu, wdzięku, prostoty, a co do formy, „jedna z przedziwności języka polskiego," jest „Dworzanin" prawdziwym klejnotem w naszej literaturze, jest, żeby skończyć jak się zaczęło, jedną z najmilszych i najciekawszych książek, jakie nam nasz złoty wiek zostawił.

Nadchodzi już koniec zawodu Modrzewskiego. Ostatniem jego dziełem są cztery *Sylwy* (1566—1569). Tendencya ich jak w dziełach poprzednich, to pojednanie wszystkich wyznań chrześcijańskich, a nawet i niechrześcijańskich, skoro pojednanie obejmować ma nawet aryanów, w jakimś niemożliwym kompromiso-

wym kościele, którego żadne z tych wyznań nie mogło, nie byłoby chciało przyjąć. Środkiem zaś pojednania ma być Sobór, ale nie ten nieprawdziwy, łaciński, który zasiadał w Trydencie, tylko inny, lepszy, złożony z reprezentantów wszystkich wyznań i wszystkich stanów. Sobór ten miałby zwołać król i powagą swoją uchwały jego w Królestwie obowiązującemi uczynić. Znowu utopia. Król polski, nawet gdyby był chciał, nie byłby zdołał mocą swoją kościół jakiś poddanym swoim narzucić; a Zygmunt August tego nie chciał i wiedział dobrze, dlaczego nie chciał. Niechęć do Kościoła katolickiego coraz wyraźniejsza; u Reya zdaje się zmniejszać z latami, u Modrzewskiego wzrasta.

Patrząc na tę postać, żałować przychodzi, że druga [1]) połowa życia nie była poświęcona temu rodzajowi pracy, co pierwsza, że, tak dla Rzpltej, jak dla literatury, jest zupełnie bezpłodną i niepożyteczną. Wszystkie bowiem jego pisma teologiczne, choć on sam może po nich właśnie największe obiecywał sobie skutki, nietylko że żadnych nie wydały, nietylko mogły się przyczynić do powiększenia i tak już wielkiego zamieszania pojęć, ale autorowi swemu sławy nie przynoszą i wpływają niekorzystnie na wyobrażenie, jakie sobie o nim robić można z *Poprawy Rzpltej*. Nie dlatego, że stanowisko jego było protestanckiem: nie przechodząc wcale na to stanowisko, należy przecież zostawić pisarza na tem, jakie zająć chciał, i z tego go sądzić; a tak sądzony Modrzewski w swoich pismach teologicznych okazuje się słabym. Bo jeżeli dążność do pojednania wyznań na polu politycznem byłaby dobra, o tyle człowiek rozumny i poważny powinien był wiedzieć, że kuszenie się o pojednanie ich na polu religijnem było rzeczą i próżną i nie dobrą; było utopią i było bezprawiem, gwałtem, było żądaniem od każde-

---

[1]) Ustęp skrócony z książki *Pisarze polityczni XVI wieku*.

go z tych wyznań, żeby się siebie wyparło. Że autor *Poprawy Rzpltej* podjął tę niewdzięczną pracę, że rozstrzygał kwestye dogmatyczne w sposób, który musiał oburzać wszystkich, w miłem złudzeniu, że ich jedna i do siebie zbliża, to jest dziwne, to jest pomyłka, w którą on wpaść nie był powinien,

Ale jakkolwiek te pisma nie przyniosły pożytku ani Polsce, ani jej literaturze, ani wreszcie samej sprawie protestantyzmu, to pożyteczne są dla historyi, bo rzucają wiele światła na postęp, a zwłaszcza na rodzaj protestantyzmu polskiego. Ma więc swoją wagę i ta część jego pracy.

Oni dwaj, Modrzewski i Orzechowski, skupiają w sobie i wyobrażają naszą literaturę polityczną z czasów Zygmunta Augusta: ale Modrzewski jest ze wszystkich pisarzy tego okresu najbardziej, najprawdziwiej reformatorem. Prawda, że i on nie jest dosyć systematyczny, że często wpada w ton kaznodziejski, że podaje nauki moralne zamiast środków politycznych, i prawda nadewszystko, że jego *Poprawa Rzeczypospolitej* nie jest całkowitą, bo on nie widzi, że przedewszystkiem poprawy i zmiany potrzebowała centralna władza wykonawcza. Ale jego organizacya wojska, skarbu i sprawiedliwości jest najszersza i najpraktyczniejsza ze wszystkich, jakie w jego czasach były wymyślone; zaś co do samych podstaw pomyślności i potęgi Rzpltej, to znajduje dwie najtrwalsze i najpewniejsze, jakiemi są harmonia społeczna i rozumna wolność. Do pierwszej prowadzi „jedno prawo dla wszystkich,” sprawiedliwość względem poddanych, przypuszczenie mieszczan do posiadania ziemi; do drugiej—odpowiedzialność urzędów i zależność władzy wykonawczej od społeczeństwa samego, za pomocą prawa uchwalania podatków, które zawsze służyć ma sejmowi. Duch zatem, dążność dzieła jest i politycznie mądra i moralnie wysoka, chrześcijańska i cywilizacyjna. Współcześni i następcy Modrzewskiego natrafiają nieraz w szczegółach

na pomysły lepsze, praktyczniejsze od jego pomysłów: ale tak obszernie, tak ogólnie żaden *Poprawy Rzpltej* nie pojął i nie zakreślił. Dlatego jest on główną środkową postacią tego działu naszej literatury w wieku XVI, postacią, której żadna ze współczesnych u nas nie dorównywa. Modrzewski, śmiało rzecz można, choć dziś tak zapomniany, jest jedną z ozdób, jedną z wielkich postaci literatury politycznej XVI wieku w Europie. Odbija się w niektórych młodszych pisarzach, jak Wolan albo Ciesielski; *Bazylika* przekład *Poprawy Rzpltej* świadczy, że miał wziętość, poważanie, i zwolenników, którzy pomysły jego chcieli rozszerzać, ale nie przeszedł do ogółu, nie przejął opinii polskiej. Szkoda jest nieoceniona i niepowetowana, bo polityczne, a zwłaszcza społeczne pojęcia Modrzewskiego, gdyby się były przyjęły, mogły były wykształcić nas na silniejsze, zdrowsze społeczeństwo. Wszelako to przyznając, nie należy zapominać, że jego *Poprawa Rzpltej* także zupełną nie jest, i że wyższy od współczesnych pojęciem stosunków i potrzeb społecznych, pod względem reform politycznych jest ich blizkim, pod względem reformy rządu tak niedostatecznym, jak oni wszyscy.

Jest nowy pisarz i na polu literatury politycznej; szkoda że wstępuje na to pole, jako młodzieniec, a potem schodzi z niego już na zawsze, to Goślicki, którego *Najlepszy Senator* (*De optimo Senatore* 1568) dowodzi, że autor mógł stanąć wysoko w rzędzie naszych statystów. *Senator* jest prawie akademiczną rozprawą, jest przytem skutkiem czy pomnikiem tego złudzenia, czy tej mody pisarzy XVI wieku, którzy wyobrażali sobie, że jak dobrze opiszą obowiązki różnych urzędów, to tem samem podadzą sposób na dobre rządy. (*Poseł* Warszewickiego, *Hetman* Paprockiego, *Kanclerz* Heidensteina, *Consiliarius* Cerioli etc. etc., wszystko pisane niby na wzór, w zamiarze i w złudzeniu naśladowania *Książęcia* Macchiavella). Ale *Senator* jest nietylko widocznie dziełem rozumnego człowieka; zawiera on nie

jedno spostrzeżenie prawdziwie głębsze, nie jedną radę praktyczną; a przez to każe sądzić, że autor miał zmysł polityczny w stopniu niezwykłym, i żałować, że on w późniejszych swoich latach kwestyj politycznych już nie traktował.

U nas są te kwestye coraz bardziej palące, domagają się rozwiązania, w przeciwnym razie grożą gorszem zamieszaniem. Sprawa egzekucyjna zakończyła się wprawdzie, połowicznie, marnie, bez pożytku, w roku 1564, a wielka sprawa Unii zakończyła się szczęśliwie, chlubnie, choć nie całkiem politycznie, choć ofiarą dziedziczności, zrobioną przez króla w Lublinie, w roku 1569. Ale horyzont nie rozjaśniony przecie, a chmury na nim każą obawiać się burzy. Król, nie stary, ale schorzały, wyniszczony, może być blizkim grobu. A wtedy co? Kto zajmie jego miejsce i w jaki sposób? Jakie wewnętrzne rozterki i jakie zewnętrzne zamachy, mogą spaść na Rzeczpospolitą, pozbawioną głowy, a nieświadomą co począć? Gdzie na te pytania odpowiedź? Nie u Wolana. Ten w początkach roku 1572, zatem najbliżej śmierci Zygmunta Augusta, ukończył swoją książkę *De Libertate Politica seu civili*, ale tego najważniejszego pytania nie dotyka, a tego frasunku nie okazuje. Cechą jego jest naprzód to, że nie ma cech wybitnych, w pomysłach ani w ich przedstawieniu, a powtóre pewne dalekie podobieństwo z Modrzewskim: powtarzanie, oczywiście nierównie słabsze, wielu rzeczy, które tamten przed nim, i lepiej, powiedział.

Ta zaś troska, którą wyrażał silnie Rey (w *Przestrodze* i we *Wspólnem Narzekaniu*), im dalej, tem odzywa się częściej i głośniej. Daje jej wyraz nawet Kochanowski, który od *Satyra* nie zabierał głosu w kwestyach politycznych.

Od czasów *Satyra* był on w kancelaryi królewskiej, pod swoim patronem Myszkowskim, nie bardzo rad ze swego losu; pisał niewątpliwie niektóre „Pieśni" i nie-

które „Fraszki"; ale w końcu spotkało go coś bardzo bolesnego. Co? Nieszczęśliwa zawiedziona miłość? Zawód w nadziejach co do stanowiska? Nieprzyjaźń i zazdrość ludzka, nie cofająca się nawet przed potwarzą? Różni dochodzą do różnych wniosków, niektórzy śmiało występują z twierdzeniami, tylko dowodów, czy to z własnych słów poety, czy ze świadectw współczesnych, brak na każdy z tych domysłów. Tyle pewnego, że stało mu się coś bardzo przykrego, na co się gorzko żali, w niejednej „Pieśni" i „Fraszce." Słowa jego wskazywałyby, że powodem smutku jest miłość, i złość ludzka, nie zawiedziona ambicya. Ale tak jest w swoich skargach dyskretny, tak niewyraźny, że na pewno nic z nich rozpoznać się nie da. Dość, że się zniechęcił i dwór opuścił. Osiadł w Czarnolesie, z zamiarem, żeby zdala od zgiełku i swarów dworskich filozofować i Muzom służyć. Tego postanowienia wyrazem jest wspaniała Elegia IV księgi III, jest śliczny wiersz *Do Muzy*. Ale niepodobna, choćby kto chciał najbardziej, odgrodzić się od świata, a zwłaszcza zamknąć serce przed radosnemi lub smutnemi wrażeniami. Do wiejskiego ustronia poety dochodzi to, co się dzieje w Rzpltej, a czy był sam osobiście w Lublinie na sejmie roku 1569, czy tylko o nim słyszał, bądź co bądź serce zabiło mu silnie chlubą, kiedy obcy książę składał jego królowi lenniczą przysięgę. Napisał *Proporzec*, którego początek jest bardzo pięknym takiego uczucia wyrazem. Dziwnie tylko, że kiedy Hołd Pruski pobudził go do natchnienia, to wielkie, święte dzieło Unii, na tym sejmie dokonane, nie zaznaczyło się w jego poezyi żadnem słowem tryumfu i błogosławieństwa. To jeden z tych braków w całem jego dziele, które się czuje żywo, za które ma się do niego jakiś żal.

Ale to nie obojętność, nie brak serca dla ojczyzny. Że tego nie było nigdy, dowodzą w tej samej chwili *Wróżki*.

Kiedy pisana była ta broszura? Niewątpliwie

w tych [1]) latach, bo o Zygmuncie Auguście mówi, jako o żyjącym, a o Unii, jak o rzeczy dokonanej; króciutka, napisana w powszechnie wtedy ulubionej formie dyalogu, nosi tytuł *Wróżki* (dziś powiedzielibyśmy „wróżby"), a wróży, jak Orzechowski, jak Modrzewski, jak Rey, jak później Skarga, rzeczy bardzo smutne: upadek Rzeczypospolitej i utratę jej niepodległości.

„Król syna nie ma, a my, jakgdyby nas to nic nie obchodziło, sposobu elekcyi obmyślić nie chcemy, i skończy się to tem: że zanim uradzimy, jak króla obierać mamy, już ich kilku mieć będziemy." Myśli tu nie o podwójnej, lub potrójnej elekcyi, ale o królach postronnych, którzy korzystając z zamieszania, rozebrać nas mogą. Nie sprawdziło się to odrazu i nie co do słowa, ale niebezpieczeństwa elekcyi przewidziane są bystro.

Kochanowski, któremu się zawsze marzy jakiś ubiegły wiek złoty, który on mieścić się zdaje za pierwszych Jagiellonów, który przytem za granicą napatrzył się rządów silnych i sprężystych, łatwo pojąć, że nie będzie wielkim przyjacielem naszych sejmów. „Źle, gdzie ich wiele rządzi; jeden król niechaj będzie," powtarza on za Homerem, i dodaje, że o naszej Rzeczypospolitej powiedzą kiedyś to samo, co o jednym cesarzu: *multitudo medicorum occidit principem.* Sejmom zaś przygania dowcipnie, przytaczając wyjątek z jakiejś rzymskiej komedyi:

— *Quomodo rem publicam vestram amisistis?*
— *Proveniebant oratores novi, stulti, adolescentuli*

U nas, gdzie każdy rwał się do oracyj i do rządzenia, takie przypomnienie, że mówcy głupi i niedoświadczeni gubią państwo, było bardzo trafne, a może

---

[1]) Ustęp skrócony z książki *Jan Kochanowski.*

i bardzo odważne, bo z pewnością w smak ogółowi pójść nie mogło.

W zakończeniu autor sam wytyka największy błąd broszury, kiedy Ziemianin zarzuca Plebanowi, że tylko złe ganić umie, a tego nie wskazuje, jak na nie zaradzić. Rzeczywiście to jest najsłabsza strona tego pisemka, jak i większości pism moralno-politycznych. Pleban odpowiada, że to nie na jego rozum wprawdzie, ale że innym razem spróbuje powiedzieć, jak rozumie. Szkoda, że obietnicy nie dotrzymał. *Wróżki* są wprawdzie dziełkiem moralnem więcej, niż politycznem, ale nie są wcale bez wartości i zajęcia; ich dalszy ciąg, uzupełnienie, samo przez się zapewne nie byłoby gorszem, podwajałoby ich wartość, a w każdym razie byłaby rzecz ciekawa widzieć, jakieby były lekarstwa poety na choroby Rzpltej. W każdym razie nie można go uważać za człowieka obojętnego, bez stałych i własnych przekonań, za literata i artystę, który o rzeczach praktycznych mało wie, rozumie, i mało się o nie troszczy; ani też za człowieka, który politycznego zmysłu i rozumu ma niewiele. Przeciwnie; jakby potrafił rządzić, to inne pytanie, ale widzi i sądzi bardzo dobrze, tak dobrze, trzeźwo a daleko przed siebie, jak się poetom i artystom rzadko zdarza, i jego *Wróżki* nie są bynajmniej słabym, lekkim wyrazem politycznej myśli, świadectwem politycznego rozumu ówczesnej Polski.

Za życia jeszcze, ale na bardzo krótko przed śmiercią Zygmunta Augusta, pisze Andrzej Ciesielski swoją Oracyę *ad Equites*. Zasługą i główną treścią jej jest sprawa następstwa po bezpotomnym królu. Sposobem wyjścia najprostszym byłaby adopcya. Tego przybranego syna wszakże niech król nie szuka między Polakami, bo tem zasiałby tylko ziarno nieskończonych zazdrości, w dalszym ciągu zaburzeń. Obcego książęcia trzeba wziąć na tron, a z takich najlepszym, bo usuwającym niebezpieczeństwa ze strony Moskwy,

byłby młodszy syn cara Iwana; nie tak dobrym, ale nie złym jeszcze, jeden z synów cesarza. I pomysł adopcyi i wybór kandydatów dowodzą, że autor miał rozum i zmysł praktyczny. Zmniejszają tylko tę o nim opinię utopijne warunki, jakie do owej adopcyi dodaje. Oto car Iwan miałby temu synowi, powołanemu na tron polski, dać w posagu połowę swego państwa, tę, która z Rzecząpospolitą graniczy; a cesarz znowu miałby z tego samego tytułu dać swemu synowi Ślązk. Naiwność tego żądania zbyt wielka. Ale żądanie, żeby nie zwlekać, tylko zaraz, póki król żyje, postanowić na przypadek jego śmierci sposób elekcyi, wyznaczyć tych, którzy i ją prowadzić i rządy sprawować mają, słuszne, rozumne, szkoda, że nie usłuchane.

Król umarł: z Bezkrólewia wyszła Elekcya *viritim* i *Pacta Conventa.*

ROZDZIAŁ V.

(1572—1586).

I. Literatura podczas drugiego Bezkrólewia. Król Stefan. Zenit Kochanowskiego. *Odprawa Posłów*. Kromer. *Psałterz*. *Treny*. Schyłek. Charakterystyka ogólna. II. Mniejsi poeci. Paprockiego Satyry. *Koło Rycerskie*. Historycy. Górnicki. Solikowski. Heidenstein. Orzelski. Stryjkowski. Sarnicki. Paprockiego Herbarze.

I.

Literatura podczas drugiego Bezkrólewia. Król Stefan. Zenit Kochanowskiego. *Odprawa Posłów*. Kromer. *Psałterz*. *Treny*. Schyłek. Charakterystyka ogólna.

Chwila Bezkrólewia i pierwszej elekcyi słabo odbija się w literaturze. Niewiele jest pism, które się do niej odnoszą, jeszcze mniej takich, które wskazują wyraźnie, że to co się stało, jest spokojną, ale zupełną w państwie przemianą, rewolucyą, i jakie będą jej skutki.

Ten sam Ciesielski wydaje po śmierci królewskiej drugą Oracyę, *ad Senatum*, w której wypisuje warunki, pod jakimi przyszły król miałby być wybranym (*Pacta Conventa* w zarysie); inni przestają na ogólnikach, jeszcze inni zalecają tego lub owego kandydata. Zamoyski w oracyi do nowo obranego króla, Karnkowski, w *Liście do Kromera*, który jest opisem i apologią elekcyi, robią tylko szumne panegiryki tego, co się stało. Kochanowski pisze konwencyonalną a naiwną odę (I Liryków), którą prosi Walezyusza, żeby nie zwlekał z przyjazdem: na jego przyjazd układa wiersz powitalny *in Aquilam* i *ad Regem Cracoviam venientem*. Potem w wierszu *Marszałek* tłómaczy się, że służby przy tym królu pełnić nie mo... Wszystko to obojętne raczej, wszystko dowodzi, ... oni zdaleka bali się tej elekcyi, ale byli z niej radzi, ...ły spokojnie przeszła, a głębiej w to, co się stało, ... to, co się stać może, nie zaglądali. Zasadniczej stro-

ny takiego sposobu elekcyi nie widzą, nie rozumieją, nie boją się. Krzysztof Warszewicki, gorliwy stronnik arcyksięcia Ernesta, wita Henryka najszumniejszą, najbardziej panegiryczną, trudno przypuścić iżby szczerą, oracyą. Jeden tylko jest, który widzi i przewiduje dobrze, a mówi otwarcie i śmiało, to Solikowski w *Rozsądku o Warszawskich sprawach na elekcyi*. Dowodzi on naprzód, słusznie, że *Pacta* uchwalone są nieprawnie, bo prawa mają być stanowione przez posłów, a na elekcyi posłów nie było, tylko jechał na nią, kto chciał, sam za siebie. Dowodzi dalej, że cztery główne zasady paktów, to są cztery kliny, które rozłupią Rzeczpospolitą. Konfederacya *inter dissidentes de Religione* rozbija jedność religijną; artykuł *de non praestanda obedientia* rozbija jedność władzy; artykuł o *diversitas judiciorum* rozbija nawet jedność terytoryalną prowincyi, bo każda z nich, jeżeli może stanowić sobie osobne jakie chce sądy, to z czasem gotowa powiedzieć, że może sobie stanowić i osobnego króla. Zaś przyboczna rada z szesnastu senatorów powinna, podług wszelkiego logicznego prawdopodobieństwa, wykształcić się z czasem na rządzącą oligarchię. Nie wszystkie te przewidywania sprawdziła późniejsza historya, ale sprawdziła ich tyle, że autora tej małej książeczki, uważać musimy za jednego z tych ludzi, którzy w ówczesnej Polsce najdalej wzrokiem sięgali.

Skargi *Proces na Konfederacyą* należy także do głębszych pism z tej chwili. Dotyka tylko jednej strony rzeczy, kwestyi religijnej, wzajemnego stosunku różnych wyznań w jednem państwie; jest zaś ciekawem i ważnem świadectwem, jak stosunek ten pojmowała opinia katolicka. W każdym razie dużo względniej, dużo szerzej, niż protestanci i katolicy w sąsiednich Niemczech i we Francyi.

Lekkomyślny wybór skończył się źle. Hen[illegible]k uciekł z zamku jak awanturnik, jak przypadkowy k[illegible]ól dla zabawki, za jakiego się tu istotnie uważał. Pr[illegible]e-

go ucieczce już się pokazało, i już zaczęło się po trochu miarkować, jak dobrem dla Rzeczypospolitej było to, co się przed rokiem zrobiło. Upokorzenie, zawstydzenie przed całym światem: niepewność co począć, i zamieszanie; nowe spory, nowe starania i kandydatury; Tatarzy na Podolu; dwie elekcye wreszcie, a która z nich prawna? Każda strona mówi to o swojej, każda drugiej zarzuca nieprawność.

Rzecz ciekawa, wrażeniom i uczuciom ówczesnej Polski daje wyraz najsilniejszy, prawie jedyny, nie żaden mąż stanu ani statysta, ale poeta. Kochanowski, przez czas pierwszego Bezkrólewia i krótkiego Henrykowego panowania zabierał się nareszcie do stanu małżeńskiego; na wstępie do tej swojej decyzyi pisał *Dziewosłębą*; jako starający się o pannę, pisał śliczną *Sobótkę*, tak oryginalną, tak odmienną od tradycyjnej klasycznej Sielanki, tak nawet chwilami realistyczną (rzecz u niego rzadka); śliczną pieśnią drugą drugiej księgi zapraszał w dom narzeczoną. Teraz, choć chciałby w domowem ustroniu zamknąć się przed troskami publicznego życia, nie może zamknąć swego polskiego serca przed boleścią i obawą, i ze swojej lutni dobywa ton najwyższy, jaki w tej chwili wydał polski patryotyzm.

Nie obojętność, zniechęcenie raczej i gorycz, dyktują mu ten ironiczny wiersz do Firleja, „Nie frasuj sobie, Mikołaju, głowy, kto ma być królem.” Że tak jest, dowodzi *Oda Czwarta* z Liryków, i *Trzecia* na zjazd Stężycki. Przypuszcza się, bez pewności, niestety, że wspaniała *Pieśń Czternasta* księgi II (włożona później w *Odprawę Posłów* jako chór drugi), w tych okolicznościach, pod wpływem tych smutków odezwała się swoim głębokim uroczystym tonem. Ale czego już przypuszczać nie trzeba, bo jest pewne i jasne jak słońce, to że *Pieśń Piąta* księgi II powstała, kiedy napad tatarski nie wstrzymywany, nie odparty, zapędził się aż pod Sokal i Lwów. „Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda, Polaku,“ to między patryotycznymi wierszami

Kochanowskiego jeden z najwspanialszych, to jeden z klejnotów całej patryotycznej liryki polskiej. A tak mądry, tak głęboki, że na nieszczęście nasze do wielu późniejszych wypadków i czasów żywcem się da stosować.

Że Kochanowski podczas tego Bezkrólewia jedyny raz wystąpił czynnie w życiu publicznem, że na sejmie elekcyjnym zabierał głos, i to za kandydaturą austryacką, to do literatury właściwie nie należy. Że jego mowa nie sprawiła skutku, była źle przyjęta, to naturalne i słuszne. Żeby była pozbawiona rozumnych i politycznych argumentów (jak twierdzi Orzelski), to przesada. W każdym razie przyszłość sprawdziła smutno tę bezmyślność i przypadkowość elekcyi, którą on z trwogą przewidywał, kiedy z ironią radził zawiesić koronę na słupie, żeby ją ten brał, kto pierwszy dobiegnie.

Jeden jeszcze jego wiersz, odnoszący się do tego Bezkrólewia: ten mści na Henryku i jego Francuzach zniewagę, jaką Polsce wyrządzili. Już w roku 1574, zatem zaraz po ucieczce, wydał przyboczny poeta Henryka Desportes, obelżywy, potwarczy, nikczemny wiersz *Adieux à la Pologne.* Kochanowski odpisał *Gallo crocitanti* (gdaczącemu kogutowi, i Francuzowi). Odpisał po łacinie, żeby on i wszyscy mogli czytać i rozumieć; a w tym wierszu nietylko kłamstwa odpiera, ale i odkrywa bez względu i pobłażania prawdę o bezwstydzie tego króla, o podłości jego dworaków.

Przyszedł Stefan, a lata jego panowania to okres najpiękniejszy, jak dla historyi, tak i dla literatury XVI wieku. Król cudzoziemiec nie mógł ani znać ani pielęgnować polskiego piśmiennictwa; ale z wielkim człowiekiem jak gdyby duch nowy wstąpił we wszystkich i wszystko ożywił. Nadzieja uspokojenia, zabezpieczenia Rzpltej naprzód, a potem nadzieja zwycięstw, potęgi, chwały, wpłynęły niewidzialnie, ale widocznie na szlachetniejsze natury i umysły, wywołały w nich

wyższy stopień siły, hartu, przedsiębiorczości. Teraz talent Kochanowskiego dochodzi do zupełnej dojrzałości i do wysokości, jakiej jego dotychczasowa poezya, jakkolwiek świetna nie zapowiadała. Teraz Heidenstein, jedyny w tym wieku (i na długo) godny następca Długosza, wydaje naświetniejszą część swego dzieła, sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej, a otacza go liczba nie mała historyków różnego typu i stopnia. Skarga jeszcze nie jest kaznodzieją sejmowym, ale już wydaje dzieła świetne (o Jedności Kościoła Bożego, Siedem Filarów, Żywoty Świętych) Wujek dedykuje królowi swoję Postyllę. Teraz i Klonowicz zaczyna, i Szarzyński błyska nietrwałem, na nieszczęście, światłem. Literatura polityczna jedna milczy. Nie ma powodu upominać, doradzać, zagrzewać, bo coby jako zbawienne wskazywać miała, to się robi, staje się rzeczywistością. Ale w tych latach niewątpliwie dojrzewają w głowie Górnickiego te myśli, z których niezadługo złoży się *Rozmowa Polaka z Włochem*, a Wereszczyński już w roku 1576 szukał, jak się zdaje, *Drogi pewnej do osadzenia rycerstwem pustyń w ruskich krajach*. Wszystko się rozwija, kwitnie, jaśnieje; także wszystko, niestety, prędko więdnie, słabnie, przygasa.

Talent Kochanowskiego miał takie zasoby i siły, że zapewne i bez króla Stefana byłby się wzniósł wyżej, ponad ten stopień, jakiego dosięgł w *Pieśniach* i w *Sobótce*. Ale kiedy się widzi, że zenit tego talentu schodzi się z tem panowaniem, trudno oprzeć się przekonaniu, że między jednem a drugiem zachodził jakiś związek; że w tym królu, którego nie chciał, którego elekcyi sprzeciwiał się, ile mógł, znalazł to, czego oddawna dla swojej ojczyzny pragnął. *Zgoda*, *Satyr*, *Wróżki*, z pieśni niejedna, wszystko dowodzi, że Kochanowski bał się o Polskę, i wskazuje, czego się dla niej bał i dlaczego. Ten nowy król zaś, od pierwszej chwili swego wstąpienia na tron ukazał się przeciwieństwem i nieprzyjacielem tego, co

poeta miał w Polsce za złe: robił, dzielnie i mądrze, to co jemu wydawało się potrzebnem. Te początki musiały Kochanowskiego podnieść na duchu, dodać mu otuchy, a ta znowu dodała nowych sił i popędu. Nie wiemy, jakie były, a nawet czy były, okoliczności, które poetę zbliżyły do króla; widzimy tylko, że stosunki z Zamoyskim były rzeczywiście, i blizkie; jeżeli nie ścisłej przyjaźni, to w każdym razie porozumienia i zgodności w pojęciach. Ale z tego, co Kochanowski pisze, wnosić mamy prawo, że przylgnął całem sercem, że się zapalił do króla i do Zamoyskiego i że chciał teraz, swoim sposobem, według sił i możności pomagać do ich wielkich celów.

Pierwsza rzecz, jaką napisał w tej łączności myśli i celu, to *Odprawa Posłów* (1577). Pierwszy prawdziwy, a zarazem na długie wieki najznakomitszy dramat polski, jest zarazem tendencyjną polityczną broszurą; ma za cel zganić i obrzydzić marność sejmowych rad i rozpraw, a zagrzać do wojny wstępnej, zaczepnej; zagrozić także losem, jaki wisi nad królestwami nierządnemi. Być może, że ta tendencya źle wpłynęła na wartość artystyczną dramatu; że gdyby go Kochanowski był pisał swobodnie, sam dla siebie, a nie w pośpiechu na sceniczne przedstawienie, które miało wywrzeć wspomniane wyżej wrażenie, może dzieło sztuki byłoby mu się udało lepiej; może byłoby mniej tych naśladowań i zapożyczeń, które mu dziś wytykamy. Ale czy bez tej tendencyi, bez tej myśli patryotycznej, *Odprawa* miałaby ten charakter i ton tragiczny, jaki się odzywa z dwóch chórów, z przemowy Menelaja, z przepowiedni Kassandry? Może nie, a to więcej podobno warto, niż artystyczna poprawność i doskonałość.

Zarzuca się *Odprawie* zwykle, i nie bez słuszności, dwie głównie rzeczy: brak dramatycznego pierwiastku i naśladowanie.

Co do pierwszego, nie miał zapewne Kochanowski gieniuszu dramatycznego. Gdyby go miał, byłby

zapewne inaczej wybrał przedmiot, a przynajmniej inaczej go ułożył. *Odprawa* jest właściwie prologiem do Trojańskiej tragedyi, nie samą tą tragedyą; a budowa nie jest dobra, bo osoby wychodzą jedna po drugiej i po większej części nie wracają drugi raz na scenę, bo opowiadanie Posła zajmuje trzecią część dramatu; możnaby znaleźć więcej usterek podobnych. Jednak nie przecząc ich istnieniu, nie można także słusznie zaprzeczyć temu prologowi trojańskiej akcyi, dramatycznego choć nie wyraźnego układu i budowy. Pierwsze sceny, aż do wejścia Posła, stanowią zawiązanie, ekspozycyę. Jego opowiadanie zastępuje właściwy środek akcyi; wielki błąd, bo ta narada u króla Pryama powinna się odbywać na scenie. Skarga Menelaja i chór oznaczają zwrot w tej akcyi, a przepowiednia Kassandry zastępuje katastrofę przez to, że ją ukazuje w przyszłości.

Co do naśladowań, prawda; nietylko pisał Kochanowski na wzór Greków, ale brał z nich, nawet z Seneki całe myśli, całe wyrażenia i zwroty, i to nawet w miejscach najpiękniejszych, jak trzeci chór i Kassandra. Ale pomijając już, że te zapożyczenia mogły być spowodowane wielkim pośpiechem, w jakim pisał, i to, że obyczaj wieku pozwalał na nie poetom, przypomnieć trzeba, że cała treść, sytuacya, choć z Homera wzięta, jest przez niego samego bez żadnej pomocy traktowana, że pomysły i stosunki, w jakich postawił te homeryczne osoby, są jego własne, że obok niektórych ustępów zapożyczonych jest nierównie więcej oryginalnych.

Piękność *Odprawy* to naprzód ten charakter czy pozór grecki, jaki poeta, na wskroś przejęty znajomością starożytnych, umiał nadać swoim figurom bez osobnego po temu starania zapewne. Potem przepych prawdziwy języka i wiersza. A wreszcie ten ton wspaniały, patetyczny, tragiczny, jaki się odzywa groźnie w dalszych scenach dramatu. To lub owo może być

pożyczonem; ale takie słowa mógł osobom swoim włożyć w usta tylko natchniony, wielki poeta. Alluzye do ówczesnej Polski, pierwsza rozmowa Antenora z Aleksandrem, opowiadanie Posła, ostatnie słowa Antenora „radźmy jako bić—nie jedno się bronić," ożywiają ten pozornie grecki dramat bijącem i bolesnem tętnem polskiego życia. Wszystko razem rzecz niezawodnie daleka od doskonałości, ale piękna, znakomita, w swoim rodzaju wielka; a nie widzimy we współczesnej poezyi włoskiej i francuskiej dramatu, któryby do *Odprawy* choć się tylko zbliżał.

Dlaczego ten pierwszy dramat polski był na tak długo ostatnim także i jedynym? Dlaczego nie znalazł naśladowców, nie stworzył szkoły? Kto wie czy nie dlatego, że był zanadto wzniesiony nad średni poziom ówczesnych umysłów i oświaty, przez to nie przystępny. Co pewna, to że w *Odprawie* dopiero stanął Kochanowski, a przez niego poezya polska, na tym stopniu, gdzie się kończy poezya przyjemna, ładna i poruszająca, a zaczyna się wielka.

Dla króla Stefana i na życzenie Zamoyskiego znowu, na przyjazd króla do Zamchu (1578) pisany był *Pan* i *Dryas*. Pierwszy powitalny tylko i konwencyonalny, druga tendencyjna, polityczna, i dlatego zaraz w polskim przekładzie wydana, a w swojej politycznej myśli bardzo śmiała i stanowcza, kiedy królowi opowiada, jak dawny niegdyś pan tych lasów na niedźwiedziach jeździł, założywszy im ostry kolec u nozdrza, i jak takiem twardem prawem hardych można poskromić i ujeździć. Alluzya oczywista do tych hardych, którzy za lat kilka podniosą sprawę Zborowskich.

Z *Odprawą* równocześnie wychodzi Kromera *Polonia sive de situ, populis et moribus* etc. etc. Zaczęta zapewne w tej myśli, żeby nowo obranemu królowi Henrykowi dostarczyć najpotrzebniejszych wiadomości o jego królestwie, spóźniła się i pod tym względem chybiła celu; ale została zawsze ciekawą i ładną książką.

Sam tytuł wskazuje, że autor miał na myśli wielki wzór, *Germanię* Tacyta, a w sercu może nadzieję, że się do wzoru zbliży. Ta nadzieja spełnić się oczywiście nie mogła, a podobieństwo tytułów dziś może się zdawać wielką zarozumiałością ze strony Kromera. Ale on w swoim czasie musiał myśleć, że im bardziej się pod płaszczem Tacyta skryje i osłoni, tem lepszem, tem trwalszem będzie to, co napisze; a choć się w tej rachubie pomylił, to jego „Polonii" zostaje zawsze dosyć zasługi i wdzięku.

Czem ona jest? Wszystkiem potrochu: geografią, statystyką, etnografią, opisem prawa publicznego, jakimś Legnichem w drobnym zawiązku, wszystkiem tem naraz, niczem dokładnie, niczem zupełnie; jest jak gdyby rodzajem małej encyklopedyi, podającej główne i najpotrzebniejsze wiadomości o Polsce.

Kromer ma tę zasługę, że chciał opisać, bodaj powierzchownie, Polskę pod względem geograficznym i statystycznym, w czasie kiedy nikt nie czuł tej potrzeby; dzieło jest dalekie od doskonałości, ale jest szanowne przez to samo, że jest, a jest zajmujące i ciekawe dla samej swojej treści naprzód, powtóre dla trafnych nieraz spostrzeżeń autora, wreszcie dlatego, że czytelnik uważny zdoła z tej książki zrobić sobie jakieś wyobrażenie o tem, jak ta Polska zewnętrznie wyglądała, a nieraz zastanowi i zadziwi się nad tem, jak ona w wielu rzeczach musiała wyglądać podobnie do dzisiejszej.

Część pierwsza, geograficzno-statystyczna, zaczyna od oznaczenia geograficznego położenia Polski, jej granic, pasma gór i biegu rzek, potem przechodzi do miast. Przesada to, czy też tak się rzeczy od tego czasu zmieniły, Kromer mówi o Krakowie, że zamożnością i pięknością może się równać z miastami niemieckiemi i włoskiemi? Czyby był śmiał to napisać bez żadnej podstawy prawdy, kiedy kłamstwo było tak łatwem do wykrycia, bo przecież cudzoziemcy ten Kraków znali?

Może to i prawda—bo w innem miejscu, mówiąc o żywności, powiada, że zamożność tak się w Polsce wzmogła, że lud prosty używa chleba pszennego i wina. Po cóżby to zmyślał? Pokusa do przechwalania nie była wielka, zresztą w opisie swoim wydaje się zawsze rzetelnym i prawdziwym. Musiało tak być, że i kraj i Kraków wyglądał świetniej, niż teraz.

Po miastach idą płody, te same co teraz, handel, ten sam co teraz, pod względem tak przywozu i wywozu; to samo zboże, te same deski, klepki dębowe do Gdańska, opasowe woły do Ołomuńca i Wiednia; cyfr nie podaje, na ich wartości jeszcze się wtedy dobrze nie znano—a z szczególnem upodobaniem rozwodzi się nad tymi produktami, które służą do wygody i wytworności życia, a zwłaszcza stołu; wylicza mnóstwo gatunków ryb, ptaków, zwierzyny i chwali się z wielkiej ich obfitości, nie pomija owoców; a jeżeli cudzoziemcy, którzy w swym czasie „Polonię" czytali, musieli się dziwić opisom nieznanych sobie żubrów albo łosi, to my dziś z nie mniejszem może zadziwieniem czytamy o uprawianych u nas winnicach, o rodzących się po sadach brzoskwiniach, figach, migdałach. Czy się klimat zmienił? czy ludzie nie umieją dbać o te rzeczy jak dawniej? czy też autor pozwolił sobie zafanfaronować trochę i drzewa hodowane pod murami, na zimę chronione od zimna i rzadkie, policzył do krajowych produktów?

Ciekawe są niektóre naiwności Kromera, jak n. p. o strachach, wyprawiających różne dziwy w kopalniach wielickich i bocheńskich, albo o garnkach, które się czasem same w ziemi rodzą (tak tłómaczy urny i wykopaliska). Ciekawy opis polowania na żubry, podobny zupełnie do walki byków w cyrkach hiszpańskich; jest nawet płachta czerwona, którą odwraca się uwagę zwierzęcia od człowieka, na którego chce uderzyć. Czy istotnie tak polowano na żubry?

Po tem wszystkiem dopiero następują ludzie, ich

natura fizyczna, typ twarzy, rodzaj pożywienia, sposób ubierania się, wreszcie ich charakter, w którego opisie i dzisiejsza Polska może poznać swój wierny wizerunek. Niemniej ciekawe są pewne rysy obyczajów, naprzykład to, co mówi o biesiadach, o sposobie życia szlachty, o naszem upodobaniu w okazałości, i jak ją Polak ówczesny, jego żona i córka pojmowali.

Księga druga jest opisem Prawa Publicznego polskiego; takiegoby uczono w szkołach średnich, gdyby tam takich rzeczy uczono. Zaczyna od króla, granic jego władzy, opisuje sposób następstwa na tron, obrząd koronacyjny, stanowisko królowej etc. Następuje potem senat, jego skład atrybucye i obowiązki, urzędy koronne, dalej ziemskie, a wreszcie nadworne, każdy dokładnie opisany; sądownictwo, podatki i ich pobór, wojsko, wreszcie sejmiki i sejmy. Synody duchowne i prawa duchowne przychodzą na ostatku, przyczem Kromer tak mówi o sądach biskupich, jak gdyby nigdy nic się pod tym względem nie było zmieniło. Interim i konstytucyę sejmu 1565 ignoruje zupełnie, władza świecka obowiązana jest wykonywać wyroki sądów biskupich.

Prusy, jako mające osobne instytucye i prawa, mają i rozdział osobny, ostatni w książce. Dlaczego nie ma go Litwa, rządzona swoim statutem, swoimi urzędnikami, mająca nawet swoje wojsko? Może centralizacyjna tendencya Kromera sprawiła, że nie chciał mówić o odrębności Litwy. Krytyki instytucyj polskich niemasz, jest tylko ich opis.

Pisarzem pierwszego rzędu nie jest Kromer w żadnym razie; i rozum jego i zdolność pisarska mają dobrą miarę średnią, która przecież pospolitą nie jest. sarz poprawny, ozdobny, jasny, bez wielkiej świetno-', człowiek rozumny, uczony, myślący i zdolny, bez nadzwyczajnych i wyjątkowych. Ale ludzie tacy literaturze jak w polityce są bardzo potrzebni i przytni, bo tam jak tu geniusz jest rzadkim feniksem,

obfitość, ciągłość i skuteczność prac, utrzymanie oświaty, jak utrzymanie politycznego działania i powodzenia, najczęściej polega na barkach takich porządnych zdolności drugiego rzędu. Im większy ich zastęp, tem większe bogactwo literatury a zwłaszcza nauki, tem większa skuteczność pracy; geniusz zdobywa i podbija, ale tacy utrzymują zdobycz i strzegą ją od zmarnowania.

Kochanowski, który przedtem pisywał same rzeczy drobne, a wydawał je rządko, teraz, jak gdyby przeczuwał, że mu niedaleko do końca, śpieszy się z dziełami większych rozmiarów i wielkiej wagi. W dwa lata po *Odprawie* (1579) wychodzi *Psałterz*. Długiemi laty pisany naturalnie; może w samych początkach stosunków z Myszkowskim powstał zamiar, a pewnem jest, że w roku 1571 było już przetłómaczonych psalmów trzydzieści. Wiejskie otia i stałe niewątpliwie nalegania Myszkowskiego sprawiły, że przez następnych lat kilka ogromna praca doszła do szczęśliwego końca.

Szczęśliwego, zaiste, bo ten *Psałterz* to wielki w naszej literaturze wypadek, to wielki skarb naszego poetycznego języka i stylu.

Zadziwiający jest ten postęp w języku poetycznym [1]) tak nagły, to prawie doraźne objawienie poetycznego języka w Kochanowskim. Przed nim, szukajmy jak chcemy, stylu polskiego niema. Rey wyraża myśl swoją jasno i zrozumiale, ale też tylko tyle; byle była wyrażoną i dała się zrozumieć, o więcej się nie troszczy, albo więcej zrobić nie umie. W *Psałterzu*, i od niego już zawsze, ten sam język umie oddać najdoskonalej i najłatwiej każdy stopień i każdą potęgę uczucia, jaka w duszy ludzkiej znaleźć się może.

---

[1]) Ustęp o *Psałterzu* jest skrócony z książki *Jan Kochanowski.*

Jakim sposobem język, zaledwo dotknięty ręką ludzką, nabył odrazu tyle siły, tyle energii i tyle giętkości, że najwyższa patetyczność była dla niego rzeczą dostępną? To sekret Kochanowskiego i to niezmierna zasługa jego *Psałterza*. Nasz język zmienił się od tego czasu, i w tej zmianie nie jest mniej pięknym, ale piękniejszym nie jest nawet u Mickiewicza; a najwznioślejsze ustępy naszej nowej poezyi nie mają toku bardziej uroczystego i patetycznego, niż ta jej pierwsza próba. Ztąd też, kiedy dla innych narodów liczne przekłady *Psalmów* z wieku XVI mają tylko wartość językową i historyczną, albo poprostu wartość modlitwy, *Psalmy* w tłómaczeniu Kochanowskiego dla nas mają rzeczywistą wartość artystyczną, są poezyą; a dla naszej literatury mają tę wartość nieocenioną, że przez nie i od nich począwszy, nasz język stał się zdolnym do wszystkiego, że mógł już wyrazić uczucie ludzkie w najwyższej potędze. Po *Psalterzu* Kochanowskiego, ale po nim dopiero, stała się możliwą najwyższa piękność polskiego słowa, wymowa Skargi, doskonałość wiersza w Trembeckim, wzniosłość poetyczna w Mickiewiczu. Nie żeby wszystko w *Psalterzu* było równie piękne; język, który się po raz pierwszy uczy służyć poezyi, nie mógł odrazu stać się jej zupełnie powolnym. Często też zdarzają się w *Psalmach* rymy zbyt łatwe, te, które pierwsze zawsze nastręczają się rymującemu, a których w naszym języku, z powodu jego form gramatycznych, jest tak wiele. Kochanowski rymuje przymiotniki i imiesłowy w tym samym rodzaju i przypadku, rymuje słowa czasowe, których zakończenia w osobach i liczbach tak często są jednakowe, rymuje stopnie wyższe i najwyższe przymiotników (zakończone na *ejsze*); wszystko to, często powtarzane, jest wielką wadą, i wystarczyłoby samo, żeby poetę piszącego dziś potępić odrazu, jako nie umiejącego władać formą.—Wtedy, w chwili kiedy ta forma powstawała dopiero, usterki takie były nieuniknione i dziwić nikogo nie mogą. Co zaś dziwić

musi, to całe ustępy, owszem nieraz całe psalmy przełożone z taką mocą wyrażeń, z taką jędrnością wiersza i z takiem bogactwem rymów, że dziś, przy całem wyrobieniu wiersza, po Mickiewiczu i Słowackim niktby lepiej nie potrafił. Jako przykład służyć może psalm *Super flumina Babilonis*, w którym jest coś więcej, niż sama uderzająca piękność wiersza, bo uderzająca, przejmująca analogia. Może to przypadek, choć uwierzyć temu trudno, ale z pewnością nie złudzenie tylko szczera prawda, żo język Kochanowskiego staje się najpiękniejszym, najpotężniejszym i najrzewniejszym razem w tych Psalmach, które opłakują los Izraela, albo żalą się przed Bogiem, że jego nieprzyjaciołom daje zwycięstwo. Jako przykład służyć może *Super flumina* i niezrównany prawdziwie psalm LXXX (*qui regis Israel*). Niepodobna jest przytaczać wszystkich przykładów pięknego wiersza, energicznych lub wzniosłych wyrażeń z *Psalterza*: ale sama obfitość i wielka rozmaitość wiersza dowodzi, jaki postęp zrobił język pod jego ręką; zastosowanie zaś rodzaju wiersza do charakteru psalmu dowodzi, jak on znał naturę języka, jak wiedział, w jaki tok wiersza trzeba go ułożyć, żeby najlepiej oddał właściwy odcień uczucia.

Ta rozmaitość miar, rytmów i tonu była to gimnastyka, która, raz odbyta, została językowi na zawsze i dała zupełną łatwość i swobodę ruchów. Temu tylko wydziwić się dość nie można, że śmiały poeta próbował stosować język jeszcze surowy nawet do miar starożytnych i że mu się to udało. Również została już jako zdobycz zapewniona na zawsze ta siła i piękność wyrażeń, ten poetyczny polot, który jest w *Psalterzu* i który sprawia, że ten przekład, choć przekład, jest dziełem prawdziwego poetycznego natchnienia, i kto wie, czy nie mamy prawa bez zarozumiałości pytać, czy drugi naród w Europie ma taki przekład psalmów, kt[illegible] po trzech wiekach byłby zupełnie świeżym i dał się [illegible] czytać, jak piękna, własna, z pierwszej ręki poezya.

W tym samym roku także, po ośmnastu latach, wracał Połock do Polski. Smutny skutek tej opieszałości, na którą tak Kochanowski całe życie narzekał, odwetowany, naprawiony—w tej wojnie, do której długo zagrzewał, znaczny, wielki tryumf: nieprzyjaciel upokorzony, nasz król zwycięzki; a ta szala przeznaczeń, która się między Polską a Moskwą ważyła, zdawała się na dobrą stronę przechylać. I wtedy oczywiście rychło po tem zwycięstwie (31 sierpnia), napisana była Oda XII Lyryków, *de expugnatione Polottei* (drukowana osobno 1580 r.). Myśli się, że ta naprawa dawnych zaniedbań, ta chwała polskiej broni, ten krok naprzód do potęgi i wielkiego w świecie znaczenia, wydobędzie jakiś natchniony dytyramb z piersi poety, który tak doskonale położenie Rzeczypospolitej rozumiał, a czuł je tak żywo. Jest zaś inaczej. Oda XII, dość długa a zimna, powtarza innemi słowami to, co się już wiele razy w Kochanowskim czytało; często przypomina zwrotami jego dawniejsze wiersze, a robi wrażenie rzeczy chłodnej, wymuszonej, nieledwie napuszonej, jeżeli nie takie jak ody Naruszewicza lub Osińskiego, to nie lepsze niż ody Koźmiana na zwycięstwa Napoleona.

Ten brak natchnienia czy nie jest spowodowany nieszczęściem? Może poeta zmusza się do pisania, zadaje sobie gwałt, a myśleć tylko o tem jest zdolny, co go boli. W tym samym roku (1580), wyszły *Treny*.

Że one są samym szczytem poezyi polskiej w wieku XVI, że takim zostały aż do odrodzenia tej poezyi w wieku XIX, że tak zostały w pamięci i w ręku swego narodu, tak się nie zestarzały, nie zwietrzały, nie zbladły, jak same tylko wielkie dzieła poezyi, nad któremi czas ze swemi zmianami nie ma władzy, zbytecznie przypominać. Wiemy to wszyscy dobrze. Co będzie może naszej czytającej publiczności mniej wiadome, to, że *Treny* były w drugiej połowie naszego wieku przedmiotem badań bardzo gruntownych, bardzo umie-

jętnych, i że na podstawie tych badań możemy dziś z wszelkiem podobieństwem do prawdy oznaczyć kolej, w jakiej one powstawały, pierwszeństwo jednych a następstwo drugich, i związek ich z całem wewnętrznem życiem Kochanowskiego, ze wszystkiemi wyobrażeniami i pytaniami, jakie w ciągu tego życia przeszły przez jego umysł i duszę.

To ostatnie pytanie rozjaśnił Szujski („Rocznik Tow. Nauk." 1866) [1]) kiedy robiąc *zestawienie historyczno-literackie i estetyczne Trenów* i *Ojca zadżumionych* Słowackiego, znalazł i powiedział o *Trenach* wielką prawdę, która musi zostać jako pewnik, jako punkt wyjścia badań i sądów późniejszych. Od niego dopiero, już na zawsze *Treny* uważać się muszą za „najlepszy wyraz indywidualizmu poety; a o ile ten poeta wiek swój wyobraził, o ile przedstawił najdelikatniejsze odcienie myśli i uczucia swoich czasów, uważane być muszą za najlepszy wyraz ówczesnej duszy narodowej." Najlepszy wyraz indywidualizmu poety dlatego, że w tej chwili stanowczej i kulminacyjnej jego wewnętrznego życia, ta dusza ukazuje wyraźniej i zupełniej, niż kiedykolwiek, swoją naturę, swój sposób czucia; że ukazuje swoją historyę, jeżeli się tak można wyrazić, w chwili walki i przełomu, wszystko czem była i czem żyła dotąd, na czem się teraz zawiodła i w czem odtąd szukała uspokojenia, prawdy, odpowiedzi na zagadkę życia. On także, Szujski, rozwiązuje z góry najtrafniej, najprawdziwiej wszystkie przeszłe czy jeszcze przyjść mające pytania i spory o religijne i filozoficzne Kochanowskiego przekonania i stanowisko. Mówi on, że Kochanowski jako syn i wychowaniec swego wieku, musiał podlegać jego wpływom, ztąd ta chwiejność, niepewność, która się w nim nieraz widzieć daje, raz ustępuje, drugi raz

---

[1]) Ustęp o *Trenach* i następny, skrócony z książki *Jan Kochanowski.*

powraca. „Zakotłowało mu w głowie, zabrakło mu gruntu pod nogami. Musiał przebyć otchłań rozpaczy i niewiary, aby się wydostać na brzeg, aby powrócić do pojęć chrześcijańskich. Nie na pogańskiem uczuciu kończy się poemat Kochanowskiego. Zwyciężył on, a dzieje zwycięstwa z psychologiczną prawdą oddał w ostatnich czterech *Trenach.*“ Pod tym względem są *Treny* jak gdyby streszczeniem i obrazem wahań i walk całego jego życia, walk, które się powtarzały, odnawiały, a pod wpływem niedoznanego nigdy przedtem cierpienia stanowczo rozstrzygły.

Faleński (Felicyan—„Bibl. Warszawska” 1866) miał tę wielką zasługę, że dochodził i zdaniem naszem trafnie doszedł, które z *Trenów* powstały najwcześniej, a które zczasem dopiero później były pisane. Kwestya to ważna, naturalnie się nasuwająca, a przedtem niedostrzeżona i nietknięta. Oczywiście nie ma p. F. żadnych znaków, żadnych podstaw do oznaczenia tego następstwa *Trenów* prócz samej ich treści. Ale ta pozwala mu wnosić, które z nich pisane były pod pierwszem wrażeniem żalu, które w innych jego chwilach. *Treny*, mówiące o ostatnich chwilach życia Urszuli i o pierwszych po jej śmierci, zatem szósty, siódmy i ósmy, musiały pierwsze wylać się na papier ze zbolałego serca ojca. To jest ten zawiązek, z którego rozwijały się, do którego przyrastały *Treny* inne.

Początek był zrobiony, dane było hasło do tego chronologicznego i psychologicznego zarazem szykowania *Trenów*, a za danym popędem poszedł i pracy dokonał prof. Nehring. Jego rozprawa o *Trenach* („Bibl. Warszawska“ 1881) przynosi nowe, bardzo cenne spostrzeżenia i konkluzye.

Trafnie chwyta on wskazówkę p. Faleńskiego, przyjmuje jego twierdzenie, że *Tren* VI, VII, VIII, musiały powstać najwcześniej, ale idzie dalej i dowodzi, że do tych wcześniejszych należy i trzeci, którego głów-

ne myśli tu razem zebrane, w innych szerzej są rozprowadzone, każda z osobna; że *Tren* IV musiał powstać wcześniej niż XV, który go przypomina, i wnosi, że porządek chronologiczny na pewno oznaczyć się nie da ale że jest w *Trenach* następstwo i ład, które wprowadził Kochanowski sam, kiedy je do druku oddawał; że porządek ten logiczny jest następujący: dwa pierwsze *Treny* (później zapewne, może najpóźniej napisane) stanowią ogólny wstęp do całości; pierwsza po nim grupa, sześć *Trenów* (III—VIII) odnosi się do faktu samego, mówi o Urszuli i o jej śmierci. Druga część (od IX—XIII) obejmuje różne odcienie i stopnie rozpaczy ojca, kiedy został sam ze swojem uczuciem, szarpany wielorakim rodzajem tortury, chory do tego i nie mogący dać sobie rady. Po tem następuje już pewne uspokojenie, objawiające się wyraźnem i świadomem siebie pragnieniem pociechy (*Tren* XIV—XVII). W XVII to pragnienie doprowadza go do rzewnego płaczu i do szukania ulgi u Boga—początek rezygnacyi. XVIII jest wprost modlitwą, XIX kończy wszystko uspokojeniem, poddaniem się, nadzieją lepszego życia i w niem odzyskania straty. „Wypadłoby podzielić *Treny* na trzy części: rozpamiętywanie nieszczęścia, rozpaczliwy brak pociechy i szukanie pociechy, wreszcie jej znalezienie i uspokojenie. *Treny* pisane były w różnych chwilach, w różnych stadyach cierpienia, w usposobieniu nierównem... nie są wynikiem obmyślenia i planu... nie wypłynęły z jednej naczelnej myśli"—ale pisały się w miarę, jak je uczucie samo dyktowało. Niektóre zapewne rychło po śmierci dziecka pod świeżem wrażeniem. Ale sam fakt ich ułożenia w pewien porządek i wydrukowania, treść nie jednego z nich, widoczna wszędzie dbałość o formę, wreszcie i ten w nich wiersz (*Tren* II) „Jaka mnie z płaczu mego czeka cześć na potem"—to wszystko dowodzi, że choć ten i ów powstał w chwilach najboleśniejszych, to całość jest dziełem umysłu już znacznie uspokojonego, zdolnego do refleksyi, przywróconego do równowagi.

To jedna nowość i prawda, której zdobycz jest zasługą Nehringa. Drugą jest roztrząśnienie stosunku *Trenów* do autorów starożytnych. Nehring trafnie i zwycięsko dowodzi, że niema w *Trenach* takiego naśladowania starożytnych poetów, jakie zbyt często zdarzają się w „Pieśniach,“ ale wskazuje bystro i słusznie związek *Trenów* z tymi autorami, z których Kochanowski głównie czerpał swoją filozofię życia. Chwila to ważna, pierwsza w życiu, kiedy ta spokojna cnota, ta miara i moc nad sobą, ten łagodny stoicyzm, dobry na mniejsze przykrości, nie wytrzymał próby wielkiego cierpienia. Kochanowski się zawiódł na swoich mistrzach, na Ciceronie i Senece, na Horacyuszu; nietylko jego szczęście, ale zawalił się ten skład pojęć, których się w życiu trzymał jako zasad i dotąd szczęśliwie. W chwili, kiedy one wystarczać przestały, kiedy zawiodły, odzywają się, występują wszystkie z głębi jego umysłu; on jak gdyby każdej, czy każdego pytał, dlaczego zawiodły, niekiedy ulega im na chwilę i zapada w głębszę czarniejsze zwątpienie; aż się przekonał, że były złudzeniem, otrząsł z siebie i do jedynej prawdy powrócił. Ta walka z różnorodnemi wyobrażeniami całego życia, którą Szujski już w *Trenach* widział, pokazana jest obszernie i wyraźnie w rozprawie Nehringa, udowodniona porównaniem tekstu, i postawiona jako treść niemal główna *Trenów*. Z czego znowu wynika sprawdzenie tego, co mówił Szujski, że *Treny* są „najlepszym wyrazem indywidualizmu Kochanowskiego,” wielkim dokumentem do historyi jego pojęć i ich przemian.

Wskazuje mianowicie Senekę (*De consolatione, Ad Polybium, Ad Marciam* i *De vita beata, Cicerona Questiones Tusculanae*), jako źródła, z których K. już za młodu czerpał swoje teorye o cnocie, o szczęśliwości doczesnej, o niezachwianej pogodzie umysłu w każdej doli. Tych on się trzymał, tym wierzył, na ich wiarę „żył tak skromnie, że ledwie kto wiedział o mnie“—a mimo to znalazło go w tem ukryciu nieszczęście i przekonało

go, że próżno człowiek chce lub łudzi się przeciw niemu się zabezpieczyć, uzbroić i nie czuć. Tego zawodu wyrazem najdokładniejszym jest *Tren* IX.

Ale nie ona sama, nie mądrość tylko zawodzi. Wszystko tak samo. „Kogo kiedy pobożność jego ratowała? Fraszka cnota"! woła w *Trenie* XI, który jest szczytem jego rozpaczy.

Jednak, choć go ta filozofia zawiodła, ona w nim jest zawsze: jej nauki, maksymy, słowa, odzywają się ciągle w *Trenach*, a Nehring starannie i trafnie je oznacza. Sama ta „mądrość, która człowieka w anioła odmienia" zgodna jest prawie co do słowa z niektóremi zdaniami Seneki, w rozdziale III, IV, IX, XV, XVI *Vitae Beatae.* „Fraszka cnota," znowu i następne wiersze *Trenu* XI wyrażają te same myśli, co Seneka w *Konsolacyi ad Polybium* III, 3. „Błąd wiek człowieczy," to znowu z *Konsolacyi ad Marciam* (XI, 1). Niobe, jak u niego, wspomniana jest u Cicerona (*Tusc. Disp.* III, 26, 63) „ludzkie przygody ludzko znoś" (*Tren* XIX) prawie dosłownie w Tusculanach (III, 17) „*humana humane ferenda*"; a samo widzenie matki w *Trenie* ostatnim, kto wie, czy nie powstało pod wpływem tego ojca, który w konsolacyi do Marcyi wprawdzie nie staje sam przed córką, ale ją przez usta przyjaciela uspokaja i upomina.

Te wszystkie podobieństwa, te cytowane miejsca prowadzą go do wniosku i służą za dowód, że „Kochanowski w swoim ciężkim smutku szukał w tych pismach ulubionych pisarzy dla siebie konsolacyi, i odczytywał tam myśli oddawna sobie znane, tylko przywiązując teraz do nich inne, niż dawniej uczucia."

Do tych dawniejszych, przystępuje jako ostatni rozpoznawca różnych w *Trenach* pierwiastków p. Kallenbach („Filozofia Jana Kochanowskiego"), i stwierdzając odkrycia pana Nehringa co do owych trzech *konsolacyj* Seneki, wskazuje nowe ich ślady, w *Trenach*, a zarazem tłómaczy, jak sucha i retoryczna filozofia w umyśle i pod piórem Kochanowskiego przyjęła ton i kształt

poetycznego uczucia i natchnienia, i jak nietylko te ostatnie filozoficzne przekonania, ale wszystkie ogółem pojęcia, jakie przez całe życie przesunęły się przez głowę poety, aż do Lukrecyuszowych zwątpień i negacyi, odzywają się na nowo w tej chwili wielkiej boleści, żeby w końcu ustąpić nie przed pogańską sztuką życia, ale przed chrześcijańską jego mądrością i cnotą.

Kiedy w ten sposób wykryte jest następstwo *Trenów*, ich stosunek do autorów starożytnych i wreszcie ich ważność, jako świadectwa wyobrażeń Kochanowskiego i ich przemiany, to niewiele już zostaje o nich do powiedzenia dla literackiej, estetycznej krytyki.

Jest więc w *Trenach* jak gdyby cały przebieg żalu i wszystkie jego odcienie; gdyby ktoś chciał zrobić studyum psychologiczne tego, co człowiek czuje po stracie drogiej istoty, dokładniej i zupełniej opisaćby tego nie mógł. Tylko to się stało bez zamiaru, bez systemu. I może właśnie dlatego jest w *Trenach* taka wielka ogólno ludzka prawda, że Kochanowski bez refleksyi, bez zamiaru i wyrachowania, pisał poprostu, jak czuł; cierpienie jego odbiło się w jego wierszach, w całości i we wszystkich swoich odcieniach i mimo jego wiedzy i woli, złożyło tak dokładną i prawdziwą psychologiczną całość.

Myliłby się jednak ten, ktoby uważał *Treny* za dzieło natchnienia bardzo lotnego i wzniosłego, uczucia bardzo gwałtownego i namiętnego. *Treny* są jedną z najpiękniejszych niezawodnie, najbardziej w sobie skończonych poezyj lirycznych, ale jak cała poezya Kochanowskiego, jak jego natura, jak jego zdolność poetyczna, nie wznoszą się do najwyższych sfer natchnienia. Byli poeci z duszą głębszą, potężniejszą, choć zapewne nie było ich wielu z duszą tak normalną i harmonijną: i żeby już nie szukać przykładów zagranicą: Słowacki, kiedy mówi o Termopylach i Cheronei, Mickiewicz w „Odzie do Młodości,“ w „Pieśni Wajdeloty,“ w „Improwizacyi,“ Krasiński w „Psalmie dobrej woli“

i w piękniejszych ustępach „Przedświtu“ stoją na wysokości, do jakiej Kochanowskiemu daleko. Prawda, że oprócz tych trzech, nie wiedzieć, który z naszych poetów lirycznych (a lirycznymi są oni wszyscy), mógłby postawić którą ze swoich poezyj obok *Trenów*, które, jako uczucie, jako prostota, jako ogólna ludzka prawda, jako piękność formy wreszcie, były przez dwa wieki z górą na szczycie poezyi polskiej, a dziś, choć przewyższone, przewyższają jeszcze bardzo wielu.

Że *Treny* są najwyższym wyrazem poetycznym osobistego uczucia, jaki był dotąd w polskiej literaturze i że takim na długo zostały, że były dowodem tego wyrobienia formy, jakiego od starożytnych nabrał nasz język i nasza poezya; że przeto są jednym z najpiękniejszych kwiatów humanizmu na gruncie polskim, to jasne i niezaprzeczone. Ale, czy nie dowodzą one innego jeszcze wpływu pojęć starożytnych i pojęć religijnych i filozoficznych XVI wieku na naszego poetę? Czy usposobienie sceptyczne, czy niedowiarstwo, a przynajmniej niepewność i wątpliwość nie wyrwały mu się z duszy niechcący, kiedy cierpiąc, niezupełnie nad sobą panował? Z *Trenów* czerpią swój główny argument ci, którzy sądzą, że, przez wpływ humanizmu, Kochanowski doszedł, jak wielu w jego wieku, do Hamletowej jakiejś nieświadomości, gdzie jest prawda i co jest prawdą, czego się trzymać, komu i w co wierzyć. Jest on katolikiem, religijne rozterki uważa za klęskę; środek na nią widzi we wzmocnieniu sił katolickich i przy elekcyi głosuje na cesarza—to wszystko prawda, ale to tylko wyrozumowana reguła postępowania w praktyce prywatnego, czy publicznego życia; w wewnętrznej twierdzy swego ducha, on zazdrośnie zamyka przed ludźmi wątpliwość, pytanie, czy są naprawdę prawdą te zasady, które głośno wyznaje i których broni. Bo gdyby w nie wierzył istotnie, to w chwili największego w życiu cierpienia, on w swojej wierze, w chrześcijańskiem Niebie, w poddaniu się woli Bożej szukałby dla

siebie pociechy: w smutku i krwawym pocie oliwnego ogrójca, w brzemieniu dźwiganego krzyża, w siedmiu mieczach, utkwionych w sercu Matki Bolesnej, szukałby porównania i przykładu dla swego cierpienia. On tymczasem wspomina Orfeusza i Niobę i płaczącego jakiegoś Heraklita, ale o tem nic nie wspomina, że jak on przy konającem dziecku, tak niegdyś *stabat Mater dolorosa juxta crucem*, i nie myśli o tem, żeby u Niej, która jego ucisk rozumie, bo znała, szukać ulgi lub ratunku; nie woła: *Neige du Schmerzenreiche dein Antlitz gnädig meiner Noth.* A kiedy mu przychodzi wreszcie pociecha, to nie z chrześcijańskiego nieba, nie przynosi jej żaden anioł lub święty, ale z jakiegoś zaświata, który do pogańskiego Elizyum raczej podobny, przychodzi własna matka, poważna i mądra, jak te cienie, które zbyły trosk ziemskich za stygijskiemi i letejskiemi wodami, i prawi mu o nieśmiertelności duszy, jak mógł prawić i Platon. On nie wie nawet, gdzie swego dziecka ma myślą szukać? Między aniołami przed tronem Boga, czy na Charona łodzi; on i tego nawet nie jest pewien, czy ono jest: „gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest.” A że jak *in vino*, tak *in dolore veritas* i w chwili cierpienia wychodzi na wierzch bez naszej wiedzy i woli to, co jest samą treścią naszej duszy, więc z tych słów pokazuje się jasno, że dla praktyki życia miał Kochanowski wyrozumowane katolickie przekonania, ale dla siebie w sercu miał albo dręczącą wątpliwość, albo może nawet sceptycyzm stały, z pewnym do wyobrażeń pogańskich pociągiem.

Wszystko to ma taki pozór prawdy i ścisłej logiki, że zrazu nie wie się, co odpowiedzieć. A jednak, o ile można bez materyalnych dowodów twierdzić coś śmiało, mam ochotę twierdzić śmiało to, że tak nie jest.

Czasy przeobrażenia, czasy moralnego trzęsienia ziemi, w których wali się jeden świat, a drugi ma powstawać, mają zawsze to nieszczęście i ten ból wątpienia, niewiadomości gdzie prawda, z gorącem jej

pragnieniem. Piłat, kiedy pyta: *Quid est veritas?* jest doskonałym wyobrazicielem całego ówczesnego świata i nie ówczesnego tylko; a Piłat, który myśli i czuje dobrze, a nie wie co robić i nie robi nic, waha się, tylko i wątpi i pyta, jest blizkim krewnym nowoczesnego Hamleta. Nie darmo zaś Hamlet przyszedł na świat pod koniec epoki odrodzenia; on z jej gliny jest ulepiony, krew z jej krwi i kość z jej kości, a choć do dzisiejszego człowieka, do człowieka XIX wieku podobniejszy jeszcze, niż do swego otaczającego świata, to przecież i ówczesny człowiek obracał w głowie pytanie *to be or not to be*, i jemu świat wydawał się *weary stale flat and unprofitable*, i tylko miał instynktową obawę *of something after death*, ale czem jest to *something*,, tego pewnym nie był. W takich epokach zaś niepewność ta musi udzielać się wielu bardzo, jeżeli nie wszystkim. U jednych zostaje usposobieniem stałem: sceptycyzm staje się podstawą i cechą całej ich świadomości siebie i świata; u drugich zjawia się czasem: przelotnie, jako zła myśl, jako paroksyzm złej gorączki, o której człowiek wie, że jest chorobą. Dusza zupełnie prosta, która nie wątpiła na chwilę, wiara niewzruszona, która nie pytała nigdy, była w wieku XVI prawie tak rzadką, jak w naszym. Że Kochanowski, stojący w samym przeciągu wszystkich wichrów swego wieku, mógł dostać dreszczu i pytać i wątpić, to być mogło, to prawdopobne, dajmy na to, że to pewne. Ale o to chodzi, czy to niepewność i sceptycyzm stały, czy przelotne pytanie; czy sama treść jego uczuć, albo ich jedno wzruszenie tylko, czy chroniczna choroba, albo zewnętrzny dreszcz?

Co do Orfeusza naprzód, Heraklita albo Nioby, przypomnijmy sobie ten dziwny chaos, jaki fanatyzm starożytności wprowadził w zwyczaje, w modę i w literaturę XVI w. Pomieszanie pojęć chrześcijańskich z pogańskiemi, bóstwa Olimpu obok Jezusa Chrystusa to najpowszechniejszy fenomen ówczesnej poezyi w całej Europie, ale fenomen zewnętrzny, nie dowodzący

niczego więcej prócz mody. Najprawowierniejsi, najpobożniejsi wpadają w tę modę nawet w swoich wierszach pobożnych czasem. Bez tego te wiersze nie wydałyby im się dość ozdobne i uczone, godne oświeconego czytelnika. Taką samą rolę gra mitologia w *Trenach* Kochanowskiego, który był zanadto synem swego wieku, iżby mógł był nie hołdować jego zwyczajom, albo i przesądom.

Ale usunąwszy najłatwiejszą ze wszystkich kwestyę Nioby i Orfeusza, zostajemy wobec trudniejszej, wobec tej tak wyraźnej wątpliwości Kochanowskiego co do teraźniejszego, a zwłaszcza przyszłego życia: „błąd wiek człowieczy, nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy, nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy" — wreszcie słowa: „gdzieśkolwiek jest — jeśliś jest."

Żeby to wytłómaczyć, trzeba się udać do pomocy doświadczenia i do psychologicznej znajomości człowieka. Są zapewne tacy szczęśliwi, którzy umieją nigdy nie zbuntować się przeciw cierpieniu, nie skarżyć przeciw Bogu, nie pytać, dlaczego On to lub owo robi, zsyła lub pozwala. Ale ilu jest takich? Ilu dziś, a wieilu być mogło za czasów Kochanowskiego? Ogromna większość ludzi nie przyjmuje cierpienia, a nie mogąc mu się oprzeć, pyta przynajmniej: Dlaczego? Wobec największego z cierpień, wobec śmierci, a dopieroż śmierci innych ludzi, których się kocha, ten odpór staje się naturalnie silniejszym, niż kiedykolwiek. I człowiek, który cierpi, tęskni, a na swoją stratę poradzić nie może, chciałby przynajmniej wiedzieć, że ją odzyska kiedyś. Religia mówi mu na to: „Wierz!" ale on, żeby się uspokoić, potrzebowałby więcej: nie rzyć tylko, ale wiedzieć gdzie jest ten, którego stracił, jak mu tam jest, i czy go kiedy spotka. Tej wiadomości, tej pewności nie ma, nie może mieć, wie, że nie może i wtedy z wielkiego jej pragnienia przechodzi do pytania: „A nuż to wszystko nieprawda? A nuż jego już.

*

niema i mnie nie będzie? A nuż najświętsze naszych serc miłości były złudzeniem tylko, zabawką na krótko, bez dalszego ciągu, bez spotkania, bez wieczności? A może to wszystko, co nam mówią nieprawda, a tylko „nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy?...“

U najwierniejszych, u najpobożniejszych, u najświętszych zdarzają się takie chwile; zwalczone rychło przez sumienie i wiarę, ale zdarzają się w boleści, zdarzają się zwłaszcza po śmierci ludzi, których się kochało. Że ta chwila, to przejście, ten ton cierpienia jest w *Trenach*, to sprawia, że *Treny* są tak zupełnym, tak doskonałym obrazem ludzkiego cierpienia. Ale to jest chwila tylko, to jest przejście, to jest jeden ton zagłuszony, zwyciężony innymi, a dowód na to w *Trenach* samych. Nie w tych słowach matki: „alboż nas już umarłe macie za stracone?“ To może nic, to tylko myśl o nieśmiertelności duszy. Ale nie mówiąc o tej chrześcijańskiej rezygnacyi, której bardzo jednak jasnym wyrazem jest *Tren* XVIII i XIX, jakież to pytam, błogie elizejskie cienie oglądały kiedy „Twórcę wszech rzeczy w Jego majestacie,“ jakie się cieszą, „że swej duszy grzechem n e zmazały,“ jakie dziękują, że z trosk i niepewnych tego żywota kolei, „w młodych leciech wzięto je do nieba?“ Na pytanie: „gdzieś jest, jeśliś jest,“ zdaje się, że odpowiedź dość wyraźna, i dość dobry dowód, że tamto było chwilowem i przelotnem tylko, a stałą prawdą jego uczuć i pojęć jest ta ostatnia pocieszająca odpowiedź. A jest dowód jeszcze silniejszy. Co Urszulka na tamtym świecie robi? „Między aniołami jako jutrzenka świeci i za swymi rodzicami się modli.“ To nie jest ani pojęcie starożytnych, ani mglisty sceptycyzm XVI wieku, ani chrystyanizm protestancki nawet; to jest najzupełniej i najczyściej katolickie pojęcie bytu człowieka po śmierci, i związku jego z naszym światem, A że znajduje się w *Trenie* ostatnim właśnie, w tym, który przychodzi jako uspokojenie po wewnętrznej rozterce i jako odpowiedź po

wszystkich pytaniach boleści, więc właśnie jest dowodem, że jeżeli cierpienie mogło u Kochanowskiego, jak u bardzo wielu, objawiać się chwilowem zwątpieniem, to stałą treścią jego uczuć i głównym pierwiastkiem w jego pojęciu człowieka i życia, nie był sceptycyzm, ale owszem religijne uczucie i wiara i poddanie się Bogu.

W każdym razie są *Treny* jednym z nader w poezyi świata rzadkich wyrazów miłości rodzicielskiej, i jednym z najpiękniejszych; a jak były na swój czas, tak zostały szczytem poezyi polskiej aż do czasów Mickiewicza.

I teraz zawód Kochanowskiego jest tak dobrze jak skończony. Przez ostatnie cztery lata swego życia pisze on bardzo mało, a to, co pisze, nie należy do jego rzeczy celniejszych. Z *Trzech Pieśni* (1580) druga zwłaszcza o *statecznym słudze Rzpltej* piękna; ale *Epinicion*, długi wiersz, niemal poemat, na moskiewskie zwycięstwa króla Stefana, jest dziwnie sztywny i ciężki. Przedmiot mógł obudzić zapał i natchnienie; jeżeli tego nie dokazał, to można przypuszczać, że smutek i złe zdrowie odbiły się i na samej twórczości poety. *Jazda do Moskwy* (1581) wypadła lepiej; ma w początku zwłaszcza śmiałe zacięcie, siłę i podniosły ton liryczny. Ale że Kochanowski, pomimo smutku i złego zdrowia, nie był złamany swojem nieszczęściem, że nie stracił ze wszystkiem ochoty do życia, a nawet wesołości choćby przelotnej, dowodzą *Fraszki*, które już po stracie dziecka zbierał, do druku przygotowywał i wydawał.

Jakiż on jest jako poeta, i czem była, czem jest jego poezya dla nas?

O tej sąd jest już wydany i stanowczy, nieodwołalny. Kiedy trzy wieki zgodnie, jednomyślnie, przyznają pisarzowi jakiemu, że mają go za jednego z najwyższych w narodzie, to nie może być inaczej, tylko że ten pisarz musiał mieć w sobie coś rzetelnie wielkiego. Błyskotliwe pozory tak długo łudzić nie mogą.

Zdolność i wartość mierna nie wytrzymuje takiej próby czasu. Kochanowskiemu świadczyli współcześni zaraz po zgonie, że go mieli za swego pierwszego poetę; świadczył wiek XVII wydaniami dzieł jego, naśladowaniem jego form przez poetów, samem tem częstem aż do swego końca przytaczaniem jego wierszy, które dowodzi, że one stały się zwykłym pokarmem umysłów, skoro tak były zawsze i na zawołanie przytomne pamięciom. Wiek XVIII, kiedy się ocknął i zaczął nad odrodzeniem literatury pracować, znowu do niego się zwrócił, jak do jednego ze źródeł tego pożądanego odmłodzenia; a im więcej się w niego wpatrywał, im więcej z niego czerpał, tem bardziej rosło uszanowanie i przywiązanie, silniejsze i rzewniejsze w młodszem pokoleniu Kniaźninów i Woroniczów, aniżeli w starszem Krasickich i Naruszewiczów. W wieku XIX czci go i podziwia Koźmian, Morawski, a Brodziński fanatycznie wielbi. Następuje wielka zmiana w literaturze, ale co do Kochanowskiego zmiany niema. Z poetów romantycznych każdy prawie choć raz schyli przed nim głowę, i wyzna, że go kocha jakiemś synowskiem uczuciem: a Mickiewicz tak go mądrze zgłębia i określa, że od niego dopiero zaczyna się naprawdę nasza rozumowa znajomość, i powodów swoich dobrze świadoma cześć Kochanowskiego. Tej zaś wierności piszących odpowiada i towarzyszy uczucie ogółu czytających i myślących, które nigdy Kochanowskiego nie opuściło, nie zapomniało, nie usunęło na bok i w tył, choć go w naszym wieku przewyższyli inni. A że on do naszego życia dziś jeszcze zupełnie należy, że z niego nie wyszedł, ale owszem znaczy w niem wiele i—jeżeli się tak wyrazić można - czynnie, dowodzi choćby to, że się nim zajmujemy tak żywo. Nie jest to zaś literackie tylko—archeologiczne czy anatomiczne—ba danie przedmiotu, z którego życie uszło, bo kiedy je dni chcą go koniecznie odgadnąć, poznać, zbadać, zda sprawę sobie i innym, jaki był on (a przez niego jak

był jego wiek), to inni – i wszyscy—czytają jego *Treny*, jak gdyby były wczoraj napisane, to prości i nie uczeni, choć jego imienia nie znają, śpiewają „Kto się w opiekę,“ to małe dzieci umieją jego wierszyki na pamięć i wiedzą o nim, o jego lipie i jego Urszulce. Oprócz wielkiego Szekspira, kto wie, czy jest drugi poeta tego wieku, któryby tak w swoim narodzie żywym pozostał, tak był z życiem potomnych złączony, jemu przytomny, potrzebny i poufały, jak Kochanowski.

Jest więc sąd ustalony i świadectwo za Kochanowskim wymowne; trzeba tylko conajwięcej zapytać, dlaczego są takie, na czem się zasadzają?

Czy na wyjątkowej mierze i wielkości poety? Nie, on nie jest z największych, on ze swoją naturą i zakresem swojej zdolności bardzo wielkim być nie mógł. Jego wyobraźnia nie musiała być bardzo silną, skoro się tak mało rwała do tworzenia (i nigdy z zupełnym skutkiem). Jego rozum, dobry i wcale niepospolity, gienialnym przecież nie był. Samo uczucie, choć głębokie i rzewne, nie ukazuje się nigdy w wielkiej potędze. Z takiem usposobieniem, z takim zakresem zdolności, on mógł być tylko poetą drugiego rzędu. Ale pomiędzy takimi niewielu jest obdarzonych tak szczęśliwie, złożonych tak harmonijnie. Zdolność poety, charakter człowieka, rodzaj życia, wszystko sobie odpowiada, wszystko jest jednej miary, a z tej harmonii w duszy człowieka płynie wielki wdzięk jego poezyi. Piękność jej polega w wielkiej prostocie, w wielkiej rzewności uczucia, w tem natchnieniu, które nigdy nie buja bardzo wysoko, ale zawsze umie zastosować się do przedmiotu i przyjąć ton, jaki jemu przystoi i nigdy poetycznym być nie przestaje. Wyższości tego talentu dowodzi najlepiej ten zmysł szczęśliwy, który bez żadnej zewnętrznej pomocy kazał mu szukać poezyi w jej prawdziwych źródłach, i wybił na niej prawdziwe piętno każdej poezyi: wzniosłość uczu-

cia, właściwość narodową, i artystyczną piękność formy. Poezya ta jest nietylko idealną, nacechowaną poetycznem i pięknem pojmowaniem rzeczy, jest jeszcze poezyą szlachetnego i zacnego serca, jest piękną nietylko poetycznie, ale i moralnie; nie w tem znaczeniu, jakoby miała moralizować czytelnika, ale że każda myśl, każde słowo poety dowodzi, iż poeta wszystko co czuje, czy to uczucie odnosi się do Boga czy do ludzi, do ojczyzny czy do rodziny, do natury czy do abstrakcyjnej idealnej piękności, we wszystkiem, zawsze on czuje dobrze i pięknie.

Wielki także dowód jego talentu widzieć trzeba w tem, że choć wystawiony na rozliczne wpływy zewnętrzne, żadnemu z nich nie uległ zbytecznie; brał co było w nich dobrego, złe zostawiał. Rozkochany w poezyi starożytnej, nie stał się, jak większa część współczesnych pisarzy w Europie, pedantem starożytności. Oswojony z poezyą włoską i francuską, ustrzegł się przesadnych wykwintów i wymysłów obu. Nie znać na nim żadnej mody, żadnych przemijających upodobań; zawsze prosty i prawdziwy, nie wpada nigdy w podejrzany smak, a przez to, że prosty i prawdziwy, odbija w swojej poezyi tylko to, co jest ogólną prawdą ludzkich uczuć, i dlatego jest i będzie poetą, którego każdy wiek zrozumie, w którym każdy znajdzie upodobanie. A w drugiej połowie XVI wieku, w czasie kiedy poezya włoska już się chyliła do ckliwej sielanki, francuska do ckliwej i wyszukanej maniery, zachować smak dobry, była wielka sztuka i wielka zasługa. Nie geniusz, ale człowiek bardzo rozumny, bardzo wykształcony i bardzo zdolny; z natchnieniem nie zbyt wzniosłem, ale natchniony we wszystkiem co pisał; stworzony do używania raczej, niż do działania; umiarkowany nietylko przez wyrozumowaną filozofię, ale przez wrodzone zamiłowanie spokoju i wczasu; bez ambicyi, skromny, ale znający się dobrze na swojej wartości i mówiący o niej otwarcie, śmiało, nie bez

chluby; natura za bierna na bohatera, ale w sam raz na człowieka sprawiedliwego w normalnych warunkach życia; zdolność poetycka za bierna także, żeby go postawić na równi z Szekspirem lub Göthem, ale dostateczna, żeby wszystko, co pisał, było pięknem—jest Kochanowski pomiędzy poetami drugiego rzędu jednym z najlepszych i najbardziej ujmujących; a że przytem jest szlachetnym i pociągającym egzemplarzem natury ludzkiej, typem bardzo wiernym, a cokolwiek idealnym natury swego narodu i reprezentantem świetnym swego wieku, przeto postać jego zajmowałaby miejsce zaszczytne w historyi poezyi świata, gdyby ktoś taką napisał.

Sądzona ze stanowiska poezyi polskiej, okazuje się ona naprawdę bardzo wielką. Ten człowiek, który geniuszem nie był, który do największych się nie zbliża, zrobił rzecz, którą pomiędzy największymi zrobiło tylko dwóch: Homer i Dante. Stworzył z niczego poezyę całego jednego narodu; stworzył ją odrazu wzniosłą, szlachetną, narodową i piękną. Zwykle długiego trzeba czasu i przygotowania, zanim poezya stanie na tym stopniu; nieraz przez całe wieki rzemieślnicy obrabiają język, zanim przyjdzie mistrz i z tego materyału stworzy arcydzieło. Szekspir miał poprzedników wielu, poezya niemiecka pracowała przez trzy wieki od odrodzenia, zanim się stała poezyą. Kochanowski miał poprzednika jednego tylko, i to rzemieślnika tak pozbawionego zdolności, że z niego nie mógł korzystać; miał język niezgrabny i niewyrobiony, który umiał oddać tylko najprostsze pojęcia, a nie umiał jeszcze przybrać żadnej pięknej formy poetycznej: a zostawił poezyę, która nietylko zachwycała współsnych, którzy nic lepszego nie znali w swoim języku, ale która po trzech wiekach, dla ludzi, którzy mają poezyę wyższą i piękniejszą i znają wszystkie arcydzieła poetyczne całego świata, nie straciła nic ze swego uroku. To jest fenomènalna, genialna strona

jego dzieła. Stworzył poezyę tam, gdzie jej nie było; stworzył język poetyczny pyszny, zdolny oddać każdą potęgę i każdy wdzięk, kiedy przed nim język ten zaledwo z trudnością naginał się do rymów i to co najłatwiejszych tylko. On pierwszy uprawiał, wyhodował i rozwinął na gruncie polskim ten piękny kwiat umysłowości i oświaty narodu on wybił na swojej ojczyźnie to szlachetne znamię wysokiej cywilizacyi, które nazywa się sztuką. A jak o Kazimierzu mówiono, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną, to jest, że zastał ją pierwotną, dziką, a zostawił na takim stopniu kultury, z którego już mogła wyjść choćby najwyżej, tak o Kochanowskim można słusznie powiedzieć, że zastał literaturę polską drewnianą, jak buda, którą człowiek jeszcze prawie dziki stawia z drzew i gałęzi, by ta go jakoś od deszczu chroniła, a zostawił ją murowaną, ugruntowaną na pięknym języku, ozdobną pięknemi dziełami. Dzieła te nie należą do najpiękniejszych na świecie? Pomiędzy budynkami Kazimierza także nie było wieży Strasburskiej, ani kopuły świętego Piotra, ani żadnej z wielkich chwał sztuki budowniczej. Poezya Kochanowskiego podobnie nie jest w poezyi tem, czem w architekturze katedra kolońska lub paryska, ale tem, czem nasze kościoły Kazimierzowskie w Polsce. Tylko z takich początków, jak Kazimierzowskie kościoły mogły w dalszym ciągu rozwinąć się najwyższe arcydzieła sztuki; z takiego początku, jaki zrobił Kochanowski, mogła nasza poezya dojść, gdzie chciała, jeżeli nie do niedościgłej wysokości Szekspira i Danta, to pewnie do równości z Tassem w wieku XVI, z Francuzami w XVII. Że się tak nie stało, powód był ten, że Kochanowski, jak Kazimierz, nie miał następcy.

Ale są tacy, którzy myślą, że Kochanowski wprowadził poezyę polską na złą drogę, nadał jej kierunek fałszywy, wstrzymał ją w jej naturalnym postępie, wszczepił pierwiastki obce tak silnie i głęboko, że ich

już z siebie wyrzucić nie mogła, a przez to odjął jej na wieki ten charakter rodzimy i polski, jaki mogła była z siebie rozwinąć i do godności form doskonałych doprowadzić. Gdyby nie on—mówią—gdyby poezya polska była została na drodze Reya, to zapewne później i z większym trudem, ale byłaby doszła do dzieł artystycznie pięknych, a treścią jak formą oryginalnych, na wskroś polskich. Rozmowa *Wójta z Plebanem*, *Gęsi z kurem*, *Zwierzyniec* były zarodem ciętej, samodzielnej, a zarazem specyficznie polskiej satyry, której nie zrodził, rogaty i kosmaty leśny bożek Kochanowskiego. Z *Józefa*, właśnie dlatego, że on taki do szopki podobny, byłby się zczasem rozwinął samorodny polski dramat, który się z *Odprawy* nie rozwinął. Z *Wizerunku*, jak cztery rzeki z raju, mogły były wypłynąć strumienie poezyi opisowej i poezyi satyrycznej i politycznego liryzmu lub dydaktyzmu. A cóż dopiero byłoby mogło powstać z tych nieznanych samorodnych pieśni albo epigramów, które rodziły się nie wiedzieć jak i kiedy i obiegały Polskę; perły rodzime, które czekały tylko na poetę, na artystę jakiego, któryby je z ziemi podjął, oprawił i blask ich wystawił na słońce! Ale przyszedł Kochanowski, nie dojrzał ich ani nie podjął, nie poznał się na nich, wolał Muzę uczyć w szkole siwej teoryi, niż na wolnem powietrzu pod zielonem drzewem życia, wolał powtarzać jeszcze raz po łacinie czy po polsku to, co już od rzymskich czasów tysiące razy było powtórzone, i wprowadził w poezyę polską obce pomysły i obce formy, zaraził ją naśladownictwem, zwarzył ją jak mróz, kiedy zaledwo liście puszczać zaczęła, zwichnął jej skrzydła, złamał jej siłę; sam był jej kwiatem (dość sztucznym i bladym), a kwiatów prawdziwych i naturalnych rozwinąć, pełnych dorodnych owoców wydać jej nie dał!

Twierdzić to łatwo, bo zbić nikt nie potrafi; nikt nie potrafi dowieść, coby się było stało gdyby przed trzystu z górą laty nie było zaszło coś, co faktycznie

zaszło. Ale tak samo jak nikt nie potrafi dowieść, że poezya polska nie byłaby wyszła wyżej po jakiejś drodze, którą nie szła, tak samo i tego nikt nie dowiedzie, że ona na tej, przez niego zapóźno wskazywanej drodze byłaby istotnie wzbiła się wysoko. Owszem to założenie jeszcze mniej niż tamto może być dowiedzionem, bo się opiera na samych przypuszczeniach, na rachunku prawdopodobieństwa; a ten rachunek sprawdzić się nie da, zatem nie jest rachubą, lecz fantazyą. My przynajmniej mamy za sobą fakt i niemały. Kiedy mówimy: Kochanowski przyszedł i stworzył w Polsce poezyę, sztukę, której przed nim nie było, to nikt nam zaprzeczyć nie może; może kto co najwięcej żałować (czy grymasić), że jej nie stworzył inaczej. Na tamto zaś zdanie my odpowiadamy pytaniem, które nie jest przypuszczalne i wiotkie, ale logicznie zdrowe i tęgie: dlaczego te rodzime pierwiastki, jeżeli były i do tego tak silne, dlaczego same z siebie poezyi nie wydały? Dlaczego nie wytworzyły sztuki? Dlaczego nie pominęły Kochanowskiego z jego złemi nowościami, a swoją drogą, idąc do swego urzeczywistnienia, do swego celu i kresu nie doszły? Dlaczego się tak nie stało, my wiemy, i na powyższe pytanie odpowiedź mamy gotową, a ta odpowiedź będzie nią zarazem i na ową wątpliwość, czy Kochanowski czasem poezyi polskiej nie zwarzył i nie zwichnął, czy nie był jej skrzywieniem i jej nieszczęściem—czemby oczywiście był, jeżeli to wszystko prawda.

Popatrzmy na inne narody europejskie i na ich literatury. Wszystkie były od nas w cywilizacyi starsze, wszystkie miały w swojej odwiecznej i nieświadomej ludowej poezyi zasób i form i treści nie już większy niż my (bo nasz był tak skąpy, że nie ma o nim co mówić), ale bogaty, a niektóre bardzo znakomity-wszystkie miały poezyę pisaną w swoich własnych językach przez całe wieki, kiedy nam jeszcze o pisaniu ani się śniło. Dlaczego więc cała ta i ludowa i arty-

styczna średniowieczna poezya przez całe wieki stała w mierze, raz trochę lepsza, drugi raz cokolwiek gorsza, ale zawsze do siebie podobna, jednostajna, niezdolna do istotnego postępu, nie rozwijająca się? Dlaczego nie wydała nic naprawdę pięknego i wielkiego, nic, coby dożyło późnych czasów, jak ich dożył Homer naprzykład? Nie z braku poetycznego materyału: ten był obfity i wspaniały, czy w niemieckich sagach, czy w hiszpańskim cyklu romans, czy w szkockich balladach, czy nawet w poezyi trubadurów. Nie z braku chęci i popędu do obrabiania tego materyału, skoro byli trubadurowie i minnesängery, z powołania, ze stanu, z cechu poeci, i gorliwie poezyę uprawiali. Nie z braku silnych uczuć i świeżej, ruchliwej, poetycznej fantazyi u wszystkich tych ludów, ani z braku talentów wreszcie, bo wśród niemieckich i prowanckich poetów byli z pewnością ludzie z talentem, bo byli tacy widocznie w średniowiecznej poezyi francuskiej. A więc zkąd ta jednostajność, ta niezdolność wyniesienia się wyżej, wytworzenia doskonalszej, długowiecznej piękności? A tymczasem jest jeden naród i jedna literatura, która w średnich wiekach wydaje i formy nowe, i dzieła które po dziś dzień żyją, które po wiekach i w bardzo odmiennej epoce cywilizacyi, nie straciły powszechnem uznaniem całego świata nic ze swojej wartości i są dla niego dziś tak dobre, tak mądre, tak piękne, jak były w swoim czasie. Dlaczego, kiedy cała jak jest średniowieczna poezya europejska nie wydała nic wielkiego i żywotnego, to włoska XIV wieku liczy się do świetnych w całych dziejach ludzkości, a przez Dantego liczy się do najświetniejszych, najwyższych?

To zjawisko mogłoby nas naprowadzić na domysł—zaiste nie trudny—że na wydanie wielkich skutków nie dość jest jednej siły, jednego pierwiastka, jednej działającej przyczyny, ale składać się nań musi czynników więcej. Do istoty poezyi w szczególności,

skoro poezya jest sztuką, należy koniecznie forma. Nie rozpoznamy zapewne form Wirgiliusza w *Komedyi* Dantego, ani form Horacego w *Sonetach* Petrarki; ale wyszlachetnienie form w nich widoczne, było już skutkiem tej znajomości i zamiłowania starożytnych, jakie oni mieli, jakiego nie miała reszta średniowiecznej Europy. Jest to pięknem prawem historyi i dowodem solidarności ludzkiego rodu, że pokolenia i czasy dawno skończone, że cywilizacye zmarłe, pracują na przyszłe, pomagają im czynnie zasobem swoich wyrobów i posuwają je naprzód. Jak średniowieczne malarstwo, mimo całej wzniosłości duszy i natchnienia, jaka w niem jest, nie zdołało dojść samo do doskonałości, ale dosięgło jej wtedy, gdy od starożytnych nauczyło się znać, rozumieć, rysować lub lepić doskonałe formy— tak poezya średniowieczna podobnie została przez całe wieki, mimo wszystkich swoich zasobów, jednostajną, chudą, bez formy; jednym tylko żywiołem zasilana, miała charakter wyłączny, miejscowy, a zakres ciasny; mogła wystarczyć potrzebom wyobraźni czy uczucia pewnego, w sobie zamkniętego społeczeństwa (turniejowych rycerzy i dam), nie miała siły ani sama siebie kształcić, ani cywilizacyi naprzód posuwać, ani rozszerzyć swój widnokrąg tak, iżby mogła wystarczyć różnym narodom i różnym wiekom, nabrać trwałych i powszechnych znamion i warunków piękności.

To znaczy, że poezya na to, by stać się sztuką w całem znaczeniu słowa i zadanie swoje spełnić, potrzebowała sama odbyć szkołę, wycywilizować się. We Włoszech zrobiła to za pierwszego przedwstępnego odrodzenia w wieku XIII, którego produktem był Dante i Petrarka; po naszej stronie Alp odbywała tę szkołę dopiero w wieku XV. Potem dopiero okazały się skutki. Powtórna złota epoka literatury we Włoszech; we Francyi jeszcze w pierwszej połowie XVI wieku poezya, choć nie bez wdzięku, jest jednostajna, nieśmiała i skrępowana, a dopiero gdy przyszedł człowiek, który ją po-

dług form starożytnych zaczął rozszerzać, weszła na tę drogę, na której miała z czasem stać się literaturą niemal uniwersalną.

Jeżeli więc literatury od wieków żyjące, zasobne, posiadające i materyał i nawet gotowe formy poezyi bohaterskiej, opisowej, uczuciowej, a nawet poniekąd dramatycznej, nie zdołały w całej Europie dojrzeć i doróść do godności sztuki bez pomocy starożytnego świata, jeżeli tym nie wystarczyły na to rodzime pierwiastki i siły, choć silne i bujne, to wyobraźmy sobie, jak ze swoich wyłącznie pierwiastków byłaby zdołała rozwinąć się poezya polska, którą za sobą nie miała ani ludowych legend bogatych w poetyczny materyał, ani rycerskiej poezyi, jak Niemcy i Hiszpania, ani dworskiej i miłosnej? Coby się z nią było stało, gdyby była ciągnęła soki żywotne z własnego tylko gruntu, a w tym gruncie tych soków poetycznych nie znajdowała?

Coby się było stało? Przypuszczać można, że byłaby grała dalej na Reyową nótę, miałaby na swojej lirze dwie struny: jedną poważną, a drugą wesołą; ta poważna byłaby ciężka, ta wesoła byłaby rubaszna. Każda miałaby jeden ton tylko, a rytm byłby jednostajny i ubogi. Gdyby nie był przyszedł Kochanowski, poezya polska byłaby w najlepszym razie wyglądała tak, jak wyglądała średniowieczna europejska przed odrodzeniem. Popatrzmy na nią później, w sto lat po Kochanowskim, kiedy pomimo klasycznych reminiscencyj i form stereotypowo powtarzanych, ona żyje głównie własnymi, rodzimymi pierwiastkami. Czy autor *Wojny Chocimskiej* nie miał talentu? Przeciwnie, miał go bardzo wiele, w bohaterskim, epickim rodzaju z pewnością miał go więcej, aniżeli Kochanowski. Czy Wespazyan Kochowski nie miał talentu? Rada piekielna w *Kamieniu świadectwa* ma taką siłę fantazyi, *Psalmodya* ma taką samorodną formę i taki popęd rycerskiego, chrześcijańskiego, patryotycznego natchnienia,

że trudnoby wyszukać coś do pary między wierszami Jana z Czarnolasu. A czemu *Wojny Chocimskiej* ani Kochowskiego nie czyta nikt prócz literatów z profesyi? Bo ich poezya nie jest dość piękna, bo oni nie są artystami, a nie są nimi dlatego, że nie byli dość cywilizowani. Być na równym stopniu cywilizacyi z innymi, to jest warunek konieczny dla poezyi, tak samo jak dla nauki, jak dla społeczeństwa. Bez tego społeczeństwo i nauka zasklepiają się w sobie, zatrzymują się na miejscu, słabną, tracą zdolność rozwoju i życia; sztuka (poezya) dziczeje i wyradza się pomału. To dziczenie stwierdziło się w dziejach naszej poezyi tak samo, jak odrodzenie i odżycie przez odnowiony związek z cywilizacyą powszechną. Kochanowski, kiedy stwarzając tę poezyę, postawił ją odrazu w związku z cywilizacyą powszechną, której wyrazem, łącznikiem i cechą był za jego czasów humanizm, oddał jej i nam największą możliwą usługę, stworzył ją najlepiej, jak stworzoną być mogł , bo ją zrobił poezyą narodu oświeconego, i przez nią cały ten naród w cywilizacyi podniósł. I to na bardzo długo. Jego puścizną, jego wyrobem, jego językiem i wierszem żyje ta poezya przez cały wiek następny. Coby się było stało, o ile głębszym byłby upadek, gdyby ci wszyscy następcy nie byli mieli jego zwrotów, jego dźwięków, jego form, które im za wzór służyły i jako tako choć trochę ich w szrankach sztuki trzymały? Coby się było stało z językiem i stylem poetycznym, z dźwiękiem wiersza, gdyby on nie był ich wyrobił? Czy może byłby temu zadaniu podołał Klonowicz albo Grochowski a choćby Szymonowicz? Czy bez niego ci najlepsi nawet, jak Szymonowicz, Zimorowicz, Kochowski i dalej aż do Krasickiego i Kniaźnina, byliby mogli pisać, jak pisali, gdyby nie on przed nimi? Nie. C. którzy żałują, że Kochanowski kształcił poezyę polsk na pierwiastkach klasycznych, robią zupełnie tak, jak c Rosyanie, co się gniewają na Piotra, że stworzenier

flot i budową portów i przeniesieniem stolicy, zepsuł i zatarł właściwą narodową cechę Rosyi. Zapominają tylko, że zrobił ją tem czem jest, Rosyą, mocarstwem, potęgą. Podobnie bez Kochanowskiego poezya polska byłaby może więcej rodzimą, tylko nie byłaby poezyą; byłaby została jakimś jej zawiązkiem czy zarodem, zwarzonym lub zeschłym, zanim się rozwinąć zdołał.

Jeżeli chcemy lepiej jeszcze przekonać się, czem on był i co sprawił, to jeszcze raz pomóżmy sobie porównaniem. Poezya niemiecka miała za sobą świetną przeszłość i bogatą średniowieczną puściznę, miała (nierównie bardziej, niż Polska) rozwijać się z czego. A jaka jest w wieku XVI nudna, ciężka, uboga, bez życia; gdzie zaś żywsza trochę, tam bezkształtna, bezpowabna, pół dzika: bo ona w XVI wieku swego Kochanowskiego nie miała. I dlatego w owym okresie ona została w tyle za wszystkiemi, wyprzedziły ją wszystkie, nawet ta najmłodsza i ostatnia, którą Kochanowski na swoich barkach, jak Atlas prawdziwy, dźwiga i bardzo wysoko wznosi. Że jej po nim inni nie podnieśli jeszcze w górę, to już nie jego wina; on zrobił wszystko, co mógł i tyle, jak rzadko kiedy jeden człowiek dokazał.

Kto chce wiedzieć, jakim był wiek XVI w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralnem i umysłowem i towarzyskiem życiu, w nastroju jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesołości i żarcie, kto chce poznać, czem była cywilizacya polska XVI wieku, jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, niech czyta Kochanowskiego, bo to wszystko znajdzie w nim, tego się z niego może dowiedzieć z pewnością. Tego mu nikt zaprzeczyć nie może. A nie zaprzeczając tego, jak może kto zaprzeczyć mu narodowego ducha i charakteru, to już zgoła zrozumieć się nie da. Ani też odpowie-

dzi nie potrzebuje. Odpowiedział na to naród sam, kiedy czwarty już wiek świadczy, że go za swego, za jednego z najlepszych, najmilszych, najbardziej zasłużonych między swoimi uważa.

Przykładamy tu jak ostatnią pieczęć to, co o Kochanowskim powiedział Mickiewicz: „Są niewidzialne, tajemnicze pokrewieństwa między ludźmi wielkimi w historyi i w literaturze. Kochanowski podobny jest do króla Stefana. Jeden i drugi sercem i rodzajem swego geniuszu Polak, jeden i drugi chował się w wielkiej szkole europejskiej cywilizacyi. Obadwa nowatorowie śmiali, ale roztropni, znali oni oba miarę i zakres środków, którymi rozporządzać mogli Usiłowali ująć w karby i zorganizować jeden Rzeczposplitę, drugi literaturę. Jeden chciał stworzyć w Polsce europejskie państwo, drugi europejską sztukę."

I ciągnie Mickiewicz to porównanie dalej, mówiąc, że jak Batory, tak Kochanowski nie był słuchanym za życia, nie żałowanym po śmierci. Co do Kochanowskiego nie jest to zupełnie słusznem. W czem innem za to byli na nieszczęście do siebie podobni, w tem, że ani jeden, ani drugi nie miał syna, nie miał godnego następcy.

Kochanowski, późno prawda, po wiekach dopiero, ale miał przecież godnych siebie, większych od siebie potomków...

II.

Mniejsi poeci. Satyry Bielskiego. Paprockiego *Koło Rycerskie*. Historycy. Górnicki. Solikowski. Heidenstein. Orzelski. Stryjkowski. Sarnicki. Paprockiego Herbarze.

Oprócz Kochanowskiego na niwie poezyi nie rodzi się tak dobrze jak nic. Pod cieniem tego dębu puszczają wprawdzie mniejsze drzewiny, które kiedyś, jak zostaną same, staną się widocznemi. Ale teraz one bardzo jeszcze młode, nie znać ich. Jeden Grochowski zaczyna już puszczać w świat wierszy dużo, a wszystkie do siebie podobne, wszystkie mierne. Odzywa się po raz pierwszy Klonowicz, ale już po śmierci Kochanowskiego, i pod wpływem tej śmierci. z jej powodu. *Żale Nagrobne* są ze wszystkich jego wierszy najwcześniej drukowane (1584): rzewność uczucia, myśl ładna, zwrot niespodziewany, zdarzają się w tych Trenach po śpiewaku „Trenów," tak, że ten najdawniejszy utwór Klonowicza nie jest jednym z najsłabszych. Ale zaczyna w tych latach swoją rolę pisarz, niebawem bardzo wsławiony jako heraldyk, jeszcze później wstrętny jako paszkwilista, a obecnie występujący z wierszami satyrycznymi i ucinkowymi, które go łączą z dawną tradycyą dyalogów i Apophtegmatów Reya. To Bartosz Paprocki. Jego *Dziesięcioro przykazania mężowe* (1575) i *Próba Cnót Dobrych*, to tylko zbiór dość źle rymowanych a bardzo oklepanych nauk i prawideł mo

ralnych; ale *Koło Rycerskie, w którym rozmaite stworzenia rozmowy swe mają* (1576), jest wcale ciekawe. Dlaczego *Koło Rycerskie?* Co znaczy ten tytuł? Jaki ma związek z treścią, domyślić się niepodobna, bo podług treści dzieło to nie jest niczem innem, tylko zbiorem bajek. U Reya jest ich pewna liczba, ale zbiór Paprockiego jest godzien uwagi, choćby przez to, że jest niezwykle obszerny; na liczbę może Krasicki tylu bajek nie napisał. Można więc uważać go za bajkopisa z profesyi (nie tylko dlatego, że pisał genealogię), za ojca rodzaju, który po nim tak wysoko się u nas wykształcił, a z tego powodu bajka jego godna jest uwagi i pamięci.

Bajka to naturalnie w zarodzie, niewyrobiona, niekształtna, tak pierwotna, że ani swojego generycznego nazwiska bajki, ani nawet swoich tytułów (każda z osobna) nie ma. Jak Paprocki bajkę nazywa? Wcale. Nie umie jej nazwać, nie zna jeszcze tego określenia; raz nazywa ją powieścią, to znowu przypowieścią, najczęściej nie próbuje określić rodzaju swoich allegorycznych nauk moralnych. Nie mają także bajki poszczególne swoich tytułów, a raczej tytuł jest, tylko wzięty nie od allegoryi, ale od jej znaczenia: i tak „Mamy się strzedz, abyśmy podchlebcom wiary nie dawali," albo „Nie mamy się śmiać z cudzego złego przypadku" i t. p.; przykład, na lisie i kruku, na bocianie, na wszystkich zwierzętach, jakie są na świecie. Zwierzęta te rozmawiają jak ludzie, pod wszystkimi względami reprezentują ludzi, zupełnie jak u Lafontaina lub Krasickiego, słowem, z różnicą tytułów, z dodatkiem zazwyczaj jakiejś maksymy z jakiego starożytnego filozofa, albo z którego ojca Kościoła, z dodatkiem niekiedy drugiej bajki, krótszej, na poparcie głównej, która to druga nazywa się wtedy przypowieścią, jest to bajka, źle napisana wprawdzie, ale mająca wszystkie znamiona apologu i do dobrych podob-

na, nawet formą, a przynajmniej rozmiarami, bo jest prawie zawsze mała, krótka.

Rzecz prosta, że człowiek, który źle władał formą, który nie umiał dobrze pisać wierszy, nie mógł napisać prawdziwie dobrej bajki. Dowcip może on miał, ale pod niedołężnym, niezgrabnym wierszem, domacać się go trudno. Przystosowanie trafne, uchwycenie jakiejś prawdy moralnej lub jakiejś ludzkiej słabości, to najczęściej jest.

Warto jest istotnie rzucić okiem na te bajki, a zabawnie jest czytać niektóre z nich te same, które się zna z Lafontaina lub z Krasickiego, a które wszyscy wzięli z Ezopa. Porównanie naiwnej i pierwotnej formy bajki Paprockiego i doskonałej jej formy u Krasickiego jest ciekawe. Jest i znana bajka o baranku, co mącił wodę; o myszy, co lwa z sieci uwolniła; o mleczarce, która podskoczywszy rozbiła dzbanek mleka, a z nim wszystkie swoje nadzieje i plany. Co zaś ciekawe, to, że w bajkach Paprockiego są nie same tylko moralne, ale i polityczne, ukrywające pod mniej lub więcej szczęśliwą allegoryą, alluzyę do naszych sejmów, do naszych niezgód, do ambicyi lub zazdrości, grającej taką rolę w ówczesnem naszem życiu publicznem. Taka naprzykład jest bajka o puhaczu, „co chciał być królem ptaszym." Paprocki myślał może niesprawiedliwie o Zamoyskim, ale mimo to apolog jego słusznie stosować się może do naszych wichrzycieli i rokoszanów. W innej bajce, o kaczce, której jastrząb dał do wyboru, czy chce zjedzoną być sama, lub oddać mu swoje młode, także jest nauka moralna i patryotyczna.

Są inne o nowościach i niezgodach religijnych, o obyczajach kobiet, o duchownych, wreszcie jedna ciekawa o autorach i pisarzach:

Jedna małpa na księgach nadobnie kreślała,
Ale co w nie pisała, o tem nie myślała.

Każda bajka ozdobiona jest w pierwszem wydaniu drzeworytem, do którego rysunek dawać musiał jakiś najnieszczęśniejszy z artystów, autor zaś tak jest systematyczny i porządny, że bajki swoje układa przedmiotami: razem trzymają się bajki o rybach, razem o ptakach, o zwierzętach czworonożnych; na początku są wszystkie o ciałach niebieskich

Jakkolwiek niezgrabna i naiwna, bajka Paprockiego zasługuje na uwagę choćby dlatego, że powstała w epoce, kiedy w literaturach zagranicznych o bajce jeszcze nie słychać. Autor zaś godzien u nas jest pamięci jako daleki przodek księcia biskupa warmińskiego, a przez bajki polityczne nietylko jego, ale także Niemcewicza i Morawskiego.

W tym samym roku, kiedy ze śmiercią Kochanowskiego przygasła gwiazda naszej poezyi, dziejopisarstwo nasze dosięgło tego szczytu, na jaki w wieku XVI wznieść się miało. Wyszła część najświetniejsza może najznakomitszego w owym wieku dzieła historycznego, sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej z *Rerum Polonicarum Libri* Heidensteina.

Zostawiliśmy naszą historyografię w początkach drugiej połowy XVI wieku, w chwili, kiedy Kromer doprowadził do pewnej doskonałości główny jej kierunek annalistyczny kompilacyjny, a Orzechowski wskazał jej nową drogę, wniósł nowość konieczną i bardzo pożyteczną, przez to, że pierwszy zaczął spisywać dzieje swoich czasów. Historycy, którzy po nich nastąpili, trzymają się do końca wieku tych dwóch kierunków. Jedni należą jeszcze do dawnej szkoły, sięgają daleko w przeszłość, i jeszcze raz opowiadają dzieje Polski od początku, od bajecznych czasów, czyli powtarzają na nowo robotę już przez kilku w ciągu tego wieku dokonaną, z tą jedynie różnicą, że niektórzy z nich czują potrzebę rozjaśnienia niektórych części dziejów,

które kronikarze dawniejsi zostawili w cieniu lub pominęli zupełnie, próbują badać, choć usiłowanie to wiedzie ich najczęściej do wątpliwych rezultatów. Ten kierunek widocznie słabnie i ustaje; szkoła podupada, ma wprawdzie jeszcze dwóch lub trzech reprezentantów, ale nie ma już ani talentów tak prawdziwie niepospolitych jak Długosz, ani nawet takich pięknych talentów drugiego rzędu jak Kromer.

Historycy dziejów współczesnych występują nietylko w większej liczbie, ale i w większej rozmaitości rodzajów i kierunków, i wogóle z większemi zdolnościami. Nowość, wprowadzona przez Orzechowskiego pociągnęła wielu swoim przykładem, a było to równie naturalne jak pożyteczne. Naturalne, bo ci ludzie musieli poznać się na tem, że kiedy historya polska od Lecha była napisana już tyle razy, to bez nowych źródeł i odkryć pisać jej nie warto; tych nie mieli, nie mogli więc zrobić nic więcej jak jeszcze raz swojemi słowami opowiadać to samo i tak samo, co już powiedział Długosz, Miechowita, Wapowski i t. d. aż do Kromera. Tej potrzeby całości historyi polskiej, jaka była jeszcze do połowy wieku, tej teraz już nie było; natomiast wystąpiła inna: potrzeba spisywania tego, co się działo obecnie, a działy się rzeczy tak ważne. Całe panowanie Zygmunta Augusta, ze swoją wielką mnogością i rozmaitością spraw wewnętrznych i zagranicznych, sprawy religijne, walka pomiędzy duchowieństwem a świeckimi, pomiędzy szlachtą a senatorami, wzrastająca wszechmocność stanu rycerskiego, a upadająca coraz bardziej władza i powaga króla; dalej Unia pomimo tak niekorzystnych warunków przecież doprowadzona do końca; potem stosunki zewnętrzne coraz bardziej zawikłane, potęga moskiewska wzrastająca i wdzierająca się uporczywie w sprawy polskie, Inflanty, a z niemi zaród późniejszych nieporozumień ze Szwecyą i z Moskwą; stosunki z Austryą utrudnione

i tak dziwnie zmieszane z obustronnej potrzeby przymierza i z apetytu polityki austryackiej na Polskę, zaostrzonego nadzieją sukcesyi po bezdzietnym królu, wszystko to wpływy, przygotowujące nieunikniony a ważny zwrot w dziejach narodu, wszystko wypadki lub początki wypadków, które zapisane być musiały, jeżeli te dzieje miały nadal być zrozumiałemi. Potem zwrot następuje istotnie: król umiera, rozpoczyna się nowa epoka historyi polskiej. Rzplta, zaskoczona tym wypadkiem pośród rozprzężenia, w jakiem się znajdowała za ostatnich lat Zygmunta Augusta, wydana jest na łaskę i wolę wszystkich wewnętrznych fakcyj, spiskujących mniej lub więcej ze wszystkimi wpływami zagranicznymi; demokratyczna i republikańska dążność szlachty na pozór odnosi zwycięstwo w Elekcyi Viritim i w opisaniu króla Pactami, a naprawdę wygrywa w tej sprawie nie równość szlachecka ani republikańska wolność, tylko partykularyzm, interes prywatny, którego władza wykonawcza już kontrolować i hamować nie może, a prawodawcza nie umie.

A więc śmierć Zygmunta Augusta i następująca po niej rewolucya, zmiana prawa publicznego Rzpltej, pierwsza a niebawem druga elekcya, panowanie Stefana i to ówczesne ważenie się losów Polski, jej zewnętrznej polityki i wewnętrznego stanu, wreszcie przeważenie się ich na złą stronę, elekcya i przyjazd Zygmunta i pierwsze lata jego panowania, stanowcza porażka władzy królewskiej w Sejmie Inkwizycyjnym, praeludium do rokoszu Zebrzydowskiego, sprawy szwedzkie, a w nich zaród wojen długich i fatalnych, wreszcie energiczne działanie przeciw różnowiercom, dziwnie szybko i łatwo idące, to są te zmiany, te zwroty, te fakty, składające wielką rewolucyę wewnętrzną Rzpltej, które historyk współczesny powinien był widzieć, rozumieć i notować.

Znalazło się kilku, którzy widzieli i spisywali, a byli i tacy, którzy rozumieli. Zdolności ich, zamiar

i założenie ich prac, były bardzo różne. Są między nimi tacy, którzy z dziejów współczesnych zapisują to tylko, na co sami patrzali, którzy piszą raczej pamiętniki niż historyę, i albo, jak Górnicki, większą uwagę zwracają na wypadki ciekawe i zajmujące, niż na ważne, albo, jak Solikowski, zapisują prawie takie tylko, w których mieli udział. Tacy mogą być ciekawi do czytania, mogą tu i owdzie służyć za wiarogodnych naocznych świadków, ale historykami naprawdę nie są. Ale są i inni, którzy na dzieje współczesne roztaczające się przed nimi patrzą oczyma ludzi stanu, którzy rozumieją, jak się dzieje i dlaczego, a nie tylko widzą, co się dzieje, ale zapisują i to, co się działo, i jak i dla czego, jak na prawdziwych historyków przystało. Tacy mają i wielką wartość źródłową, jako świadectwa z pierwszej ręki, i wielką dziejopisarską, jako ludzie, którzy i sądzić i pisać historyę umieją. Takim naprzykład jest annalista napozór, a naprawdę historyk prawdziwy i niepospolity, Heidenstein.

Zacznijmy od tych, którzy właściwie piszą, pod pozorem historyi, pamiętniki.

Takim jest przedewszystkiem pisarz, który do dziś dnia słusznie cieszy się wielką wziętością, najprzyjemniejszy może prozaik swego czasu, w języku mistrz jakich mało, Górnicki. Jego *Dzieje w Koronie Polskiej od roku 1538 do 1572*, sądząc z tytułu, powinnyby być jedną z najważniejszych u nas książek historycznych. Tytuł ten bowiem zapowiada historyę ostatnich dziesięciu lat Zygmunta Starego i całego panowania jego syna, to jest okresu właśnie, który miał najmniej współczesnych annalistów. Wapowski w panowaniu Zygmunta Starego dochodzi do r. 1535, Orzechowski w panowaniu Augusta do r. 1553. Tę lukę ogromną zapełnić obiecują „Dzieje” Górnickiego, a to tem lepiej, że pisane są przez człowieka nietylko zdolnego, rozumnego i piszącego wybornie, ale przez człowieka nadto, który przez całe życie patrzał na te dzieje zblizka, z dobre-

go miejsca, z którego wszystko, a przynajmniej bardzo wiele, mógł widzieć i wiedzieć. Sam wprawdzie wielkiej roli nie grał w Rzpltej, ale przez całe życie był przy takich, którzy grali największe. Sekretarz Samuela Maciejowskiego zrazu, później królewski, powinien był znać wszystkie sprawy, wszystkie ich sprężyny i powody; człowiek, tak rozumny powinien był sądzić je doskonale, pisarz tak wytworny powinien był doskonale je opisać.

Tymczasem „Dzieje w Koronie" nie są bynajmniej tem, co zapowiada ich tytuł. O Koronie polskiej, jej dziejach i sprawach, nie ma tam nic prawie, tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, żeby powiązać rzeczy opisywane, oznaczyć ich czas i miejsce — jest to pozór tylko, a prawdziwą treścią są różne wypadki uboczne, ciekawe i dziwne przygody, uroczystości dworskie, sprawy prywatne — jest to prawie anegdotyczna historya dworu polskiego za Zygmunta Augusta, spisana przez naocznego świadka, pamiętnik osobisty rzeczy, na które autor patrzał, lub w których brał udział.

Ten charakter wspomnień osobistych mają „Dzieje" od samego początku. Na pierwszej karcie mówi autor, że „dnia Wielkanocnego r. 1548 przed wielką Mszą, król Zygmunt rozdzielił się z tym światem, i zaraz ks. Maciejowski wyprawił posłów do młodego króla" i t. d. Zdawałoby się, że wejdziemy odrazu w burzliwy początek panowania Augusta. „Ale—dodaje autor—że mnie oddano do Krakowa na naukę w r. 1538, wspomnę y to, co się za tych mych lat pacholęcych działo." Na samym wstępie wskazówka, że środkowym punktem tych „Dziejów" będzie *Ja*, ich zakresem to, co *Ja* własnemi oczyma widział, czyli, że będą Pamiętnikami.

Jakoż, całe dziesięć lat Zygmunta Starego zajmują tylko kilka kart; autor w pacholęcym wieku niewiele jeszcze mógł widzieć i wiedzieć, zamężcie królo-

wej Izabelli i Beaty Kościeleckiej, turnieje wyprawione przy tej uroczystości (królewicz z księciem Ilią na ostre gonił), potem historya starej Malcherowej, spalonej o żydowską wiarę, układy o małżeństwo Zygmunta Augusta z Elżbietą i przyjazd jej do Krakowa, to wszystko, co on dostrzegł w dziejach tych lat dziesięciu. A dalej? Za Zygmunta Augusta, kiedy już był człowiekiem dorosłym, dworzaninem Maciejowskiego, kiedy mógł wszystko ocenić i wszystko widzieć? Dalej tak samo zapisuje anegdoty tylko, albo efektowe sceny. I tak zaraz w pierwszej, którą opowiada, sprawie Barbary,—wszystko w jego opowiadaniu znika, zostaje tylko jedno: dramatyczna chwila, kiedy deputacya sejmowa rzuciła się przed królem na kolana, i przez Górnickiego oczywiście napisana, wspaniała, Cycerońska perora Boratyńskiego. Już to mów nie szczędzi; prawda, że je ślicznie pisać umie. Umarł ks Maciejowski, dworzanie jego odnoszą królowi pieczęć, Górnicki przytacza mowę, jaką od nich powiedział ks. Przerębski; królowa Bona wybiera się do Włoch, znowu mów kilka, któremi senatorowie usiłowali zatrzymać ją w Polsce; z tych wszystkich retorycznych wzorowych ustępów, najpiękniejsze są sławne klasyczne przemowy Czarnkowskiego i Odachowskiego w sprawie Halszki z Ostroga.

Sprawa ta, opowiedziana szczegółowo, żywo, a bardzo zajmująca, zabiera najwięcej miejsca, jak gdyby była najważniejszym wypadkiem w Koronie polskiej za czasów Zygmunta Augusta. To wskazuje dostatecznie, jaki jest charakter książki, pamiętnikowy, anegdotyczny; ale nie to jedno tylko. Nikt z Górnickiego nie dowiedziałby się, że były podówczas w Polsce jakieś spory i trudności religijne, gdyby nie historya Krupki Przecławskiego; co w Polsce robił nuncyusz Lippoman, o tem nie mówi, ale to zapisuje, że nie przyjmował nic od nikogo, chyba od ks. Przerębskiego trochę zwierzyny; nikt nie domyśliłby się z niego, że się zanosiło

na jakąś Unię, a tylko króciutka wzmianka pod właściwym rokiem wspomina, że ona doszła do skutku. Za to kto zwyciężył na turniejach przy uroczystości trzeciego ożenienia króla, albo jak ks. finladzki starał się o królewnę Katarzynę, albo jak chłop jakiś ukradł mniejszą pieczęć koronną ks. Padniewskiemu, to wszystko opisane jest bardzo dokładnie i sumiennie.

Ztąd można powziąć miarę, co to za historya; a jeżeli czego można żałować, to że Górnicki, kiedy już prawdziwej historyi Zygmunta Augusta nie pisał, że nie napisał historyi wyłącznie anegdotycznej i obszerniej, że tych drobnych przygód nie opowiedział z większymi szczegółami i że ich nie opowiedział więcej. Zapewne pierwsza i największa szkoda jest zawsze ta, że człowiek w jego urzędowem stanowisku, z jego stosunkami i z jego zdolnością, nie napisał politycznej historyi swoich czasów, ale kiedy już sał tylko pamiętnikową i anegdotyczną, niechżeby tę był napisał, jak się należy, mieszcząc w niej wszystko, co pamiętał i widział. W takim razie pamiętnik jego byłby nieocenionem źródłem wiadomości o ludziach tego czasu i ich obyczajach. Tak jak są, „Dzieje" nie są historyą, bo o rzeczach ważnych prawie nie mówią, tylko o drobiazgach, nie są dobrym pamiętnikiem, bo na taki o tych drobiazgach nie mówią dosyć.

Z tem wszystkiem jednak jest to książka bardzo zajmująca, bardzo przyjemna, która zawsze będzie czytaną i zawsze będzie się podobała.

W tym samym rodzaju pamiętnikowym napisana jest druga historya współczesnych wypadków Solikowskiego „Commentarius Rerum Polonicarum a morte Sigismundi Augusti." Opisuje w nich arcybiskup lwowski pierwsze Bezkrólewie, krótkie panowanie Henryka i panowanie Stefana, i początki Zygmunta III; zatem znowu epokę niezmiernie ważną, którą znowu jako senator, jako człowiek pewnego znaczenia, używany kilkakrotnie do poselstw zagranicznych, powinien był,

przynajmniej mógł był znać i opisać dokładnie. I znowu, jak Górnicki, opisał tak, że o przebiegu spraw najważniejszych daje tylko pobieżną elementarną wiadomość, a o wewnętrznym stanie Rzpltej zaledwo najsłabsze tylko wyobrażenie. Nie żeby się gubił w drobnych szczegółach i anegdotach, w sprawach i przygodach prywatnych, jak Górnicki; owszem, jego książka jest pamiętnikiem ściśle politycznym, mówi tylko o sprawach państwa; ale mówi obszerniej o tych tylko, w których autor brał udział bezpośredni i czynny, a te do najważniejszych bynajmniej nie należały. I tak, możnaby sądzić, gdyby się tych wypadków zkądinąd nie znało, że pierwsza elekcya poszła gładko i łatwo: August umarł, Henryka wybrano, wyprawiono do niego poselstwo, sprowadzono do Krakowa i przyjęto wspaniale... Co się działo, zanim do tego przyszło, nikt się od niego nie dowie. Szczęście jeszcze, że wspomina o konfederacyi dysydentów, bo pomija nawet nowość tak ważną, jak głosowanie powszechne na króla. Ale za to swoją wyprawę do Francyi za zbiegłym Henrykiem, którego do końca nie chciał odstąpić, argumenty, którymi próbował skłaniać go do powrotu, te opowiada obszernie. Zapewne ma i to swoją wartość; dobrze wiedzieć, jak się ten stosunek między Henrykiem a Polską rozwiązywał; ale równocześnie działy się w Polsce samej rzeczy nierównie ważniejsze, które on pomija. I tak ciągle: zawsze sam jest główną osobą swojej historyi; o tem co on ze Stefanem mówił, pisze więcej, aniżeli o tem, co Stefan robił — nie jest to próżność, ani zajęcie sobą, tylko pamiętnikowy sposób pisania. Później, kiedy osiadł na swojem arcybiskupstwie, zapisuje przedewszystkiem z dziejów Rzpltej to, co się tycze województw ruskich albo miasta Lwowa, to, na co zblizka patrzał. I dlatego, choć krytycy przyznają mu pewne zalety, że ten lub ów szczegół opowiedział dokładnie lub go trafnie osądził, zawsze jednak ten jego komentarz, choć swoją cenę

mieć może, nie jest historyą panowania Henryka i Stefana, ale tylko dodatkiem do tej historyi, pamiętnikiem, z którego można dowiedzieć się pewnych nowych szczegółów o tych wypadkach i sprawach, do których autor osobiście był wmieszany.

Wreszcie w tej nowej szkole historycznej zjawia się pisarz, który zamyka naszą historyografię XVI wieku, który opisuje wypadki współczesne tak, jak ich dotąd nie opisywał żaden, i dla następnych, dla historyków XVII wieku zostaje przykładem, typem (choć oni sami może o tem nie wiedzieli), tak jak Długosz był typem i wzorem dla szkoły dawniejszej, Heidenstein.

Formą, metodą, jest on kronikarzem, annalistą. Trzyma się tego układu chronologicznego, dla historyi tak niekorzystnego, w którym porządek lat góruje nad porządkiem rzeczy, a sprawy pomniejsze, poboczne, przerywają ciąg ważniejszych i nie dają objąć ich całości. Tym usterkiem, który jest wielką szkodą, spłacił on dług wyobrażeniom i zwyczajom wieku. Zresztą zdolnością swoją, rozumem i sądem, to historyk prawdziwy, jedyny może u nas w tym wieku historyk niepospolity, mający wszystkie warunki i przymioty do tego potrzebne, a jego książka jest i najcenniejszem dziełem źródłowem, i pod względem kunsztu historycznego najpiękniejszem, jakie nam ten wiek zostawił; jego historyk ostatni jest zarazem największym jego historykiem.

Prawda, że znajdował się w warunkach dla historyka najpomyślniejszych. Przyboczny, poufny, sekretarz Zamoyskiego naprzód, a potem Batorego, i to poufny sekretarz nie z tytułu tylko, ale z rzeczy, czerpał wiadomości swoje ze źródeł, jakich mieć nikt nie mógł; nietylko z kancelaryi królewskiej, której wszystkie akta mógł czytać, a wiele sam redagował, ale, co ważniejsze, z głowy tych dwóch ludzi, którzy wszystkie sprawy prowadzili. Jakże się dziwić wielkiemu zasobowi informacyj w Heidensteinie, albo jego głębo-

kiemu sądowi w rzeczach politycznych, kiedy się wie, że jego historya była pisana nietylko z wiadomością Zamoyskiego i króla, ale pod ich natchnieniem i dozorem, tak dalece, że Stefan sam własną ręką robił poprawki i dopiski, że cały plan wyprawy na Połock, wszystkie powody, które obrać kazały ten a nie inny, Heidenstein miał sobie udzielony przez króla. Udział Stefana i Zamoyskiego w napisaniu tej książki był tak powszechnie znany, że u współczesnych uchodził Komentarz o wojnie Moskiewskiej wprost za dzieło Zamoyskiego, i dlatego to podczas bezkrólewia po Stefanie zajadłość stronnicza Zborowskich i ich przyjaciół domagała się, jako satysfakcyi dla siebie, jako warunku zgody, zakazania i zniszczenia dzieła.

Ale stanowisko samo, choćby najkorzystniejsze, jeszcze nie wystarcza. Górnicki także przepędził całe życie między ludźmi wielkiego znaczenia i wpływu, był także sekretarzem przy królu i także bardzo poważanym, a przecież historyi, choć chciał napisać, nie potrafił. Heidenstein musiał być człowiekiem niezwykłej zdolności i rozumu, kiedy i Zamoyski i Batory zrobili z niego powiernika swoich myśli; tego by nie było, gdyby nie byli uznali w nim prawdziwej politycznej zdolności i wypróbowanego charakteru. Kiedy go używali do spraw wielkiej wagi, mianowicie pruskich (jako tamtejszego obywatela), kiedy jemu powierzono zadanie takie, jak zebrać i uporządkować prawa tej prowincyi (Korektura pruska jest jego dziełem), musieli widzieć w nim te przymioty, te zdolności polityczne i dyplomatyczne, które im były potrzebne, a których wymagano od sekretarzy, jako od ludzi, którzy pod zarządem ministrów wykonywali praktykę interesów: „doskonałą biegłość w łacinie (jak on sam sekretarza opisuje), znajomość i zamiłowanie nauk wyzwolonych, a zwłaszcza filozofii, znajomość prawa i ojczystego i obcego, a przedewszystkiem rzymskiego, historyi własnej i obcej—a gdy sekretarze częstokroć i do po-

selstw zagranicznych używani bywają, przeto potrzebna im jest i wielka w prowadzeniu interesów roztropność i ostrożność, którą każdy człowiek polityczny posiadaćby powinien.”

Że Heidenstein miał ten rozum polityczny, ten sąd i ten takt, tego dowodzi jego stanowisko przy Zamoyskim i królu, nawet gdyby nie dowodziła jego książka. Ale oprócz tych przymiotów miał inne jeszcze, na które tamci wpłynąć nie mogli, to zdolność pisarską, dar nietylko zrozumienia i osądzenia rzeczy, ale i przedstawienia jej, a ten dar posiada on w wysokim stopniu. Z własnego li natchnienia, czy może wiedziony radą i zamiłowaniem Stefana i Zamoyskiego, za wzór wziął sobie komentarze Cezara, to pewna, że na dziele jego najbardziej wykończonem i wypracowanem, na Komentarzu Wojny Moskiewskiej, który, napisany jako osobny pamiętnik tej wojny, wszedł później jako część w większe dzieło, *Rerum Polonicarum Libri* (i stanowi w nich księgę VII—XII), widoczny jest zamiar pisania na wzór tego historyka, którego Zamoyski uważał za najdoskonalszego [1]).

Ma on nad innymi historykami współczesnymi tę wyższość wielką, że i wszystko wie lepiej niż oni, i wszystko lepiej umie opowiedzieć, opisać. Nie ze wszystkiego, co prawda, zdaje sprawę z tą samą dokładnością ale to, z czego sprawę zdaje, to pod jego ręką staje się tak jasnem i zrozumiałem, tak doskonale wytłómaczonem, że nie brakuje niczego. Naprzykład, jest to bardzo rzadkim darem u historyków, którzy najczęściej wojskowymi nie są, żeby umieli dać obraz dokładny i zupełny ruchów i planów strategicznych, a zwłaszcza, żeby tak umieli wytłómaczyć ich powody, żeby

---

[1]) Oczywiście tylko wojna moskiewska należy do czasów Batorego. Reszta dzieła pisana była później. Ale mówimy o całem odrazu, żeby już do tej materyi nie wracać.

nie wojskowy czytelnik zrozumiał je i poznał. Dar ten, bardzo naturalny u Cezara, bardzo zadziwiający i rzadko doskonały u Thiersa, posiada Heidenstein w wysokim stopniu; jego Wojna Moskiewska należy niezawodnie do świetniejszych w historyi opisów kampanii. Prawda, że jak Thiers miał przystęp do wszystkich źródeł urzędowych, a miał pomoc, jakiej tamten nie miał: Napoleon nie czytał historyi Thiersa i swoich uwag i rad mu nie dawał, Stefan czytał historyę Heidensteina i własną ręką robił poprawki i dodatki. Nic dziwnego zatem, że ta strona strategiczna jest wykonana ze znajomością rzeczy.

Ale jest przymiot ważniejszy i potrzebniejszy dla historyka, niż ten opis. Opis kampanii, lepszy czy gorszy, będzie zawsze tylko szczegółem; ale dar i zdolność osądzenia i przedstawienia wypadków ze strony politycznej, stronnictw i ludzi, powodów ich działania, wszystko to, co składa prawdziwy stan kraju i daje prawdziwy obraz społeczeństwa, to jest główny przymiot historyka i główna strona jego zadania. A ten sąd, ten dar rozumienia i przeniknięcia ludzi i dążności, a zarazem i przedstawienia ich w działaniu, to jest, co w Heidensteinie uderza, co go odróżnia od współczesnych naszych historyków. Wystarczy przeczytać kilka tylko pierwszych jego kartek i porównać je z tem, co o wypadkach tych samych mówią tamci. „Zygmunt August umarł, więc musiała być elekcya; chodziło przez jakiś czas o to, kto ją zwoła, prymas czy marszałek, ale się zgodzono; pod Wolą zebrały się województwa kandydaci byli ci i ci; ich posłowie mówili to lub owo“—oto wszystko, co o bezkrólewiu dowiedzieć się można od innych, nie wyjmując nawet Bielskiego, który w przedstawieniu tych wypadków innych przewyższa, a wyjmując jednego chyba tylko Orzelskiego, który choć nie bardzo trafnie i głęboko sądzi, ale za to obfituje w mnóstwo charakterystycznych szczegółów. A zacząwszy tylko czytać pierwszą

księgę Heidensteina, widzi się, że to Bezkrólewie to ogromna w polskiem państwie rewolucya, ogromny zwrot w życiu i w historyi, widać, że to fakt wielki, którego wielkość pisarz rozumie i opowiada, jak mu przystało, ze wszystkiem, co do niego należy, co go poznać i ocenić pozwala.

Zaczyna on swoją rzecz od wytłómaczenia ważności tej rzeczy nowej, jaką było bezkrólewie, i zaraz maluje stan, w jakim śmierć Zygmunta Augusta zastała Rzpltą i jakie wywołała w nim zamieszanie. Litwa jeszcze nie dobrze z Koroną zrosła, jeszcze pamiętna swojej odrębnosci, Inflanty zagrożone od Szwedów i Moskwy, a jeszcze słabiej z całością złączone; z Prusami wiszące spory o ich prawa, o większą lub mniejszą ich autonomię; dopiero nad tem wszystkiem najważniejszy moment w całem położeniu: interes religijny, strona katolicka i protestancka, stanowiąca główny podział stronnictw, punkt, o który zaczepiały dopiero wszystkie usiłowania i starania zagraniczne, a głównie austryackie i francuskie. Następuje potem charakterystyka stosunków Rzpltej ze wszystkiemi państwami zagranicznemi, skreślenie ich polityki względem Polski, jej widoków i powodów, a na tle tak szeroko i mądrze zakreślonem, rysuje się dopiero przebieg wypadków, fakta następujące po sobie, dążności i role stronnictw i ludzi, słowem obraz bezkrólewia najdokładniejszy, a przynajmniej najrozumniejszy, najlepiej dający przebieg jego wyrozumieć, jaki ktokolwiek ze współczesnych napisał. I z tego nawet nie robiłbym autorowi zarzutu, że mowy posłów zagranicznych przytacza tylko w streszczeniu. Gdyby żył za naszych czasów, byłby je dołączył w notach, jako dokumenta; wtedy tak ściśle rzeczy nie brano, a on czuł, że mowa taka w całej osnowie przerywa ciąg opowiadania i właściwie miejsca w niem mieć nie powinna. Treść zaś podaje bardzo wiernie, a obietnice kandydatów, tudzież punkta paktów Henryka w całej obszerności.

Poselstwo do Paryża, sprawy pozaczynane podczas pobytu Henryka, które nie miały czasu się skończyć, jego ucieczka wreszcie, uzupełniają księgę pierwszą. Jeżeli pierwsze bezkrólewie opisane było z wielkim talentem historyka i z głębokim sądem polityka, to drugie może go jeszcze tymi przymiotami przewyższa. Za perłę całego dzieła uchodzi powszechnie sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej. Nie mając powodu, ani chęci sprzeciwiać się temu zdaniu, przecież można powiedzieć, że obok nich godnie stają opisy bezkrólewi, zwłaszcza drugiego i trzeciego. Opisane są przez stronnika i powiernika Zamoyskiego, zatem z jego stanowiska, w jego duchu, jak i całe dzieło; może być, że w swojem pojęciu rzeczy, Heidenstein, pisząc ze stanowiska stronnictwa, czasem się myli, że jego podanie lub sąd tu i owdzie potrzebuje sprostowania, ale pod względem talentu dziejopisarskiego, Bezkrólewia te są bardzo niepospolite. Zwłaszcza ostatnie, po Stefanie, tak dramatyczne, tak pełne niebezpieczeństw: fakcye wybuchające z podwójną gwałtownością, uszczęśliwione śmiercią króla, który je tłumił, i wichrzące w Rzpltej, prawdziwie jak wichry, wypuszczone z jaskini Eola—a po drugiej stronie Zamoyski, dźwigający na sobie prawie sam jeden interes publiczny, sam jeden broniący go przeciw tysiącom interesów prywatnych, zwycięstwa wcale niepewny, odnoszący je nieledwie przypadkiem, Zamoyski rzeczywiście wspaniały i dramatyczny w tej chwili jak nigdy, to w jego opisie wygląda bardzo smutno i bardzo nauczająco. Ta elekcya zbrojna, podobna do wojny domowej, nie legalna, przypadkowa, ta sprawa najważniejsza, w której dobrzy jak źli muszą prawo omijać albo je gwałcić, bo bez bezprawia, bez sztuki, bez większego lub mniejszego zamachu stanu skutku żadnego być nie może, co za wróżba dla elekcyj następnych i dla przyszłości Rzpltej, co za wytłómaczenie historyi naszego upadku.

Wogóle w całym ciągu książki, nad wszystkiem

i nad wszystkimi, w wojnie czy w pokoju, w sprawach domowych czy postronnych, górują dwie kolosalne postacie Stefana i Zamoyskiego. Stało się to nie przez podchlebstwo autora, nie przez jego pisarską sztukę, może nawet nie z jego zamiarem, ale samą siłą rzeczy i prawdy. Tak było w rzeczywistości. Geniusz polityczny, jak gieniusz wojskowy, był w tych dwóch ludziach tylko, jak rzeczywiście w nich skupił się i cały prawie duch polski, myśl państwa, myśl publicznego dobra; najwięksi patryoci jak najdzielniejsi ludzie tych lat, to oni, i za wielką zasługę tylko poczytać trzeba historykowi, że bez pochwał i podchlebstw umiał tych ludzi przedstawić z ich mądrością i dzielnością, sam mało o niej mówiąc.

Sprawa dla niego najdrażliwsza i do opisania najtrudniejsza, sprawa Zborowskich, należy do najciekawszych ustępów książki i przynosi mu wielki zaszczyt. Wszystko, co na korzyść Zamoyskiego powiedzieć może, jego długą cierpliwość względem Samuela, przestrogi, jakie mu poufnie dawał, wszystko to przypomina, i słusznie; to powinien był zrobić dla samej prawdy. Ale względem strony przeciwnej jest bardzo umiarkowany i delikatny, zwłaszcza względem samego Samuela, o którym widocznie ma to przekonanie, że ze wszystkich braci był najmniej winnym, a fatalny zbieg okoliczności na tym właśnie wymierzył karę. Zaś dalszy ciąg sprawy, sąd na Krzysztofa na sejmie 1585, opowiedziany jest zupełnie objektywnie, bez uwag ze strony piszącego. Instygator oskarżył go o to i o to, obrońca bronił tak a tak, świadkowie zeznali to i to, wyrok zapadł ten a ten. Z tego prostego zestawienia faktów czytelnik widzi, że wyrok był słuszny, że był za łagodny.

Bitwa pod Byczyną, sprawa Maksymiliana w ogólności (pakta będzińskie i wynikłe z nich negocyacye dyplomatyczne), sprawa niedoszłego przymierza zaczepno-odpornego przeciw Turkom, wyprawa Zamoyskiego

na Wołoszczyznę, wojna Inflancka (1600 do 1602), to są jeszcze świetne karty historyi Heidensteina, która się kończy na tymże roku; ostatni fakt, jaki opowiada, jest zdanie Chodkiewiczowi dowództwa w Inflantach. I tu, w tej ostatniej części dzieła, można mu słusznie zarzucić, że zbył krótko rzecz takiej wagi jak Unia Brzeska, a powtóre że zbył krótko zjazd jędrzejowski i sejm inkwizycyjny, wogóle że nie dość kładzie przycisku na nieporozumienia pomiędzy królem a Zamoyskim. Całe jego dzieło dowodzi, że był zbyt mądry na to, żeby się miał był na ważności tych zajść nie poznać. Pada ztąd podejrzenie, że dotyka tych spraw zlekka, dlatego, że jego ulubiony bohater wygląda w nich mniej korzystnie. I to właśnie usprawiedliwia może najbardziej tę reputacyę oficyalnego historyka Zamoyskiego, jaką Heidenstein ma poniekąd.

Oficyalny jest on zapewne, jest nawet historykiem rządowym, pisze historyę pod natchnieniem króla i ministra, w ich duchu, z ich stanowiska. Czy to ujmuje wartości jego dziełu? Sądzę, że nie; że owszem jest ono ciekawsze, przez to, że mamy w niem zapatrywania tych ludzi na ówczesną historyę i politykę, ich sąd o wypadkach i ludziach, ich jakoby własne zeznania o sobie. Niektórzy mówią, że Heidenstein tak Zamoyskiego kochał i wielbił, iż historyę swoją urwał na roku 1602 dlatego, żeby nie opisywać sejmu 1603-go i związku jego z rokoszem Zebrzydowskiego, choć, żyjąc do roku 1620, mógł był dociągnąć ją dalej. Jeżeli nawet tak jest, to grzech niewielki, a w porównaniu z wielkiemi zasługami historyka niknie on prawie zupełnie.

Jest to z historyków XVI wieku najznakomitszy, obok Długosza jeden prawdziwy historyk tych dawnych wieków. Formą kronikarz, ale w rzeczy historyk wielkiej zdolności i na wielką skalę, człowiek, który na wypadki patrzy jak mąż stanu, a opowiada je jak bardzo znakomity pisarz. Nowsza szkoła historyczna polska, ta, która zaczęła się od Orzechowskiego, a przetrwała

cały wiek XVII, ma w nim tak swój typ i swój szczyt, jak dawna kronika, opowiadająca całe dzieje Polski od początków, miała swój w Długoszu. Ona cała była postępem w naszej historyografii, ale jej największą chwałą jest ten pisarz, który jedyny z historyków polskich tego wieku jest czemś więcej niż kronikarzem i wytrzymuje porównanie ze współczesnymi historykami zagranicznymi.

Jednego jeszcze wymienić wypada historyka tego czasu: Jest nim Świętosław Orzelski. Należy on do tych historyków, którzy jak Górnicki lub Solikowski piszą nie historyę, ale raczej pamiętniki; a z takich jest niezaprzeczenie najlepszy. Książka jego jest źródłem historycznem niezmiernie obfitem i ważnem, w szczegóły obfitszem, aniżeli Heidenstein; bo kiedy tamten, historyk, opowiada tylko to, co ważne, i kreśli obraz wielkimi rysami, to ten, pamiętnikarz, zapisuje wszystko bardzo skrzętnie, bardzo dokładnie, a przecież z rozeznaniem i wyborem; jego pamiętnik nie jest anegdotyczny, ale zupełnie historyczny. Nie dlatego zaś jedynie uchodzić on może za dopełnienie Heidensteina, że zapisuje mnóstwo okoliczności pomniejszych, które tamten musiał opuszczać, ale dlatego także, że każdy z nich patrzy na te same wypadki z innego punktu i obejmuje wzrokiem inny horyzont. Heidenstein przy królu i Zamoyskim patrzał na wypadki z góry, ze stanowiska politycznego—Orzelski był w tłumie szlachty, niezmiernie lubiony i poważany, znaczył u niej wiele, ale patrzał na wypadki z tego poziomu, co cała ta szlachta W sądzie Heidensteina odbja się zawsze myśl mężów stanu, Orzelski wyobraża najczęściej to, co o wypadku tym samym myślała opinia powszechna. Prócz tego Heidenstein jest katolik, Orzelski protestant, różnica ogromna, która w przedstawieniu tych wypadków, w których spory religijne grały tak wielką rolę, odbić się musiała. Dlatego oni razem składają całość ogromnej wartości, jeden drugiemu służy za kon

trolę, niejako za środek sprawdzenia; jeden daje poznać myśl i sąd rządu, drugi opinię narodu o tych samych faktach; jeden świadczy, jak dana sprawa wydawała się katolikom, drugi, jak ona wydawała się protestantom. Z tego względu żałować trzeba, że Orzelski nie ciągnie swoich dziejów tak długo, jak Heidenstein. On kończy na koronacyi Batorego, a wyprawy gdańskiej już w całości nie opowiada; zdaje się, że nie miał nawet innego zamiaru, tylko opisać dwa bezkrólewia.

Te opowiada tak szczegółowo, jak żaden, i z tego względu jako źródło jest nieoceniony. Jest przytem bardzo ciekawy i zajmujący, tak dla rzeczy, które opowiada, jak dla własnego charakterystycznego sposobu widzenia ich i sądzenia. Ale choć uzupełnia Heidensteina, to mu nie dorównywa. Nie ma ani tej zdolności pisarskiej, ani tego głębokiego sądu, tego wzroku polityka, jaki ma tamten. Jeden jest najznakomitszym, jedynym zupełnie znakomitym historykiem naszym z tego wieku, drugi tylko jego najlepszym i najważniejszym pamiętnikarzem.

Zobaczmy teraz inny typ historyka.

Aż do Kromera (włącznie) wszyscy nasi kronikarze trzymają się w granicach tych samych zawsze faktów i wiadomości, jeden różni się od drugiego lub go poprawić i prostować usiłuje w niektórych szczegółach tylko, ale, ogółem wziąwszy, opowiadają zawsze to samo, zakres ich wiadomości nie rozszerza się wcale; więcej jak to, co podał Długosz, dowiedzieć się i powiedzieć nie usiłują, nie czują tej potrzeby. Pomału jednak zaczyna się budzić jakaś historyczna i krytyczna ciekawość, chęć dowiedzenia się czegoś więcej i pewniej, mianowicie pewna dążność do zbadania i opisania pierwotnej, przedchrześcijańskiej przeszłości narodu. Kronika zostaje czem była, czem ją zrobił Długosz, zaczyna od Lecha a dociąga swoje opowiadanie do Henryka lub Stefana; ale zmienia się o tyle, że kro-

nikarz, opowiadając czasy historyczne za drugimi tylko, krótko, pobieżnie, podejmuje na własną rękę ciężką pracę zbadania i wyjaśnienia początkowych dziejów, i to uważa za główną część i główną zaletę swojej pracy. Rezultat jej jest najczęściej bardzo mały, bardzo błahy, niekiedy śmieszny; w ich badaniu naukowem i krytycznem, nauki i krytyki jest bardzo mało. Ale chociaż w tych rzeczach dobra chęć nie staje za uczynek, przecież sama chęć jest ciekawym symptomatem; dowodzi, że pojęcie historyi zaczęło się zmieniać, rozszerzać, a te pierwsze prace, choć nie doprowadziły do wielkich naukowych odkryć i nabytków, przecież godne są wzmianki, bo otwierały historyografii nowe pole, wskazywały jej nowe, potrzebne, a dotąd zaniedbane kierunki.

Pomiędzy takimi tedy kronikarzami, którzy mają pewne zachcenia krytycyzmu i badania, stoi, jako najciekawsza w swoim rodzaju figura, jako zabawny i dziwny oryginał historyograf, Stryjkowski. Do czego właściwie natura stworzyła tego człowieka? Było w nim mnóstwo różnych gustów, pociągów, usposobień, może nawet zdolności. Przedewszystkiem była żywa wyobraźnia i wielka ciekawość, pewien gust do przygód i awantur, chęć niezwykła do poznania świata i jego strony zajmującej, malowniczej. Wypadki jego życia dogodziły tej jego skłonności. Czego tam nie ma w tem życiu? Przygody wojenne, niebezpieczeństwa przypadkowe, z których wychodzi prawie cudem, dalekie, a w owym czasie trudne podróże; i wtedy dopiero jest szczęśliwy, kiedy przedarłszy się z trudem przez Bałkany, zobaczył świat inny; ludzie, ich stroje, ich obyczaje, ziemia, drzewa, zwierzęta, wszystko to inne niż w jego ojczyźnie, wszystko nowe, i wszystko zajmuje go niesłychanie i budzi jego ciekawość tak, że cieszy się na myśl, że korsarze wezmą go do niewoli, bo to da mu sposobność poznania kraju, którego jeszcze nie widział, Azyi Mniejszej, i żałuje bardzo, że go ta sposobność ominęła. Otóż ta żywość wyobraźni i ta cie-

kawość zapalona i namiętna mogły go zrobić jakimś wielkim podróżnikiem; gdyby był Anglikiem, Hiszpanem albo Holendrem, byłby może odkrywał jakieś nieznane wyspy na morzach Nowego Świata: w naszym wieku puszczałby się na podróże około świata, albo do źródeł Nilu, albo do północnego bieguna. A miał jeszcze jeden talent, podróżnikowi takiemu bardzo przydatny, umiał rysować. To wszystko kwalifikowało go na geografa, naturalistę. Obok tego, jego kronika dowodzi, że miał usposobienie na pisarza romansów i powieści. Ta sama żywość wyobraźni, która kazała mu żałować, że się nie dostał do Azyi, choćby kosztem niewoli na korsarskiej galerze, ta sama sprawiała, że w historyi szukał i lubił przedewszystkiem to, co dramatyczne i efektowe, jakieś straszne kolizye i zbrodnie, morderstwa, trucizny, zemsty, zdrady, w jakie obfituje historya kniaziów litewskich, aż do chrztu Jagiełły, to on opowiada z największem upodobaniem; w naszym wieku z pewnością nie byłby pisał historyi Litwy, tylko romanse na jej historyi osnute. Jest w nim nawet pewien zakrój na poetę; kronikę swoją przeplata wierszami, a te wiersze nie są gorsze od wielu, które nasze historye literatury nazywają dobremi; kiedy opisuje wierszem jaką bitwę naprzykład, przypomina on późniejszego Samuela Twardowskiego,

Co w nim dopiero dziwne, to, że z tem usposobieniem wziął się do historyi z największym zapałem, i nie bez talentu, nie bez poczucia tego, czem historyk być powinien. Naprzykład, on rozumie potrzebę gruntowności, sumiennego badania; otacza się wszystkiemi źródłami, o jakich tylko słyszał, ma ich tyle „żeby ich na dobrą furę nie zabrał.” Nie umie ich cenić, osądzić, przebrakować, ale wszystkie wertuje i wszystkie cytuje. Przez tę pracowitość i ten prawdziwy zapał do historyi, może byłby mógł stać się historykiem prawdziwym, ale na przeszkodzie stały mu dwie rzeczy. Pierwsza, wyobraźnia, to coś poetyczne-

go, co było w jego głowie. Cóżby on miał chodzić drogami, przez innych utartemi i zajmować się historyą polską, Bolesławem, Kazimierzem, Zygmuntem, o których już wszyscy pisali! To oklepane; jemu potrzeba czegoś nowego, jakiegoś przedmiotu, nietkniętego ręką ludzką, pola dziewiczego jeszcze, na którem możnaby robić odkrycia nowe, niespodziewane, zadziwiające. Fantazya kazała mu takich rzeczy szukać w historyi dawnej Litwy; a że przy tym zapale do odkryć, przy tym dyletantyzmie krytycznym i archeologicznym nie było nauki prawdziwej i gruntownej—drugi powód, dla którego historykiem poważnym nie został,— więc i nagromadzona „fura" źródeł nie pomogła, a historyk, zajęty tylko tą myślą odkryć, myślą odtworzenia przeszłości, pragnący namiętnie złożyć jej całość, a posługujący się w tej czynności głównie fantazyą, wyobraźnią, pomimo swej tendencyi badawczej i krytycznej, pomimo tego instynktu sumienności jaki ma, pomieszał wszystkie źródła, pogwałcił chronologię, poplątał fakta z przypuszczeniami, uzupełnił je własnymi śmiałymi wnioskami, i złożył z tego tę dziwaczną fantastyczną historyę, „Która nigdy przedtem świata nie widziała, Kronika Polska, Litewska, Żmudzka, i wszystkiej Rusi" (1582).

Źródła, z których czerpał, a których spis podaje na początku kroniki, dochodzą imponującej liczby stu kilkudziesięciu; nadto, jak sam świadczy, nie przestał na źródłach pisanych, ale zbierał podania o dawnej Litwie, jakie się w pieśniach i legendach ludu zachowały. Praca istotnie *zawrotogłowa*, jak się w przedmowie autor chwali; tylko że uczeni dzisiejsi twierdzą, może ona zawrócić głowę nie samym swoim ogromem tylko, ale i swoją treścią, bałamutną mieszaniną prawdy i fałszu, fantastyczną chronologią, wymysłami, którymi autor zapełnia luki pomiędzy wypadkami znanymi, byleby ciąg i całość ułożyć; wszystko to jest tak widoczne, że kronika Stryjkowskiego nikogo nawet złu-

dzić nie może, jego świadectwo jest tak oczywiście podejrzane, że nikt nie będzie śmiał odwoływać się na niego bez zastrzeżeń i wątpliwości; a to najgorsze, że w tym oceanie nieprawdy i wymysłów trafiają się i pewne podania prawdziwe, informacye bardzo szacowne, a odróżnić jedne od drugich, rozgatunkować, jest bardzo trudno, i dla mnóstwa przymieszanej nieprawdy, prawda sama idzie w podejrzenie.

Że zaczyna od Stworzenia Świata, to się ma rozumieć. Historyk gruntowny powinien wywieść dzieje od samego początku. Podaje więc całą genealogię od Adama do Noego, a od Jafeta syna Noego już prosto, jasno i z niewątpliwą pewnością, wywodzi rodowód Litwy. Jafet zrodził Gomera, Gomer Askanesa, od tego aż do Tuiskona protoplasty Niemców: a od drugiego brata Togormy idą znowu Gotowie, Alani, Pieczyngowie, Połowcy, Gepidowie, Heneci, i ci wszyscy siedzieli nad morzem Baltyckiem czyli Wenedyckiem i byli przodkami Litwy. Ale pewnego razu morze zalało ich srogim potopem, a tego się uląkłszy, wyszli wszyscy razem na południe. Ta ich wędrówka, znana historykom rzymskim pod nazwą wtargnienia Cymbrów, zakończyła się zwycięstwem Maryusza. Niedobitki zostały we Włoszech; aż później jeden z nich, znaczny jakiś pan, którego Florus zowie Publiuszem Libonem, a latopiscy litewscy Palemonem, w wojnie domowej między Cezarem a Pompejusem „trzymał się Pompejusowej strony,” w skutku czego po przegranej uchodzić musiał, chroniąc się zemsty Cezara, „a iż bliżei Włoch nie mógł być bezpieczen w żadnej prowincyi, puścił się dalej na morze z kilkiemnaście okrętów, od ujścia Tybru albo od Pizy” i przypłynął do Żmujdzi.

A jako z Eneaszem z Troi tak też z Palemonem Włoch do Litwy przyszło do 500 szlachty, a przedniejsze między nimi były cztery familie z herbu Co lumnów, Ursinów, i t. d. Tego tylko z pewnością wiedzieć nie można, czy się to stało za Jul. Cezara, czy

za Nerona; bo niektórzy latopisce twierdzą, że przed jego to prześladowaniem uciekał Palemon. Dość, że przyszedł z Włoch, rozgospodarował się w Litwie za zgodą Ałanów, którzy ją wtedy zamieszkiwali, rozdał różne siedziby między swoich towarzyszy i nazwał ten kraj od swojej dawnej ojczyzny Italią; a że jako Włosi dodawali do imion artykuł „La,” przeto z tego imienia La Italia, ściągniętego razem w prędkiem wymawianiu, zrobiło się z czasem Lituania, a znowu z czasem Litwa.

Cała ta historya o Palemonie, ta miła niepewność, czy on przyszedł za Cezara, czy za Nerona, te herby jego towarzyszów, wszystko to daje miarę krytyki Stryjkowskiego. Nie zastanowił się nawet nad tem, że Palemon i jego towarzysze mówili po łacinie nie po włosku, więc bez artykuła *La*; ani nad tem, że Colonnów i Ursinów za Cezara ani za Nerona nie było. Po takim początku oczywiście cała jego historya musi się wydać podejrzanym zbiorem najdziwniejszych baśni. I na nieszczęście baśnią być nie przestaje i dalej, kiedy autor zbliża się do czasów już lepiej znanych i pewniejszych. Synowie Palemona, Borkus (Porcius) Kunas, Spera i Dorsprungus rozradzają się w Litwie; ztąd powstają różne drobne księstwa, a od tych wywodzi Stryjkowski książąt litewskich nieprzerwanym rodowodem aż do Gedymina.

Historya litewska przeplatana jest ruską (Ruś znowu pochodzi od syna Jafetowego Mosacha, który dał swoje imię Moskwie), a ta równie jak tamta wiarogodna. O początkowych dziejach Polski najmniej. Krótko wspomniana historya o postrzyżynach i chrzcie Mieczysława, a właściwie o rzeczach polskich, mówić zaczyna dopiero, odkąd dzieje Rusi plączą się z polskiemi, to jest od Bolesława; i to zawsze tak, że historya Litwy lub Rusi jest główną, a o polskiej mówi się tyle tylko, ile koniecznie potrzeba do wyjaśnienia tamtych. I tak do końca; po Jagielle nawet, kiedy historya

Polski i Litwy stała się jedną i tą samą, zawsze na pierwszym planie są sprawy, obchodzące Litwę i jej dotyczące, nie zaś sprawy Rzpltej całej. Tym sposobem doprowadza on swoją historyę aż do roku 1582.

Jego chronologia jest, zdaniem historyków, najfałszywsza, jaka być może, genealogia książąt litewskich już w czasach historycznych, powikłana i mylna, rzecz sama pisana z wyraźnem przedsięwzięciem, żeby napisać historyę całkowitą, nie historyę prawdziwą, ztąd niezliczone umyślne przemilczania i naciągania; a przecież ci sami uczeni przyznają mu zasługę, przecież historya Litwy, pomimo Palemona i wszystkich innych baśni w znacznej części na nim się opiera. W czem leży ta jego zasługa i względna wartość? Oto w tem, że choć źródeł swoich przebrakować nie umiał, ani kontrolować, to miał ich wiele, i dziś już zaginionych, mianowicie stare latopisy litewskie i inflanckie, że zapisał o dziejach, obyczajach, pojęciach religijnych dawnej Litwy wiele rzeczy, które z ludowej tradycyi pochwytał i od zapomnienia uratował. Nie Gwagnin tylko okradł Stryjkowskiego ale późniejsi historycy Litwy (Kojałowicz) na nim się opierają. Ma on więc swoją ważność nawet dla historyi; a dla zwykłego czytelnika ma pewien urok ciekawości; fantastyczna historya, w której genealogia synów Noego łączy się z przygodami Palemona, a bratobójstwa i inne zbrodnie książąt litewskich z przygodami życia i podróży autora, z wierszami, daje się przyjemnie i z zajęciem przerzucać. W historyi naszego dziejopisarstwa zaś pozostanie Stryjkowski zawsze jako ciekawa i oryginalna figura, jako szczególny *specimen* historyka, który chce być gruntownym, krytycznym, dokładnym, przerzuca wszystkie możliwe źródła, a spisuje największe fałsze i baśnie: jako osobliwsze połączenie zachcenia krytyki, z zupełnem niedoświadczeniem i z brakiem zmysłu krytycznego.

„Wjazd króla Henryka do Krakowa" suche opisa-

nie tej uroczystości, „Goniec Cnoty," traktat moralny, w którym autor dowodzi przedewszystkiem, że prawdziwe szlachectwo zasadza się na cnocie, nie na urodzeniu, wywód królów polskich, i „*Wywód* krótki sławnego narodu Litewskiego" (powtórzenie tego, co było w kronice), wszystko wierszem, nie odznacza się niczem; a innne jego pisma, które byłyby zapewne ciekawsze i ważniejsze, jak Opisanie Turcyi Europejskiej, Historya Zygmunta Augusta, i t. d. albo zostały w rękopisie, albo zaginęły.

Jednak ten zwrot do początku dziejów polskich, ta chęć dojścia prawdy, raczej chęć złożenia nieprzerwanego ich pasma od najdawniejszych czasów, musiały nie być rzeczą zupełnie przypadkową i wyjątkową, skoro obok Stryjkowskiego zjawia się kronikarz drugi, który, podobnie jak on, chce rekonstruować początkową historyę, ale nie Litwy już ani Rusi, tylko Polski.

Jest to Sarnicki (1582), kronikarz także, i kronikarz jeden z najsuchszych, najuboższych. Całą historyę Polski chrześcijańskiej przepisuje ze swoich poprzedników, a przepisuje w wyciągach bardzo krótkich i niedostatecznych. Cała historya dwóch ostatnich Jagiellonów i Stefana, mieści się na kilku kartkach, i jest wyliczeniem niektórych tylko faktów, a jedna tylko rzecz zasługuje w niej na uwagę, to wiadomość dość obszerna o Rzpltej Babińskiej. Ale za to ma inną zasługę, daleko większą, z której się niepospolicie przechwala w przedmowie, a nawet dziwi się i skarży, że niewdzięczna Rzplta tej jego zasługi nie wynagrodziła dotąd, prosi natarczywie, żeby to zapomnienie naprawiła: oto pomnożył jej dzieje o całą trzecią część, wywiódł je od Assarmota jasno i niewątpliwie, tak, że z jego łaski mamy już całą historyę polską, od Stefana w górę aż do Noego.

W przedmowie tej, do Senatu, w której przestrzega usilnie przed niebezpieczeństwem Bezkrólewia, po-

wiada, że jak Mèdea rozproszone członki Jasona, tak on rozproszone wiadomości o początkach narodu polskiego własnemi rękoma zebrał i w całość złożył. Wprawdzie nie udało mu się spisać całego szeregu monarchów polskich od Assarmota, bo liczne wędrówki tych ludów sprawiły, że nie jedno imię królewskie zaginęło, i przerwy, nieszczęściem, być muszą; ale zawsze dowiódł, żeśmy na tej ziemi nie przybysze, lecz rodowici pierwotni mieszkańcy, a historyę naszą opowiedział nam nie od Lecha tylko (jak Długosz n. p.), ale przez cały ciąg czterech monarchij starożytnych, aż do Noego i wieży Babel.

Sem miał syna Jaktana. Jak ten Assarmota, a samo podobieństwo nazwisk dowodzi, że od tego pochodzą Sarmaci. Na tem podobieństwie opiera się cała jego historya; co robiło i gdzie było potomstwo tego Assarmota, czyli Polacy, za Nemroda, Ninusa, Semiramidy, Abrahama, Mojżesza, Dawida, Cyrusa, aż do rzymskich czasów, wszystkiego tego od niego dowiedzieć się możemy; a treść tego jest, że mieszkaliśmy na tej samej ziemi od najdawniejszych czasów, nazywaliśmy się Gotami lub Wenedami, co jest to samo co Gotowie i Wandalowie, i pomściliśmy na Rzymie krzywdy całego świata (bo fałsz, żeby Gotowie mieli cokolwiek wspólnego z Niemcami). Potem znów pobici przez Belizaryusza, jedni z nas, Wandalów, przeszli do Afryki i Sarmatami być przestali, a drudzy z Lechem na czele wrócili do dawnej ojczyzny.

Odtąd już wszystko wiadome, autor powtarza tylko rzeczy znane i pewne, do Mieczysława jeszcze cokolwiek obszerniej, potem coraz krócej; jego misya jest spełniona: wyśledził dzieje Polski aż do początku świata.

Do tego dodana jest jak gdyby mała geografia, *Descriptio Veteris et Novae Poloniae*, alfabetyczny spis różnych miejsc, z oznaczeniem stopnia, pod którym leżą, do niektórych dodany krótki opis lub historyczna wiadomość.

Sarnicki jak Stryjkowski i ich „krytyczne wstępy do Dziejów Polski,” wydają nam się dziś tylko śmieszni. Jednak nie mamy prawa bardzo im przymawiać, skoro pewności i prawdy pod tym względem sami nie mamy. Nasze hypotezy są zapewne podobniejsze do prawdy, oparte na jakichś przypuszczeniach więcej naukowych, ale któż wie co o naszych wiadomościach powiedzą ludzie za lat trzysta? W każdym razie nie można tego lekceważyć, owszem, trzeba im mieć za zasługę, że w tę stronę zwrócili swoje usiłowania, że uczuli potrzebę zbadania początkowych dziejów Polski.

Pomiędzy historykami wreszcie wspomnieć trzeba dzieło, które historyą nie jest, które owszem często jest bajką, ale które przecież do historyi należy i jest jej pomocniczem, choć ubocznem źródłem: o „Herbarzach” Paprockiego. Czy były jakie przed nim spisy rodzin szlacheckich i ich dziejów? Domyślają się niektórzy, że jakieś być musiały, że on z nich czerpał; przecież oprócz tych wiadomości, jakie podaje Długosz o niektórych polskich rodzinach, i które Paprocki sam przytacza z oznaczeniem Długosza, jako źródła, nikt innych spisów nazwać nie umie. Jeżeli więc były, to zaginęły tak zupełnie, że o nich dziś nic zgoła nie wiemy: i mamy co najwięcej tylko p awdopodobieństwo, że heraldyk XVI wieku musiał mieć do swojej pracy jakąś pomoc. Bo kroniki mówiły tylko o ludziach, którzy coś znaczyli i robili, choćby niewiele, w historyi, z nich genealogii ani historyi rodziny on złożyć nie mógł. W domowych legendach i tradycyach, choćby ich był znał bardzo wiele, mógł znaleźć wiele pomocy, ale trudno przypuścić, żeby był zbierał tradycye lub widział dokumenty i papiery familijne całego tego mnóstwa rodzin szlacheckich, o których pisze. Że wiele ludzi i rodzin znał, że wiele mógł rozpytywać i pamiętać, wiele dokumentów widzieć, to łatwo można

przypuścić; że po całej Polsce jeździł, szukając materyałów do swego dzieła, to wiadomo. Przecież trudno sobie wyobrazić, żeby o tych tysiącach rodzin był wiedział wszystko z powieści ludzkiej albo z dokumentów. Z drugiej strony znowu, jakkolwiek może być u niego wiele domysłu i niedokładności, to znowu przypuścić nie można, żeby był wszystko robił na domysł; owszem on układał Herbarz z zamiarem wielkiej dokładności; zatem, trzeba znowu przypuszczać, że gdzie mu zabrakło wiadomości z kronik, z dokumentów familijnych lub z tradycyi, tam on nie wymyślał czysto ze swojej głowy, ale zkądsić czerpać musiał. Ztąd wniosek, że przed nim jakieś spisy i genealogie rodzin szlacheckich być musiały.

Wniosek, który ma za sobą powagę Wiszniewskiego, ale który przecież jest tylko hypotezą. Jakkolwiekbądź: czy Paprocki miał pod ręką jakie gotowe herbarze i wywody genealogiczne, czy nie, to pewna, że dziś musi on uchodzić za pierwszego heraldyka polskiego, skoro poprzedników nie znamy; a jeżeli nawet byli poprzednicy, to w każdym razie jego herbarz jest pierwszym rozwiniętym, pierwszym tak wykształconym i na taką skalę ułożonym. Bardzo jest trafna uwaga Wiszniewskiego, że pojawienie się tego pierwszego Herbarza, zbioru genealogij szlacheckich i historyi rodzin, wypada na tę chwilę, kiedy stan rycerski rozwinął się do całej swojej potęgi, i wtedy zapragnął poznać się także w swojej przeszłości, widzieć ją spisaną i uratowaną od zapomnienia. Czy to było życzenie powszechne i wypowiedziane, i czy ono wyprzedziło Herbarz, czy też heraldyk instynktem tylko odpowiedział tej potrzebie społeczeństwa, wśród którego żył, w każdym razie, stanowcze zwycięstwo i ukonstytuowanie się Rzeczypospolitej szlacheckiej i „Herby Rycerstwa," w charakterystyczny sposób schodzą się z sobą co do czasu i dobrze sobie odpowiadają, uzupełniają się nawzajem.

Niema co powtarzać rzeczy tak znanych, jak to, że są dwa herbarze Paprockiego, z których drugi, obszerniejszy, „Herby Rycerstwa" (1584) jest tylko rozwinięciem pierwszego, „Gniazda Cnoty" (1578); że tu i układ jest lepszy, i więcej wiadomości o osobach i więcej różnych szczegółów, i wywody genealogiczne, jeżeli nie dokładniejsze, to przynajmniej bardziej uzupełnione. I o tem także niema co mówić, że genealogie te są niedokładne; jest to rzecz wiadoma, prostowali Paprockiego heraldycy następni, jak sami sprostowania potrzebują, a nadto, jest to rzecz zupełnie naturalna. Zdaje się rzeczą wprost niemożliwą, żeby kiedykolwiek i gdziekolwiek na świecie mógł być herbarz dokładny, wywód genealogiczny niezmylony i na wiarogodnych dokumentach oparty. Wyobraźmy sobie, że chodzi o taki wywód dla jednej tylko rodziny: przypuśćmy, jaknajwiększą zechcemy obfitość dokumentów i papierów, to przecież niepodobieństwo jest, żeby znalazły się w nich niewątpliwe ślady całego nieprzerwanego szeregu pokoleń. Co najwięcej, dałoby się to uwierzyć o rodzinach panujących, bo zawsze mniej więcej, ludzie wiedzieli i zapisywali, z kim się ten lub ów król ożenił i jakie miał dzieci; dla rodzin prywatnych jest to niepodobieństwem, nawet dla feudalnej szlachty zagranicznej, choć tam od dawnych wieków zwracano na to uwagę, choć liczba tej szlachty nie była tak wielka, jak naszej. Cóż dopiero u nas, gdzie oprócz wielkiej liczby rodzin senatorskich, nazwisk, wspominanych w historyi, były tysiące i tysiące rodzin szlacheckich; gdzie o dokumentach i ich przechowywaniu nie bardzo myślano, gdzie w napadach tatarskich mnóstwo ich poginąć musiało, gdzie w całej długiej epoce podziału Polski, aż do zjednoczenia jej pod Łokietkiem, sam wątek dziejów Rzpltej ledwo z trudnością da się odszukać i schwycić, cóż tu mówić o pasmie genealogii lub dziejów rodzinnych? A do tego jeszcze dodajmy, że u nas bardzo późno po-

wstały i ustaliły się nazwiska rodzinne, że w dawniejszych wiekach one się często zmieniały, a nie będziemy się dziwili Paprockiemu, jeżeli jego Herbarz nie jest dokładnym; przeciwnie, dziwićby się raczej można Herbarzowi polskiemu, któryby dokładnym być zdołał, zwłaszcza co do czasów dawniejszych.

Inna rzecz, czy Paprocki w tem, co pisze o współczesnych, był tak dokładnym, jak być mógł, I tu zarzucają mu wiele fałszu, a co gorzej (bo od fałszów przypadkowych ustrzedz się w tych rzeczach trudno) zarzucają mu nierzetelność umyślną, naciąganie, przekręcanie, podchlebstwa, nawet przedajność. Jest o nim mniemanie, że za pieniądze gotów był dogadzać różnym próżnościom ludzkim i dorabiać szumne genealogie nie jednemu, kto za to zapłacił, czysto z własnego wymysłu. Czy tak jest? Trzebaby samemu być heraldykiem i mieć w ręku dowody i dokumenty, żeby go złapać na uczynku; przecież rzecz jest bardzo prawdopodobna. Naprzód, było to zupełnie w zwyczajach wieku; kto żył, wywodził się z wielkich przodków; we Włoszech, gdzie było więcej erudycyi, a mniej łatwowierności, niż u nas, uchodziły wymysły tak widoczne i niezgrabne, jak te, które wywodziły Estów od Herkulesa, Sforzów od Eneasza, Caetanich od jego mamki Massimich od Fabiusza Maximusa i t. p. Widząc to,, można jeszcze dziękować Paprockiemu, że był tak umiarkowanym i że szlachty polskiej nie wiąże z bogami greckimi, ani nawet z rycerzami wojen krzyżowych. Być może, że gdyby u nas była podówczas istniała jakaś linia demarkacyjna, pomiędzy szlachectwem starem a nowem, jaką we Francyi stanowiły wojny krzyżowe, a już co najwięcej wiek XIII, to jaki taki byłby chciał początek swojej rodziny widzieć po za tą granicą, a heraldyk byłby genealogię ciągnął i naciągał, ażby ją do żądanego punktu dociągnął. Ale takiego punktu szlachta polska nie znała, a więc i genealog nie potrzebował zbytecznie naciągać, zmyślać i fanfaronować. Że

zaś zupełnie rzetelnym i prawdomównym nie był, że naciągał, może nawet naciągał za pieniądze, o tem z pewnością nie wiedząc, można przecież przypuszczać łatwo, znając Paprockiego zkądinąd, jako człowieka nie bardzo skrupulatnej uczciwości.

Ale jeżeli tyle jest w jego Herbarzu błędów, jakaż i zkąd ta wartość, którą mu przypisujemy? Jest ona dwojaka. Historyczna naprzód, która polega na tem, że on podaje wiadomość o mnóstwie rodzin i o mnóstwie osób, że w szczegółach może być niedokładnym, ale oczywiście mówi o takich, które były za jego czasów, i z tego względu jest niezawodnym dowodem i powagą, co się tycze nazwisk i herbów; powtóre, że o znaczniejszych osobach historycznych podaje nieraz przydatne szczegóły biograficzne; wreszcie, że sam przez się jest charakterystycznym pomnikiem swego czasu, do jego znajomości w niemałej mierze pomocnym.

ROZDZIAŁ VI.

(1587—1600).

I. Zmiana w stanie Polski po śmierci Batorego, w literaturze po śmierci Kochanowskiego. Mniejsi poeci. Szarzyński. Grochowski. Wiśniowski. Andrzej Zbylitowski. Satyry Bielskiego. Paszkwile Paprockiego. Klonowicz. II. *Kronika Polska* Bielskiego. Zwrot w literaturze politycznej. Warszewicki. Górnicki. Wereszczyński. Grabowski. III. Skarga. Związek z Kościołem powszechnym i polskim. Obrona Kościoła i stanowisko względem protestantów. Unia. Wewnętrzna poprawa Polski. Bractwo Miłosierdzia. Żywoty świętych. Kazania na niedziele i święta. Kazania o siedmiu Sakramentach. Pobudki do Czterdziestogodzinnego nabożeństwa. Kazania pogrzebowe i dziękczynne. Kazania Sejmowe. Charakterystyka ogólna. IV. Postęp literatury polskiej w wieku XVI. Jej stopień. Jej znamiona. Uczciwość. Cywilizacya. Wpływ literatur obcych. Wyższość prozy nad poezyą. Pierwiastki własne i oryginalność. Tendencya patryotyczna i praktyczna. Miłość ojczyzny. Przeczucia upadku. Wzrost literatury, ale schyłek Rzeczypospolitej. W skutku tego stopniowy schyłek literatury. Brak starania. Bierność. Fałszywa wolność i fałszywa równość. Puścizna na wiek XVII.

I.

Zmiana w stanie Polski po śmierci Batorego, w literaturze po śmierci Kochanowskiego. Mniejsi poeci. Szarzyński. Grochowski. Wiśniowski. Andrzej Zbylitowski. Satyry Bielskiego. Paszkwile Paprockiego. Klonowicz.

Kiedy ubył król Stefan, kiedy ubył Kochanowski, musiała w stanie Polski i w jej literaturze zajść zmiana taka, że te lata 1586, 1584, można uważać za koniec jednego okresu, a początek innego.

W historyi zmiana jest głębsza, smutniejsza, i odrazu widoczna. Podwójna elekcya, w jej skutku wojna; a ta, choć zwycięstwem lepszej sprawy zakończona, była oczywistym skutkiem i znakiem, że proces wewnętrznego rozprzężenia nie powstrzymał się, ale postępował. Na tronie zamiast Stefana, Zygmunt III, z tą naturą zamkniętą w sobie, która mu odstręczała umysły i serca poddanych; nie bez myśli i zasad, ale te były raczej doktryną, niż polityką; ze stałem przywiązaniem do tych myśli i zasad, ale w tej stałości uporu więcej, niż woli; a brak i zdolności pozyskania innych dla swojej myśli, i siły, żeby tę myśl narzucić i wykonać. Z tych zasad, szczerze wyznawanych, ale niezręcznie praktykowanych, z tego uporu przy swojem, wynikają nieszczęścia jego panowania: wojny szwedzkie, milcząca zgoda, jeżeli nie pozwolenie na wyprawę moskiewską z Dymitrem, powód wojen i klęsk później-

szych, i ta polityka austryacka, która króla wiedzie do układów z cesarzem o polską koronę, przez to musi naród od króla odwrócić i sprowadza sejm inkwizycyjny, w w dalszem następstwie rokosz Zebrzydowskiego. Ten sejm był upokorzeniem króla, z pod którego jego powadze trudno się już było podnieść; rokosz, a właściwie jego koniec, materyalne zwycięztwo króla, ale moralny tryumf i bezkarność rokoszu, to było ubezwładnienie korony, z którego się ona już nie podniosła. Smutny więc jest ten schyłek XVI wieku w historyi. Słońce zaszło; nastał zmierzch, który mógł był się rozproszyć, była niejedna potemu sposobność, ale się nie rozszedł, tylko ciemniał i ciemniał, aż skończył się nocą.

Widok literatury nie tak smutny; owszem zrazu zda się, jak gdyby wszystko zostawało, jak było. Jeden człowiek umarł, darmo, każdy umrzeć musi; ale jest innych wielu, i znakomitych. Najwięksi, najświetniejsi, przeciągają swój żywot w wiek następny, Skarga, Heidenstein, Górnicki; a młodsi i mniejsi, którzy zawód swój za króla Stefana zaczęli, długo jeszcze będą żyli i pisali. Piszą zaś i myślą, tak jak myślano i pisano dotychczas, tak, że schyłek wieku zdaje się niczem nie różnić od jego trzeciej ćwierci, przejście z XVI w XVII jest łagodne i prawie nieznaczne. Nawet w poezyi na pozór różnica niewielka. Zabrakło jednego wielkiego, ale za to zjawiają się mniejsi w liczbie większej, niż dotąd, a między nimi pokażą się i niezwykłe niezaprzeczone talenta, jak Szymonowicz.

A jednak różnica jest; współcześni może jej nie dostrzegali, ale my potomni nie możemy jej nie widzieć i nie przyznać. Jest przynajmniej bardzo widoczna właśnie w poezyi. Ilość nie zastąpi jakości; a kiedy po śmierci jednego poety, inni nie idą naprzód, nie wznoszą wyżej swoich natchnień i swojej sztuki, nie rozszerzają widnokręgu swojej myśli, nie próbują się w nowych formach, to znak niemylny, że przyszedł na poe-

zyę jakiś zastoj, z którego jeżeli się nie otrząśnie, zacznie stopniowo chylić się do upadku.

Przy śmierci Kochanowskiego, i w najbliższych po niej latach, widzi się w Polsce poetów kilku. Cenili ich współcześni, a potomni przechowali ich pamięć i sławę, może większą, niż na nią zasługiwali. Ale talent prawdziwy musiał mieć z tych poetów jeden *Sęp Szarzyński*. Kto wie, ten może byłby godnym następcą Kochanowskiego; nieszczęściem umarł młodo, a zostawił po sobie ledwo kilkanaście wierszyków, które na próbki talentu ledwo wystarczą, ale na losy poezyi wpłynąć, ani fundamentem wielkiej sławy być nie mogły. Szkoda, bo z tych próbek znać i talent, i umysł sympatyczny, pociągający. Widoczny jest na Sępie wpływ Kochanowskiego, ale widoczne i to, że on korzystał ze swego poprzednika jak człowiek rozumny i zdolny. Korzystał, przejął się nim, ale go nie małpował; kto wie, może marzył, może próbował wedrzeć się jego śladem na skałę pięknej Kalliopy, a z jego pomocą wedrzeć się jeszcze wyżej. Przynajmniej niezaprzeczona jest śmiałość, przedsiębiorczość, może ambicya poetyczna w tem, że choć co do zakresu i rodzaju poezyi trzyma się dość ściśle w sferze Kochanowskiego, to przynajmniej próbuje form nowych, i to nie łatwych wcale. Prawda, że Kochanowski już przed nim dostatecznie wygiął był język; jednak nie bez zdziwienia, nie bez przyjemności spotyka się u niego sonet, i to sonet zupełnie dobry, lepszy, zręczniej napisany, niż u Kochanowskiego, i dość liczny. Sonet taki, w którym myśl ważna i rozumna całkowicie i zrozumiale zamyka się w tej formie ciasnej i niewygodnej, ale doskonale skończonej i zaokrąglonej. Niezawodnie to postęp, jeżeli nie dla poezyi, to przynajmniej dla języka. Może to złudzenie, a może przypadek: może gdybyśmy mieli więcej Szarzyńskiego wierszy, znalazłoby się i więcej niedoskonałości, ale w tych, które mamy, zda mi się mniej jest rymów łatwych i niedoskonałych,

aniżeli u Kochanowskiego, a wyrażenia mają często piękność i siłę godną najpiękniejszych wierszy tamtego.

Czemby był, Sęp gdyby był pożył, wiedzieć nie można; może, wnosząc z dwóch fragmentów o Strusiu i o Herburcie poległych w bitwach z Tatarami, można przypuszczać że byłaby z czasem odezwała się żyłka epicka; to pewną, że fragmenty te są piękniejsze, niż naprzykład Kochanowskiego „Wtargnienie do Moskwy,” ale dziś nie możemy uważać Sępa jak za lirycznego poetę. W liryzmie jego jest wiele podobieństwa z uczuciem i natchnieniem Kochanowskiego. W jego kilkunastu wierszykach znajdują się, jak w pieśniach tamtego, i religijne, i miłosne, i okolicznościowo patryotyczne; religijne widocznie na wzorze tamtych kształcone i na wzorze Dawida, którego kilka psalmów tłómaczył Szarzyński, nie tak przecież pięknie, jak wielki Jan; w miłosnych, znowu jak u Kochanowskiego, znać jakieś lekkie wesołe Horacyańskie usposobienie, naprzykład w pieśni:

Zaprząż nie tygry, nie lw'ce Cyprydo etc.

Jednak pogoda ta nie jest u niego stałą, a o ile z małej liczby pozostałych wierszy wnosić można, musiał być w tej duszy (i w tem do Kochanowskiego niepodobny) jakiś smutek posępny, jakaś skłonność do melancholii. Zniechęcenie do świata, żywe uczucie jego znikomości, ciągła myśl o Bogu, śmierci, wieczności, oto co najczęściej powtarza się w jego poezyi tonem poważnym, głębokim i męskim. Posępność to wrodzona, lub też nabyta w skutku jakich smutnych przejść, czy może przeczucie wczesnej śmierci? któż zgadnie; ale takiego usposobienia wyrazem są najpiękniejsze z jego sześciu sonetów, mianowicie drugi i czwarty. Piąty, jeszcze od tamtych lepszy, jest tak nacechowany jakąś mistyczną, gorejącą aspiracyą do wszech miłości i wszech piękności, że przypomina

nieco wiersze św. Teresy, albo niektóre Sonety Michała Anioła.

Z dziewięciu pieśni, pomiędzy któremi znajdują się i owe wiersze na śmierć Herburta i Strusia, najpiękniejszy jest może początek pieśni na śmierć Strusia „Izasz wódz Tebański iż umarł zgromiony,“ i pełen zapału i uwielbienia wiersz do króla Stefana.

Oprócz tych, zostały po Sępie same drobne wierszyki, epigramy, nagrobki, napisy, drobiazgi, jak się wyraża pierwszy wydawca; ale między tymi drobiazgami wiersz jeden, najpiękniejszy, jaki on napisał, i taki, któryby zaszczyt przyniósł każdemu, nawet bardzo wielkiemu poecie, to: Epitaphium Rzymowi.

I trzeba, żeby człowiek taki umarł w młodości; a ręka braterska zaledwie kilkanaście wierszyków jego ocaliła od zapomnienia! Literatura ma swoje nieszczęścia, jak historya: Kazimierz W., Zygmunt August, zeszli bezpotomnie, syn Władysława IV umarł dzieckiem. Na mniejszą skalę, ale podobnem nieszczęściem dla naszej poezyi była może śmierć tego młodego Sępa, bo, sądząc z jego pozostałych wierszy, wnosi się może mylnie, ale nie bez prawdopodobieństwa, że gdyby był pożył, to jeżeli nasza poezya nie byłaby poszła w górę, przynajmniej upadek jej nie byłby tak szybki i tak zupełny.

Wyrobienie języka i wiersza ułatwiało zadanie ochotnikom poezyi. Rośnie też ich liczba; więcej, niestety, niż ich wartość. Profesor Brückner, niestrudzony a szczęśliwy w odkrywaniu rękopiśmiennych zabytków, odnalazł wiersze kilku poetów, częścią wiadomych z nazwiska, jak Grabowiecki, Smolik, Dzierżanowski. Ale dodaje uwagę, że jest w nich charakteru dużo, tylko języka, stylu, talentu, mniej.

Do zapamiętanych i znanych, a niekiedy zbyt łaskawie ocenianych, należy ksiądz Stanisław Grochowski jeden z epigonów Kochanowskiego. Znać po jego poezyach, że i on miał ten wzór przed oczyma, i że starał się go na-

śladować; ale znać także, że poezya nasza już się była przesiliła i z zenitu swego chyliła się do zachodu. Grochowski wypada na schyłek wieku; jakkolwiek około jego połowy urodzony, w pismach swoich nie sięga po za czasy Stefana, a większa ich część przypada już na panowanie Zygmunta. Czy poeta był bez talentu, czy też na poezyi już się pokazywało to wyczerpanie z sił i dzielności, które niebawem objawić się miało w życiu, dość, że Grochowski, choć pisze dobrym i czystym językiem, a zły smak objawia się u niego lekkimi dopiero symptomami, przecież nie ma ani tego języka i wiersza, ani tej poetycznej zdolności, co, o Kochanowskim już nie mówiąc, Szymonowicz albo Szarzyński. Nie jest to jeszcze zupełny upadek, ale nie jest już świetność i zdrowie; i ta poezya blada, bezbarwna, monotonna i nudna, wydaje się po tamtych tak, jak po jasnym dniu zmierzch.

Wiersze Grochowskiego są bardzo liczne. Większą część stanowią religijne; podobieństwo to z Kochanowskim nie jest zapewne skutkiem zamiaru i naśladownictwa, ale naturalnym skutkiem duchownego powołania autora. O tych poezyach niema nic do mówienia. Naprzód nie są one oryginalne, ale tłómaczone; a jeżeli Kochanowskiego przekład Psalmów zawsze się wspominać każe dla swoich piękności językowych i dla wpływu, jaki wywarł na wykształcenie języka, to mdły język i wiersz co najwięcej przyzwoity Grochowskiego, jego przekładom nie daje prawa do ludzkiej pamięci. Przełożył on wszystkie Hymny i Prozy i Pieśni, używane w nabożeństwach kościelnych, może wiernie, ale nie pięknie, a o całym tym zbiorze jedno tylko da się zrobić spostrzeżenie, źle za autorem świadczące, że żadna z tych pieśni nie przyjęła się i do naszych czasów nie przeszła, żadna w jego tekście po kościołach śpiewaną nie jest.

Jego poezya świecka składa się z dwóch pierwiastków: jest po części bladem i słabem odbiciem Ko-

chanowskiego, po części już zapowiedzią zbliżającego się panegiryzmu. Wpływ Kochanowskiego, a raczej tylko chęć naśladowania go, znać w formie; poezye te to Treny i Pieśni, kute nawzór tamtych aż do niewolniczego niekiedy naśladowania wierszy, zwrotów lub myśli. W treści, to już początek i zaród panegiryzmu, bo wszystkie są okolicznościowe, wszystkie wesołe czy smutne, Elegie czy Epithalamia, wszystkie do kogoś, do jakiejś znacznej osoby, której powodzenie lub zgon poetę zdaleka tylko obchodziły. Umiera królowa Anna, pierwsza żona Zygmunta III, Grochowski pisze *Pogrzebowe Plankty wszystkich Prowincyi i Stanów*; umrze Zamoyski, on znowu wylewa *Łzy smutne* w tysiącu co najmniej wierszy; śmierć kardynała Maciejowskiego wydobywa z niego żałosne *Treny*, i tak dalej; a kiedy król Zygmunt przyjeżdża ze Szwecyi, kiedy Maryna Mniszchówna wybiera się do Moskwy, on sypie wiersze pochwalne i za wszystkich i od wszystkich wszystkim życzy i winszuje. Nie potrzebuje nawet tak wielkich okazyj; byle Nowy Rok, jest jemu dostatecznym powodem, żeby winszować i życzyć w kolędzie wszystkim, kto żyje w Koronie i Litwie, od króla począwszy. Otóż, kiedy Muza jaka tylko w takich okazyach i tylko na to budzi się i rwie do lotu, znak niezawodny, że to Muza słabiutka, okolicznościowa, przypadkowa, dworska, znak, że panegiryzm już niedaleko. Treny na śmierć Urszuli były także spowodowane wypadkiem, okolicznością? Niezawodnie, i większa część poezyj, przynajmniej poezyj lirycznych na świecie tak samo. Tylko śmierć Urszuli wstrząsła uczuciem ojca; śmierć Bernarda Maciejowskiego, choć był może jego dobrodziejem, nie rozdarła serca Grochowskiemu; śmierć królowej Anny i jej tylko co narodzonego syna, mogła w nim obudzić co najwięcej ten żal zimny i lekki, jaki się składa w hołdzie cnotom osób cnotliwych, ale nieznanych i obojętnych, albo ten żal konwencyonalny, jaki się składa na grobie figur wielkich a zwłaszcza

koronowanych, przez uszanowanie (niema powodu posądzać go o podchlebstwo) dla żywych. Cóż dziwnego, że w takich trenach, zwłaszcza, że są długie i złożone z kilku lub kilkunastu pieśni, on jest zimny i nudny, że się powtarza i sili na wymowne wykrzykniki żalu? On to co mówi, czuje może, ale nie bardzo żywo. Prawda, że nawet, kiedy opłakuje śmierć tego, którego nazywa swoim najdroższym przyjacielem, Mikołaja Dobrocieskiego kanonika krakowskiego, zdobywa się także tylko na żal retoryczny a zimny, narzeka na bramę od domu tego kanonika, że niebaczna wpuściła śmierć, woła, kto mu da dość słów, żeby swój żal wypowiedział, dość łez, żeby go opłakał, ale sam rzewnego słowa ani łzy nie znajduje.

Że dobrego smaku nie miał, dowodzi choćby tylko przyjęty system, typ zawsze jeden, którego się w tych swoich lamentach trzyma. W „Planktach" na śmierć królowej Anny płacze nad grobem naprzód Korona Polska, potem każda po kolei z jej prowincyj: Wielkopolska, Małopolska i Litwa, potem Ruś, Prusy, Mazowsze, Podlasie i tak dalej, aż do Inflant. Człowiek, mający cokolwiek zmysłu artystycznego, byłby poznał z góry, że niełatwo mu będzie dla każdego inną skargę wymyślić, i że te narzekania wpadną w powtarzanie i muszą być nudne. On na tem nie przestaje, ale jeszcze wyprowadza małego królewicza Władysława, małą królewnę, potem dwór królowej, potem jej spowiednika, potem Warszawę, potem Kraków, potem jeszcze Głos Pospolity, i to wszystko z osobna opłakuje i wychwala zmarłą w kilkunastu, a nieraz kilkudziesięciu wierszach. Tego samego zwyczaju trzyma się i w innych nagrobnych żalach. Treny na śmierć Maciejowskiego, są najotwartszem naśladowaniem „Trenów" Kochanowskiego, ale i tu wzywa do płaczu naprzód brata, potem dwór kardynała, potem dyecezyę Gnieźnieńską, Krakowską, Łucką, potem Jezuitów, duchowieństwo całe, Akademię krakowską, ubogich, każde

w osobnym trenie. Podobnie i w żalach na śmierć Dobrocieskiego; owszem kiedy przestaje płakać, a zaczyna tryumfować, naprzykład w pieśniach na ślub Maryny z Dymitrem, znowu ten sam system; w każdej pieśni ktoś się raduje i tryumfuje, a w każdej kto inny: wojewoda sandomirski naprzód, potem car Dymitr, carowa, król, królewicz Władysław, Wiśniowieccy, Korona Polska, Moskwa... Łatwo sobie wyobrazić, jak ta monotonia powtarzanych, a zaledwo słowami różniących się radości, staje się ckliwą i nużącą.

„Kalliopea Słowiańska” jest zimnym panegirykiem na koronacyę Zygmunta III.—„Pieśni Kalliopy Słowiańskiej na zwycięstwo pod Byczyną,” które doprawdy mogłoby było natchnąć człowieka, zdolnego do natchnienia, są także retoryczną tylko pochwałą zwycięstwa i zwycięzcy. Jaki zaś był smak autora, jakie jego koncepty i jakie dowcipne gry wyrazów, można wziąć miarę z tego, że w wierszu na śmierć Hołubka, poległego pod Byczyną rotmistrza kozaków, nabawiwszy się do woli tem nazwiskiem, które znaczy gołąbka, nałajawszy śmierci, że go wywabiła z gołębnika, kończy takim wierszem:

„Bodaj wszystkich wieszano na wysokim dębie,
Którzy ważą się strzelać na takie gołębie.”

Pewną ciekawość obudza jego „August Jagiełło wzbudzony.” Warszewicki, niezdolny swoim pedantycznym umysłem ocenić wielkich zalet Zygmunta Augusta, a oburzony na niego za tolerancyę względem różnowierców, zgorszony obyczajami niezupełnie przykładnymi, szarpnął niesprawiedliwie pamięć jego w swoich *Paralellach* królów i cesarzów. Grochowski, wiedziony dobrem uczuciem sprawiedliwości, chcąc zmyć zmarłego króla z niesłusznych zarzutów, napisał tego „Augusta Wzbudzonego. Myśl dobra i obudzająca sympatyę i do autora i do wiersza, ale wykonanie słabe. Przed śpią-

cym Zygmuntem III staje zmarły wuj ze swoim kanclerzem Dębińskim, żali się na potwarze, które po śmierci znosić musi od dawnych poddanych i rozkazuje kanclerzowi, żeby na odbicie tych potwarzy przypomniał jego czyny i zasługi. Następuje więc rekapitulacya wszystkich przymiotów człowieka, słuszna, ale zimna i martwa.

„Babie koło," wiersz satyryczny, czterozgłoskowy, w którym baby kościelne roztrząsają przymioty różnych kandydatów na biskupstwo krakowskie, a w końcu oświadczają się zgodnie ze zdaniem autora za Bernardem Maciejowskim, wiersz, który nie wiedzieć dla czego cieszy się pewną sławą po naszych historyach literatury, ani dowcipem, ani piękną formą nie ma do tej sławy prawa. *Święta Cecylia*, jedyny obszerniejszy poemat Grochowskiego, osnuty na tle jednego z najpoetyczniejszych może żywotów, jakie są w Martyrologium, bez inwencyi, bez prostoty i wdzięku legendy, bez uczucia, jest niegodnem obrobieniem pięknego przedmiotu. Słowem, kiedy Grochowski często rad o sobie powtarza, że

Ani go Linus nie zwycięży pieniem,
Ani Orfeus łagodnych strun brzmieniem,

łudzi się i nikt mu z czystem sumieniem przyświadczyć nie może. Jednak historycy literatury przyznają mu czasem niepoślednie miejsce między poetami, a mianowicie język, godny Kochanowskiego. Tak nie jest. Język ten jest tylko poprawny i czysty, to znaczy, że jest dobry; pięknym nie jest. Bez stylu, bez jednego zwrotu żywego, energicznego lub wdzięcznego, język ten nawet w prozie nie byłby pięknym, w poezyi jest do znużenia mdłym, poziomym i prozaicznym. Że jest poprawnym, albo że rym jest bogatszy, wiersz gładszy, aniżeli u Reya, to nie sztuka, skoro Grochowski pisał już po Kochanowskim, ale pięknym; zupełnie dobrym, ten

wiersz nie jest. Nietylko Kochanowskiego nie jest godzien, ale daleko częściej niż Kochanowski wpada w rymy łatwe i oklepane, a krótki ośmiozgłoskowy wiersz, którego najczęściej używa, zastósowany zwłaszcza do rzeczy dłuższych, staje się tak jednostajnym i dla ucha nużącym, że jedna tylko sztuka Słowackiego może zaradzić na wrodzoną jego monotonię.

Wszystko razem wziąwszy, jest to poeta bez wielkich pretensyj prawda, ale też i bez talentu, w formie jeszcze poprawny, ale już nie piękny, w smaku jeszcze nie bardzo, ale już zepsuty, w pomysły ubogi; inwencyi, uczucia, wyobraźni pozbawiony zupełnie; jeszcze odbija słabo niektóre echa poezyi Kochanowskiego, już jedną nogą wstępuje na nieszczęsną błędną drogę panegiryzmu. Słowem stoi on, jak gdyby na przejściu od pięknej i jędrnej do mdłej i zepsutej poezyi, i przejście to wierszach swoich wyobraża.

Pomiędzy naśladowcami, którym laury Kochanowskiego spać nie dawały, a którzy myśleli naiwnie, że sławę podobną zdobędą dla siebie, jeżeli zrobią materyalne naśladowanie jego poezyi, najbardziej niewolniczym a najmniej szczęśliwym jest pewien Tobiasz Wiśniowski, o którym dlatego tylko wspomnieć trzeba, że zwykle wymieniają go historye literatury, przynajmniej dawniejsza; trzeba więc powiedzieć, że wspominać nie warto, a mówić niema o czem. Ten biedny młodzieniec, aryanin jak się zdaje, bo w wierszach swoich mówi o zborze (a nigdy o kościele) i o świetle nowej prawdziwej wiary, stracił matkę, a zamiast żałować jej pocichu, jak wszyscy, wylał żal swój w wierszach i ogłosił drukiem, pod formą i tytułem „Trenów.” Musiało się biedakowi wydawać, że „Treny” na śmierć matki będą parą do „Trenów” na śmierć córki, ale będą czemś różnem zupełnie—sam marzył może o tem, że stanie się parą do Kochanowskiego. Napisał więc „Treny,” dedykował jakiejś Pani z Jedlińska Kadłubskiej, która wychowywała jego nieboszczkę mat-

kę, i puścił w świat, ozdobiwszy przemową do książek, w której autor przepowiada im, że mogą spotkać się z naganą, „bo różne obyczaje mają różne pany," ale widocznie rachuje i na wdzięczność i na to, że „łaskawy czytelnik pilno się nad niemi zabawi i zapłaknie."

Niestety, nikt się ani nie zabawi, ani nie rozpłacze nad tymi wierszami, które są naśladowaniem „Trenów" Kochanowskiego, niewolniczem aż do śmieszności, a niedołężnem do największej ckliwości.

Andrzej Zbylitowski występuje po raz pierwszy w roku 1587, z *Witaniem* nowo obranego króla Zygmunta III, a ten wiersz pierwszy jest niejako zapowiedzią dalszego zawodu, bo większą część swoich wierszy pisze on do króla albo o nim.

Są to po większej części wiersze małe. okolicznościowe, już panegirycznego zakroju, na jaki przyjazd królewski, na urodzenie królewicza Władysława, na wesele jakichś znajomych lub przyjaciół. Ten sam charakter okolicznościowy i panegiryczny ma jego wielki poemat w czterech pieśniach *Droga do Szwecyi*. Zygmunt III z żoną, siostrą, z licznym dworem jedzie na pogrzeb ojca i swoją koronacyę. Poemat bardzo smutny: rodzaj dyaryusza podróży, który napisany prozą może i dziś miałby swoją wartość, a w swoim czasie ogłoszony w jakich Ephemerydach, jakie już w Europie (choć nie u nas) jawić się zaczynały, budziłby ogromne zajęcie. Król jegomość przyjmowany był bardzo szumnie w Toruniu, potem w Gdańsku, na przemowy powitalne, to i to raczył odpowiadać—potem wypłynął na morze, kto z kim jechał na jakim okręcie, jak trudną mieli przeprawę, jakie ich burze rzucały po morzu, jak paradnie odbył się pogrzeb króla Jana, a potem koronacya króla Zygmunta w Upsali: wszystko to w owym czasie byłoby czytane ciekawie, gdyby było pisane zwykłą prozą. Ale ta sama rzecz, która uszłaby w prozie, staje się nudną i nieznośną, kiedy się chce podnieść do wysokiego poetycznego tonu,

a opowiada same drobne powszednie codzienne *faits divers*, do tego jeszcze opowiada je czystym dobrym polskim językiem, ale niedołężnym wierszem o rymach albo zbyt łatwych albo źle dobranych. Wprawdzie biedny poeta sili się jak może, żeby swój przedmiot upoetyzować, ale na to nie umie wynaleźć lepszego środka, jak mitologię. Podróż jest morska, więc sposobność wyborna do poruszenia wszystkich bóstw wodnych od Neptuna do najostatniejszego Trytona; wszystko to jest ciągle na scenie, nię odstępuje okrętów, winszuje sobie, że ma honor przyjmować u siebie takiego wielkiego króla; Trytony dziwią się wdziękom ślicznej królowej, jakich nigdy jeszcze nie widziały, Nereidy i Syreny chciałyby jej służyć. Wszystko to jest okropnie nudne; czasem tylko staje się komicznem, mianowicie wtedy, gdy ten świat mitologiczny w bujnej wyobraźni poety wchodzi w bezpośrednią styczność z rzeczywistym. Mniejsza o to, że królowa, siadając na galar w Warszawie, oddaje się pod opiekę Wandy, jako geniusza Wisły, i obiecuje jej hojne ofiary, jeżeli szczęśliwie powróci; jest to dziwaczne, ale doprawdy ta modlitwa do Wandy, to jeszcze jedno ze szczęśliwszych miejsc całej poezyi (Pieśń 1). Ale bardzo komiczny jest Zygmunt III, miotany burzą po morzu, zagrożony niebezpieczeństwem i modlący się do Neptuna! Jakie to do niego podobne!

A te śmieszności to jedyne oazy na oceanie tej nudnej żeglugi. Drobne szczegóły zapisane ze skrupulatnością jakiego mistrza ceremonii, a bynajmniej nie opisane, dużo szczegółów, ale żadnego z nich autor nie umie zrobić zajmującym; najciekawsze może to, że podaje nazwiska niektórych polskich okrętów. Tych biednych okrętów było tak mało i tak się mało wsławiły, że nikt nie uważał nie na i nikt może nigdy ich nazwisk nie zapisał. Tutaj przypadkiem przechowała się pamięć jakiegoś „Łabędzia,” „Rycerza,” „Wilka,” „Niedźwiedzia,” na którym płynął legat papieski, i jakiejś

„*Fortuny*,” która ze wszystkich statków tej wyprawy była najszybszą. Co dziwniejsze, przechowało się i imię jakiegoś sławnego poety, który z królem był w tej podróży, a o którym nikt nigdy nie wspomniał. Na tej samej „*Fortunie*” jechał Dzierżanowski, poeta. Musiał ten poeta, tak chwalony, mieć wielką sławę ze swoich wierszy, skoro go król chciał mieć przy swoim boku, skoro jechał nie pomiędzy mniejszemi figurami dworskiemi, ale z wielkimi honorami na jednej nawie z księdzem podkanclerzym (bisk. Tarnowskim) Dziwna rzecz, że do nas nie doszły nietylko jego dzieła, ale nawet jego imię, i trzeba przeczytać *Drogę do Szwecyi*, żeby się dowiedzieć, że był na świecie taki poeta.

Pierwsza księga obejmuje podróż Wisłą, pobyt dworu w Gdańsku, a kończy się wsiadaniem na okręty; druga opowiada żeglugę morską, różne burze, opisane bez najmniejszego talentu, a na wzór burzy z pierwszej pieśni „Eneidy,” i przyjazd do Sztokholmu; w trzeciej obrząd pogrzebowy zmarłego króla i koronacyjny nowego, czwarta powrót do Gdańska, już bez żadnych przygód. Prawda, że takie dworskie ceremonialne podróże i obrzędy niewiele mogą mieć w sobie poetycznego materyału: przecież gdyby nasz Zbylitowski był miał trochę daru obserwacyi lub obrazowania, mógłby z niejednej rzeczy skorzystać. Naprzykład, przygody podróży nie były małe; okręty były w prawdziwem niebezpieczeństwie: jeden z nich odbity, zawinął gdzieś do jakiejś dzikiej skały i tam tydzień przeszło czekał, aż mu jakiś drugi przyszedł na ratunek. Z tego epizodu dało się coś zrobić. Albo, gdyby był patrzał lub chciał powiedzieć, co widział, to pobyt w Szwecyi otwierał mu szerokie pole do obserwacyi. Pokazać, jak ten król katolik obejmował królestwo niechętne mu i gotowe do buntu, spisek ukryty pod pompą oficyalnego przyjęcia i koronacyi, Sudermana, jak asystuje obrzędowi, a patrząc na koronę, wkładaną na głowę synowca, myśli, jak rychło jego zdradzi, a ją na

swoją głowę przeniesie. Wszystko to było materyałem, może nie bardzo poetycznym, ale ciekawym, a poeta choć przyszłych wypadków nie mógł przewidzieć, to usposobienie luterskiej Szwecyi względem Zygmunta mógł widzieć. On tymczasem daje suchy spis dworskich uroczystości, i konwencyonalny opis zapału i radości wiernych poddanych na widok ukochanego króla.

Jego drugi poemat *Żywot szlachcica na wsi*, to rodzaj idyllicznej pochwały, w której szlachcic wystawia swoją błogosławioną mierność, swoje skromne, ale miłe i dostatnie *Sabinum*, w którem *procul negotiis* i pokus wielkiego świata, Pana Boga chwali i nie obraża, a żyje przyjemnie na ojcowskiej roli, orząc żyzny zagon, ciesząc się swojem bydłem i końmi, polując czasem, bawiąc się rozmową z sąsiadem i chłodząc winem w cieniu drzew, lub grzejąc się jesienią przy kominie. Słowem, dobrze mu jest, rad z tego, i opowiada, jak mu dobrze, dziwując się przytem i narzekając, że są ludzie, którzy takiego szczęścia nie rozumieją, ale i sobie, i innym, i krajowi szkodzą próżniactwem, pijaństwem, zbytkami, niepokojem, ambicyami, kłótniami etc. Poemat lepszy niezaprzeczenie, aniżeli *Droga do Szwecyi*, nie tak konwencyonalny i upstrżony mitologią, a gdyby mniej dyletancki, gdyby więcej biegłości, gdyby wiersz lepszy, rym nie tak jednostajny i łatwy, byłby może wcale przyjemny do czytania. Bo nie jest bez wdzięku widok człowieka tak poprostu i poczciwie uszczęśliwionego ze swego losu, a nie jest bez prawdy i zasługi to, co on mówi współczesnym, jako przestrogę i naukę.

Cel jest nauczający, moralny; coś podobnego do Reyowego *Żywota*, a nawet podobny sposób pojmowania życia i używania jego darów, jak świadczy sam początek. Ale cóż, kiedy nasi Polacy na takiem szczęśliwem a cnotliwem życiu przestawać nie chcą; rozpuścili się bardzo, zbytkują, marnują, przesadzają się jeden nad drugiego w strojach, w biesiadach, w licznych orsza-

kach służby; panie szlachcianki, za przykładem mężów, robią to samo, a z tego skutek, że i sami niszczą się na majątkach i Rzplta upada, bo niema jej komu poratować. To samo zupełnie, co u wszystkich statystów i moralistów XVI wieku, to samo co u Reya, to samo, na co między innymi powstawał i Skarga. I nie lepiejże, siedząc na wsi, żyć spokojnie a wesoło, młodo się ożeniwszy, doczekać prawnuka, patrzeć na swoje zbiory, na swój dobytek, na kosiarzy na łące i żniwiarki w polu, słuchać skowronka i słowika, patrzeć na piękną rzekę przed oknami dworu, z sąsiadami się bawić, dzban jeden i drugi wychylić, czytać piękne księgi wolnym czasem, a dopieroż, jeżeliś uczony, piękne księgi pisać.

Komuby się takiego nie chciało żywota.

On, znać, że czuł ten jego wdzięk, który opisuje; znać, że to wszystko szczere, pochodzące z prawdziwego przejęcia, a wzięte z doświadczenia, z natury, nie z cudzych opisów, ani z rozumowania. Owszem, zdaje się, że nasz poeta nie był pozbawionym pewnego uczucia natury, ani pewnego daru obrazowania. Naprzykład, widok, na który patrzał z okien swego dworu i który mu się tak podobał, jest opisany tak dokładnie, że się dziś jeszcze zupełnie do miejsca stosuje. Polowanie tylko, którego zdaje się wielkim był amatorem, gorzej mu się udało. Zaczyna wprawdzie od przepiórek i kuropatw, od swego krogulca i swoich ogarów, zanosi się na zajmujący obrazek ówczesnych łowów; na nieszczęście miesza się w to mitologia; „śliczna Cynthia" przypatruje się jego polowaniu i cieszy się,—i jak wdał się w historyę Cynthyi, Atalanty i wszystkich mitologicznych myśliwych, tak o sobie, swoich psach i sokołach zapomniał zupełnie, i swojego polowania nie opisał.

Był jakiś drugi poemat w tym samym rodzaju,

Wieśniak, jeden z wężów morskich literatury, o których od czasu do czasu wszyscy mówią, a których nikt nie widział. Czytał tego „Wieśniaka” Euzebiusz Słowacki i niektóre z niego wyjątki podał w swojej „Nauce Poezyi,” i odtąd co pewien czas powtarzają się w literaturze poszukiwania „Wieśniaka” i skargi o zniknione jego części, albo pytania, czy on jest lub nie jest tem samem, co *Żywot szlachcica na wsi*. Że nie jest tym samym, ale innym poematem, dowodzi sama forma; wiersz w *Żywocie* jest trzynastozgłoskowy, w wyjątkach z *Wieśniaka* ośmiozgłoskowy, a „Żywot” jest rzeczą skończoną, nic w nim nie brakuje; zatem te wyjątki jego częścią być nie mogły, musiały należeć do jakiejś innej całości, która, wnosząc z zachowanych kawałków, mogła być dość miła, może ładniejsza od „Żywota,” ale w treści zupełnie do niego podobna.

Są jeszcze dwa małe wierszyki, *Fortunne lata* i *Kondycya Szlachecka*, z których ostatnia ma pewien humor przyjemny i dość typowy, samorodny.

Co w tym czasie zjawia się na nowo, często i nie bez energii, a szkoda tylko, że nie z większym talentem, to satyra, mianowicie satyryczny dyalog, puścizna po starszych, po Reyu, po Wicie Korczewskim i t. d. Prym trzyma na tem polu stary Marcin Bielski, który ma niezaprzeczoną słuszność w tem, co mówi, a byłby satyrykiem niepospolitym, gdyby mówił równie dobrze i zręcznie, jak słusznie. Ale forma jest ciężka, a wskutku tego dobre pomysły i zdrowe prawdy, choć zbudować mogą, znużyć muszą. *Sen majowy* (1586) to satyra zupełnie polityczna. Treścią jej jest zdobycie Szigethu przez Turków, miasta nieszczęśliwej ziemi węgierskiej, której nikt pomódz nie chce, czy nie może, i bezwładność ziemi polskiej, która z żalem widzi, że tamtej nie pomoże, choćby mogła, gdyby chciała, i sama w podobnem nieszczęściu się znajdzie, jeżeli nie zechce o sobie radzić i do wojny się sposobić. *Rozmowa Dwóch Baranów* (1587) to satyra obyczajowa na

wszystkie stany, a zwłaszcza na zbytki i marnotrawstwo. *Sejm Niewieści* wreszcie (1586) jest znowu polityczny i może najciekawszy ze wszystkich.

Wydaje się on na pozór satyrą na kobiety. Jak w. komedyi Arystofana schodzi się ich kilka, narzekają na mężów próżniaków, ograniczonych, niezdolnych, i radzą nad tem, że trzeba im rząd Rzpltej odebrać, a ująć go we własne, sposobniejsze ku temu, ręce. Tak radzi Ludomiła, jak nowoczesna emancypantka domagająca się równouprawnienia kobiet: nawet rzecz swoją popiera podobnymi argumentami. Bóg tak stworzył kobietę, jak i mężczyznę, dał jej duszę, rozum, talenta, dlaczegożby ona równie dobrze lub lepiej rządzić nie potrafiła? Owszem lepiej, bo panowie mężowie rządzą wcale nieszczególnie. Znajduje się jedna, Konstancya, która się z nich śmieje; mówi, że tych senatorów, którzy pójdą do rady prosto od robienia sera, czuć będzie serwatką, że u białych głów włos długi, ale rozum krótki. Przecież, zakrzyczana przez towarzyszki, musi milczeć, a tamte uradziły, że wyprawią posłów do Polski, Matki swojej, żeby im pozwoliła sejm złożyć.

Jeżeli była myśl satyry przeciw kobietom rzędziochom, to tu się kończy, a intencya satyryczna zwraca się przeciw mężom. Kiedy bowiem posłowie proszą Polski, żeby im dała władzę i urzędy, a samej będzie przy tem lepiej, Polska nietylko się z nich nie śmieje, ale owszem wdzięcznie przyjmuje propozycyę, pozwala próbować, i obiecuje im swoją pomoc i błogosławieństwo.

Może więc Polska spodziewa się, że niewiasty lepiej o niej radzić będą, kiedy mężowie radzą tak źle?

Staje sejm, a na nim uchwalają zebrane kobiety dwadzieścia artykułów, z których jedne są oczywiście satyryczne, dodane dla okrasy, dla żartu, jak np., że dziewczęta mają się chować na amazonki i żyć jak one, a mężczyźni pracować w domu i na roli, ale inne są poważne i zawierają to, czego sobie autor był dla

Rzpltej życzył. Np. jak Orzechowski, Rey i Modrzewski, żeby województwa, służąc koleją, zastępowały stałe wojsko; żeby zawrzeć przymierze z Rzeszą Niemiecką i prowadzić wojnę zaczepną z Turkiem; żeby zakazać zbytków, pijatyk, pojedynków, wielkich posagów (które chciwość męską pobudzają); żeby zakazać przywozu zagranicznych towarów, a obchodzić się wyrobem krajowym; żeby postanowić Trybunał i ułożyć kodeks; Cyganów z włóczęgów i złodziei przerobić na lud osiadły i pożyteczny, rozdając im grunta na kresach; Prusy mocniej z Koroną złączyć, zcentralizować—wreszcie rzecz najważniejsza i najlepsza, dawać podatki, choćby nie duże, ale stałe.

Słowem, te żony uchwalają to, co, zdaniem autora, powinni byli uchwalić mężowie, i jest pewna ironia w tym całym pomyśle, zwłaszcza kiedy mówią, że same sprawy wojenne prowadziłyby lepiej kobiety.

Że ta ironia nie przeciw kobietom jest wymierzona, dowód znowu w tem, że Polska nietylko uchwalone artykuły przyjmuje, ale sama nawet uczy swoje córki, jak wojować mają. Jak zamków dobywać, jak ich bronić, jak wojnę prowadzą Niemcy, jak Tatar, a przeto jak się przeciw każdemu z nich zabezpieczyć: to są nauki, które Rzplta daje mężnym niewiastom, nauki wzięte z doświadczenia żołnierskiego autora. A cały „Sejm Niewieści," jest pod formą satyry broszurą polityczną, żądaniem pewnych zmian i ulepszeń w Rzpltej.

Nie satyrą już, tylko brzydkim paszkwilem, ale przez to historycznie ciekawym zabytkiem, jest Paprockiego „Pamięć nierządu w Polsce przez dwie fakcye uczinionego roku 1587, którego skutki co dalej to gorsze ku wielkiey się skazie Rzeczi pospolitej zaczęły."

Paprocki, stronnik austryacki, a przytem heraldyk szlachty czeskiej, dedykuje Rosenbergowi, burgrabi Królestwa Czeskiego, wierszowany paszkwil, w którym

lży i czerni nie tylko Zygmunta III i całe jego stronnictwo, ale swoją ojczyznę, której przepowiada niechybną zgubę od Turków i Austryaków, jeżeli się nie nawróci do swego prawego króla Maksymiliana. Wartości niema w tem żadnej; jednak zajmujące to jest, jako charakteryzujące ówczesną opinię cesarskich.

Pycha tylko i prywata mogły tak oszukać Polaków, że nie bacząc na prawność i oczywiste korzyści wyboru króla z cesarskiego domu, sprowadzili nikczemnego Szweda. Elekcya jego, bez prymasa i nie w prawem oznaczonem miejscu odbyta, jest nie ważna, królem jest Maksymilian, a „ich elektowi za sprawiedliwością miasto korony taras przyjdzie.''

Wszystko to intryga starej królowej Anny

Która się długo aniołem stawiła,
Ale się na ostatku w czarta obróciła,

a nadewszystko Zamoyskiego. Całe pismo nie jest właściwie niczem więcej, jak jadowitym paszkwilem na niego. Żółć Zborowskich i innych upokorzonych i zajadłych dawniejszej daty arystokratów, wszystko co oni między sobą o Zamoyskim myśleć i mówić mogli, odbija się w tych wierszach Paprockiego. Zamoyski złodziej, okradł skarb publiczny. Zamoyski zdrajca, chciał oderwać Mazowsze od Rzpltej i zostać z Gryzeldą udzielnym jego księciem; spisek uknuty był z Batorym. Zamoyski tyran, kopie dołki pod wolnością; Zamoyski demagog, chce zniszczyć stare, zasłużone domy, filary Rzpltej. Jak gdyby słyszało się echo jakiej rozmowy braci Zborowskich i ich stronników o nienawistnym kanclerzu. Po śmierci Batorego porozumiał się z królową, osadził jej siostrzeńca na tronie, sam sobie nadał dyktatorską władzę i uciska lepszych od siebie. Dalej wzywa poprostu do zgładzenia Zamoyskiego. Takich ustępów, dowodzących, jaką nienawiścią pa

łało stronnictwo austryackie do królewskiego, a zwłaszcza do Zamoyskiego, jest pełno. Ale nie jest to tylko złośliwe i jadowite, jest złe i szkodliwe, bo pod bardzo niezgrabną literacką formą kryje się w tych wierszach niepoślednia zręczność intrygancka, i znajomość słabych stron szlacheckiego czytelnika.

Zwyczajna zręczność fakcyi, która, wołając głośno w swojej wielkiej gorliwości o rzecz publiczną, spodziewa się łowić stronników i pomocników; ale łatwo pojąć, że na umysły szlachty ówczesnej, słowa takie mogły robić wrażenie, mogły się przyczyniać do utrwalenia niepokoju i zaburzeń.

Konkluzya jest, że Zamoyskiego trzeba zrzucić z Tarpejskiej skały, elekta Szweda uwięzić, a na tron wprowadzić prawego króla Maksymiliana ze „świętego" cesarskiego domu. Inaczej będzie źle, bo ten król niezwyciężony upomni się o swoje prawa i krzywdy, wyprawi się z wojskiem na Polskę, a wtedy oczywista zguba: tej sile Rzplta nie podoła.

Byczyna musiała być niemałą niespodzianką dla naszego heraldyka, a jego przepowiedniom taki zadała stanowczy fałsz, jak stanowczy cios całej jego fakcyi.

Ciekawem zjawiskiem w ówczesnej poezyi jest przekład komedyi Plauta, z wyraźnym zamiarem przystosowania jej do publiczności polskiej. Czy do sceny także? Czy tłómacz, Piotr Cikliński myślał o przedstawieniu, czy w tym celu tłómaczył? Pytanie zajmujące, a bez rozwiązania, niestety. Ale w każdym razie jest to pierwszy przypadek tego, co później, w XVIII i XIX wieku, praktykowało się często, a nazywało się spolszczeniem komedyi. *Trinummus*, po polsku *Potrójny* (1597), odgrywa się we Lwowie, za Zygmunta III; wszystkie osoby mają nazwiska polskie, nie które wcale szczęśliwie wymyślone, jak naprzykład *Pangracz*, miano młodego marnotrawcy. Że intryga bardzo prosta, naiwna, a akcya trochę długa i nudna

temu Plautus winien, nie jego tłómacz. Ten nie był bez talentu, bo wiersz ma dobry, dyalog naturalny i żywy. Ta próbka zaś pozwala przypuszczać, że miał chęć rozszerzenia poezyi polskiej na formy nowe, może zaszczepienia jej w teatrze, i każe żałować, że przekładów takich lub przeróbek niema więcej. Gdyby więcej i gdyby z komedyj zabawniejszych, może Cieklińskі był dostarczył wzoru i nauki autorom tych późniejszych rodzimych dyalogów, które nie wykształciły się na komedye dlatego, że ich autorowie nie wiedzieli, czem komedya właściwie być powinna i jak ma być zbudowana.

Musiał być jakiś instynkt, jakieś pragnienie poezyi dramatycznej, może obudzone *Odprawą* Kochanowskiego, bo przekład Cieklińskiego nie jest jedyny. Górnicki, którego poezya kusiła także, który się w niej czasem próbował, (Elegia na śmierć żony), przetłómaczył *Troas* Seneki (1589). Szkoda, że tę sobie wybrał; byłby równie dobrze mógł tłómaczyć co prawdziwie pięknego, co greckiego, a choć nie byłby przez to rozwinął polskiego dramatu, skoro nie dała mu impulsu *Odprawa*, to byłby ozdobił literaturę dobrym przekładem pięknej rzeczy.

Klonowicza najwcześniejszem dziełem jest *Roxolania* (1584). Może ta byłaby najwyżej postawiła jego sławę, jako poety, gdyby ją był napisał po polsku. Nie jest to karta geograficzna (jak jego późniejszy *Flis*); to obrazki nie szczególnie piękne, ale prawdziwe, szczerze ruskie, z których wieje jakieś naddniestrzańskie powietrze, a które dowodzą, że autor miewał jakieś poetyczne wrażenia, że na swój kraj patrzał z uczuciem i z zamiłowaniem jego wdzięku. Hucuł, idący w górę za niedźwiedziem, mołodyca lub dziewczyna, idąca do czarownicy po zioła na nieszczęśliwą miłość, wreszcie gród ruski, Lwów, opisany nie z wielkim talentem, ale z wielkiem uszanowaniem, a po części z fotograficznem podobieństwem, które się do dziś dnia nie zatarło,

wszystko to wskazuje, że Klonowicz patrzał na Ruś inaczej, niż na resztę świata. W tej pieśni o Rusi jest więcej życia i poezyi, niż we wszystkich innych jego dziełach. I trzeba nieszczęścia, żeby to właśnie napisał po łacinie! Rokiem później (1585) wydał Klonowicz *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego*, poety zacnego. Treny po śpiewaku „Trenów!” Naśladowane z niego, nie tak niewolniczo, jak naśladował Wiśniowski lub Grochowski, ale naśladowane wyraźnie, a dość niedołężnie.

Jednak choć „Żale” nie mają wartości, jest jedna rzecz, która czytelnika rozbraja i ujmuje dla autora, to szczere uwielbienie dla Kochanowskiego i wielka skromność. Naprzykład zakończenie trenu XII, w którem powiedziawszy, że Apellesa aby trzeba, aby Kochanowskiego malował, a Homera, aby mu pisał nagrobek, tak potem kończy o nim i o sobie:

Jam się też tu prawie zerwał z motyką na słońce.

Jako całość, choć skończony zbyt po prostu, po prostacku, ale z poczciwem uczuciem i słusznie, najładniejszy jest tren piąty.

Uważamy zwykle Klonowicza, jako pisarza przejścia i upadku, lepszego jeszcze od poetów XVII w., już nie tak dobrego, jak Zygmuntowscy. W swoim wielkim poemacie dydaktyczno-moralnym ciężki i nudny, w satyrycznym nie lekki ani dowcipny, w opisowym (jeżeli *Flisa* opisowym nazwać można) jednostajny i prozaiczny, już dlatego, że jest satyrykiem, powtóre dlatego, że jest poetą miernym i nie zbyt wybrednym w smaku, uchodzi Klonowicz za poetę upadku. Jednak cieszy się wielkiem poszanowaniem i sympatyą historyków literatury. Jego smutne podobno życie, starość w niedostatku, niechęć współczesnych, a nawet jego zła żona, wszystko to otoczyło go w pamięci potomnych jakimś urokiem cnoty surowej a prześladowanej.

Nieszczęśliwy w życiu, patrzący bystro z boleścią na wszystkie symptomaty moralnego i politycznego upadku Rzpltej, karcący je ostro, a za to źle widziany od skarconych a poczuwających się do winy, został Klonowicz w naszem wyobrażeniu jakimś poważnym i surowym cenzorem, na którym współcześni mścili się za prawdę, którą im mówił; poetą był niewielkim, ale był obywatelem i moralistą niepospolitej wartości; jego wiersz, choć nie szczególny, zasługuje na pobłażanie, bo zasługuje na szacunek indygnacya, która go zrobiła, człowiek, który cierpiał prześladowanie dla sprawiedliwości.

Oto jest powszechne zdanie o Klonowiczu, które od historyków literatury przeszło do publiczności. Wyobrażamy sobie w Klonowiczu coś podobieństwa z Juwenalem, coś ze smutną wieszczką Kassandrą, coś nawet z Sokratesem, ofiarą złej Ksantypy i niewdzięcznych ziomków.

Wyobrażenie takie może być ogółem słuszne. We wszystkiem, co on pisze, znać duszę szlachetną, oburzenie na złe, rozsądek zdrowy, i jakąś sympatyczną śmiałość w mówieniu prawdy. Historya o jego domowych nieszczęściach i o jego prześladowaniu przez szlachtę, Żydów i Jezuitów, przy bliższem zbadaniu okazała się cokolwiek poetyzowaną. Prześladowanie ogranicza się do tego, że kiedy Klonowicz wydał swoją, bardzo zjadliwą, *Actio contra Jesuitas*, Wereszczyński, jako opat sieciechowski, odebrał mu sołtysostwo, do tego opactwa należące. Trudno się dziwić i brać za złe księdzu, że nie chciał pomagać człowiekowi, który, według jego przekonania, szkodził sprawie Kościoła. Domowe zaś nieszczęścia miały być spowodowane przez matkę żony, złą, swarliwą, która go przyprawiła o rozliczne procesy i przez to zniszczyła na majątku. Ale czy to jest prawdą zupełną, czy cokolwiek idealizowaną, to zdaje się pewnem, że pojęcie Klonowicza, jako pierwszego i poniekąd wyjątkowego w swoim wieku satyryka,

jako nieposlledniego moralistę i obywatela, jest nieco przesadzone. Niezaprzeczenie wszystko, co on mówi, wytyka i gani, jest słuszne i dobre; tylko to samo, wszystko to, co on mówi, powiedzieli już przed nim wszyscy pisarze XVI wieku. To samo czytał ten wiek w dziełach Reya, nie jedno w Modrzewskim, w Orzechowskim, w Kochanowskim, we wszystkich, którzy o Polsce i jej obyczajach mówili, a wiemy, że mówili wszyscy i wszyscy skarżyli się na zepsucie, na zbytki, na niesprawiedliwość, na niedbalstwo i t. d.; Klonowicz zaś, mówiąc to samo, co oni, nie mówi tego lepiej od nich, ale owszem, gorzej. Nie zasługuje więc na to stanowisko, cokolwiek wyjątkowe, wzniesione nad innych, jakie mu wyznaczamy; nie ma prawa uchodzić za jakiegoś małego Juwenala, poetę gorszej epoki, noszącego na sobie jej cechy, ale odkupującego to wielką energią i wielką głębokością uczucia. Jest on poetą bardzo słabym, nawet słabym satyrykiem, tak, że zaledwo go za takiego uważać można, a słuszniej za suchego moralistę. Że jest wielkim werydykiem, to prawda; że czasem oburzenie podsunie mu jakiś zwrot lub obraz energiczny, a rozsądek jakieś spostrzeżenie trafne, to także prawda. Ale ustępy takie zdarzają się w jego poezyi rzadko, a całość, bez dowcipu, bez ognia, bez siły, bez pięknej formy, ani za piękną, ani nawet za ostrą satyrę uchodzić nie może. Tem mniej za piękną poezyę. Jego dobra wola, śmiałość, gorliwość w mówieniu prawdy, to przymioty bardzo piękne dla człowieka, ale niedostateczne, żeby kogoś zrobić poetą. Że jest reprezentantem poezyi, chylącej się do upadku, to pewna; ale to nie dlatego, że pisał wiersze satyryczne, nie dlatego, że jego Muza czerpała natchnienie w uczuciach ujemnych oburzenia i zgrozy, nie dlatego, żeby wiek skażony był działał zabójczo na niego i na jego poezyę (bo czemuż nie wpłynął tak szkodliwie na współczesnego mu Szymonowicza naprzykład?); ale poprostu dlatego, że był słabym poetą, poetą bez talentu, bez poezyi.

Z większych jego dzieł, *Worek Judaszów* jest czysto satyryczny, nieszczęsna *Victoria Deorum* jest, nie wiedzieć jak ją określić, satyryczno, dydaktyczno moralna—a *Flis? Flis* także nie wiedzieć: powinien był być opisowym, a jest? Suchym przewodnikiem podróży, spisem miejsc, położonych nad Wisłą, wierszowanym poradnikiem dla flisaków, jak po Wiśle pływać mają. Jest tem wszystkiem razem, tylko nie poezyą.

Zapewne nie jest Wisła z tych rzek uprzywilejowanych, które przepływają kraje, tak wyjątkowo piękne, że żegluga po nich stała się klasyczną ekspedycyą turystów i miłośników pięknej natury. Niema nic bardzo romantycznego w tych brzegach płaskich, zarosłych kępami i zasianych wioskami, ale jest coś rodzimego i swojskiego, jest ten sam rodzaj widoku, co w całym kraju, z tą różnicą, że nad Wisłą ten widok choć nie bardzo piękny, bywa ładniejszy, nie tak jednostajny jak w głębi kraju, a tu i owdzie staje się prawdziwie, nieraz i bardzo ładnym. Skalista wyspa Ulissesa, nie miała w sobie nic szczególnie pięknego, przecież on widział w niej jakiś wdzięk, czuł jakiś do niej pociąg, który Homer pięknie umiał wyrazić. Otóż od Klonowicza, od poety Wisły, galarów i flisów, żądałoby się, żeby wdzięk Wisły i jej brzegów czuł choć tak, jak Ulisses wdzięk swojej Itaki, żeby niebieskie dymy, unoszące się nad wsiami, duże jabrzędzie na zielonych pastwiskach, bydło i wiejskie dzieci, kąpiące się przy brzegu o zachodzie słońca, żeby to wszystko działało na niego tak, jak na tamtego klasyczny dym pamiętny z Odyssei. O tem już nie mówiąc, że kto patrzy na świat okiem poety, kto ma uczucie natury, temu nie potrzeba, jak Telimenie, Tyburu spadających wód i skalistego wydroża Pausylippu, ten, jak Pan Tadeusz zobaczy piękność i w prostej brzezinie, w najprozaiczniejszym lesie. Ale ani tego poetycznego spojrzenia na świat, ani tego nie obojętnego polskiego tylko spojrzenia na Wisłę, Klonowicz nie ma wcale. Wisła we *Fli-*

sie jest Wisłą kart geograficznych; dowiemy się, koło jakich miejsc przepływa, ale jak wygląda, jakie nad nią drzewa, jakie słońce, jakie wioski, to w jego poemacie widać tyle, co na mapie. *Flis* jego także nie żyje, nie wiosłuje, nie gada z towarzyszami, nie śpiewa, nie pali ogniska w nocy, nie rachuje naprzód talarów, z którymi wróci do domu, flisa niema. Jest tylko dla niego wiadomość, około których miejsc przepływa, gdzie się ma brać na lewo, a gdzie na prawo, i tyle. Słowem, spis miejsc, położonych nad Wisłą i rzek do niej wpadających, i to nie wszystkich nawet, bo „Spuszczanie statków Wisłą" zaczyna się od Warszawy dopiero.

To *Itinerarium* wszakże zaczyna się prawie w połowie dopiero poematu. Przedtem uczy autor swego flisa języka, używanego na galarach i różnych zwyczajów flisackich,—to znowu mogłyby być ładne, ale jest suche i obojętne; rozwodzi się nad niebezpieczeństwami żeglugi i jej korzyściami, opowiada jej historyę od korabiu Noego i wyprawy Argonautów, aż do odkrycia Ameryki; naucza, że pierwszą łódź wyrobił człowiek na wzór i podobieństwo ryby; owszem, zaczyna jeszcze zdalsza, bo od stworzenia świata, kiedy Bóg rozdzielił Chaos na cztery elementy: z tych czterech jednym jest woda, z wody są morza, jeziora, rzeki, stawy i t. d., w niej żyją różne ryby, na niej różne ptactwo wodne; ztąd dopiero przejście do Polski, do Wisły i do Flisu.

Zamykają poemat rady, jak flisak ma w Gdańsku wystrzegać się niepewnych i podstępnych kupców, ustęp najżywszy może ze wszystkich, choć nie osobliwy.

Z tego można powziąć wyobrażenie, jak ten biedny *Flis* jest prozaicznym. Prawda, że autor, pisząc go, o poezyi nie myślał wcale: *Totus libellus*—mówi w zakończeniu—*nihil docet aliud, quam securitatem navigandi, et mercaturam utiliter exercendi in Vistula fluvio.* Czy temu zadaniu odpowiedział, niech sądzą retmani i handlarze

zboża. Krytyka literacka to tylko ma mu do powiedzenia, że kiedy mu chodziło o naukę żeglowania i handlu, to szkoda, że pisał ją wierszem, a do tegoż jeszcze wierszem saficznym, który oprócz tego, że dla niego był trudny, dla czytelnika w dłuższym poemacie staje się nieznośnie monotonnym i nużącym.

Najlepszem jego dziełem jest podobno *Worek Judaszów, czyli złe nabycie majętności.* Dlaczego ten w tytule koncept, który już trąci wiekiem XVII? Dlaczego „Worek Judaszów"? Bo Judasz nosił worek Chrystusa i Apostołów, a że był chciwy i zdrajca, więc ciągnął z niego korzyść dla siebie, i jest typem złodziei, ludzi przedajnych, podstępnych, słowem wszystkich, którzy źle nabywają majętności. Worek ten, z czterech skór jest uszyty (znowu koncept w tytule), a te cztery skóry odpowiadają czterem głównym rodzajom złego nabycia majętności, i czterem częściom długiego satyryczno-moralnego poematu. Pierwsza jest skóra wilcza, pierwsza część obejmuje proste złodziejstwa i rabunki; druga lisia, a ta oznacza tych chytrych, którzy przez podstępy, a zwłaszcza przez udane nabożeństwo, dochodzą do pieniędzy; trzecia skóra, centkowana rysia, odpowiada prawnym wykrętom, niesłusznym procesom i wyrokom; czwarta wreszcie lwia, oznacza otwartą przemoc, gwałt i grabież. Koncept sam, cztery skóry, worek i Judasz, nie jest może smaczny, jest wyszukany i wymęczony, ale przedmiot jest niezaprzeczenie bogaty, a satyra na nim osnuta, może być pełną ciekawych rysów obyczajowych. To też, jakkolwiek niema w tym worku lekkości i humoru Horacyusza lub Krasickiego, ani potężnej piekącej ironii Juvenala, jakkolwiek palestrant zbyt często uczy nas, jakie kary stanowiło prawo rzymskie na różne opisywane przez niego przestępstwa, przecież czyta się dziś ta satyra z większem nierównie zajęciem, aniżeli Flis; znać rodzaj niższy lepiej zdolności autora odpowiadał; a forma sama, wiersz choć do bardzo pięknych nie należy, przecież, choćby

przez to tylko, że łatwiejszy i prostszy, lepiej wygląda, niż męcząca a nie zawsze zgrabna strofa saficzna we „Flisie."

Część pierwsza jest ciekawem w swoim rodzaju i bardzo gruntownem studyum złodziejstwa; znać, że autor w sądzie nabrał niepospolitej tych spraw znajomości. Zaczyna od definicyi prawniczej, a potem wylicza nieskończony szereg gatunków i kategoryi złodziejstw i złodziei; są świętokradzcy, którzy z największem upodobaniem poświęcają się kradzieży po kościołach, są oszuści, rzezimieszki, złodzieje koni, pszczół i t. d. bez liku.

Wszystkie prawie te rodzaje złodziejstwa mają poświęcony sobie rozdział osobny. Ciekawy jest ustęp o Cyganach, o ich pochodzeniu, to przynajmniej, co sami o niem opowiadają. Inny rodzaj złodziejstwa, który autor nazywa z rzymska *de Plagio sive Plagiatu*, a po polsku ludokupstwem, rzuca dość ciekawe światło na przemysły, zdrożności i biedy wieku. Pokazuje się z niego, że byli wonczas ludzie, którzy robili sobie rzemiosło i zarobek z wyprowadzania pod różnymi pozorami ludzi do Turcyi, gdzie ich sprzedawali w niewolę. Przemysł ten, rozpowszechniony w Polsce, a zwłaszcza w Węgrzech, miał swoje nazwisko; Klonowicz nazywa tych ludzi z węgierska Martahuzami albo Marłakuzami.

Temat niewoli naprowadza go, naturalnie, na Tatarów, którzy jasyrem tak srodze naszym dokuczali, i nasuwa ustęp o Tatarach, jeden z najlepszych, jakie u niego znaleźć można.

Próżnowaniu, jako początkowi wszystkiego złego, poświęca Klonowicz rozdział osobny, opowiada, jak z próżniactwa dochodzi człowiek do zepsucia i niedostatku, ztąd do kradzieży, od kradzieży na szubienicę. Rozdział ciekawy, bo można z niego zrobić sobie wyobrażenie, jak się odbywały śledztwa karne za jego czasów. Z tego, że to pisze sędzia, który się takich rze-

czy napatrzył, i że nietylko się na tortury nie oburza, ale zdaje się uważać je za konieczne, wnosić można, że obraz musi być prawdziwy.

„Wtóra część Worka Judaszowego, o skórze i naturze lisiej, a naprzód o tych, którzy pod płaszczykiem nabożeństwa oszukiwają," obiecuje więcej, niż dotrzymuje. Z ciekawością patrzy czytelnik, jak nasz stary poeta opisze Tartuffa, ale Tartuffa niema. Jest nieco o wiejskich prorokach, cudach i zjawieniach, w które ludzie wierzą, a prorok przepowiada, daje lekarstwa i oszukuje; jest o pielgrzymach, którzy pod pozorem powrotu z Kompostelli lub Jerozolimy włóczą się rzemiennym dyszlem od wsi do wsi i od dworu do dworu i objadają chłopów i panów, szczegóły ciekawe przez podobieństwo do tego, co się i dziś czasem widzi; jest o takich, którzy zbierają pieniądze niby na stawianie kościołów lub na inne pobożne cele, na złych i chciwych księży—wreszcie do lisiej natury i skóry policzeni są i młodzi ludzie, którzy pod pozorem przyjaźni z mężem, szukają szczęścia u żony.

Część trzecia, o naturze i skórze rysiej, o wykrętach prawnych, niesłusznych wyrokach, wyłudzonych zapisach, a głównie o lichwie, która pod piórem prawnika powinna była być najobfitszą w ciekawe szczegóły i przypadki prawne, jest mniej zajmująca od dwóch pierwszych. Czwartej zaś niema wcale. W kilku wierszach tylko mówi autor, że o lwiej skórze strach pisać.

Z przytoczonych ustępów można poznać, że „Worek Judaszów" nie jest wcale satyrą pierwszego rzędu; ani bardzo dowcipnie nie szczypie, ani bardzo silnie i wymownie nie gromi. Jednak jeżeli w czem pokazał Klonowicz talent, to w tem; do Horacego, do Krasickiego mu daleko, ale Naruszewicz naprzykład, o tyle od niego późniejszy, po literacku bardziej wykształcony, piszący podług wzorów i mający lepsze wyobrażenie o budowie satyry, wrodzonego talentu, zmysłu sa-

tyrycznego i żywości, nie miał więcej, niż Klonowicz w swoich lepszych ustępach.

Ale wielkiem dziełem jego życia, tem, do którego sam przywiązywał największą wagę i w które włożył wszystko, co tylko myślał i wiedział, jest *Victoria Deorum* (1596). Wielki poemat łacińskim heksametrem, w czterdziestu czterech pieśniach, na siedmiuset blizko kartkach. Poemat, którego nikt dziś nie czyta, ale który używa pewnej w świecie powagi. Nie zabawny, ale pełen rzeczy mądrych i prawdziwych!—takie jest o nim zdanie; w nim to mieszczą się najlepsze pomysły autora, jego poważny i surowy pogląd na świat, jego znajomość ludzi i znajomość Polaków, jego nienawiść złego i żyłka satyryczna.

Jest w tem zdaniu prawda, ale jest i przesada. Twierdzić, że niema rzeczy dobrych w „Victorii," byłoby niesprawiedliwie, jak twierdzić, że ich jest więcej lub że są lepsze, niż u innych pisarzy. Pod względem moralnym i patryotycznym, „Victoria" ma wartość dobrego zamiaru i trafnego nieraz zapatrywania, ale wartość ta, która może byłaby niepospolitą, gdyby dzieło pisane było prozą, zmniejszona jest ogromnie przez to, że ono jest poematem. Pod względem literackim dzieło jest tak słabe, że nietylko najgorzej świadczy o artystycznych zdolnościach autora, ale szkodzi nawet tym rzeczom dobrym, jakie się w tem dziele znajdują.

Żeby się o tem przekonać, dość je opisać. W przedmowie mówi autor, że szczęście człowieka zamyka się w trzech rzeczach, które są: dobrze się urodzić, dobrze żyć, dobrze umrzeć. Celem, do którego dzieło zmierza, jest dopomódz ludziom do poznania, jak mają dobrze żyć, a dobrze żyjąc, przez całe życie uczyć się dobrze umierać. Co więcej, autor prawie nas uczyć obiecuje, jak się dobrze rodzić mamy; bo pod tem słowem rozumie nietylko samo szczęśliwe przyjście na świat, ale i pierwsze troskliwe i rozumne starania oko-

ło wieku dziecinnego. Pobudziło go zaś do pisania obyczajów wieku jego zepsucie, i dlatego on często w wierszaeh swoich pozwala sobie wiele, jako w satyrze, zastrzegając się wszakże, że chce być monitorem, nie zaś derisorem (upominać, nie wydrwiwać) „chrześcijańską miłością Juvenalową licencyę temperując."

Zdawałoby się więc, że poemat będzie jakiemś satyryczno moralnem kazaniem na występki wieku i traktatem o sztuce dobrego życia i dobrej śmierci. Ale do tego jeszcze dodaje, zawsze w przedmowie, że chce mówić o wychowaniu prawdziwego bohatera, rozumiejąc, zdaje się, przez tego herosa poprostu porządnego człowieka. Zbiera się tych materyj tyle, że już z góry nie można się dziwić obszerności dzieła, a jeszcze nie słyszymy nic o bogach i o ich „Victorii:" nie domyślamy, się jak ta zapowiedziana w przedmowie treść poematu zgodzi się z jego tytułem, i jakim sztucznym węzłem poeta jedno z drugim zwiąże?

Tego nie zgadniemy nawet, kiedy usłyszymy o bogach. W pierwszej pieśni, raczej rozdziale, opowiada nam autor, że bogowie i półbogi mitologii byli synami Jowisza, jak naprzykład Herkules, Kastor i Polluks i inni, i ci byli dobrzy i szlachetni Byli znów inni, synowie Neptuna podług jednych, Ziemi podług innych, źli i zuchwali, którzy chcieli bogów strącić z Olimpu; tacy byli Lestrygoni, którzy jedli ludzi, cyklopy, giganty i t. d.. Mniemamy już coś chwytać? Zapewne autor przysłuży się nam jakąś wielką quasi-epopeą o walce bogów z Tytanami, która będzie bardzo mitologiczną, z formy podobną do nieszczęsnych p óźniejszych aleksandryjskich lub rzymskich poematów bohaterskich, a w gruncie allegoryczną może i ozdobioną satyrycznemi alluzyami do wieku i jego zepsucia. To może Klonowicz zamierzał, może o takim poemacie marzył — gdyby nie, po cóżby był tych bogów wspominał i wyliczał, po co ich „Victoria" — ale nie zrobił nawet tego. Kiedy w pierwszym rozdziale

powiedział, że były jakieś zuchwałe Tytany, które walczyły z dziećmi Jowisza, porzuca ich znowu, przez cały ciąg dzieła nie słyszymy o nich, aż dopiero w ostatnich rozdziałach wraca do nich, opowiada ich pochodzenie, i postać, dowodzi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, byli niegdyś jacyś olbrzymi na świecie, szuka analogii pomiędzy mitem o Tytanach a zbuntowanymi aniołami z Pisma św., tłómaczy, że przez gigantów rozumie wszystkich ludzi złych, bezbożnych, nieprzyjaciół Boga, i mówi, że jak Jowisz Tytanów, jak Chrystus szatana, tak cnota zwycięży złych i złe, Victoria Deorum est Victoria Virtutis.

Treści epickiej niema żadnej, a bogowie, ich nieprzyjaciele i ich zwycięstwo nie grają roli żadnej, są tylko okrasą na tytule, niesmaczną przyprawą, erudycyjno-poetyczną zachcianką, której autor o tyle nawet usprawiedliwić nie umiał, żeby ją jakoś choć na pozór z treścią swego poematu połączyć.

Zaledwo go zaczął bowiem, zapomina o bogach i o gigantach i zaczyna prawić o szlachectwie, *de vera et falsa nobilitate*. Zkąd? Dla czego? On powiada, że poemat cały jest o cnocie, a *nobilitas est virtutis alumna*, przeto słusznie od szlachectwa zacząć powinien. Różnie pojmują je ludzie, a najczęściej błędnie, jedni zasadzają je na urodzeniu, drudzy na bogactwie, inni na godnościach i zaszczytach, na piękności na zbytkach, na zręczności, na srogości. Wszystkie te zdania są mylne, i wszystkie autor po kolei zbić obiecuje, zapowiadając z góry w ilu rozdziałach i w których na które z tych zdań odpowiadać będzie. I tak, naprzykład, że prawdziwe szlachectwo nie zasadza się na urodzeniu, tego będzie dowodził we wszystkich rozdziałach aż do 24, potem do 28, że nie polega w bogactwie. Ten porządny podział materyi może być chwalebnym, ale poetycznym nie jest.

Możemy więc zapomnieć o bogach i wszystkiem

innem, a śledzić ciągu jego myśli o szlachectwie. Szlachectwo, szlachetność, jest rzeczą konieczną na świecie, która zawsze była i będzie, a pochodzi ztąd, że jedni ludzie z natury są dzielni i zdolni, drudzy do niczego, pierwsi są u bliźnich w poszanowaniu, drudzy w pogardzie. Stopniowanie jest wszędzie i we wszystkiem: orzeł jest pierwszym między ptakami, lew między zwierzem, słońce między planetami; nawet u bogów były stopnie, bo byli mniejsi i więksi, ale zasadą i miarą szlachectwa jest szlachetność, jest wartość człowieka. Głównym jej warunkiem jest cnota, cnota doskonała, złożona ze wszystkich cnót poszczególnych, między któremi pierwsze i kardynalne są Prudentia, Justitia, Fortitudo i Temperantia, a drugim i wielkim warunkiem prawdziwego szlachectwa jest nauka, wykształcenie, które jak do szlachectwa jest potrzebnem najlepiej można poznać ztąd, że samo słowo „nobilitas" pochodzi od „nosse." Następuje dowodzenie, że samo szlachetne urodzenie nie stanowi szlachectwa. Wielu bohaterów, wielu świętych rodziło się w nizkim stanie. I tak, naprzykład, Adam nie miał antenatów wcale; ojciec Abrahama, Thare, był jakąś małą, nieznaną figurą; Cyrus był synem żołnierza; Agatokles—garncarza; Servius Tullius był niewolnikiem, Tarquinius kupcem, Piast kołodziejem. Co więcej, wszakże bywali wielcy ludzie nietylko z nizkiego, ale z nieprawego urodzenia. A co najdziwniejsze, (istotnie najdziwniejsze, że ktoś tego argumentu używa z wszelką powagą i zaufaniem w jego wartość), bogowie sami wychodzili z nizkiej ekstrakcyi; Wenera urodziła się z piany morskiej, wcale nieszlachetnie; Jowisz miał kozę za mamkę. Jaka musiała być powaga starożytności, jaka wiara w jej wyższość i jak jej pojęcia i mity musiały być żywe w tym wieku, jeżeli historya Jowisza i Merkurego mogła służyć za argument i przykład, jak gdyby była wziętą z rzeczywistości, z historyi.

Na odwrót znowu z ojców szlachetnych rodzili się

synowie podli: Wulkan, jedyny z prawego łoża syn Jowisza; Xerxes, syn Cycerona, największego z filozofów, był głupi i t. p.

Dlaczego ludzie nie dziedziczą moralnych przymiotów swoich rodziców? Powodem jest wychowanie fizyczne i moralne, pokarm mamki, nieraz i złe obyczaje matki. Z tego twierdzenia wysnuwa się długi ustęp satyryczny o kobietach i ich zepsuciu; ustęp kopiowany choć nie powtórzony żywcem z Juvenala satyry o kobietach, a przez to samo nie zastosowany wcale do współczesnego zepsucia w Polsce. Owe przykłady Pasiphay i Messaliny mogły mieć przystosowanie w Rzymie za Cezarów, ale Boileau już bardzo przesadził, kiedy podług tego wzoru opisywał zepsucie (jakkolwiek wielkie) za Ludwika XIV, w swojej satyrze „Les Femmes:” tem bardziej przesadza Klonowicz, a z tego ustępu o obyczajach kobiet, jedynym, który nosi na sobie cechę prawdy i rzeczywistości, jest ten, który prawie dosłownie znajduje się w drugiej części „Worka Judaszowego.”

Przechodzimy potem do zniewieściałości i zbytków szlachty polskiej, w mieszkaniach, biesiadach, ubiorach, do pochwały mierności i wiejskiego życia. W przedmowie autor obiecał mówić o sposobie jakim się wychowują prawdziwi heroës. Istotnie, o to mu chodzi. Nie trzeba dzieci chować w zbytkach i miękkości; to punkt wyjścia, który go prowadzi do owej dygresyi o przepychu polskim i jego zgubnych skutkach. Ale to, co o zbytku mówi, jak i to, co o mierności, to znowu czytaliśmy już nieraz u dawniejszych pisarzy, a zwłaszcza u Reya. Ustęp ten tak przypomina „Żywot Poczciwego Człowieka,” że w pochwale wiejskiego i miernego życia, w opisie wiejskich zajęć i „rozkoszy,” w różnych porach roku, Klonowicz zgadza się z nim zupełnie co do myśli, jeżeli nie co do słowa.

Przytoczone epizody satyryczne o kobietach i zbytkach służyć mogą za przykład, jak luźnie i jak niezgrabnie autor wiąże je z treścią główną swego dzieła, i jak nieporządnie szykuje przedmioty; szlachectwo, wychowanie dzieci, zepsucie kobiet, gospodarstwo wiejskie, wszystko to pomieszane, tak, że dojść nie można, gdzie się jedno kończy, gdzie drugie zaczyna, a przy każdej sposobności, choćby najbłahszej, nie może wytrzymać, tylko wypowie wszystko, co tylko wie, czy to do rzeczy należy, czy nie. Naprzykład, przy pochwale wiejskiego życia daje małą teoryę gospodarstwa; gdzieindziej, mówiąc, że szlachetnemu człowiekowi potrzebna jest nauka, nietylko wylicza najrozmaitsze nauki, ale je nawet potrochu wykłada, daje jakieś elementarne wiadomości z matematyki, naprzykład, z astronomii...—kiedy mówi, że służba żołnierska jest najwłaściwszem dla szlachetnego człowieka powołaniem, podaje w krótkości główne nocye o sztuce wojennej.

Że szlachectwo nie zależy od bogactwa, tego tak długo dowodzić nie potrzebuje; mówi tylko, że gdyby tak było, szlachetnymi byliby złodzieje, lichwiarze, oszuści, meretrices i żydzi. Wartość bogactwa i jego szlachetność zależy od sposobu jego nabycia i użycia. To znowu daje mu pochop do uderzania na nieprawe nabycie majątku, na gwałt, ucisk, niesprawiedliwość, na wojny, na księży chciwych lub ambitnych, rzeczy te same niemal co w trzeciej części „Worka Judaszowego," z dodatkiem ustępu de rusticorum aerumnis, który świadczy dobrze za autorem, choć nie za poetą. Ciekawe jest to, że kiedy mówi o sposobach zarobkowania, pozwolonych i właściwych szlachetnemu człowiekowi, oburza się na przesąd, który wzbraniał szlachcicowi rzemiosła i handlu. Jedyne zajęcia jemu nie przystojne są albo artes sordidae, jak lichwa, szulerstwo i podobne, albo artes ludicrae, naprzykład, grywać za pieniądze, skakać na linie, kuglarstwo i t. p.

Im dalej tem bardziej zaciera się związek, a wątek

gubi pod mnóstwem epizodów; są niektóre nawet politycznej treści, naprzykład o złodziejstwach skarbu Rzptej, o nierządzie, o wolności i swawoli, o wojnach, kiedy je słusznie prowadzić można i należy; samo zakończenie poematu jest wzywaniem do wojny, jest to pod tytułem „Carmen Classicum," które autor przełożył na polskie, jako *Pożar i Wróżka o Upadku Mocy Tureckiej*.

Ostatnie rozdziały, jak wyżej wspomniano, mówią znowu o Tytanach i bogach, mówią, że była między nimi walka, w której bogowie odnieśli zwycięstwo. Wróżba, że cnota zwycięży złe, co będzie prawdziwem zwycięstwem bogów i Boga, a na ostatku wezwanie do małego królewicza Władysława i małego Tomasza Zamoyskiego, żeby strzegąc cnoty i miłując ją, dopomagali do jej i bogów zwycięstwa.

Trzebaby być Rzymianinem, a przynajmniej filologiem, żeby sądzić heksametry Klonowicza i jego język. Nieznawcy wydają się one ani bardzo złe ani piękne. Zresztą przytoczona treść wystarcza, żeby poznać, iż poemat jest istotnie potworny. Gdyby Klonowicz był napisał prozą traktat o szlachectwie, nic znaleźlibyśmy w nim zapewne nic nowego; w tem co mówi o swoim wieku, nic, czegobyśmy już z jego poprzedników nie znali: ale mielibyśmy drugie dzieło moralnej treści, w rodzaju „Żywota Poczciwego Człowieka," może równej, może większej wartości. Przez swoją poetyczną formę zaś, stała się „Victoria" nudną i ciężką nad wszelkie pojęcie, a przez poetyczne dodatki bardzo zawikłaną i nieporządną. Nie można zaprzeczyć, żeby to, co Klonowicz mówi, nie było słusznem i dobrem, ale wielkiego daru obserwacyi, bystrej nagany wieku, zatem prawdziwego talentu satyrycznego, dopatrzyć się w tem dziele nie można.

Gdyby mniej prawił ogólników o zepsuciu obyczajów, a więcej powstawał na fakty i na złe specyficznie polskie, gdyby był dał pokój Messalinie, a ude-

rzał na zepsucie w życiu publicznem, miałby więcej historycznej, a może i praktycznej wartości. Przedmiotu nie brakło, gdyby go był chciał widzieć; Pasiphae była w mitologii, Messalina w Juvenalu, ale Krzysztof Zborowski, naprzykład, był w Polsce. Jego i jemu podobnych jednak Klonowicz nie widzi. Jego „Victoria,” jakkolwiek żałować trzeba, że nie jest napisana po polsku, bo miałaby i dla nas więcej wartości i dla współczesnych może więcej skutku, jest dziwacznem dziełem moralisty nie wielkiego, ale rozsądnego i trzeźwego, który na swoje nieszczęście chciał zostać poetą; jest przytem dziełem człowieka naiwnego, jakich było wielu w tym wieku świeżym i niedoświadczonym w rzeczach literackich, któremu się zdawało, że im więcej spraw i rzeczy książka dotyka, na im więcej kwestyj odpowiada, tem więcej jest warta, i wyobrażał sobie, że można objąć wszystko w jednej książce. Włożył więc w nią całą swoją mądrość i naukę, wszystko, co tylko wiedział, zrobił z niej jakieś Omnia in Omnibus, w którem luźnie i na pozór tylko powiązane z sobą epizody mówią o wszystkich rzeczach i niektórych innych, o szlachectwie, o cnocie, o wychowaniu, o matematyce, o wojnie, o gospodarstwie, o astrologii—encyklopedya naukowo nie wiele warta, artystycznie potworna.—Wszystko razem wziąwszy, Klonowicz jest pisarzem, którego największym błędem i nieszczęściem jest to, że pisał wierszem. Język jego jest jeszcze dość czysty, smak nie tak zepsuty, żeby był musiał być smutnym reprezentantem poezyi upadającej. Jego poezya dlatego nie należy do dobrej epoki, że on nie miał poetycznego talentu. Gdyby był chciał poprzestać na prozie, to przy swojem wykształceniu niepośledniem, przy swoim zdrowym i szlachetnym poglądzie na świat, przy swojej polszczyźnie jeszcze czystej i nie zepsutej, liczyłby się dziś może do dobrych pisarzy dobrej epoki i do znakomitszych rodzimych moralistów polskich, zamiast liczyć się do smutnego szeregu słabych polskich poetów.

Co się tym czasie mnoży, to mała powiastka; znak że potrzeba czytania, raczej potrzeba zajęcia i zabawienia wyobraźni wzrosła. Pierwsza połowa XVI wieku miała już takie czytania, przeznaczone dla zabawy; *Historye Rzymskie*, *Rozmowę Marcholta*. Ale teraz przybywa ich wiele, wszystkie (jak dawniej) przekładane lub przerabiane z niemieckich i włoskich, Historya o *Magelonie*, o *Meluzynie*, o *Aleksandrze Wielkim*, o *Cesarzu Ottonie*, o *Sowizdrzale*, i t. d. Musiały podobać się bardzo, bo wydań miały wiele, aż do XVIII wieku. Rodzaj ten rozwinie się w wieku XVII, a z czasem przemieni się nawet na wielkie powieści wierszem, które także dotrwają aż do wieku XVIII.

II.

Kronika Polska Bielskiego. Zwrot w literaturze politycznej. Warszewicki. Wereszczyński. Górnicki Grabowski.

Cała ta poezya zostaje daleko w tyle za prozą tych lat. Historya jest wprawdzie uboższa, bo Heidenstein pracuje oczywiście nad pozostałemi księgami *Rerum Polonicarum*, ale ich nie ogłasza; a jedna teraz wychodzi i zamyka dziejopisarstwo XVI wieku *Kronika Polska* Bielskiego.

Ta, ostatnia, znowu podobna jest zupełnie do dawniejszych, znowu wiernie i ściśle trzyma się Długoszowego i Kromerowego typu kroniki, o nowe odkrycia się nie kusi, powtarza tylko tradycyjną historyę od Lecha, dawne czasy opowiada wiernie za poprzednikami, dalsze, gdzie tamtych już zabrakło, na własną rękę; słowem, należy zupełnie do tej szkoły kronikarzy, którą otwiera Długosz, a składa Miechowita Decius Wapowski i Kromer, i jest w niej ostatnim. Po nim już takich kronik nie będzie; kierunek, wskazany przez Orzechowskiego, bierze górę stanowczo, i od końca XVI wieku historycy polscy są kronikarzami współczesnych sobie wypadków. Tworzy się szkoła nowa, której pierwszym praecursorem był Orzechowski, najświetniejszym reprezentantem w wieku XVI Heidenstein, a która, utrzymując się przez cały wiek XVII,

bo do niej należy i Piasecki, i Łubieński, i Kochowski, i Rudawski, kończy się już w wieku XVIII, na Otwinowskim.

Kronika Bielskiego jest więc ostatnią z rodu; i w najważniejszych, głównych rzeczach sąd o niej musi być mniej więcej taki sam, jak o kronikach poprzedników. Bielski postępuje zupełnie, jak oni: powtarza za Długoszem, a podobno więcej jeszcze za gładszym i w jego czasach sławniejszym Kromerem, dalej powtarza za Wapowskim, za Orzechowskim, czasy Stefana podobno za Heidensteinem, słowem, kompiluje, jak dawniejsi, a różni się od nich tem jedynie, że *Kronika Polska* syna, jak niegdyś *Kronika świata* ojca, pisana jest po polsku.

Bo dziś już sprawa ta zdaje się być stanowczo rozjaśnioną, a autorstwo „Kroniki Polskiej" stanowczo przyznane Joachimowi Bielskiemu. Wiadomo, że wątpliwość wszczęła się ztąd, że syn wydał Kronikę jako dzieło ojca, Marcina, który miał ją pisać do swojej śmierci, zaszłej w roku 1575, a syn tylko ostatnie lat jedenaście dopisać. Wszelako z tego, co sam w przedmowie mówi, że musiał opowiadać dzieje kilku panowań, z przywileju królewskiego dołączonego do pierwszego wydania, z innnych współczesnych świadectw, wreszcie z porównania języka i stylu w „Kronice Świata" i w „Kronice Polskiej," dowiedli znawcy, że dzieło jest nie ojca, ale syna. Tylko niektóre ustępy rozpoznano, jako będące Marcinowego pióra; mianowicie, jedne z nich weszły prawie w całości z „Kroniki Świata" (panowanie Łokietka i Kazimierza)—inne, nieliczne, były zapewne fragmentami lub notatkami, do *Kroniki Polskiej* przez Marcina przygotowanemi. Zdaje się, że ojciec pisać ją zamierzał, po części może i pisać zaczął, ale księgę ułożył syn, a tylko niektóre zapiski ojca do niej wciągnął.

Nowsi krytycy, od Ossolińskiego począwszy, zajmowali się wiele tą kwestyą Bielskich, a w ostatnich czasach (Nehring) doszli do takiej w tej mierze pew-

ności, że wskazują najdokładniej wszystkie źródła, z jakich Joachim wiadomości swoje czerpał, wszystkich autorów, za którymi powtarzał. I tak, rozróżniają w Kronice dwie połowy od siebie odmienne. Pierwsza dochodzi do roku 1553. W tej trzyma się Bielski zrazu Długosza, ale nie wprost, tylko za pośrednictwem Kromera, z którego bierze swoje wiadomości i którego błędy powtarza, gdzieniegdzie wciela w swoje dzieło całe ustępy z ojcowskiej *Kroniki świata*—dalej, gdy Kromera nie stało, trzyma się Wapowskiego, a do pierwszych lat Zygmunta Augusta służą mu *Annale* Orzechowskiego. Aż do tej daty, 1553, wszystko, co wie, wzięte jest z tych pisarzy.

Dalej, do Zygmunta Augusta, źródeł mu zabrakło; z Gwagnina tylko miał gdzieniegdzie korzystać, ale to były lata współczesne, wypadki, na które sam patrzał, a w których nieraz brał udział; aktorowie, świadkowie najbliżsi żyli, on ich znał, miał więc żywych źródeł dosyć, a przez swoje stosunki mógł mieć i najważniejsze dokumenta. To też ta część Kroniki, panowanie Zygmunta Augusta, uchodzi za najcenniejszą i ze wszystkich najbardziej własną. Bo już panowanie Henryka i Stefana, jak dowodzą krytycy, przytaczanymi ustępami, było pisane z pomocą Solikowskiego i Heidensteina. Jest więc Bielski do ostatka kompilatorem, jak cały ten szereg kronikarzy, do którego należy; szkoła występuje w nim po raz ostatni ze wszystkiemi swojemi właściwemi cechami.

Co mu przyznać trzeba, to, że ją zamyka godnie, nawet świetnie. Bez takiej wielkiej zdolności i zasługi, bez takiej wartości źródłowej, jaką ma Długosz, bez takiej u współczesnych i potomnych sławy, jaką cieszył się Kromer, który i dla niego był największą powagą, ideałem historyka, ma on swój wdzięk osobny, który nie leży wprawdzie w jego talencie dziejopisarskim, i od niego nie zależy, ale który sprawia, że jest od Kromera milszym. Pisze po polsku; w każdym razie

byłoby to zasługą; ale w tem, jak pisze, tkwi jego właściwa wartość. Europejskie wychowanie Kromera, jego otarcie się po świecie, jego wykształcenie literackie, może i dyplomatyczne powołanie, wreszcie jego ozdobna elegancka łacina, nadają mu pewien pozór gładki, cywilizowany, ale nieco kosmopolityczny. Znamiona i właściwości Polaka znikły, został Europejczyk. Bielski pisze po polsku, a w jego polszczyźnie, klasycznie prostej i pięknej, odbija się cała prostota z jaką Polak ówczesny mówił i z jaką myślał. To jest język polski, jak go Pan Bóg stworzył i jak lud mówi, bez żadnych dodatków, ozdób, zwrotów, w jakie uposażyła go literatura, poezya, wymowa, teorya stylu i t. d. Tylko bez tych dodatków także, jakimi go szpeci przypadek, nieuwaga, rubaszność, grubijaństwo i t. d. Prostoty i naturalności języka w takim stopniu, jak on, nie posiada może żaden z naszych prozaików tego wieku, bo już proza Górnickiego, nie mówiąc o patetycznej prozie Skargi, jest sztuczniejsza, więcej literacka, zaś prostota i naturalność stylu Reya, nie umiała być szlachetną i piękną.

A jak klasycznie po polsku pisze, tak i myśli; w wyobraźniach jak w wyrażeniach ma jakąś pierwotną prostotę i naiwność, w pojęciach swoich ma zdrowy rozsądek i zdrowy zmysł moralny, które sprawiają, że jego Kronika wygląda tak, jak gdyby była pisana przez chłopa, któryby był rozumny i okrzesany, a któryby przecież nie stracił swojego typu, swojego charakteru wiejskiego.

Jego główne wady są te, że wypadki wiążą się u niego chronologicznym tylko porządkiem, że rzeczy drobne i annalistyczne zapiski zajmują zbyt wiele miejsca, że pisząc za innymi, powtarza często ich pomyłki, a często i sam jest niedokładny - to wszystko prawda. Ale gdyby tych wad nie miał, byłby czemś więcej, niż kronikarzem; on więcej niczem nie jest, i może się nie domyślał, że można być historykiem i czego do tego

potrzeba. Jako kronikarz jest typowy; ma wszystkie cechy i własności rodzaju, nie jest gorszym od innych, jeżeli nie jest lepszym, a jest od nich prostszym, bardziej szczero-polskim, milszym. Jego szkoła była zapewne najniższym szczeblem dziejopisarstwa i musiała się skończyć, jeżeli ono miało naprzód postąpić—to też skończyła się zaraz, nie trzeba się na niego niecierpliwić, bo jest już ostatnim. Po nim już takich nie będzie, a przed nim byli kronikarze zdolniejsi, może byli uczeńsi, ale sympatyczniejszego, milszego podobno nie było.

Pisarze polityczni występują w większej liczbie i świetniej; a bieżące wypadki, stan Rzeczypospolitej, nadały im charakter odmienny od tego, jaki miała ta gałąź piśmiennictwa przed śmiercią Zygmunta Augusta, przed wolną elekcyą. Aż dotąd statyści nasi widzieli potrzebę różnych zmian, upominali o nie, przestrzegali, że może być źle; ale obejmowali wszystkie zmiany, jakie mieli za potrzebne, wszystkie stawiali na równi, żadna nie wydawała im się pilniejszą i konieczniejszą od innych. Modrzewski zakreśla wielki program poprawy Rzeczypospolitej, a opiera tę poprawę na stosunkach społecznych. Tak się naprawia, takie układa się programy, kiedy się ma czas, swobodę działania i kiedy się liczy na bezpieczeństwo. Ale teraz, po drugiem, a dopieroż po trzeciem bezkrólewiu po elekcyach podwójnych, skutkach domowych fakcyj a zagranicznych pokus i wpływów, po uniknionej przypadkiem tylko (przez śmierć cesarza) wojnie za pierwszym razem, po wojnie choć zwycięskiej za razem drugim, musiało u ludzi myślących zrodzić się przekonanie, że w naszej konstytucyi jest jakiś błąd organiczny i że ten jest naszem niebezpieczeństwem głównem, zatem przedewszystkiem potrzebuje naprawy. Statyści więc, reformatorowie Rzpltej, zwracają odtąd największą uwagę na to jakies złe, tkwiące w naszem prawie publicznem. Wielkie programy, poprawa, obejmująca

wszystkie stosunki, usuwają się w głąb; reforma społeczna zwłaszcza, najtrudniejsza, z natury swojej najpowolniejsza ze wszystkich, przypomina się jeszcze czasem, ale z cicha, jak gdyby dla spokojności sumienia tylko; a na pierwszy plan występuje kwestya formy rządu, kwestya konstytucyi; poprawa Rzpltej zajmuje się głównie stroną polityczną tej sprawy. Tak będzie długo, aż do Staszyca, do schyłku XVIII wieku, kiedy widoczny i blizki upadek każe na gwałt brać się do ratunku, i łączy społeczny i polityczny pierwiastek naprawy Rzeczypospolitej—za późno.

Pierwszym, który ten zwrot w literaturze politycznej oznacza, jest pisarz najmniej ze współczesnych sympatyczny, owszem nie sympatyczny wcale; nizki jako charakter, nie wysoki jako talent, ale rozumny i przez swój sposób widzenia zajmujący, bo wyjątkowy, Krzysztof Warszewicki. Występuje on widoczniej już podczas elekcyi Henryka i zaraz na wstępie daje poznać swoją naturę nieszlachetną, kiedy w szumnym panegiryku wynosi pod niebiosa tego Henryka, przeciw któremu wszystkimi siłami i wpływami swoimi pracował, jako gorliwy stronnik austryacki. W drugiem bezkrólewiu znowu Austryakom służy, a po niem znowu Batoremu i służy i kadzi, może nawet szczerze. W mowie bowiem *Po śmierci króla Stefana na głównym zjeździe Mazowieckim* (1587) tłómaczy nietylko dobrze, ale wymownie (jedyny raz w życiu) zasługi i zamiary zmarłego. Domaga się też usilnie, natarczywie, jakiegoś sposobu uporządkowania bezkrólewi i zabezpieczenia Rzpltej. Do tej materyi wróci on w swojem głównem dziele, *de Optimo Statu Libertatis.* Przedtem jednak, za bezkrólewia po Stefanie, nietylko popiera znowu kandydaturę arcyksięcia (nie ogłoszona *Rozmowa Lechity z Czechem* i *Oracya pro Maximiliano Rege*), ale samego tego mniemanego króla uczy, co ma robić, żeby Polskę zaburzyć (memoryał de Rebus Polonicis turbandis). Później, kiedy Austrya stara się skierować

na Polskę główny prąd i ciężar wojny tureckiej, Warszewicki znowu (1593) w czternastu *Turcykach*, do najwyższego stopnia retorycznych i suchych, w rozumowaniu zaś słabych, chce namówić i zagrzać Rzpltę do ligi i do wojny przeciw Turkom. Wreszcie (1598) wydaje *de Optimo Statu Libertatis*,, dyalog jak *Dyalogi* Orzechowskiego, jak Kochanowskiego *Wróżki*, z tą różnicą, że prowadzony między historycznemi i znacznemi osobami (kanclerz Ocieski, Padniewski i Orzechowski), a pisany daleko gorzej, niż pisywał Orzechowski. Główną myślą i zasługą tego dziełka jest rozumna i surowa krytyka bezradności i bezskuteczności sejmów, dalej krytyka elekcyi, której dobrego sposobu nikt nigdy wynaleźć nie zdoła. Autor nie żąda wyraźnie jej zniesienia; zapewne brak mu odwagi. Ale ze wszystkiego, co mówi, znać, że to zniesienie uważałby za pierwszy warunek naprawy Rzeczypospolitej. Gorliwy zwolennik i wielbiciel austryackiego domu, austryackiej polityki, jest monarchistą stanowczym. Wszyscy inni żądają tylko modyfikacyi, lepszego opisania elekcyi; Warszewicki jeden wystawia ją jako zasadniczo, absolutnie złą.

Krytyka sejmów jest najostrzejsza może ze wszystkich, jakie dotąd były; sposoby ich uporządkowania i ich skuteczności, wskazane wcale rozumnie. Nieraz bardzo zręczne wskazówki, jak panujący może sobie radzić z opozycyami. Jednem słowem rozumna książka, w której prawd jest dużo. Szkoda tylko, że książka zła, ciężko, sucho, a szumnie pisana; szkoda większa, że rozumny autor, który widocznie mógł wyjść na pożytecznego człowieka, przez wykrętny nizki charakter stał się i szkodliwym i nie szanownym.

Jego druga książka, *de Legato et Legatione* (1595), jest naprzód lepsza, bo celowi swojemu zupełnie odpowiada, potem jest ciekawa, bo pozwala wejrzeć w mechanizm, w obyczaj dyplomacyi XVI wieku; dalej jest bardzo praktyczna, bardzo przydatna, kiedy

uczy posła, jak się ma zachowywać względem obcego i względem własnego dworu, a wreszcie jest godna uwagi i wdzięczności przez to, że jedyna w literaturze, zajmuje się tem, co nasi pisarze zaniedbują, a zapewne zaniedbywała i nasza Rzeczpospolita: służbą dyplomatyczną, jej zadaniami, obowiązkami i warunkami powodzenia.

Gdyby Warszewicki był tylko fanatykiem polityki austryackiej [1]), gdyby był za nią pisał, mówił, agitował na elekcyach, możnaby mówić, że miał słuszność lub nie, ale nie możnaby mu nic naprawdę zarzucić; byłby doktrynerem może uprzedzonym, krzywo rzeczy widzącym, ale szanownym zresztą, a ze względu na całość jego przekonań, oryginalnym w ówczesnej Polsce wyjątkiem. Na nieszczęście, sympatye austryackie pociągnęły go po za granicę czynów, dozwolonych sumieniem porządnego człowieka i Polaka. Archiwum wiedeńskie przechowuje jego memoryał, podany cesarzowi Maksymilianowi po elekcyi Batorego, teraz już (przez pana Wierzbowskiego) ogłoszony, w którym uczy go, jak ma uzurpatora z Polski wyrzucić, a tron sobie słusznie należący osiąść. Że cesarza uważał za prawego króla, Batorego za przywłaszczyciela, to jeszcze dałoby się usprawiedliwić. Elekcya była podwójna, zatem zupełnie prawną nie była żadna, a choć prawniejszą i prawdziwszą była elekcya Stefana, przecież da się przypuścić, że ktoś w dobrej wierze miał tamtego za prawego króla. Podobnie mógł myśleć przy elekcyi Zygmunta III. Ale co w dobrej wierze zrobić się nie dało, co z sumieniem uczciwego człowieka i Polaka zgodzić się nie mogło, a przeto usprawiedliwionem być nie może, to zachęcać, namawiać cesarza, żeby szedł do Polski z wojskiem, uczyć go, jak ma korzystać z niezgód i ambicyj polskich, jak podchlebstwem i przekupstwem czyli demoralizowaniem Polski, ma ją poddać pod swoją władzę. Sumienie ludzkie

[1]) Ustęp wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku.*

umie się wybornie tumanić i łudzić, więc i on zapewne wmawiał w siebie, że to wszystko radzi i mówi dla dobra Rzpltej; może w tem było więcej zaślepienia i doktryny, aniżeli podchlebstwa i przewrotności, ale zawsze była to brzydka intryga, która usprawiedliwić się nie da.

Zdaje się, że musiał to być człowiek rozumny, uczony, trafnie ludzi i rzeczy sądzący, ale próżny i ambitny; w ambicyi zawiedziony, stawał się zgryźliwym i zazdrosnym: uniżony względem tych, od których wywyższenia się spodziewał, umiał w potrzebie uniżyć się i przed tymi, których tylko co szarpał i szkalował; człowiek, który miał darów i przymiotów wiele, tylko jednego nie miał, nie miał nic wzniosłego w duszy, w postępowaniu, w charakterze: ani w swoim talencie pisarskim. Czy miał wysokie zdolności praktyczne? Z usposobienia i pism zdawałoby się, że powinien był być zręcznym dyplomatą; przecież jest jedna uwaga, która się temu przypuszczeniu sprzeciwia; oto najwyższe godności, jakie piastował, były kanonia krakowska i urząd sekretarza królewskiego. Za Stefana może człowiek jego przekonań i stronnictwa wyżej wyjść nie mógł, ale Zygmunt III, który sam był tych samych zasad i tego samego stronnictwa, ten, zda się, powinien był używać go, lubić i wynieść. Tymczasem nie zrobił tego. Dlaczego? Zgadywać trudno, przecież przypuszczać można, że albo nie ufał jego charakterowi, że Warszewicki z powodu swoich konszachtów z Austryakami miał w Polsce złą reputacyę, albo też, że w nim nie widział zdolności dostatecznej do kierowania czemkolwiek.

Musiały zachodzić oba te powody. Zygmunt III nie miał powodu być łaskawym na człowieka, który mu i szkodził i ubliżał; dowierzać mu nie mógł,—a reputacya? Ta, niestety, nie była szczególna. Źle czasem ludzie wychodzą na bliższem poznaniu, a o ile literaturze dobrą, o tyle Warszewickiemu złą usługę oddał p. Wierzbowski, kiedy przy nieznanych jego pi-

smach wydał i listy (do niego i od niego) lub wzmianki o nim, z cesarskiego wiedeńskiego i z watykańskiego (w części) archiwum, z biblioteki Zamoyskich w Warszawie i Ossolińskich we Lwowie, wreszcie z aktów kapituły krakowskiej. Z listów tych bowiem nabiera się przekonania, że był to w sutannie wprawdzie i z wielkiemi zasadami na ustach (a może i w sercu), ale rodzaj politycznego awanturnika, przez współczesnych mało szanowanego, sławy nieszczególnej, niewielkiej powagi i godności w sposobie życia, które zeszło na ustawicznej gonitwie za stanowiskiem i dochodami, na ustawicznej walce z ich brakiem.

Charakter był widocznie niepiękny, a to tłómaczy mały jego u współczesnych wpływ i znaczenie. Człowieka, którego nie szanują, wtedy tylko ludzie słuchają, kiedy ich złym skłonnościom pochlebia i do nich trafia. Tego Warszewicki nie robi; nieuczciwy jako człowiek, w działaniu, pismami swojemi nikogo nie psuje i Rzpltej nie szkodzi. Jest też jako pisarz szanowniejszy, niż jako człowiek. A że rozumny niezaprzeczenie, że w kwestyi rządu śmielszy i wytrawniejszy od wielu, musimy go zawsze uważać za pisarza politycznego niezwykłej miary i wartości. Byłby nawet znakomitym zapewne i bardzo zasłużonym człowiekiem, gdyby był miał więcej charakteru.

Z elekcyą Zygmunta III łączy się, pod jej smutnem wrażeniem była napisana—Górnickiego *Rozmowa Polaka z Włochem.* Napisana: nie ogłoszona. W przedmowie do wydania z roku 1616, świadczą synowie autora, że ojciec za radą znakomitych w ojczyźnie ludzi, Zamoyskiego między innymi, dziełko swoje w rękopisie zatrzymał, żeby nie oburzyć i nie rozjątrzyć rozmiłowanej w elekcyi opinii. Z kopii jakiejś, a może i bez wiedzy czyjem było, wydał je Suski, pisarz grodzki przemyski, w roku 1589

Jest to jedna z pięknych rzeczy w naszej literaturze politycznej. Ślicznie pisana naprzód, znać na niej

jednego z mistrzów języka. Potem od innych współczesnych pism tego rodzaju różna i wyższa tem, że nie moralizuje, nie prawi kazań ani ogólników. Wreszcie tak rozumnie, z tak niepospolitą siłą argumentacyi dowodzi, że mniemana nasza wolność i równość zawsze, ale przy elekcyach szczególnie, jest wielkiem złudzeniem, którem się sami oszukujemy, że pod tym względem żaden ze współczesnych pisarzy, a może i z następnych aż do Konarskiego, nie jest Górnickiemu równy. Argumentacya ta spokojna, bez namiętności i wybuchów, jest przecież bardzo wymowna, działa nie na sam rozum tylko, ale i na uczucie. Włoch, który wyobraża opinię autora, żąda innego sposobu elekcyi, mianowicie, żeby ona odbywała się *w murze* przez sejm, przez posłów, a nie *viritim*. W takim razie i wolność jej byłaby prawdziwsza, i jej skutek mniej wydany na wolę losu, przypadku, zagranicznych intryg, domowych fakcyj i t. p.

To jest myśl główna, ale nie jedyna. *Rozmowa* ma być nie o samej tylko elekcyi, ale i o prawach; a wielka ilość nadużyć i gwałtów, wielka ich bezkarność zwłaszcza, wskazuje Włochowi, że i prawa polskie potrzebują poprawy. Mianowicie *Neminem captivabimus nisi jure victum*, doskonałe w zasadzie, staje się złem i zgubnem, kiedy jak u nas służy i nadużywa się do tego, by winny różnymi sposobami oszukiwał sprawiedliwość, wykręcał się od sądu i kary. To prawo zatem miałoby być zniesionem, nie dlatego, jakoby było złe samo w sobie, ale że my nie jesteśmy dość dobrzy, by z niego korzystać, jak należy.

Dalej żąda Górnicki reformy postępowania sądowego, i choć nieśmiało, niedostatecznie, zmiany prawa o karze na mężobójstwo. W trzeciej Rozmowie wreszcie podaje sposób, jakby te pożądane zmiany w życie wprowadzić, i wymyśla go, trzeba przyznać, źle.

Sposobem tym jest dyktatura. W teoryi, w logi-

ce, rozumowanie słuszne. Kiedy stan kraju dochodzi do nierządu, tam władza jednego może przywrócić porządek. Ale w tym szczególnym polskim przypadku, środek niepraktyczny, błahy. Nikt tu nie był dość mocnym, żeby władzę zamachem stanu opanować; a żądać od sejmu, jak właśnie robi Górnicki, żeby dobrowolnie zrzekł się swoich praw i wolności i na jakiś czas powierzył je dyktatorowi, to utopia bardzo dziwna. Żadne ciało prawodawcze na świecie nie zdobyłoby się na taki akt; a sejm polski, gdyby był chciał, czy mógł, rozumieć, że nierząd grozi upadkiem ojczyzny, i gdyby był zdolny do tej ofiary, jakiej Górnicki od niego żąda, jużby dyktatury nie potrzebował, bo miałby oczywiście dość mądrości i woli na to, by sam stan Rzeczypospolitej poprawił.

Pod dyktaturą tedy miałaby się dokonać reforma sprawiedliwości (praw i procedury), dalej zmiana konstytucyi, sejm nieustający, ale jedno-izbowy, złożony z senatorów i posłów. W takim sejmie, w obecności króla i senatorów, posłowie mniejby rozprawiali i swarzyli się, a uchwalaliby więcej. Dalej miałyby być dozwolone ordynacye, a młodsi synowie mieliby iść na Wschód, osiadać puste ziemie, kolonizować Ukrainę i dalej aż pod Krym. Poprawa obyczajów, lepszy byt miast, ożywienie handlu i t. d., wszystko to miałby zaprowadzić dyktator. Niepodobieństwo wykonania tych reform tą drogą jest tak oczywiste, jak potrzeba i pożyteczność reform samych.

Kończy się Rozmowa rozruchem na polu elekcyi, dobywają się szable; Polak już nie chce jej chwalić, bo widzi, że się krwią obleje.

Droga do Zupełnej Wolności (kiedy napisana, niewiadomo, wydana po raz pierwszy 1650) to zupełne przekształcenie konstytucyi polskiej. Prawdopodobnie widzi Górnicki, że ta, która jest, do złego końca doprowadzić musi; ale widzi razem zaślepienie szlachty, jej fałszywe pojęcie wolności, i widzi, że to przeprzeć się

nie da. Przypuszcza zatem, że rząd w formach bardziej republikańskich, może przyjąłby się łatwiej i może zdołałby być rządem prawdziwym. Przenosi tedy najwyższą władzę na sejm, a wykonywać ją każe dwom urzędom, przez sejm wybranym. Jest to zastosowanie konstytucyi weneckiej do Polski. Sejm Górnickiego wychodzi na to mniej więcej, czem tam była *Wielka Rada*, *Urząd Górny* odpowiada *Signorii*, a *Urząd Dwunastu* jest kopią *Rady Dziesięciu*. Król schodzi zupełnie na stanowisko doży. Być może, że w teoryi Górnicki miał słuszność, że czysto republikańska forma rządu byłaby dla Polski mniej niebezpieczną, niż elekcye i bezkrólewia. Ale nie mówiąc, już o tem, że ogromne atrybucye owych dwóch urzędów, prowadzićby musiały prosto do absolutnej oligarchii, trzeba mu wytknąć ten błąd wielki, że kiedy chciał zaprowadzić republikę czystą, to powinien był znieść króla. Skoro go zostawia, to zostawia z nim razem te niebezpieczeństwa bezkrólewi i elekcyi, o których usunięcie głównie mu chodzi.

Nie jest Górnicki Modrzewskim w swoich pomysłach [1]) politycznych, jak nie jest Kochanowskim w poezyi, Heidensteinem w historyi. Miał śliczny sposób pisania, miał rozum bystry i bardzo wykształcony; zdolności pierwszego rzędu nie miał. Pojętność, chwytność, dar przyswojenia sobie wielu rzeczy i pięknego przejrzystego ich wypowiedzenia, oto, sądząc z pism cechy umysłu, który ani w historyi, ani w literaturze do pierwszych ról i stanowisk najwyższych stworzonym nie był.

Ale to wszystko przyznając, gdyby zapytać, czy w jego politycznych pismach jest jaka myśl nowa, występująca w literaturze bądź to po raz pierwszy, bądź po raz pierwszy wyraźnie i silnie, zatem, czy on do

[1]) Ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku.*

skarbu tej literatury co własnego wnosi, a sobie zdobywa jaką osobną i ważną zasługę, to w odpowiedzi trzebaby zaświadczyć, że tak jest. Prawda, że od swoich poprzedników był bogatszy o doświadczenie elekcyi; być więc może, że każdy z nich byłby patrzał na sprawy, jak on, gdyby był widział te same, co on, wypadki. Ale tego zaprzeczyć nie można, że przez cały ciąg panowania Zygmunta Augusta nasi statyści widzą i wskazują wszystko złe, jakie jest w Rzpltej, ale żaden nie mówi, żaden naprawdę nie czuje potrzeby wzmocnienia rządu. O większy porządek wołają wszyscy, o silniejszy rząd żaden. Dla Modrzewskiego, jak dla Orzechowskiego konstytucya polska, forma rządu, jest doskonała. Górnicki pierwszy spostrzega się, że tak nie jest. I to jest ta między nim a tamtymi różnica. To nowość w literaturze politycznej, która jest jego własną myślą i zasługą. Same jego pomyłki, same jego sprzeczności, najsłabsze jego pomysły, dowodzą, że tę potrzebę rządu czuł, i z jej świadomości pochodzą. Utopijną, niemożliwą jest ta dyktatura, którą wymyśla *w Rozmowie* ale to wymysł człowieka, który widocznie szuka i pracuje, jakby w Polsce rząd zaprowadzić się dało. A sprzeczność między *Rozmową*, która władzę królewską chce wzmocnić, a *Drogą*, która ją prawie znosi na korzyść oligarchicznej jakiejś Republiki, znowu świadczy za tem samem usilnem uporczywem szukaniem. Nie przyjmie Polska rządu w tej formie, podejrzywa króla, boi się, żeby tyranem nie został, i nic tego uprzedzenia przełamać, wykorzenić nie zdoła; a więc skoro tym sposobem nie można, spróbujmy innego. Może przyjmą rząd sprężysty, rzeczywisty, jeżeli go dzierżyć będą sami, a byle był, byleby go ktoś wykonywał, mniejsza o formę. Ta sprzeczność może być tylko zmianą zdania u człowieka rozumnego i wytrawnego, który widzi, że rzecz konieczna jednym sposobem zrobić się nie da, i szuka innego.

Nie był najpotężniejszym u nas politycznym umy-

słem między pisarzami tego wieku, ale był tym, który w politycznym rodzaju najwłaściwiej, najlepiej pisać umiał. A dodawszy do tego, że ze wszystkich najwyraźniej dostrzegał potrzeby silniejszego rządu, że żądał ograniczenia elekcyi (zawarcia jej w murze), że upomina o należyty wzgląd na miasta i o ubezpieczenie Rzpltej od Wschodu przez kolonizacyę kresów, przyznać mu trzeba, że nie największy z naszych pisarzy politycznych XVI wieku, jest na jego schyłku, w epoce już elekcyjnej, ze wszystkich najznakomitszym.

Osobną grupę, między naszymi pisarzami politycznymi, stanowią ci, którzy się zajmują przeważnie a prawie wyłącznie ówczesną kwestyą wschodnią, zabezpieczeniem Polski od Turków i Tatarów, przez to i od groźnego północnego sąsiada. Ci zasługują na szczególnie wdzięczną pamięć, bo i kwestya była pierwszej wagi, i pomysły ich są bardzo szlachetne, a przytem mądre, praktyczne. Jednym jest Józef Wereszczyński biskup kijowski, postać bardzo znana i znacząca, jeden z lepszych kaznodziei swego czasu; drugim jest ksiądz Piotr Grabowski, o którym tyle tylko wiemy, że był proboszczem parnawskim, bo się tak na dziełkach swoich podpisywał.

Wereszczyński marzy o zakonie rycerskim, któryby miałby bronić wiary i i ojczyzny od Bisurmana, a zarazem kolonizować i uprawiać ziemie kresowe, zakorzeniać i krzewić w nich Polskę. Organizuje przytem wojsko, na podstawie niepospolicie nawet uciążliwego podatku i poboru rekruta. Oprócz tego podaje mądry, a nawet łatwy do wykonania sposób zaludnienia zbogacenia i fortyfikowania Kijowa, przez co umocniłaby sie pozycya Rzeczypospolitej nad Dnieprem i za nim, a osyi, która się coraz bardziej wdziera i wpycha w asze granice, zawarłby się przystęp do Ukrainy.

Grabowski jest tamtego pomysłem swoim blizki. N zakłada rycerskiego zakonu, ale rycerskie kolonie z ganizacyą wojskową, których przeznaczeniem było-

by granic strzedz, a ziemię uprawiać, i osady sobą zasłaniać. Tym sposobem nie tylko moglibyśmy od Tatarów się zabezpieczyć i wzrość w bogactwo na tych bujnych ziemiach, ale moglibyśmy posuwać się coraz dalej na Wschód i z czasem może o Krym się pokusić. W innem pisemku: *Zwierciadło Rzeczypospolitej*, mówi Grabowski o stosunkach wewnętrznych. W tem jego zwierciedle przejrzeć się mogła nietylko ówczesna Polska. Typy różnych *lekarzy* Rzeczypospolitej opisane są krótko, ale tak trafnie, tak dosadnie, że od greckich i rzymskich aż do dzisiejszych czasów poznać w nich można wszystkich wichrzycieli, i wszystkich, którzy im opierać się nie śmią, i wszystkie zawsze te same powody tak wichrzenia, jak i tchórzostwa wobec wichrzenia. Koniec zaś i właściwy cel dziełka, to uregulowanie i skuteczność uchwał sejmowych, a co dziwniejsza, wzmocnienie władzy przez żądane dla króla prawa trzykrotnego *veto* przeciw uchwałom sejmu.

Śliczne są pisma tych obu księży. Tak pełne gorącej miłości ojczyzny, rozumu, szlachetnego popędu, że czyta się je z najgłębszą dla autorów sympatyą i z najgłębszym żalem, że nie byli usłuchani.

III.

Skarga. Związek z Kościołem powszechnym i polskim. Obrona Kościoła i stanowisko względem protestantów. Unia. Wewnętrzna poprawa Polski. Bractwo Miłosierdzia. Żywoty Świętych. Kazania na niedziele i święta. Kazania o siedmiu Sakramentach Pobudki do Modlitwy. Kazania pogrzebowe i dziękczynne. Kazania sejmowe. Charakterystyka ogólna.

Historya literatury, kiedy przychodzi do tej epoki schyłku i przejścia, zastaje na wstępie, na samym tym punkcie zwrotnym, postać fenomenalnych prawdziwie rozmiarów i fenomenalnego, wyjątkowego charakteru: człowieka, który nigdy nie występował czynnie w historyi, który w sprawach publicznych nie miał udziału, bitw nie wygrywał, w senacie nie siedział, na sejmach nie głosował, który nietylko nie był mężem stanu, ale nie był nawet człowiekiem świeckim, księdza, którego cała czynność zamyka się w słowie i w piśmie, a który o świeckich rzeczach i sprawach nic nigdy nie mówił i nie pisał, tylko zawsze o duchownych i religijnych. Przecież ten ksiądz, każący o rzeczach wiary lub karności, o Sakramentach, o miłosierdziu, o jedności Kościoła, piszący żywoty Świętych albo polemiczne dzieła przeciw różnowiercom, ma ten przywilej dziwny, że kiedy Polska dzisiejsza wspomina swoich bohaterów i swoich dobrodziejów, kiedy wdzięcznie ze czcią mówi o tych, którzy jej najwięcej dobrego

zrobili, lub zrobić chcieli, wymienia i jego imię. W Walhalli wielkich duchów polskich, w pamięci i sercu potomnych, ten czarny habit ma swoje miejsce obok najświetniejszych koron i purpury, obok mieczów, buław i pancerzy, najbardziej poszczerbionych i krwią rdzawych; a gdyby przyszło kiedyś do wybudowania jakiego „narodowego pamiątek Kościoła," w którym złożoneby były najdroższe po najlepszych relikwie, to w takim skarbcu pamiątek, obok miecza Chrobrego, obok księgi praw Kazimierzowskich, obok ślubnego pierścienia Jadwigi, obok pamiątek po Batorym, Żółkiewskim, Czarnieckim, obok buńczuków, zdobytych przez Jana III i czerwonej czapki Kościuszki, schowalibyśmy niewątpliwie różaniec albo brewiarz Skargi. A gdyby składać przyszło taki skarbiec polskiej myśli i słowa, wieleby laurów zwiędło, wieleby wzniosłych poezyj zbladło, przy bardzo prostych i skromnych słowach tych kazań. Dziwna istotnie postać tego człowieka, który niczem być nie chciał, tylko kaznodzieją, prostym i wiernym opowiadaczem słowa Bożego, a jest jedną z największych chwał i jednym z największych dobroczyńców swego narodu, który sławy nie szukając, znalazł sławę jednego z największych reformatorów Polski, jednego z najmędrszych jej znawców i lekarzy, który nie będąc geniuszem, najwięcej może powiedział jej rzeczy mądrych i prawdziwych, nie będąc prorokiem, najlepiej widział i przewidywał, nie będąc poetą był wieszczem prawdziwym, a pomiędzy natchnionymi jednym z najbardziej natchnionych.

Taka się u nas, dzięki Bogu, utrzymuje jeszcze cześć słów Skargi, takie jakieś religijne dla nich uszanowanie, że uważamy je prawie, jak gdyby one nie były prostemi ludzkiemi słowami; mówimy o nich z dobrą wiarą, szczerze, jako o „proroctwach Skargi." Nic dziwnego; tak się te słowa strasznie na nas sprawdziły, ta co do słowa, że my zwłaszcza, Polacy, z naszą skłoı

nością do wierzenia w nadprzyrodzone cudowne wpływy i środki, łatwo mogliśmy przypuścić w nich proroczego ducha, skutek bezpośredniego wyższego objawienia; możebyśmy i chcieli, żeby one były prorocze, nieomylne, Boskie, bo w takim razie, jak sprawdziły się groźby Skargi, tak sprawdziłaby się i pociecha, ta obietnica, którą się ósme kazanie sejmowe zamyka. Czy jest objawienie, czy jest duch proroczy—któż się odważy dochodzić tajemnicy pomiędzy Bogiem a jego sługą? Kto zwłaszcza taki pewny siebie i mądry, żeby odgadł i rozróżnił, gdzie się zaczyna objawienie niewątpliwe i nieomylne, a gdzie się kończy wyjątkowe podniesienie ducha ludzkiego, przez spotęgowane uczucie do natchnienia? Kto tak mądry, żeby rozpoznał, w której myśli, lub w którem słowie człowieka jest więcej Boskiej pomocy i łaski? Skarga sam powiada wyraźnie, że „szczególnego objawienia nie ma," to znaczy, że nie doznał, nie pamięta, żadnego stanu wizyi lub ekstazy, za proroka Duchem świętych natchnionego się nie ma, widzi, myśli, czuje, jak każdy śmiertelny, nic wyjątkowego, nic nadludzkiego w jego życiu ani w jego słowach niema. On to wiedział najlepiej, a kiedy sam się tak opisuje, więc takim był. Przecież jest w nim jakaś siła natchnienia, jakaś zdolność przewidywania, której zwykłą nazwać nie może nikt, kto jego słowa z dzisiejszym stanem Polski porównał; przecież, jest w tych słowach taki ton groźby, żalu, lamentu, który się z żadnem świeckiem natchnieniem, z żadną poezyą porównać nie da, a przypomina tylko powagę, żałość hebrajskich proroków, Dawida, Jeremiasza, zatrważające groźby Izajasza i gorzkie narzekania Joba. Zkąd to?

Ztąd, że w jednem wielkiem sercu skupiły się i podniosły do najwyższej potęgi te uczucia i te myśli, które przez ciąg wieku były w sercach dobrych, w dobrych głowach. Jak Mickiewicz wypowiedział za Polskę porozbiorową wszystko, co ona czuła w swo-

jem nieszczęściu, tak za Polskę XVI wieku wypowiedział Skarga to, czego ona się dla siebie bała, co w sobie złego widziała. Ten patryotyczny strach, i ten instynkt ratunku, który się widzi wyraźnie we wszystkich naszych pisarzach od połowy panowania Zygmunta Starego, który rośnie za jego synà, a z każdem bezkrólewiem i każdą elekcyą więcej usprawiedliwiony, lęka się bardziej i głośniej o ratunek woła, ta zbiorowa suma i siła rozumu i miłości ojczyzny, które były w wielu, wybuchła teraz w duszy jednego, a ten stał się przez to jakgdyby wcieleniem całej duszy narodu, wszystkiego, co w niej było szlachetnego i wzniosłego.

Jak zaś związany ze swoją ojczyzną jest skutkiem, ostatnią wypadkową jej uczuć patryotycznych, tak znowu związany ze swoim Kościołem, jest skutkiem, ale i dalszą przyczyną, dalszą siłą tego odrodzenia i ustalenia, które się za jego czasów w Kościele odbyło. Jest w Polsce jego najwyższym, oprócz jednego Hozyusza, wyrazem. Należy do tego zastępu ludzi, którzy pod wodzą Hozyusza łączyli się z całym zastępem katolickim w Europie i prowadzili to dzieło, które po reformie Lutra było nietylko bardzo silną reakcyą katolicyzmu, ale i bardzo rzeczywistą jego reformą, wewnętrzną regeneracyą. Kościół, zagrożony ze wszystkich stron naraz przez najróżnorodniejsze sekty, poznał rychło, że tylko przez najściślejsze określenie i przestrzeganie jedności nauki, zdoła obronić jej istotę i jej całość; to było powodem zwołania Soboru Trydenckiego i skutkiem jego prac. Ale równocześnie poznał Kościół w walce, że światowość, nadużycia, zepsucie w nim samym, były w wielkiej mierze powodem, a w każdym razie najdzielniejszym pomocnikiem reformacyi, i ztąd wynikła ta, równocześnie z dogmatyczną obroną nauki katolickiej prowadzona poprawa obyczajów w Kości le. Obok Soboru Trydenckiego, obok doktorów i te logów jak Hozyusz, nieubłaganych stróżów jednoś

wiary jak Paweł IV, obok ludzi, organizujących obronę jak Loyola i wojujących na całej linii jak jego zakon, zjawia się i ścisły obrachunek z samym sobą, dążność nie do czystości tylko, ale do najwyższej surowości obyczajów, żarliwość religijna, posunięta do mistycyzmu i oderwanie się od świata, posunięte do największego ascetyzmu (św. Teresa), wspaniałe przykłady poświęcenia dla wiary w misyonarzach (św. Ksawery), poświęcenia dla bliźnich, jak Karol Boromeusz, wreszcie, czego oddawna nie widziano, jeden z ówczesnych Papieży, Pius V, był tak świątobliwym za życia, że po śmierci czczony jest jako święty. Nastąpiło rzeczywiste i bardzo silne odrodzenie się katolicyzmu w całej Europie.

W Polsce zaczęło się ono za wpływem Hozyusza, a dziwnem, szczęśliwem zrządzeniem losu, objawiło się najpierwej w poprawie duchowieństwa. Wykorzenić protestantyzm i wszystkie jego sekty, przywrócić Polskę pod zupełne posłuszeństwo, zdobyć dla władzy kościelnej przewagę w jej sprawach świeckich, to się nie dało zrobić. Ale zmiana w łonie duchowieństwa, poddanie jego pod karność kościelną i utwierdzenie w prawowierności, to się udało bardzo szczęśliwie i prędko. Przez trzy ćwierci XVI wieku episkopat polski jest doskonałem wyobrażeniem dezorganizacyi Kościoła. Biskupi ambitni, światowego usposobienia a lekkiego życia, jak Krzycki naprzykład, albo znów tacy, których nazwisko, jak Gamrata, wzięte było powszechnie na oznaczenie rozpustnika; obok tego kupowanie biskupstw, symonia na wielką skalę, obok tego wielka obojętność religijna w większości, a otwarta skłonność do herezyi u niektórych, jak Uchański albo Drohojowski. Biskup zupełnie szanowny jak Samuel Maciejowski jest wyjątkiem, a przy takich pasterzach, duchowieństwo niższe naturalnie w rozprzężeniu; plebanie, po kilka naraz, dawane ludziom, którzy w tych parafiach nigdy nie postali, nieraz i świeckim; w obycza-

jach wiele zepsucia i zgorszenia; w karności kościelnej i w samej prawowierności wielkie osłabienie, jak tego dowodzą powtarzające się małżeństwa księży. Pod koniec wieku wszystko inaczej. Protestant mógłby opłakiwać energię i działanie tych ludzi, ale nie mógłby zaprzeczyć, że oprócz starszych, jak Karnkowski, Kromer etc., episkopat polski w końcu wieku reprezentowany jest bardzy godnie przez młodszych jak Goślicki, Bernard Maciejowski, Wereszczyński etc., a duchowieństwo niższe mogło się szczycić ludźmi takimi jak Sokołowski, *concionator prope divinus*, jak Wujek etc. Skarga, pośród takich wychowany i żyjący, nie potrzebował zwracać swoich usiłowań do poprawy duchowieństwa; rzecz była zrobiona. Co najwięcej należało upominać i przestrzegać przed złem tylko co minionem, przypominać, że złe w Kościele było w wielkiej części powodem jego nieszczęść, reformacyi. I to Skarga robi: w kazaniu o Sakramencie Kapłaństwa, w swoich pismach polemicznych (o zachowaniu się względem heretyków); owszem wielokroć odzywa się w tym duchu do księży, którym nie pochlebia nigdy, choć ich, w tej chwili, do poprawy wzywać nie potrzebuje. Ale właśnie dla tego, że był pomiędzy duchowieństwem już przykładnem i gorliwem, właśnie dlatego tem silniej działał w tym kierunku, w którym jeszcze wszystko do zrobienia pozostawało. Za jego młodości Polska cała zalana była protestantyzmem, nie głębokim wprawdzie, ale szeroko rozpostartym; on, porwany potężnym prądem katolickiego ruchu, musiał z protestantyzmem walczyć, i to stanowi jedną stronę jego czynności, to jest jedną z głównych jego myśli, dążnością, która się przebija bardzo wyraźnie we wszystkiem, co mówił i pisał.

Świat dzisiejszy jest jeszcze często a dziecinnie przyzwyczajony bać się wszystkiego, czem go straszono przez długie czasy. Tak wszelkie wystąpienie w obronie katolicyzmu nauczył się podejrzywać o ukryte dąż-

ności prześladowania innych wyznań, i tak łatwo wierzy książkom i ludziom uczącym, że protestantyzm jest prawie jednoznaczny z wolnością, a katolicyzm z despotyzmem, że pomimo dostatecznie i zbytecznie stwierdzonego fałszu tych paradoksów, fałszu, którego nic nie dowodzi lepiej nad ten fakt, że przed katolickim despotyzmem polskim lub rzymskim, wolności ludzkiej broni liberalizm pruski — pomimo tego, jeszcze do dziś dnia stanowisko katolickie wydaje się niektórym z nas jako wolności przeciwne, a pod jego obroną boimy się zawsze ukrytego zamiaru palenia heretyków na stosach. Ztąd pochodzą i zdarzają się tu i owdzie podejrzenia przeciw Skardze. Szanujemy go bo szanować musimy; ale był on katolikiem i swego Kościoła bronił z wielkim zapałem, był Jezuitą, całe życie walczył z protestantyzmem, który jest niby to twierdzą i obroną wolności sumień i myślenia, więc kto wie, czy ten Skarga tak zasługuje na naszą wdzięczność, jak się zdaje; kto wie, czy to, co on robił, wyszło nam na dobre; kto wie, czy nie byłaby Polska wyszła na tem lepiej, gdyby się protestantyzm był w niej dalej krzewił;—kto wie, czy Skarga, choć wielki mowca i wielki patryota, nie zaszkodził Polsce przez to, że był katolikiem? Zdarzało się słyszeć zdanie, że Skarga, gdyby był chciał służyć Polsce, jak się należy, to powinien był nie w katolicyzmie ją utwierdzać, ale prowadzić ją do narodowego osobnego Kościoła.

Wszystko to są rzeczy, na które ze stanowiska religijnego odpowiadać nie można. Kto jest protestantem, nic dziwnego, że sądzi, iż protestantyzm byłby Polsce pomógł. Kto wierzy, że prawda jest w Kościele katolickim, ten musi wierzyć, że dobrze robili ci, którzy tej prawdy bronili; wreszcie, kto mniema, że prawdy religijnej niema w żadnem wyznaniu, to jest, że jej nie ma zgoła, ten niech sobie tworzy jakie chce osobne kościoły własnego autoramentu, dla każdego kraju i państwa inny, jak mundur wojska. Ale ze sta-

nowiska ścisłej logiki i sprawiedliwości powiedzieć trzeba, że wszystkie tego rodzaju zdania o Skardze są niesprawiedliwe i nierozsądne. Możnaby pojąć tego, ktoby powiedział: „Jaka szkoda, że Skarga był katolikiem nie zaś protestantem!"; ale dziwić się i żałować, że będąc katolikiem i księdzem, po katolicku myślał i wierzył, to jest sprzeczność, niedorzeczność. Trzeba mu pozwolić być, czem był; trzeba przez samą tolerancyę przyznać, że jako katolik i ksiądz, i jeden z najznakomitszych między katolikami i księżmi swego czasu, miał prawo, nawet gdyby kto nie chciał uznać że miał obowiązek, bronić swojej wiary i swego Kościoła bardzo zagrożonego.

Ale może ze stanowiska politycznego jego działanie było zgubne? Może powrót Polski całej do katolicyzmu miał złe skutki i przyczynił się do jej zguby?

Na to pytanie, ze stanowiska czysto politycznego i samymi politycznymi argumentami odpowiedzieć trzeba, że zwycięstwo katolicyzmu było niewątpliwym Polski interesem, było dla niej logiczną i polityczną koniecznością. Koniecznością, logiczną naprzód i od niczyjej woli niezależną, dlatego, że zawsze w każdym kraju i czasie ta religia ostatecznie zwycięża, która w nim zapuściła najgłębsze korzenie. Zwycięstwo jego było więc logiczną koniecznością, leżało w naturze rzeczy.

Czy było polityczną potrzebą, polityczną korzyścią Polski? Tak. Nie mówiąc o tem, że protestantyzm był jednym z najsilniejszych powodów zawichrzenia i rozkładu Polski w wieku XVI, trzeba przypomnieć to, że zgoda religijna jest jedną z pierwszych podstaw i rękojmi wewnętrznego spokoju i postronnego bezpieczeństwa państw, że tej zgody najlepszym środkiem jest religijna jedność, jeżeli się bez prześladowania i wojny da utrzymać; w Polsce utrzymała się bez wojen religijnych i bez prześladowania różnowierców. Zatem, przez zwycięstwo katolicyzmu, zwycięstwo be:

rozlewu krwi, ustawała jedna z największych przyczyn do wewnętrznych zatargów, że znoszenia się i spiski różnych religijno-politycznych fakcyj polskich z różnymi dworami zagranicznymi, wpływ tych ostatnich na Polskę przez interes religijny, musiał ustać. Korzyść ogromna, korzyść widoczna dla nas dzisiaj, a o ileż więcéj dla tych, którzy własnemi oczyma widzieli skutki sporów religijnych za pierwszego bezkrólewia naprzykład. Że, choć ten powód złego ustał, nie ustały inne i złe trwało dalej, to prawda. Ale to nie zmienia rzeczy, nie zmienia faktu, że niejedność religijna była dla Polski szkodliwą, usunięcie jej—korzystnem, że zatem, jeżeli się bez użycia złych środków usunąć dała, to dobrze robili ci, którzy ten jeden powód złego usuwali. Protestantyzm lub kościół narodowy, wprowadzony do Polski, byłby jej połowę katolicką, zachodnią, rzucił w objęcia i pod panowanie Austryi, połowę wschodnią, grecką, w objęcia i pod panowanie Rosyi.

Nie szkodził więc Skarga Polsce, kiedy walczył z protestantyzmem; chyba, że wywołał w niej rozruchy, lub wojny domowe, że prześladował, przelewał krew i podpalał stosy. Czy tak było?

W tej pracy nawracania na katolicyzm, jaka się wówczas w całej Polsce prowadziła, miał on wielki udział, to pewna. Jego wpływ miał przywrócić Kościołowi wiele dusz, mianowicie wiele głów z ówczesnego senatu, liczącego tylu protestantów, żeby wymienić tylko Radziwiłłów, Księcia Sierotkę, Jerzego, późniejszego kardynała etc. Że zaś w Polsce przykłady takie zawsze działały, więc wierzyć można, że nawrócenie takich kilku protestantów musiało rozszerzać się na coraz szersze koła, i że jak dawniej za przykładem Górków, Łaskich, Firlejów, na protestantyzm, tak teraz za przykładem podobnym przechodziła szlachta na katolicyzm. Że Skarga do skutku tej propagandy przyczynił się wiele, to pewna. I to był jeden środek jego działania, środek oczywiście godziwy, środek, w którym przymusu

i gwałtu nie było i być nie mogło. Drugim były jego pisma polemiczne. Jest ich znaczna liczba; owszem pierwsze, które wydał, miało tę cechę kontrowersyi teologicznej. Było to dzieło, napisane w odpowiedzi Wolanowi: *Pro Sacratissima Eucharistia*; a do końca życia nie ustawał Skarga w tej walce. Ile te jego pisma mają wartości teologicznej, o tem teologom sądzić; musi w nich przecież być dzielność niepospolita, skoro najdzielniejszy podobno z nowoczesnych polemistów katolickich, Bossuet, znał je i do nich się odwoływał.

Ale może w tych swoich pismach jest Skarga fanatycznym, prześladowczym? Przeciwnie. Wszystkie owszem dowodzą, że w owym wieku, któremu obcą była obojętność religijna, rzecz zła, osłoniona pozorem rzeczy dobrej i nazywająca się tolerancyą innych wyznań, Skarga był tak wyrozumiałym i dobrotliwym, jak mało kto z jego współczesnych. Najwyraźniej pokazuje się to w tych jego pismach, w których wyłożył swoje pojęcia o wzajemnym stosunku różnych wyznań w jednem państwie, a mianowicie w *Upominaniu do katolików o zachowaniu się z Heretyki*, i w *Procesie na konfederacyą*. Skarga ma nowe wiary za fałszywe, a ich zjawienie się w Polsce za zgubne. Ale skoro już są, to gwałtem ich do Kościoła nawracać ani można, ani się godzi; trzeba im zostawić nietylko wolność wiary, ale dostęp do wszystkich urzędów i dostojeństw, i „sąsiedzkiego towarzystwa" (życzliwości w stosunkach prywatnych) im dochowywać. Żąda zaś, żeby heretycy wiary swojej do miast królewskich nie wprowadzali (podług ich własnej zasady *cujus regio ejus religio*), żeby sądom duchownym i publicznym nabożeństwom katolickim nie przeszkadzali, żeby oddali te kościoły i te kościelne majątki, które zabrali nieprawnie, bo nie były ich. Przypomnijmy sobie, jakie były w całej ówczesnej Europie prawa i postępowanie katolików przeciw protestantom, a protestantów przeciw katolikom, i zapytajmy potem, kto w ówczesnym świe-

cie był więcej od Skargi, a choćby tyle co on, sprawiedliwym i miłościwym?

Ale w walce z protestantyzmem nie był on ani pierwszym, ani największym. Sprawa była już w toku, kiedy on swój zawód zaczynał, a działanie Hozyusza znaczyło i sprawiło więcej, niż jego pisma lub nawrócenia. Jest za to inne pole, na którem on należy do najpierwszych i najczynniejszych. Zachodni protestantyzm był jednem zewnętrznem niebezpieczeństwem Kościoła w Polsce; drugiem było wyznanie wschodnie.

W chwili, kiedy katolicyzm po reformacyi skupił się w sobie i nabrał sam z siebie sił nowych i ogromnych, musiał on spostrzedz, że na wschodnich granicach Polski rozciągało się dla jego działalności pole ogromne, dotąd mało i bez skutku dotykane, a niezmiernie obiecujące. Był to punkt strategiczny, z którego spodziewać się było można, da się prowadzić dzieło zjednoczenia Kościoła wschodniego z zachodnim; przykład Rusinów, kiedyś z czasem, może usunie niechęci i uprzedzenia Rosyan i Słowian południowych, zachęci ich do Unii, i w tej to myśli, Klemens VIII mówił: *o mei Rutheni per Vos ego Orientem convertendum spero*.

Że katolicyzm w Polsce, że Zygmunt III, Solikowski, Karnkowski, J. Radziwiłł, Jezuici, musieli zwrócić oczy w tę stronę i za pierwszy swój obowiązek, po walce z protestantyzmem, uznać przyłączenie Rusi do Kościoła katolickiego, to było naturalne i konieczne.

Dziś, dziwnie to powiedzieć, to wielkie dzieło Unii, jest u wielu u nas ludzi dość niepopularne. Wiemy, że w dalszym ciągu wyniknęły fatalne skutki, nie z Unii, ale ze złego jej stosowania; i późniejsze upośledzenie tak wschodniej cerkwi jak wschodniego obrządku, późniejsze nadużycia źle zrozumianego katolicyzmu, zwalamy czasem na Unię, jako na pierwszy powód.

Pojęcie fałszywe, niezgodne z historyczną rzeczywistością, ani z koniecznościami i korzyściami politycz-

nego położenia ówczesnej Polski. Późniejsza zrobiła bardzo wiele złego, kiedy obrządek wschodni i duchowieństwo unickie zostawiała w poniżeniu, kiedy patrzała z góry na unitów i dawała im uczuć, że obrządek łaciński jest *praestantior*; zrobiła bardzo wiele złego, kiedy na powtarzane wielokrotnie żądania nie przyjęła biskupów schizmatyckich, a nawet unickich do senatu. Ale nie mieszajmy rzeczy późniejszych z dawniejszemi, a nadużyć, które się na Unii dokonywały, nie przypisujmy jej jako winę. Byłoby to to samo, co powiedzieć, naprzykład, że prześladowaniom pierwotnego Kościoła przez Cezarów rzymskich było winne chrześcijaństwo. Zapewne, nie byłoby prześladowań, gdyby nie było chrześcijaństwa; u nas gdyby nie Unia, nie byłoby może przyszło do starć pomiędzy katolikami a grekami; ale nie Unia temu winna, że w późniejszych czasach nie umiano ani jej prowadzić, ani z niej korzystać.

Myśl była wielka prawdziwie, popęd był patryotyczny i cywilizacyjny. Bo wyobraźmy sobie dzieło Unii, prowadzone dalej tak energicznie, ale i tak mądrze, jak w początkach. Patryarchat grecki byłby rzucał swoje gromy, rosyjski byłby prowadził swoje zabiegi między Rusinami zapewne, ale gromy i zabiegi byłyby się odbijały jak groch od ściany od serc i umysłów Rusinów jeszcze greckich, na widok, że ich najbliżsi sąsiedzi chwalą Boga jak oni, tym samym językiem, w tych samych formach, że wprawdzie poddali się pod zwierzchność rzymskiego Papieża, ale się przez to nie zlaszyli, łacinnikami nie zostali, a są we wszystkiem równi temu Lachowi, który dla Rusina był bądź, co bądź, przedmiotem zazdrości i podziwu. Ten przykład byłby swój skutek wywarł, stosunki nieunil nione, przyzwyczajenie, czas wreszcie, byłyby zrobił resztę, a Unia, dalej tak mądrze pielęgnowana, jak by ła dobrze zaczętą, byłaby się stała nietylko środkiem rozszerzenia wiary, nietylko kanałem, przez który k

tolicyzm mógł rozlać się po Wschodzie, ale i środkiem zabezpieczenia i rozprzestrzenienia Rzpltej, kanałem, przez który byłaby przepłynęła na Wschód cywilizacya zachodnia, Unią nie religijną tylko, ale i polityczną z Rusią—i taką na Wschodzie Europy warownią dla Kościoła, dla cywilizacyi i dla Polski, którejby żadna siła wschodnia zdobyć ani obejść nie była mogła. Na tej opoce należało budować i Kościół i twierdzę graniczną.

Tylko kiedy fundament był założony, dalej nie umieliśmy budowy prowadzić. Czy to wina tych, którzy położyli fundament? Przynajmniej czy nie wina Skargi?

Żołnierz Kościoła, jak stał w pierwszym szeregu tych, którzy bronili jego jedności od protestantów, tak stał i w pierwszym szeregu tych, którzy pracowali około jego zjednoczenia z Kościołem wschodnim. Owszem, więcej jeszcze. Zaledwie popęd był dany, zaledwo Rzym zaczął porozumiewać się w tej mierze z królem Stefanem, on wystąpił z dziełem, najważniejszem może, jakie w owym czasie było w tej kwestyi napisane, jednem z najpiękniejszych, jakie sam napisał: z dziełem *O Jedności Kościoła Bożego.*

Mickiewicz takie daje dziełu temu świadectwo i tak treść jego opisuje: „Z jednej strony zbijając różnowierców, powstających na Kościół, z drugiej wskazywał rządowi, jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał Polakom, że główne żywotne zadanie wewnątrz państwa odnosiło się do ziem ruskich, że nie było innego sposobu spoić nieodwołalnie te ziemie z Rzpltą, jak tylko przez węzeł jedności z Kościołem Dla dopięcia tego celu, radził dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materyalny i na ostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej nie za pomocą środków gwałtownych, ale przez apostolstwo. Wielkie te prawdy zawarte są w dziele: *O Jedności Kościoła.*"

Z tych słów poznać się daje dwojaki cel dzieła: jeden jest teologiczny, czysto duchowny, przyłączenie Rusinów; drugi—przekonać Polskę, czem Unia dla niej być może, jak o nią dbać, jak się o nią starać powinna. Dla autora oczywiście ten pierwszy jest ważniejszym; nigdy u niego interes świecki nad duchownym nie góruje ani temu za osłonę nie służy. Przyłączyć Rusinów do Kościoła, to rzecz główna, dla tej używa wszystkich argumentów i całej wymowy: a co Rzplta przytem zyskać może, to natrąca mądrze, wyraźnie, ale mimochodem.

Nie można tu wchodzić w rozbiór teologicznej ani historycznej wartości dzieła. Dość wspomnieć, że znawcy przyznają mu pod tym względem dwie zalety: pierwszą, że historyczne przedstawienie dziejów zerwania jedności kościelnej jest w krótkiem zebraniu tak dokładne, a tak przytem prawdziwe i wierne, jak tylko być może; drugą, że we wszystkich kontrowersyach, jakie były prowadzone pomiędzy Kościołem katolickim a wschodnim, mało jest takich, któreby prawdy katolickiej dowodziły argumentami tak przekonywującymi. Teologia katolicka uważa je za jedno z najlepszych dzieł jakie posiada w tym zakresie.

Ze stanowiska świeckiego tylko dwie uwagi. Jedna ta, że Skarga, chcąc Rusinów dla Kościoła pozyskać, nie podchlebia im, nie ustępuje wcale. Ktoby był Unii pragnął i o niej pisał z pobudek świeckich i politycznych tylko, byłby niezawodnie chętnie i łatwo ustępował na wszystkich tych punktach, na których Kościół ustępować mógł i może, byłby gładko przystał na obrządek, na język, na małżeństwo księży: i owszem, to wszystko jedno, byle się rzecz zrobiła! Skarga inaczej. Wprawdzie przyznaje, że to są rzeczy, na których wiara nie zależy i bez których dobrą być może, ale uważając je za ważne, za potrzebne, wolałby, i z tem się nie tai, żeby Rusini przyjęli obyczaj Kościoła łacińskiego co do małżeństw i języka, i tłóma-

czy im powody, dla których zaprowadzony jest celibat i jeden wszędzie niezmienny język liturgiczny. Powody te są tego rodzaju, że mogłyby dziś przekonać każdego, ktoby pytał, jak się to czasem zdarza, dlaczego Kościół nie pozwala odprawiać Mszy w językach żyjących i wszystkim zrozumiałych. Druga uwaga jest ta, że Skarga bardzo trafnie i mądrze tłómaczy Rusinom nieuniknioną upadek religii, która się dostanie pod zwierzchność świecką, jej konieczne poniżenie, obumarcie, zdegradowanie do rzędu świeckich biur, i tym argumentem, wiemy jak prawdziwym, Rusinów od patryarchatu konstantynopolitańskiego.

To, co mówi do Polaków o potrzebie i korzyściach Unii, to jest na słowa i wiersze mało, ale na wagę wiele. „I w rzeczach świeckich państwo to byłoby potężniejsze", gdybyśmy dawniej byli się o Unię starali.

Wspomniawszy jeszcze *Synod Brzeski*— opis faktu jak się odbył—i *Obronę Synodu Brzeskiego*, w której dowodzi przeciw oszczercom, że Synod prawnie był zebrany, prawnie się odbył i że co zrobił, było z dobrem nawróconych Rusinów, wyczerpie się ważniejsze jego pisma w sprawie Unii.

Ta i sprawa protestantyzmu, to były dwie sprawy zewnętrzne Kościoła polskiego za jego czasów. Działał on w obudwóch, działał skutecznie, z dobrem Rzpltej, i z dobrem Kościoła, któremu służył. Ale tak Kościół ten dążący podówczas do poprawy, jak i dobro Rzpltej wymagały jeszcze czegoś więcej. Nie dość było przekonywać i nawracać różnowierców, trzeba było jeszcze podnosić katolicyzm przez poprawę katolików. To była wielka sprawa wewnętrzna, którą Kościół prowadzić musiał, na której jemu równie jak Rzpltej zależało. I to anowi drugą stronę jednej i jednolitej zawsze czynności Skargi, stronę od tamtej jeszcze świetniejszą.

Na tem polu bowiem działał swoją najpotężnieją bronią, tą zdolnością prawdziwie wyjątkową, a tak

w nim górującą, że zdeterminowała jego właściwe powołanie i stała się samą treścią jego życia; mówimy o jego wymowie, o jego zawodzie kaznodziejskim.

Utwierdzać ówczesną Polskę w wierze, podnosić w niej religijnego ducha, nawracać do jedności z Kościołem, to była jedna połowa zadania, która bez drugiej, bez poprawy obyczajów, bez podniesienia moralności i cnoty, zostałaby bezskuteczną i niepłodną. Te dwie rzeczy (tak do siebie należące, że jedna bez drugiej zupełną być nie może) jak się nigdy rozdzielić nie dają, tak w działaniu Skargi idą obok siebie, równym krokiem i w równej mierze. Ktoby zaś nawet chciał zaprzeczać, że ówczesna Polska potrzebowała utwierdzenia w wierze, ten przecież nie zaprzeczy, że poprawy obyczajów potrzebowała gwałtownie.

Zaglądając głębiej w historyę XVI wieku, jest się przerażonym doprawdy tem mnóstwem dziwnych nieraz nadużyć i wybryków, jakich się dopuszczał Polak przez zupełną samowolę, przez wyzwolenie się z pod prawa pisanego i karności, dochodzący do zatracenia nocyi prawa przyrodzonego, do dzikości, do okrucieństwa. Nie żeby był do gruntu zepsutym, żeby był zatracił wszelką znajomość złego i dobrego, Boga nad sobą i sumienia w sobie i z tego wszystkiego szydził; zepsucie jego nie było sceptycznem, cynicznem i wyrafinowanem, jak było we Francyi w wieku XVIII, było to zepsucie natur prostych, jeszcze nie dostatecznie cywilizowanych, a przeto potrzebujących tem więcej karności i rygoru, które, z pod tego rygoru wyłamane, rozhulały się bez upamiętania. Było w tem więcej popędu krwi jak podszczuwań przewrotnego rozumu; było to coś zepsucie młodzieńca, który robi źle, bo nie rozumuje, nie zepsucie człowieka dojrzałego, który robi źle, bo sobie wyrozumował, że niema ani złego, ani dobrego, tylko on sam. Ale działy się rzeczy okropne, oburzające. Kiedy wszyscy pisarze XVI wieku, kaznodzieje, moraliści, poeci, statyści, tak się na to zepsu

cie skarżą i tak ciągle grożą karą Boską, a przemawiają ogólnie tylko, nie przytaczają faktów i nazwisk, możnaby posądzić ich o przesadę, o zbyteczny zapał, o surowość czczą, retoryczną, a nie zupełnie usprawiedliwioną. Tymczasem w skromnych i nieznanych zabytkach tej przeszłości odsłaniają się illustracye i przykłady do tego, co tamci mówią ogólnie; każde nadużycie, każde barbarzyństwo, na które się skarżą, legitymuje się jako rzeczywiste powagą aktów sądowych, do każdego przypada jakieś nazwisko, jakiś człowiek, jakiś fakt oburzający, straszny. I z tych dokumentów pokazuje się, że dwa były kierunki złego w ówczesnym obyczaju polskim: rozpusta, prowadząca do gwałtu, do dzikości, do barbarzyństwa; i chciwość, prowadząca do nieprawnych zysków, do podstępów sądowych, do nieuczciwości w rzeczach pieniężnych, czyli do rzeczy nieledwie gorszych od barbarzyństwa, bo do przewrotności i podłości.

Trzeba było w społeczeństwo to wszczepić miłość dobrego i wysokie jego pojęcie; trzeba było przejąć je tem poczuciem, że są rzeczy, których się robić nie godzi, przypomnieć mu odpowiedzialność za uczynki, bojaźń Boga, i rzecz drugą: uszanowanie innej istoty ludzkiej, jej praw i jej potrzeb, miłość bliźniego. To było zadanie, któremu świeckie głosy i namowy sprostać nie mogły, pracowały nad niem przez wiek cały napróżno; potrzeba było wyższej powagi, upomnienia w imię samego Boga.

Takiemi były kazania Skargi, najwyższe, najpiękniejsze ze wszystkich, jakie były powiedziane przed nim i po nim.

Na drodze, którą Skarga do tego celu dążył, spotykamy na wstępie dwa uczynki, jedną książkę i jedną instytucyę pobożną. Książką są *Żywoty Świętych*, instytucyą—*Bractwo Miłosierdzia.*

Nie trzeba wcale mistycznej pobożności na to, żeby ocenić wartość tych dwóch rzeczy, a przynajmniej piękność tych dwóch myśli; żeby zrozumieć, iż obie rzeczywiście mogły mieć wpływ zbawienny. Miłosierdzie, pamięć o potrzebach i cierpieniach innych ludzi, opieka nad starością, chorobą, nędzą, to może jedna z rzeczy dobrych na świecie, która nie ma dotąd nieprzyjaciół, przynajmniej nie ma oszczerców. Jest tak oczywiście, tak niewątpliwie dobra, że nie podniosło się przeciw niej żadne nigdy słowo powątpiewania lub szyderstwa. O Bogu, o złem i dobrem, o wierze, o duszy swojej, różnie człowiek mawiał i mówi; ale o nieszczęściu i o zasłudze miłosierdzia, odkąd je poznał, mówi zawsze jednako. Zbytecznie mówić o zasłudze, jak zbytecznie dowodzić, że miłosierdzie zbiorowe, wspólne, zorganizowane, działające połączonymi siłami i środkami, jest od osobnego dzielniejsze i lepsze, bo i cierpiącym więcej może przynieść pomocy, i dla szczęśliwych jako widoczniejsze może być przykładem; i wreszcie przepisami, ustawami, zbiorowością swoją wstrzymuje wolę ludzką od wrodzonych jej osłabień i znużeń, zadaje jej pewien przymus, a tem samem zapewnia zbawienną i konieczną regularną jednostajność działania. Skarga więc, zakładając Bractwo Miłosierdzia i to w czasie kiedy stowarzyszenia tego rodzaju znane nie były, zrobił wielkie dobrodziejstwo i tym cierpiącym, którzy z uczynków miłosierdzia korzystali, i tym, którzy je wykonywali, i wreszcie społeczeństwu całemu, dobrodziejstwo nie w duchownem tylko, ale w świeckiem znaczeniu; bo nic tak człowieka nie miękczy, nie wyrabia w nim dobrej woli, nie humanizuje, zatem nie cywilizuje, jak dobre, które on innemu człowiekowi wyrządza. Wpływ cywilizacyjny dobrych uczynków, katechizmowych uczynków miłosiernych, jest nieznaczny ale ogromny; jest to nieustający magnetyczny prąd dobrych słów, myśli i uczuć, przepływający pomiędzy tym, który miłosierdzie świadczy, a tym, który je od

biera. Ale w pomyśle Skargi tkwiło jeszcze i coś innego. Polska jego czasów, nie przez złe serce, ale przez krewkość, przez brak zastanowienia się, była bardzo niemiłosierna. Człowiek szczęśliwy i swobodny, nie zważał na cierpienia innego, nie myślał o nich, nie rozumiał, czego sam nie doświadczył, nie liczył, nie odgadywał, ile cierpień kryć może życie inne niż jego, ile może kosztować i boleć wyrzeczenie się, brak, rzeczy których on nie znał wcale. Był więc wymagającym z braku zastanowienia, twardym z przyzwyczajenia; a że jak zawsze prawie istota ludzka z instynktami bardziej od zasad wyrobionymi, był samolubnym, więc, nieraz i sam o tem nie wiedząc, stawał się nielitościwym, okrutnym. W całym stosunku panów do poddanych, w największej liczbie krzyczących nadużyć i bezprawi ówczesnych, był taki instynktowy, nie wyrozumowany brak miłosierdzia. Otóż z pośród tych ludzi, niektórych do miłosierdzia pobudzić, w jego imię zgromadzić i kazać im działać, to było dla Skargi nietylko doprowadzić ich do wykonywania chrześcijańskiego katechizmowego obowiązku, nietylko podnoszeniem człowieka do cnoty przez wyrabianie w szczęśliwym litości, w możnym i dumnym pokory, ale mogło być także i dziełem ekspiacyjnem. Skarga był synem i sługą tego Kościoła, który wierzy w wielki pomiędzy duchami ludzkimi komunizm dobrego, który uczy, że zasługi jednych mogą równoważyć i przeważyć złe uczynki drugich, który to prawo związku, wspólności, solidarności, wyznaje między artykułami swojej wiary. Ewangelia mówiła mu, że Odkupienie jest zadośćuczynieniem za grzechy świata, Stary Testament mówił mu, że grzechy Sodomy miały być darowane dla dziesięciu sprawiedliwych: otóż te grzechy niemiłosierdzia w Polsce, ta nędza i ucisk wielu, ta ciężka opresya, zadawana przez tylu, czy ona nie będzie choć w części okupioną, zmazaną przez miłosierdzie niektórych? Może przykład najpierwszych w kraju ludzi zachęci wielu

do współczucia dla ubogiego i cierpiącego, do uznania w nim człowieka; może zwyczaj litości, wprawa, wyrobi pomału powszechne złagodzenie obyczaju; w każdym razie litości i miłosierdzia nauczyć można ludzi tylko przykładem, praktyką. Jeżeli ten przykład będzie działał, to z czasem społeczeństwo to stanie się i w swojem sumieniu lepszem i w swoim obyczaju bardziej cywilizowanem; jeżeli nie, może przynajmniej dobre uczynki jednych uczynią po części zadość za twardość serca innych. Początek zrobić trzeba—Skarga go zrobił. Czy skutki były, czy przykład działał, czy dobre uczynki, przez jego instytucyę wykonane, zmazały jaki dług zapisany na debet jego wieku, to dowiemy się dopiero przy ostatnim obrachunku; ale myśl była bardzo chrześcijańska i bardzo cywilizacyjna, i po świecku nawet mówiąc, pożyteczna, obiecująca dobre skutki, nie bez patryotycznej zasługi.

Żywoty Świętych (1585). Niema podobno w całej literaturze polskiej książki, którąby tak trudno było sądzić ze stanowiska literackiego, a zarazem mało ich jest tak rozpowszechnionych, tak stale czytanych i tak szanowanych. Jak je sądzić? Jeden, nie jeden, ale tysiące powiedzą, że to książka jedna z najpiękniejszych na świecie, że jako książka treści religijnej, tak treścią i formą odpowiada wszystkim potrzebom i uczuciom duszy ludzkiej, że ją nazwać można doskonałą, klassyczną, i stawiać może nie obok, ale blizko Imitacyi Tomasza à Kempis. Jak ta w ręku każdego katolika, tak Żywoty Skargi są od wieków w ręku każdego katolika polskiego. Nie jeden znawca literatury powie, że widzi i czuje w nich szczególny wdzięk prostoty i świętości, że czytając je, doznaje takiego wrażenia jak gdyby zajrzał w duszę wierzącą i świętą i poznał, jak się w takiej duszy odbija świat, życie i ludzie. Inny mógłby tak samo powiedzieć, że nie widzi, co tu tak bardzo admirować: kilkaset krótkich żywotów, których treść wyjęta z Martyrologium, z Roczników kościel

nych lub z innych gotowych żywotów; opowiedziane to wszystko tak po prostu, stylem tak trzeźwym i skromnym, że niktby się po nim nie domyślił, że autor mógł być wymownym; rzecz opowiedziana, jak we wszystkich legendach na świecie, czasem zajmująca, czasem naiwna do zbytku; wszystkiego przeczytać nie można i nie trzeba: kto zna kilka żywotów, na próbkę, zna je wszystkie.

Obadwa te zdania są możliwe, obadwa dadzą się dowodzić i zbijać z Żywotami w ręku, a pogodzić nie dadzą się podobno nigdy: średnio proporcyonalnej między niemi nie wynajdzie nikt. Dlaczego? Oto dlatego, że przy czytaniu i sądzeniu Żywotów wszystko zawisło od uczucia, w jakiem się je czyta. Kto czyta z tem przekonaniem, że to są „Żywoty Świętych", i na zewnętrzną literacką stronę rzeczy nie zważa, tylko szuka budujących przykładów cnoty, ten odniesie z czytania wrażenie wielkiej powagi, wielkiej świętości, a w dodatku znajdzie, że w prostocie, z jaką to jest pisane, a która rzeczywiście po prostocie Pisma Ś-go jest może największa, jaką spotkać można, znajdzie i wielką piękność, wielki wdzięk harmonii pomiędzy formą a treścią, słowem, powie sobie, że jest w tem mimowolna, ale niezaprzeczona doskonałość nawet artystyczna.

Ktoby zaś sądził ze stanowiska ściśle świeckiego, literackiego, choćby bez uprzedzeń i z góry powziętego zamiaru szyderstwa, ten znalazłby w Żywotach Skargi zapewne daleko mniej powabu, niż w wielu średniowiecznych legendach o Świętych. Nie byłoby naprzykład nic dziwnego, gdyby jakiś człowiek sceptyczny, nie wierzący, albo człowiek innego wyznania, znajdował wielkie upodobanie we Fiorettach Ś-go Franciszka, a ruszał ramionami na Żywoty Skargi. Dlaczego? Oto dlatego, że Fiorettach, jak we wszystkich legendach średniowiecznych, odbiła się indywidualność tego, kto je składał, ktokolwiek on był; a przynajmniej jeżeli nie jego indywidualność, to cała poetyczna naiwność

wieku, mieszanina wiary i fantazyi, świat cudowny i nadprzyrodzony, stojący tej fantazyi otworem i tak jej dobrze znany, jak świat rzeczywisty. W tych legendach, a mianowicie we Fiorettach, żywot świętego pokazuje się zawsze przez bardzo istotnie uroczy pryzmat poezyi, i kto dla poezyi ma trochę zmysłu, ten, wierzy czy nie wierzy, czy czyta jak pobożną legendę czy jak bajkę Ariosta, musi znaleźć poezyę w Pieśni Brata Słońca albo w Kazaniu Ś-go Franciszka do wilka.

Inaczej w Żywotach Skargi. Tutaj tej poezyi subjektywnej, indywidualnej, tych śladów wyobraźni człowieka czy wieku niema wcale. Bardziej objektywnie, bardziej ściśle, prawieby rzec można, bardziej sucho, pisać nie można, jak on pisał Żywoty. Żadnej preokupacyi literackiej; żadnej chęci przedstawienia tego Świętego w jakiej aureoli poetycznej, tego lub owego cudu w jakiemś świetle effektownem, tego lub owego męczeństwa w sposób obrazowy, malowniczy, dramatyczny. Słów tyle, ile ich koniecznie potrzeba, i to same najprostsze: wypadki życia opowiedziane jeden po drugim sucho, bez uwag, bez wykrzykników, bez rozczulenia, słowem, pisane z zastosowaniem ewangelicznego prawidła. „Mowa wasza niech będzie: tak tak— nie nie.” W ten sposób piszą Ewangeliści: oni także nie płaczą nad męką Chrystusa, nie rozczulają się nad Betleemską stajnią, nie unoszą się nad tryumfem Taboru i Wniebowstąpienia. Skarga trzyma się ich wzoru—nie żeby naśladował—bo przekonany jest, że książka, którą pisze, jest także w treści swojej święta.

Przyznając zatem, że sąd o Żywotach Świętych musi zależeć głównie od katolickiego lub przeciwnego stanowiska czytelnika, powiedzieć tylko trzeba, że doskonalszej, idealniejszej prostoty i czystości języka, stylu, sposobu pisania, niema w całej literaturze polskiej, a powtóre, że w pracy Skargi zajmują one miejsce wielkie i bardzo ważne. Zagrzewać do pobożności budzić zamiłowanie cnoty... tak, ale jakimi środkami

Słowem, nauką, groźbą w kazaniach; to jedno, praktyką cnót, pokory, poświęcenia, miłosierdzia, to drugie—ale to nie wszystko. Polska duża, głos z kazalnicy nie wszędzie doniesie, nie każdy, mało kto zapisze się do Bractwa; ale czyta każdy, przynajmniej wielu czyta. Gdyby im dać książkę, w której bez wysilenia i przymusu, w krótkich i prostych słowach, czytaćby mogli opisy najszczytniejszych cnót i doskonałości, w której byłaby cała tęcza dobrego we wszystkich swoich barwach i odcieniach, od najpokorniejszych, najcichszych, najłagodniejszych, aż do najdziwniejszych przykładów cnoty, powstającej z przepaści prawie bezdennej złego? Różne są serca ludzkie i różnych trzeba słów, różnych przykładów, żeby do nich trafić. Jeden będzie patrzał obojętnie na Franciszka z Assyżu, rozdającego majątek między ubogich, ale się zastanowi nad Augustynem; drugiemu męczeństwo Ś-go Sebastyana nie zrobi wrażenia, ale go uderzy tak pocieszająca dla słabych ludzi słabowierność Piotra albo Tomasza—zebrać i opisać żywoty wielu Świętych, to znaczy zebrać na przypadek mnóstwo przykładów i wrażeń, z których każde do pewnego serca, do pewnego usposobienia trafić może. Kiedy Skarga pisał swoje Żywoty, robił to dla chwały Bożej naprzód i tych Świętych, o których pisał; potem dlatego, że literatura polska pobożna takiego dzieła nie miała, a potrzebowała. Ale musiał on myśleć i obiecywać sobie także, że jak się to dzieło rozejdzie, jak ludzie wejdą w znajomość, w towarzystwo z tymi przykładami, to każdy za innym przykładem trudniej, łatwiej, ale przecież do poprawy się skłonią.

W pismach polemicznych przeciw protestantom jest walka odporna, w pismach o Kościele wschodnim jest propaganda, w kazaniach—nauka i groźba, w Bractwie—przymus do praktyki cnót, w nabożeństwach, jakie zaprowadzał—zachęcenie do pobożności, do modlitwy, do kontemplacyi i chwały Bożej—w Żywotach jest dla każdego towarzystwo budujących przykładów

zawsze dostępne, a zawsze zbawiennie działać mogące. Do zupełności i wszechstronności prac Skargi około wiary i moralności w Polsce, było to dzieło potrzebne. A musiało celowi swemu odpowiadać, musiało być dobre, skoro po wiekach i po tylu zmianach, jest u nas dotąd najbardziej rozpowszechnioną książką religijną.

Ale widząc i podziwiając najszczerzej wartość i w swoim rodzaju piękność *Żywotów*, trzeba przecież zauważyć i dodać, że dla dzisiejszej literatury kościelnej one już takiego znaczenia nie mają, a nawet dla zwykłego byle oświeconego dzisiejszego czytelnika, nie mają tej wartości, jaką miały przed stu jeszcze laty. Biografia Świętych zrobiła bowiem w ciągu naszego wieku, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, przez pisarzy francuskich głównie, postęp ogromny. Nie wystarcza już sam żywot, wyciągnięty z Martyrologium lub z innych kościelnych źródeł; trzeba tego Świętego pokazać na tle całego jego czasu, w związku z jego pojęciami, stosunkami i walkami. Trzeba pokazać, jak pod wpływem tych stosunków i okoliczności życia, człowiek, mający się i uważany za takiego jak inni, wyrabia się i podnosi w cnocie aż do doskonałości i świątobliwości. Tak pojęty i napisany żywot jednego Świętego, staje się jednym rozdziałem w historyi Kościoła. Wyższość takiego sposobu jest oczywista; ale nie można słusznie żądać go od Skargi, skoro nikt w jego czasach tak Żywotów Świętych nie pojmował i nie pisał.

Wiadomo, że kazania Skargi dzielą się na dwie grupy. Jedne *Kazania na niedziele i święta* (1595), obejmują wykład i przystosowanie przypadającej na każdy z tych dni Ewangelii, a przeto służyć mogą wszystkim czasom, wszystkim krajom, mają ten charakter ogólnego i niezmiennego przystosowania, który jest skutkiem przedmiotu samego. Jak nie zmieniają się słowa Ewangelii, tak jej wykład, pisma lub mowy homiletyczne, nie zmieniają się nigdy w swojej wartości. Homilie Ś-go Grzegorza lub Ś-go Ambrożego służą na-

szym czasom tak dobrze, jak tym, w których były pisane. Podobnie *Kazania na niedziele i święta*: zawsze, i do końca świata będzie w nich ta sama nauka, to samo oświecenie w rzeczach wiary, to samo tłómaczenie jej artykułów lub dowodzenie jej tajemnic, przydatne i budujące dla katolika polskiego, jak i dla cudzoziemca, gdyby na jego język były przełożone. Ale dlatego może właśnie, że jest w nich to samo, co w tysiącznych innych kazaniach lub książkach—a innego nic być nie może, bo nie ma dwóch sposobów wykładania Ewangelii—dlatego my potomni rzadziej do nich zaglądamy i mało o nich wiemy. Źle robimy, bo prawda jest, że znajdziemy w nich to samo, co każdy ksiądz każdej niedzieli mówi nam z ambony. Tylko rzecz ta sama powiedziana jest inaczej; tak, jak mało gdzie na świecie była powiedzianą: powtóre w tych kazaniach, które zwykle uważamy za czysto dogmatyczne i moralne, jest także i cała ta strona patryotyczna, która nas tak dziwi i elektryzuje w *Kazaniach Przygodnych*. Rzecz naturalna: kazanie jest nauką, jest pukaniem do serc ludzkich i roztrząsaniem sumień, a niema jednej niedzielnej Ewangelii, któraby się nie stosowała do jakiegoś prywatnego lub publicznego grzechu; kaznodzieja, wyciągając z niej naukę, musiał, choćby był nie chciał, dotykać złego, jakie widział w swoich słuchaczach. Są też rozsypane w tych kazaniach niemal wszystkie te prawdy gorzkie, które tak groźnie odzywają się z kazań sejmowych. Jest ich może więcej, lub raczej są bardziej zastosowane do szczegółów, do pewnych stanów i powołań, do pewnych złych skłonności, które tam objęte w ogólnem upomnieniu i groźbie, tutaj, gdzie większa liczba kazań zostawiała więcej czasu i miejsca, a właściwa Ewangelia dawała sposobność mówienia o jakiemś złem szczegółowem, mają poświęcone sobie osobne nauki i rozbiory. Nic naturalniejszego, jak że przypowieść o bogaczu i Łazarzu naprzykład sama zawiodła kaznodzieję do nauki o zbytkach bo-

gaczów i opresyi ubogich, albo Ewangelia o Dobrym Pasterzu, naprzykład, do roztrząsania obowiązków pasterzy duchownych. Mają więc i pod tym względem Kazania tę wartość bardzo wielką, są poniekąd szczegółowem, obszerniejszem, choć naturalnie nie systematycznem rozwinięciem tamtych. Wartość ich teologiczna, homilijna, jest zdaniem uprawnionych sędziów ogromna, oparta na głębokiej nauce i wielkiej bystrości w dowodzeniu. Wreszcie pod względem wymowy, są wspaniałe. I gdyby *Kazań Przygodnych* wcale nie było, to Kazania na niedziele i święta byłyby spełniły religijne i obywatelskie zadanie Skargi, i to bardzo świetnie: tylko nie tak świetnie. Są w nich ustępy, które mogą śmiało stanąć obok najwspanialszych z kazań sejmowych, ale w przecięciu natchnienie nie podnosi się ani tak często, ani tak wysoko. Może być, że skutkiem treści samej, skutkiem tego, że mówca, tłómacząc naukę kościelną, chciał przedewszystkiem być zrozumiałym, przystępnym, jasnym, i mówił bardzo spokojnie, bardzo trzeźwo, rzadko kiedy unosząc się zapałem. Ale taka wymowa spokojna i prosta ma swoją wielką piękność. U Skargi piękność ustępów takich polega w tem, że gdzie niema zapału i natchnienia, gdzie jest ton spokojny i prawie potoczny, tam niema jednego słowa, jednej myśli zbytecznej: wszystko jest ważne, potrzebne i mądre—wszystko także powiedziane w formie najdoskonalszej. A przytem jedna rzecz, która mu jest właściwa, to bardzo częste zwroty do praktycznego i potocznego życia; jego kazanie nie jest prawie nigdy nauką abstrakcyjną; najczęściej nie mówi o grzechu, łakomstwie, pysze, lenistwie w ogólności, ale o różnych sposobach, jakimi się to złe objawia w Polsce. W takich ustępach ma ton prosty i gniewny, który niektórym wydaje się rubasznym. Czy nim jest? Czy nie jest tylko prostym, otwartym, nie obwijającym nic w bawełnę, ani nie strojącym w kwiaty retoryki? (Przykład: Kaz. na Narodz. Matki Bożej, albo

na św. Katarzynę, na św. Mikołaja). Jak jest surowy, jak nie przepuszcza nikomu, niech dowiedzie to, co mówi do księży (Kaz. na II Niedz. po W. Nocy i na IV po Świątkach), a jak tym potocznym tonem bardzo wyraźnie i groźnie, mówi to samo co w kazaniach sejmowych mówi w natchnieniu i uniesieniu, dowód w Kazaniu na Narodzenie Matki Boskiej. Że pod względem uczucia czysto religijnego trudno coś rzewniejszego, bardziej przejmującego, jak sławne Kazanie na W. Piątek, naprzykład, to rzecz powszechnie znana i przyznana.

Otóż, gdyby Skarga był po sobie zostawił tylko Kazania niedzielne, byłby spełnił całe swoje zadanie; tylko nie tak świetnie, jak je spełnił, kiedy oprócz tamtych zostawił jeszcze Kazania Przygodne.

Z ambony w każdą niedzielę i święto mówi ksiądz każdy, choć żaden może tak; ale nie każdy ksiądz jest kaznodzieją królewskim, nie każdy, mieszkając na dworze przez lat kilkadziesiąt, ma sposobność tak poznać ludzi i ich sprawy, nie każdy mówi na ambonie w chwili, kiedy przybiega goniec z wiadomością o zwycięstwie pod Kirchholmem, nie każdy jest kaznodzieją sejmowym. A choć to stanowisko wyjątkowe było oczywiście skutkiem wyjątkowych darów kaznodziei, choć na innych ono tak szczęśliwie nie wpłynęło, przecież i największy dar wymowy i wyjątkowe usposobienie musiały z takiego stanowiska odnieść wpływ szczęśliwy, musiały od okoliczności odbierać silne potrącenie do natchnienia.

Sam Skarga, wydając zbiór tych kazań pod tytułem Przygodnych, oznaczył, że jak tamte służyły wszystkim powtarzającym się co roku niedzielom i świętom, tak te dotyczyły pewnych szczególnych faktów, pod ich wpływem powstawały, służyły pewnej szczególnej okoliczności lub pewnemu przedmiotowi. I te kazania, słusznie sławniejsze, przewyższając Niedzielpod względem wymowy i patryotycznego nat-

chnienia, nie ustępują im pod względem uczucia religijnego.

Monografia Skargi przez M. Dzieduszyckiego dzieli je bardzo trafnie na cztery kategorye: na kazania ściśle religijne, pogrzebowe, trzecie, powiedziane z okazyi jakiegoś szczęśliwego w Rzpltej wypadku, które pięknie nazywa tryumfalnemi, i wreszcie te, którеby równie słusznie nazwać można politycznemi jak pokutnemi lub proroczemi: kazania sejmowe.

Pomiędzy ściśle religijnemi pierwsze każą o sobie wspomnieć Kazania *o Siedmiu Sakramentach*. Pod względem dogmatycznym najlepsze podobno ze wszystkich dzieł i mów Skargi. Teologowie przyzynają, że mało jest dzieł w literaturze teologicznej świata katolickiego, którеby naukę Kościoła o sakramentach wykładały w sposób tak jasny, tak dokładny i wyczerpujący, a dowodziły jej w sposób tak przekonywujący, jak te czterdzieści jeden kazań Skargi. Wrażenie człowieka świeckiego, nie teologa, zatem nie mającego w tych rzeczach głosu, zgadza się z tym sądem: przyznaje, że czytając, uczy się i przekonywa. A nadto, czytając, jest się zadziwionym dwoma przymiotami mówcy: jego darem nauczania, i jego darem rozrzewniania. Ten zmysł praktyczny, który Skargi nigdy nie opuszcza, sprawia, że nie przestając na tem, co ludzie mają o sakramentach wierzyć i jak je przyjmować, uczy ich jeszcze, jak sobie mają w pewnych przypadkach radzić. Naprzykład, jest w jednem z tych kazań, w piątem o Pokucie (z porządku 29) nauka dla penitenta, jak ma do spowiedzi się gotować, jak sobie ułatwiać rachunek sumienia i t. d.—dla spowiednika; jak ma spowiedzi słuchać, i ta ostatnia zwłaszcza, bardzo mądra, oparta na wielkiej znajomości różnych natur ludzkich, określająca tak trafnie sposoby, w jakie spowiednik ma mówić do ludzi różnego usposobienia, żeby im trafić do przekonania, z delikatną wyrozumiałością dla wątpliwości lub trwożliwości niektórych sumień. Podobn

lub jeszcze piękniejsza w kazaniu drugiem o Ostatniem Namaszczeniu (z porządku 33) nauka dla księży, jak mają człowieka chorego na śmierć przygotowywać, jak mu dodawać odwagi lub cieszyć; co mówić, jeżeli ten umierający jest zaprzątnięty sprawami i myślami światowemi, co, jeżeli się śmierci boi, co, jeżeli się bardzo wyzdrowienia spodziewa, i to wszystko tak pięknie, że trzymając się jego rady, nieraz złagodzilibyśmy sobie tę twardą konieczność oświecenia chorego o blizkim końcu i skłonienia go, żeby się do śmierci przygotował. Są takie rady i dla świeckich, dla wszystkich, naprzykład w kazaniu X o Eucharystyi (XXIV), sposób słuchania Mszy; jak zaś w tych kazaniach jest czasem Skarga wymownym, rozczulonym i rozczulającym, to pokazuje może najlepiej przepyszna Modlitwa przy Mszy Św.

Już to modlitwy, jakie często przychodzą w ciągu jego kazań, a zwłaszcza przy końcu, należą do najpiękniejszych na świecie; może wytrzymałyby porównanie z temi, które się wylewały prośbą lub hymnem pochwalnym z wezbranych a gorejących serc średniowiecznych Świętych, jak św. Bernard naprzykład albo Franciszek z Assyżu. I pod tym względem za najlepszy może przykład stanąć mogą jego Pobudki do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa: jeden z najpiękniejszych pomiędzy jego kazaniami.

W tem nabożeństwie także, kiedy je zaprowadził i do niego wzywał, była myśl ekspiacyjna i mistyczna. Za tyle płochości, lekkości, światowego roztrzepania, za tyle zdrożnego zgorszenia, za tyle umyślnej obrazy i bluźnierstw, czynić Bogu zadosyć ciągłą modlitwą, nieustającą adoracyą Najśw. Sakramentu, i to w tych dniach zapustnych, bardziej nad inne poświęconych światowym marnościom, modlić się, klęczeć, pokutować, może w ten sposób odwrócić zawieszoną karę, to cel tych nabożeństw i myśl tych kazań. Jak w Starym Testamencie po jakiemś wielkiem sprzeniewierze-

niu się Izraela, albo przed jakiemś wielkiem przedsięwzięciem, sędziowie, królowie, prorocy, zwoływali lud do modłów i pokuty, do ofiar oczyszczenia i błagalnych, a te wezwania tem są groźniejsze, tem straszniejsze, że mówią o jakichś przewidywanych, ale nieznanych dopustach gniewu Bożego, że ten lud pokutujący prosi i boi się, a nie wie, co i zkąd na niego spadnie: tak on wzywa do pokuty i modlitwy, każe klękać w konfesyonale i przed ołtarzem, bić się w piersi, przepraszać i prosić, bo coś okropnego grozi, od czego tylko ręka Boska obronić nas może. I to mówi, nie jak w Kazaniach sejmowych, do tych, którzy złe ludzką radą mogą odwrócić, ale do całego ludu, do tych, którzy nic zrobić i poradzić nie mogą, tylko prosić. Wszystkie te dziewięć pobudek do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa tchną takiem złowrogiem strasznem przeczuciem. Dlaczego? To nabożeństwo, to obrząd w kościele zwyczajny, w Rzpltej nic się nadzwyczajnego nie stało, zkądże ten strach czegoś okropnego jak potop lub siarczysty deszcz Sodomy, dlaczego nadawać temu nabożeństwu ten charakter tak gwałtownej, niespokojnej prośby?

Nigdy, z wyjątkiem proroków Starego Testamentu, nigdy zbiorowe instynktowe przeczucie nieszczęść całego narodu nie odzywało się tak głośno i tak boleśnie; a u samego Skargi, zaledwie raz lub dwa odezwało się głośniej, groźniej i wymowniej. Czy może być jaka na świecie modlitwa, którаby lepiej oddawała uczucie narodu w ucisku i rozpaczy, którаby z krzykiem bardziej rozdzierającym wołała o ratunek, w którejby żałośniejszym tonem odzywało się zwątpienie i strach blizkiej zguby, jak w zakończeniu pierwszej Pobudki.

A jak gdyby chciał jeszcze bardziej przerazić, odjąć ostatnią prócz poprawy nadzieję ratunku, w drugiej Pobudce mówi im, żeby w to nie ufali, iż czczą prawdziwego Boga i prawdziwą wiarę wyznają. Nie myślcie,

że interesem jest Boga was bronić, On was nie potrzebuje, znajdzie sobie innych. Jerozolimie swojej wybranej Bóg nie przebaczył, a jakoż wam będzie? Albo może liczycie na to, że wielu jest między wami niewinnych? Byli niewinni i przed potopem, małe dzieci były niewinne, bydło było niewinne, a przecież wszystko potonęło. Jako obrazowość stylu, ten krótki ustęp o potopie jest wspaniały. Jak trzecia potop wodny, tak czwarta przypomina potop ognisty Sodomy, groźby coraz straszniejsze. Ale wreszcie, w zakończeniu piątej Pobudki, jak gdyby sam się ulitował nad swoim słuchaczem, już go nie gromi, tylko za nim prosi modlitwą najrzewniejszą, najżałośniejszą, najpokorniejszą, jaką można pomyśleć: *Ubogich owieczek swoich i bydlątek swoich nie opuszczaj* etc. Szósta opowiada historyę Izajasza, przepowiadającego niewolę babilońską, i dodaje do niej nową, a straszną pogróżkę. „Co czyni Pan Bóg, gdy poprawy niemasz". Dopiero w trzech ostatnich następuje pociecha, nadzieja, ufność w miłosierdziu Boskiem; w ósmej przepyszne słowa o modlitwie, dowodzenie, że ona jest ratunkiem i pomocą, że jej Bóg od człowieka żąda, i dlaczego, a w zakończeniu ostatniej dopiero, jak hymn tryumfalny, rozlega się w kościelnej modlitwie ufność, pewność, że „jako ojców naszych wysłuchywałeś, tak i nas wysłuchasz", przypomnienie Bogu, że sam obiecał proszących słuchać, jak gdyby chęć zmuszenia go, żeby tej obietnicy dotrzymał, a wreszcie wezwanie wszystkich mocy niebieskich, wszystkich Świętych polskich, żeby się ruszyli i pomagali. „Ruszmy a budźmy Patrony nasze tego Królestwa". Niema może modlitw tak rozpaczliwych i rozdzierających, jak pierwsze, tak natarczywych i gwałtownych, tak śmiało, tak prawie zuchwale domagających się wysłuchania. Niema też, z wyjątkiem Kazań sejmowych, nic tak w całym Skardze natchnionego, jak te *Pobudki* (1600). Kazania sejmowe są więcej świeckie, więcej określone, wytykają bardziej to złe, te grzechy publiczne, za

które grożą karą: Pobudki mają charakter ściślej religijny, a zarazem ogólniejszy. W nich chodzi tylko o obrazę Boską, którą Bóg pomści; mówca nic nie specyfikuje, zostawia tylko do domysłu, że ta obraza obejmuje grzechy przeciwko Bogu, ludziom i ojczyźnie. Co jest wyższe i piękniejsze, Kazania sejmowe czy Pobudki? O tem może sądzić osobiste tylko uczucie każdego: tam są ustępy jeszcze wznioślejsze, tu większa, równiejsza jednostajność natchnienia.

Kiedy w latach emigracyjnych, w latach „Ksiąg Pielgrzymstwa", Towianizmu, wszelkiego rodzaju religijnych, filozoficznych i politycznych dążności, błądzeń i cierpień, wierni katolicy na tułactwie chcieli dla katolików polskich ułożyć książkę do nabożeństwa, w którejby były prośby na wszystkie te religijne i patryotyczne dążenia i cierpienia, kiedy szukali słów najlepszych, któremiby Polak mógł prosić Boga o zmiłowanie nad swoją ojczyzną, w którychby mógł wypłakać wszystkie łzy swego serca, szturmować do Nieba i gniew Boży rozbroić, nie znaleźli lepszych nad słowa Skargi. W książce do nabożeństwa najbardziej u nas rozpowszechnionej, w „Ołtarzyku Polskim", modlitwy do położenia Polski tak zastosowane, że je każdy odmawia jak modlitwy za Ojczyznę, to jest cztery nazwane tam Do Opatrzności Boskiej, wyjęte są z Pobudek do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa.

Pobudki do Modlitwy czasu wojny (1608), acz bardzo piękne, bledną obok tego. Bardzo piękna jest pierwsza, gdzie mówi o błogosławieństwach pokoju; a w dalszych określenie, która wojna jest sprawiedliwa i godziwa, a która nie. Ciekawe jest do widzenia i to, jak ten kaznodzieja natchniony, w natchnieniu dochodzący do najwyższej egzaltacyi, zna się także na wartości ziemskich, ludzkich środków obrony, jak przysposobienie takowych zaleca jako obowiązek tym, którzy wojnę prowadzą. Są słowa wielkiej rzewności, w których odzywa się cała miłość jego do ludzi, naprzykład w pier-

wszej, kiedy mówi, że gdyby Bóg posłał go z oznajmieniem, że odjął od tego ludu zlitowanie swoje i postanowił go zgubić: „rzekłbych ja, proch i ziemia, do Pana: Niechaj Panie z poselstwem takiem nie idę. Ja ten lud, krwią Twoją odkupiony, pilnie cieszyć chcę i miłosierdzie Twoje im udawać, aby nie rozpaczali, a Ty mnie i cieszyć ich nie każesz". Jest piękna na końcu Przemowa do żołnierzy w samej potrzebie, która równie jak ułożone przez niego Nabożeństwo Żołnierskie, dowodzi, jak w tych czasach wojennych pilnie dbał o to, żeby żołnierz swoją powinność żołnierską godził ze swoim obowiązkiem chrześcijańskim i żeby, krwawem rzemiosłem zajęty, na tysiączne pokusy z natury swego położenia narażony, a każdej chwili śmiercią zagrożony, zawsze miał Boga w sercu i zawsze gotów był bezpiecznie przed nim stanąć. Przecież wszystko to nie jest tak wzniosłe, jak wyżej wspomniane Pobudki do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa.

To samo powiedzieć trzeba o jego Kazaniach Pogrzebowych. Ale przy tych nasuwa się jedna uwaga: oto, że jest rzecz dziwna, i piękna, że tych kazań, z natury rzeczy pochwalnych, jest tak mało. Umierało przecież ludzi wielu znaczących w Rzpltej, wielu panów, senatorów, dostojników Korony, gorszych i lepszych, nieraz zapewne pobożna cześć lub światowa próżność pozostałej rodziny byłaby rada usłyszeć pochwałę zmarłego z ust najwymowniejszych w Polsce; tymczasem jest ich tak mało.

Prawda jest, co on sam mówi, że godzi się umarłych chwalić; to nie podchlebstwo, bo nic nikomu nie przyjdzie z podchlebiania umarłemu, który się odwdzięczyć nie może. Przecież pochwała umarłych jest tak często, nawet bez woli mówiącego, przyjemnem kadzidłem dla próżności żywych, że mówcy najrozumniejszemu, obdarzonemu najdelikatniejszym taktem, bardzo trudno ujść podejrzenia i obmowy, jakoby zmarłego chwaląc, żywym był chciał się przypodobać. Jeżeli zaś

każdy mówca powinien strzedz się pozorów i nie dawać pola do posądzeń, to tem bardziej mówca kościelny, a zwłaszcza kaznodzieja dworski, żyjący pomiędzy wielkimi tego świata, a przeto bardziej, niż każdy inny, narażony na niebezpieczeństwa, a przynajmniej na podejrzenie podchlebstwa.

Skarga, czy się strzegł tak bardzo, czy nie strzegąc się, uniknął niebezpieczeństwa szczęśliwym instynktem, ale wolny jest zupełnie od posądzeń tego rodzaju, i sama złość nie znalazłaby w jego pismach jednego słowa, któreby zakrawało na podchlebstwo, a choćby tylko na pochwałę przesadzoną. Ale czy to przypadek czy zamiar, zawsze pomogło mu do tej czystości to, że o ludziach mówił tak rzadko i mało, bo kto wiele chwali, ten łatwiej w pochwałach miarę przebiera, aniżeli ten, kto ostrożnie skąpy jest w słowach. Gdyby Skarga był chciał wymową swoją podnosić chwałę wielu zmarłych, a przez to chwałę ich rodów i domów na ziemi, byłby przez to zapewne zjednał sobie nie jednego przyjaciela, nie jednego łaskawego a możnego protektora, nie dla siebie tylko, ale dla swego zakonu. On tymczasem bardzo rzadko mówił nad grobem. Może to przypadek tylko, ale to zawsze pięknie. Szkoda jest nieodżałowana, że kazanie na pogrzebie króla Stefana zaginęło bez śladu. Zważywszy przedmiot, trzeba przypuszczać, że było najwspanialsze. Ale jeżeli było drukowane, to tak gdzieś znikło, że go nikt z dzisiejszych, ani z dawniejszych, nie czytał.

Co dziwnego, to, że kazanie na pogrzebie Anny Austryaczki jest piękniejsze, niż na pogrzebie Anny Jagiellonki. Zdawałoby się, że powinno było być przeciwnie: że żywot kobiety sędziwej, wielkich cnót i wielkiej miłości u narodu, królowej, która cały swój wiek między nami przeżyła, a przeszła przezeń, „dobrze czyniąc", że śmierć ostatniej z królewskiego domu Jagiełłów, mogła była, i powinna była nastroić mówcę do rzewniejszego uczucia, aniżeli zgon królowej młodej,

z obcego kraju, mało u nas znanej, która ledwie kilka lat tu przeżyła, i choć zapewne musiała być bardzo dobra, pozostała nam obcą, tak, że dziś to jedno o niej pamiętamy, że była matką Władysława IV. Tymczasem, nie wiedzieć z jakiego powodu, stało się przeciwnie. Kazanie na pogrzebie Anny Jagiellonki, jest niezaprzeczenie piękne. Jest w niem wszystko, co się o cnotach i zasługach zmarłej powiedzieć dało, jest i żal, tak słuszny, za ostatnią z długo panującego i prawdziwie błogosławionej pamięci domu królewskiego. Postać starej królowej w łagodnem świetle jej cnót cichych i domowych, a chwalonych prostemi słowy („nikomu nigdy nic złego nie zrobiła", fałszu nie było w jej sercu ani w jej ustach, „rękę miała zawsze otwartą dla potrzebujących") — „cicho i pięknie do ojców swoich odchodzącej", wyglądała bardzo pięknie. Pięknie zwłaszcza przedstawia się, kiedy ją mówca pokaże w wykonywaniu jej obowiązków królewskich. Pod tym względem przywykliśmy uważać Annę za figurę dość mało znaczącą: i istotnie, ona się do polityki nie miesza i mieszać nie chce, stoi na boku, słucha, robi co jej każą, swoją osobą, wolą, losem, nie chce na nie wpływać i boi się przeszkadzać. Ale pomagać by chciała; a na to nie ma innego sposobu, tylko się modlić. I nie można bez głębokiego wzruszenia czytać tego, co opowiada o niej Skarga, że kiedy w razach wielkich potrzeb lub niebezpieczeństw Rzpltej, naprzykład podczas elekcyi, kiedy przeciwne strony stały naprzeciw siebie i lada iskra mogła wzniecić pożar wojny domowej, albo kiedy mąż, król Stefan, oblegał Połock i Wielkie Łuki, ta królowa, ta kobieta, nie mogąc inaczej ani niebezpieczeństwa zażegnać, ani do zwycięstwa pomódz, modliła się po całych dniach i nocach, pościła, wymyślała sobie umartwienia przeróżne, jak kobiety Starego Testamentu w stanowczych dla Izraela chwilach, jak Estera lub Judyta, albo jak stary Mojżesz, klęczący przez cały ciąg bitwy z rękoma podniesionemi do nieba.

Ale to wszystko, to piękność przedmiotu, nie mowy, to zasługa Anny nie Skargi; i wszystko razem wziąwszy, wydaje się, że mowę taką samą, z wyjątkiem może pięknego na początku ustępu o śmierci wielkich tego świata, *na Pańskich śmierciach straszliwsza jest moc Boska*, byłby mógł powiedzieć każdy kaznodzieja rozumny i dobry, bez wyjątkowych darów zdolności i natchnienia.

Kazanie tymczasem na pogrzebie Anny z Rakus, przechodzi tę miarę, i kaznodzieja zwyczajny, choćby bardzo rozumny i dobry, zapewne nie zdołałby się na takie zdobyć. Naprzód we wstępie, gdzie mówi o znikomości rzeczy ludzkich i o śmierci głów koronowanych, jest tak patetyczny, że nie zwyczajny mówca, ale Bossuet ledwie mu dorównywa: „Teraz głowa ta uwiędła etc." M. Dzieduszycki porównywa ten ustęp ze sławną mową Bossueta nad trumną Henryety angielskiej i porównanie rozstrzyga na korzyść Skargi. Słusznie: bo we wspaniałych mowach Bossueta trafiają się przecież rzeczy wyszukane, które krytyka francuzka wprawdzie bardzo chwali, ale które zakrawają na puste frazesy, z powagą kazalnicy niezgodne; naprzykład, fontanny ogrodowe w Chantilly, płaczące nad W. Kondeuszem, albo w mowie na pogrzebie Henryety, to miejsce gdzie mówi, że Monsieur i król sam trzymali ją mocno rękami, ale napróżno, ona im przecież odeszła. Prosta rzecz, zatrzymać życia i duszy nie mogli. W Skardze całym, jak jest, takiego czczego marnego słowa się nie znajdzie; te zaś ustępy, w których Bossuet jest rzeczywiście wspaniały, może nie przewyższają dopiero przytoczonego.

A po nim następuje inny, z najpiękniej, jak być może, wyrażoną pochwałą zmarłej i z wielką rzewnością żalu, to ten, w którym Anna żegna swoje ziemskie królestwo i, oddając koronę, świadczy się, że ją oddaje czystą i jasną, jak ją wzięła, niczem jej nie zma-

zała, niczem nie nadwerężyła, niczem czci i godności jej nie uchybiła.

Potem, rozrzewniająca, przejmująca jest śmierć tej Anny, młodej, szczęśliwej, kochającej męża tak, że jak mówca świadczy, mawiała, iż cały świat nie ma lepszego człowieka, szczęśliwej ze swoich dzieci, a wyrwanej z pośród całego tego szczęścia, i to w chwili, kiedy Poska cała „za mądrą i wdzięczną Panią mieć ją poczęła." Także słowa godne uwagi. Inny kaznodzieja, kaznodzieja dworski, byłby prawił oklepane frazesy o nieutulonych łzach poddanych nad grobem ubóstwianej królowej. Ten powiada, że umarła w chwili, kiedy ją lubić zaczęli; a więc przyznaje, że przedtem nie lubili, przyznaje to wobec jej dworu, jej męża i dzieci. Ale tem chwali ją lepiej, niż najszumniejszą pochwałą, bo zaraz nasuwa się myśl, że ta królowa musiała mieć wiele dobrego, kiedy zwyciężyła uprzedzenia i niechęci, kiedy ją za mądrą i miłą mieć zaczęli. I z tej prawdomówności jego zaraz ten skutek, że się wierzy już wszystkiemu, co o niej powie; że się słuchacz nie boi przesady, ale wszystko bierze za dosłowną prawdę. Istotnie, prawda, szczera prawda, to największy sekret piękności jego mów pogrzebowych. Czuje się, że on nic nie dodaje, że te kobiety były takie, jak je opisuje; a jeżeli jedna Anna pięknie wyglądała w blasku swoich cnót cichych, to może jeszcze piękniej wygląda w tem samem świetle ta druga Anna, bo młoda, szczęśliwa, kochająca, królowa, więc mająca prawo do świata, do wesołości, a żyjąca tak skromnie, umierająca tak chętnie i tak pogodnie. Na jej dworze, czasem tylko, z konieczności, świetne przyjęcia, stroje, tańce i uczty; zresztą chodzi zawsze skromnie ubrana, zabaw nie lubi, lubi opatrywać ubogich i sama im służyć; dwór swój utrzymuje w przykładnej stateczności obyczajów. Męża kocha bardzo; ale rozstaje się z nim spokojnie a mężnie, przytomnie, sama go do tego rozstania przygotowuje. Krótki opis jej ostatnich dni i zgonu jest bar-

dzo rozrzewniający, a niemniej także to pożegnanie jej z królem i królestwem, którem się kazanie zamyka.

Kazań dziękczynnych jest kilka: na szczęśliwe wrócenie króla J. M. ze Szwecyi, drugie przy oddawaniu ślubów Panu Bogu w Częstochowie, gdy król J. M. ze Szwecyi wrócił; inne na dziękowanie za jakie pospolite całego Królestwa dobrodziejstwo (to ostatnie także zapewne nigdy nie powiedziane, ale mogące się do wielu przypadków zastosować). Przecież w tym rodzaju prym trzymają cztery kazania przy nabożeństwach dziękczynnych za odniesione zwycięstwa; te to są, które Dzieduszycki tak dobrze tryumfalnemi nazywa. Ale bo też i tryumfy prawdziwe, zdolne rozpalić serce najrzadszem z uczuć, uniesieniem radości i dumy. Raz obcy książę, pretendent do korony, skarcony za swoją śmiałość, upokorzony i zamiast na zamek krakowski, jako król, wstępujący na krasnostawski, jako jeniec. Potem, na ościennem księstwie osadzony, stale, jak się zdawało, wierny sprzymierzeniec i hołdownik Mohyła, ztąd wzrost potęgi Rzpltej i nadzieja większego bezpieczeństwa od Turków. Dalej najezdnik szwedzki pobity, uciekający za morze, zostawiający za sobą swój obóz, tysiące poległych i Inflanty bezpieczne. Wreszcie król Polski, wstępujący w dobytą twierdzę, która mu drogę do Moskwy otwierała: Byczyna, Zamoyskiego wołoska wyprawa, Kirchholm i Smoleńsk, to cztery tryumfy, którym odpowiadają cztery kazania, cztery dziękowania, za zwycięstwo pod Byczyną, wołoskie, inflanckie i moskiewskie. Z tych pierwsze nigdy nie drukowane, jak się domyśla Dzieduszycki, przez wzgląd na późniejsze związki Zygmunta III z domem austryackim, przechowuje się w rękopisie i w łacińskim przekładzie. Z trzech innych, najpiękniejsze są, na zwycięstwo wołoskie i inflanckie. W pierwszem, oprócz całej krasomówczej piękności, zasługuje na uwagę ustęp, w którym kaznodzieja uczy króla, jak ma królestwo swoje kochać i szanować. To przypomnienie

obowiązków wierności i wdzięczności, jakie miał Zygmunt względem Polski, to może nie jest bez celu; może mówca myśli, jak myślało wielu, że król o tę swoją koronę nie dba, że ją ustąpić myśli. Pewności niema, ale bardzo na to wygląda, że ten ustęp jest śmiałą, a dla króla zapewne niemiłą aluzyą, do jego ukrytych prawdziwych lub domniemanych zamysłów.

Najsilniejszy ton tryumfu, a prawie aż urągania się nad pobitym, odzywa się w kazaniu na zwycięstwo inflanckie: „Zasiadłszy Pan Bóg zastępów" i dalej „uciekaj na morze".

Pozostaje to, co w Skardze, co w całej literaturze Polski niepodległej najwyższe, a w porozbiorowej i przez największych zaledwo doścignione—*Kazania Sejmowe.*

Że człowiek, w którym skupiło się spadkowe cierpienie [1]) wielu, i to cierpienie, które dręczyć miało następnych, człowiek z sercem dość wielkiem, żeby ten ogrom oczuć objąć, który także mógłby był o sobie powiedzieć, że nazywa się milion, bo za miliony kocha i cierpi katusze, mógł być wymownym, strzelać „grzmiącemi słowy do serca spółbraci", to bardzo naturalne: wielkie dusze mają i wielkie słowa na usługi. Łatwo to zrozumieć, a dowodzić zbytecznie. Ale co może zbytecznem nie będzie, to uwaga, że człowiek z takiem przeznaczeniem jak Skargi, i w jego czasach, człowiek powołany do tego, iżby był ostatnim i najsilniejszym głosem przestrogi i upomnienia, musiał być.... księdzem.

Było ich tylu przed nim, którzy przestrzegali i upominali; byli bardzo rozumni, bardzo szlachetni i bardzo wymowni. Wszystko, co o nierządzie polskim i jego niebezpieczeństwach mógł powiedzieć przyrodzony ludzki rozsądek, rozum polityczny, historyczne doświadczenie, wszystko to oni powiedzieli. Wszystkie do-

[1]) Ustęp o Kazaniach Sejmowych skrócony z książki *Pisarze polityczni XVI wieku.*

wody, wszystkie argumenty, wszystkie prośby i zaklęcia jakich dostarczyć mogły ludzkie względy i uczucia własnego bezpieczeństwa i dobra, honoru, wstydu przed ludźmi, miłości ojczyzny, wszystkie oni wyczerpali do dna, odwołali się do wszystkich, i na próżno: nic się nie zmieniało, nikt się nie obejrzał i nie zważał. Cóż więc pozostało? W imię czyje jeszcze można było przemówić do nich i prosić, żeby się ratowali? Rozsądku? Słuszności? Przyszłości własnej? Potomności? Ojczyzny? Wszystko to już słyszeli, i przebrzmiało bez wrażenia, odbiło się jak groch od ściany. Gdzież już większe nad te powagi, gdzie względy od tych wyższe? Na świecie, nie, bo na świecie niema już nic nad to. Ale Bóg? Gdyby jeszcze Jego głos, Jego powaga, Jego groźba? Gdyby pokazać, że to, co rozsądek ludzki mianuje głupstwem, co rozum, nauka, doświadczenie nazywają rozpaczliwem niedbalstwem, co uczucie honoru nazywa wstydem, a miłość ojczyzny brakiem publicznego ducha, gdyby pokazać, że przed Bogiem to wszystko jest grzechem? Gdyby przypomnieć, że rady rozumu, prawidła honoru, zaklęcia patryotyzmu są zgodne co do słowa z Jego rozkazem; gdyby te zaniedbane i wzgardzone obowiązki publiczne przedstawić jako obowiązki religijne także, obowiązki chrześcijańskiego sumienia, a te publiczne grzechy wykląć uroczyście i ogłosić za zbrodnię zelżonego Majestatu Boskiego? Gdyby to samo, o co napróżno dotąd wołał rozum, polityka, honor i ojczyzna, powtórzyć jeszcze raz, ale w imieniu Boga, ich prośby powtórzyć, jako Jego rozkazy? Kto wie? To możeby skutkowało. Środek to ostatni, największy, ale kiedy wszystkie inne marnie się zużyły, to czas spróbować tego; może on pomoże, może ten ostatni apel trafi do serc i rozumów. Polsce, lecącej do zguby, a nie chcącej się ratować, było tego potrzeba: trzeba jej było powiedzieć, że ten porządek, którym gardziła, to bezpieczeństwo, o które nie dbała, były obowiązkiem nie tylko moralnym i patryo-

tycznym, ale religijnym, nietylko względem siebie, rodziny, ojczyzny, ale względem Boga.

A kiedy tej powagi trzeba było użyć, kiedy trzeba było mówić w tem imieniu, tedy żaden głos świecki dostatecznym już nie był. Potrzeba było wyższej powagi, wyższego powołania, wyższego charakteru. Świecki człowiek w ten sposób mówić nie miał prawa: odpowiedzianoby mu, że jest słuchaczom swoim równy i nie więcej od nich ma prawa mówić o Boskich rzeczach, w imieniu praw Boskich. Księdzu poświęconemu, księdzu, który przyjął Sakrament kapłański, słuchacz katolik odpowiedzieć tak nie mógł; nie mógł odmówić mu prawa roztrząsania swojego sumienia, przemawiania w imieniu samego Boga. Kiedy książki i trybuny sejmowe wołały długo i głośno, ale na próżno, przyszedł czas na głos poważniejszy i uroczystszy, na Kościół i kazalnicę. Najwymowniejszy, najbardziej natchniony z tych, którzy upadek Polski przewidywali i wzywali ją do poprawy, musiał przemawiać w imię najwyższych praw, najwyższej powagi, musiał być księdzem.

Dodajmy do tego, że ten stan i jego obowiązki, wzniośle pojęte, mogły, nawet musiały potęgować uczucia człowieka, a przez to siłę jego wymowy. Miłość ojczyzny, wrodzony zmysł moralny, mogły podnieść jego żal i oburzenie do wysokości natchnienia, ale kiedy do nich przybywała żarliwość religijna, gorąca wiara, przekonanie, że chodzi tu nie o same tylko dobro świeckie doczesne, ale o zbawienie tysięcy dusz nieśmiertelnych, o obrazę Boga, którego mówca nad wszystko miłował, rzecz naturalna, że wszystkie jego uczucia podwajały się przez to nową siłą, że oburzenie, zgroza, prośba, zaklęcie, wszystko nabierało tem większej intensyi i mocy. Gdyby Skarga był człowiekiem świeckim tylko, gdyby był przemawiał tylko w imię ojczyzny, honoru i uczciwości, nie byłby wydobył z siebie tyle zapału i tyle natchnienia, ile ich znalazł w swo-

jem uczuciu religijnem, w tem przekonaniu, że spełnia obowiązek nietylko obywatelski, ale kapłański, że swojem słowem broni nietylko Pospolitej Rzeczy i jej całości, ale chwały Bożej i zbawienia pospolitej rzeszy Bożego ludu.

Te więc dwie rzeczy, miłość ojczyzny i obawa o nią, miłość Boga, religijna gorliwość i wiara, złożyły się na rezultat tak nadzwyczajny, jak jego natchniona, jedyna w swoim rodzaju wymowa.

Słowo to, dodajmy jeszcze, w ówczesnem społeczeństwie polskiem wyjść mogło tylko z pośród katolickiego i rządowego stronnictwa. Zbawcze słowo ratunku, życia, przyszłości, ten tylko może nosić w łonie, kto sam ma pojęcie i żywotną organiczną siłę jedności. Polityczna myśl i polityczna siła nie zjawia się wśród rozprzężonych i rozsypujących się, nie zjawia się wśród takich, którzy działają pod wpływem ujemnych uczuć i pobudek, negacyjnymi środkami. Protestanci polscy byli już podówczas stracili tę jędrność i spójność, zatem tę zdolność działania jaką mieć mogli przed laty czterdziestu; ogół szlachty, uszczęśliwiony ze swojej wolności i grzęznący coraz głębiej, coraz bezwiedniej w tym zaślepionym konserwatyzmie i szczęśliwym z siebie partykularyzmie, jaki ona rozwinęła, także nie mógł zrozumieć ani powstrzymać tych powodów rozkładu, które sam w sobie i nosił i cenił, w których się rozkochał, jak w swojem szczęściu i swojej chwale. Wielcy panowie, ci nie bezmyślnie na biernem, ale świadomie i czynnie na negacyjnem rozkładowem stanowisku stojący, ci czy byli protestantami jak Zborowscy, czy katolickimi dewotami, jak Zebrzydowski, ci ze swego ducha zbawienia ojczyzny wydobyć nie mogli. Najzdrowszą i najrozumniejszą częścią narodu byli ci katolicy oświeceni i przekonani, którzy wiedzieli, że bez jedności i jej jakiegoś środkowego punktu, nie może być ani państwa ani społeczeństwa; którzy za wzór, za podstawę, uważali i brali jedność

religijną, a na tej oparci, spodziewali się dojść do politycznej organicznej jedności państwa i społeczeństwa. Nie rozumiał tej potrzeby ówczesny protestant, ani (gdyby był rozumiał) nie miał na takie przedsięwzięcie siły; nie rozumiał jej szlachcic ziemianin i sejmowy poseł; przeczył jej i udaremniał ją swojem działaniem magnat i senator. Wytłómaczyć, że Rzeczpospolita bez jedności Boga, państwa i rządu upaść musi, mógł tylko jeden z tych, którzy rozumieli, że jak człowiek bez stosu pacierzowego, tak społeczeństwo nie zdoła trzymać się na nogach bez podpory iześrodkowania w czemś stałem i niewzruszonem, w Bogu i Jego Kościele i—jakikolwiek mógł być Zygmunt III—w królu.

Kaznodziejstwo rzadko, i może ze szkodą rzeczy, wdaje się w publiczne sprawy i grzechy. Skarga jest pod tym względem świetnym wyjątkiem. W kaznodziejstwie polskiem wszakże zrozumienie tej potrzeby czy tego obowiązku, daje się wiedzieć tak, że możnaby nieledwie uznać w niem jego właściwość i cechę. Drugiego Skargi nie było, po nim nieraz odezwie się jakby echo w kazaniach Birkowskiego, Starowolskiego i Młodzianowskiego, a w wieku XIX z tego źródła biły najwspanialsze natchnieniem i wymową kazania Kajsiewicza; w XVIII tylko — dość charakterystycznie — nie poczuwa się kazalnica do tego obowiązku, znać przechodzi on jej ówczesną miarę. Sam Skarga nie był bez poprzedników. Między jego kazaniami naprzykład a sławnego Sokołowskiego, kaznodziei króla Stefana, pomimo całej różnicy rodzaju wymowy i samego języka (tamtego znamy tylko łacińskie kazania), jest niewątpliwie podobieństwo ducha i zamiaru.

Nigdy może nie zdarzyło się w dziejach kaznodziejstwa, żeby wymowa kościelna tak wyraźnie i jedynie jak w Polsce zajmowała się życiem publicznem, żeby religia tak kontrolowała i krytykowała ludzi ze stanowiska ich obowiązków obywatelskich. Kazania treści czysto duchownej, kazania okolicznościowe, ze spra-

wami świeckiemi połączone, pogrzebowe, dziękczynne i t. d., są rzeczą zwyczajną, znajdują się u każdego narodu i w każdym czasie. Ale takie, w których mówca przed narodem lub jego reprezentacyą roztrząsa ich obowiązki i grzechy polityczne, gdzie dotyka nietylko ich obyczaju w życiu publicznem, ale nawet ich instytucyj, takich niewiele podobno znajdzie się w świecie. Może ci kaznodzieje średniowieczni, za którymi tłumy ludu chodziły jak za świętymi, może ci, którzy głosili skruchę i pokutę, może Savonarola, piorunujący na zepsucie Florencyi i poruszający ją do tego stopnia, że lud nosił i palił wszystkie rzeczy potępione, jako zbytkowe i bezbożne, Savonarola odmawiający rozgrzeszenia umierającemu Lorenzowi za to, że się targnął na prawo publiczne swego miasta, lub raczej pocichu zmianę jego przygotował, może tak jak Skarga przemawiać umieli w imię religii i Boga, o politycznych sprawach, do politycznych stronnictw lub osobistości. W późniejszej Europie, kiedy życie religijne oddzieliło się od świeckiego, kiedy chrześcijaństwo wyszło z życia, i tylko w pewnych oznaczonych dniach i godzinach wracało, zawsze na krótko, kiedy w kościele zostało, ale przestało być duszą, zasadą, regułą, wszystkich czynności i funkcyj życia, wtedy i mówców takich być nie mogło. Nie można wyobrazić sobie Bossueta, gromiącego z kazalnicy politykę Ludwika XIV, wyrzucającego mu niebezpieczną ambicyę, wojny niepotrzebnie dla niej prowadzone, niezmierne wydatki, wyczerpanie skarbu i zasobów, przeciążenie poddanych podatkami; nie można wyobrazić sobie w naszym dzisiejszym świecie kaznodziei, któryby jakiejś większości parlamentarnej wyrzucał, że źle postępuje, że uchwala prawa przeciwne moralności lub szkodliwe państwu, że się źle i niesprawiedliwie obchodzi z mniejszością, któryby wyrzucał rządowi, że dla zapewnienia sobie zwycięstwa, używa środków nieczystych, fałszuje listy wyborcze, lub podobnie. Uznanoby to rzeczą bardzo dziw-

ną, powiedzianoby, że konieczności, których uniknąć niepodobna, że każdy rząd ma prawo bronić swojej zasady, i że kaznodzieja wdaje się w rzeczy nie swoje. Ztąd wymowa kościelna nowszych czasów, kiedy jej się zdarza dotykać publicznych spraw, urzędów i obowiązków, ogranicza się na samych uwagach ogólnych, mówi o tem, co i jak być powinno, a porównanie z tem, co jest, zróbcie sobie sami.

Skarga postępuje przeciwnie. Kiedy mówi przed sejmem polskim, nie stawia mu idealnego obrazu jego obowiązków, ale przeciwnie, obraz bardzo rzeczywisty jego błędów; nie mówi: oto masz ideał, porównaj i osądź się sam, w czem i o ile do niego nie dochodzisz, ale stawia zwierciadło grzechów publicznych: kto od nich wolny, kto się do nich nie poczuwa, tego niech własne sumienie rozgrzeszy. Sposób postępowania nierównie praktyczniejszy, energiczniejszy; lepszy dla samego kaznodziei, bo więcej elektryzujący; silniej działający na jego wrodzone dary, i lepszy dla słuchaczów, bo zostawiający daleko mniej pola sofizmatom i wybiegom sumienia, uderzający na wszystko złe wprost, i mogący łatwiej zrobić wrażenie, trafić do przekonania, pobudzić do skruchy lub nawet do poprawy.

Że taka sposobność mówienia do Rzpltej samej, do Polski całej w sejmie zebranej, ta sposobność prawdziwie uroczysta i wielka, mogła szczęśliwie na mówcę działać i jego samego silnie wzruszyć, to pewna. Ale trzeba było być mówcą wielkim, żeby z niej skorzystać, żeby zrozumieć i ocenić, do czego go ta sposobność powołuje, jaką broń daje mu do ręki. Kaznodziei sejmowych było w Polsce wielu, przecież ten jeden tylko, poczuł się w tem swojem powołaniu, jeden zrozumiał, że ma sposobność, a zatem obowiązek, zrobić rachunek sumienia Rzpltej!

Rzecz dla nas do pojęcia trudna, to, że współcześni nie zapisali nigdzie w którym roku na jakim sejmie (lub na jakich sejmach) kazania te były mówione.

Nawet Wielewicki [1]) który w swojej historyi *Domus Professae* (Jezuitów) *ad Sctam Barbaram* niemal na każdej karcie ma coś do zapisania o Ojcu Skardze, nawet ten nie podaje nam tej wiadomości, która pozwoliłaby nam oznaczyć ściśle, wśród jakich okoliczności *Kazania sejmowe* powstały, jakich wypadków bezpośrednio dotyczyły. Wiemy tylko, że Skarga został kaznodzieją królewskim w roku 1588, i że *Kazania sejmowe* wyszły w druku po raz pierwszy w roku 1600. W tym więc przeciągu lat dwunastu były mówione, a nawet, zważywszy, że na urząd kaznodziei dworskiego dostał się Skarga już po sejmie koronacyjnym r. 1588, i że na druk czas pewien także odliczyć należy, wypadnie skrócić ten okres czasu do lat dziesięciu (1589—1599). Sejmów odbyło się w tych latach dziewięć. Na którym z nich, albo na których mówił Skarga te właśnie kazania? Może być, że wszystkie należały do jednego sejmu (skoro wiadomo, że uroczyste nabożeństwo z kazaniem odbywało się we wszystkie niedziele przez czas trwania sejmu). Okoliczność, że pierwsze nosi napis *na początku sejmu*, a ostatnie mówione było *na rozjeżdżaniu się sejmowem*, pozwalałaby wnosić, że wszystkie poprzednie następowały rychło po sobie, co tydzień, na jednym i tym samym sejmie. Ale być także może, że po jednem mówione były na każdym sejmie, a żadne podanie współczesnych, ani ich własna treść, nie daje żadnej pod tym względem wskazówki. Nie dla ciekawości tylko, ale dla lepszego zrozumienia i osądzenia kazań, byłoby rzeczą przydatną wiedzieć, w jakich okolicznościach które z nich było mówione: żeby można schwycić na gorącym uczynku ten wpływ zdarzeń, który Skargę do głębi duszy wstrząsnął i obudził w nim natchnienie, dał mu poczuć powołanie i obowiązek *Kazań sejmowych*. Nasze osobiste, nie zdanie nawet, ale wrażenie jest, że ten potok wymowy nie móg

[1]) *Scriptores Rerum Polonicarum*. T. IV. Wyd. Akad. umie

łać się długo a po trochu, i na lata rozkładać, że kazania nie ciągnęły się przez lat i sejmów parę lub więcej, ale przez jeden sejm tylko, a jeżeli tak, to prawdopodobnie był nim sejm inkwizycyjny jako najburzliwszy, najbardziej zasadniczo niebezpieczny ze wszystkich w tym okresie czasu. Ale znowu gdyby tak było, to dlaczego byłby je mówca aż po ośmiu latach ogłosił? Może być zatem, że sejm inkwizycyjny dopiero naprowadził go na tę myśl i drogę, i że kazania rozpoczęły się dopiero po roku 1592. Jakkolwiekbądź, to pewna, że one są spowodowane i natchnione tym stanem rzeczy, który przez zawikłania szwedzkie i austryackie, przez układy z arcyksięciem Ernestem i małżeństwo króla, przez opozycyę (choć z wielu miar słuszną i usprawiedliwioną) przeciw Zygmuntowi III, prowadził do rokoszu Zebrzydowskiego. Sejm inkwizycyjny był tego stanu rzeczy najwyraźniejszym objawem, punktem jego dojrzewania i miarą jego niebezpieczeństwa, zatem i środkowym punktem tych wypadków, i Skarga niezawodnie—jeżeli nie na nim kazania swoje zaczynał lub wypowiedział — to wielokroć w ciągu tych kazań miał go na myśli i do niego słowa swoje ściągał [1]).

[1]) Niektóre głosy, bardzo poważne, wyrażają wątpliwość, czy *Kazania Sejmowe* były wogóle kiedykolwiek mówione. Mianowicie prof. W. Zakrzewski w recenzyi *Pisarzy Politycznych* niżej podpisanego, a świeżo prof. Brückner w recenzyi niniejszej *Historyi Literatury* i we własnych jej *Dziejach*. Na tę wątpliwość wprowadzają ich następujące okoliczności: 1. Współcześni milczą zupełnie, absolutnie, o kazaniach sejmowych. 2. Ich budowa, systematyczny układ, każe przypuszczać, że były z rozmysłem, spokojnie pisane, nie zaś przygotowane doraźnie do bezpośredniego wypowiedzenia. Wreszcie 3-cie: w przedmowie do pierwszego wydania *Kazań Przygodnych*, mówi Skarga, że wydaje kazania o Sakramentach, których król słuchał, i *drugie*. Z tego można wnosić, że tych *drugich* król nie słuchał, zatem że nie były mówione.

Te uwagi są ważne, ale, mojem zdaniem, stanowcze nie są. Że król nie słyszał wszystkich *Kazań Przygodnych*, to rzecz naturalna, ale to jeszcze nie dowodzi, jakoby nie był słyszał

Mickiewicz mówi o Skardze (w „Kursach literatury słowiańskiej"), że stoi na pograniczu dwóch epok; z jednej wszystkie dobre myśli i uczucia w sobie zbiera i doprowadza do najwyższej potęgi, jest jej wyobrazicielem równie doskonałym jak wzniosłym; w drugą rzuca wzrok przenikliwy i dalekonośny, ponure, groźne światło swoich przepowiedni. „Pogranicze" to (czego Mickiewicz zapewne nie uważał) rozumieć można w znaczeniu najściślej dosłownem: bo dziwnym przypadkiem w pierwszy dzień tego smutnego wieku, który miał Polskę stanowczo do upadku nachylić, w Nowy Rok 1600, podpisuje Skarga tę przedmowę do pierwszego wydania *Kazań o siedmiu Sakramentach i Przygodnych*, w którem znajdują się *Kazania sejmowe*. Przedmowa ta, a raczej dedykacya do Zygmunta III, może poniekąd stanąć za jego osobiste wyznanie, i służyć za dowód, że w goryczy serca widział i rozpamiętywał dzieje minionego wieku i z tego doszedł do wielkiej o ojczyznę swoją obawy, do gorącego pragnienia, żeby w wieku następnym dźwignęła się w górę, i do przekonania,

---

Kazań Sejmowych. W drugiej przedmowie, do Andrzeja Boboli, mówi Skarga, że Bobola zachęcał go do napisania tego, *czego zawdy pilnie słuchał.* Nie można twierdzić, ani dowieść, że te słowa nie dotyczą *Kazań Sejmowych*, tylko koniecznie innych. Milczenie współczesnych jest istotnie zadziwiające i mogłoby być argumentem ważniejszym. Ale ci współcześni tak często milczeli i zapominali o tem, o czem mówić byli powinni! Czy nie dowodzi tego ten brak wiadomości o Modrzewskim, o Orzechowskim, o Kochanowskim, o samym Skardze, w jakim nas zostawili. Ich milczenie mogło służyć za wskazówkę, że się na *Kazaniach Sejmowych* nie poznali, że one na nich nie zrobiły wrażenia, ale nie za dowód, że nie były wypowiedziane. Na to łatwiej się zgodzę, co przypuszcza prof. Zakrzewski (*Przegląd Polski* 1887)—że Skarga rzeczywiście mówił to wszystko, co w *Kazaniach Sejmowych* jest, tylko w innej formie; że, oddając do druku, mógł je staranniej opracować, poprawić, to bardzo prawdopodobne. Ale by uwierzyć, że ich nigdy nie mówił, na to trzebaby pewniejszych, więcej stanowczych dowodów.

(*Przypisek autora*).

że na to trzeba jej wielkiej i trudnej poprawy, a do tej znowu prawd gorżkich i upomnień surowych.

Rozbierać szczegółowo *Kazania sejmowe*, nie tu miejsce, gdzie wiele materyi pomieścić się musi. Dowodzić ich mądrości i wzniosłości nie potrzeba. Uczuje ją i zadrga od niej przerażeniem i podziwieniem każde polskie serce gdzie jest; gdzie go niema, tam żadne dowodzenie nie pomoże. Krótko więc tylko zapisujemy, że kazanie pierwsze jest jakoby programem, zapowiedzią tego, co znajdzie się w następnych, a słuchacza czy czytelnika, który myśleć i czuć umie, tak owłada swoją mocą, tak przywiązuje swoją wzniosłością, a przekonywa swoją prawdą, że on już nastrojony i usposobiony dalszych kazań słuchać będzie pod tem wrażeniem, w skupieniu myśli, sercem skruszonem i upokorzonem.

Kazanie drugie, *O Miłości ku Ojczyźnie*, najpiękniejsze ze wszystkich, gdyby nie było ósmego, to jest na całym świecie może najwspanialszy, najwznioślejszy wykład obowiązku miłości ojczyzny. Nie wiem, gdzie lepiej, gdzie silniej ona była ukazana chrześcijańskiemu sumieniu jako obowiązek względem Boga, jako Jego rozkaz. Powody naturalne, ziemskie, świeckie, miłości ojczyzny, to znowu najrzewniejszy hymn na cześć wszelkiej ojczyzny, a ojczyzny polskiej w szczególności. Część druga, *O Nieżyczliwości ku Ojczyźnie*, ma taką głęboką, taką straszną znajomość natury polskiej i grzechów przeciw ojczyźnie, do których nas ona prowadzi, że wszystkie nasze błędy i wszystkie nieszczęścia, od wieku XVI do początku XX dadzą się odnieść do tych naszych usposobień i przywar, które Skarga tu wskazuje, jako do swoich ostatecznych przyczyn.

Trzecie kazanie, *O Niezgodzie Domowej*, grozi w zakończeniu skutkami tej niezgody. To jest najwyższy wyraz i szczyt całej tej przeczuciowej strony ówczesnego uposobienia polskiego, to byłoby może i szczytem polskiej wymowy, obok ósmego kazania.

„Nastąpi postronny nieprzyiaciel, iąwszy się za wasze niezgody, i mówić będzie: „Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą." Y tak niezgoda przywiedzie na was niewolę, w którey wolności wasze utoną, y w śmiech się obrócą. Bo wszyscy z domy y zdrowiem swoim w nieprzyiacielskiey ręce stękać będą, poddani tym; którzy ich nienawidzą.

„Ziemie y księstwa wielkie, które się z Koroną ziednoczyły, y w iedno ciało zrosły, odpadną, y rozerwać się dla waszey niezgody muszą. Przy których teraz potężna być może ręka y moc wasza, y nieprzyjacielom straszliwa. Odbieżą was iako chałupki przy iabłkach, gdy owoce pozbieraią, które lada wiatr rozwieie, y będziecie iako wdowa osierociała, wy coście drugie narody rządzili, y będziecie ku pośmiechu y urąganiu nieprzyjaciołom swoim.

„Ięzyk swóy, w którym samym to królestwo między wielkimi onemi Słowieńskimi wolne zostało, y naród swóy pogubicie, y ostatki tego narodu tak starego, y po świecie szeroko roskwitnionego, potracicie, y w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, iako się innym przydarzyło.

„Będziecie nie tylko bez pana krwie swoiey, y bez wybierania iego: ale też oyczyzny y królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwey ważono, będą. Gdzie się na taką drugą oyczyznę zdobędziecie, w któreybyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby, y ozdobności, y rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam y synom waszym taka druga matka? Iako tę stracicie, iuż o drugiey nie myślić.

„Będziecie nieprzyiaciołom waszym służyli, w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu, y we wszystkim niedostatku, y włożą iarzmo żelazne na szyie wasze. Przeto, iżeście nie służyli Panu Bogu swemu, w weselu y w radości serdeczney, gdyście mieli dostatek wszystkiego, y dla dostatku, z wszeteczeństwa waszego, gardziliście kapłanem, y królem, y innym przełożeństwem, wolnością się Belialską pokrywaiąc, a iarzma wdzięcznego Chrystusowego y posłuszeństwa nosić nie chcąc.

„Do takich utrat i przeklęctwa, pewnie was ta wasza niezgoda y rostyrki domowe przyprawiaią. Nie tak rychło,

y nie tak żałośnie woyną y gwałty postronnych nieprzyiaciół zginąć możecie, iako waszą niezgodą. Iabłko, gdy zwierzchu się psować pocznie, wykroić się zgniłość może, iż potrwa: ale gdy wewnątrz gnić y psować się pocznie, wszystko zaraz porzucić musisz, y o ziemię uderzyć".

Rzecz dziwna, dwa następne kazania nie mają tego wzniosłego natchnienia. Mówią one o trzeciej chorobie Rzpltej, o niezgodach religijnych, o herezyach; zdawałoby się że gorliwość katolicka Skargi powinna była tu właśnie natchnąć go największą siłą uczucia i wymowy. Tymczasem i pod względem rozumowania, te dwa kazania są ze wszystkich sejmowych najmniej świetne. One są wspaniałe, i ustaliłyby na zawsze sławę każdego innego kaznodziei; tylko dlatego wydają się słabsze, że są jego, i że są Sejmowe, a z trzema pierwszemi i z ostatniem nie na równi.

Kazanie szóste, o *Monarchii*, jest ze wszystkich najściślej polityczne. Mówi w niem Skarga, że monarchia jest nietylko najlepszą, ale konieczną, bo przyrodzoną formą rządu w społeczeństwie ludzkiem; rząd *popularitatis* zaś, czyli jak on nazywa *dymokracya*, musi zawsze mieć „swoje króliki," oszukujące bezmyślnych pozorami i hasłami równości czy wolności, a w tej pozornej równości panujące nad drugimi, dla siebie. Ale nie despotycznej władzy, nie monarchii absolutnej on chce, ale takiej, która „prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest, a moc swoją ustawami pobożnemi umiarkowaną ma". Po naszemu nazwałoby się to monarchią ograniczoną, konstytucyjną. I znowu nigdy może przez cały ten wiek, nigdy nie była lepiej określona i silniej zgromiona wolność zła: „bez prawa, bez urzędu żyć, na zwierzchność nie dbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania". Nigdy także zasada, pierwiastek konstytucyi polskiej, nie był tak śmiało i tak prawdziwie opisany i osądzony w swoich skutkach. Kazanie szóste musiało się bardzo niepodobać naszej opinii. Nożyce musiały

się głośno i groźno odzywać za tem uderzeniem w stół, kiedy w następnych wydaniach już to kazanie nie wychodzi. Gdzieś się schowało, znikło; ze szkodą może polskich rozumów i sumień, ze szkodą Rzeczypospolitej!

Kazaniu siódmemu, o *Prawach Niesprawiedliwych*, to można zarzucić, że skoro już nie mówi o nich ogólnie, tylko niektóre wylicza, to lepiej może było wyliczyć ich więcej; Skarga pominął nie jedno.

O ósmem niema co mówić. Kto raz w życiu czytał „Cóż mam z tobą uczynić, nieszczęśliwe królestwo?", ten wie, że równego niema w polskim języku nic, że nigdy polskie serce nie przemawiało silniej do polskiego sumienia.

Niema nic we wszystkiem, co było kiedykolwiek [1]) po polsku powiedziane lub napisane, nic, coby takie robiło wrażenie, jak to zakończenie *Kazań sejmowych*, ten wyraz najwyższy, najpotężniejszy, przeczuć, jakie przez wiek cały miała o ojczyźnie bolejąca i strwożona jej miłość. Nasi wielcy poeci mają tę miłość ojczyzny mocną jak śmierć, mają słowa natchnione na wszystkie jej boleści i nędze, mają wreszcie wzniosłe podnoszące przeczucia odmiany: ale o tych, nie wie się, czy są prawdziwe, a jeżeli nie, to jakże one bolesne, jakie w nich krwawe szyderstwo, jak się z nich śmiać będą tryumfatorowie przyszłości! Może to nie przeczucia, może tylko marzenia?... myśli się że nie, wierzy się że nie, ale wiedzieć nie można. A tu, tu co innego, tu się wie, że wszystko, co Skarga mówił, było prawdą, że każde jego słowo stało się faktem; rodzimy się, żyjemy, umieramy, wśród rzeczywistości jego groźnych proroctw, jesteśmy sami tymi włosami na trzy części podzielonymi, wygubieni od miecza, od ognia, inni rozproszeni po świecie. Dziś, kiedy cała nasza historya

[1]) Ten ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

do dnia dzisiejszego jest usprawiedliwieniem i komentarzem tych słów proroczych, przed trzema wiekami powiedzianych, dziś robi to na nas wrażenie, większe niż cokolwiek innego: zapóźno jak zwykle na świecie. A oby dziś przynajmniej robiło wrażenie zupełne i wielkie. Jeszcze, zawsze, przydaćby się mogło.

Piękna jeszcze jest ta skromna spowiedź Skargi, że objawienia od Boga nie ma i nie wie z jakim rodzajem pogróżek Bóg go do narodu posłał, i to życzenie:

„Aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania y pokuty, na odmianę dekretów y pogróżek swoich. Abyśmy nie ginęli, ale się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego, wszystko serce y myśli obrócili".

Cieszymy się zwykle, prosta rzecz, tem, co on mówi na końcu: „trzeciego dnia wzbudzi was"—te słowa są, ale nie same. Przed niemi są inne, jako ich warunek, od którego zależeć będzie ich spełnienie. Przed dniem trzecim, usprawiedliwienia, są dwa inne. Pierwszy, dzień żałości, zaczął się dawno i trwa długo; drugi, dzień poprawy czy się już zaczął? jeżeli nie, zacząć się może każdej chwili, „byleśmy chcieli". Ale trzeci nie przyjdzie, aż się drugi skończy: Skarga to mówi wyraźnie. Jeżeli mu wierzymy (a wierzyć musimy), kiedy mówi o pierwszym, jeżeli chcemy wierzyć temu, co mówi o trzecim, wierzmyż mu zupełnie i pamiętajmy o tym drugim, pamiętajmy, że leczyć się zawsze możemy, „bylebychmy chcieli".

Klaczko w *Bezimiennym Poecie* mówi, że Polska miała między wieszczami swymi nie jednego Ezechiela, objawiającego widzenie niebieskiej Jerozolimy, nie jednego, który ją poił nadzieją chwały i zwycięstwa, a czcił jako lud wybrany, ale takiego nie miała, któryby ją karcił jako lud zły i krnąbrny, nie miała takiego proroka bez litości jak Izajasz. W naszym wieku, prawda, nie miała; ale go miała, tego Izajasza srogiego a sprawiedliwego, nie możemy temu zaprzeczyć,

my, co siedzimy nad brzegami Babilońskiej wody. *Kazania sejmowe* jak są najpotężniejszym wyrazem wiekowych złych przeczuć, tak są najwymowniejszą dla Polski przestrogą, najmędrszą nawet politycznie nauką, najwyraźniejszem przewidzeniem jej przyszłości. Są w swoim rodzaju, jako kazania polityczne i patryotyczne, jedyne może w całych dziejach wymowy kościelnej, są szczytem wymowy Skargi, a zatem całej wymowy polskiej, i najwymowniejszem słowem, jakie wydała u nas miłość ojczyzny.

Trzebaby osobnego i zupełnego dzieła na to, żeby Skargę gruntownie poznać i ocenić. W jednostajności tego życia jest tyle rozmaitości, tyle prac dokonanych, tyle do powiedzenia o księdzu, teologu, polemiście i propagatorze wiary, tyle o obywatelu, jego zasługach i zasadach w których działał, tyle o jego wyobrażeniach politycznych, tyle wreszcie o mówcy nie ze stanowiska religijnego i polskiego, ale tylko literackiego, że wszystkiego wyczerpać nie podobna. A gdyby nawet to wszystko i było wyczerpane, to pozostanie zawsze jedna strona jego natury i życia do poznania bardzo trudna, to jest człowiek sam i jego wewnętrzna duchowa historya. Ludzie wielcy i bardzo szlachetni, bardzo święci, zazwyczaj mało mówią o sobie; cóż dopiero, jeżeli powołanie żąda od nich zupełnego wyrzeczenia się siebie. Skarga nietylko miał tę szlachetną skromność wielkości, ale był księdzem, przeto obowiązanym strzedz się wszystkich poruszeń miłości własnej, myślenia o sobie, które u człowieka świeckiego byłoby naturalne i nie zdrożne; i nie tylko księdzem, ale zakonnikiem, obowiązanym tembardziej do pokory, do oderwania się od siebie i świata, i nietylko zakonnikiem, ale Jezuitą, obowiązanym przez swoją regułę do wyzucia się ze swojej osobistości.

Z tego też wynika, że mało jest na świecie pisarzy, których wewnętrzne dzieje tak trudno dałyby się poznać. Znamy zewnętrzne fakta jego życia; z pism mo-

żemy składać sobie wyobrażenie o jego charakterze i pojęciach; ale znając wielkość talentu i cnoty człowieka, nie znamy ani codziennej zwyczajnej jego fizyognomii, ani tych wpływów, które za każdym razem pobudzały jego natchnienie, znamy je tylko ogólnie. Musi to być wizerunek do skreślenia trudny, skoro w dziele tak gruntownem, wykonanem przez człowieka uczonego i zdolnego, a wykonanem z największą troskliwością i miłością, w *Skardze* Rychcickiego, jest wszystko co być może o jego życiu i dziełach, a postaci, osobistości Skargi niema. Trudno w pobieżnej pracy kusić się o to, co się nie dało zrobić w tak gruntownej i umiejętnej; dlatego nie siląc się na odtworzenie tej postaci, może zgoła niepodobne, trzeba poprzestać na rekapitulacyi tego, co się już powiedziało o różnych stronach jego czynności, i takiemi charakterystykami częściowemi zastąpić, o ile się da, brak jednej, ogólnej, zupełnej i wszechstronnej.

Treścią jego życia było kaznodziejstwo, mówmy więc naprzód o kaznodziei i kazaniach.

Tu bez bojaźni przesady powiedzieć można, że był jednym z największych mówców religijnych, wogóle jednym z największych mówców na świecie. Nie można oczywiście mierzyć go z mówcami świeckimi politycznymi, chociaż co do daru wymowy, co do jej niesłychanej potęgi i patetyczności, może zapewne równać się z największymi, i pod tym względem Kazania sejmowe, Pobudki, Kazanie na zwycięstwo inflanckie, może godne są stać obok najwspanialszych Filippik i Catilinarii. Rodzaj jest inny, ale siła nie jest mniejsza. Z mówców religijnych pierwszy oczywiście nasuwa się do porównania Bossuet, bardzo powszechnem uznaniem największy z mówców katolickich ostatnich trzech wieków, większy od sławnych kaznodziei protestanckich, jak Tillotson, Burnet etc., jak przyznają protestanci sami. Otóż chcąc porównywać Skargę z Bossuetem, przychodzi się prędko do przekonania, że są tak różni,

iż porównanie prawie niepodobne; jedyne podobieństwo, że obadwa byli kaznodziejami.

Co w Skardze każdego uważnego uderzyć musi, to zupełny brak dbałości o stronę literacką kazań. Czy znał jakie teorye stylu i wymowy? Znać musiał: uczyli się ich wszyscy w jego wieku, niezawodnie Jezuici uczyli ich swoich nowicyuszów, w których widzieli kaznodziejskie zdolności. Przecież niech kto wskaże w Skardze jedno miejsce, na którem byłoby znać wpływ jakiegolwiek wzoru? Wpływ Pisma św. w jego stylu— wszędzie, ale nigdzie wpływu wymowy literackiej, nigdzie retorycznej sztuki, nigdzie myśli o teoryi. Przekonać się o tem bardzo łatwo; styl Skargi jest najpiękniejszym stylem polskim na świecie, a są w nim takie grzechy przeciw regułom i teoryom, których ustrzegłby się nietylko pisarz, zajęty zewnętrzną elegancyą tego, co pisze, ale każdy chłopiec w szkolnem zadaniu; te same słowa blizko siebie powtarzane, albo słowa bardzo powszednie i potoczne, widocznie pierwsze, które mu przyszły na myśl, w miejscu, gdzie pisarz reflektujący nad pięknością swego stylu, byłby z pewnością położył inne. Oprócz tego ten zupełny brak preokupacyi literackiej widoczny jest w układzie, w budowie jego kazań, nawet najpiękniejszych. Wszędzie, nawet w ósmem kazaniu sejmowem, ustępy najwznioślejszego natchnienia, najwymowniejsze, przeplatane są innymi potoczniejszymi, niższymi w tonie. Te były konieczne, bo w nich są dowody, przykłady i t. d., ale to przeplatanie jednych drugimi, mówiąc po literacku, szkodzi im, psuje efekt, ostudza słuchacza, czy czytelnika. Otóż każdy, kto rzemiosło cokolwiek zna, kto o niem cokolwiek myśli, byłby tego nie zrobił; byłby kazanie inaczej zbudował, byłby systematycznie uszykował ustępy, dowodzące, rozumujące, potoczniejsze razem, patetyczne wymowne, uczuciowe razem, o ile możności na końcu. Skarga wiedział o tych wszystkich sekretach retorycznej teoryi tak dobrze, jak my o nich

wiemy, a przecież nie posługiwał się nimi, nie dbał o nie; Czegoż to dowodzi? Oto tego, że o literackiej stronie swoich kazań zgoła nie myślał.

I tu zaraz jedna różnica pomiędzy nim a Bossuetem. Bossuet wymowny, patetyczny, majestatyczny jak tylko można, ogółem biorąc uroczystszy, pompatyczniejszy, aniżeli Skarga, Bossuet jest daleko więcej od Skargi literatem. On traktuje kaznodziejstwo naprzód jako misyę i obowiązek duchowny; ale bardzo widocznie także jako sztukę wymowy. To artysta, który zna całą teoryę, wszystkie tajemnice i efekta swojej sztuki, i nie tylko nimi nie gardzi, ale owszem kocha się w nich. Bossuet chce być retorycznie doskonałym i jest takim; takich roztargnień w stylu, takich niesystematyczności w układzie i budowie kazania, jakie u Skargi są wszędzie, u niego niema nigdzie.

Otóż w tem naprzód niech będzie wolno widzieć wyższość Skargi nad Bossuetem; nie przez pogardę dla retoryki i jej reguł, dla artyzmu w wymowie, bynajmniej. Ale ta literacka niedbałość Skargi, ta pogarda sztuki, dowodzi zupełnego, wyłącznego przejęcia się przedmiotem, treścią. On myślał, że jest rzeczą niegodną przedmiotu i mówcy, każąc słowo Boże, po ludzku po rzemieślniczemu je piłować; on robił tak jak Mickiewicz, który „rymów nie dobierał i słówek nie składał"; raczej tak, jak Chrystus uczył Apostołów: kiedy was zaprowadzą przed wielkich tego świata, nie myślcie naprzód, co i jak mówić będziecie; Duch św. poda wam to, co macie powiedzieć. Zapewne metoda to nie zawsze bezpieczna, wymaga albo pomocy Ducha św., albo nadzwyczajnych zdolności mówcy; ale dowodzi wyższego podniesienia ducha, wyższego pojęcia swego posłannictwa, aniżeli ta, która obok religijnego przejęcia zostawia mówcy czas i miejsce na literackie zajęcie i zastanowienie.

Potem Skarga ma więcej prostoty. Dowodzi jej samo to, że nie myśli o formie, o literackiej wartości.

swoich kazań, o sobie i swoim talencie w ogólności; dowodzi następnie i to, że największa liczba jego kazań, bez zapału i uniesień, bez tego co w zwykłem znaczeniu nazywamy wymową, ma tę gołębią, dziecinną, ewangeliczną prostotę słów i stylu, jakiej Bossuet niema nigdy. Tamten mówi zawsze tak, jak gdyby go słuchali ludzie wykształceni, nawet wykwintni, znawcy, Skarga, zawsze, bo nawet w najwznioślejszych swoich chwilach, mówi dla wszystkich, a trafi do przekonania i do serca każdemu, najprostszy i najwybredniejszy słuchacz zarówno go zrozumieją i zarówno odejdą wzruszeni; jeden tylko uczuje wrażenie jego wymowy, drugi ją zważy, skrytykuje, a znajdzie ją doskonałą, odpowiadającą wszystkim wymaganiom jego zmysłu artystycznego. I cóż ztąd wynika? Oto, że ten, który mówi do wykształconych wykwintnych i znawców, mimowolnie hołduje pewnym zwyczajom i wyobrażeniom czasu, stosuje się do pewnego smaku, odbija w swojej wymowie te wszystkie rzeczy czasowe i przemijające, a przez to w innym czasie, po zmianie tych zwyczajów i upodobań, będzie miał coś w sobie zużytego, przestarzałego, zwietrzałego; a ten, który mówi do człowieka, do duszy ludzkiej, *sine acceptione* osób, stopni, czasów, literackich smaków i upodobań, nie zwietrzeje, nie zblednie, nie zmieni się nigdy, bo ta dusza, do której mówił, się nie zmienia; i ten zostanie tym samym zawsze dla wszystkich ludzi i wieków klasycznym, nie przed sądem retorycznej teoryi, ale przed sądem ludzkiej duszy i jej uczuć.

Czyż trzeba wreszcie dodać, że Bossuet nie powiedział nigdy kazań sejmowych? Że zespolenie się ze swoim narodem, takie, że człowiek ma intuicyę jego losów i przyszłości i dochodzi do proroczego niemal widzenia, jest wyższością? Że dowodzi wielkości serca i natchnienia, jakiej przyznać nie można takiemu, który darów podobnych nie miał, a przynajmniej nie pokazał? Czy trzeba mówić, że te Izajaszowe groźby, ta

rola głosu wołającego na puszczy, mają w sobie zasługę i wielkość religijną i patryotyczną, jakiej w kazaniach Bossueta niema? Że Skarga, jeżeli nie „szczególnem objawieniem" i darem proroczym, to powagą ludzkiego uczucia i natchnienia musiał go przewyższać, musiał kochać głębiej, żywiej, mocniej, skoro takie poczucia i intuicye miał? Inna rzecz, że Bossuet w historyi Kościoła Powszechnego ma większe miejsce i większą zasługę. Nauką z pewnością, potęgą umysłu prawdopodobnie, przewyższał Skargę. On się liczy słusznie do wielkich doktorów Kościoła, on ze wszystkich progromców protestantyzmu jest podobno najbardziej zwycięskim w wiekopomnych *Variations des églises protestantes.* Ale jako kaznodzieja, jako mówca tylko, choć sławę ma na świecie ogromną i niewygasłą, bo mówił w języku powszechnie znanym, a należał do narodu podówczas najpotężniejszego na świecie, jako kaznodzieja, Bossuet jest inny, niż Skarga, ale zdaje nam się, że nie jest od niego większy.

To porównanie mogłoby stanąć zarazem i za charakterystykę jego kazań; jedną tylko dodać trzeba uwagę: oto tę, że dominującym charakterem jego kazań jest wielka równowaga i wielki spokój. Z wielkich kaznodziei niema może ani jednego, któryby był tak zupełnie wolnym od namiętności. On czasem jest strasznie surowy, gromi jak nikt; ale nawet w ósmem kazaniu sejmowem jest spokojny, jest panem siebie, nigdy nie przechodzi w namiętność. Jeżeli się czasem daje porwać swojemu uczuciu, to prędzej się rozczuli i rozrzewni, ale gniewem, oburzeniem, potępieniem, wzgardą nie uniesie się nigdy nad miarę. To dowód, że nigdy nie nienawidzi, nie gardzi, dowód, że musi być bardzo dobry, bardzo święty.

Dodawszy jeszcze, że w swoich kazaniach nie jest nigdy prawie abstrakcyjny, a zawsze praktyczny, że czasem w swoim stylu jest niezmiernie obrazowy, że nigdy jego osoba i jego uczucia nie wysuwają się na-

przód, ale jest bardzo objektywny; przypomniawszy wreszcie wyjątkową jedyną piękność jego języka, byłoby w krótkości wymienione wszystko, co stanowi charakterystyczne cechy jego kazań.

O jego stanowisku w literaturze polskiej, jako pierwszego mówcy, pierwszego mistrza języka, pierwszego prozaika, jakiego mamy, o jego stosunku do literatury politycznej i reformatorskiej, której wszystkie złe przeczucia w sobie koncentruje, wszystkie przestrogi, rady i przepowiednie powtarza tak, jak nigdy drugi raz powiedziane nie były, mówić zbytecznie.

O jego stanowisku w historyi polskiej także długo rozwodzić się nie trzeba. Zasługa patryotyczna kazań, zwłaszcza sejmowych, mówi sama za siebie; zasługi innych jego prac, mianowicie obrony katolicyzmu, przeciw nowym wyznaniom, Unii, Bractwa miłosierdzia, już się dowodziło. Pozostałoby więc tylko przypomnieć jego wyobrażenia polityczne.

Co do tych, jest naprzód monarchistą. Monarchia wydaje mu się najlepszą formą rządu, hierarchia rękojmią i podstawą społecznej harmonii i porządku. Królestwo zaś wyobraża sobie, jako poddane Kościołowi, jako *Regnum Sacerdotale*; wszelako bez przesad i niedorzeczności Orzechowskiego, wyznaje zwierzchność władzy kościelnej nad świecką w rzeczach duchownych. Jego monarchia zaś nie jest wcale absolutną, kazanie o Monarchii, kazanie o Prawach, dowodzą, że pojmuje ją jako mieszaną konstytucyjną; najjaśniej mówi o tem jego *Próba Zakonu Jezuitów*. Co zaś najbardziej w nim uderza to, że w jego politycznych wyobrażeniach niema żadnych z góry powziętych uprzedzeń, żadnej doktryny. Monarchista i katolik jak on, a do tego kaznodzieja Zygmunta III, łatwo mógł popaść w dwa błędy: jeden, że szanując monarchię, trzeba osłaniać błędy monarchów i udawać ich za nieomylnych i doskonałych; drugi, że mógł wziąć za ideał, za cel, połączenie, solidarność Polski z państwami monarchicznemi i katoli-

ckiemi, z Austryą i z Hiszpanią. On tymczasem w jedno ani w drugie nie wpada. Królowi, jego zdaniem, zawsze trzeba przysadzać prawo, bo łatwiej o dobre prawo, niż o dobrego króla — to w ogólności, a w szczególe umie doskonale napominać Zygmunta III.—Jak zaś jego przekonania katolickie i monarchiczne dalekie były od panujących podówczas na naszym dworze doktryn, dowód najlepszy w tem, że nie mogąc odwieść Zygmunta od powtórnego ożenienia z Austryaczką, złożył swój urząd królewskiego kaznodziei i tylko na rozkaz swoich przełożonych na nim pozostał. To dowodzi, że przewidywał skutki tego małżeństwa, że się obawiał zagranicznej polityki Zygmunta i jego ścisłych związków z Austryą, że nie chciał takiej reakcyi monarchicznej, jaką przewaga austryacka sprowadzić mogła, że związku i solidarności z interesem Polski nigdy nie stracił, ale jej słuszne obawy i dobre uczucia podzielał. Nawet taki szczegół pokazuje, jak on był Polakiem.

Jakkolwiek nie możemy szczegółowo i dokładnie poznać charakteru Skargi, nie możemy wiedzieć, czy to była natura żywa i wrażliwa naprzykład, albo refleksyjna i powolna, czy udzielająca się lub w sobie zamknięta, albo nie możemy poznać jego sympatyi i upodobań do ludzi, do rzeczy, do książek (a wszystko to są rzeczy bardzo charakterystyczne i do poznania człowieka bardzo pomocne wskazówki), przecież niektóre główne rysy jego duszy przeglądają dość wyraźnie przez jego pisma i mowy. Z nich dochodzi się do pewności niewątpliwej, że był naprzód bardzo dobry, że rzewne miękkie współczucie dla ludzi było mu bardzo właściwe; dalej, był bardzo prosty, *simplex sicut columba*, o sobie nigdy i w niczem nie myślący; trzeźwy przytem bardzo i konieczność świeckiego życia doskonale rozumiejący. On wie, że doskonałość chrześcijańska jest bardzo rozmaita, że się stosuje do obowiązków każdego stanu i powołania; nie żąda oderwania się od świata, wyłącznej i mistycznej pobożności, chce żeby każdy

żył, swoje obowiązki świeckie wypełniał, i był dobrym chrześcijaninem i człowiekiem, nie przestając być dobrym żołnierzem, królem, posłem i t. d. Wielka energia i wielki spokój, najwyższe i najdoskonalsze pojęcie Boga i człowieka, prawa moralnego w świecie i historyi, to wszystko widoczne jest z jego pism. Przytem człowiekiem być nie przestał wcale, nie stał się czystym duchem, którego żadna ziemska boleść nie mogła dotknąć; kiedy oskarżano jego zakon, a choć bezimiennie przecież bardzo wyraźnie jego, że działa na szkodę Rzpltej, że spiskuje przeciw niej, że chce zaprowadzić *absolutum dominium*, on tę krzywdę czuje i nie schyla pod nią głowy, ale odpiera, broni się; jak żywo ją czuł, jak dzielnie i zwycięsko odpierał, świadczy „Próba Jezuitów."

Że nigdy nie podchlebiał, to rzecz wiadoma; a doprawdy nie musi to być rzecz łatwa przeżyć lat trzydzieści na dworze, i nie mieć na sumieniu ani jednego słowa zbytecznej, przesadzonej grzeczności. Największa pochwała, jaką daje Zygmuntowi III, jest ta, że z pociechą patrzy na jego pobożność i prawowierność, na jego przykładny budujący sposób życia. To nie przesada, nie podchlebstwo, to prawdziwe świadectwo, na które Zygmunt zasłużył. O jego synu mówi, że „obiecuje, choć tak młody, piękne przymioty"—i to nie przesada; w pochwałach, jakie oddaje dwom zmarłym królowym, niema jednego słowa konwencyonalnego żalu, ani jednego konwencyonalnego komplementu. Jeżeli ta czystość od podchlebstwa dowodzi wielkiej prostoty, wielkiej prawdy i wielkiej godności w jego naturze, to jest znowu rzecz inna, która dowodzi wielkiej niepodległości w charakterze, może zakonnej pokory, może wysokiego szacunku siebie samego, może jednego z drugiem. Sama dymisya ze swego urzędu, kiedy król stanowczo się skłonił do powtórnego austryackiego małżeństwa, dowodzi niepodległości zdania i charakteru, ale oprócz tej jeszcze inna okoliczność. Oto

przez trzydzieści lat swojego pobytu na dworze, Skarga nigdy o nic nie prosił; raz tylko wyprosił u króla dożywotnią pensyę, chleb łaskawy, dla starego stangreta Wojciecha, który go przez cały ten czas we wszystkich dworskich podróżach woził, a ani razu, jak wspomina to z wdzięcznością, nie przewrócił. Jak musiał być niepodległym dla siebie, a jak delikatnym względem króla, człowiek, który w takiem przy nim stanowisku, mając zawsze przystęp do jego pokoju i ucha, prawie jego sumienie w ręku, wpływu swego raz tylko użył na prośbę, i to dla dobra starego wysłużonego i zapewne ubogiego sługi.

A potem ta święta wielka Skargi pokora i skromność. Mickiewicz, wielki geniusz i wielkie serce, przecież mniema mieć objawienia od Boga, słowa własne podaje, jak gdyby przez Ducha św. natchnione; Skarga, którego słowa tak się sprawdziły, że je dziś za prorocze uważamy, mówi wyraźnie: „ja szczególnego Objawienia nie mam". I co jeszcze ciekawe: Mickiewicz, kiedy zabrnął w mistycyzm i słuchał i czekał objawień, wpadł w wielką pogardę dla świeckiego rozumu, dla nauk, dla ziemskich środków działania. Skarga, naprawdę podobno bliższy Boga i mający więcej prawa mówić o intuicyach i objawieniach, Skarga, u którego mistycyzm byłby łatwym do zrozumienia, naturalnym, Skarga nietylko tem wszystkiem nie gardzi, ale szanuje i wynosi naukę i rozum przy niejednej sposobności, a skrzętne, zabiegliwe chodzenie około spraw ziemskich podaje zawsze jako obowiązek. On nie mówi wodzom i żołnierzom, że Bóg zrobi dla nich cud i da im zwycięstwo: on mówi, że Bóg dopomoże, ale zwyciężyć muszą oni sami, przez męstwo, przez dobre rozporządzenie, przez dobre przygotowanie moralne, ale i taktyczne i administracyjne.

Jak zresztą sam powołanie i stanowisko swoje pojmował, to pokazuje wyraźnie Przedmowa do *Kazań niedzielnych*. Nic piękniejszego, jak to żywe uczucie obo-

wiązku względem Boga i wiary, i obowiązku względem ludzi i ojczyzny. To jest cała historya jego życia, to mogłoby być napisane na jego nagrobku. A historya polska, kiedy sama nad sobą smutno dziś rozmyśla, stwierdza te ostatnie słowa w których on protestuje, że robił, co mógł, a cokolwiek się stanie, on wolny jest od zarzutu. Tak jest: cokolwiek się stało, jego musimy uczynić wolnym od zarzutu. On jest jeden z tych rzadkich, bardzo rzadkich, którzy zrobili wszystko, co mogli, żeby nas od upadku powstrzymać, a nic żeby nas do niego popchnąć; on ze wszystkich upominał najlepiej, prosił najgoręcej, groził najostrzej. Smutny, ale wielki prorok narodowego upadku, stróż najczujniejszy narodowego sumienia, a zatem i dobra Rzpltej, Boga miłujący i o chwałę jego gorliwy jak apostoł, jest tem, czem go nazwał Mickiewicz, ideałem kapłana i obywatela. Woronicz mówi: „Jeżeli chcesz być politykiem, czytaj Skargę, filozofem—czytaj Skargę, mówcą—czytaj Skargę i t. d., bo Skarga jest wszystkiem dla wszystkich". Nie wiem, czy jest wszystkiem dla wszystkich, filozofem, politykiem, historykiem. Ale to pewna, że jeżeli chcesz być porządnym człowiekiem i dobrym Polakiem, służyć Bogu i ojczyźnie, obojgu być wiernym, jak na poczciwego człowieka przystało, to czytaj Skargę. Do tego, w jakimkolwiek czasie i stanie postawił cię Bóg, on ci z pewnością pomoże, teraz, i zawsze, i do skończenia świata.

IV.

Postęp literatury polskiej w wieku XVI. Jej stopień. Jej znamiona. Uczciwość. Cywilizacya Wpływ literatur obcych. Wyższość prozy nad poezyą. Pierwiastki własne i oryginalność. Tendencya patryotyczna i praktyczna. Miłość Ojczyzny. Przeczucia upadku. Wzrost literatury, ale schyłek Rzeczypospolitej. W skutku tego stopniowy schyłek literatury. Brak starania. Bierność. Fałszywa wolność i fałszywa równość. Puścizna na wiek XVII.

Patrząc na literaturę polską, jaką była w początku XVI wieku i jeszcze w jego połowie, a jaką się stała w czasie następnym, zdumieć się trzeba nad ogromnym dokonanym postępem. Zrazu nic, później tak mało, że prawie nic; a po latach stosunkowo niewielu nietylko jest, ale jest świetna. Obejmuje różne gałęzie nauki, wszystkie główne kwestye owego czasu, odbija jego cechy i dążności ogólno-europejskie i specyficznie polskie, zdobywa sobie miejsce i to wysokie, w sztuce, w poezyi; jaśnieje niepospolitymi umysłami i niezaprzeczenie wielkimi talentami. Bez żadnej zarozumiałości narodowej możemy o niej śmiało twierdzić, że w rzędzie współczesnych literatur europejskich nie jest wcale ostatnią, i między innemi starszemi od siebie wydaje się zupełnie dobrze. Niema Szekspira (którego zresztą wieki wydały jednego na cały świat), niema nawet *Jerozolimy wyzwolonej* ani *Orlanda*. Ale we współczesnych Niemczech, nawet we współczesnej Francyi,

nie widzę poety, któryby był Kochanowskiemu równy, i tak jak on przeżył wieki. Wielkich uczonych jest w obcych krajach liczba większa, a sława niejednego z nich przewyższa sławę naszych. Ale Modrzewski ma zalety, przez które może się równać ze statystami zagranicznymi, Orzechowski wydawałby się wszędzie świetnym talentem, Górnicki w każdym języku wykwintnym i rozumnym pisarzem, Heidenstein znakomitym historykiem. Nie widzę zaś w owym wieku takiego Francuza czy Włocha, Anglika czy Niemca, który siłą natchnienia i wymowy był równym Skardze. Te wielkie światła zaś otoczone są znaczną liczbą mniejszych, które wydałyby się jaśniejszemi, gdyby nie były przyćmione przez tamte wielkie. Zważywszy zaś i to jeszcze, że tamte literatury miały za sobą całą pracę, cały podkład wieków, a nasza zaczynała z nowego, a potrafiła dojść tak wysoko, trzeba będzie przyznać jej bardzo niepospolitą siłę i żywotność. Wrodzony instynkt, zbiorowe uczucie narodu dawno uznały, że to wiek złoty naszego języka i piśmiennictwa, i nie pomyliły się. On jest naprawdę bardzo świetny; a choć w trzy wieki po nim był drugi od niego świetniejszy, złotym on był i zostanie zawsze w naszej opinii i w naszej historyi, jak długo nasz język żyć będzie na ziemi.

Gdyby spróbować wybrać i wskazać główne znamiona tej literatury, trzebaby naprzód z chlubą i radością stwierdzić, że ona jest szlachetna, dobra, moralnie zdrowa. W żarcie jest często rubaszna i nieprzyzwoita; w pojęciu świata, człowieka i życia nie jest nigdy zepsuta, przewrotna, nieczysta. Współczesna literatura zagraniczna ma w sobie wiele pierwiastków zatrutych i zabójczych; cynizm ohydny Aretina, Macchiavela cynizm polityczny, sceptycyzm Montaigna, mogły i mogą zawsze psuć, psuły istotnie w owym wieku i człowieka i społeczeństwo. Miłe i wcale wdzięczne a częste *lascywie* (Brantôma naprzykład) mogły źle działać na obyczaje. U nas, cokolwiek mogło być złe-

go w życiu, w literaturze niema nic naprawdę złego. Jest u protestantów namiętność religijna i gwałtowność w napaściach na Kościół; jest u katolików nieraz żart gruby lub sąd niczem nie osłoniony o zgorszeniach w stanie duchownym. Jedno jak drugie wywołane jest oburzeniem na złe rzeczywiste; to oburzenie może być przesadnem, albo wyrażać się nierozważnie, ale tkwi jednak w sumieniu zdrowem, sumienia nie przytępia, nie bałamuci, nie zaprzecza. Znajomość złego i dobrego jest u tych pisarzy zawsze pewna i jasna, i zawsze cześć, miłość, służba dobrego. Oni wszyscy tego chcą, na to piszą, żeby ludzie, żeby Polacy, byli lepsi, niż są: żeby, jak uczy katechizm, „Boga znali, kochali, i Jemu służyli". Jedni pojmują tę służbę po protestancku, drudzy po katolicku; ale wszyscy rzetelnie i szczerze do niej prowadzą, na nią pracują. Pojęcie obowiązku chrześcijańskiego jak obywatelskiego mają wszyscy zdrowe i wysokie, nawet kiedy w praktyce życia (Orzechowski) zasługują na przysłowie „Czyńcie prałacie, jak nauczacie". To moralne zdrowie jest niezaprzeczenie jedną cechą literatury polskiej w wieku XVI (i zostanie taką długo, bez zastrzeżeń i wyjątków). Drugą cechą będzie jej wysoka oświata, jej cywilizacya. Nic nie jest im obcem. Wiedzą wszystko, co wie i umie ich czas; jedni mają umysły głębsze i naukę głębszą, drudzy są więcej powierzchowni, ale ogólna suma czy ogólny poziom wypadają wysoko pod każdym względem, w nauce, czy w kwestyach religijnych i politycznych, czy wreszcie w pojęciu życia towarzyskiego (choć na tem polu różnica była zapewne największa między *Dworzaninem* Górnickiego a ogółem szlachty współczesnej). W rzeczach religijnych, politycznych, społecznych, oni są tak daleko posunięci w cywilizacyi, tak przesiąkli prawdziwą cywilizacyą chrześcijańską, że wyprzedzają — niektórzy z nich — nietylko swój naród, ale swój czas. (Modrzewski w Filaletesie, w księdze o Prawach, w Oracyach o karze na mężobójstwo).

Ta wysoka cywilizacya objawia się w pisarzach jednym jeszcze przymiotem, przed nimi nie widzianym, zmysłem artystycznym. Oni o sztuce z wyjątkiem muzyki, mówią nader mało i muszą o niej mało wiedzieć; nie okazują też zwykłej u artystów wrażliwości na piękność (w naturze naprzykład). A jednak jako pisarze oni są artystami. Z poetów prawda Kochanowski jeden; przed nim chyba Janicki, po nim może Szarzyński. Prozaicy za to i chcą i umieją pisać nie jak Pan Bóg da, ale pięknie. Ta świadomość i wola pięknego pisania daje się poznać nieomylnie z układu i budowy ich pism, z każdego niemal okresu i zdania. Artystą w pisaniu jest i Orzechowski, i Górnicki, i Kromer, i Heidenstein, i niezaprzeczenie choć zapewne mimowolnie Skarga. Posiedli w zupełności sztukę pięknego pisania; mają styl (każdy swój, każdy inny i charakterystyczny), mają biegłość i umiejętność stosowania języka i stylu do przedmiotu. Przez to wszystko dają nam literaturę nie tylko szlachetną, rozumną i dobrą w treści, ale i piękną.

Rzecz prosta, że nie nabyli, nie zdobyli tych przymiotów sami przez się, ale z pomocą całej cywilizacyi wieku, nowoczesnej i wskrzeszonej starożytnej. Ale tu byłoby może miejsce na zapytanie, co oni wyczerpali z obcych, a co dobyli sami z siebie i dodali. Przypomnijmy więc krótko, że cały podkład pojęć filozoficznych jest u nich, jak u wszystkich, przyjęty od starożytnych, (Platon, Aristoteles, najczęściej podobno Cicero i Seneka); dalej, że wszystkie formy, zwłaszcza w poezyi, ale i w prozie z małymi wyjątkami także, są robione z wzorem starożytnych przed oczyma. Literatura religijna, polemiczna, pomaga sobie oczywiście wiadomościami i argumentami zkądkolwiek one przyjdą; protestancka oczywiście głównie z dzieł niemieckich. Ale po za tem, nie znać, żeby współczesne języki i literatury były na nas wiele wpływały. Za Zygmunta Starego widzi się nierzadko przeróbki lub

tłómaczenia z niemieckiego; a satyryczny i tendencyjny dyalog, dyalog Reya, Wita Korczewskiego, aż do późnych Bielskiego, niezawodnie znajdował początkowo pomoc i zachętę w licznych niemieckich satyrach tego typu i kształtu. Ale więcej wpływów niemieckich dopatrzyć się trudno. Że angielskich nie było wcale na literaturę polską, choć mogły się udzielać polskim protestantom, to widoczne. Znajomość tego języka i piśmiennictwa przychodzi do nas bardzo późno, dopiero w XVIII wieku. Francuzi? Ronsard mógł działać na Kochanowskiego przykładem, a podobieństwa niejakie zachodzą między nimi. Ale nie można dojrzeć na naszych Polakach ani wpływu, ani znajomości nawet, czy Montaigna, czy Rabelais, czy Brantôma, czy wreszcie Plejady Ronsarda i jego następców. Włochów oczywiście znali, czytali, podziwiali, i jeżeli z którą literaturą żyjącą, to z włoską ówczesną nasza jest w związku. Że to nie jest tylko związek naukowy, filozoficzny, polityczny, ale i literacki także, dowodzi młodszy o jedno pokolenie Piotr Kochanowski. Ale teraz, w połowie i na schyłku wieku XVI, tego bezpośredniego wpływu Włochów znać mało. Kochanowski trzyma się nierównie więcej starożytnych, niż Petrarki, a nie zapatruje się wcale na Ariosta; i *Dworzanin* zostaje najwyraźniejszem świadectwem styczności tych dwóch literatur. Kto wie zaś, czy nie powinniśmy raczej żałować, że Włosi, a nawet Francuzi, nie działali na nas więcej przez swoją literaturę. Gdyby Rey był znał Rabelais'go naprzykład, może *Wizerunek* byłby pełną życia satyrą, zamiast być ciężkim szeregiem lekcyj i morałów. Satyry Bielskiego, paszkwile Paprockiego miałyby może inną doniosłość i jędrność, gdyby do Polski była doszła znajomość Satyry Menippejskiej naprzykład. Mało skłonności, czy zdolności do abstrakcyjnego myślenia; to zostanie zawsze. Mało fantazyi, nawet u takiego poety, jak Kochanowski; to się zmieni bardzo, choć nie prędko. Uczucia dużo, i dobre;

sposób jego wyrażania poważny, ze skłonnością do retoryki i patetyczności. Ironii mało; dobrego humoru dużo, nieraz dowcip prawdziwy choć gruby, czasem świetny i wykwintny. Często rozwlekłość i powtarzanie się; ale jasność myśli i zrozumiałość słowa zawsze. Piękne okresy Orzechowskiego są widocznie na rzymskich pisarzach wyrobione, a prawdopodobnie wszyscy zapatrywali się na ulubionego nad wszystko Cicerona. Ale którego ze starożytnych prozaików dałoby się uważać za wzór tego stylu jaki ma Górnicki, jaki ma w innym rodzaju i tonie Skarga, nie widzę.

Widoczna jest i obiecująca przewaga prozy nad poezyą w tej literaturze. Znakomity poeta tylko jeden, znakomitych prozaików, na różnych polach, wielu. Z tego sądząc, możnaby wnosić, że rozwaga i myśl były w tym narodzie czynniejsze, silniej rozbudzone, niż wyobraźnia lub uczucie; a z tego wniosku możnaby znowu wróżyć mu w przyszłości dojrzałość świadomej i statecznej woli. Wniosek i wróżba byłyby mylne; historya współczesna i późniejsza dowodzi na nieszczęście, że ta przewaga myśli nad wrażeniem i popędem, choć była w literaturze tego wieku, nie była w społeczeństwie polskiem. Jednak zapisać ją należy na zaszczyt tej literatury; bo z pewnością rozwój jej wszechstronny, równomierny, poezya i proza razem dochodzące do najwyższych możliwych szczytów, stanowią dopiero literaturę zupełną, chwalebną, jej zadanie i jej cel. Ale z dwojga lepiej jest każdemu narodowi mieć świetną prozę, niż świetną poezyę; ta olśniewa, porywa i cieszy nierównie więcej, ale tamta z natury swojej bywa jędrniejsza, hartowniejsza, bardziej męska, i więcej niż poezya może kształcić, wyrabiać, wychowywać jędrne, zdrowe, tęgie umysły i społeczeństwa, świadome warunków swego bytu i swoich celów.

Wiadoma jest i do zbytku powtarzana prawda, że literatura polska XVI wieku bierze bardzo znaczną część swoich myśli i pojęć, jak swoich form, ze wspólnego

wszyskim gruntu, z puścizny starożytnych. Stwierdza to nasza poezya jak nasza proza, we wszystkich swoich kierunkach i gatunkach. Ale jeżeli tak jest, toć cóż w tej literaturze będzie naszem własnem, oryginalnem, polskiem? Czem się ona różni od innych, i co posiada takiego, czego inne nie mają? Słowem, czy do wspólnego zasobu dodaje i przynosi ona coś, czego od innych nie wzięła?

Nie potrzebujemy się o nią bać. Pomimo wszystkiego, co mogła pożyczać lub naśladować, ma ona w swojej istocie i w swoich kształtach rodzimego własnego pierwiastku i charakteru dosyć; a nieraz może się i pochlubić pojęciami, pomysłami, jakich się gdzieindziej nie znajdzie.

Jedną oznaką tej rodzimości, jeżeli nie zupełnej oryginalności, jest wrodzona właściwość i zdolność zapewne tylko instynktowa, przenoszenia na swój grunt, stosowania do swoich potrzeb, tych prawd i nauk, jakie pisarze XVI wieku znajdowali u innych. Wszyscy ilu ich jest, od tych co dla dogodności czytelnika polskiego tłomaczą *Żywot Jezusa*, a dla zabawy tego czytelnika *Rozmowy Salomona z Marcholtem*, aż do Kochanowskiego i jego epigonów, aż do Skargi, wszyscy bez wyjątku o polskiem społeczeństwie myślą, dla niego piszą, jego stosunki i prawa, jego potrzeby, jego naprawę moralną czy polityczną, mają na oku i celu. Ta służba praktyczna, to ściąganie wszystkiego do polskiego narodu lub państwa, jest ich niezaprzeczoną wspólną charakterystyczną cechą—ich naturą. Bardzo być może, że ta właściwość wychodzi poniekąd na złe ich wartości ogólnej, dla wszystkich, i ich sławie. Modrzewski byłby może tak znanym i pamiętanym jak Bodin, gdyby był pisał o *Rzeczach Pospolitych*, nie zaś o *Poprawie Rzeczypospolitej Polskiej*; dzieła Skargi miałyby może taką w Kościele powagę, jak ma do dziś dnia *Konfessya* Hozyusza, gdyby mniej tych zwrotów i przystosowań do rzeczy polskich, i gdyby nie język nie-

znany. Tymczasem fakt jest, że z wyjątkiem dzieł ściśle teologicznych, jak właśnie *Konfessya*, oni zawsze piszą tylko o Polsce i dla Polski. Może jest w tem szkoda dla uniwersalnego znaczenia, ale jest także dowód dwóch rzeczy bardzo dobrych: wielkiej miłości ojczyzny naprzód, a potem trafnego pojęcia obowiązku, tego, które wskazuje, że dobre, jakie się ma i chce robić, trzeba robić naprzód w swoim najbliższym zakresie, u swoich, na swoich, przez swoich. Żaden z nas nie będzie nigdy odpowiadał za to, czy jest lepiej czy gorzej we Francyi lub w Niemczech; każdy będzie w jakiejś mierze odpowiadał za to, czy będzie lepiej albo gorzej w Polsce. Ta zaś cecha i dążność, u nich powszechna, sprawia, że w dziełach swoich, jakakolwiek jest ich treść i forma, oni zawsze rzucają wiele światła na stan swojego społeczeństwa, na jego obyczaj, oświatę, usposobienia; przez to zawsze, pomimo zależności od starożytnych lub naśladowania, wybijają na swoich dziełach piętno najoczywiściej, najprawdziwiej, najzupełniej polskie. Za wymowny przykład służyć może *Odprawa Posłów*; treść, forma, wiele ustępów, wzięte wprost ze starożytnych. Ale opowiadanie Posła, ale liczne i wyraźne, choć niby osłonione, alluzye ożywiają naśladowane dzieło własnym duchem i nadają mu odmienny oryginalny charakter. Tej oryginalności w pożyczonych formach i nawet treściach, dowodów jest wiele; jest takim przecie takie przerobienie jak *Wizerunek* Reya, takie tłómaczenie jak *Dworzanin* Górnickiego. Na Kochanowskiego słyszy się czasem żale i skargi, że naśladował za wiele, a szczegółowa analiza nie przepuściła jednemu wierszowi, jednej myśli zapożyczonej. Ale czy naprzeciw tej analizy nie dałoby się, i nie należało przedsięwziąć drugiej, wykazującej, ile jest własnego pomysłu i wynalazku, w pieśniach, we Fraszkach, w Sobótce, w Trenach (pomimo mitologicznej przyprawy) i w samych nawet Psalmach, choć one są tylko przekładem.

Niezaprzeczenie także rysem charakterystycznym tej literatury jest jej tendencya, reformatorska, moralizująca. Nie wchodzimy w to, czy ona jest potrzebna czy nie potrzebna, dobra czy zła, w dziełach sztuki, w poezyi. Stwierdzamy tylko, że cała niemal literatura XVI wieku, nawet w wielkiej mierze poezya, ma ten charakter i że, ile wiemy, nie ma go w mierze równej żadna ze współczesnych literatur. Może to źle, może to szkoda; ale nam się zdaje, że tak nie jest, że to owszem dowód i znamię szlachetności tej literatury, patryotyzmu i wysokiego zamiaru tych pisarzy. I otóż zaraz odpowiedź na pytanie, czem się literatura różni od innych w tym samym czasie. To różnica jedna z najwyraźniejszych i największych. Może nie dość znamy literatury obce, ale ile je znamy, to nie widzimy między niemi ani jednej, któraby o swoją ojczyznę tak dbała, tak ją ustawicznie i tak namiętnie wzywała do myślenia o sobie, tak jej radziła mądrze, jak ta. W tych radach nie zawsze znajdzie się wszystko, co było potrzebnem; ale, obejmując okiem nie szczegóły, tylko ogół, musi się przyjść do przekonania, że braknie mało czego, i że gdyby nasza dawna Rzeczpospolita była lepiej swoich pisarzy rozumiała i słuchała, to dziś stałaby inaczej. Jest w tem nawet powód do uczucia bardzo bolesnego, do strachu. Nie było podobno narodu, któremu by tak bez ustanku i tak dobrze powtarzane było, co jest winien ojczyźnie, co ma robić, żeby i przed Bogiem nie zgrzeszył i ojczyzny nie zgubił. Przypomina się groźba, zawieszona nad tymi, co z dobrych rad korzystać nie chcieli, spełniona na Jerozolimie kamienującej proroki, i z trwogą obraca się w głowie pytanie, czy my także nie wzgardziliśmy łaską, która nam ciągle, uporczywie towarzyszyła, a niemal się nam narzucała i wpraszała.

Zdaje nam się—może mylnie—że większa miłość ojczyzny i troskliwsza o nią dbałość jest jedną różnicą między literaturą naszą a innemi. W tej miłości z niej

poczęły się myśli, które i Polsce pomódz mogły, i innym mogły służyć za przykład i naukę. Nie mamy pretensyi ani prawa wynosić się nad innych, ale zdaje nam się, że nasi Polacy w wieku XVI (nasi pisarze), rozumieją naturę, warunki, granice, i wolności i organicznego składu społeczeństw lepiej, aniżeli obcy. Zniesienie jurysdykcyi pana nad poddanym, jedno prawo dla wszystkich, powtarzane nieraz żądanie podatków powszechnych, żądanie prawa posiadania ziemi, zatem piastowania urzędów dla mieszczan, najgorętszy z obrońców katolicyzmu, Skarga, przyznający różnowiercom nietylko wolność wyznania, ale równość w prawach politycznych i przyjaźń w prywatnych towarzyskich stosunkach, to są myśli, pojęcia, uczucia, które się w wieku XVI nie wszędzie i nie łatwo znajdą. I te mamy na pamięci, kiedy twierdzimy, że literatura polska nie wszystko czerpała od innych, że z siebie samej brała i do wspólnego skarbu dodawała niejedno, co należało najbliżej, najistotniej, do prawdziwej i chrześcijańskiej cywilizacyi.

Z miłości ojczyzny wreszcie pochodzi najosobliwsza, najbardziej własna cecha tej literatury: jej strach o Rzeczpospolitę, jej przeczucie upadku. Jest ono w czasach świetności tak dziwne, że niektórzy prawie w nie uwierzyć nie mogą i pytają, czy te powtarzające się trwogi nie są także naśladowaniem, mianowicie naśladowaniem Rzymian, z tą różnicą, że Rzymianie mieli powód obawiać się o Republikę nachyloną do upadku, a Polacy za Jagiellonów, za Batorego, nie mieli czego drżeć przed upadkiem ojczyzny, który był daleki, a dał się przecie uniknąć i odwrócić? Nie trzeba tych obaw brać do serca tak bardzo i tak tych pisarzy podziwiać, lub żałować, bo oni się nieraz przecie w swoich przewidywaniach mylą: widzą powody i groźby upadku w czemś, co się nie stało, albo co się właśnie podług ich myśli zmieniło (naprzykład Orzechowski i jedność religijna). A więc zachodzi nieraz brak logicznego

związku między przyczyną a skutkiem, zatem i złe przeczucie musiało być urojonem, nie rzeczywistem.

Tylko że w przeczuciach właśnie ścisłej logiki szukać nie trzeba i nie można. One są z natury swojej niejasne; instynkt ostrzega, że coś złego stać się może, ale myśl, refleksya, szuka tego nieszczęścia gdzieśindziej, nie tam, zkąd ono przyjdzie. Stwierdza się to zwykle na przeczuciach ludzi; boją się trafnie jakiegoś nieszczęścia, ale przypuszczają nie to, lub nie tak, jak na nich spadło. Z przeczuciami zbiorowemi może być podobnie. Orzechowski myli się, kiedy protestantyzm swego czasu uważa za powód upadku, którym grozi, ale rozbiór Polski przez sąsiadów przewiduje i nie dla frazesu, nie dla efektu, ale z głębi i w goryczy swego serca szczerze mówi „Byś serce moje rozkroił, nic w niem nie znajdziesz, tylko to jedno słowo: Zginiemy!”

Tego nie zaprzeczymy, że się ich groźby sprawdziły, spełniły; że rozbiór Polski był.

Kiedy się więc widzi, że oni wszyscy, przez wiek prawie cały, boją się zguby, a wołają o ratunek, cóż można myśleć? Okoliczności tej zguby może widzieli niejasno, choć i te czasem oznaczają z precyzyą dziwną, kiedy mówią, że Moskwa zagarnie Litwę, a cesarz kraje sobie przyległe. Ale fakt zguby, rzecz główną, przewidują trafnie, i w tem się nie mylą. Że zaś przewidują prawie wszyscy, przynajmniej wszyscy znaczniejsi, od Krzyckiego aż do Skargi, cóż można innego przyjąć i przypuścić, jak, że mają instynkt, zbiorowe a trafne przeczucie nieszczęścia. Mają je z miłości ojczyzny, mają z tego zmysłu zachowania życia, wrodzonego każdemu stworzeniu, ale mają naprawdę, i naprawdę cierpią tym strachem i dręczą się.

Tej cechy nie znajdziemy w literaturze żadnego narodu. Żaden bo takiego losu nie doznał, takiej przyszłości przed sobą nie miał. I to jest dopiero najosobliwsza, najbardziej własna cecha literatury polskiej, najwznioślejsza, a zarazem tragiczna. Ona także jest

jedną różnicą między nami a innymi narodami, między naszymi a ich pisarzami. I ona, kiedy dochodzi do swojej najwyższej mocy, wydaje zjawiska, wyjątkowe potęgi i natchnienia: jak Skarga.

Literatura poszła ogromnie w górę przez ciąg XVI wieku; ale Polska na odwrót zeszła na dół. Pomyślne warunki, wiele obiecujące stanowisko, jakie miała w wieku XV, zmieniło się bardzo, a na gorsze. Nie literatura temu winna. Ona, jak była skutkiem i oznaką wznoszenia się wyżej, tak mogła być, i chciała, silną dźwignią dalszego i coraz wyższego postępu. Ale między teoryą, jaką jest słowo pisane, a praktyką, jaką było życie, zwłaszcza publiczne, wielka jest różnica i odstęp. Teorya jest mędrsza i lepsza od praktyki; a ta ostatnia nie przejmuje się tamtą i do niej nie stosuje. Dlaczego? Musiało prawdopodobnie być tak, że wyborowe najwyższe umysły, górowały bardzo nad poziomem ogółu, a między tą warstwą najwyższą, a tą ogólną średnią, nie było ogniw łączących, nie było ludzi zdolnych i chętnych przejąć się myślami Modrzewskiego lub Skargi i myśli te podawać dalej, rozszerzać je po województwach i powiatach, zaszczepiać w umysłach braci szlachty. To, co Szujski mówi o wielkich ludziach, że marnieją, kiedy nie mają otoczenia, środowiska zdolnego i gotowego zrozumieć ich i popierać, prawdą jest także o dobrych myślach i radach. Każdy zasiew musi zawsze padać w znacznej części między ciernie i kamienie; ale może padać i na dobrą rolę także i wydać plon. U nas w wieku XVI tej roli dobrze uprawionej, przysposobionej do przyjęcia ziarna, starannie plewionej z chwastów, musiało być za mało; i dlatego plon z zasiewu literatury nie zeszedł tak, jak był mógł i był powinien. Nie pod względem politycznej naprawy i potęgi tylko, ale nawet pod względem oświaty i umiejętności dobrego pisania. Literatura bardzo szybko i bujnie rozwinięta, rychło opada i więdnie. Co do poezyi jeszcze można to tłomaczyć powodami

przypadkowymi, nie zależnymi od ludzi: nikt temu nie winien, że po Kochanowskim nie przyszedł drugi talent równy albo wyższy. Ale to wyczerpanie z sił i głębszej myśli, ten brak znakomitszych pisarzy i większych pomysłów w prozie, ten dowodzi, że zabrakło owego środowiska, owej uprawionej roli, o których wyżej: że odległość była duża między społeczeństwem a jego literaturą z drugiej połowy XVI wieku, że ono stało od niej znacznie niżej i tego odstępu nie czuło, nie starało się iść w górę. Pod koniec XVI wieku można uważać u nas wzrost jednej skłonności czy własności niedobrej, której w wieku XV nie znać, która przez większą część XVI nie wychodzi na wierzch. Burzliwość, namiętność, gwałtowność, to cecha naszych ówczesnych dążności i sporów, religijnych czy politycznych. Ale zaledwo te się uciszyły, występuje zaraz bierność, jakaś wygodna skłonność do przestawania na tem, co jest, do miłego wczasu i używania. Miękkość, czy lenistwo? Dość, że powstaje jakiś kwietyzm i konserwatyzm zaślepiony a uparty, który w historyi pozwala czasem na bohaterski poryw, nigdy na stałe i stateczne działanie; w literaturze i oświacie przestaje na tem, co ma, a nie troszczy się o więcej.

Do tego usposobienia, które musi nam być wrodzonem, bo powtarza się bardzo, a przezwycięża trudno, dodał schyłek XVI wieku jeden pierwiastek szkodliwy i zły, podziwienie siebie samych, narodową zarozumiałość. Zdawało nam się, żeśmy rozwiązali najtrudniejsze z zagadnień, wynaleźli kamień filozoficzny, stworzyli i zaprowadzili doskonałą formę rządu. Uwierzyliśmy, że jesteśmy jedynym na świecie narodem wolnym, i uwierzyliśmy w swoją nad innymi wyższość. Ta zarozumiałość, to zakochanie się w sobie, musiało rozwinąć w nas wrodzoną bierność, miękkość, kwietyzm. Tylko nic nie tykać, nic nie zmieniać, bo wszystko jest doskonałe, najdoskonalsze jak być może! Takie usposobienie zaś raz wszczepione, nie zatrzymuje się na

samem życiu publicznem i praktycznem, ogarnia stopniowo wszystkie kierunki życia; a rok 1573 zaszkodził nietylko polskiej polityce i państwu, ale także i polskiej oświacie, polskiej literaturze, bo zaraził ją także przestawaniem na tem co jest, a niedbałością o to lepsze co być może, biernością, brakiem przedsiębiorczości i pracy. Z tego niewątpliwie wynika ten dyletantyzm, ten brak starania i pracy, który się pokaże rychło w wieku XVII, a sprawia, że talenty zupełnie niezwykłe nie napiszą nic naprawdę i zupełnie dobrego, że trafne a czasem śmiałe i piękne pomysły marnieją w słabem wykonaniu. Za dowód może wystarczyć fakt, że zapał do nauk, żądza oświecania się, tak widoczna, szlachetna i skuteczna w wieku XV i przez większą część XVI, teraz słabnie. Wypaliła się, zgasła; indywidua uczą się i kształcą, jeżeli chcą, ale ogół zostaje na miejscu, nie postępuje.

Oprócz tego zaszczepił w nas wiek XVI, czy rozwinął, w każdym razie zostawił po sobie, fałszywe pojęcie wolności. Może ono nie było nam wrodzone, bo nie znać go w wieku XV; ale zakorzeniło się silnie, bo w XIX jeszcze w nas tkwi, jak zatruta strzała w ciele rannego. Wolność zrozumiana jako największa możliwa, jako niemożliwa, niezależność jednego indywiduum; prawo jest tej niezależności ograniczeniem, władza jest jej niebezpieczeństwem i wrogiem; podejrzenie i opór jest obroną wolności, obowiązkiem obywatela, próbą i dowodem jego cywilnej odwagi. Że takie pojęcie wolności prowadziło nas prostą drogą, logicznie, do *Liberum Veto*, to jasne; a gdzie nas doprowadziło, to wiemy. To nieszczęście zaś rozwijało się przez ciąg XVI wieku, uprawiało stopniowo rolę, a dojrzało i rozsiało się w roku 1573. Że ono wydało plon, to wiemy.

Dalszem, tego blizkiem, a nie mniejszem złem, było nasze pojęcie równości. Równości wszystkich ludzi przed Bogiem i prawem, tej rzeczywistej, zbawien-

nej i koniecznej, nie rozumieliśmy i nie zaprowadzili. Ale rozkochaliśmy się w pozornej i ułudnej równości znaczenia, która nigdy rzeczywistą nie była, nie jest i być nie może, a wiodła u nas, jak wszędzie, do wielkiego oszukania i tej umiłowanej mniemanej równości, i tej wolności, o którą byliśmy tak zazdrośni. Cieszyły nas pozory głosowania powszechnego na sejmikach i na elekcyjnych sejmach, a to nam nic nie szkodziło, że na jednych jak na drugich, rozstrzygał zawsze jakiś możny wpływ, zamieniający mniemaną wolność i mniemaną równość w marny pozór, blichtr, komedyę. Demokracya szlachecka, wyrobiona i ustalona w wieku XVI, była demokracyą fałszywą. Nie dlatego tylko, że była wyłącznie szlachecką, stanową: ale dlatego, że była skrzywioną w samej swojej istocie i naturze. Była naprzód wielką nieprawdą, bo przestawała na pozorach, nie dbając o treść; była potem pierwiastkiem rozkładu i anarchii przez podejrzliwość względem wszelkiej władzy i wszelkiej wyższości, przez zazdrość. Rzecz prosta i nieunikniona, że z takiego usposobienia musiał korzystać, i zawsze też korzystał, demagog, wichrzyciel, w dawnej Polsce arystokratyczny, w porozbiorowej każdy. Kiedy społeczeństwo jakie przestaje lub nie chce być organicznym składem części różnych, równomiernych a połączonych jednem prawem i wspólnem życiem, kiedy uważa się za mechaniczną sumę jednostek lub stanów, tam organizm się rozprzęga, traci jedność, wspólność i kierunek, a władzę nad niem przypadkową na pewien czas, bierze pierwszy lepszy zręczny czy szczęśliwy. U nas było to o tyle łatwiejszem, że przez dziwną jakąś sprzeczność, mamy w sobie instynkty demokratyczne, egalitarne, ale obyczaj bardzo arystokratyczny. Mamy niechęć, zazdrość do urzędowego stanowiska, do władzy, nawet do wyższości; ale mamy uszanowanie wielkie, zbyteczne, czasem bałwochwalcze, dla pozycyj towarzyskich i nazwisk, bez względu nawet na wartość osób. To złe, to zgubne uspo-

sobienie czy przyzwyczajenie wyrobił w nas znowu wiek XVI. Zostawiał nam z jednej strony fałszywą demokracyę i zaślepione do niej przywiązanie, z drugiej arystokracyę tem więcej skłonną do wichrzenia, że pozbawioną prawnej stałej podstawy, zatem utrzymującą się przy znaczeniu sztukami, zuchwałą względem króla, zazdrosną względem znaczących i wyniesionych, zręczną względem tej opinii publicznej, na której grali jak na klawiszach Kmitowie i Zborowscy, a po nich inni.

Tak być musiało. „Taki rząd *popularitates* musi mieć swoje króliki", jak mówi Skarga, a u nas właśnie, jak znowu mówi Górnicki „*populus* wziął rząd na się... co dalej będzie, Bóg sam to wie". *Populus* wziął rząd na się, ale sam rządzić ani umiał ani chciał, a drugiemu tylko rządzić nie dawał. Ztąd ta u królów smutna, może konieczna, ale zgubna praktyka, rządzenia sztukami, wybiegami, konspiracyjnego poniekąd działania, bo myśl nieraz zdrowa i zbawienna dla Rzpltej, prostą, jawną drogą wykonać się nie dawała; ale praktyka, która znowu musiała podniecać i podżegać dyfidencye i niechęci.

Takie zmiany na gorsze zostawił po sobie wiek XVI w naszym stanie wewnętrznym, i w naszem usposobieniu, pomimo swojej świetnej literatury, i wbrew jej. Wiek XVII rozwinie zarody złego do wyższej potęgi, a literatura już ich w tej mierze, z tą siłą, wskazywać i wstrzymywać nie zdoła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DZIEŁA I ROZPRAWY

używane przy pisaniu tomu pierwszego.

Historya.

Bobrzyński. Dzieje Polski w zarysie. 3 wyd. Warszaw 1887.

Szujski. Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane. Lwów 1862—66, 4 tomy.

— Historyi polskiej treściwie opowiedzianej, ksiąg dwanaście. Warszawa 1880.

— Opowiadania i roztrząsania historyczne. Kraków 1876—82. 2 serye.

Smolka. Mieszko Stary i jego wiek. Kraków 1881.

Szujski. Odrodzenie i reformacya w Polsce. Kraków 1881.

Zakrzewski. Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce. Lipsk 1870.

— Po ucieczce Henryka. Kraków 1878.

Pawiński. Rządy sejmikowe w Polsce. Warszawa 1888.

Rembowski. Konfederacya i rokosz. Warszawa 1896.

Szkoły. — Oświata.

Łukaszewicz. Historya szkół w Koronie i w W. Ks. Litewskiem. Poznań 1849-51. 4 t.

Małecki. Klasztory i zakony w Polsce w obrębie wieków średnich. Lwów 1875 (*Przewodnik nauk. i liter.*).

Windakiewicz. Padwa, studyum z dziejów cywilizacyi polskiej. Kraków 1891 (*Przegląd Polski*).

— Materyały do historyi Polaków w Padwie. Kraków 1891. (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. VII).

— Bolonia i Polska.

Karbowiak. Dzieje wychowania w Polsce w wiekach średnich. 1 cz. Kraków 1896.

Brückner. Kazania średniowieczne. Warszawa 1891 i 92. (*Biblioteka Warszawska*).

— Średniowieczna poezya łacińska w Polsce. (*Rozpr. Wyd. filolog.*, t. 16, 22, 23).

Bibliografia i historya literatury.

Estreicher. Bibliografia polska. Kraków 1870—90. 11 t.
Wiszniewski. Historya literatury polskiej. Kraków 1840—57. 10 t.
Mickiewicz. Literatura słowiańska wykładana w Kolegium francuskiem. Poznań 1865. 4 t.
Bartoszewicz. Historya literatury polskiej. Warszawa 1861.
Spasowicz. Dzieje literatury polskiej. 3 wyd. Kraków i Warszawa 1891.
Chmielowski. Historya literatury polskiej.
Brückner. Geschichte der polnischen Literatur.
Dzieje literatury polskiej (tom pierwszy).

Polskie zabytki średniowieczne.

Nehring. Altpolnische Sprachdenkmäler. Berlin 1887.
Bruchnalski. Legenda aurea. Kraków 1885.
Kawczyński. O początkach poezyi polskiej. Lwów 1889. (*Kwar. histor.*).
Bobowski. Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku. Kraków 1893.
Brückner. Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. V. Wiersze polskie średniowieczne. Warszawa 1893. (*Bibliot. Warszaw.*).
Nehring. Początki poezyi dramatycznej w Polsce. Poznań 1887. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XV).
Zeissberg. Dziejopisarstwo polskie wieków średnich. Warszawa 1877. 2 tomy.

Gallus.

Gumplowicz. Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Chronist. Wien 1895. (*Sitzungsber. der K. Akad. der Wissensch. Philos.-histor. Classe*, Bd. 132).

Kadłubek.

Bielowski. Mistrz Wincenty. Lwów 1863. (*Bibl. Ossolińskich*). t. II.

Baszko.

Małecki. Kronika Baszka czyli t. zw. Kronika Wielkopolska. Lwów 1894.
Kętrzyński. O kronice wielkopolskiej. Kraków 1896. (*Rozp. Wydz. histor.-filozof.* t. 33).

Czarnkowski.

Kubala. Jan Czarnkowski i jego kronika. Warszawa 1878. (*Bibl. Warsz.*).

Grzegorz z Sanoka.

Seredyński. Grzegorz z Sanoka. Kraków 1867. (*Przegląd Polski*).

Długosz.

Szujski. Stanowisko Długosza w historyografii europejskiej. Kraków 1880.

Semkowicz. Krytyczny rozbiór Dziejów polskich Jana Długosza. Kraków 1887.

Bobrzyński i *Smolka.* Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie. Kraków 1893.

Ostroróg.

Jarochowski. Jan Ostroróg. Warszawa 1883. (*Niwa*).

Pawiński. Jana Ostroroga życie i pismo o naprawie Rzpltej. Warszawa 1884. (*Biblioteka Umiejętności prawnych*).

Rembowski. Jan Ostroróg i jego memoryał wobec historyi prawa i nauki politycznej. Warszawa 1884. (*Niwa*).

Bobrzyński. Jan Ostroróg. Studyum z literatury politycznej XV wieku. Kraków 1885. (*Pamiętnik Akad. Umiej. Wydz. filolog. i histor.*).

Caro. Jan Ostroróg i traktat jego o naprawie Rzpltej. Kraków 1885.
(*Pamiętnik Akad. Umiej. Wydz. filolog. i histor.* t. IV).

Małecki. Kiedy powstał memoryał Ostroroga. Lwów 1887. (*Kwart. hist.*).

Callier. Ostroróg, monografia w głównych zarysach. Poznań 1891. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XVIII).

Lewicki. Dwa przyczynki do życiorysu Jana Ostroroga. Lwów 1891. (*Kwart. hist.*).

Galle. Jeszcze o Ostrorogu. Warszawa 1898. (*Ateneum*).

Paweł z Brudzewa.

Balzer. Przedmowa do wydania Tractatus Zawisza de Góra. (*Monumenta Poloniae historica,* t. IV).

Bobrzyński. Przedmowa do wydania Tractatus de potestate Papae et Imperatoris (*Starodawne prawa polskiego, pomniki* t. V).

Zaborowski.

Bobrzyński. Stanisław Zaborowski. Lwów 1877. (*Przew. nauk. i liter.*).

Paweł z Krosna i Jan z Wiślicy.

Kruczkiewicz. Przedmowa do wydania pism w „Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum". Kraków 1887. t. II.

Jezienicki. Wpływ klasycznych poetów rzymskich na Jana z Wiślicy. Kraków 1891. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XIV).

Witkowski. Jan z Wiślicy, jego życie i pisma. Lwów 1891. (*Przew. nauk. i liter.*).

Krzycki.

Węclewski. O poezyach Andrzeja Krzyckiego. Kraków 1874.

Droba. Andrzej Krzycki jako pisarz i polityk. Kraków 187 (*Przeg. Polski*).

Morawski. Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum (przedmowa). Kraków 1888. t. III.

Dantyszek.

Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1865, t. I.

Finkel. Poselstwa Jana Dantysza. Lwów 1879.

Janicki.

Węclewski. Wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezyj Klemensa Janickiego. Warszawa 1869.

Windakiewicz. Siedm dokumentów do życia Janickiego. Kraków 1890. (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. VII).

Ćwikliński. Klemens Janicki, poeta uwieńczony. Kraków 1893. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XVII).

Modrzewski.

Ossoliński. Wiadomości historyczno-krytyczne, t. IV. Lwów 1852.

Małecki. Andrzej Frycz Modrzewski. Lwów 1864. (*Biblioteka Ossolińskich* t. V).

Knapiński. Andrzej Frycz Modrzewski, pisarz XVI wieku, jako teolog. Warszawa 1881.

Orzechowski.

Ossoliński. Wiadomości historyczno - krytyczne t. III. Kraków 1822.

Kubala. Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzpltę. Lwów 1870.

Korzeniowski. Orichoviana. Opera inedita et epistulae Stanislai Orzechowski. Kraków 1891.

Rey.

Tyszyński. Wizerunek Mikołaja Reya. (*Wizerunki polskie*). Warszawa 1875.

Ptaszycki. Mikołaj Rey i ks. Józef Wereszczyński. Wilno 1880.

Bruchnalski. Mikołaja Reya Żywot Józefa w stosunku do literatury obcej. Lwów 1886. (*Muzeum*).

Nehring. Die dramatisirte Geschichte Josephs von Rey. Berlin 1886. (*Archiv für slaviche Philologie*, t. I).

Kniaziołucki. Materyały do biografii Mikołaja Reya z Nagłowic. Kraków 1892.

Chlebowski. Mikołaj Rey w świetle nowych świadectw. Warszawa 1893. (*Ateneum*).

Chrzanowski. Zwierzyniec Mikołaja Reya z Nagłowic. Warszawa 1893. (*Ateneum*).

Chrzanowski. Facecye Mikołaja Reya. Kraków 1894. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XXIII).
Windakiewicz. Wielcy pisarze polscy. I. Mikołaj Rey z Nagłowic. Kraków 1895.
Leciejewski. Zapatrywania Mikołaja Reya na wychowanie. Poznań 1897. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk* t. XXIV).
Pyszkowski. Mikołaj Rey's Wizerunek und M. Palingenius *Zodiacus Vitae.*

Górnicki.

Czarnik. Łukasz Górnicki. Lwów 1882. (*Przew. nauk. i liter.*).
Loewenfeld. Lucas Górnicki, sein Leben und seine Werke. Wrocław 1884 (przekład polski: Warszawa 1884).
Ptaszycki. Łukasz Górnicki, kilka nieznanych szczegółów z życia. Warszawa 1886. (*Bibl. Warsz.*).
Windakiewicz. Kilka szczegółów o Łukaszu Górnickim i jego rodzinie. 1887. (*Bibl. Warsz.*).

Kochanowski.

Przyborowski. Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. Poznań 1857.
Szujski. Treny na śmierć córki Jana Kochanowskiego i Ojciec zadżumionych J. Słowackiego. Kraków 1866.
Faleński. Treny Jana Kochanowskiego. Warszawa 1867.
Gacki. O rodzinie Jana Kochanowskiego. Warszawa 1869.
Loewenfeld. Jan Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen. Poznań 1877.
Plenkiewicz. Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań. Warszawa 1878. (*Ateneum*).
Parylak. O pieśniach Jana Kochanowskiego. Lwów 1879.
— O elegiach i odach łacińskich Jana Kochanowskiego. Lwów 1880.
Rymarkiewicz. Kolebka, dom i grób Jana Kochanowskiego. Poznań 1880.
Faleński. Fraszki Jana Kochanowskiego. Warszawa 1881. (*Biblioteka Warsz.*).
Morawski. Kilka słów o „Satyrze". Warszawa 1882 (*Ateneum*).
Krystyniacki. M. T. Cicerona tłómaczenie Arata przez Jana Kochanowskiego. Lwów 1883.
Kallenbach. Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego. Kraków 1883.
— Kilka słów o elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego. Kraków 1883.
Rymarkiewicz. Pieśń świętojańska o Sobótce. Poznań 1884.
Morawski. Z życia towarzyskiego w epoce Zygmunta Augusta. Kraków 1884. (*Przegląd Polski*).

Kallenbach. Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim. Warszawa 1884. (*Ateneum*).
Małecki. Jana Kochanowskiego młodość. Kraków 1884. (*Przegl. Polski*).
Bobrzyński. Stanowisko polityczne Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Gasztowtt. Poezya europejska XVI wieku w stosunku do Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Pawlikowski. Kilka słów o stosunku Kochanowskiego do Tibulla (*tamże*).
Blatt. Spostrzeżenia nad językiem Jana Kochanowskiego (*tamże*).
— Archaizmy w języku Jana Kochanowskiego. Kraków 1884.
Nehring. Treny Jana Kochanowskiego. Poznań 1884. (*Studya*).
— Odprawa posłów Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Chlebowski. Jan Kochanowski w świetle własnych utworów. Warszawa 1884.

W „wydaniu pomnikowem" (Warszawa 1884) objaśnienia językowe, krytyczne i historyczne:
Kryńskiego (Psałterz),
Włoszka i *Plenkiewicza* (Pieśni),
Chmielowskiego (Sobótka),
Plenkiewicza (Muza),
Morawskiego i *Nehringa* (Odprawa i Satyr),
Loewenfelda (Treny i łacińskie utwory),
Bądzkiewicza (Proporzec),
Pawińskiego (Jazda do Moskwy),
Przyborowskiego (Fraszki),
Łagowskiego (Fragmenty).

Parylak. Jana Kochanowskiego Treny. Lwów 1885.
Windakiewicz. Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich. Warszawa 1885.
— Życie dworskie Jana Kochanowskiego. Kraków 1885.
Kalina. Pieśń świętojańska o Sobótce. Kraków 1885.
Windakiewicz. Pobyt Kochanowskiego zagranicą. Kraków 1886. (*Rocznik filarecki*).
Chmielowski. Sobótka. Kraków 1886. (*Studya i szkice* t. I).
— Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Bełcikowski. Jan Kochanowski. Warszawa 1886. (*Ze studyów*).
Ziemba. Piotr Ronsard. Kraków 1886.
Kallenbach. Flozofia Jana Kochanowskiego. Kraków 1888. (*Przegląd Polski*).
Brückner. Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego. Warszawa 1891. (*Ateneum*).
Sas. Przyczynek do poezyi polsko-łacińskiej XVI wieku. Kraków 1892. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XVIII).

Plenkiewicz. Geneza i rozbiór Odprawy posłów greckich. Warszawa 1896. (*Bibl. Warsz.*).

— Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła. Warszawa 1884. (1897). (Dzieła wszystkie, wydanie pomnikowe, t. IV, część I).

Kromer.

Siemieński. Portrety liter. I. Poznań 1865.

Eichhorn. Der ermländische Bischof Martin Kromer. Braunsberg 1868.

Powidaj. O Kromerze Eichhorna. Kraków 1869. (*Przegląd Polski*).

Walewski. Marcin Kromer. Warszawa 1874.

Finkel. Marcin Kromer, rozbiór krytyczny. Kraków 1883.

Szarzyński.

Finkel. Mikołaj Sęp Szarzyński. Lwów 1880. (*Przew. nauk. i liter.*).

Faleński. Mikołaj Sęp Szarzyński. Warszawa 1881. (*Ateneum*).

Brückner. Źródła do dziejów literatury i oświaty w Polsce III. Sęp Szarzyński. Warszawa 1891. (*Bibl. Warsz.*).

Klonowicz.

Mecherzyński. O poezyach satyrycznych Fabiana Klonowicza. Kraków 1850. (*Rocz. Tow. nauk.*).

Mierzyński. De vita, moribus scriptisque latinis S. F. Acerni, Berlin 1857.

Kantecki. Sebastyan Klonowicz i jego poemat o Rusi. Lwów 1875. (*Przew. nauk. liter.*).

Przyborowski. Rok śmierci Sebastyana Klonowicza. Warszawa 1878. (*Ateneum*).

Detmerski. Nowe szczegóły do życiorysu Klonowicza. Warszawa 1882. (*Ateneum*).

Skarga.

Rychcicki. Piotr Skarga i wiek jego. 2 wyd. Kraków 1868/9. 2 t.

Bobrzyński. Kazania sejmowe Skargi. Kraków 1876.

Polkowski. Żywot ks. Piotra Skargi. Kraków 1884.

Czuczyński. Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Pawęskiego. Kraków 1892. (*Przegląd powszechny*).

Pawelski. Domniemane wiersze Skargi. Kraków 1898. (*Przegląd powszechny*).

Warszewicki.

Wierzbowski. Krzysztof Warszewicki. Warszawa 1887.

Wereszczyński.

Hołowiński. Homiletyka. Kraków 1859.

Ptaszycki. Mikołaj Rey i ks. Józef Wereszczyński. Wilno 1880.

Ciesielski.

Krzyżanowski. (*Rocznik Filarecki*).

A. Zbylitowski.

Abicht. Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego. Kraków 1899.

Grochowski.

Bełcikowski. Ks. Stanisław Grochowski. Żywot i pisma. Lwów 1891. (*Przew. nauk. i liter.*).

Windakiewicz. Ks. Stanisław Grochowski, studyum biograficzno-literackie. Poznań 1891. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XVIII).

Chmielowski. Stanisław Grochowski. Warszawa 1892. (*Ateneum*).

Miechowita.

Borzemski. Kronika Miechowity. Kraków 1891. (*Rozpr. Wydz. histor.-filoz.* t. XXVI).

Decyusz.

Hirschberg. O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza. Lwów 1873. (*Przew. nauk. i liter.*).

Wapowski.

Lukas. Rozbiór podługoszowej części kroniki Bernarda Wapowskiego. Kraków 1883.

Marycki.

Węclewski. Simon Maritius. Chełmno 1867. (*Progr. gimn.*).

Lewicki. Szymona Maryckiego De scholis. Przemyśl 1885. (*Sprawozd. gimn.*).

M. Bielski.

Wisłocki. Gwalter Burley i Marcin Bielski. Kraków 1878.

Pawiński. O Marcinie Bielskim kilka nowych szczegółów. Warszawa 1880. (*Tygodnik illustrowany*).

Paprocki.

Adamowicz. Stanowisko herbarza Bartosza Paprockiego w historyi naszej. Warszawa 1861. (*Bibl. Warsz.*).

Jireczek. Bartosz Paprocki. Warszawa 1867. (*Bibl. Warsz.*).

J. Bielski.

Nehring. O życiu i pismach Joachima Bielskiego. Poznań 1860. (O historykach polskich XVI wieku. Część II).

SPIS TREŚCI.